

ILARIA TUTI

Komisarz Teresa Battaglia z bestsellerowych
Kwiatów nad piekłem powraca z nową sprawą!

ŚPIĄCA NIMFA

ILARIA TUTI

**ŚPIĄCA
NIMFA**

Z języka włoskiego przełożyła
Joanna Kluza



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Ninfa dormiente

© 2018, Longanesi & C. S.r.l., Milano
Gruppo editoriale Mauri Spagnol

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2020 for the Polish translation by Joanna Kluza (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Magdalena Stec
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-66512-03-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2020

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Tej autorki:

Kwiaty nad piekłem

*Dla Jasmine i Sarah.
Dla naszych przodkiń, kobiet dziś i jutra.
I dla mężczyzn, którzy je czczą.*

Tempus valet, volat, velat.

*Ja jestem wszystkim, co istniało, istnieje
i co ma istnieć, a mojej szaty
żaden śmiertelnik nigdy nie odstąpił.*

PLUTARCH^[1]

Koniec

Teresa często rozmyśla o śmierci. Nigdy by jednak nie przypuszczała, że jej własna śmierć będzie wyglądać właśnie tak. Co za ironia losu, że nie potrafi sobie przypomnieć czegoś, co mogłoby ją uratować.

Pożar, który zaraz wybuchnie, ofiary czekające na ratunek i ona, zastygła niczym posąg. Umysł odmówił posłuszeństwa. Zamęt, jaki ma w głowie, nadaje ostatniemu aktowi tragedii paradoksalny wymiar, kiedy te pełne przerażenia oczy wpatrują się w nią błagalnie, podczas gdy ona nie jest w stanie absolutnie nic zrobić. Zginie jak jakaś niemota, z założonymi rękami i opuszczoną tarczą, chociaż żyła jak wojowniczką. Zginie, czując się jak idiotka.

Wojowniczka... Policjantka, być może. Sześćdziesięcioletnia chora kobieta, która zgrywa bohaterkę, a nawet nie potrafi poprawnie nazywać rzeczy.

Mogłaby spróbować zgadnąć. Zdaje się, że ostatnio, aby przeżyć, była zdolna wyłącznie do tego. Odgadywać, jaki obrać kierunek, gdzie spojrzeć, jakie słowa wypowiedzieć i czyjego cienia się obawiać.

Wątpliwości budzi nawet jej własne imię, podobnie jak imię zabójcy. Który znajduje się przed nią albo może w sąsiednim pomieszczeniu. Z pewnością jest w tym przypominającym teraz Hades domu, który za moment zapłonie w ciemnej dolinie, ponieważ Teresa ośmieliła się rzucić wyzwanie skrywanej w jego wnętrzu tajemnicy. Strzegły jej góry, pogrzebały wąwozy, wraz ze świętymi kośćmi i prastarą energią.

Teresa wie, lecz umysł nadal nie pamięta.

Która z przeznaczonych na stos ofiar jest niewinna, a która miała tyle krwiożerczej siły, żeby wyrwać ciągle bijące serce z piersi mężczyzny?

Kogo mam ocalić?

No i jest jeszcze on, wpatrzony w nią jak syn, którego nigdy nie miała. Jego imię na razie tylko muska jej wargi niczym szept, ale z tym mężczyzną łączy ją jakaś

głęboko zakorzeniona siła. Teresa czuje ją w trzewiach, jest jak ogień trawiący bliźnię, czerwona piana wrząca w żyłach.

Ściany domu zdają się na nią napierać i zaczynają trzeszczeć, tak jak dręczące ją od wielu dni głosy, które z szeptów przerodziły się w krzyki: jej najgorsze lęki.

Imię zabójcy. Imię zabójcy...

Wrzucona w otchłań piekła, w obliczu śmierci, Teresa myśli wyłącznie o zagadce, którą usłyszała nie wiadomo od kogo i nie wiadomo gdzie.

On wrzeszczy. Jego nieludzki krzyk wyrywa Teresę z odrętwienia, które ją przygwoździło.

Po czym nagle milknie.

– Znaleźliśmy je – słyszy jego szept, tak jakby zniecka chciał podtrzymać między nimi kontakt słowny. Ma rozszerzone źrenice. – Znaleźliśmy Zło. Jest tutaj. Czekają na nas.

Niż słowa niczym paciorki diabelskiego różańca. Unosi palec wskazujący pomiędzy krępującymi go sznurami i celuje nim w kąt, gdzie mrok zdaje się pulsować w rytm ich strachu.

– Znaleźliśmy je. Ono nie ma ludzkiej natury.

Znów krzyczy, tak głośno, że w Teresie coś pęka.

Przypomina sobie jego imię. Lecz los po raz kolejny bawi się kartami życia i śmierci, miłości i nienawiści, tak bezlitosny, jak tylko potrafi być ktoś, kto wie, że ma przed sobą całą wieczność.

Nadszedł bowiem moment, by się przekonać, jak daleko Teresa jest gotowa się posunąć.

Nadszedł moment, by się przekonać, czy żeby ocalić niewinną ofiarę, Teresa jest gotowa zabić Massima Mariniego, mężczyznę wpatzonego w nią jak syn, którego nigdy nie miała, mężczyznę drżącego teraz tak, jakby tam, w ciemnościach, tańczył diabeł.

Początek

Sangwina mknie po papierze. Kreśli arabeski, które przybierają kształty znanych krzywizn i wklęsłości, zamieniających się w półprzymknięte wargi. Rysuje delikatne łuki i rozmyte linie. Niewyraźny profil. Długie ciemne włosy. Papier ma świetlistą biel skóry.

Czerwień przesącza się, wnika we wgłębienia włókien, dopóki nie zleją się w jedno. Palce rozciągają ją z władczym naciskiem, z rozpaczliwym impetem. Zanurzają i nasycają kolorem. Chcą uwięzić obraz, zanim zniknie piękno.

Palce drżą, naprężają, pieszczą. Oczy ronią łzy. Łzy mieszają się z czerwienią, rozmywając ją i odsłaniając nieoczekiwane odcienie purpury.

Serce świata przestaje bić. Milknie szelest liści i śpiew ptaków. Białe płatki dzikich zawilców nie drgają na wietrze, a gwiazdy najwyraźniej wstydzą się pokazać o zmierzchu. Góra jakby się skłoniła, obserwując cud, jaki się dokonuje u jej podnóża, w zakolu, gdzie kamiennym korytem płynie majestatycznie rzeka.

Pod dłońmi malarza nabiera kształtów *Śpiąca nimfa*.

Rodzi się czerwona z namiętności i miłości.

1

Słońce ciosało twarz Massima Mariniego i zakradało się między kasztanowe rzęsy, rozpalając ogniste refleksy. Nerwowe kroki mężczyzny rozlegały się na ulicy, wzdłuż której ciągnęły się tajemne ogrody, ukryte przed ludzkim wzrokiem za ślepyimi murami. Najwyższe gałęzie magnolii wymykały się ponad ogrodzeniem, gubiąc mięsiste płatki, które chrzęściły pod podeszwami. Zupełnie jakby deptało się po czymś jeszcze żywym, po dywanie z umierających istot.

Wiosenne popołudnie dogasało spokojnie, chociaż burzliwa czerń na horyzoncie zapowiadała jakiś ferment. Naelektryzowane powietrze budziło w inspektorze napięcie.

Galerię sztuki La Cella wskazywała mosiężna tabliczka przymocowana do chropowatego tynku siedemnastowiecznej kamienicy. Złowrogie spojrzenie oczu odbijających się w metalowej powierzchni odzwierciedlało podły nastrój mężczyzny. Massimo opuścił rękawy koszuli i włożył marynarkę. Gdy wcisnął dzwonek, rozległ się brzęczyk otwierający drzwi. Pchnął nabijane ćwiekami skrzydło i wszedł do środka.

Upał pozostał za progiem, po czym otulił go wilgotny chłód.

Posadzka tworzyła białą-czarną szachownicę, na piętro zaś wiodły szerokie kręte schody z żyłkowanego marmuru. Przez znajdujące się wyżej szyby przenikało światło, padające na lampę ze szkła z Murano, uwalniając szmaragdowe odcienie, które nikły w półmroku parteru. Wokół unosiła się woń lilii. Massimowi przypominała ona zapach kadzidła, ciemny kościół, niekończące się litanie i surowe spojrzenia ojca, kiedy jako dziecko przejawiał niecierpliwość. Poczł pulsowanie w skroniach.

W ciszy tego utrzymanego w morskich barwach wnętrza, wypełnionego atmosferą wyrafinowania, wibrowanie komórki wydawało się pochodzić z innego świata.

Wyjął telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki. Aparat drżał w dłoni niczym płaskie i zimne sztuczne serce, Massimo wiedział jednak, że na drugim końcu linii znajduje się prawdziwe serce, w którym miłość i złość, rozczarowanie i ból mocują się ze sobą niczym bestie o pustych brzuchach i obnażonych zębach. Wycofując się, sprawił, że stały się żarłoczne. Numer wydzwaniał od kilku tygodni, wielokrotnie w ciągu dnia.

Nie odebrał, usta wypełniała mu wstrętna mieszanina wyrzutów sumienia i poczucia winy. Odczekał, aż dzwonek umilknie, po czym wyłączył telefon. Okrążył szerokie schody i prędko zszedł po stopniach z kutego żelaza, które wiły się jak bluszcz aż do podziemi. W półmroku rozległ się przytłumiony szmer. Jeszcze jeden korytarz oświetlony lampami w podłodze, jeszcze jedne drzwi ze szkła ornamentowego, a za nimi galeria.

Nareszcie La Cella. Sklepienie z surowej cegły, błyszcząca łupkowa posadzka. Sporą część tynku usunięto, by odsłonić oryginalny kamień. Każda plama światła padała na jedno z wystawionych dzieł, pozwalając mu się wyłonić z półmroku, jakby to był klejnot. Posągi z brązu, szklane wazy i abstrakcyjne obrazy w krzykliwych barwach były aktorami na tym minimalistycznym podziemnym proscenium.

Podążywszy za gwarem, w najprzestronniejszym pomieszczeniu inspektor odnalazł grupę osób. Po bokach stało dwóch policjantów w mundurach. Wkrótce rozpoznał Parisiego i De Carlego po cywilnemu. Pierwszy, ciemny i atletycznie zbudowany, rozmawiał przez komórkę. Drugi, chudy i niezgrabny niczym nastolatek, wpatrywał się weń, od czasu do czasu wtrącając jakieś słowo. Odkąd Massimo poprosił o przeniesienie z metropolii do prowincjonalnego miasta, to był jego zespół. Zmiana otoczenia, dzięki której miał zamiar – nadzieję – odzyskać spokój, sposób na rozpoczęcie wszystkiego od nowa. W rzeczywistości odnalazł o wiele więcej, chociaż spokój zamienił się w miotającą płomienie chimere, która parzyła go, ledwie spróbował się zbliżyć.

Podszedł do nich i skinął na powitanie.

– Co jest? – zapytał De Carlego.

Kolega poprawił spadające z bioder džinsy.

– Nie wiadomo. Jeszcze nam nic nie powiedzieli. Wygląda to na jakąś tajemnicę.

– To dlaczego tak pilnie mnie wezwaliście?

Parisi zasłonił dłonią mikrofon komórki i wskazał brodą w przeciwnym kierunku.

– Bo jesteśmy jej potrzebni. Ty też.

Wzrok Massima pomknął w poszukiwaniu osoby, która w ciągu ostatnich miesięcy zamieniała mu każdą chwilę w piekło, lecz właśnie dzięki temu przywróciła go do życia.

Najpierw dostrzegł jej stopy, pomiędzy nogami dwóch detektywów. Nosiła sneakersy na grubej podeszwie. Zauważył, jak przenosi ciężar ciała z jednej strony na drugą, jak co chwilę staje na palcach, by ulżyć kończynom.

Jest zmęczona, pomyślał. Wprawdzie nie wiedział, co spowodowało tu jego zespół, zdawał sobie jednak sprawę, że ona opuści to miejsce jako ostatnia.

Gdy policjanci się przesunęli, w końcu ją zobaczył, między rzeźbą z brązu przedstawiającą na wpół roztopione serce a instalacją ze zwisających z sufitu pleksiglasowych skrzydeł. Serce i dusza, tak jak ona.

I determinacja, siła witalna, która niekiedy zdawała się przytłaczać ludzi wokół, lecz w ostatniej chwili chwytala ich i dźwigała, aby wydobyć z nich to, co najlepsze.

Oczywiście nie brakowało jej także odrobiny jędzowatości.

To nie prawie sześćdziesiątka na karku nadawała jej wygląd wypompowanej, ale jakaś wewnętrzna udręka, której Massimo nie potrafił jeszcze nazwać, chociaż znajdował jej odbicie w notesie, który kobieta nieustannie ścisnęła w dłoniach. Gdy tylko mogła, wypełniała go gorączkowo notatkami.

Teraz dołączył do niej. Spostrzegł mrugnięcie powiek – nic więcej – którym skwitowała jego pojawienie się. Nawet się nie obejrzała. Trzymała w ustach zausznik od okularów do czytania, nerwowo żując cukierek.

– Mam nadzieję, że przynajmniej jest bez cukru – powiedział.

Wreszcie na niego spojrzała, chociaż nie trwało to nawet sekundę.

– Naprawdę sądzisz, że to twoja sprawa?

Głos był ochryply, oschły. Pobrzmiewała w nim nuta rozbawienia.

– Ma pani cukrzycę, pani komisarz. I powinna pani także być damą... – mruknął, nie zważając na przekleństwo, jakie po tym nastąpiło. Była to gra, którą dobrze znał i w której prawie nigdy nie wygrywał.

Przestała się znęcać nad okularami.

– Czy to aby nie twój wolny dzień, inspektorze? – zapytała, świdrując go tymi przeklętymi oczami, które potrafiły przewiercić człowieka na wylot.

Massimo uśmiechnął się nieznacznie.

– A pani nie skończyła właśnie zmiany?

– Nadgorliwość nie ukryje twojej nieudolności, Marini.

Massimo nie pokusił się o odpowiedź. Przyglądał się bacznie kobiecie, która najwyraźniej przestała się nim interesować. Nie sięgała mu nawet do piersi, za to miała zwyczaj zadzierać nosa, prac do przodu jak czołg. Była od niego niemal dwa razy starsza, lecz to jemu brakowało energii na długo przedtem, nim ją dopadało zmęczenie. Często charakteryzował ją obcesowy sposób bycia, okalające jej twarz włosy miały zaś tak nienaturalnie rudy kolor, że niemal budziły zakłopotanie. U kogokolwiek innego naprawdę by budziły, ale nie u niej.

Teresa Battaglia szczykała, ale niektórzy przysięgali, że widzieli, jak gryzie, dosłownie.

– W takim razie dlaczego tu jesteśmy? Po co te wszystkie tajemnice? – zapytał, aby sprowadzić ją na teren, po którym zdawała się pędzić szybciej niż inni: na teren polowania.

Teresa Battaglia wpatrywała się przed siebie, tak jakby ktoś tam był: zmrużywszy oczy, zmarszczywszy w zadumie czoło. Gdy odpowiedziała, pojął, że obserwuje we własnej głowie twarz ofiary. Że zagląda w jej serce.

– Liczba pojedyncza, nie mnoga, inspektorze. Zawsze jest tylko jedna tajemnica.

Komisarz Battaglia zabrała się do czyszczenia okularów do czytania, co najwyraźniej czyniła za każdym razem, gdy się nad czymś zastanawiała. Biła się z myślami.

– Niby po co mielibyśmy tu być, jeśli nie po to, by odkryć tajemnicę czyjejs śmierci?

2

– Śmierć sprzed lat.

Tak właśnie powiedział jej nieledwie przed godziną zastępca prokuratora Gardini, prosząc, by udała się do La Celli. Użył tylko tych trzech słów, w połączeniu z garścią innych, które komisarz Teresa Battaglia dobrze znała:

– Chcę ciebie i twojego zespołu.

Śmierć sprzed lat. Teresa poczuła ulgę: nie było na wolności zabójcy, którego należało ścigać, kolejnych ofiar, które trzeba ocalić, ani upływu czasu, który działał na niekorzyść. Jedynie echo odległego wydarzenia, które wyłoniło się nie wiadomo jak z mroków przeszłości.

Potrafiła sobie z tym poradzić. Ten przypadek nie wymknie się jej z rąk, a nawet gdyby tak się stało, nikt nie ucierpi, chyba że jej miłość własna.

Jeśli myślisz, że nie zauważą, co się z tobą dzieje, jesteś idiotką.

To, co się z nią działo, miało swoją nazwę, mogło unicestwić i zamienić przyszłość w czarny ekran, Teresa nigdy jednak nie cofnęła się na widok tego słowa, nie pozwoliła mu się rozpanoszyć, by zawładnęło jej światem. Strzegła go tam, gdzie gnieźdzą się najbardziej przerażające lęki: na dnie duszy oraz w dzienniku, który ścisnęła w rękę nawet w tym momencie. W swojej papierowej pamięci.

W tym i tak już skomplikowanym obrazie Massimo Marini stanowił kolejny problem. Wpatrywał się w nią, jakby coś zwęszył, jakby potrafił czytać jej w myślach. Z trudem udawało jej się trzymać go na dystans. Jego bliskość zaczynała się wręcz wydawać czymś normalnym. Obawiała się, że dla obojga szukanie wzajemnego towarzystwa stanie się niebezpiecznym przyzwyczajeniem.

Z pomieszczenia, do którego obowiązywał zakaz wstępu, wyłonił się zastępca prokuratora Gardini. Podobnie jak za każdym razem, gdy się spotykali, i teraz Teresa odniosła wrażenie, że jest wzburzony. Wysoki i chudy Gardini był wiecznie

rozczochny, miał przekrzywiony krawat, jakby dopiero co zderzył się z porywem wiatru. Był rzutkiem przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, który nigdy nie dawał za wygraną. Jego wygląd przywołał na myśl nieustanny pośpiech, w jakim żył, tysiące rzeczy, które ciągle przyrzekał sobie zrobić, i niezliczone przeszkody, które wywracały do góry nogami cały jego świat.

Towarzyszył mu mocno opalony mężczyzna o ekscentrycznej urodzie. Na widok kasztanowych włosów rozjaśnionych na skroniach przez słońce Teresa doszła do wniosku, że kolorystyka skóry mężczyzny jest naturalna, typowa dla kogoś, kto uprawia sport na powietrzu. Miał w sobie jednak jakąś elegancję, wytworność, przejawiającą się choćby w ubraniach, jakie nosił, o klasycznym kroju i wyrazistych kolorach. Fantazyjnych, lecz bardzo gustownych.

Teresa wyobrażała sobie, kim jest. Czym prędzej otworzyła dziennik i poszukała ostatnich notatek, ale nie znalazła opisu mężczyzny. Doskonale pamiętała: jeszcze się nie poznali.

Dostrzegłszy ją, Gardini ruszył jej na spotkanie z wyciągniętą dłonią. Przyjaźnili się od lat, chociaż w pracy każde miało odrębne zdanie.

– Dziękuję za przybycie, pani komisarz. Wiem, że zakłóciłem pani spokój na koniec zmiany – przywitał się, rezygnując ze zwracania się do niej na „ty”. – Przedstawiam pani Gianmarię Gortana, właściciela galerii. Szanowny panie, to komisarz Battaglia. Zamierzam powierzyć jej dochodzenie.

Teresa uśmiechnęła się zdawkowo, po czym przywróciła równowagę, którą Gardini często burzył swym pośpiechem.

– Moja prawa ręka, inspektor Marini – rzekła.

Nastąpiły uściski dłoni. Jak zauważyła, dłoń marszanda była spocona. Drobną utratą kontroli, niepasującą do idealnego obrazka, jaki wszystkim podsuwał.

– Wezwał nas pan Gortan – ciągnął Gardini. – Mamy do czynienia z wyjątkowym przypadkiem.

Wprawdzie nie zdążył jeszcze niczego wyjawić, ale Teresa spędziła ostatnie minuty w galerii sztuki, obserwując techników kryminalistyki wchodzących do pomieszczenia, którego wciąż nie obejrzała, i wychodzących z niego. Migawka lustrzanki strzelała bez ustanku, w półmroku pojawiały się potężne rozbliski flesza. Skoro to śmierć sprzed lat, coś tu nie gra, pomyślała Teresa. Rozmieszczenie sprzętu i ludzi nie zgadzało się z obrazem, jaki stworzyła sobie,

przyjeżdżając tutaj. Mało kogo interesowały zamierzone zabójstwa. Wraz ze zmyciem krwi wyparowuje również empatia w stosunku do ofiary i oplakującej ją rodziny. W takich wypadkach Sprawiedliwość wcale nie jest rychliwa. Szale wagi tkwią nieruchomo, a opaska na oczach połuznia się akurat na tyle, ile potrzeba do rozejrzenia się dokoła i spuszczenia najlepszych ogarów, by pognały za świeższymi tragediami.

- Czy ktoś tam zmarł? – zapytał Marini, bardziej zląkniony szczegółów niż ona.
- Nie ostatnio – westchnął Gardini. – Proszę za mną, pokażę państwu.

Weszli do pomieszczenia przypominającego laboratorium. Znajdowała się tam aparatura, której Teresa nigdy jeszcze nie widziała. Metalowa powierzchnia cyfrowego mikroskopu lśniła w błyskach fleszy. Rozpoznała kilku kolegów z ekipy śledczej. Zdejmowali odciski ze sprzętu. Byli to ludzie Gardiniego.

– Te urządzenia służą do oceny autentyczności – objaśnił marszand. – Do szacowania wartości i datowania. Galeryjny ekspert analizuje dzieła sztuki dostarczone do sprzedaży przez klientów albo po prostu przez tego, kto chce poznać cenę rynkową przedmiotu, który odziedziczył bądź znalazł w piwnicy.

Teresa otworzyła dziennik i zanotowała pośpiesznie dzień, godzinę, okoliczności. Przynajmniej nazwiska, pobieżny opis i rolę, jaką odgrywały towarzyszące jej osoby. Niemożność rozpoznawania ludzi stanowiła jej nawracający koszmar, najbardziej obezwładniający lęk. Zorientowawszy się, że Marini chce zapaść żurawia, przewróciła kartkę, nagryzmoła jakiś obsceniczny rysunek i pokazała mu go. Młody inspektor oblał się szkarłatem i w końcu się odsunął.

Teresa prędko omiotła wzrokiem pomieszczenie. Wszystko wydawało się w porządku. W maniackalnym porządku. Tak jak się spodziewała, w murze szczelinowym ani w skrytce pod podłogą nie było zmumifikowanych zwłok.

– Mamy szukać zmarłego pod szkiełkiem mikroskopu? – szepnął jej na ucho Marini, który na powrót stał się jej cieniem.

Odepchnęła go szturchańcem. Popatrzyła pytająco na zastępcę prokuratora.

– Dajcie nam chwilkę – polecił technikom Gardini.

Praca ustała i pomieszczenie opustoszało. Została tylko ich czwórka oraz plama światła, która wreszcie ukazała się oczom Teresy.

Gardini skinął, by podeszła bliżej. Przysunęła się nieco. Zaskoczyło ją coś w twarzy zastępcy prokuratora: popłoch przemieszany z jakimś zupełnie niezwykłym w tych okolicznościach upojeniem. Podążyła za jego wzrokiem.

Na stole roboczym leżał rysunek. Bez ramki, rozłożony na szklanym blacie, przygnieciony na rogach ciężkimi metalowymi przyciskami. Portret kobiety. Na oko miał niespełna czterdzieści centymetrów długości. Karton wydawał się gruby, niemal pomarszczony.

Teresa zbliżyła się i pochyliła nad rysunkiem, aby mu się lepiej przyjrzeć. Zastygła w bezruchu, nie potrafiąc oderwać od obrazka wzroku. Zdawała sobie sprawę, że ma wybałuszone oczy, ale nie z powodu półmroku, tylko tego, na co właśnie patrzyła.

Sztuka nie potrzebuje objaśnień, powiedziała sobie w duchu, wspominając słowa starego profesora z liceum. Miała na to dowód przed sobą. Włożyła okulary do czytania, wiszące na łańcuszku na szyi, i przysunęła twarz bliżej.

Portret zdawał się wylewać poza karton. Odznaczał się doskonałością, trójwymiarowością, które poruszały do głębi. Była to twarz młodej kobiety o tak wyjątkowej gracji, że aż budziła zdumienie. Zamknięte oczy, długie rzęsy muskające policzki, ledwie rozchylone wargi. Miała w sobie coś egzotycznego, chociaż trudnego do zdefiniowania. Ciemne włosy okalały twarz o srebrzystobladej cerze, opadając na plecy falami, których kontury zacierały się, aż w końcu rozmyły na krawędziach kartki.

Była to magnetyczna i delikatna uroda, zimna i gwałtowna, wyrafinowana i dzika. Czerwona i czarna, jak namiętność.

Teresa zmusiła się, by podnieść wzrok w poszukiwaniu kolejnych szczegółów.

W prawym górnym rogu widniała data, skreślona drżącą ręką: 20 kwietnia 1945. Brakowało podpisu.

Pomiędzy wykonaniem tych kresek a możliwością delektowania się efektem upłynęło ponad siedemdziesiąt lat, pomyślała. Niemal cały wiek, chociaż czas nie należał do współrzędnych rysunku. Pozostawał w zawieszeniu, wymazany. Portret żył w innym wymiarze niż oni, w wymiarze stworzonym przez przestrzeń i emocje. Na tym polega nieśmiertelność sztuki.

Ponad jej ramieniem Marini ledwie oddychał. On również uległ urokowi, który obraz najwyraźniej rzucił na wszystkich obecnych.

– Kto to taki? – zapytał.

Nie zwróciła mu uwagi na naiwność tego pytania, ponieważ dopiero co sama o mało go nie zadała. Marini doznał identycznego wrażenia, jakie wstrząsnęło Teresą: że ma przed sobą obdarzoną duszą istotę z krwi i kości.

– *Śpiąca nimfa* – odparł właściciel galerii, wpatrując się w rysunek. – Wydawało się, że przepadła bez wieści, tymczasem natrafiono na nią wśród starych papierów upchniętych na strychu. Tak przynajmniej twierdzi stryjeczny wnuk autora. Ze względu na brak podpisu powierzył ją galerii w celu zbadania autentyczności. Czysta formalność: to bez wątpienia ręka jego stryjecznego dziadka, Alessia Andriana.

Teresie nazwisko to nic nie mówiło i nie pojmowała, dlaczego Gardini domagał się jej współpracy przy wstępnym dochodzeniu. Na czym miało ono polegać?

– Istnieje podejrzenie fałszerstwa? – zapytała.

Gardini pozwolił sobie na uśmiech. Nie wywołało go rozbawienie, Teresa doskonale o tym wiedziała. Jego powodem było głównie napięcie, które zastępca prokuratora rozładowywał, rozciągając mięśnie twarzy.

– Obawiam się, że kwestia jest bardziej złożona, pani komisarz. Ekspertyza przyniosła nieoczekiwane i... dość niepokojące wyniki. Pan Gortan potrafi to wyjaśnić lepiej ode mnie.

Teresa wyprostowała ramiona. Cały kręgosłup aż zatrzeszczał.

– Niepokojące? – powtórzyła.

– Rzeczoznawca poddał analizie papier i kolor w celu ustalenia daty – zaczął tłumaczyć właściciel galerii – aby potwierdzić, czy widoczna na rysunku data jest w miarę zgodna z domniemanym okresem jego powstania. Dzieło wykonano czarną kredą i sangwiną. Sangwina to ta od czerwonego koloru, żelazisty materiał, który daje to sugestywne zabarwienie.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

– Jeszcze kilkadziesiąt lat temu używało się czystego tlenku żelaza. Teraz miesza się go z woskami, naturalnymi albo syntetycznymi. W zależności od tego, czy owe woski występują, da się określić, czy dzieło powstało niedawno, czy jest starsze. Sęk w tym, że rzeczoznawca znalazł coś innego. Nie potrafiąc dociec, co to takiego, wysłał kilka próbek do laboratorium, które specjalizuje się w bardziej szczegółowych badaniach.

– I okazało się, że to...?

Odpowiedzi udzielił zastępca prokuratora Gardini, spoglądając jej prosto w oczy. Blask halogenowej lampy rzucał głębokie cienie na jego chudą twarz, przydając jej dramatyzmu.

– Krew, pani komisarz.

Do Teresy dopiero po paru sekundach dotarło, do czego Gardini zmierza. Zawsze uważała, że twardo stąpa po ziemi, teraz jednak zaczęła podejrzewać, że trochę zbyt mocno buja w obłokach. Poszukała wzroku Mariniego: on też oniemiał.

Ponownie popatrzyła na zastępcę prokuratora. Usiłowała dobrać najbardziej odpowiednie słowa, chociaż była pewna, że zgodnie ze swą naturą znajdzie tylko te najbardziej dosadne.

– Panie prokuratorze, istnieje przynajmniej tysiąc powodów – odezwała się – dla których krew mogła trafić na rysunek. Może artysta skaleczył się w wyniku drobnego wypadku i jego krew pomieszała się z farbą. Może on albo ktoś inny doznał krwotoku z nosa. Zwykle najprostsze wyjaśnienie jest także najbliższe rzeczywistości.

Gardini nic nie odpowiedział, lecz jego spojrzenie mówiło samo za siebie. Teresa zdjęła okulary.

– Czy pan podejrzewa, że kogoś zamordowano, żeby wykonać ten obraz? – zapytała z powątpiewaniem, którego nie zdołała ukryć.

Gardini pozostał niewzruszony.

– Nie podejrzewam. Jestem tego pewien.

Teresa zerknęła na portret, na bladą twarz, która wyglądała tak, jakby wydawała trwające w nieskończoność tchnienie. Ostatnie. Być może Nimfa śniła właśnie o śmierci.

– Dlaczego? – zapytała, z góry wiedząc, że odpowiedź Gardiniego ostudzi wszelki możliwy sprzeciw. Znała go już zbyt długo i miała świadomość, że skoro twierdzi, że jest pewien, nie rzuca słów na wiatr.

Gardini oparł się biodrem o stół i skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie mówimy tu o odrobinie krwi – zastrzegł.

Teresa poczuła na twarzy mrowienie, jak zawsze, gdy spodziewała się złej wiadomości.

– Ile? – sondowała.

Chwycił ze stołu plik dokumentów i jej go wręczył. Dał jej kilka chwil na przekartkowanie.

– *Śpiąca nimfa* została wykonana krwią, pani komisarz – oświadczył. – Badania wykazały obecność ludzkiej tkanki mięśnia sercowego na papierze.

Teresa w końcu pojęła, choć to Gardini ubrał jej myśli w słowa:

– Alessio Andrian namalował ją, zanurzając palce w cudzym sercu.

Tkanka mięśnia sercowego. Ludzka. Dłonie wnikające do klatki piersiowej i palce zanurzające się w sercu. Obraz, jaki powstał w głowie Teresy, przybrał postać szaleńczej kamei.

– Proszę pana – zwróciła się do Gortana – czy istnieją racjonalne dowody na to, że autorem obrazu jest Alessio Andrian?

– Sam dokonałem powtórnej ekspertyzy. Rysunek jest autentyczny, nie ma co do tego cienia wątpliwości.

– Z czego pan to wnioskuje?

Gortan rozciągnął wargi w uśmiechu, zarezerwowanym zazwyczaj dla dyletantów w dziedzinie sztuki tak szlachetnej, że ich ignorancji nie sposób wybaczyć, chyba że wyłącznie przez grzeczność. Teresie przemknęło przez głowę, że mężczyzna, którego miała przed sobą, uważa się za niekwestionowanego kapłana tajemnego elitarnego kultu i właśnie tak się zachowuje. Uznanie go za marszanda było błędem.

– Co daje mi pewność autorstwa dzieła? – powtórzył Gortan. – Każdy detal. Papier, farba, charakter pisma, jakim skreślono datę, ale przede wszystkim kreska: nacisk i perspektywa – wyjaśnił, poruszając wytwornie dłońmi i wzniecając obłoki wyrafinowanego zapachu. – Rzekłbym: całościowe upodobanie do kompozycji, coś, co określam mianem „ręki artysty”. To jest jego prawdziwy podpis, nic innego. Niepowtarzalny. Ten obraz to *Śpiąca nimfa* Alessia Andriana.

Z pewnością nie miał wątpliwości. Jego policzki płonęły szczerą żarliwością.

– Muszę się przyznać, że nie znam tego artysty i że aż do dzisiejszego dnia nigdy nie słyszałam o *Śpiącej nimfie* – oznajmiła Teresa.

Przez gładko wygoloną twarz właściciela galerii przemknął grymas, ledwie przelotny cień, tak nieuchwytny, że wzięła go za własne przywidzenie.

– Nie dziwi mnie to – powiedział Gortan. – Andrian nie jest dla mas, lecz dla wąskiego i, proszę mnie źle nie zrozumieć, wybranego kręgu koneserów. Jednakże każdy, kto miał to rzadkie szczęście kontemplować jego dzieła, musiał podziwiać jego niezwykłą duszę artystyczną.

Teresę zaczynało ogarniać zaciekawienie. O kim on mówi? Kim był Alessio Andrian?

– Dlaczego wspomina pan o rzadkim szczęściu? – zapytała.

Oczy Gortana lśniły, stały się wręcz zniewalające. Ten człowiek wiedział, że jest strażnikiem wyjątkowej historii, przeczuwała Teresa.

– Andrian przestał malować w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, pani komisarz. W wieku zaledwie dwudziestu trzech lat. Jego dzieła są ponumerowane od jednego do dziesięciu – wyjaśnił. – Mówi się, że *Śpiąca nimfa* jest ostatnia, jedenasta.

Teresa uzmysłowiła sobie, że mówi o kobiecie z obrazu tak, jakby ona naprawdę istniała.

– Czy żeby ją namalować, korzystał z usług modelki? – zapytała.

Gortan pokręcił głową.

– Nikt tego nie wie.

– Może przestał malować ze względu na to, co się wydarzyło po stworzeniu portretu – podsunął Gardini.

– Teraz to wy spróbujecie znaleźć odpowiedź, zgadza się? – odrzekł właściciel galerii.

Teresa otworzyła dziennik.

– Ile jest wart? – indagowała.

– Przed odkryciem, że to krew, trzysta–trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro. Teraz... kto to może wiedzieć? Pewnie nawet drugie tyle.

– Czy rozumie pan przez to, że z powodu makabrycznego szczegółu cena tego obrazu może osiągnąć niebotyczną wysokość? – zdumiał się Marini.

Gortan popatrzył na niego z politowaniem, które zirytowało Teresę.

– Nie, panie inspektorze. Rozumiem przez to, że wartość obrazu, podobnie jak wartość jakiegokolwiek dzieła sztuki, zależy również od jego historii, od ludzkich losów, jakie mu towarzyszą. Historia Alessia Andriana jest zaś czymś unikatowym, obok czego nie sposób przejść obojętnie. I ostatni kawałek układanki, jaki nam przybył, nie stanowi tu wyjątku.

Teresa przerwała pisanie.

– Jaka historia? – zapytała.

– Stryjeczny wnuk Andriana wyjechał za granicę do pracy, ale dziś w nocy wróci – wtrącił Gardini. – Spotkamy się z nim jutro rano na nieformalnej rozmowie. Nikt nie potrafi opowiedzieć tej historii lepiej od niego.

– Ze względu na okoliczności chciałabym ją poznać teraz – uparła się Teresa.

– Andrian był partyzantem – rzekł czym prędzej Gortan. – Tworzył swoje dzieła, ukrywając się w górach, w przerwach między atakami Niemców. Pod koniec wojny jego towarzyszom nie udało się go znaleźć. Myśleli, że nie żyje.

– Tymczasem? – podsunęła Teresa.

– Dotarł nie wiadomo jak do Jugosławii. Jakaś rodzina z Bovecu zawiadomiła Włochów poza granicami, że w lesie za domem natknęła się na jednego z nich. Był w tak złym stanie, że bojownicy Tita uznali go za zmarłego. To był Andrian. Od jego zniknięcia upłynęło wiele tygodni. Nikt się nigdy nie dowiedział, co się z nim przez ten czas działo.

– Nie zapytali go o to?

– Andrian nigdy nie doszedł do siebie na tyle, żeby o tym opowiedzieć.

– Zmarł?

– Nie, ale oszalał. I nigdy więcej już nie malował. Nigdy już nie mówił. Nigdy. Gortan zamilkł, lecz jego słowa rozbrzmiewały w głowie Teresy niczym echo.

– Zabrał tajemnicę do grobu – zauważył Marini.

– Niezupełnie – odparł zastępca prokuratora, szukając wzroku Teresy. – Andrian nadal żyje, ale już od siedemdziesięciu lat jest rośliną.

Nim zaczął mówić dalej, zrobił przerwę, jakby chciał dać im czas na przygotowanie się.

– Nie jest chory, nigdy nie był. Nie chodzi z własnej woli. Nie mówi z własnej woli. Od siedemdziesięciu lat. Cokolwiek się wydarzyło po namalowaniu *Śpiącej*

nimfy, postanowił umrzeć za życia. To oddychający grobowiec.

3

Chłopiec schronił się w lesie, jego klatką piersiową wstrząsał urywany oddech. Za linią lasu potrafił jeszcze dojrzeć łąkę upstrzoną stokrotkami i mleciami. Co chwilę jakieś cienie przemykały pospiesznie, przyćmiewając kolory, kłębiaste chmury prędko się jednak rozwiewały.

Chłopiec odwrócił się tyłem do światła i zanurzył w wonną zielen. Nawoływania za jego plecami stawały się coraz bardziej odległe.

Bór przywitał go ciszą, która kazała mu zwolnić kroku. To było jak wejście do kościoła: zimny półmrok, zawrotna wysokość sklepień, zapach uwalniającej się z kory żywicy, równie ostry jak zapach wosku. Doznawał osobliwego wrażenia obecności jakiejś wyższej istoty, która widzi wszystko.

Wstrząsnął nim dreszcz; koszulka pod bluzą przesiąkła mu od potu.

Zagłębił się w utworzoną przez korzenie i listowie pieczarę, bezpieczną kryjówkę, w której mógł się schować. Wsparł brodę na kolanach, przekonany, że posiedzi tu dłużej.

Od czasu do czasu słyszał, jak wykrzykują jego imię. Chociaż instynkt skłaniał go, by odpowiedzieć i zakończyć ten okrutny żart, coś innego zmuszało do pozostania w ukryciu: była to przepełniona złością miłość.

Głosy rodziców przeplatały się niczym przepojony przerażeniem śpiew. Niekiedy, na kształt interludium, wznosiło się ponad nimi wołanie obcej. Wówczas wyteżał słuch, usiłując rozpoznać, jaka w nim pobrzmiwa nuta, czy obojętności, którą ostatnio wobec niego przejawiała, czy też jego nagłe zniknięcie nią wstrząsnęło, cofnęło do przeszłości, gdy się o niego troszczyła.

Obca: siostra. Kiedy zaczęła się zmieniać, dojrzewać, coś między nimi pękło. To do niej czuł żal.

Chciał, by zaznała strachu, lęku, że go utraci. Pragnął jedynie być kochany tak jak dawniej.

Właśnie dlatego postanowił zniknąć. Zrobił to w milczeniu, urażony, wymachując kijem. Płatki kwiatów spadały wraz ze łzami.

Zaszył się jeszcze głębiej w swojej kryjówce. Zerwał z wściekłością łądygę paproci i zaczął rozszarpywać palcami gałązkę. Dopiero gdy pociągnął nosem, uświadomił sobie, że znów płacze.

Podskoczył, słysząc szelest liści nad głową. Czym prędzej otarł oczy. Wysoko, w czeluściach szmaragdowej kopuły, coś się poruszyło, po czym powrócił spokój.

Kiedy przypomniał sobie to, co opowiadał siostrze jeszcze tego ranka na wycieczce, z jego gardła wydobył się jęk.

Żmije nie rodzą młodych na drzewach, rzekł do siebie. To było kłamstwo, żeby ją nastraszyć.

Tkwiał w bezruchu.

Czy naprawdę jest tego pewien? *Żmije wydają na świat młode na gałęziach, żeby spadły i ich nie pokąsały.*

Wtem poderwał się z wrzaskiem, mając wrażenie, że coś wśliznęło mu się za kołnierz bluzy. Zdjął ją gorączkowym gestem i szybko wybiegł z kryjówki.

Chciał wrócić do domu, w bezpieczne miejsce. Zraniona duma, zawiedziona miłość przestały się już liczyć. Chciał maminych całusów, ojcowskiego śmiechu. Nawet ona, obca, przestała mu się wydawać taka złowroga i nieznośna.

Czuł, jakby chwytaly go palce kolczastych krzaków jeżyn i odrośli, z których nie potrafił się wyswobodzić nawet w pędzie. Czepiały się jego ramion, owijały wokół nóg. Wilgotny niczym oddech las chciał go uwięzić w ciemności. Oddech, który zaczynał czuć na plecach.

Poszukał wzrokiem jasnej łąki, dostrzegał jednak wyłącznie mrok. Drzewa zdawały się bardziej okazałe i powykrzywiane, runo leśne bardziej poskręcane.

Uzmysłowił sobie, że się zgubił. Przeniknął go chłód. Dotarło do niego, że ma na sobie tylko koszulkę. Kolce rozorały mu skórę na ramionach. Twarz także go paliła, zupełnie jak po letnim dniu spędzonym na słońcu.

– Mamusiu – zawołał cichutko, jakby nie chciał obudzić tego, co go otaczało.

Bór odpowiedział delikatnym szumem, którego aż do tej pory nie słyszał.

Wszystko wokół się poruszało. Chłopiec nie był w stanie tego zobaczyć. Wyczuwał to.

Bór oddychał, pulsował niczym potężne, mroczne serce. Były to podziemne, wibrujące uderzenia, którym towarzyszyło przyspieszone bicie jego własnego serca.

Otworzył szeroko oczy. Przyroda rozbrzmiewała tajemniczym echem, które wdzierało się aż w duszę.

Gdy zacisnął pięści, odezwał się ból piekący niczym ogień. Podniósł dłoń: jej wnętrze przecinała głęboka szrama. Wpatrywał się urzeczony w kapiącą krew, która wsiąkała w czarną ziemię.

Na ranie przysiadł motyl w kolorze kwiatów arniki, które matka zrywała rankiem. Leniwie trzepotał skrzydełkami, moszcząc się na żywym mięsie.

Gdy chłopiec spróbował go dotknąć, uciekł, lecz nadal wirował w powietrzu obok niego.

Chłopiec podążył za nim. Miał nadzieję, że motyl zaprowadzi go do światła.

Dotarł do miejsca, gdzie drzewa się przerzedzały. Słońce dźgało ściółkę oślepiającymi promieniami. Przywiodło mu to na myśl ilustracje z pewnej książki z bajkami. Opowieść o Jasiu i Małgosi oraz o czarownicy, która chciała ich pożreć.

Owad przycupnął na drobinkach drewna, które z upływem czasu opadły z kory. Na cieniutkich niciach pajęczyny lśniły krople rosy.

Chłopiec ukląkł i wystawił palec, by zdjąć jedną z kropli, lecz się cofnął. Niespodziewany lodowaty dreszcz, który tym razem go przeszył, pochodził z wnętrza.

To nie były gałązki. To były kości. Sterczące z ziemi kości. Leżąca pośród mchu i kwiatów dłoń szkieletu ledwie muskała podłoże.

Chłopiec wrzasnął i ruszył pędem, mając przed oczami obraz szamoczącego się motyla, który uwiązał w pajęczynie, utkanej pomiędzy czymś, co było kiedyś palcami.

Myśląc, że już na zawsze utkwi w tym lesie, schwytyany jak motyl w podstępny sieć, nagle usłyszał, że ktoś go woła. Podniósł wzrok. Zbocze rozświetlał silniejszy blask, pod światło zaś zaczęła się rysować znajoma postać.

Rozpaczliwie odpowiedział na wołanie. Siostra podbiegła czym prędzej z rozwichrzonymi włosami i w ubłoconych na kolanach dżinsach. Widać było, że płakała. Runęła przed nim i mocno go przytuliła, tak jak już dawno jej się nie zdarzało, jak kiedyś, zanim wiek ich rozdzielił. Chłopiec zaniósł się szlochem.

Otworzył buzię, by uwolnić się od strachu, nie wydobył się z niej jednak żaden dźwięk. Obejrzał się w poszukiwaniu kierunku, z którego przyszedł: teraz las wydawał się jednolity, jakby drzwi w ścianie się zamknęły.

Nigdy nie zdoła odnaleźć upiornej dłoni. Zacisnął usta. Nikt mu nie uwierzy. Pozwolił wziąć się na ręce i powieść ku światłu.

Z oczu skapnęła mu ostatnia łza. Była przeznaczona dla motyla.

Gdyby wiedział, że ktoś go obserwuje, zapłakałby nad sobą, nad milczącą śmiercią, której właśnie uniknął.

Albowiem Tikô Wariö nie może sobie pozwolić na litość, nawet wobec bezbronnych. Musi czuwać.

4

Massimo nie od razu wrócił do domu. Miał ochotę się przejść, dać się porwać śródmiejskiemu zgiełkowi, co mu się rzadko zdarzało. Miasto rozbłysło światłami, gwar w lokalach zapraszał, by przystanąć na szklaneczkę czegoś, co zapewnia lekkość. W podcieniach piazza delle Erbe roiło się od tłumów, których jeszcze tak niedawno sam był częścią. Trzydziestolatków, tak jak on. Patrzył, jak żartują, przyglądał się, jak flirtują, z na wpół opróżnionym kieliszkiem w jednej ręce i papierosem albo kobiecą dłonią w drugiej. Lata świetlne temu.

Wąlewał się bez celu, zerkając na jarzące się wystawy, lecz naprawdę ich nie widząc. Szukał w szybach własnego odbicia. Dostrzegał zmianę, jaka się w nim dokonała, jej rezultat zaś wcale mu się nie podobał. To nie był on. Szedł, a chciałby biec. Milczał, a pragnął krzyczeć. Być jednocześnie tutaj i daleko stąd. Po ucieczce zawsze wracał do punktu wyjścia.

Tchórz, myślał, wiedział jednak, że dawno już wybaczył sobie tę przywarę. Zresztą nie ona była najgorsza.

Wyłowił z kieszeni komórkę i ją włączył. Ze ściśniętym żołądkiem czekał na powiadomienia, które ukazały się na ekranie jedno po drugim.

Znów dzwoniła. Elena nigdy nie zostawiała wiadomości, nie chciała wyrażać swej pogardy w paru liniijkach tekstu. Chciała wypluwać słowa, żeby aż eksplodowały w uszach. Chciała chłostać mu serce głosem.

Zrezygnował z pokusy udawania szczęśliwego i zanurzył się w ciszy spokojniejszych ulic. Skręciwszy za róg, omal nie wpadł na jakąś całującą się pod latarnią parę. Ona się roześmiała, on przytulił ją mocniej.

Massimo poczuł ukłucie goryczy i odwrócił wzrok. On i Elena też tacy byli, w czasach, których nie potrafił już sobie nawet przypomnieć, chociaż logika podpowiadała, że od tamtych dni nie minął więcej niż rok, a nie dziesięć lat.

Byli właśnie tacy, niezdolni utrzymać ręce z dala od siebie.

Po czym on ją porzucił bez żadnego wyjaśnienia, bo inaczej musiałby się usprawiedliwiać również przed samym sobą, chociaż pragnął milczeć. Zostawił ją, mimo że ostatnie jej słowa były słowami miłości. Nigdy więcej jej nie zobaczył ani nie usłyszał, dopiero kilka tygodni temu: przez parę godzin, kiedy znów ją kochał i znów porzucił.

Bardzo zły pomysł: wracać do domu na wakacje.

Massima ogarnął gniew, ale tylko na siebie samego. Na to, co czuł. Na to, czego nie czuł. Ponieważ odkrył, że jest tak bardzo inny, niż chciałby być.

Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się pod domem. Podniósł wzrok na kamienicę. W oknach na trzecim piętrze światła były wygaszone, podobnie jak jego entuzjazm. Zignorował windę i ruszył po schodach. Tego dnia nie trafiła mu się żadna sprawa, która pozwoliłaby nie myśleć o Elenie. Nadzieja na rozwikłanie tajemnicy *Śpiącej nimfy* po siedemdziesięciu latach była zbyt optymistyczna jak na jego gust.

Dotarł na piętro swego mieszkania, nie wspiał się jednak na ostatni stopień.

Czekała na niego kobieta. Siedząca na walizce na kółkach, z plecami opartymi o drzwi i z zamkniętymi oczami, wyglądała na wyczerpaną, choć miała napięte rysy jak ktoś, kto szykuje się do walki. Była chudsza, niż zapamiętał, a przecież od ostatniego razu, gdy ją widział, upłynęło ledwie parę tygodni: krótki czas, który mimo wszystko uczynił spustoszenie, tak jakby każdy oddech stanowił dla niej cios.

Nie, to nie wina czasu.

– Elena...?

Ledwie wydobył głos, zabrzmiało to niewiele donośniej niż rżenie, ale jej oczy rozbłysły gotowe schwytać go w pułapkę. Wpatrywali się w siebie w milczeniu, skamieniali, czując narastające skrępowanie. Po czym Elena podniosła się z westchnieniem, które mogło oznaczać wszystko: znużenie albo irytację, ulgę albo może skruchę.

Massimo z trudem przełknął ślinę. Żadne słowo nie byłoby w stanie go ocalić.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepnął. – Ja...

Elena przysunęła się bliżej. Massimo czekał, aż go spoliczkuje, tymczasem ona wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi. Dotyk jej skóry poraził jego zmysły, budząc przyływ pożądania.

Massimo otworzył usta, lecz Elena położyła na nich palce. Były zimne i drżące.

– Sama nie wiem, jak ci to wyznać, wobec tego powiem wprost – wyszeptała. –
Spodziewam się dziecka.

5

20 kwietnia 1945 roku. To, co wydarzyło się tamtego dnia, od ponad siedemdziesięciu lat pozostaje tajemnicą.

Uwaga: przejrzeć gazety z tamtych czasów.

Jutro, godzina 8.30: spotkanie w prokuraturze z Raffaellem Andrianem, stryjecznym wnukiem malarza.

Dziewczyna z psem stojąca na rogu między przejściem podziemnym a placem. Ma niebieskie włosy. Dziwaczne wrażenie. Czy już ją widziałam?

Marini: ma jakąś tajemnicę, która go dręczy.

Teresa zamknęła dziennik i oparła głowę o okno pokoju, który dzieliła z Marinim. Patrzyła, jak młody inspektor oddala się piechotą, dopóki nie rozplynął się w mroku.

Ucieka, powiedziała sobie w duchu. Chłopak przyczał się w swoim nowym życiu, ale coś nadal nie dawało mu spokoju. W ostatnich tygodniach nawet w jego ciele zaszła zmiana: wyszczupłał, stał się bardziej nerwowy i wybuchowy. Gwałtowny niczym szalejąca w nim bestia. Od czasu do czasu Teresie udawało się ją dostrzec. Było to coś nieprzeniknionego, co pozbawiało oczy blasku, jakaś postać tkwiąca przed samą duszą. Łączyła ją z Marinim wspólna cecha: oboje strzegli tajemnic.

Wsunęła między wargi zauszuki okularów, wpatrzona w noc, którą tu i ówdzie rozjaśniały nieznacznie latarnie i reflektory samochodów. Nie potrafiła oderwać wzroku od tych ciemności.

Gdy bezwiednie pogładziła się dłonią po policzku, zadźwięczała sztywna bransoletka na ręce. Był to zwykły pasek srebra, na którym kazała wygrawerować kilka słów.

Teresa Battaglia. Tak się nazywasz.

Dalej widniał numer komórki opiekującego się nią lekarza. Nie numer męża, dziecka czy krewnego: ta wiadomość była przeznaczona dla niej, przywykłej, by sama się o siebie zatroszczyć.

Spuściła na ciemność zasłony, jakby otrząsając się z odrętwienia nadwerężającego ciało i myśli.

Jej biurko wyglądało idealnie: lśniący blat z monitorem i klawiaturą. W ciągu ostatnich miesięcy zmieniło się wraz z nią, przystosowując do życia, w którym Teresa została zmuszona przybrać nową postać: stać się bardziej metodyczna, bardziej rozważna, nawet bardziej zdyscyplinowana.

Usiadła i położyła dziennik. Wyjęła spod klawiatury klucz do szafki na dokumenty. Wysunęła jedną z szuflad i przejrzała jej zawartość.

Przypominało to uwolnienie motyli. Dziesiątki uporządkowanych według numerów karteczek samoprzylepnych to były ich barwne skrzydła, które szeleściły przy dotknięciu i dostarczały informacji. Te dotyczące pracy – żółte: co tu robi, jak włączyć komputer, jak go wyłączyć, jak się posłużyć telefonem i wezwać taksówkę, nazwisko osoby, która dzieliła z nią pokój... Te odnoszące się do życia prywatnego i rytuałów, do których zmuszała ją cukrzyca – zielone. Ta z numerem pierwszym rozpoczynała się niepokojącą wiadomością, było tam napisane: *Popatrz na bransoletkę.*

Mówiła sobie, kim jest. Stworzyła dla siebie drogę ucieczki. Nigdy nie dotarła do punktu, w którym byłaby zmuszona wypróbować, czy to działa.

Wskazówki pomagające w codziennym poruszaniu się, które w każdej chwili mogło się stać czymś nieznanym i niezrozumiałym.

Właśnie gasły ostatnie światła na piętrze. Głosy schodzących po schodach kolegów przypominały szept, który oddalał się podobnie jak jej marzenia.

Będzie jej brakowało tego wszystkiego.

Odetchnęła głęboko, zmusiła się do skoncentrowania nad sprawą Alessia Andriana i namalowanego krwią obrazu. Nazajutrz spotka się ze stryjecznym wnukiem malarza i być może uzyska parę nowych szczegółów na temat historii, która przywiodła do niej *Śpiącą nimfę.*

Na rozwiązanie czekała kolejna sprawa, miały paść kolejne kłamstwa. Ukrywanie własnego stanu zdrowia oznaczało oszukiwanie ludzi wokół. Własnego zespołu, który wierzył w jej niezłomność i całkowicie jej ufał. Szefa policji

i Gardiniego, którzy nadal powierzali jej najtrudniejsze przypadki. Ofiar. Rodzin ofiar.

Musi przerwać tę farsę, zanim dojdzie do punktu, z którego nie ma odwrotu. Choroba, która dzień po dniu zżerała jej pamięć, wkrótce odsunie ją od wszystkiego, co kocha. Teresa już wiele tygodni wcześniej zdecydowała, co robić, lecz najwyraźniej zawsze coś ją powstrzymywało. Tego dnia także zawahała się przed drzwiami szefa policji. Sam otworzył je na oścież, jakby wiedział, że ją tam zastanie.

Mam dla ciebie nowe śledztwo, oznajmił.

Śpiąca nimfa, jedyny dowód poszlakowy zbrodni, o której nie wiadomo było nawet, gdzie została popełniona, swą mroczną tajemnicą zdołała odwlec nieuniknione. Co do czasu łatwo było snuć domysły: 20 kwietnia 1945 roku. Kilkanaście dni przed końcem wojny.

Wszystko, czym dysponowała Teresa, sprowadzało się do makabrycznego i zadziwiającego rysunku, anonimowej krwi, która zapewne zaprowadzi ją w ślepą uliczkę, oraz bezrozumnego i bezwolnego starca, który był partyzantem i być może w czasie wojny kogoś zabił. Prawdopodobnie ofiara była wrogiem, nad którym pastwił się Andrian, wpadłszy w szal.

Zanurzył dłonie w sercu i narysował dziewczynę, przypomniała samej sobie. *Krew to potężny symbol. To gorące życie, które nas zalewa, uzdrawia i przemienia.*

Pomimo okrucieństwa czynu Teresa nie potrafiła dojrzeć w nim morderczej furii. Dostrzegała natomiast wewnętrzny popęd. Namiętność posuniętą do granic możliwości, za którymi panoszy się obłąd.

Wiedziała, dlaczego Gardini przydzielił wstępne dochodzenie właśnie jej: ufał jej przeczuciu.

Ze zmarłymi łączy cię powinowactwo z wyboru, stwierdził kiedyś.

Zmarli mają wiele do powiedzenia na temat ostatnich chwil życia, tym razem jednak nie było szklistych oczu, w których Teresa mogłaby zobaczyć cień mordercy. Nie było dłoni, które usiłowały go odepchnąć, stawić resztki oporu, wyrywając ślady napastnika. Krwawa Nimfa spała snem, z którego nikt jej nie wybudzi. Tajemnica spoczywa wraz z nią.

Teresa otworzyła ponownie dziennik i przekartkowała go, zgodnie z niezbędnym już rytuałem. Strzegła własnego umysłu, aby uświadomić sobie, czy

i kiedy się pogubiła.

Znalazła tkwiącą w zawieszeniu łamigłówkę. Jeszcze nie zdążyła się nad nią zastanowić. Rozwiązywanie zagadek to sposób na pokonywanie chwil zagubienia. Zauważyła, że ćwiczenie to jest w stanie przywrócić ją do świata, kiedy czuła rosnącą w środku ciemną plamę. Konieczność zamieniła się w przyjemny nawyk.

Policja musi wtargnąć do domu, aby aresztować przestępcę. Jedyne informacje, jakimi dysponuje, to jego imię: Adamo.

Po wejściu zastaje mechanika, strażaka, lekarza i hydraulika, którzy grają w karty.

Bez wahania aresztuje mechanika.

Dlaczego?

Dziennik wysunął się z jej dłoni i upadł z szelestem na podłogę. Teresa schyliła się i z wysiłkiem wyciągnęła rękę, aby wydobyć zeszyt spod krzesła.

Wyprostowała się, przytrzymując krawędzi stołu, kartki przewróciły się bezładnie i otworzyły na zapiskach sprzed kilku dni. Notatka, skreślona drobnym pismem, przygwoździła ją do krzesła.

Dziewczyna o niebieskich włosach i paskudny pies na przystanku autobusowym, przed komendą. Mam wrażenie, że już gdzieś widziałam tę dziewczynę, ale szybko odeszła. Wyglądała na wzburzoną.

Teresa nie przypominała sobie ani tego wydarzenia, ani notatki, nie zaprzętała sobie wszakże głowy tą małą i głęboką czarną dziurą w swoim życiu.

Znow ta dziewczyna o niebieskich włosach. W ostatnim okresie natknęła się na nią co najmniej trzykrotnie, i to w różnych miejscach.

Jej wzrok instynktownie powędrował ku oknu, ku ciemnościom za zasłonami.

Zbiegi okoliczności, stwierdziła w duchu. Albo może tam, na zewnątrz, ktoś zaczął ją śledzić.

6

W lesie zapanował spokój. Rodzina wreszcie sobie poszła, zabierając nadmiernie ciekawskiego chłopca. Jakaś niespokojna istota z sercem przepelnionym gniewem omiotła wzrokiem to, czego nigdy nie powinna zobaczyć, o dziwo, milczała jednak, zachowując dla siebie małe okropieństwo, które odkryła.

Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Obcy zasiedzieli się aż do zmierzchu, za bardzo zbliżywszy się do tajemnicy, która nie powinna wyjść na jaw, zbyt nieostrożni, by odczuwać strach. Nie spostrzegli, że ktoś ich obserwuje.

Słońce zniknęło za fioletowawym kręgiem górskich szczytów, nocny mrok wszędzie rozpostarł swe palce. Na zachodzie już majaczyło światło Wenus: ona zwie się Lucyferem, Gwiazdą Poranną, jego imię zaś to Hesperia, Gwiazda Wieczorna. O tej porze roku ukazuje się w kobaltowoniebieskim zagłębieniu pomiędzy dwoma szczytami.

W jej nikłym blasku wioski w dolinie spały pogrążone we śnie. Nad szpiczastymi sylwetkami drzew górowała dzwonnica kościoła o dachu pokrytym gontem z modrzewia i różą wiatrów zamiast krzyża.

Ponad łąkami, ponad linią lasu kroki w poszyciu brzmiały niczym cichy szelest, któremu towarzyszyło pohukiwanie puszczyka. Znały ścieżkę, której niewprawne oczy by nie dojrzały, między białym janowcem a dzikim lilakiem. W drodze po zboczu przybrały postać drobnych podskoków, aż odnalazły grób.

Noc łagodnie spowijała śmierć, nadając jej swoisty zapach. Odkryte kości lśniły śnieżną bielą na tle czarnej ziemi. Korony kwiatów, które zdążyły się już zamknąć, zdobiły wystające z zagłębień doliny szczątki. Wiosenne, niemal ulewne deszcze rozmyły glebę, odsłaniając strzeżoną przez bór tajemnicę.

– *Skrit kej* – wyszeptał jakiś głos.

Strzec tajemnicy.

Tikô Wariö, opiekuńcza postać, powrócił do lasu w dolinie, zupełnie jak w opowieściach, które starszyzna snuła wokół ogniska. *Ten, który stoi na straży*, nie miał twarzy ani własnego ciała. Według legendy okrutny strażnik, bezlitosny stróż wciela się w tego, kto wzywa go na ratunek: w mężczyznę o budowie chłopca, w kobietę albo starca.

A właśnie teraz ktoś go przywołał.

– *Tikô Wariö. Tikô Bronô. Te k skriwa kej* – zaśpiewał głos.

Cierpliwe dłonie jęły kopać, przykrywać inne dłonie mrokiem i ciszą.

7

Teresa spoglądała na świat, nie czując się już jego częścią, tyle że patrzyła nań przez inne okno, ze wzrokiem utkwionym w inny dziedziniec, w świetle dopiero co budzącego się dnia.

Strach, który zagościł w jej sercu, także był nowy: przez całą noc zadawała sobie pytanie, czy podejrzenie, że ktoś ją śledzi, w rzeczywistości wynika z choroby, która zamienia ją w kogoś dla niej samej obcego.

Fobie, wariactwa, manie – czy tyle zostało z jej przeszłości, zanim choroba Alzheimera wymaże wszelkie emocje i wspomnienia?

Nie zdołała znaleźć odpowiedzi, tymczasem strach przybrał postać grudy mięsa: uciskał ją w środku, wypaczał postrzeżenie własnej osoby.

Biura prokuratury jeszcze świeciły pustkami, sądowe korytarze niedawno wysprzącano. Zegar odmierzał ciszę krótkim tykaniem.

Teresa wpatrywała się w kwadratowy wirydarz budowli z końca dziewiętnastego wieku. Marini się spóźniał, a jego telefon milczał. Coś jej mówiło, że się nie pojawi. W stosunku do niego rozwijał jej się szósty zmysł, instynkt samozachowawczy, który zapowiadał być może jakieś bardziej konkretne uczucie. Miała świadomość, że traktowanie młodego inspektora w ten sposób nie jest dla niej dobre: niezdrowo przywiązywać się do kogokolwiek akurat teraz, gdy musiała się przygotowywać, by ze wszystkiego zrezygnować, pożegnać się i zniknąć.

Na chwilę zamknęła oczy, jakby zaprzeczając tym myślom, nawet uczuciom. Kiedy po paru oddechach podniosła powieki, niepokój się rozwiął, ona zaś znów była komisarzem.

Oczekiwała na spotkanie ze stryjecznym wnukiem Alessia Andriana. Jedynym człowiekiem, który zapewne mógł jej pomóc odkryć dawną tajemnicę, zamkniętą w kreskach rysunku.

Dzień wcześniej zastępca prokuratora określił je jako nieformalną pogawędkę, ona jednak wiedziała, że zaraz poddadzą młodego Raffaella Andriana prawdziwemu przesłuchaniu, nawet jeśli miał odpowiadać z wolnej stopy, na razie wyłącznie jako osoba posiadająca informacje na temat wydarzeń.

To przecież Raffaello znalazł nasiąkły ludzką krwią obraz. Być może znał pochodzenie makabrycznego malowidła i liczył na ekspertyzę Gortana, aby je sprzedać z pokaźnym zyskiem. Do tego mogła dojść konieczność jak najszybszego pozbycia się dowodu poszlakowego morderstwa sprzed siedemdziesięciu lat. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że właściciel galerii tak mocno się przyłoży do swego zadania.

Były to jedynie refleksje umysłu nawykłego, by drążyć tam, gdzie najciemniej, Teresa zdawała sobie z tego sprawę. Nie poznała jeszcze Raffaella Andriana, zaczęła już wszakże kreślić jego charakterystykę, portret psychologiczny, niuanse zachowania, które gdy wszystkie fragmenty układanki trafią na swoje miejsce, nadadzą całości sens. Najbardziej interesowały ją błahe szczegóły, wiedziała bowiem, że każdą zbrodnię popełnia się najpierw w głowie, krok po kroku, w sposób świadomy albo nieświadomy.

Na dźwięk powitania obejrzała się zaskoczona. Nie usłyszała, kiedy nadszedł zastępca prokuratora.

– Dzień dobry – odparła tonem, który miał pokryć wszelkie wahanie. Zerknęła ponad ramieniem Gardiniego w poszukiwaniu szefa policji. – Jesteś sam?

Gardini skinął potakująco głową.

– Paolo nie czuje się dobrze, przed chwilą z nim rozmawiałem. Będziemy musieli dać sobie radę bez niego.

Teresa wróciła myślami do e-maila, który wysłała Ambrosiniemu poprzedniego wieczoru. Kilka żalonych zdań, w których prosiła go o „posłuchanie”. Doszła niemal do wniosku, że jest w stanie wszystko mu wyznaczyć, lecz życie najwyraźniej dało jej jeszcze trochę czasu.

Ruszyli w stronę gabinetu Gardiniego. Raffaello Andrian zgodził się tam z nimi spotkać.

– Przejmujesz się sprawą? – zagadnął zastępca prokuratora.

– Pewnie, że tak. Oboje wiemy, że nie znajdziemy rozwiązania.

Gardini przystanął. Trzymał w ramionach bezładny stos akt.

– Uważasz, że tracimy czas? – zapytał.

Teresa postanowiła być szczerą aż do bólu.

– Uważam, że to jest poza naszym zasięgiem. Minęło siedem dziesięcioleci i, celowo posłużę się tym określeniem, w naszym dochodzeniu jest coś epickiego. Niewykluczone, że w tej chwili żaden świadek nie żyje. Nie wiemy nawet, gdzie doszło do zdarzenia...

Sąd zaczął się ożywiać, toteż Gardini ściszył głos.

– Sędzia Crespi nie zamierza umorzyć sprawy, mówię ci to nieoficjalnie. Boi się, że to trafi do gazet. Jeśli tak się stanie, co jest prawdopodobne, opinia publiczna zażąda odpowiedzi. Zanim choćby przemknie mu przez głowę myśl o przedawnieniu, chce zrozumieć, co się stało.

– Ach, co do tego nie miałam wątpliwości.

Twarz zastępcy prokuratora się rozjaśniła.

– Nie spieszmy się, zgoda? – zaproponował. – Może dokądś dojdziemy. Zacznijmy od stryjecznego wnuka Andriana, może powie nam coś ciekawego.

Teresa wyłowiła z przewieszzonej przez ramię torby dziennik.

– A co z malarzem? – zapytała.

– Zostaw go w spokoju. Świadek, którego nie sposób przesłuchać. To roślina, mówiłem ci. Chciałbym, żebyś dzisiaj to ty zajęła się młodym Andrianem. Zasyp go wszystkimi pytaniami, jakie uznasz za konieczne.

Pod gabinetem czekał, siedząc w fotelu, młodzieniec z niepewną miną. Gdy zastępca prokuratora zawołał go po nazwisku, zerwał się na równe nogi.

Gardini ich sobie przedstawił. Jego ton był przyjacielski, uśmiech uspokajający.

Raffaello Andrian nie pasował do obrazu, jaki stworzyła sobie Teresa. Sprawiał raczej wrażenie uczniaka niż mężczyzny. Miał dwadzieścia siedem lat, lecz dałaby mu niewiele więcej niż dwadzieścia. Szeroko otwarte, zerkające w zagubieniu niebieskie oczy i opadające na czoło niesforne kasztanowe loki nadawały mu wygląd cherubinka, tymczasem Teresa nastawiła się na spotkanie z cwanyim karierowiczem.

Usiedli w gabinecie. Gardini za biurkiem, bardziej przypominającym magazyn starych papierzyk niż stanowisko pracy, Teresa zaś obok chłopaka. Wiedziała, że go onieśmiela, w dodatku otoczenie działało na jej korzyść. Od razu zorientowała

się, że on postrzega ją jako osobę władczą: widziała to za każdym razem, gdy zalekniiony wzrok Raffaella uciekał przed jej badawczym spojrzeniem, szukając wsparcia w życzliwych oczach zastępcy prokuratora. Nie sądziła, że jest aż tak groźna. Pokrywszy uśmiech grymasem, włożyła okulary i przystąpiła do sporządzania notatek.

– Jak mówiłem przez telefon, to nie jest przesłuchanie, panie Andrian – zastrzegł Gardini. – Nie ma tu podejrzanych ani przesłuchiowanych. Chcemy się tylko przekonać, czy jest pan w stanie udzielić nam kilku informacji przydatnych do odtworzenia wypadków.

– Chętnie, o ile zdołam. – Nawet głos młodzieńca świadczył o usposobieniu osoby, która nie wierzy w siebie.

– Na tym etapie śledztwa i zważywszy na pańską rolę zwykłego świadka, obecność adwokata nie jest konieczna, ale jeśli pan zmienił zdanie i chce...

– Nie, nie zmieniłem zdania.

– Jest pan najbliższym krewnym? – zapytała Teresa.

– Tak, moi rodzice zmarli, a ja jestem jedynakiem. Cztery lata temu zamieszkałem ze stryjem.

– To pan się nim zajmuje?

– Razem z opiekunką, która mieszka z nami. Stryj potrzebuje nieustannej opieki.

Teresa zerknęła na niego znad okularów.

– Nazywa go pan stryjem, ale tak naprawdę to pański stryjeczny dziadek. Brat pańskiego dziadka – sprecyzowała.

– Tak... Proszę mi wybaczyć.

– Nic nie szkodzi, chodziło jedynie o ustalenie pokrewieństwa. – Teresa powróciła do notowania, po czym znów przerwała. – Czy uprzedzono pana, że złożone zeznania mogą zostać użyte przeciwko panu i że ma pan prawo nie odpowiadać na żadne pytanie?

– Tak, powiedziano mi o tym.

– Ostrzegam również, że jeśli złoży pan zeznania dotyczące odpowiedzialności innych osób za określone czyny, w świetle tych czynów przyjmie pan na siebie rolę świadka.

– Tak, rozumiem. – Raffaello Andrian ledwie zdołał wydobyć z siebie głos.

Teresa spojrzała mu w oczy i powtórzyła, aby dokładnie uzmysłowił sobie konsekwencje:

– To oznacza, że wszystko, co pan powie, będzie mogło zostać wykorzystane w celu oskarżenia pańskiego stryjecznego dziadka. Czy to jasne?

Raffaello przytaknął, Gardini zaś podsunął mu kartkę z formułką do powtórzenia. Chłopak złożył przysięgę, jękając się parę razy.

– W porządku, zaczynamy – zaproponowała zatem Teresa. – Chcę zostać dobrze zrozumiana, panie Andrian: proszę mówić szczerze. Z doświadczenia mogę panu powiedzieć, że kłamstwo w jakiegokolwiek kwestii albo zatajenie czegokolwiek, nawet jeżeli wydaje się to panu błahym szczegółem, nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Zwykle sprawy się komplikują i nigdy się dobrze nie kończą.

Młodzieniec popatrzył na Gardiniego.

– Mam tego świadomość.

– Pierwsze pytanie: czy wiedział pan, że portret został namalowany krwią?

– Nie.

– Czy teraz, kiedy pan już wie, ma pan jakieś przypuszczenia co do tego, czyja to może być krew?

– Nie.

– Czy w przeszłości pański stryjeczny dziadek nie powiedział czegoś, co mogłoby nasuwać podejrzenia, że popełnił zbrodnię? Albo przynajmniej zrobił coś niezgodnego z prawem?

W końcu Raffaello Andrian na nią spojrzał. W jego oczach malowało się niedowierzanie, tak jakby pytanie Teresy było błędne. Czaiło się w nich jednak także coś, co uznała za udrękę.

– Ja... – zaczął, jakby szukając słów. – W ciągu dwudziestu siedmiu lat nigdy nie słyszałem jego głosu. Nikt go nie słyszał.

– Nigdy?

– Nigdy.

Te dwie sylaby rozbrzmiały głuchym echem i wywołały u Teresy lawinę pytań, a przede wszystkim obrazów. Młodego człowieka, który postanawia skazać własne

ciało na bezruch i ślubować milczenie. Na zawsze, bez względu na to, co się wydarzy. Nie sądziła, że to możliwe.

To oddychający grobowiec, jak powiedział Gardini.

– Co mu dolega? – zapytała.

– Nic. Żaden specjalista, z którym przez te wszystkie lata konsultowała się rodzina, nie potrafił postawić diagnozy.

– Od jak dawna według pańskiej wiedzy Alessio Andrian jest w tym stanie?

– Od kiedy znaleziono go w lesie, niedaleko granicy, dziewiątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Wtedy to było terytorium Jugosławii, dzisiaj Słowenii. Tyle opowiedział mi ojciec.

– Niecałe dwadzieścia dni po namalowaniu *Śpiącej nimfy* – zastanawiała się na głos Teresa – i nikt nie ma pojęcia, co przez ten czas robił. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan wie.

– Dobrze znam tę historię. Gdy tylko nauczyłem się słuchać, ojciec opowiadał mi ją jak bajkę i powtarzał jeszcze na krótko przed śmiercią, ale nie wiem, od czego zacząć.

– Od czego pan chce. Na przykład od tytułu malowidła.

– To ojciec tak je nazwał. Przysięgał, że widział je jako dziecko w pokoju stryja. Alessio wpatrywał się w nie, to była jedna z niewielu chwil, kiedy sprawiał wrażenie, że rozumie otaczającą go rzeczywistość. Ojcu wydało się, że stryj bezgłośnie porusza ustami, i przez całe życie powtarzał, że słyszał, jak ta nazwa powstaje w jego umyśle. Wspomnienie *Śpiącej nimfy* nigdy go nie opuściło. Urzekło go, tak twierdził. Tylko że obraz zniknął i nikomu już nie udało się go w domu odnaleźć.

– Gdzie był?

– We wnęce na strychu. Natknąłem się na niego, kiedy przestawiałem mebel, którego zamierzałem się pozbyć.

– Zatem przynajmniej w tym wypadku Alessio Andrian opuścił swój pokój na własnych nogach, żeby umieścić tam swoje dzieło.

– Nikt go nie widział.

– Dlaczego pańskim zdaniem ukrył rysunek?

– Nie wiem, ale kiedy stryj Alessio zorientował się, że mój ojciec mu się przygląda, wpadł w straszną furję. Przemienił się w dziką bestię: skowyczał i dyszał. Chwytał wszystko, co mu wpadło w ręce, i rzucał o ścianę. Zdemolował swój pokój, roztrzaskał szyby w oknach w drobny mak. Ojciec był tym tak wstrząśnięty, że więcej nie przekroczył progu tego pokoju ani nie przebywał sam na sam ze stryjem. *Śpiąca nimfa* zawsze unosiła się w rodzinnych opowieściach jak zjawą. Ojciec ją widział, ale nikt nie mógł mieć pewności, że ona istnieje. Z czasem stała się obsesją kolekcjonerów.

– Nie przesadził pan, twierdząc, że dobrze zna tę historię – skwitowała Teresa. Raffaello posmutniał.

– Jedne rodziny mają barwne historie o miłości albo o przygodach, które mogą opowiadać dzieciom bądź krewnym podczas rodzinnych uroczystości. Inne mogą tylko dukać o nędznej przeszłości, jakby nadal żyły w znoju – rzekł. – Andrianowie mają *Śpiącą nimfę* i szaleństwo mojego stryjecznego dziadka.

Teresa zmieniła temat.

– Alessio Andrian był partyzantem – zauważyła.

– W brygadach Garibaldiego, owszem.

– Gdzie stacjonował?

– Na płaskowyżu Kras, aż do dolin położonych bardziej na północ. Później, pod koniec wojny, w Canal del Ferro. Często się przemieszczali, tak opowiadali jego towarzysze, najpierw dziadkowi, potem ojcu. Mieszkali w lasach, posilali się w wioskach i szli dalej.

Teresa i Gardini wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Być może wiedzieli już gdzie, mimo że obszar był dość rozległy.

Canal del Ferro to stroma dolina wyżłobiona przez rzekę i ściśnięta przez góry o urwistych zboczach, porośniętych szczeciniastym gąszczem albo poprzecinanych głazami lub połaciami żwiru. Wystające brzegi schodziły w dół niczym masywne ściany. Było to tysiącletnie przejście, które zawdzięczało swą nazwę handlowi żelazem oraz innymi metalami między Cesarstwem Rzymskim a styryjskimi i karynckimi kopalniami. Niezbyt zaludniona okolica. Nieliczne wioski wylaniały się wzdłuż drogi krajowej, biegnącej obok autostrady aż do granicy z Austrią.

To jakiś punkt wyjścia, pomyślała Teresa. Mogli wykluczyć cały obszar położony bardziej na północ i chwilowo skoncentrować się na początku doliny. Po drugiej stronie gór leżała Słowenia i miasteczko Bovec, gdzie znaleziono Alessia Andriana. Przełęczami i ścieżkami mógł tam trafić również człowiek wędrujący piechotą.

Zebrane elementy pasowały do siebie. W tym momencie jednak znalezienie żyjącego świadka, który zdołałby sobie przypomnieć partyzanta malarza, było mało prawdopodobne. Mogli liczyć wyłącznie na zeznania z drugiej ręki.

– Co potrafi nam pan powiedzieć na temat odnalezienia pańskiego stryjecznego dziadka? – zapytała Teresa.

Raffaello Andrian przełknął i dopiero przemówił.

– Jakaś rodzina z Bovecu natknęła się na niego w lesie za domem – rozpoczął opowieść. – Był niedożywiony, wycieńczony gorączką. Bojownicy Tita krótko przedtem przeczesali teren, ale uznali, że nie żyje. Drwal z żoną zanieśli go do domu i zaopiekowali się nim. Przez wiele dni stryj trwał zawieszony między życiem a śmiercią. Zgłosili się po niego jego towarzysze.

W Teresie obudził się instynkt, który często pozwalał jej dostrzec osobliwości prowadzące do rozwiązania sprawy. Podsyciły go niespodziewanie posmutniałe spojrzenie młodzieńca i ton głosu, który stał się wyższy. Wokół panowała atmosfera niedomówienia: Raffaello Andrian opowiadał o czymś, co chciałby przemilczeć. O czymś, co wprawiało go w zakłopotanie. Chociaż patrzył Teresie w oczy, mową ciała starał się to ukryć.

– Dlaczego ludzie Tita uznali, że nie żyje? – zapytała. Tak mocno skupiła uwagę na chłopaku, że byłaby w stanie usłyszeć nawet najdrobniejszą zmianę w rytmie jego oddechu. Siedzący przed nimi Gardini zastygł niczym posąg.

– Sądzę, że z powodu jego stanu. Był... poważny.

– Tak bardzo, że jak pan powiedział, Alessio wydawał się martwy.

– Tak ludzie, którzy go znaleźli, powtórzyli rodzinie.

Znów to drzenie głosu. Właśnie powstawała rysa.

– Tak bardzo, że sprawiał wrażenie śmiertelnie ранnego? – dociekała.

Odpowiedź padła dopiero po chwili.

Teresa wiedziała, że proces pamięciowy nie jest naśladowczy, lecz odtwórczy. Nauczyła się, że aby zapamiętać, mózg odtwarza to, co przeżył. Odtwarzając zaś, umysł może nieświadomie dokładać fragmenty, które nie mają nic wspólnego

z prawdą. Z powodu stresu, z powodu sugestii, aby odpowiedzieć na negatywny pogląd, jaki dana osoba wyrobiła sobie na temat sytuacji.

Wszystkie te aspekty stanowią wadę procesów pamięciowych, deficyt, zawarty w mózgu, który tworzy fałszywe wspomnienia.

Wspomnienie to nic innego jak pojedynczy świadomy moment, zarejestrowany przez umysł w sposób incydentalny, otoczony wieloma innymi nieostrymi wspomnieniami.

W tym okresie jej życia fascynowało ją to bardziej niż kiedykolwiek.

– Tak bardzo, że sprawiał wrażenie śmiertelnie rannego? – powtórzyła, wstając.

Chłopak westchnął w odpowiedzi.

– Tak. Tak bardzo, że sprawiał wrażenie śmiertelnie rannego.

Teresa pochyliła się ku niemu.

– Pytam po raz kolejny: w jakim stanie znaleziono pańskiego stryjecznego dziadka?

Młodzieniec spuścił wzrok.

– Nie mogę opisać czegoś, czego nie widziałem – wyszeptał – ale mogę powtórzyć to, co jego towarzysze przekazali rodzinie.

– Słucham.

– Mieszkańcy Bovecu byli przerażeni.

Teresa zdjęła okulary.

– Coś ich w nim zaniepokoiło? – wywnioskowała.

Chłopak podniósł oczy. Błyszczały.

– Bali się go. Mówili o nim „syn szatana”. Nagi, czerwony, w ich oczach wyglądał jak nowo narodzony diabeł.

– Sprawiał wrażenie śmiertelnie rannego, ale wcale ranny nie był – mruknęła Teresa. – Krew, którą był umazany, nie należała do niego.

– Nie, nie należała.

Gardini westchnął w ciszy, która zapadła. Napięcie zaczęło słabnąć; uzyskali więcej, niż się spodziewali.

– Stryj jest dobrym człowiekiem – dodał pospiesznie Raffaello Andrian, aby złagodzić dopiero co wyznaną prawdę.

Teresa chętnie by go uspokoiła, nie czuła się jednak na siłach, żeby kłamać. Porządni ludzie też mogą zbłądzić. Porządni ludzie też mogą zabić.

– Mam ostatnie pytanie – oznajmiła. – Czy pamięta pan nazwisko któregoś z towarzyszy stryja z partyzantki?

Chłopak pokręcił głową, ale Teresa i tak była zadowolona.

– Jak dla mnie możemy na tym zakończyć – oświadczyła Gardiniemu.

Zastępca prokuratora skinął głową i zwrócił się do Andriana:

– Jeżeli zamierzał pan sprzedać *Śpiącą nimfę*, obawiam się, że będzie pan musiał uzbroić się w cierpliwość. Niewykluczone, że została skonfiskowana na długo.

Wzrok młodzieńca zapłonął.

– Nigdy nie sprzedałbym tego obrazu!

Teresę zdumiała jego zapalczywość. Aż do tej pory był potulnym, wystraszonego dzieciakiem.

– Proszę wybaczyć to pytanie – rzekła. – Skąd aż taki sentyment?

Oczy Raffaella Andriana zdawały się rzucać jej wyzwanie. Zupełnie jakby doznał przyływu odwagi.

– Kiedy stryja znaleziono, trzymał go w ramionach. Przez całe dni nie wypuszczał go z rąk, mimo że był nieprzytomny. Nie wiem, czym jest dla niego ten rysunek, nie wiem, co oznacza, ale jednego jestem pewien: ja też się go nie pozbędę.

Nie wiesz, chociaż przeczuwasz, pomyślała Teresa. Ona również to przeczuwała.

Ten rysunek stanowił spuściznę po zagadce, wołanie z przeszłości, której pamięci nie można było się sprzeniewierzyć. *Śpiąca nimfa* stanowiła klucz do rozwiązania tajemnicy.

Maj 1945 roku

Bór płakał zimnymi łzami. Deszcz kapał przez korony drzew nabrzmiałymi, rzadkimi kroplami. Bębniły mokrymi plaśnięciami o liście poszycia. Tam, w dole, noce mijały jedna za drugą. Za dnia była tylko ciemność.

Albo może, pomyślał mężczyzna, utykając, mrok bierze się znikąd. Wstał wewnątrz niego niczym mglisty świt.

Nie był w stanie policzyć, od jak dawna się wałęsa. Z jedną stopą bosą, drugą wciśniętą w wysoki but, zagłębiał się w las. Czuł, jak jego wnętrzościami wstrząsają wędrujące ku górze, wywołane gorączką dreszcze, od których zęby szczękały w ponurej litanii.

Nad owym ciężkim od wody królestwem ciemne sklepienie wibrowało szelestami i trwożliwym nawoływaniem, które zapowiadało nadejście intruza. Były to wersy siejące strach, opowiadające historię wtargnięcia – jego historię. Dzikie zwierzęta strzegły młodych, z niepokojem obserwując go z ukrycia. Wyczuwały pokrywającą go niewinną krew. Krew na jego rękach. Krew na twarzy i na ubraniu.

Woda nie obmywała go, sprawiała jedynie, że zapadał się głębiej w ciało. Wyobrażał sobie, jak purpurowe krople wnikają w pory i żłobią szczelinę w ciele niczym istoty wygłodniałe strzępów duszy, które przetrwały.

Zmęczone kroki zwolniły, aż w końcu ustały. Wędrówka bez celu przywiodła go do bastionów kolczastych jeżyn, które rozgałęziały się w wąwozach i czepiały kruczoczarnego wierzchołka. Podniósł wzrok na tę żywą ścianę i zamknął oczy. To dobre miejsce, żeby umrzeć. Osunął się. Kolanami dotknął mchu, bokiem uderzył o ziemię. Przewróciwszy się na plecy, mężczyzna czekał na ostatni oddech z ręką na sercu, którego łomotanie rozbrzmiewało w ciemnościach. Po wielu dniach

postu wymacał kości pod skórą, nędzę własnego losu, lecz mięsień w klatce piersiowej jeszcze nie składał broni.

Dzierżona w drugiej dłoni pulsująca moc stawiała opór śmierci: skórzany rulon chroniący rysunek zdawał się płonąć mu w palcach. *Śpiąca nimfa* zrodziła się z ostatniego tchnienia życia, które być może ją przekleło, a może uczyniło z niej świętość.

Była jego północą i południem, gwiazdą, która każdego ranka rozświetlała wschód, i zachodem, który witał tajemnicę nocy.

Teraz była martwa, on zaś oddawał się w ręce śmierci.

Jego oddech osłabł, łzy wymieszały się z krwią. Znużone kości wreszcie znalazły ulgę. Między wargami popłynęły czerwone strużki w pocałunku, który mógłby zgorszyć zakorzenioną w nim nadal niewinność, gdyby miłość nie przekształciła go we wzniosły związek.

Kiedy każda rzecz na świecie wydawała się bezpowrotnie utracona, kiedy wewnątrz niego zapadła absolutna cisza, bór odpowiedział.

Mógł go usłyszeć.

W gałęziach kolejno rozlegał się trzask, pod całą długością kory. Skrzypienie przerywało ciszę.

Pomiędzy listowiem tryskała niewidzialna energia, lśnił zielony płomień, pierwotna limfa. Bębniła niczym miliony owadów o ziemię, pod plecami, wspinając się po wyczerpanych kończynach. Wnikała weń, podtrzymując go ruchem maleńkich odnóży i odsuwając zmęczenie trzepotem silnych skrzydeł ponad głową. Odpychała koniec.

– Nie – błagał wycieńczony. – Pozwól mi umrzeć.

Las pulsował z hukiem wiatru, kurczył się i rozluźniał niczym ciemne łono.

Nie był sam. Tam, w środku. Nigdy nie był. Coś ogromnego i nieznanego oddychało wraz z nim. Była to siła, która zdawała się go przepelniać, która nie pozwalała mu zgasnąć.

Kiedy śmierć dogorywała, bór sprawił, że się odrodził.

Odesłał go na świat, tyle że bez duszy, on zaś wkroczył w ciemność z krzykiem, który zamienił w ciszę wszelką formę życia.

9

– Jak się czujesz?

To Elena zadała mu to pytanie. Okazała się silniejsza, zawsze taka była.

Kiedy Massimo ją zostawił. Dwa razy. Kiedy go szukała, nigdy nie doczekawszy się odpowiedzi, choćby najmniejszej reakcji. Każdego dnia, kiedy starała się go nie zapomnieć i wciąż chciała go z powrotem w swoim życiu.

Była silniejsza, pomimo wszystko. Z nich dwojga tylko ona miała odwagę, by się nie poddać.

Jak się czuję, zastanawiał się Massimo.

Odpowiedź brzmiała: daleki. I samotny.

Odpowiedź brzmiała: nie mogę. Czegokolwiek ode mnie oczekujesz, nie mogę ci tego dać.

– Dobrze – odparł zamiast tego. – A ty? Lepiej ci?

Przytaknęła z filiżanką ziołowej herbaty w dłoniach. Ledwie umoczyła wargi, nadal jednak trzymała ją przy twarzy, pomiędzy nimi, jakby chciała się za nią schronić.

– Skurcze ustały – oznajmiła, podczas gdy jedna ręka powędrowała w dół, do brzucha.

Siedziała skulona na kanapie, boso, z rozczochranymi włosami.

Noc minęła i nastał świt, chociaż padło niewiele słów. Obserwowali się nawzajem w milczeniu, kiedy jedno z nich myślało, że to drugie na nie nie patrzy. Rzęsy opadały i się podnosiły, wargi się rozchyłały, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Chwilami zatapiali wzrok w ścianie. Niewiele zdołali sobie powiedzieć, a jeśli już, rozmowa i tak dotyczyła faktów, nigdy uczuć.

Wreszcie Elenę ogarnęło znużenie, do którego dołączyło złe samopoczucie. Massimo nie wiedział, co robić, nie wiedział nawet, czy wolno mu jej dotknąć.

– Potrzebuję tylko odrobiny spokoju – powiedziała.

Była to jedyna rzecz, jakiej Massimo nie potrafił jej zapewnić. Wyciągnął dłoń i w końcu ją objął, wtulił twarz w jej szyję, bał się bowiem spojrzeć jej w oczy i tego, co ona mogłaby wyczytać w jego oczach. Była to nieruchoma ucieczka.

Poczuł, jak się odpręży, i zrobiło mu się żal Eleny, że tak łatwo ulega tyranowi, którym się stał. Kochał ją, lecz miejsce zrozumienia zajęła między nimi pustka. Sprawiali wrażenie dwojga obcych ludzi, którzy patrzą na siebie nieufnie.

Teraz przez opuszczone rolety przenikało słońce i oświetlało Elenę swymi promieniami. Wydawała się inna, Massimo wiedział jednak, że zmiana nie dokonała się na zewnątrz, tylko w niej. Zajrzała w najbliższą przyszłość, skupiona na rosnącym w jej brzuchu dziecku. Zdażyła już wziąć rozbieg przed skokiem, gdy tymczasem on, ostrożnie mówiąc, ciągle jeszcze człapał w miejscu.

Po ciele przeszedł mu przenikliwy dreszcz. Odwróciwszy wzrok od twarzy Eleny, zauważył leżącą na poręczy kanapy komórkę.

Jeszcze przed tą nocą wydawałoby się to nie do pomyślenia, ale kompletnie o niej zapomniał. Zaczął się nowy dzień, a on nie stawiał się w pracy. Cokolwiek stanie się z jego życiem, już zaczął wywracać je do góry nogami. Prawdę powiedziawszy, doznał wstrząsu, mimo że tak usilnie próbował udawać spokój i rozsądek.

Chwycił komórkę i ją włączył. Seria wibracji obwieściła nadejście kilkudziesięciu wiadomości. Wszystkie powysyłali jego koledzy. Ostatnia była od De Carlego.

Umartęś? Chyba lepiej, gdybyś nie żył. Ona ma ochotę Cię zamordować.

Dwa SMS-y informowały o telefonach od komisarz Teresy Battaglii. Sprawdził czas: dzwoniła przed półgodziną.

Spotkanie w prokuraturze.

– Cholera...

Przekleństwo zabrzmiało raczej jak skarga. Elena oderwała się od niego i odsunęła na drugi brzeg kanapy.

– Jakieś kłopoty? – zapytała.

Massimo się skrzywił.

– To eufemizm – odparował sucho i zbyt późno uświadomił sobie, że jego ton mógł ją zranić.

Spojrzał na nią i stwierdził, że właśnie tak się stało.

– Zapomniałem nawet pójść do pracy – oświadczył w nadziei, że zdoła temu zaradzić. – Zdajesz sobie sprawę, jak na mnie działasz?

Przygryzła wargę.

– Chciałabym być przyczyną takiego wzburzenia – odrzekła – ale coś mi mówi, że tak nie jest.

Chwycił ją za rękę i pomógł wstać.

– Nigdy w to nie wątp – szepnął. Była to prawda, a przyznanie się do tego poprawiło mu samopoczucie.

Elena popatrzyła na niego z mieszaniną ulgi i zakłopotania.

– W takim razie dlaczego? – zapytała.

Massimo potrzebował czasu, ale najwyraźniej czasu ubywało, zamiast go przybywać.

– Teraz muszę coś załatwić – powiedział. – Jeżeli czujesz się na siłach zostać sama przez parę godzin...

– W porządku.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła.

Zaprowadził ją do sypialni. Porwał z szafy kilka ubrań. Nie mógł tak po prostu zadzwonić do Teresy Battaglii i oznajmić, że nie przyjdzie dziś do pracy. Zmywszy mu głowę, wywęszyłaby jego tajemnicę, jak czyniła to od tygodni, i nie popuściłaby, aż nie wyciągnęłaby z niego prawdy. Massimo nie chciał jej okłamywać, ale nie był gotów na rozmowę ani z nią, ani z nikim. Musi się z nią spotkać, udawać i znaleźć sposób, by jak najprędzej wrócić do domu.

– Jakaś trudna sprawa? – odezwała się Elena.

– Dosyć.

Massimo udał się do łazienki, ona zaś ruszyła za nim.

– Ma związek z nami? – zapytała.

– Chyba lepiej nie rozmawiać o pewnych rzeczach.

Przejrzawszy się w lustrze, uznał, że nie może zrezygnować z prysznic, jeśli chce mieć choć minimalną szansę oszukać komisarz Battaglię. Na jego twarzy wyraźnie było widać nieprzespaną noc.

– No dalej, powiedz – nalegała Elena.

– Obraz.

Patrzyła oniemiała. Może z powodu natychmiastowej odpowiedzi, może dlatego, że wyobrażała sobie coś innego.

– To wszystko?

Massimo zdjął koszulkę.

– Portret prześlicznej kobiety. *Śpiąca nimfa* – rzekł.

Elena ściągnęła usta.

– Jak bardzo pięknej?

– Olśniewającej.

Spuściła wzrok.

– Burak z ciebie. Po tym wszystkim, co narozrabiałeś – skwitowała ze wzrokiem wbitym w jego ciągle płaski brzuch – powinieneś podziwiać wyłącznie mnie.

Massima przeniknął taki sam piekący dreszcz jak przed chwilą, świadomie go jednak zignorował. Na widok jej miny uzmysłowił sobie, że jest nagi.

– Zostań – powstrzymał ją, gdy zamierzała odejść. – Po tym wszystkim, co narozrabiałem, wątpię, żebym zdołał cię zgorszyć.

Chętnie by jej powiedział, że jego ciało należy do niej i że może z nim robić, co zechce. To ciało urodziło się, należąc do niej, i pozostanie takie na zawsze. Chętnie by to powiedział, lecz nie potrafił.

Wszedł pod prysznic, woda zaś zmyła wszelkie zakłopotanie i obawę.

– W końcu ma siedemdziesiąt lat – rzekł po chwili, podstawiając twarz pod strumień wody.

– Kto?

– Portret. Możesz być spokojna. Modelka miałaby co najmniej dziewięćdziesiąt.

– Wariat. Ale co, ukradli go? Na czym ma polegać śledztwo?

Massimo zawahał się. Ufał Elenie, był jednak szczerze przekonany, że rozmowa o śmierci to nie jest dobry pomysł.

– Massimo?

– Namalowano go krwią – odparł, z miejsca się poddając, pewien, że i tak by nie odpuściła. Zakręcił kran, chwycił podany przez nią ręcznik i gwałtownie się wytarł.

– Znamy autora obrazu, ale nie dawcę materiału. Sędzia chce zbadać tę sprawę. Przynajmniej spróbować, zanim się ją umorzy.

– Boże, to potworne. Kim jest malarz?

– To stary szaleniec. Od lat nie mówi. Wiedzie takie niby-życie zamknięty w swoim pokoju, w domu stryjecznego wnuka.

Twarz Eleny spochmurniała.

– Jakie to smutne – przyznała. – Kto wie, co mu się przydarzyło.

– Właśnie tego musimy się dowiedzieć.

Massimo ubrał się w pośpiechu i po kilku minutach był gotów do wyjścia. Zatrzymał się w progu.

Elena nadal mu się przyglądała, oplótszy ramionami chudą klatkę piersiową i przygryzając wargę. Jeden z siekaczy był lekko wyszczerbiony na końcu – cena zbyt gwałtownej zabawy w dzieciństwie – przez co jej idealny uśmiech nabral łagodnie ludzkiego wymiaru. Za każdym razem Massimo nie mógł się nadziwić, że miodowy kolor piegów ma u niej ten sam odcień co tęczę i włosy. Porównałby to do doznania, jakie wywołuje przesypujący się w palcach sproszkowany cynamon: wonny, złocisty i nieuchwytny.

Teraz była poruszona. Wyraźnie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Prawdopodobnie czuła się nie na miejscu, jak nigdy w życiu.

Massimo chwycił kosmyk włosów i przyciągnął ją ku sobie.

– Wrócę tak szybko, jak się da, i porozmawiamy. Naprawdę porozmawiamy – zapewnił, próbując się uśmiechnąć. – Tymczasem rozpakuj swoje rzeczy.

– Jesteś pewien, że mogę zostać?

– Musisz.

Usta rozciągnęły jej się w uśmiechu, tyle że nie wywołanym szczęściem. To była kolejna usilna próba pogodzenia się. Elena zwlekała, czekała na coś, co nie nastąpiło.

Jeszcze jeden kompromis, pomyślał Massimo. *Kiedy będziesz miała dość?*

– Dzwonź bez względu na wszystko – powiedział. – Jeżeli niezbyt dobrze się poczujesz, od razu łap za telefon.

– Zgoda.

Zamykając drzwi, patrzył, jak macha mu na pożegnanie.

Komórka w wewnętrznej kieszeni marynarki zawibrowała, przywołując go do rzeczywistości. Na ekranie wyświetliło się nazwisko De Carlego – kolega zawiadamiał, że komisarz Battaglia ma spotkanie z patologiem zajmującym się sprawą.

Parri odkrył coś istotnego. Battaglia właśnie do niego jedzie. Zgadnij, czyje imię szefowa wykrzykuje z dziką furią? Brawo, masz rację, Twoje. Streszczaj się, jeśli nie chcesz skończyć na stole sekcyjnym.

10

Zakład Medycyny Sądowej, położony w podziemiach pawilonu numer dziewięć miejskiego szpitala, nazywano trupiarnią, chociaż dla kierującego nim Antonia Parriego był czymś zupełnie innym.

Z tego, co pozostawiała za sobą śmierć, Parri uczynił swoją obsesję, a pomieszczenia, dla sporej liczby osób przytłaczające, napełnił jeszcze bardziej niepojętą, co nie znaczy pozbawioną współczucia wesołością. Dla niego zamknięte w lodówkach nieruchome zwłoki stanowiły życie w innej postaci, strzegły wiadomości, które on potrafił rozszyfrować.

W oczach Teresy miejsce to jawiło się jako nienaturalna krótka wieczność. Jako nocny ogród bladych i zimnych kwiatów, ściętych przez los albo przez czyjąś złą dłoń. Kwiatów, które nie przekwitają. W tym oczekiwaniu było coś smutnego i niespełnionego. Doskonałość nieskażonego ciała stanowiła całkowite przeciwieństwo gorącego i pulsującego piękna życia.

Teresa schodziła do tego składającego się z metalowych nisz hypogeum z lękiem. Tam, na dole, śmierć tkwiła w zawieszeniu: unosiła się w powietrzu, wdzierając się do środka z każdym oddechem.

Tego dnia jednak jej kroki stały się bardziej zdecydowane, myśli zaś mniej posępne, ponieważ nie czekały na nią zwłoki ofiary.

Zastała Parriego w laboratorium. Pochylał się nad stołem, z dłońmi wspartymi na krawędziach. Na laminowanym blacie w blasku lampy spoczywała *Śpiąca nimfa*.

Antonio nie przeprowadzał jej analizy – on ją podziwiał. Na jego twarzy malował się zachwyty, tak jakby miał przed sobą kobietę z krwi i kości.

Teresa go rozumiała. *Śpiąca nimfa* nikogo nie pozostawiała obojętnym. Jej tajemnicza i okropna historia spowiła ją niezgłębionym, choć nie niepokojącym urokiem. W rysach tych była jakaś poezja, oczy budziły tkliwość. Dziewczyna na obrazie śniła spokojny sen z powagą starożytniej księżniczki. Ręka malarza okazała się łaskawa, nadała krągłościom miękkość i harmonijność, w twarzy znać było

jednak delikatne uniesienie, które przepływało wzdłuż profilu i schodziło aż do śnieżnobiałego podbródka i do zagłębienia szyi.

Wyczuwało się jakąś gwałtowność. Drżącą w bezruchu. Zupełnie jakby dłoń Alessia Andriana pieściła skórę dziewczyny. Utrwalił na papierze moment upojenia, nieskończonego zatracenia. Spojrzenie artysty zdawało się spojrzeniem kochanka.

Teresa odchrząknęła. Antonio otrząsnął się, opuścił okulary i się uśmiechnął.

– Chodź, chodź – zaprosił ją.

Parri był niskiego wzrostu i bardzo chudy. Teresa zawsze widywała go ubranego w dżinsy, koszulę i cienki, za duży sweter. Zmieniały się kolory, faktura dzianiny, ale to był właśnie jego uniform, na który, kiedy pracował, narzucał rozpięty fartuch.

Miał tak jasne niebieskie oczy, że gdy tylko padało na nie światło, tęczęwki zlewały się z białkami. Źrenica, która wpatrywała się w człowieka z uwagą, stanowiła czarny punkt na tej lodowej powierzchni. Był o kilka lat starszy od Teresy, a mimo to sprawiał wrażenie chłopca. Nawet szopa lśniących siwych włosów nie psuła tego złudzenia. Niesforna, opadająca na czoło czupryna nadawała mu wygląd łobuziaka.

– Co o tym sądzisz? – zapytała, postąpiwszy parę kroków do przodu.

– To niezwykle.

– Masz na myśli dzieło czy dziewczynę? – roześmiała się Teresa.

– Jedno i drugie. Nie mów, że tobie samej nie przemknęło to przez głowę.

Komisarz stanęła za jego plecami. Milczeli przez kilka chwil.

– To tylko malowidło – odezwała się wreszcie. – Linie i kolory, a jednak...

– A jednak wywołuje emocje.

– Od kiedy to ulegasz sugestii dowodu? – drażniła się z nim.

Antonio odwrócił się i skrzyżował ręce na piersiach.

– A gdybym ci powiedział, że to o wiele więcej?

Teresa uniosła brwi.

– Co masz na myśli?

Nieśmiałe pukanie kazało im się obejrzeć na szeroko otwarte drzwi. Teresa napotkała zalęknione oczy, które z trudem wytrzymały jej wzrok.

– O, inspektor Marini, już prawie straciłam nadzieję, że zobaczę cię dzisiaj w pracy.

– Przepraszam za spóźnienie, pani komisarz.

Marini wszedł do środka i skinął Parriemu głową na powitanie. Miał minę kogoś, kto wie, że nic go nie usprawiedliwia. Teresa, która się o niego martwiła, teraz poczuła tak wielką ulgę, że chętnie stłukłaby go na kwaśne jabłko.

Przypatrzyła mu się dokładnie. Nawet błękit koszuli i opalenizna nie zdołały ukryć zmęczenia po bezsennej nocy. I z pewnością jej przyczyny nie stanowiła płomienna miłosna schadzka. Była tego pewna, ponieważ Massimo miał zagubione spojrzenie: on się bał.

– Dzwoniłam do ciebie. Dwa razy – oświadczyła sucho.

– Pani komisarz, miałem kłopot.

– Tylko jeden? Ty nie masz kłopotów, ty sam jesteś kłopotem, skoro tak postępujesz.

– Ja...

– Nie teraz, Marini – przerwała Teresa i odwróciła się do Parriego. – Doktor Parri miał mi właśnie przekazać nowe informacje.

Patolog sondował każde z nich po kolei. Najpierw ją, potem inspektora, potem znów Teresę.

– Czy ktoś wam kiedyś mówił, że tworzycie piękną parę? – zapytał z rozbawieniem.

– Do rzeczy, Antonio.

– Mamy pierwsze wyniki badań nad Nimfą. To nie jest krew Andriana. Już to podejrzewałaś, ale teraz to pewne. Najzwyczajniej w świecie porównałem wyniki z wynikami jego ostatnich badań lekarskich, które dostarczył stryjeczny wnuk: grupa krwi się różni.

Przytaknęła.

– To istotne potwierdzenie, mimo że się go spodziewałam – oświadczyła.

– Badania genetyczne będą wymagały więcej czasu, ale tak czy inaczej, mogę ci podać nieoficjalny rezultat.

Słyszając zadowolenie w jego głosie, Teresa domyśliła się, że musi to być coś o fundamentalnym znaczeniu dla śledztwa.

– Krew należała do kobiety.

Teresa przestała się wpatrywać w twarz patologa i ponownie skierowała wzrok na obraz.

– Nie wydaje mi się, żeby to był tylko rysunek – wtrącił Parri. – Moim zdaniem to portret ofiary. Nimfa istniała naprawdę i zmarła dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Sugestywna hipoteza, chociaż niepoparta dowodami – mruknęła Teresa, zdając sobie sprawę, że bawi się właśnie w adwokata diabła. Podważała własną opinię, aby przekonać się, ile jest warta. Spojrzała Mariniemu w oczy. On również był przeświadczony, że Nimfa istniała naprawdę.

– To hipoteza, ale czy czułabyś się na siłach, żeby ją odrzucić? – zapytał Parri.

Teresa odetchnęła głęboko.

– To wszystko zmienia – powiedziała.

I przebieg dochodzenia, które właśnie nabierało rozpędu, i jej podejście do sprawy. Teraz miała przed sobą twarz ofiary. Mogła poczuć jej ostatnie tchnienie, przyglądać się, jak ulatuje z niej życie.

Śmiertelnie ją ranił, a potem, patrząc, jak gaśnie, ją malował. Zanurzył palce w jej sercu.

Włożyła lateksową rękawiczkę. Przesunęła dłonią po Nimfie z malowidła, a wtedy poczuła na karku dreszcz.

Dziewczyna miała zamknięte oczy, lecz gdyby były otwarte, Teresa wiedziała, co by w nich dostrzegła: gęsty cień, typowy dla pochylającej się nad życiem śmierci. Wiedziała również, co wyszeptalyby te wargi, gdyby papier stał się ciałem.

Pomóż mi.

Pomogłaby jej.

Odszukaj mnie.

Znalazłaby ją.

Usłyszała, że Marini zbliża się za jej plecami.

– Morderstwo w czasach wojny – rzekła. – Prawdopodobnie zaginęła, a ciała nigdy nie odnaleziono. Albo nawet jeśli na nie natrafiono, uznano to za zbrodnię dokonaną przez jednego z żołnierzy. Ludzie troszczyli się, by przeżyć, by ukryć się przed Niemcami.

– Ja też uważam, że nie natkniemy się na zapomniane akta nigdy nieotwartej sprawy – przyznał Marini. – Spoczywałyby w muzeum. Może w ówczesnej prasie uda nam się znaleźć jakieś artykuły.

Teresa przykryła obraz folią ochronną i zdjęła rękawiczkę.

– Zastanawiałam się nad tym – odparła – tylko że mówimy o słabo zaludnionej górskiej miejscowości, nie o mieście. Wojenne niepowodzenia rozbewstwiły nazistów, którzy szykowali się do krwawego odwrotu. Celowali w cienie za oknami domów. Wątpię, żeby jakiś dziennikarz napisał na ten temat artykuł. Ludzie co dzień umierali i ginęli.

– W takim razie skąd przypuszczenie, że sędzia Crespi zechce mimo wszystko to wyjaśnić? – zapytał Parri.

– Ponieważ domniemany zabójca nadal żyje i jest cenionym malarzem. Ponieważ oszalał po namalowaniu obrazu krwią nieznaną ofiary. I tak się składa, że ten obraz jest także jego najpiękniejszym i najbardziej pożądanym dziełem. Prasa miałaby używanie, jak tylko by to wyszło na jaw. Crespi nie może umorzyć sprawy, nawet gdyby chciał.

– Podejrzewałem to, kiedy zastępca prokuratora wezwał właśnie ciebie, jakby to był pilny przypadek.

Teresa wytarła szkła okularów rąbkiem bluzki.

– Przecież wiesz, że Gardini bardzo ufa mojej intuicji – powiedziała. – Kiedy dostaje sprawę, której nijak nie potrafi ugryźć, nikt inny nie przychodzi mu do głowy.

W rzeczywistości podczas ich prywatnych rozmów zastępca prokuratora wcale nie posługiwał się słowem „intuicja”. Gardini zdawał się podziwiać w niej jakiś rodzaj tajemniczej empatii. Serca umarłych pulsowały w myślach Teresy. Ofiary stawały się towarzyszami jej bezsennych nocy. Nie pozwalały jej się zatrzymać, zmuszały do szukania odpowiedzi.

– Muszę porozmawiać z komendantem – oznajmiła. – Natychmiast.

– Nic nie wiesz? – wtrącił Parri. Wyraz jego twarzy ściał ją z nóg. – Paolo miał zawał, Tereso. Dzisiaj rano zabrali go do szpitala.

11

Teresa zdążyła już przeczytać od deski do deski każdą ulotkę informacyjną i każdy plakat w poczekalni na oddziale kardiologii. Nie zapamiętała z nich ani słowa, w tej chwili jednak w ogóle nie zaprzętała sobie tym głowy.

Paolo Ambrosini nie był wyłącznie jej zwierzchnikiem. Był przyjacielem, którego mogła stracić, o którego być może nie dość się troszczyła. Miała poczucie winy, że zlekceważyła jego chorobę: Paolo nie należał do ludzi, którzy nie zjawiają się na spotkaniu bez ważnego powodu. Tylko że ja byłam zbyt zajęta sobą, by to zauważyć, pomyślała ze wstydem.

Na całe szczęście Ambrosini z tego wyszedł. Już go przenieśli z OIOM-u.

– Kawy? – zapytał Marini.

– Nie.

– Wody?

– Nie.

– Mojego skalpu?

W końcu Teresa na niego spojrzała.

– Dlaczego się stąd nie wyniesiesz? – fuknęła.

– Jestem zdumiony. Normalnie powiedziałyby pani „spierdalaj”.

Teresa zaklęła pod nosem i zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu cukierka. Znalazła tylko dziesiątki pustych papierków. Ponownie zaklęła.

Marini usiadł obok niej, założył nogę na nogę, po czym wydobyl z kieszeni paczkę owocowych żelków. Pomachał jej nią przed oczami, lecz kiedy Teresa spróbowała ją schwycić, cofnął dłoń.

Zamknęła oczy.

– Można wiedzieć, czego chcesz? – zapytała.

– Przebaczenia.

– Czy ty sam siebie słyszysz? Nie jestem twoją matką. Ile razy już ci to mówiłam?

– Nawet mnie pani nie zapytała, dlaczego się spóźniłem.

– Marini, już od pierwszego dnia, kiedy się pojawiłeś w pracy, przestałam sobie zadawać pytania na twój temat.

– Bzdury. Ciągłe czuję pani oddech na plecach.

Skorzystawszy z jego braku czujności, wstała i sięgnęła po cukierki.

– Czyli mnie pani o to nie zapyta? – nie dawał za wygraną.

– Po co? Żeby cię zmusić do okłamania zwierzchnika?

Zamilkł. Teresa rozdarła paczkę i wsunęła do ust żelka.

– Coś cię zżera, inspektorze – powiedziała, żując. – Od tygodni. Coś, przez co stajesz się nerwowy i nieobecny duchem, co każe ci zbyt często sprawdzać komórkę w czasie służby.

– Nigdy nie zaniedbałem pracy.

– Nie licząc dzisiejszego poranka... Coś, co prawdopodobnie ma związek z twoją przeszłością, a czego nigdy nie udało się rozwiązać. Sprawilo, że uciekłeś i zaszyłeś się tutaj, ale to nadal jest obecne.

Marini się nie odezwał.

– A więc, inspektorze – rzuciła zaczepnie Teresa – nadal życzysz sobie porozmawiać?

Poderwał się.

– Dlaczego nie porozmawiamy o pani, pani komisarz? – wybuchnął.

– O mnie?

– O tym, dlaczego trzyma pani wszystkich na dystans, tak jakby poczucie czegokolwiek do innej ludzkiej istoty miało panią kosztować życie. Porozmawiajmy o pani paskudnym charakterze. O całkowicie nieprofesjonalnym sposobie, w jaki zarządza pani zespołem, tak jakby los każdego z nas znajdował się w pani rękach. Pani też ma swoją tajemnicę. Myśli pani, że tego nie zauważyłem?

Teresa nie potrafiła uwierzyć w tak wielką idiotyczną odwagę.

– Naprawdę chcesz rzucić mi wyzwanie? – zapytała.

– A dziennik? Porozmawiajmy o tym cholernym dzienniku, w którym pani wszystko kompulsywnie notuje.

Teresa pozwoliła mu się wyładować. Był tak spięty i rozwścieczony, jakby miał się zaraz rozplakać. Gdy umilkł, odparła spokojnie:

– Zapisuję w nim, jaki z ciebie kretyn, Marini.

Pielęgniarka przywołała ich do porządku cichym kasznięciem.

– Proszę pani – powiedziała – pacjent czeka na panią.

Teresa patrzyła na leżącego na łóżku przyjaciela, którego klatka piersiowa upstrzona była elektrodami. Miał woskową, pomarszczoną skórę. W szpitalnej koszuli wyglądał jak starzec.

Usiadła przy łóżku, chwyciła go za rękę, on zaś natychmiast ścisnął jej dłoń.

– Teresa, jak dobrze, że jesteś. Musimy porozmawiać...

– A gdzie miałabym być? Mogłeś mnie jednak uprzedzić, że wybierasz się na tamten świat. Przecież wiesz, że trudno mi biegać.

– To był drobiazg, ale oni chcą mnie skazać na długie miesiące rehabilitacji. Miesiące, masz pojęcie?

– A ty zastosujesz się do ich zaleceń. Reszta może zaczekać.

Skinął, by przysunęła się bliżej.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oświadczył. – Nowe wsparcie. Musisz się z nim spotkać po południu. To ważne.

– Wsparcie? Nowy policjant?

– Nie...

– Współpracownik z zewnątrz?

– Niezupełnie...

– Nie rozumiem, Paolo.

– Cóż, to nie jest tak do końca zgodne z regulaminem. Gardini jest zorientowany, on ci wszystko wytłumaczy.

Teresa nie nalegała.

– Skoro to nie jest zgodne z regulaminem, mnie pasuje – zażartowała.

Dłoń Ambrosiniego mocniej ścisnęła jej rękę.

– Jest coś jeszcze, Tereso. Wyznaczyli mojego następcę.

Pokiwała głową.

– Santiago – rzekła, mając na myśli zastępcę komendanta.

– Nie. Wymienili inne nazwisko.

Sposób, w jaki to powiedział, i niepokój w jego oczach wprawiły Teresę w popłoch. Zupełnie jakby już wiedziała, jakby czekała na ów powrót, który sprawiał ból i wywoływał niezatarte wspomnienie. Poczwała, jak twarz jej tężeje, ciało gotuje się do ucieczki.

– Czyje? – wyszeptała.

– Alberta. Przykro mi, Tereso.

12

Albert Lona.

Garść sylab, których Teresa nie pozwalała sobie wypowiadać nawet w myślach co najmniej od wieków.

Przyspieszyła kroku, przemierzając szpitalny labirynt, targana mdłościami, ledwie świadoma obecności Mariniego za plecami. Chętnie by się go pozbyła, przydzieliła mu pierwsze lepsze zadanie, byleby tylko nie musieć nadal znosić jego dociekliwości, była jednak zmuszona przyznać sama przed sobą: z nim u boku czuła się pewniej.

Nie mogła już prowadzić, obawiała się bowiem, że w chwili zagubienia narobi nie wiadomo jakich szkód. Nawet korzystanie z transportu publicznego, poruszanie się w pojedynkę po mieście w przypadku zamroczenia mogło się okazać bardzo ryzykowne dla niej i dla innych. Nienawidziła tej świadomości. Nienawidziła zależności od kogokolwiek.

Teraz zaś Albert znów pojawił się w jej życiu.

Istniało zagrożenie, że mdłości doprowadzą do wymiotów. Teresa przystanąła, odetchnęła głęboko, lecz nasączone środkami dezynfekującymi powietrze na szpitalnym oddziale jej nie posłużyło. Zakręciło jej się w głowie, nogi miała jak z waty.

– Pani komisarz...?

Głos Mariniego dobiegał z daleka.

Teresa zamknęła oczy. Znów otworzyła.

Wszystkie korytarze wyglądały tak samo. Nie miała pojęcia, w którą ruszyć stronę, nie wiedziała, skąd przyszła. Nie pamiętała, dokąd chciała się udać.

Obróciła się wokół własnej osi, powoli, jakby po raz pierwszy zobaczyła otaczający ją świat.

– Pani komisarz!

Uniosła dłoń i spostrzegła, że drży. Srebrna bransoletka na nadgarstku zamigotała, podpowiadając imię i nazwisko. Tak, Teresa przypomina sobie. To reszta straciła sens. Jednocześnie przez głowę zaczęły jej przelatywać aż nazbyt wyraźne obrazy z przeszłości, uderzając jak obuchem. Blizna na brzuchu, pod cienkim ubraniem, zdawała się budzić z letargu i palić, jakby była świeża.

Jej uwagę przykuło wyjście awaryjne. Teresa popędziła ku niemu, obiema rękami pchnęła drzwi i znalazła się w okalającym szpital ogrodzie.

Słońce, woń kwitnących lip, śpiew drozdów pomogły jej oddychać. Zanurzyła dłoń w przewieszanej przez ramię torbie i wyjęła dziennik. Kartkowała go w pośpiechu, aż znalazła to, czego szukała.

Czytała, poruszając wargami, raz za razem, niczym mantrę.

– Wezwę kogoś – usłyszała głos Mariniego.

Powstrzymała go, ściskając za ramię.

– Policja musi wtargnąć do domu, żeby aresztować przestępcę – przeczytała. – Jedyna informacja, jaką dysponuje, to jego imię: Adamo. Po wejściu zastaje mechanika, strażaka, lekarza i hydraulika, którzy grają w karty. Bez wahania i bez słowa aresztuje mechanika. Dlaczego?

Marini spojrzał na nią jak na wariatkę.

– Jeżeli chciała mnie pani nastraszyć, to się pani udało – oznajmił.

Teresa musiała się skupić na zagadce, aby zapełnić czarną dziurę w głowie, która wraz ze wspomnieniami najwyraźniej zamierzała wtrącić ją w otchłań niepamięci.

Oddychaj spokojnie. Działaj bardziej metodycznie. Przewycięż pustkę.

Wbiła paznokcie w ramiona Mariniego.

– Auć!

– Dlaczego? – zachęciła, czując się tak, jakby sama siebie dźgnęła. – Dlaczego idą prosto do niego?

Marini przewrócił oczami.

– Nie mam pojęcia! Pewnie dostali jakąś wskazówkę.

– Nie dostali żadnej wskazówki. Dostarczyłam ci wszystkich informacji.

Prychnął.

– Miał na czole wytatuowany znak X? – zadrwił.

Teresa zwolniła uścisk, zrobiła kilka kroków. Zastanawiała się przez chwilę, po czym popatrzyła na Mariniego, uśmiechając się z ulgą.

– Zgadza się, miał na twarzy wytatuowany znak X. A dokładniej XY.

– Bredzi pani, zdaje pani sobie z tego sprawę?

Teresa wybuchnęła śmiechem.

– Marini, to był jedyny mężczyzna, dlatego od razu go rozpoznali.

Wpatrywał się w nią osłupiały.

Teresa dwukrotnie klepnęła go w plecy.

– Naprawdę nie potrafisz sobie wyobrazić wyemancypowanej kobiety, co?

Wspomnienie ich pierwszego spotkania i pomyłki, jaką wtedy popełnił, ciągle prowokowało ją do ironicznych żartów.

Usiadła na ławce. Marini poszedł w jej ślady.

– Co tam się wydarzyło? – zapytał po chwili, lecz nie otrzymał odpowiedzi. – O ile dobrze zrozumiałem, komendant Ambrosini jest w ciężkim stanie. Przykro mi, wiem, że od lat łączy was przyjaźń.

Teresa się wyprostowała. Z jej przyjacielem nie było aż tak źle, ale jeśli zdołałaby ukryć pod maską żalu atak, który zablokował jej mózg, i wstrząs wywołany niespodziewanym powrotem potwornej przeszłości, może dałaby radę oszukać Mariniego.

Przytaknęła.

– Jak przypuszczam, domaganie się więcej szczegółów nie ma sensu – ciągnął.

– Liczmy na to, że będzie lepiej – odparła Teresa. – Od dzisiaj mamy nowego szefa policji i nie jest nim zastępca komendanta Santi.

– Właśnie mnie uprzedzono. De Carli mówi, że Albert Lona chce panią widzieć. Natychmiast.

Teresa nie mogła się powstrzymać od śmiechu, w którym nie było cienia wesołości.

– Czyli już się pojawił. Nie miałam co do tego wątpliwości – skwitowała, lecz ani drgnęła.

Marini zmierzył ją wzrokiem, po czym do niego dotarło.

– O, nie. Nie – powiedział. – Nie podoba mi się to spojrzenie.

Teresa się podniosła.

– Obawiam się, że Albert Lona będzie musiał zaczekać. Mamy co innego do roboty.

– Proszę mi wyjaśnić: nie ma pani zamiaru się stawić przed nowym komendantem?

– Nie, chwilowo nie.

– Mogę poznać powód? To dotyczy też mnie, nie sądzi pani? Żąda pani ode mnie, żebym zignorował zwierzchnika.

Teresa parsknęła śmiechem.

– Na litość boską, Marini, ale z ciebie nudziarz.

Massimo potarł powieki.

– Dokąd zamierza pani teraz iść? – zapytał.

– Mamy sprawę do rozwiązania.

– Ach, no tak, wobec tego przyda nam się łut szczęścia. To przypadek, którego nie da się rozwiązać – mruknął jak zawsze melodramatycznie.

Zamiast odpowiedzi Teresa wsunęła do ust kolejnego owocowego żelka. Wkurzało ją, że powinna przyznać rację Mariniemu, chociaż pomyślała to samo. Wiedziała jednak, że mają do czynienia ze sprawą równie niemożliwą do umorzenia. Sędzia nigdy nie wyda wyroku, dopóki nie zyska racjonalnej pewności, że zrobili wszystko, co możliwe, aby wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego krew i tkanka mięśnia sercowego znalazły się na papierze malowidła. Konieczne było dalsze dochodzenie.

– Może nikt nie został zabity – ciągnął Marini. – To mógł być wypadek.

Teresa zerknęła na niego spod oka.

– A Andrian w porywie nagłego natchnienia, ale nie mając przy sobie farby, postanowił w zastępstwie użyć krwi. W gruncie rzeczy przecież każdy by tak postąpił, nieprawdaż? – odparowała.

– Uważa pani, że to niemożliwe?

– Nie, Marini. To nie ja tak uważam. – Machnęła ręką, jakby chciała wprawić w ruch koło dedukcji, która doprowadziła ją do tego wniosku. – Podpowiada mi to krew. Krew, która trysnęła z serca. Czy istnieje potężniejszy symbol?

– Czy ktoś kiedyś pani mówił, że ma pani wybitne upodobanie do makabry?

Teresa się nie odezwała.

– Naprawdę pani nie wierzy, że dotrzemy do sedna? – naciskał Marini.

Udała, że się zastanawia.

– To brzmi jak wyzwanie, inspektorze. Teraz, kiedy to powiedziałeś, owszem, właśnie tak zrobimy.

Pokręcił głową.

– Zdziwiłem się, że nie wzięła pani tego do siebie.

– Branie do siebie to coś, co wychodzi mi najlepiej.

– Nigdy w to nie wątpiłem, pani komisarz.

– W sumie to jedna z niewielu rzeczy, których jesteś pewien. Wstawaj. Idziemy do jedynej osoby, która wie, co się wydarzyło dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Marini otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Do Alessia Andriana? Przecież on nie może mówić.

Teresa się skrzywiła.

– Bezustannie mi to powtarzacie, ale zapewniam, że ten szczegół mi nie umknął.

– Bezustannie to pani powtarzamy, ponieważ upiera się pani przy tym, żeby rozmawiać z kimś, kto nie jest w stanie odpowiedzieć.

Teresa pomyślała o swojej tajemniczej empatii. O na wpół przymkniętych wargach Nimfy.

– Nawet umarli mają sporo do powiedzenia – mruknęła. – O ile zazwyczaj udaje mi się wyczuć ich słowa, może zdołam tego dokonać również ze słowami Andriana.

13

Dom Andrianów znajdował się za murami starożytnego miasteczka, które wznosiło się blisko wzgórz usianych alejami winorośli, gdzie gospodarstwa przeplatały się z gajami wonnych akacji i stuletnich lip. Krążyła pogłoska, że załążek osady założył tam Juliusz Cezar. Na rynku stał pomnik rzymskiego cesarza. Brąz imperatorskiego pancerza i fałdy paludamentu upstrzyła patyna, która cieńszymi smugami poznażyła cesarskie nogi aż do silnych kolan i niżej, do oplatających stopy i pięty sandałów. Wokół statui, w soczystym popołudniowym świetle zalewającym ukośnie kamienice – pozostałość po długiej dominacji Longobardów – lśnił istryjski kamień archiwolt, okolonych ozdobnymi spiralami kapiteli i biforiów.

Podczas gdy samochód sunął po uliczkach starówki, Teresa wystawiła twarz przez okno, wiatr zaś rozwiewał jej rude kosmyki. Marini prowadził bez pośpiechu, trzymając na kierownicy tylko jedną dłoń; on także się nie odzywał, lecz był w ponurym nastroju.

W końcu zawarli milczący pakt: nie ciągnęli się wzajemnie za język, by skłonić partnera do wyznania tego, co go dręczy. Teresa zastanawiała się, jak długo może potrwać ten rozejm i kiedy zgaśnie jej nadzieja, że zdoła oszukać kogoś, z kim przecież spędzała większość czasu.

Opuścili centrum miasta i przecięli Diabelski Most, kamienny łuk rozpięty nad przyprawiającą o zawrót głowy przepaścią. Według legendy nad jarem, wyłobionym przez rzekę o intensywnie turkusowej barwie, zbudował go sam szatan. Za wykonaną pracę zażądał w nagrodę duszy.

Auto wjechało po zadrzewionym zboczu, sterowane monotonnym głosem nawigatora GPS. Słońce nadal stało wysoko, lecz chociaż do wieczora brakowało jeszcze kilku godzin, zapowiedź zmierzchu wzbogacała światło o bardziej nasycone kolory. Bardziej złociste, bardziej płynne promienie skapywały przez listowie na karoserię niczym krople. Cienie odsunęły się ku granicom pola

widzenia, lecz nadal pozostały wyraźne. Z każdą minutą coraz bardziej niecierpliwie czekały, by rozciągnąć się nad światem. Krajobraz stanowił paletę kontrastów, światła i cienia, kwiatowych i gnilnych zapachów. Poszycie nasiąkło wilgocią, najbardziej ze wszystkiego przebijała zmiana temperatury, przejście w mrok. Z wonnych gałązek akacji spadło parę płatków, które wirowały nad drogą.

Marini także opuścił szybę. Powietrze było ciepłe, nieliczne porywy wiatru zapowiadały jednak liżący po skórze chłód. Na skraju lasu czuć było wieczór.

Po kilku zakrętach na szczycie wzgórza ukazał się dom Andrianów. Była to idealnie zachowana stara wiejska posiadłość z jasnego ciosanego kamienia. Sprawiała wrażenie siedliska.

Wzdłuż fasady biegł szpaler sękatej winorośli, który ciągnął się do pergoli glicynii, gdzie schroniły się stolik i parę krzeseł z kutego żelaza. Fioletowe kwiaty, mimo że jeszcze w pączkach, rozsiewały w powietrzu charakterystyczną korzenną woń. Przed domem otwierał się niczym wachlarz żwirowy dziedziniec. Przy wejściu leżał wyciągnięty zaspany pies. Na widok samochodu uniósł ledwie jedno ucho, ale wkrótce z powrotem je opuścił.

Marini zaparkował i przez chwilę oboje podziwiali domostwo.

Raffaello Andrian odziedziczył sporą posiadłość o pozornie wiejskim charakterze. Coś, co w przeszłości stanowiło symbol ubóstwa i znoju, teraz dla wielu było marzeniem.

Wysiedli i rozejrzeli się dokoła. Poniżej, wzdłuż grzbietu, gdzie zielen upstrzonej stokrotkami trawy przecinał połyskujący kanał, do lotu wzbiła się czapla siwa, powoli machając skrzydłami. Wiejską ciszę zakłócało bzyczenie pszczół, niezmordowanych złotych punktów w falujących koronach drzew.

– Czuć zapach nektaru, który przenoszą – westchnął Marini.

– Nektar nie pachnie, mój ty poeto – sprostowała Teresa.

Popatrzył na nią. Najwyraźniej nie dowierzał.

– Jak to: nie pachnie?

– Rzeczywiście, dla roślin to był poważny problem. Jakoś musiały sprawić, żeby stał się atrakcyjny. Rozwiązały to w genialny sposób: za pomocą kofeiny.

– Kofeiny?

– Owady szaleją na jej punkcie. Właśnie ze względu na kofeinę zadają sobie tyle trudu. Ale kiedy rośliny stwierdzą, że mają ich już dosyć, produkują jej tak dużo, że

stają się wstrętne. To naprawdę fascynujące.

– Witam.

Gdy się odwrócili, dostrzegli nieśmiały uśmiech Raffaella Andriana. Młodzieniec okraczył psa i wyszedł im na spotkanie. Zanim podał im rękę, wytarł ją o dzinsy.

– Proszę mi wybaczyć, pracowałem na strychu – usprawiedliwił się.

– Ciągle te porządki? – zapytała Teresa.

– Tak, jest dużo sprzątanina. Od kilkudziesięciu lat nikt tam nie zaglądał.

– Proszę nie mówić, że natrafił pan na kolejne malowidła – zazartowała, chociaż w jej głosie pobrzmiwało szczere zaciekawienie.

Raffaello roześmiał się z dowcipu.

– Nie, pani komisarz. Nie ma więcej tajemniczych obrazów. Proszę do środka, poprowadzę państwa.

Hol wyglądał jak mroczny salon. W otwartych oknach, wpuszczających ciepło, jakim emanował kamień, i wonie natury, falowały długie firanki. Parkiet z drewna wiśniowego błyszczał tak mocno, że odbijały się w nim meble, które musiały mieć co najmniej sto lat. Wykonano je z litego drewna, kanty zdążyły się zaokrąglić od używania, na blatach widać było mikroskopijne dziurki po kornikach. Na obitej szenilą kanapie rozłożyła się para kotów syjamskich. Zwierzaki przypatrywały się nieufnie gościom. One także wyglądały jak nie z tej epoki.

Pan domu najwyraźniej czytał Teresie w myślach.

– Moja rodzina mieszka tu od pokoleń – wyjaśnił. – Najpierw byli chłopami, później kupcami. Mój dziadek jako pierwszy przestał uprawiać ziemię i założył rodzinny interes. Tam, gdzie wcześniej był kurnik, zbudował własną pracownię.

– Jakiego rodzaju interes? – dociekała Teresa.

– Import drewna, głównie ze Słowenii oraz Bośni i Hercegowiny.

– Pan też pracuje w rodzinnej firmie?

– Tak.

– I jak się pan w niej odnajduje?

Zapytała instynktownie, instynktowną też czuła do niego sympatię. Teresa nigdy nie zdołała pojąć, jak można wybrać zawód, podążając cudzym śladem, skoro wybór ten stanowi coś tak bardzo osobistego i trudnego.

– Dobrze – odparł chłopak. – Już od dziecka widziałem się w tym zawodzie.

– W takim razie miał pan szczęście.

Raffaello Andrian się uśmiechnął.

– Nie, pani komisarz. To nie było szczęście. Stryj Alessio zatroszczył się o nas.

Teresa nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Raffaello Andrian poprowadził ich do innego pokoju, mniejszego niż poprzedni. Był to przytulny salonik z kominkiem, na którym stała cynowa waza z różami, umeblowany dwoma fotelami i stoliczkiem, na którym piętrzyło się kilka książek. Wyjątkowe jednak było to, co wisiało na ścianach.

Andrian wskazał ręką obrazy, w sumie sześć.

– Ojcu i mnie udało się je odzyskać i przywieźć do domu. Co do pozostałych czterech okazało się to niemożliwe: zbyt wysoka cena i zbyt nieustępliwi właściciele.

– Zaginęły w czasie wojny? – zapytał Marini.

– Nie. Alessio chciał je sprzedać, żeby wspomóc brata, który cierpiał głód i miał na utrzymaniu żonę i małego synka, mojego ojca. Cieszył się wielką sławą, chociaż nigdy nie uczynił nic, żeby ją zdobyć. Zdążył się już wycofać ze świata.

– Jak to możliwe, że był znany?

– Rysunki, które towarzysze Alessia przywieźli z obozowiska w górach, zwróciły uwagę pewnego amerykańskiego żołnierza. W cywilu był muzealnym kuratorem i znawcą sztuki. Napisał artykuł dla branżowego czasopisma o „partyzancie malarzu” i obłędzie, jaki pozostawiła mu w spuściźnie wojna. Kolekcjonerzy i marszandzi oszaleli na jego punkcie.

Teresa poczuła zmieszanie.

– Powiedział pan, że pański stryj chciał sprzedać obrazy, aby pomóc rodzinie, ale o ile dobrze zrozumiałam, Alessio Andrian popadł w obłęd tuż po tym, jak go znaleziono – rzekła.

– Tak. Nie mówił, wyglądało na to, że stracił również słuch. Nie chciał jeść. W środku był martwy, mimo że obłęd minął. Żył w innym świecie, nie było z nim żadnego kontaktu. Dziadek jednak opowiadał, że pewnego dnia znalazł w kuchni jeden z obrazów zawinięty w szary papier. Zupełnie jakby ktoś uszykował go do wysyłki, lecz na paczce nie było adresu. Babcia twierdziła, że o niczym nie wie.

Ojciec był za mały, nawet żeby go udźwignąć. To mógł być tylko Alessio, ale jak może sobie pani wyobrazić, domaganie się wyjaśnień nie miało sensu.

– Co zrobił pański dziadek?

– Rozpakował obraz i odwiesił na miejsce.

– I...?

– Nazajutrz rano znów znalazł go na stole, owinięty w szary papier i obwiązany szpagatem. Razem z pozostałymi czterema.

Teresa nie potrafiła w to uwierzyć.

– Alessio Andrian przygotował paczki w nocy? – zdziwiła się.

Raffaello pogładził jeden z obrazów.

– Zrobił o wiele więcej, pani komisarz. Stryj w nocy opuścił pokój, pierwszy raz od pięciu lat, i nakazał rodzinie sprzedać obrazy. Pożegnać się z biedą. Jak wspomniałem, my nie mieliśmy szczęścia. To był akt miłości: jego miłości.

Teresa nie wiedziała, co powiedzieć. Wychwyciła wzruszenie w głosie stryjecznego wnuka Andriana.

– Zobaczyli go? – zapytała niepewna, czy ośmielić się na wchodzenie z butami w prywatne życie rodziny.

Młodzieniec przytaknął.

– Brat go zobaczył. Zaczekał na niego, podczas gdy cała reszta spała. Następnego ranka babcia zastała męża w kuchni. Płakał z twarzą w na nowo zapakowanych obrazach. Tymczasem Alessio siedział w swoim pokoju, z którego więcej nie wyszedł. Dziadek płakał ze wzruszenia.

– Czy on i jego brat ze sobą rozmawiali?

– Nie, dziadek się nie pokazał, nie wyściubił nosa. Powiedział, że nie był w stanie. To, co widział i słyszał, było tak... trudne do zniesienia, że nie chciał upokarzać brata, patrząc mu w oczy. Tak powiedział.

Teresa nie potrafiła się powstrzymać.

– Co takiego widział? Co takiego słyszał?

Raffaello Andrian pospiesznie zasłonił oczy.

– Proszę sobie wyobrazić człowieka, który od lat nie chodzi, który od lat nie mówi. Z własnej woli – szepnął. – Proszę sobie wyobrazić jego wysiłek, żeby utrzymać się na nogach dzięki mięśniom, które zdążyły już ulec zanikowi,

i wykonać choćby najmniejszy ruch. Jęki, frustrację wywołaną tym, że całymi godzinami jest zmuszony próbować zrobić coś, co osobie zdrowej zajmuje parę minut. Proszę sobie wyobrazić, że cały ten wysiłek zostaje podjęty wyłącznie z jednego powodu: aby wykarmić rodzinę. Na jego widok dziadkowi serce się krajało i jednocześnie przepełniała go niewiarygodna tkliwość.

Teresa nie odpowiedziała. Rozrzewniła się pod wpływem tego wspomnienia, a jeszcze bardziej pod wpływem malującego się na twarzy Raffaella wzruszenia.

– Zostawię państwa na kilka minut – oznajmił Andrian. – Jeżeli mają państwo ochotę, w tym czasie mogą zerknąć na obrazy, potem zaprowadzę państwa do stryja.

– Dziękujemy.

Teresa patrzyła, jak Raffaello znika w drugim salonie. Była prawie pewna, że chłopak potrzebuje trochę czasu, by zapanować nad wzburzeniem.

– O mało się nie rozplakał – rzekł cicho Marini.

– A my pozwolimy mu odzyskać panowanie nad sobą – mruknęła Teresa.

Podeszła do rysunków. Przedstawiały klasyczne motywy, w większości pejzaże, było wszakże coś niewiarygodnie nowoczesnego w kompozycji, w zamyśle wolnym od schematów dotyczących perspektywy i kreskowania. Podobnie jak w *Śpiącej nimfie* postaci zdawały się trójwymiarowe, tak wyśmienita była technika cieniowania. Do wykonania żadnego z obrazków nie została użyta sangwina. Narysowano je węglem i wyobrażały sceny z życia w górach. Poza jednym, który najbardziej przykuł jej uwagę.

Była to krótka opowieść wojenna. Wszystkie zdradzające ją słowa zawierały się tutaj, zamknięte w znakach skreślonych z biegiem czasu. Jeszcze nieopierzony wyrostek i dwójka na oko siedmio-, ośmioletnich dzieci, chłopczyk i dziewczynka, chowali się w zaroślach. Chłopiec trzymał karabin, który zdawał się wypadać mu z rąk, tak jakby dopiero co wystrzelił. Poniżej, w perspektywie oddającej głębokość stromej doliny, kołysał się na wozie rozpoznawalny po hełmie niemiecki żołnierz, który szarpał lejce, usiłując zapanować nad koniem spłoszonym przez wystrzał.

Twarze całej piątki robiły niesamowite wrażenie, postaci z krwi i kości niemal wychodziły z papieru: zdumienie wyrostka, przerażenie chłopca, zmieszanie żołnierza i panika zwierzęcia, które stanęło dęba. I do tego dziewczynka, nieco na uboczu, z szeroko otwartymi oczami i ustami wygiętymi w podkówkę.

Teresa szukała kolejnych szczegółów: daty, odniesienia do konkretnego miejsca, jakiegokolwiek detalu, który pozwoliłby powiązać ową scenę z rzeczywistą czasoprzestrzenią, dostrzegła jednak tylko podpis: dwie splecione smukłe litery A.

Przejrzała wszystkie obrazki po kolei, badając każdą linię, lecz bez powodzenia. W końcu musiała dać za wygraną: Alessio Andrian nie ułatwił im sprawy, nie zamieścił żadnych wskazówek. Zanotowała, aby sprawdzić także rewers.

Późnopołudniową ciszę przerwały łagodnie dźwięki muzyki granej na fortepianie w którymś z pokoi na parterze. Melodia, z początku niepewna niczym pierwsze krople letniej ulewy, prędko nabrała tempa i intensywności, aż dom przepoiły pełne pasji tony.

Teresa dała się poprowadzić aż na koniec korytarza miękkim akordom, których harmonijne echo niosło się pośród tkanin i drewna.

– Nie wypada – usłyszała głos Mariniego, ale go zignorowała.

Dotarła do małej izdebki. Tak ciasnej, że zmieściły się w niej tylko fortepian i kobieta, której palce tańczyły po klawiszach. Kobieta miała około pięćdziesiątki i musiała być bardzo wysoka. Włosy upięła w dziwaczną fryzurę, która Teresie skojarzyła się z mieszkankami Europy Wschodniej: głowę opasywał jasny warkocz zakończony sporym kokiem zebrany wstążką. Strój natomiast był praktyczny i prosty – biała bluzka koszulowa i dżinsy. Kobieta miała zamknięte oczy, jej ciało kołysało się w takt muzyki.

– To jest Tanja – oświadczył stojący za plecami Teresy Raffaello Andrian. – Opiekuje się stryjem niemal od dwudziestu lat. Bez niej byśmy zginęli.

Teresa obejrzała się za siebie.

– Nie zamierzaliśmy węszyć, przepraszamy – usprawiedliwił się z zażenowaniem Marini.

– Nie ma problemu, są państwo gośćmi – uspokoił go Raffaello.

Teresa ponownie zaczęła wpatrywać się w kobietę.

– Nie jestem znawczynią, ale ona bardzo dobrze gra – oznajmiła.

– Tanja ukończyła konserwatorium w Zagrzebiu. Kiedy tylko może, gra dla stryja, ponieważ twierdzi, że on to lubi i że trzeba czymś wypełnić tę ciszę.

Teresa poszukała wzroku młodzieńca. Postanowiła mówić bez ogródek.

– Wyraża się pan o stryju z uczuciem, Raffaello. Ta pani zaś dba nawet o to, żeby wokół niego nie było ciszy. Proszę wybaczyć, jeśli wyda się to panu zbyt obcesowe, ale stryj nigdy nie odwzajemnił waszej troski. Powiedział pan, że nigdy nie słyszał jego głosu.

– To prawda.

– W takim razie jak to możliwe, że łączy was aż tak silna więź? Relacja, której nigdy nie podsycano, nigdy nie hołubiono, a przecież trwa pomimo milczenia i braku obecności, i jest mocna.

Raffaello Andrian się uśmiechnął.

– Nie potrafię pani tego wyjaśnić. Nie jestem w stanie. Mam nadzieję, że pewnego dnia sama to pani zrozumie, nie istnieje inny sposób. Proszę za mną, pora poznać Alessia Andriana.

14

Pokój, w którym Alessio Andrian spędził ostatnie siedemdziesiąt lat życia, wyglądał inaczej, niż sobie wyobrażała Teresa. Wcale nie panował w nim zaduch, nie unosił się zapach czającej się śmierci. Pomieszczenie było przestronne, jasne. Tak barwne, że to nie mężczyzna od razu rzucił jej się w oczy, lecz setki wiszących na ścianach fotografii: zupełnie jakby wszystkie miejsca świata wyznaczyły sobie spotkanie właśnie tutaj, aby sprawić radość starcowi, który nawet ich nie dostrzegał.

Alessio Andrian siedział w fotelu na kółkach tyłem do nich, z twarzą zwróconą ku ogromnej szybie, za którą rozciągały się las dębowy i gęstwina krzewów tarniny.

– Sporo podróżowałem – powiedział szeptem młodzieniec. – To ja zrobiłem te zdjęcia, żeby stryj mógł zobaczyć świat moimi oczami. Tymczasem, o ile wiem, nigdy na nie nie spojrział. Chce patrzeć wyłącznie na to, co jest tam na zewnątrz, w lesie. Bez względu na to, w jakiej pozycji się znajduje, w fotelu czy w łóżku, czy jest dzień, czy noc, jego oczy zawsze szukają okna. Niekiedy sprawiają wrażenie, jakby przez nie przenikały.

Teresa się zawahała. Nie wiedziała, jak się zachować wobec tej milczącej i nieruchomej istoty.

– Stryjku, masz gości – rzekł Raffaello i skinął na Teresę i Mariniego, by podeszli bliżej.

Komisarz postąpiła kilka kroków naprzód.

– Panie Andrian, nazywam się Teresa Battaglia – przemówiła.

Znalazła się tu, aby popatrzeć w twarz podejrzanemu i posłuchać tego, co podpowie jej instynkt. Okrążyła fotel na kółkach, szykując się na spotkanie oziępiałego i nieobecnego wzroku, zamglonego przez upływ czasu. Natomiast widok, jaki się jej ukazał, stanowił dokładne tego przeciwieństwo i na moment zbił ją z tropu.

To nie był zgaszony wzrok chorego na umyśle starca. Oczy Alessia Andriana przypominały dwa rozżarzone węgle, magnesy tkwiące w wychudzonej, grubokościstej twarzy. Miał skupioną minę, jakby naprawdę obserwował coś na skraju lasu, coś, co tylko on potrafił zobaczyć. Nie było to puste spojrzenie, ale i nie życzliwe. Było dzikie.

– Panie Andrian – powtórzyła nieco głośniejszym głosem, aby wypróbować jego reakcję, choćby nawet tylko drżenie.

Mężczyzna nawet nie mrugnął, bodaj odruchowo.

Teresa wpatrywała się weń badawczo. Ciało, które z uporem zamykało się w środku, było silne. Pomimo wyjątkowej chudości właśnie takie sprawiał wrażenie. Zupełnie jakby jego mięśnie wyschły, po czym skóra poszła w ich ślady. Nie było to sflaczałe, pokonane przez siłę ciężkości ciało, tylko rodzaj twardej powłoki.

Piżama wisiała na szerokich, prostych ramionach. Dłonie wsparte na podłokietnikach były duże, o długich kształtnych palcach. Na serdecznym palcu lewej ręki Alessio nosił obrączkę: skromny żelazny krążek z dwiema splecionymi, ręcznie wyrytymi literami A. Były to palce artysty, które być może zabiły.

Mężczyzna musiał być kiedyś wysoki i atletycznie zbudowany. Bez trudu zdołałby pokonać dziewczynę o eterycznym wyglądzie, taką jak Nimfa. Nadal miał gęste, teraz siwe włosy, starannie zaczesane na bok.

Teresa wyobraziła sobie, jak Tanja robi mu przedziałek. Wsuwa śnieżnobiałe stopy starca w filcowe pantofle i stawia je na podnóżku wózka, podczas gdy oczy Andriana pozostają utkwione w lesie za szybą. Posępne niczym rozsierdzona przez ponure myśli dusza.

Troszczą się o Andriana, a on ich ignoruje. Zawsze, od nieskończenie długiego czasu.

Teresa z trudem przykucnęła obok mężczyzny. Stojący za nimi ciągle w progu Raffaello nie odezwał się ani słowem. Marini trzymał się w cieniu, Teresa wiedziała jednak, że jak zwykle ani jeden szczegół z tego, co robiła, nie uszedł jego uwagi. Uczył się, codziennie coraz więcej, pełnej współczucia sztuki dostrzegania niedostrzegalnego.

– Odkryliśmy, z czego jest stworzona *Śpiąca nimfa* – oznajmiła Andrianowi Teresa. – Pańska tajemnica ujrzała światło dzienne. Czyja to krew?

Nie oczekiwała odpowiedzi. Cisza, która zapadła, nie zaskoczyła jej. Ona polowała na coś innego: drobne znaki, które by dowiodły, że tam, w środku, nadal ktoś jest, a nie tylko umysł zaklinowany w jakimś punkcie przeszłości, pozbawiony wszelkich odruchów poza oddychaniem.

– Należy do dziewczyny z portretu? To jej krew, prawda?

Alessio Andrian zamrugał po raz pierwszy, odkąd Teresa mu się przyglądała. Naturalny odruch.

– Sądzę, że pan ją zabił, panie Andrian. Być może z zazdrości. Albo dlatego, że nie chciała panu ulec. Wy, chłopcy, siedzieliście na szczytach gór całymi tygodniami, miesiącami. Kto wie, co chodziło wam po głowach – dodała.

– Pani komisarz, moim zdaniem nie w tym przypadku – zaprotestował stryjeczny wnuk, Teresa puściła to jednak mimo uszu. Skoro chciała jakiegokolwiek reakcji, nie mogła się wahać.

– Nie uważa pan, że pora uwolnić się od tego ciężaru? – zapytała.

Nic. Nawet najlżejszego drgnięcia.

Wobec tego wyjęła z torby fotografię i położyła ją na kolanach starca.

– Oto pańska Nimfa – rzekła.

Chwyła jego dłoń i przytknęła do zdjęcia.

– Jak miała na imię? – naciskała dalej. – Wie pan? Ciekawe, co sobie pomyślała jej rodzina, kiedy nie wróciła. Ile wycierpiała. Umarła od razu czy w powolnej agonii? Czy pan został, aby się jej przyglądać?

Teresa starała się znaleźć na linii jego wzroku.

– Namalował pan obraz krwią z jej serca? – drążyła.

– Pani komisarz! – oburzył się Raffaello.

Teresa popatrzyła w te czarne, głębokie oczy i poczuła, że się w nich zatapia. Wydawało się, że Andrian odwzajemnia spojrzenie, lecz tak nie było. Teresa miała wrażenie, że przez nią przechodzi, jakby była bezcielesna, i wbija wzrok w las za jej plecami.

– To bez sensu, pani komisarz. Próbowaliśmy przez wiele lat. Nie odpowie pani w żaden sposób.

Raffaello Andrian przemówił bez niechęci, z głębokim współczuciem. Teresa pomyślała, że to porządny człowiek, szczerze przywiązany do tego jakże

tajemniczego i pełnego wrogości krewniaka.

Przytaknęła, podnosząc się. Niepotrzebnie się łudziła.

Już miała zabrać zdjęcie, ale coś stawiało opór. Tym czymś okazała się dłoń Andriana.

Jej wnętrze przyciskało fotografię z taką siłą, że Teresa nie zdołała jej wydobyć.

Właśnie na taki znak czekała.

Ponownie się pochyliła. Wydawało jej się, że oddech Andriana zmienił rytm, być może przyspieszył. Jej oddech też nabrał tempa.

– Zależało ci na niej – wyszeptała. – Śpiąca Nimfa istniała naprawdę, a ty się w niej zakochałeś.

15

Dla Massima powrót na komendę był jak ponowne zanurzenie się w rzeczywistości, w jej niepoahamowanym wrzeniu. Natomiast dom Andrianów i jego mieszkańcy wydawali się zawieszani w czasie niczym migoczące pod światło drobinki kurzu, które zdają się nigdy nie opadać.

Ten człowiek potrzebował siedemdziesięciu lat, żeby wykonać zwykły gest – przytrzymać zdjęcie, pomyślał.

Siedemdziesiąt lat.

Alessio Andrian miał charyzmę, jaką Massimowi rzadko zdarzało się obserwować. W jego oczach zamknięta była złość. W tym człowieku drzemała cicha gwałtowność.

Marini otworzył drzwi od strony pasażera. Komisarz Battaglia ciągle pisała coś w dzienniku – przez całą drogę nie robiła nic innego. Z kolei Massimo nieustannie rozmyślał o Elenie. Nie próbowała go złapać, on zaś nie wiedział, czy przyjąć to z ulgą, czy się martwić. Prędzej czy później będzie musiał się zmierzyć z własnymi uczuciami.

Teresa Battaglia wysiadła z pewnym trudem i spojrzała na budynek komendy, jakby to była żywa istota. Utkwiła wzrok w oknie z opuszczonymi żaluzjami. Należało do komendanta.

– Niedługo będzie pani musiała mi wyjaśnić, co się dzieje – ostrzegł Massimo.

Przechodząc obok, pociągnęła go za krawat.

– Może nawet sam na to wpadniesz, Sherlocku.

Ledwie drzwi windy rozsunęły się na trzecim piętrze, powitali ich De Carli i Parisi.

– Dzień dobry państwu – powiedzieli.

– Komendant Lona znowu o panią pytał – poinformował, nie tracąc czasu, De Carli.

Komisarz zbyła go milczeniem.

– Ambrosini coś przekazał? – zapytała za to Parisiego.

Policjant wręczył jej akta, których nawet nie otworzyła, nie zwalniając kroku. Po kilku metrach się odwróciła.

– Możecie iść do domu. Wszyscy. Pogadamy jutro rano.

Massimo patrzył na oddalających się kolegów, lecz sam ani drgnął.

Widząc pytający wzrok Teresy Battaglii, wskazał drzwi za jej plecami i odparł:

– Zaczekam na panią.

Komisarz wbiła mu palec w pierś.

– Chcesz się na coś przydać? – zapytała. – Jedź do domu, rozwiąż dręczące cię problemy i wróć jutro, bo będzie masa roboty. Chcę, żebyś się skupił.

Nie posłuchał.

Teresa Battaglia chwyciła go więc za ramię.

– Chcesz wiedzieć, kto jest w środku? Bezlitosny zawodowiec. Policjant, który nigdy w życiu nie funkcjonował w zespole, nigdy, za to codziennie, minuta po minucie, przez cały czas, jaki tu spędzi, będzie oceniał nasz zespół. Ponieważ ja i on mamy ze sobą porachunki, a on przybył tu po zapłatę. – Zwolniła uścisk. – Uważaj na niego, zawsze – rzekła cicho – bo nawet wyciągając do ciebie rękę, tak naprawdę będzie usiłował cię usidlić.

Massimo nigdy dotąd nie słyszał w jej głosie takiego napięcia. Właśnie ostrzegła go przed czymś, co uznała za niebezpieczeństwo. Poważne i nieuchronne zagrożenie.

Wydawało mu się, że zawahała się, nim zapukała do drzwi gabinetu. To nie było w jej stylu.

Po raz kolejny zadał sobie pytanie, kim jest ten człowiek i dlaczego prawdopodobnie jako jedyna osoba na świecie potrafił wzbudzić niepokój w Teresie Battaglii.

Ta ponownie się obejrzała. Na jej twarzy, pod maską sztucznego uśmiechu, Massimo dostrzegł uczucie, którego nie umiał rozszyfrować, lecz które było tak silne, że zniekształciło jej rysy.

Teresa zdecydowanie pchnęła drzwi, tylko jednym ruchem.

Nie czekała na odpowiedź. Weszła.

Przekroczenie progu, ponowne oddychanie tym samym powietrzem co ten człowiek oznaczało dla Teresy zgodę, aby ból powrócił i dokończył to, co zaczął przed trzydziestu laty.

Pokój był pogrążony w półmroku. Przez opuszczone żaluzje, niczym przez szklaną ścianę odgradzającą przed światem, przenikały miedzianozłote promienie zachodzącego słońca.

Siedział przed monitorem z dłońmi splecionymi pod brodą. Niebieskawy blask ekranu rzeźbił jego rysy. Niewiele się zmienił. Te trzy dekady tylko przyprószyły mu włosy, uwydatniły sylwetkę, tak jakby czas przywarł do niego, warstwa po warstwie.

Albert Lona nie zwrócił na Teresę uwagi. Była pewna, że nawet nie poprosi, by usiadła. Będzie musiała stać, poddając się jego milczącemu osądowi. Wraz z paroma kilogramami nadwagi, słowami pożegnania z młodości wrytymi na twarzy, zmęczeniem po dniu pracy, wyczerpanym ciałem zbyt często nakłuwany insulinową igłą, podkrążonymi oczami, wściekłością. I blizną na brzuchu, która bodzie pod ubraniem, jakby chciała powiedzieć: Pamiętasz mnie?

Pewnie, że Albert pamiętał.

W końcu zdecydował, że nadszedł moment, by na nią spojrzeć. Jedynie uniósł powieki, nic więcej.

Jeśli choć przez chwilę się łudziła, że trzydzieści lat wystarczy, by ostudzić nienawiść, jaką do niej żywił, by przekształcić to uczucie w nieco mniej zajadłą, bardziej wyważoną wrogość, jego wzrok dał jej do zrozumienia, że była w błędzie.

Albert znajdował się tu ze względu na nią, całą duszą, całym sercem. Żeby ją zniszczyć.

– Zmieniłaś się – stwierdził.

Na dźwięk tego głosu instynktownie na chwilę zamknęła oczy.

– Folguj sobie do woli, nie krępuj się – odparowała. Wiedziała, że nie pozwoli jej odejść, dopóki nie zasmakuje odwetu.

Zmierzył ją od stóp do głów, poddając jej figurę obraźliwej, powolnej lustracji, tak jakby była wyłącznie powłoką na zmęczone kości i zwiędłe ciało.

– Zastanawiam się, jak dajesz radę nadal wykonywać tę pracę – oznajmił, celując palcem ciągle splecionych dłoni w jej zaokrąglone kształty.

Teresa nie pozwoliła się sprowokować. To nie była odpowiednia chwila. Albert Lona nie należał do samców, których można łatwo wyplenić, wymagało to cierpliwości.

Wstał, okrążył biurko. Był brutalnym stworzeniem, które maskowało się za pomocą eleganckiego stroju i wykwintnych manier.

– Kiedy wydaję rozkaz – rzekł powoli, w tym swoim łagodnym rytmie, przytłumionym lekkim angielskim akcentem – żądam, żeby go wykonano. Kiedy mówię, że chcę się z tobą widzieć, masz przybiec. Kiedy mówię, że musisz coś zrobić, to musisz. Właśnie tego oczekuję.

Oparł się o biurko. Zaciśnięte na krawędzi wypielęgnowane palce sprawiały wrażenie szponów.

Spojrząwszy na niego, Teresa odkryła, że już się go nie boi. Ból, o jakim jej przypominał, wyniszczał, ale to był tylko ból.

– Czy powinnam odpowiedzieć: Tak, panie? – zapytała. – Tego też oczekujesz?

Przekrzywił głowę, taksując ją wzrokiem.

– Właśnie sobie uzmysławiam, że Paolo Ambrosini zostawił komendę w nieładzie – oświadczył. – Zdaje się, że należy ustanowić nowe zasady. Będę musiał poznać wszystkich funkcjonariuszy i ocenić ich umiejętności, żeby się przekonać, jak zorganizować współpracę. Nową strukturę. Zacznę od twojego zespołu.

Teresę rozbawił ten podły szantaż. Podeszła do drzwi, po czym się odwróciła.

– Cieszę się, widząc, że się nie zmieniłeś – powiedziała.

Uniósł brew.

– Naprawdę się cieszysz?

– Tak. Łatwiej będzie cię pokonać.

16

Teresa od miesięcy nie wychodziła po zmroku. Wraz z nastaniem wieczoru jej życie zamierało, ona zaś chroniła się w domowym zaciszu. Bała się, że się zgubi, że nie zdoła wrócić. Że będzie się błąkać, zdezorientowana i przerażona, szukając pomocy w obcych twarzach.

Tamtej nocy to zrobiła.

Przed komendą czekała taksówka. Wsiadła, ściskając w dłoni karteczkę z adresem. Postępowała według wskazówek podyktowanych przez Ambrosiniego na szpitalnym łóżku, lecz po raz pierwszy, odkąd go znała, zastanawiała się, czy nie należałoby zlekceważyć uprzejmego polecenia zatroskanego przyjaciela.

Taksówka zawiozła ją do dzielnicy na obrzeżach miasta, w pobliże uniwersytetu, gdzie na płaskich polach wyrosły nowe budynki wraz z paroma lokalami handlowymi. Sypialnia dla studentów.

Kroki komisarz rozbrzmiewały w korytarzu, pomiędzy szeregami wszelkich możliwych modeli rowerów w różnym stanie i we wszystkich kolorach tęczy, zaparkowanych w stojakach. Któryś nie miał kół, zardzewiałą ramę nadal opasywał łańcuch, zapięty na kłódkę, której nikt już nie otworzy. Z mieszkania na pierwszym piętrze dobiegały przytłumione basy piosenki indie rock i młode głosy. Co chwilę drzwi na taras otwierały się, a wtedy muzyka rozlegała się ze zdwojoną siłą. Teresa rozpoznała Arctic Monkeys.

Winda nie działała. Podpisana „Administrator” kartka zapowiadała rychłą naprawę, ale ogłoszenie pochodziło sprzed prawie trzech miesięcy. Ktoś niedawno, długopisem, przemianował „Administradora” na „Palanta”.

Pokonała cztery rzędy schodów, nie spiesząc się, aby nie dostać zadyszki, choć w sumie niepotrzebnie się przejmowała. I tak się zasapała.

Na piętrze panowała cisza.

Gdy dotarła pod drzwi mieszkania, ponownie sprawdziła numer na karteczce. W torbie miała pakunek z bardzo wyjątkowym podarunkiem. Popatrzyła na niego niepewnie. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, czy Ambrosini, zlecając jej tę szczególną misję, zdawał sobie sprawę, że może ją to kosztować karierę.

Zapukała i niemal natychmiast usłyszała za drzwiami szelest.

Drzwi otwarły się powoli, nieufnie.

Za progiem stała dziewczyna z niebieskimi włosami i najbrzydszy pies, jakiego Teresa kiedykolwiek widziała. Battaglia wpatrywała się w nich zdębiała o kilka sekund za długo, następnie odwróciła wzrok zakłopotana swoją namolną lustracją. Natychmiast jednak zwymyślała się od idiotek.

– A towar? – zapytała trochę nieśmiało dziewczyna, z dłonią na wyłysiałym łbie zwierzęcia, które wpatrywało się w Teresę podejrzliwie.

Ta uniosła torbę. Szelest celofanu sprawił, że wzrok dziewczyny i psa powędrował ku jej rękom. Komisarz zastanawiała się, dla którego z nich przeznaczony jest podarunek.

Albowiem w środku znajdowała się czaszka, opatrzona etykietką, którą Parri starannie zamazał. Ludzka czaszka.

Massimo nie mógł zasnąć. Nocne godziny miały mu na wpatrywaniu się w plecy Eleny. Leżała na jego łóżku, na boku. Przyglądał jej się oparty o drzwi.

Gdy wrócił do domu, już spała. Został dłużej w pracy, żeby zająć czymś umysł i przestać rozpamiętywać, dopóki w końcu nie poczuje pustki, byleby tylko nie myśleć o dziecku, którego się lękał, ani o kobiecie, którą kochał, lecz której nie mógł przy sobie zatrzymać.

Nie posłuchał polecenia komisarz Battaglii i czekał na nią w biurze. Wróciła ze spotkania z Albertem Loną z nieprzeniknioną miną, która towarzyszyła jej przez długie godziny, kiedy pracowali w milczeniu, siedząc przodem do siebie.

Był to jej sposób na ukaranie go za niewykonanie rozkazu.

Tylko jak Massimo mógłby ją zostawić po tym, jak dostrzegł drżenie warg, niepewny krok, bladość, które nagle sprawiły, że wydała się taka krucha i samotna?

Jej przeszłość stanowiła tajemnicę, o której nawet De Carli i Parisi nie chcieli mówić. Massimo słyszał jakieś plotki o małżeństwie, które skończyło się tragedią – ale jakiego rodzaju tragedią? – i o życiu od tamtej pory skazanym na samotność, o oddaniu pracy. Zbawianiu, owszem, tyle że innych.

Najwidoczniej część owej przeszłości stanowił także nowy komendant.

Elena poruszyła się we śnie. Kontrastujące z bielą poduszki ciemne włosy wywołały wspomnienie *Śpiącej nimfy*. Powiódł wzrokiem po długiej linii szyi, w wyobraźni sunął dalej, wzdłuż łopatek, aż do pośladków i z powrotem.

Jego myśli powędrowały do Andriana i tajemniczej dziewczyny z portretu.

Zabić kobietę i twierdzić, że się ją kocha.

Wymazanie z własnego życia kogoś, kto je rozświetla, zawiera w sobie sprzeczność, a przecież zdarza się co dnia. Zbyt często celebrytuje się miłość, która prowadzi do dramatu. Zawsze płacą za to kobiety.

To nie jest miłość. To posiadanie. Potrzeba kontroli.

Kobiety wykorzystywane i zniewalane, porzucane i skazywane. Kobiety, które nie rozpoznały zła, ponieważ było tuż obok. Trudno je ujawnić i zdemaskować, gdy ma twarz kogoś, kto powinien się o ciebie troszczyć.

Próba wejścia w skórę mordercy, przebicia się przez meandry osobowości dwubiegunowej, czającej się płochliwie niczym nocne zwierzę na płynnej granicy między zdolnością rozumienia a szaleństwem, sprawiała Massimowi ból.

Przypomniawszy sobie relację komisarz Battaglii na temat pierwszej rozwiązanej przez nią sprawy, świeżo po wstąpieniu do policji. Zbrodni w afekcie, której szczegółów nie pamiętał. Battaglia długo rozmawiała z mordercą, w jego opowieści zaś kryło się coś mętnego, w czym człowiek aż się zapadał. Słowa te oblepiły mu umysł niczym trujące błoto.

– Dwanaście godzin przesłuchania, a on nie ustąpił ani o milimetr – mruknęła wtedy, patrząc niewidzącym wzrokiem jak ktoś, kto myślami błędzi w przeszłości.
– Potem pojawiłam się ja. Jedyne kobiety, tuż po dwudziestce, właśnie rozpoczęłam służbę. Nie wiedziałam nawet, w którą stronę się obrócić.

Massimo na próżno czekał na ciąg dalszy.

– Czy to coś zmieniło? – musiał zapytać w pewnym momencie.

– Zmieniło wszystko i mój zwierzchnik o tym wiedział. Celowo kazał mi tam wejść.

– Co się stało?

– On zażądał, żebym to ja go przesłuchiwała.

– On?

– Morderca. Chciał mnie. Kolejne godziny spędziłam na słuchaniu go, sam na sam. Opowiedział wszystko ze szczegółami. Pewnie się zastanawiasz, jakim cudem tak nagle zdecydował się na współpracę. To złe pytanie. Nie chodziło o współpracę.

Spojrzała mu prosto w oczy, Massimo zaś dostrzegł w jej wzroku wściekłość.

– Dla niego to była sadystyczna gra, akt przemocy. Wyimaginowany, mimo to namacalny, dokonany na kobiecie, która znalazła się tam, żeby go oskarżyć. Zmusił mnie do przeżycia wraz z nim każdej chwili zbrodni, opisał każdy detal z taką dokładnością i chorobliwością, że mogłabym przysiąc, że czuję odór krwi. Ten człowiek ugodził swoją żonę dwanaście razy w szyję – po jednym cięciu za każdy wspólnie spędzony rok – i położył się obok niej w łóżku, które dzielili po

ślubie. Przytulony do jej ciała w agonii, słyszał, jak serce zwalnia, aż w końcu cichnie, podczas gdy skóra staje się coraz zimniejsza. Zanim ją opuścił, minęło wiele godzin. Godzin, które upłynęły w milczeniu, w ostatnim, ohydny uścisku.

Massima zemdliło, a Battaglia to wyczuła.

– Myślisz, że to najgorsza część? – zapytała wówczas, rozwijając cukierek, którego wcale nie zjadła. – Najgorsza była jego odpowiedź na jedyne pytanie, jakie zdołałam mu zadać: Dlaczego?

Słowa mordercy nadal rozbrzmiewały w uszach Massima jak cichy pomruk.

Bo dopiero gdy czujesz, jak twoja kobieta gaśnie ci w ramionach, jesteś w stanie poznać, co to zaspokojenie, moc i spełnienie. Właśnie wtedy ona naprawdę należy do ciebie. To prawdziwe posiadanie, najwyższa władza. Massimo odsunął ze wstrętem to wspomnienie. Miał niesmak w ustach, dokuczało mu pragnienie, mimo to nadal nie odrywał wzroku od Eleny. Podeszedł nieco bliżej, wyciągnął dłoń i pogładził ją po szyi. Ona przez sen przewróciła się na drugi bok, zaprotestowała westchnieniem i spała dalej, z lekko rozchylonymi wargami.

Po raz kolejny Massimowi przyszła na myśl *Śpiąca nimfa*.

Dlaczego Andrian zamordował tę kobietę? Gdzie to się stało? Co sprawiło, że zapragnął zabić kogoś, kto nawet po tak długim czasie potrafił zmusić go, choć był unieruchomiony chorobą, do gwałtownej reakcji?

Zazdrość. Szaleństwo. Chore pojęcie posiadania. Oschła, niemożliwa do zaakceptowania odmowa.

Wszystko to, z czym Massimo zdążył się już zetknąć w pracy. Tym razem jednak na skraju sceny rozgrywało się coś innego, czego nie umiał jeszcze uchwycić. Odnosił wrażenie, że na stole wciąż nie pojawiły się wszystkie karty, przy czym nie miał tu na myśli tożsamości ofiary, lecz coś, co pozostawało w związku z Andrianem. Ten jego wzrok, uparcie utkwiony zawsze w tym samym fragmencie świata, jakby obserwował coś, co dla innych nie istniało, ale co twardo siedziało mu w głowie, a zatem dla niego było realne. Nie było to zamyślane, lecz aktywne spojrzenie. Andrian w coś się wpatrywał, niczym pies myśliwski. W coś albo w kogoś.

Elena przytknęła dłoń do brzucha. Massimo zerknął na jeszcze płaskie kształty, które wkrótce wypełnią się życiem. Ledwie je widział w ciemności, domyślał się ich z uczuciem lęku.

Suchość w ustach się wzmogła. W ciele Eleny rosła obca istota, która swymi narodzinami rozbudzi niebezpieczne wspomnienia. Już to zresztą zrobiła.

Gardło... Nie mogę oddychać.

Odpędził tę wizję, wycofał się w mroku. Była to pierwsza od wielu miesięcy noc, którą spędzał pogrążony w ciemnościach. To się nigdy nie zdarzało. Tylko Elena napępiała go odwagą, by pokonać lęki. Odwagą, by zgasić światło.

Zaszył się w łazience. Odkręcił kran nad umywalką i wsunął głowę pod strumień zimnej wody. Musi wymrozić wspomnienia, aby zastygły i nigdy więcej nie odżyły w jego emocjach.

Zapalił światło i przejrzał się w lustrze.

Miał zaczerwienione oczy, rozszerzone źrenice. Pod oczami widniały sinofioletowe kręgi. Skóra pod stróżkami wody, które spływały aż do podbródka, nabrała woskowej barwy. Wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować. Chętnie by to zrobił, gdyby tylko mógł w ten sposób pozbyć się przeszłości.

Ponownie opłukał twarz, po czym wytarł z wściekłością, jakby była brudna, kiedy jednak po raz kolejny poszukał własnego odbicia, spostrzegł, że się nie zmieniła.

Te same oczy. Ten sam klasyczny profil. Te same usta. Nawet dłonie zapamiętał w ten sposób: duże i silne.

Jestem do niego podobny.

Uczepił się umywalki i zajrzał w głąb siebie.

– Nie jestem taki jak ty – powiedział z przekonaniem do cienia, który zmaterializował się i siedział mu na karku. Wiedział jednak, że to kłamstwo, które powtarza sobie zbyt często.

W rzeczywistości nie mógł mieć pewności. Nie mógł wiedzieć, czy naprawdę aż tak różni się od swego ojca.

– Smoky, złaź!

Kundelek posłuchał, acz niechętnie. Zdjął łapy z kolan Teresy i usiadł naprzeciwko niej, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej twarzy. Jego lodowobłękitne oczy były szeroko otwarte, nadając mu nieco zwariowany wygląd. W połowie czarny, w połowie szary w plamki, tymi swoimi krzywymi, wystającymi z pyska zębami i kozią bródką budził rozbawienie i niepokój. Linia demarkacyjna biegła dokładnie pośrodku mordki. Uszy, teraz postawione, by wyłowić każdy pochodzący od nieznajomej sygnał, porastały kępki zmierzwionej sierści. Jedną łopatkę miał wyżej niż drugą.

– Co mu się stało? – zapytała Teresa.

Dziewczyna podrapała go po plecach.

– Nic. Smoky taki się urodził: koślawy. Nikt go nie chciał i trafił do schroniska. Właśnie tam zawarliśmy znajomość. Szybko się do mnie dopasował, a ja do niego.

Koślawy. Było to idealne określenie, które przypadło Teresie do gustu. Często sama czuła się koślawa.

Dziewczyna też miała oczy jak niebo, tyle że przesłaniała je jakaś nieuchwytna biała mgła. Były niczym mleczne jeziora w drobniutkiej twarzy. Kasztanowe włosy opadały miękką kaskadą, od połowy długości aż do cebulek zostały zabarwione na niebiesko. Brak makijażu, czystość rysów i blada cera sprawiały, że dziewczyna przypominała współczesny renesansowy sen. Teresa zastanawiała się, skąd ten kolor.

– Opowiedz mi o was – poprosiła. – Jak to się stało, że zaczęliście...

– Szukać umarłych? – odpowiedziała dziewczyna. – Ojciec tak to nazywa.

Teresa się uśmiechnęła.

– Zdaje się, że prawidłowe określenie brzmi *human remains detection* – rzekła.

– On o tym wie, ale go to nie interesuje. Tylu ludzi podziela jego zdanie.

– A jakie jest jego zdanie?

Dziewczyna przytknęła dłoń do twarzy. Odkąd Teresa usiadła w jej kuchni, uczyniła to już wielokrotnie. Zdenerwowanie.

– Mówi, że to nie jest zdrowy interes – odparła, muskając torbę z czaszką. – Być może ma rację.

– Według mnie to porywające.

Blanca Zago stanowiła fascynujące odkrycie. Teresie przysłała na myśl sprawa *Śpiącej nimfy*, toteż wyobraziła sobie Blancę, jak z dreszczem podniecenia podąża tropem nieznanym dziewczyny.

Była to fantazja, miała tego świadomość, ale może wcale nie aż taka daleka od rzeczywistości.

– Technicznie Smoky nie jest psem zwłokowym – wyjaśniła Blanca drżącym z onieśmienia głosem. – Szukanie ludzkich szczątków, części ludzkiego ciała to nie to samo co szukanie całych rozkładających się zwłok. On został wyszkolony do wyszukiwania zapachu krwi, kości. Zna odór kadaweryny, ale nigdy nie podsuwałam mu na siłę tych molekuł przy tresurze. – Ponownie przytknęła dłoń do twarzy. – Musimy się dobrze zrozumieć: jeżeli ciało poćwiartowano i zakopano, wtedy Smoky może być użyteczny. W innym wypadku możemy spróbować, lecz to będzie dla niego trudniejsze.

Siłą wyrzucała słowa z ust. Przez chwilę żadna z nich się nie odzywała, po czym obydwie wybuchnęły śmiechem.

– Dziwna rozmowa, wiem – mruknęła Blanca, głaszcząc psa. – Nie chciałabym wyjść na wariatkę.

Teresa potrząsnęła głową.

– Wcale nie sprawiasz wrażenia wariatki – zapewniła. – Jak Smoky się tego nauczył? Nie bój się, nie jestem tu po to, żeby cię osądzać.

Dziewczyna przygryzła wargę.

– Za pomocą paru prostych zapachów, jak choćby zapach torebek herbaty. Zaczęliśmy od imprintingu i wyszukiwania. Potem przeszliśmy do bardziej interesujących materiałów. – Nabrała głęboko powietrza. – Posłużyliśmy się łóżyskiem mojej siostry.

– Łóżyskiem?

– Wiem, to brzmi okropnie, ale łożysko zawiera osiemdziesiąt procent ludzkich zapachów. Nie można było zmarnować takiej okazji...

Blanca mówiła szybko, jakby chciała zdusić w zarodku wszelką wątpliwość.

Teresa nie zapytała, jak zdobyła to łożysko, i cieszyła się, że nie zaproponowała Mariniemu, aby udał się wraz z nią na to spotkanie. Jeszcze by się oburzył i wszystko zepsuł.

– Zapewne dla Smoky'ego to zabawa – powiedziała.

Dziewczyna poklepała się po udach i pies wskoczył jej na kolana. Przytuliła go z tkliwością, która rozczuliła Teresę.

– Dla niego węch jest niesamowicie istotny – stwierdziła Blanca. – Ma znakomity nos i potrzebę posługiwania się nim. Wyszukiwanie za pomocą węchu stymuluje go i zaspokaja. Paru przyjaciół towarzyszyło nam w tej przygodzie. Razem dobrze się bawimy, ale to jest poważna i ciężka praca, chociaż nie domagamy się zapłaty.

Do Teresy dotarło, dlaczego Ambrosini chciał, aby znalazła sposób na skłonienie Blanki do współpracy ze swoim zespołem. Była czujna, a z opowieści komendanta wynikało, że pomimo dwudziestu lat i nieśmiałej natury dziewczyna jest profesjonalistką. Umiejętności jej samej oraz jej kolegów już zostały zauważone i wykorzystane ponad miarę. Ze wszystkich jednak poszukiwaczy najlepsi okazali się ona i Smoky.

Wypróbuj ją, a będziesz zaskoczona, napisał w SMS-ie przyjaciel, leżąc na szpitalnym łóżku.

Teresa przybyła tu targana wątpliwościami. Największą budziła ludzka czaszka, która zdawała się na nią patrzeć przez plastikową folię opakowania.

– Smoky ćwiczy na kawałkach wieprzowiny – wyjaśniła Blanca. – Czasem na fiolkach z Pseudo Corpse Scent: chemicznymi substancjami, które można zamówić przez Internet. Tylko że kadaweryna i putrescyna silnie oddziałują na środowisko.

Dziewczyna chwyciła ją za rękę. Teresa pojęła, że właśnie sprawdza jej reakcję.

– Ale jeżeli chcesz znaleźć ślady ludzkiej krwi, musisz użyć ludzkiej krwi – mruknęła. – Jeżeli chcesz znaleźć szczątki zwłok, musisz użyć kawałków zwłok, świeżych albo zleżałych. Pewnie to nieetyczne. Nielegalne. Lecz nie ma innego sposobu.

Zdecydowanie to nie było legalne i wcale też nie było niezwykle.

Ambrosini o tym wiedział, wiedział także Parri, który bez zbytnich wyrzutów sumienia podjął się kradzieży czaszki z laboratorium Zakładu Medycyny Sądowej. Czaszka stanowiła przedmiot protokołu z sekcji, przeznaczony do zniszczenia w zamkniętej i umorzonych sprawie.

– Od kogo dostajecie materiał dydaktyczny? – zapytała Teresa.

Blanca oplotła jej nadgarstek swymi smukłymi palcami.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – upewniła się.

Teresa wyobraziła sobie, jak dziewczyna liczy uderzenia jej serca. W ten sposób odczytywała jej emocje.

– Niech ci się nie wydaje, że łatwo mnie zgorszysz – ostrzegła.

Odczekawszy chwilę, Blanca zwolniła łagodny uścisk.

– Krwi dostarcza paru przyjaciół – odrzekła. – Mamy też swoje kontakty w szpitalu. No wiesz, tu jakaś próbka pobrana spod skóry, tam amputacja... Co jakiś czas jeden gość z domu pogrzebowego daje nam kadawerynę.

– A jak to robi?

– To nie jest skomplikowane i nie ma nic wspólnego z brakiem szacunku. Po prostu kładzie szmatkę pod karkiem zmarłego, w pierwszych godzinach po zgonie. Niektórych przerażałaby już sama myśl o tym.

– Ci niektórzy mogliby pomyśleć, że to wszystko pewnego dnia pomoże odnaleźć zaginioną osobę i wsadzić mordercę za kratki.

Blanca uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Owszem, czasem to działa.

Teresa przyglądała się, jak dziewczyna sączy herbatę, którą zaparzyła dla nich obu w swojej wysprzątanej kuchni, w nieskazitelnie czystym, choć skromnie urządzonej domu. Miała zaledwie dwadzieścia lat, a już radziła sobie sama.

– Dlaczego przez ostatnie dni mnie śledziłaś? – zapytała.

Blanca powoli opuściła filiżankę. Była wyraźnie zakłopotana.

– Zorientowałaś się – szepnęła.

Teresa nie pojmowała, jak dziewczynie się to udało, lecz właśnie dzięki temu jej ciekawość wzrosła. Albowiem Blanca Zago była niewidoma. Ścisłej biorąc, niedowidząca: jej świat składał się z cieni i mgły, ona zaś była badaczką.

– Gdybym się nie zorientowała, musiałabym zmienić pracę. Wystraszyłaś mnie, wiesz? – odparła.

– Przepraszam. Chciałam się przekonać, z kim będę miała do czynienia. Spinam się, jak muszę poznać nowych ludzi.

Teresa już wcześniej doszła do wniosku, że dziewczyna ma jakieś lęki. Zastanawiała się, co ją do tego doprowadziło.

– Mieszkasz tu sama? – zapytała, chociaż знаła odpowiedź.

Blanca spuściła głowę.

– Szukam współlokatorki, żeby razem płacić czynsz, ale jak na razie nikt nie odpowiedział na ogłoszenie.

Nie sprawiała wrażenia zachwyconej perspektywą otwarcia swego wyjątkowego świata przed obcą osobą, lecz jej otoczenie: wysłużone nieliczne przedmioty, widoczny wszędzie brak zbytku, wymownie świadczyło o takiej konieczności. Teresa była pewna, że nie wynika to z jej upośledzenia, tylko z braku środków finansowych.

– Kim jest mężczyzna, który stale ci towarzyszy? – zapytała nieco skrępowana Blanca, której aż zapłonęły policzki.

Na twarzy Teresy pojawił się uśmiech.

– Chyba mówisz o inspektorze Massimie Marinim.

– Mówię o nim w duchu „picuś-glancuś”. Zawsze pachnie pralnią.

– Ja też tak podejrzewam, wiesz? Taki z niego pedant, że pewnie co tydzień oddaje do pralni wszystkie ciuchy.

– On mi się nie podoba. Wygląda na... sztywniaka.

Teresa uznała, że to najtrafniejsze określenie.

– Zawsze mu powtarzam, że ma w tyłku kij od szczotki – zażartowała.

Blanca wybuchnęła śmiechem, natychmiast jednak spoważniała.

– Znam takich jak on – oświadczyła, bębniąc palcami po stole, ciągle w tym samym rytmie.

Teresa przyjrzała się jej dokładniej.

– A co robią tacy jak on? – zapytała.

Dziewczyna pocałowała Smoky'ego w łebek. Przytknęła do niego wargi na dłużej, niż to konieczne.

– Osądzają – odrzekła ledwie słyszalnym głosem.

Teresa pochyliła się ku niej, jakby chciała się zwierzyć.

– To prawda, Marini trochę taki jest – przyznała łagodnie – ale wydaje się w porządku. Zresztą bawi mnie drażnienie się z nim. Sądzę, że będzie o ciebie bardzo zazdrosny. Dopiero co wyrobił sobie pozycję w zespole, a twoje pojawienie się zbije go z tropu. To chodząca doskonałość, będzie mu się trudno połapać.

Blanca podniosła głowę.

– Połapać w czym?

– W całkowitym braku poszanowania dla zasad, który przyniesie twoja obecność.

Uśmiechnęła się. Była prześliczna, kiedy cień niepewności nie przesłaniał jej twarzy.

– Nie wie, że Smoky wprawia się na kościach z przemytu? – zapytała.

– Tak naprawdę jeszcze mu nic nie mówiłam. Ale wiesz co? Nie mogę się doczekać, żeby to zrobić. Dostanie szau.

Obydwie musnęły palcami czaszkę. Teresie wydało się, że dzięki lekko uniesionym łukom brwiowym można się w niej dopatrzeć jakiejś miny. Śmiesznej miny.

– Uważam, że gdyby nadać jej imię, straciłaby aurę złowieszczości – rzekła.

Blanca chwyciła czaszkę w dłonie. Obróciła w palcach, pogładziła sklepienie.

– To Chuderlak – oznajmiła zdecydowanie po krótkim namyśle.

Teresa przytaknęła. Jej zdaniem „Chuderlak” brzmiał dobrze.

19

O świcie dolina zbudziła się przykryta zasłoną rosy. Woda skrzyła się w kroplach, zmiękczała korę drzew i ześlizgiwała się z ptasich piór. Było to powolne przebudzenie w tajemniczym cyklu, na który składały się świergot, rytmiczny stukot i leniwe dreptanie po poszyciu.

Wilgoć wyzwoliła zielone wonie natury, jakby w powietrzu sączyła się limfa. Nawet bulgotanie rzeki brzmiało wyraźniej w świetle dnia.

W miasteczku już trwała ożywiona krzątania, z jedynej gospody zaś dolatywał zapach kawy.

Gwar gości jeszcze był spokojny, nie licząc Emmanuela: stary wioskowy głupek wyginał się w jakimś starodawnym tańcu, ale na swój sposób, chwiejąc się na nogach z powodu starości i alkoholu, z powodu choroby, która nigdy nie pozwoliła jego umysłowi wkroczyć w dorosłość. Był tak niskiego wzrostu, że wyglądał jak dziecko. Dziecko o pomarszczonej twarzy i uśmiechu niczym klawisze fortepianu. W jednej ręce trzymał pomiętą gazetę. Wymachiwał nią jak gazeciarz podekscytowany nowiną. Tytuł zapowiadał odnalezienie jakiegoś obrazu.

– Tajemnica w końcu zawsze wyjdzie na jaw – wychrypiał wśród napadów kaszlu; w jego oddechu czuć było niemal pół wieku życia. – Prędzej czy później ujrzy światło dzienne, jak kości na cmentarzu, kiedy wyleje rzeka. I śmierdzi, dokładnie tak samo jak one.

Nikt nie zważał na jego słowa. Albo prawie nikt. Ktoś bowiem od dawna go obserwował.

Do kogoś, kto nosił w sobie wściekłość Tikô Wariö, dotarło, że stary Emmanuel nie jest wariatem.

Stary Emmanuel wiedział.

Komenda była betonowym budynkiem o pionowych liniach i ostrych kątach. Szara niczym kamień, pozbawiona ozdób, z rzędami jednakowych okien i filarami, które wyglądały jak srodzy strażnicy, przywodziła na myśl sprawność w działaniu. Była surowa niczym forteca, a także odrobinę przygnębiająca.

Z kolei jej korytarze wywoływały odmienne skojarzenia: nieustanna krzątająca detektywów i funkcjonariuszy sprawiała, że budynek żył, nadawała mu wygląd trybów maszynierii, co podobało się Massimowi. Tu, w środku, wiedział, co ma robić, jak pokierować myśli ku czemuś konstruktywnemu.

Gdy tylko przekroczył próg, poczuł się lepiej, zupełnie jakby było to jedyne miejsce, w którym jego umysł odzyskiwał jasność i równowagę.

Pokój, który dzielił z komisarz Battaglią, był pusty. Zaskoczyło go to, po raz pierwszy, odkąd ją znał, nie zastał jej jeszcze w pracy. Udał się do Parisiego i De Carlego. Zapukał i zajrzał do środka.

– Widział ktoś Battaglię? – zagadnął.

– Tak na początek dzień dobry – odparł De Carli, nie podnosząc wzroku z nad filiżanki, w której właśnie mieszał kawę.

– Okej, dzień dobry. Widzieliście ją?

– Jeszcze nie – odrzekł Parisi. – Wiem, że siedziała tu przez całą noc, pewnie została w łóżku trochę dłużej.

Marini nie uwierzyłby nawet wtedy, gdyby zobaczył to na własne oczy. Wśliznął się do pokoju i zamknął drzwi.

– Wiesz, jak jej poszło spotkanie z Loną? – zapytał. Zwykle Parisi był doskonale zorientowany w każdym słowie, jakie padło w tych murach, i we wszystkim, co się tu działo.

Jego kolega dopił kawę jednym haustem.

– Nic ci nie mówiła?

– Rozmawiamy o Battaglii...

Parisi wzruszył ramionami.

– Nie wiem nic na pewno – powiedział – ale podobno pojedynek zakończył się wynikiem jeden zero dla niej.

Massimo oparł się o biurko.

– W jakim sensie?

– Tak twierdzi gość z dyżurki. Słyszał, jak komendant skarży się komuś przez telefon. Z tonu jego głosu wywnioskował, że komuś ważnemu. Battaglia musiała coś chlapnąć, jak to ma w zwyczaju.

Massimo zaklął pod nosem.

– Nigdy nie potrafi trzymać języka za zębami – rzucił.

Ruszył do drzwi, po czym zmienił zdanie i się odwrócił.

– Co między nimi zaszło? – zapytał. – Skąd taka wrogość?

Koledzy popatrzyli po sobie.

– Nie mamy pojęcia. Nikt nie ma, ale możesz to nazwać nienawiścią – odparował De Carli.

Obserwując ich, Massimo był pewien jednego: kłamali. Po raz kolejny wznosili wokół niej mur obronny, za który on, świeżak, jeszcze nie miał wstępu.

– Kiedyś będziecie musieli mi powiedzieć – oświadczył. – Będziecie musieli mi powiedzieć, co jej się przydarzyło.

– Nie sądzisz, że ona powinna to zrobić? – odezwał się De Carli.

– Rzeczywiście, idę jej poszukać.

Parisi rzucił mu kopertę, którą Massimo złapał w locie.

– Co to jest?

– Wieści w sprawie *Śpiącej nimfy*.

Massimo jej nie otworzył.

– Znalazłeś jakichś świadków? – zapytał.

– Nie, nikogo żyjącego. Tylko że ja tak łatwo się nie poddam. Ale mam coś równie dobrego.

– Czyli...?

– Proboszcza słoweńskiej parafii, w której znaleziono Andriana.

- Proboszcza?
 - Dlaczego cię to dziwi?
 - Co ksiądz ma wspólnego z Andrianem? Był na miejscu?
 - Nie, jego tam nie było, za to jego poprzednik, ojciec Jakob, tak.
 - Ten cały ojciec Jakob nadal żyje?
 - Nie, zmarł.
 - Powiedz, że coś po sobie zostawił.
- Parisi rozłożył ręce w geście zadowolenia.
- Owszem, coś po sobie zostawił.

Massimo wypadł za próg, nie uszedł jednak daleko.

Na środku korytarza stał Albert Lona i się weń wpatrywał. Tak jakby na niego czekał. Gdy Massimo się zbliżył, komendant podał mu rękę.

- Inspektorze Marini, wreszcie możemy się poznać.

Massimo uściśnął mu dłoń. Jej chwyt był mocny, ale wbrew oczekiwaniom pozbawiony agresji. Komendant sprawiał wrażenie dżentelmena i nic w jego zachowaniu nie pozwalało przypuszczać, że jest inaczej. Mimo to Massimo instynktownie zapragnął jak najszybciej cofnąć rękę.

- Dzień dobry, panie komendancie – przywitał się.

– Przykro mi, że zabrakło mi czasu na oficjalne zebranie, ale jak pan się domyśla, moje pojawienie się tutaj nie było planowane. Wiem, że należy pan do zespołu komisarz Battaglii. Współpracujecie z zastępcą prokuratora Gardinim nad sprawą zakrwawionego portretu.

Massimo nie lubił niedomówień. Obraz nie był zakrwawiony. Został namalowany krwią. To różnica. Dotycząca zamiarów, kontekstu psychologicznego, faktów, które doprowadziły do tego czynu, a także jego konsekwencji. Ograniczył się jednak tylko do skinienia głową.

– Świetnie – rzekł wolno Lona. Świdrował go wzrokiem, wcale się z tym nie kryjąc. Troskliwie wziął go pod ramię i zaprosił na mały spacer.

– Razem wstąpiliśmy do policji, ja i komisarz Battaglia, wiedział pan o tym? – zaczął swą opowieść. – Byliśmy... przyjaciółmi. Po tylu latach zaskoczyło mnie, że ona nadal tkwi tutaj, w punkcie wyjścia. Nie ma zresztą łatwego charakteru,

jestem pewien, że zdążył pan to już zauważyć. Przyzna pan, że dla kogoś, kto nie wykazuje właściwej postawy, upadki mogą być bolesne.

Lona przystanął i obdarzył młodego inspektora przyjacielskim spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że znajdę w panu bardziej chętnego rozmówcę od komisarz Battaglii. Myślę, że wszystkim się to opłaci.

W tej pozornej propozycji Massimo wyczuł ukrytą groźbę. Ten człowiek naprawdę był niebezpieczny.

– Będę pana informował o postępach w śledztwie – odrzekł.

Lona pokiwał głową, nie okazując zdziwienia.

– Liczę na to, inspektorze Marini. Jak na razie nic nowego?

Jego wzrok spoczął na kopercie, którą Massimo ścisnął w dłoni.

– Nie. Nic nowego.

Lona zerknął na zegarek.

– W takim razie proszę mnie zawiadomić, jak tylko coś się pojawi.

Zaczął się oddalać. W powietrzu unosił się zapach jego wody po goleniu. Massimo skojarzył go w myślach z zapachem drapieżnika. Drapieżnika, który stosuje subtelne taktyki maskujące jego prawdziwą naturę. Dzięki której wabi i uspokaja ofiarę, zanim ją pożre.

Uświadomił sobie, że właśnie okłamał zwierzchnika. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie to możliwe. Miał przyspieszony oddech, serce waliło mu jak młotem.

Był to strach. Nie o siebie, tylko o nią.

– Aha, inspektorze... – Lona cofnął się o parę kroków. – Zastanawiam się nad celowością wszczęcia postępowania dyscyplinarnego wobec komisarz Battaglii i możliwe, że będę musiał również usłyszeć, co pan ma do powiedzenia. Komisarz sprawia na mnie wrażenie... zagubionej. Zauważył pan?

Lona nie czekał na jego reakcję, a dla Massima tak było lepiej. Nie zdołałby wykrztusić odpowiedzi.

Frank Sinatra śpiewał *Fly me to the moon*. Orkiestra Williama „Counta” Basiego dawała popisy wirtuozerii, a dźwięki jej muzyki wibrowały w powietrzu. Melodia przywoływała obraz rozświetlonego kolorami parkietu do tańca w stylu lat sześćdziesiątych.

Teresa otworzyła jedno oko. Potem drugie. Promienie słońca zalewały salon, celując jej w twarz.

Obudził ją jakiś natarczywy dźwięk, lecz nie był to baryton Franka. Usiadła i odsunęła pled. Na poduszkach kanapy pozostało zagłębienie wyżłobione przez jej ciało.

Dzwonek odezwał się ponownie.

Teresa podniosła się zdezorientowana. W odtwarzaczu nadal kręciła się płyta, lampy paliły się przez całą noc, ona zaś nie zachowała ani jednego wspomnienia z powrotu do domu.

Ciągle zaspana, dopiero po chwili zdołała odczytać godzinę.

– Cholera.

Rozejrzała się dokoła. Klucze do mieszkania leżały na stoliku przy kanapie, torba wisiała na wieszaku, buty stały obok siebie przy drzwiach. Rachunek od taksówkarza znajdował się na konsoli przy wejściu. Sprawdziła datę i godzinę. Oto jak wróciła do domu.

Rozległo się głośne pukanie. Jeszcze jeden dzwonek. Teresa zawiązała pasek kimona i otworzyła drzwi.

Marini obejrzał się z nogą już na schodku wiodącym ku alejce. Jedną ręką w kieszeni, marynarka przewieszona przez ramię i jedwabny krawat wcale nie kłóciły się z muzyką w tle. Była w nich elegancja z dawnych czasów.

Wpatrywał się w Teresę, jakby nigdy przedtem jej nie widział. Potrafiła sobie wyobrazić jego myśli, podobnie jak własny wygląd: rozczochrane włosy, ślady

poduszki odciśnięte na twarzy. I szlafrok, który ledwie sięgał kolan.

– Nigdy nie widziałeś kimona? – zapytała, opierając się o futrynę.

Odwrócił wzrok zakłopotany.

– Martwiłem się – wyznał. – Kiedy pani spała...

– Ostrożnie z tą ironią.

Massimo skrzyżował ramiona i spojrzał w górę. Najwyraźniej robił wszystko, żeby nie patrzeć na Teresę.

– Kiedy pani spała – ciągnął – komendant Lona dość jasno dał mi do zrozumienia, z kim powinienem trzymać. Zagroził też pani: zastanawia się nad wszczęciem wobec pani postępowania dyscyplinarnego.

Teresa pozostała niewzruszona, chociaż w środku aż się gotowała. Spodziewała się tego ataku, nie sądziła jednak, że spadnie na nią tak prędko. Szybki awans sprawił, że Albert zrobił się mniej ostrożny i bardziej drapieżny.

– Co ci powiedział? – zapytała.

W końcu Marini przestał unikać wzroku Teresy.

– Na temat waszej wspólnej przeszłości? Nic, jeśli właśnie to najbardziej panią niepokoi. A widzę, że tak jest. Nie zapyta pani, czy zamierzam przyjąć jego ofertę?

Teresa poczuła, że się uśmiecha, chociaż jej życie skomplikowało się już ponad wszelkie wyobrażenie.

– Nie muszę, inspektorze – odrzekła.

Marini się rozpromienił. Pomachał jej przed nosem kopertą.

– Co to jest? – zapytała.

– Wieści z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, pani komisarz. Czy zechciałaby się pani teraz ubrać? Bo widok pani w takim stanie mnie krępuje.

Bovec. Plezzo. Flitsch.

Trzy nazwy w trzech różnych językach – słoweńskim, włoskim i niemieckim – dla oznaczenia tego samego zamkniętego pomiędzy Alpami miejsca, punktu, w którym stykają się trzy narody, gdzie jeden krok za dużo już przenosi człowieka na drugą stronę granicy. Była to ziemia o dotkliwej przeszłości, niedopatrznie, o którym powiadano, że zaciążyło na charakterze ludzi. Zbyt często przechodziła z rąk do rąk, by nie nosili w swoim DNA dawnego bólu.

Na powierzchni nie widać ani śladu tego bólu, pomyślała Teresa. To właśnie naturalna sceneria, w jakiej rozciągał się krajobraz, w parku Triglav, oparła się wszelkim zmianom na przestrzeni tysiącleci. *Triglav* oznacza trójróg: od północy, od wschodu i od południa wysoką dolinę zamykają potężne szczyty, naga i szpiczasta skała wznosząca się ponad migotliwą zielenią gęstych lasów. Przecina ją rzeka Socza, zdaniem wielu najbardziej malownicza w Europie. Połyskująca turkusem woda wyźłobiła wapienną powierzchnię i wdzierała się naturalnymi korytarzami, tworząc kaskady o opalizujących refleksach i nieskażone źródła.

Pośród łąk, ciągnących się w nieskończoność wzdłuż drogi na Bovec, dało się dostrzec typowe słoweńskie wiejskie domy o spadzistych dachach, ukwieconych poddaszach i drewnianych tarasach.

Marini prowadził jedną ręką, druga zwisała swobodnie przez okno. Wiatr przepływał mu między palcami.

– Urocze – stwierdził, wskazując domy.

– Nazywają się *zidanice*.

– Co jest napisane na tych wywieszkach?

– Właściciele sprzedają warzywa, śliwowicę, miód. Inni wynajmują letnikom *soby*: pokoiki wygospodarowane na poddaszu albo uzyskane na tyłach domu po często fantazyjnych przeróbkach. W czasach komunizmu posiadanie *soby* sprawiało, że te rodziny, zamiast głodować, wiodły godne życie.

Dotarli do Bovecu, miasteczka liczącego niecałe dwa tysiące dusz, chociaż roiło się w nim od ludzi: zafascynowanych trekkingiem i raftingiem turystów. Marini zaparkował przed gostliną z już funkcjonującym typowym różnem na wolnym powietrzu. Kilka uliczek dalej rysowała się kościelna dzwonnica.

Gdy wysiedli z samochodu, Teresa rozprostowała plecy i zrobiła parę skrętoskłonów. Góry stanowiły milczące, co nie znaczy słabsze wezwanie do refleksji. Zastanawiała się, skąd nadszedł Andrian tamtego dnia w odległej przeszłości. Jakie ścieżki przemierzały jego stopy i jakie widoki przelatywały mu niepostrzeżenie przed oczami.

– *Dobrodošli*. Komisarz Battaglia?

Teresa się odwróciła. Po drugiej stronie drogi wpatrywał się w nią ksiądz, siedzący okrakiem na rowerze górskim. Zadarta sutanna, przypięta klamerkami,

odslaniała umięśnione łydki. Kapłan miał na stopach buty sportowe w jaskrawych kolorach, a na głowie modnie nastroszoną fryzurę. Był młody i opalony.

– To ja – odparła. – Ojciec Georg?

Twarz kapłana rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

– Tak. Dzień dobry. Jeśli się pani zastanawia, jak panią rozpoznałem – oznajmił, podnosząc dłoń, w której trzymał komórkę – odpowiem, że Google podaje mnóstwo informacji na pani temat.

– Brzydko wychodzę na zdjęciach.

– Przeciwnie. Proszę za mną, plebania jest z tyłu.

Wewnątrz kościoła panował chłodny półmrok i unosił się zapach pszczelego wosku. Teresa wyobraziła sobie sędziwą miejscową kobietę całymi godzinami froterującą ławki w maleńkiej nawie, upiękkszzonej pęczkami stokrotek i kłosami pszenicy. Na ścianach wisiały sprawiające wrażenie starych, nieco ponure obrazy. Przedstawiały świętych i męczenników o smutnym wyrazie twarzy.

Ojciec Georg przykląkł przed ołtarzem i uczynił znak krzyża.

Teresa i Marini czekali, stojąc za jego plecami.

Proboszcz trwał w tej pozycji przez kilka chwil, ze spuszczoną głową. Kiedy się wyprostował, skinął, by podążyli za nim.

– Tędy – powiedział.

Weszli do pomieszczenia przylegającego do ambony. Był to przedsionek, w którym znajdowały się ławka, wieszak i wiszące na ścianach fotografie Jana Pawła II.

– Tutaj nadal bardzo go kochają – wyjaśnił ksiądz, spostrzegłszy spojrzenie Teresy. – Ale ten ostatni też ma licznych fanów.

Teresa się uśmiechnęła.

– Przyznaję się, że nie jestem wierząca – zastrzegła.

Popatrzył na nią z lekkim zdziwieniem.

– A czego się pani chwyta, kiedy w swojej profesji styka się pani ze złem?

Pytanie było przeraźliwie poważne, Teresa zaś się go nie spodziewała.

– Współczucia, ojczy – odrzekła.

Ważył przez moment jej słowa, po czym pokiwał głową.

– Trudny wybór – powiedział. – Współczucie to przymiot, który przynosi cierpienie.

– Bardzo dobrze mówi ksiądz po włosku – zauważył Marini.

– Moja matka była Włoszką, a ja przyjąłem święcenia we Włoszech. Przez krótki czas sprawowałem posługę w pewnym miasteczku w Abruzji, niedaleko Chieti. Proszę dalej, moje mieszkanie jest tam.

Otworzywszy kolejne drzwi, wpuścił ich do saloniku, który przypominał Teresie salon jej dziadków. Siedzenia pluszowej kanapy i fotela były wytarte. Na podłokietnikach leżały w idealnej symetrii haftowane poduszki. Szklany stoliczek przykrywała zrobiona na szydelku serweta. Na lśniącym orzechowym kredensie nie było nawet grama kurzu. Wszystkie sprzęty były stare, za to pachniały czystością. Nad drzwiami widniał krucyfiks z gałązką oliwną.

– Proszę się rozgościć. Napiją się państwo mrożonej herbaty? A może czegoś innego?

– Mrożona herbata będzie w sam raz, dziękujemy.

Ojciec Georg zniknął, jak przypuszczała Teresa, w kuchni. Usłyszała brzęk naczyń, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek do spiżarni.

Po chwili ksiądz powrócił, niosąc tacę, a na niej trzy szklanki i karafkę. Postawił ją na stoliku i znowu zniknął. Gdy na nowo się pojawił, ostrożnie trzymał w dłoni jakąś kopertę. Rozsiadł się w fotelu i położył ją sobie na kolanach.

– Przez telefon państwa kolega wspomniał coś o sprawie, nad którą właśnie państwo pracują – zagadnął, częstując ich napojem. – Od razu sprawdziłem w dziennikach ojca Jakoba i mogę państwa zapewnić, że jest w nich coś na ten temat, chociaż nie sądzę, żeby na wiele się zdało. To są zwykłe kroniki z epoki, bez żadnych pretensji do zgłębiania faktów ani do skrupulatności.

Teresa upiła łyk herbaty, odstawiła szklankę i spojrzała na księdza.

– Jestem tego świadoma, ojcze, ale zważywszy, że mówimy o końcu drugiej wojny światowej i że jak dotąd to jedyne źródła, jakimi dysponujemy, już i tak uważam się za szczęściarę, mogąc do nich zajrzeć – odparła.

– Dobrze, mam nadzieję, że okażą się pomocne. Ojciec Jakob chciał, aby dzienniki przechowywano w kościółku Świętego Leonarda, niedaleko stąd, lecz kuria nie wyraziła na to zgody z powodu wilgoci. Święty Leonard jest położony w lesie Ravne, między Bovecem a fortecą Kluže. Byli tam państwo kiedyś?

– Nie.

Teresa przyglądała się, jak ojciec Georg wyjmuje z koperty rękawiczki, po czym wsuwa w nie dłonie. Były białe, jedwabne, takie jakie mają w wyposażeniu konserwatorzy i osoby pracujące z dziełami sztuki i znaleziskami archeologicznymi.

– Dla ludzi Bovecu kościół Świętego Leonarda ma wyjątkowe znaczenie – wyjaśniał dalej kapłan. – Znaleźli w nim schronienie w czasie najazdu tureckiego w szesnastym wieku. To właśnie za sprawą cudu Świętego Leonarda najeźdźcy nie zauważyli kościółka i przejechali obok, nie dokonawszy rzezi. Ojciec Jakob poprosił, aby pewnego dnia jego dzienniki złożono tam, albowiem twierdził, że na ich kartach spisane zostały wydarzenia tak potwornej i krwawej wojny, że mieszkańcom Bovecu udało się przeżyć po raz kolejny wyłącznie dzięki wstawiennictwu Świętego Leonarda.

Teresa przytaknęła. Uważała się za agnostyczkę, szanowała jednak przekonania wierzących, zwłaszcza gdy w swoim życiu zetknęli się z okropieństwami jednego z najmroczniejszych okresów ludzkości, a mimo to nie utracili wiary.

Ojciec Georg wydobyl z koperty zawiniątko. Ostrożnie rozchylił rąbki materiału, odsłaniając zeszyt. Był owinięty w błękitny papier o nieco postrzępionych brzegach. Widniała na nim ładnie wykaligrafowana cyfra osiem, a poniżej, jak mniemała Teresa, nazwisko autora.

– Nie udało mi się skserować interesujących panią komisarz stron, ponieważ wymagałoby to zezwolenia kurii, a wiem, że raczej się pani spieszy. A poza tym potrzebowałaby pani tłumacza, żeby je odczytać.

– Proszę się nie przejmować. Jeżeli nie ma ksiądz nic przeciwko temu, zrobię notatki – odparła Teresa, szukając w torebce notesu.

– Dobrze. Będę tłumaczył z najwyższą starannością.

– Dziękuję, ojcze.

Kapłan otworzył dziennik z niemal uroczystą pieczołowitością. Grube i pożółkłe kartki szeleściły pod palcami.

– Kilkadziesiąt lat oddziaływania wilgoci – wyjaśnił. – To ósmy zeszyt z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, przedostatni. Ojciec Jakob zapisał ich w sumie dwadzieścia trzy.

Teresa wyciągnęła szyję, by lepiej widzieć. Notatki zostały sporządzone gęstym, lecz starannym pismem. Przemknęło jej przez głowę, że przekonanie się o wartości pamięci, kiedy osoba, która mogłaby ją przekazać, już dawno odeszła, to naprawdę okrutny żart. Powróciła myślami do rodziców i dziadków, którzy przeżyli wojnę i zachowali o niej wyraźne wspomnienia. Tak wiele razy próbowali Teresie o niej opowiedzieć. Będąc małą dziewczynką, słuchała jednym uchem. Jakże potężny w młodości pęd do życia odsuwał na bok niedole przeszłości. Teraz na myśl o tym czuła się uboższa.

– Człowiek, który państwa interesuje, pojawił się w zapiskach dziewiątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku – ciągnął ojciec Georg. – Rzecz jasna jego nazwisko nie było jeszcze znane. Teraz przeczytam państwu ustęp. Od początku, aby mogli państwo stworzyć sobie obraz tych strasznych dni.

Teresę uderzyło to wyjaśnienie.

– Uważa ksiądz, że skutki wojny mogą być okolicznością łagodzącą dla ewentualnego zabójstwa? – zapytała.

Ojciec Georg przeszył ją tak intensywnym spojrzeniem, jakie rzadko spotykała u innych.

– Uważam, że śmierć pociąga za sobą śmierć, pani komisarz, nawet w najczystszych sercach. Wielu porządnych ludzi zabiło w obronie własnej, a wielu innych by to zrobiło, gdyby ich zmuszono.

– Nie takich słów spodziewałem się po kapłanie – odparował Marini.

Ojciec Georg pogładził kartkę.

– Nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, czym jest wojna, panie inspektorze – powiedział. – Wojna, która wkracza do twojego domu, bije twoje dzieci i gwałci ci żonę. Proszę posłuchać, zanim pan wyda osąd.

Bovec, 9 maja 1945 roku

Konflikt, w wyniku którego świat spłynął krwią, zakończył się na papierze i w proklamacjach, ale na tym skrawku Jugosławii nadal słychać echo jego tragicznej przemocy. Nocami wciąż świszczą kule żołnierzy IX Korpusu marszałka Tita. Nawet wcale nie tak odległe. Niektórzy z nich przestali być ludźmi, zamienili się w żądne krwi bestie, tak jakby nie dość już wsiąkło jej w ziemię. Wydają się jej łaknąć, nawet krwi własnych pobratymców, a my drżymy ze strachu. Zapomnieli o wszelkich ideałach, o odpowiedzialności

i powinnościach. Nie wiedzą już, co to honor. Panoszą się jak królowie zła, tchórzliwie zasłaniając się cuchnącym płaszczem bezkarności.

Wojna zasiewa w ludzkiej duszy ziarno, które wydaje żałobne owoce. Z ich ziarna wykiełkowały kwiaty najbardziej ohydneho zła, skierowanego przeciw bezbronnym. Kobiety nie mogą już opuszczać wiosek, by udać się na pole, chyba że w towarzystwie mężczyzny. Zwierzęta nie są bezpieczne na pastwiskach, a często nawet w oborach i stajniach. Starcy mieszkający w domach na uboczu są katowani i pozbawiani nędznego dobytku. Grabieże, bójki i akty przemocy – właśnie tak zostaną zapamiętani żołnierze, o których zamierzam napisać.

Dzisiaj o świcie przybyli do Bovecu. Oddział niedobitków złożony z dziewięciu członków. Diabły.

Dowódca, który nigdy nie wyjawiał swojego stopnia, kazał do siebie mówić Mika. Twarz przecinała mu na pół stara szrama, chociaż moim zdaniem nie miał nawet czterdziestu lat.

Wypędzili nas wszystkich na ulicę tylko w tym, w czym spaliśmy, z ledwie trzymającymi się na nogach starcami i chorymi włącznie. Przeczesałi dokładnie całe miasteczko. Wyszczekiwali rozkazy. Walili na oślep każdego, kto ociągał się w drzwiach albo ośmielił się podnieść wzrok. Szukali przeciwników Tita, wrzeszczeli, żeby wydać ich bez wahania. Nie ma potrzeby mówić, że w miasteczku nie było żadnego przeciwnika, tylko przerażone dusze, które się łudziły, że odzyskały trochę spokoju.

Przetrząsnęli każdy dom i każdą oborę. Zjedli naszą strawę przy naszych stołach i pobili kilku mężczyzn, dwóch z nich to były jeszcze prawie dzieci, żeby skłonić pozostałych do mówienia. Wywlekli ich na rynek i okładali kolbami karabinów aż do utraty przytomności. Bałem się o kobiety, na które te potwory patrzyły z dziką pożądliwością, zwłaszcza kiedy ich uwagę przykuła młoda Maja Belec. Wrzeszczała ze strachu, kiedy zadarli jej spódnicę aż do pasa, obnażając jej nagość przed wszystkimi. Łzy dziewczyny tylko podsyciły ogień ich niegodziwości. Jej matce ogolili głowę, bo jak twierdzili, jest podejrzana o kolaborację z nazistami, wyłącznie dlatego, że miała czelność spojrzeć na nich nie tak, jak trzeba.

Dzięki Bogu, za sprawą niewątpliwego wstawiennictwa Świętego Leonarda, dalej się nie posunęli.

Zostali aż do zmierzchu. W końcu, nasyciwszy się jedzeniem i naszym przerażeniem, wyruszyli na dalsze poszukiwania do lasu i więcej ich już nie zobaczyliśmy.

Niestety wizyta żołnierzy IX Korpusu nie była jedynym fatalnym wydarzeniem tego dnia.

Drwal Zoran Pavlin natknął się w lesie na ciało mężczyzny. Wymazanego krwią nieboszczyka, który jeszcze oddychał, tak powiedziała mi żona drwala, kiedy po mnie przyszła.

Czym prędzej pognałem do ich domu. Pavlinowie umieścili mężczyznę w oborze. Mogę z całą mocą zaświadczyć, że sprawiał wrażenie martwego, a przecież oddychał. Jak się

przystawiło lampę, dało się dostrzec nieznaczny ruch podnoszącej się i opadającej klatki piersiowej.

Był pokryty krwią i błotem, których nie zmył nawet deszcz. Jaskrawoczerwony, wydzieliał odór śmierci.

Zwinięty na słomie niczym płód w mrocznym łonie, które go poczęło, wyglądał jak diabeł. W jednej ręce trzymał skórzane zawiniątko, którego nie wypuścił nawet wtedy, gdy stracił przytomność. Próbowałem rozewrzeć mu palce, ale miał taką siłę, że nie zdołałem.

Jego ubranie było poszarpane, w wielu miejscach rozdarte i przesiąknięte krwią, toteż pomyślałem, że jakaś poważna rana niemal pozbawiła go życia. Myliłem się.

Rozebraliśmy go. Żona drwala przyniosła gorącej wody i czyste szmaty, którymi go obmyliśmy: poza paroma powierzchownymi zadrapaniami na ramionach i udach młodzieniec nie miał innych ran. Krew nie była jego.

Szczegół ten nami wstrząsnął, popatrzyliśmy sobie w oczy i ledwie dosłyszalnie wyszeptaliśmy myśl, która uderzyła nas w tej samej chwili: czyżbyśmy przyjęli w nasze progi okrutnego mordercę?

Ojciec Georg przerwał czytanie.

– To samo pytanie, na które stara się pani znaleźć odpowiedź, pani komisarz – rzekł. – Po siedemdziesięciu latach.

Teresa przytaknęła poruszona do głębi opowieścią. Między nią a Marinim odbyła się milcząca wymiana zdań za pośrednictwem krótkich spojrzeń: Alessio Andrian był umazany krwią, która nie należała do niego. Pogłoski o mrocznej tajemnicy, jaką owiane było jego odnalezienie, teraz się potwierdziły.

Teresa ponownie skierowała wzrok na ojca Georga.

– Czy ojciec Jakob napisał coś jeszcze na ten temat? – zapytała.

– Kilka notatek w ciągu kolejnych dni. Zaraz poszukam odpowiednich fragmentów.

Kapłan przesunął palcem po stronicy.

– Mam – oświadczył i przystąpił do głośnej lektury.

11 maja 1945 roku. Młodzieniec nadal jest nieprzytomny. Trawi go wysoka gorączka, a w nocy zaczął majaczyć. Wypił zaledwie pół szklanki wody, chyba jest odwodniony. Zastanawiam się, od jak dawna nie je. To włoski partyzant, domyśliliśmy się tego po chustce, którą nosił na szyi. Zoran Pavlin mówi, że może zanieść wiadomość jego towarzyszom. Jeśli chłopak będzie miał szczęście, wkrótce po niego przyjdą. W dłoni ciągle

ściska coś, co wygląda mi na rysunek. Więcej nie próbowałem mu go odebrać, bo moje usiłowania go drażnią, tak jakbym starał się pozbawić go życia: na chwilę, dosłownie na jedną chwilę, uniósł powieki i wpatrzył się we mnie czarnymi, płonącymi oczami. Jego zaciśnięte wargi wyrażały niemy krzyk ostrzeżenia, żebym go nie dotykał.

Teresa powróciła myślami do Andriana, do tego, jak dzień wcześniej starzec z niespodziewaną siłą przytrzymał dłonią zdjęcie rysunku. Być może z siłą obłąkanego.

– Rzeczywiście był to rysunek wykonany przez niego samego – powiedziała, pokazując ojcu Georgowi fotografię *Śpiącej nimfy*. – Data wskazuje dwudziesty kwiecień tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Zastanawiam się, co przez ten czas porabiał Alessio Andrian.

Kapłan wziął fotografię i obejrzał ją z uwagą.

– Błąkał się po lasach – odparł w zadumie. – Bez jedzenia, bez picia. Wstrząsany gorączką. To doprawdy bardzo sugestywne dzieło o nader wyrafinowanej formie.

– Być może Andrian był w głębokim szoku. Pytanie brzmi: co mogło spowodować aż tak silne wzburzenie? Czyja śmierć?

Ojciec Georg pokręcił głową.

– Istota ludzka jest zdolna zabić, i czasem to robi, ale to nie znaczy, że zabijanie sprawia jej przyjemność, że to jej wybór – oznajmił.

– Chce ksiądz przez to powiedzieć, że być może Andrian zabił w obronie własnej? Przecież miał tylko kilka powierzchownych zadrapań. Obrona nieproporcjonalna do ataku. Przypuśćmy, że ofiarą jest kobieta. Ojciec Jakob napisał, że dla młodych te lata były niebezpieczne...

– Nigdy nie słyszałem, żeby wasi partyzanci dopuszczali się gwałtów w tych stronach ani przy granicy. Nie chełpię się wiedzą na temat tego, co się wydarzyło, ani tym, że potrafię wejrzeć w duszę człowieka, którego nawet nie znam, a któremu zarzucacie morderstwo, popełnione być może w czasie wojny, ale jednego jestem pewien: sporządzony przez ojca Jakoba opis stanu, w jaki popadł ten młodzieniec, nie przywodzi mi na myśl bezlitosnego mordercy. Dostrzegam u niego raczej głęboką rozpacz. Nie zgadza się pani ze mną?

Teresa wzięła zdjęcie, które wręczył jej duchowny.

– Andrian to człowiek chory, ojciec. Jego umysł nie jest... zdrowy, może nigdy nie był.

– Pani kolega zdradził mi parę szczegółów sprawy, kiedy się ze mną skontaktował. Uważam, że było to konieczne, abym pojął, jak ważna jest moja pomoc. Być może ten malarz odebrał komuś życie, żeby narysować swoje dzieło.

Palce Teresy muskały przez chwilę twarz Nimfy.

– To, co ksiądz nazywa rozpaczą – rzekła – ja określiłabym jako psychiczne niedomaganie, tak silne, że owszem, doprowadziło go do morderstwa.

– W każdym razie nie był to nikt z Bovecu ani okolic. Nie doniesiono o żadnym wypadku nagłej śmierci ani o zaginięciu w tym okresie. Ojciec Jakob z pewnością nie omieszkałby o tym wspomnieć.

– Skąd ksiądz zdaniem mógł nadejść Andrian?

– Trudno powiedzieć. Zarówno od strony doliny, która otwiera się na zachód, jak i z pobliskiej przełęczy, bardziej na północ. Niedaleko leży granica, która schodzi wzdłuż całego terytorium, od Alp po Adriatyk.

– Czy notatki ojca Jakoba na ten temat tutaj się kończą?

Kapłan przerzucił kilka kartek.

– Tak, przykro mi. Jest tylko parę linijek mówiących o tym, że młodzieniec nie odezwał się ani słowem, nie wydał nawet jednego westchnienia. Partyzanci zabrali go nazajutrz i wszelki śluch po nim zaginął, nie znano nawet jego imienia. Aż do wczoraj.

– W porządku – skwitowała Teresa. – Dziękuję księdzu.

Kapłan z powrotem owinał dziennik.

– Chciałbym być bardziej pomocny, pani komisarz. Jak już mówiłem, zapiski nie dostarczają istotnych informacji.

– Mimo to okazały się użyteczne, abym wyrobiła sobie dokładniejszy pogląd na sprawę.

Podnieśli się z miejsc. Nagle w torbie Teresy zadzwoniła komórka.

– Proszę wybaczyć, muszę odebrać.

Oddaliła się kilka kroków, po czym odpowiedziała na telefon Parriego.

– Mów, Antonio.

Patolog nie bawił się w uprzejmości.

– Przyjedź do mojego biura, Tereso, jak tylko będziesz mogła. Mam superciekawe nowiny.

– Przyszły wyniki badań genetycznych?

– Tak.

Powściągliwość Parriego wydała się Teresie dziwna. Zwykle nie kazał się ciągnąć za język.

– Nic więcej nie zdradzisz? – zapytała.

– Prawdę powiedziawszy, to raczej rozmowa na dłużej, w dodatku nie ma związku z medycyną.

– W takim razie z czym?

– Ni mniej, ni więcej, tylko z tysiącczterechsetletnią historią. Pospiesz się, czekam.

Maj 1945 roku

Tej nocy księżyc przybrał krwistoczerwoną barwę. Wyłonił się zza szczytu góry Kanin w purpurowej, zwiewnej poświacie. Zły znak, uznała żona drwała.

Nie był to jedyny znak. Kilka dni wcześniej jedna z kóz wydała na świat czarne jak smoła i w dodatku jednookie koźlątko, które ugryzło matkę, jeszcze zanim zaczęło oddychać.

Drwał kazał poświęcić oborę i zatroszczył się o maleństwo bardziej niż o pozostałe zwierzęta, tak bowiem radzi mądrość ludowa: zapal Bogu świeczkę, a diabłu dwie, powiadano. Zła należy się bać, ale w razie czego także je sobie zjednać.

Od tamtego dnia nie mógł spać, a teraz krwawy księżyc tylko wzmagął jego niepokój.

Odsunął od siebie złowieszcze myśli, ruszywszy w głąb lasu, przyświecając sobie latarenką, z żoną uczepioną jego ramienia.

Chciałby się znaleźć we własnym łóżku, zasnąć snem sprawiedliwych, ale najpierw musiał coś zrobić, aby uwolnić swój dom od złego uroku.

Rankiem titowcy z IX Korpusu przeszli tędy, od jego ziemi aż do lasu, i z powrotem. Był zmuszony oddać im świeżo wydojone mleko i lochę.

Szukali dezerterów, ich żądza krwi dorównywała zaś jedynie apetytowi na jedzenie, które odbierali innym.

Słyszał, jak rozmawiali o jakimś młodzieńcu, który zginął w lesie, niedaleko jego pola. Te bestie zostawiły go tam bez chrześcijańskiego pochówku.

Żona długo wierciła mu dziurę w brzuchu, owa dusza, której odmówiono przebaczenia za grzechy i wstępu do rajów, nie dawała jej spokoju.

Nawet on nie potrafił usiedzieć w miejscu na myśl o zwłokach, które rozkładały się tuż za jego ogrodem warzywnym. Deszcze mogłyby zatruć zbiory.

– Pogrzebmy go – błagała żona.

Zaczekali do nocy, po czym wyszli z łopatą, wodą święconą i drewnianym krucyfiksem.

Nie musieli długo szukać. Ich oczom ukazało się spoczywające na łożu z paproci ciało.

Drwal przysunął bliżej latarenkę.

Krew. Całe ciało we krwi. Pokrywała je od stóp do głów niczym druga skóra.

Zwłoki były tak wychudzone, jakby śmierć zabrała młodzieńca wiele dni temu, chociaż jeszcze nie spuchły.

– Matko Boska!

Kobieta przeżegnała się, umieściła krucyfiks na piersiach trupa i zaczęła odmawiać modlitwę.

Mężczyzna zdjął sweter i wziął do ręki łopatę, lecz aż podskoczył, słysząc wrzask żony. Czym prędzej zasłonił jej usta.

– Cicho! – zgromił ją półgłosem. – Nikt nie może cię usłyszeć.

Niewykluczone, że titowcy nadal kręcili się po okolicy. Przeraził się jednak na widok jej miny i wstrząsających nią dreszczy.

Odsunął dłoń i podążył za jej spojrzeniem, na krucyfiks.

– On się rusza – szepnęła kobieta.

Trup oddychał.

Teresa i Marini dotarli do Zakładu Medycyny Sądowej godzinę później. Komisarz Battaglia przemierzyła korytarze z energią, o którą wcale się nie podejrzewała. Nawet młody inspektor to zauważył, chociaż wydawał się bardziej niż zwykle pogrążony w niespokojnych myślach.

– Przecież Parri nie ucieknie – powiedział, bez trudu dotrzymując jej kroku.

Marini nic nie rozumiał. Nie potrafiłby zrozumieć. Teresa знаła patologa niemal od trzydziestu lat. Uchwyciła w jego głosie jednoznaczną wiadomość: ekscytację, co u niego znaczyło, że krew przemówiła: wyjawiała skrywaną tajemnicę.

Antonio Parri, niczym nekromanta, sprawił, że „wyśpiewała” wszystko.

Teresa wpadła zgrzana do jego gabinetu.

– I co? – zapytała od progu.

Parri nie oderwał wzroku od monitora.

– Myślałem, że krócej wam to zajmie – rzekł.

– Pojechaliśmy do Bovecu, żeby porozmawiać z proboszczem. Przetłumaczył parę dokumentów, które zaświadczają o odnalezieniu Andriana.

Parri popatrzył na nich z nagłym zaciekawieniem.

– Warto było?

Teresa usiadła i zaczęła wachlować twarz dziennikiem.

– Stan, w jakim znajdował się Andrian, wskazywał na popełnienie wyjątkowo okrutnej zbrodni w afekcie – odparła. – Był pomazany krwią, nie swoją, i ewidentnie w szoku.

– Już go skazałaś – zauważył patolog, kręcąc głową. – To nie w twoim stylu.

Teresa otworzyła dziennik.

– Nie skazałam go. Podążam za tropem – mruknęła, zapisując datę i godzinę.

– Twoim zdaniem jest winny – zawyrokował mężczyzna.

Teresa podniosła wzrok.

– Ty za to uważasz, że cokolwiek zrobił, teraz, w jego wieku, nie ma już żadnego znaczenia, prawda?

– Ten człowiek nawet nie wie, że żyje, sama tak powiedziałaś.

– Zupełnie jakbym słyszała ojca Georga. Odniosłam wrażenie, że on też zasugerował, bym dała sobie spokój.

– To ksiądz. Przebaczenie nade wszystko.

Teresa się uśmiechnęła.

– To nie ja mam wybaczać, Antonio, tylko ofiara albo jej rodzina. A żeby udzielić przebaczenia, trzeba przede wszystkim wiedzieć, kim jest grzesznik.

Parri zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Masz całkowitą rację.

– Czy teraz wreszcie zdecydujesz się powiedzieć nam, co to za nowiny?

Patolog otworzył teczkę i wydobyl z niej kilka kartek gęsto wypełnionych wykresami i cyframi. Analizy chemiczne.

Wśród akt Teresa dostrzegła fotografię *Śpiącej nimfy*. Najwyraźniej ta twarz podążała za nią wszędzie jak cień.

– Urzekła cię – rzekł Parri.

– Tak – przyznała Teresa, nie odrywając oczu od zdjęcia. – Czuję, że ona istniała naprawdę, chyba dlatego nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mogła odpuścić. Muszę drążyć dalej.

– A gdybym ci powiedział, gdzie dokładnie?

Patolog był poważny, mimo że usta rozciągnęły mu się w półuśmiechu. Nie żartował.

– Na co wpadłeś?

Parri przesunął kartkę z analizami w jej stronę i wskazał pewną szczególną wartość: kod, który Teresie nic nie mówił. Podała kartkę Mariniemu.

– Badania genetyczne wykazały szczególne cechy odnalezionnej na rysunku krwi – wyjaśnił Parri. – Wyodrębniliśmy genom. Otóż u tego osobnika jest on bardzo rzadki. Powiedziałbym, że wręcz unikatowy.

Teresa zmarszczyła brwi.

– Anormalny? – zapytała.

Parri się roześmiał.

– Całkowicie normalny z biologicznego punktu widzenia. Nie mówię o żadnym potworze ani o osobie z zaburzeniami genetycznymi.

– W takim razie nie rozumiem.

– Spróbuję uprościć: w obrębie genomu można wyodrębnić różne typy. W Europie Zachodniej najbardziej charakterystyczne są trzy, najwyżej cztery. Archeologia genetyczna może nam wiele powiedzieć na temat przemieszczania się określonej grupy etnicznej na przestrzeni wieków, na temat jej ewolucji, mieszania się, właśnie na podstawie badania rozmaitych genomów. Okazuje się, że u czterdziestu procent populacji dominuje haplogrupa H.

– Czy to znaczy, że krew należy do obcego? Do nie-Europejczyka?

– Tak. I nie. Moim zdaniem to czysty Włoch od co najmniej tysiąca lat.

– Mącisz mi w głowie.

– Natrafiliśmy na genom unikalny w skali świata, Tereso, właściwy tajemniczej populacji, która żyje kilka kilometrów stąd, a genetycznie nie ma nic wspólnego z otaczającymi ją populacjami, nawet z Włochami. Mam na myśli Rezjan.

Teresa potrzebowała paru sekund, by przyswoić tę informację. Słyszała o osobliwościach mieszkańców Val Resia, o ich dziwnym języku, nigdy jednak nie zgłębiła tego zagadnienia.

– Uważasz, że to krew jednego z Rezjan? – zapytała.

– Jestem tego pewien. Świadczy o tym DNA.

– I twierdzisz, że jest ono unikatowe w skali świata.

– Val Resia to nieomal genetyczna i lingwistyczna wyspa, przez co z naukowego punktu widzenia jest cenna. A przynajmniej taka była jeszcze kilka lat temu. Zapewniała jej to izolacja wynikająca z faktu, że to zamknięta dolina. Wykresy gROH dowodzą, że populacja ma wysoki odsetek homozygot, co oznacza, że w ciągu ostatnich tysiącleci otrzymała szczególnie ubogi wkład genetyczny z zewnątrz. DNA współczesnych Rezjan nadal jest takie samo jak plemion założycielskich. Na temat ich pochodzenia niewiele jednak wiadomo. Oni sami ciągle szukają odpowiedzi na pytania egzystencjalne: skąd przybyli, kim są. Pewne

jest to, że nie należą do żadnej linii genetycznej Europy Zachodniej. Ich mowa to archaiczny, bardzo stary język słowiański. Przetrwiała w niezmienionej formie do naszych czasów.

– Cóż, Słowenia leży dwa kroki stąd – wtrącił Marini, oddając Parriemu kartkę. Patolog się skrzywił.

– Radzę nie mówić im takich rzeczy. Nigdy! – ostrzegł. – Obrazilbyś ich. Rezjanie to nie Słoweńcy. Ani ze względu na krew, ani ze względu na kulturę. A język rezjański to nie jest dialekt słoweński. To język prasłowiański, coś nieskończenie starszego, szlachetniejszego i bardziej złożonego od dialektu odziedziczonego po sąsiadach. Pewne określenia mają cechy wspólne z rosyjskim, serbskim, chorwackim, ukraińskim, ale rezjański różni się od wszystkich tych języków. Prawdopodobnie przyczynił się do stworzenia ich podstaw. Rezjanie od lat walczą o to, by nie wrzucano ich beztrzesko do jednego worka ze Słoweńcami. Nie należy deprecjonować ich tożsamości.

– Ale skąd oni przybyli? – zapytała Teresa.

– Prawdopodobnie znad Morza Kaspijskiego, w szóstym wieku naszej ery, być może wraz z karawanami, w ślad za Hunami i Awarami. Mapowanie genomów obecnych mieszkańców tych dalekich terenów pokazuje nieznaczące cechy wspólne z genomem rezjańskim. – Spojrzał na nich rozgorączkowany. – Czy dociera do was, jakie to niezwykle? Zupełnie jakby Rezjanie spadli z nieba, genetycznie różni od wszystkich otaczających ich istot ludzkich, ich jedyna cecha wrodzona prowadzi zaś na wschód od Morza Kaspijskiego. To tak, jakby przez wszystkie te stulecia zachowali czystą krew. Noszą w żyłach cechy ludów, które tysiąc czterysta lat temu osiedliły się w dolinie po nie wiadomo jak długo trwającej podróży: można wręcz wyodrębnić cztery wielkie plemiona, które dały początek głównym osadom.

– Widzę, że się na tym znasz – zauważyła Teresa.

Parri wziął z biblioteczki za plecami czasopismo naukowe i rozłożył je na stole. Kartkował je, aż znalazł interesujący go artykuł.

– Parę lat temu ich szczególny genom wzbudził zaciekawienie w środowisku naukowców, również moje. Niestety informacja nie trafiła do mas. Szkoda. Prawie nikt nie zna historii Rezjan, chociaż jest taka fascynująca.

Teresa sięgnęła po fotografię Śpiącej nimfy i przysunęła ją do czasopisma. Nagle egzotyczne rysy kobiety z rysunku zdały się nabierać nowego znaczenia. Być może był to tylko zbieg okoliczności, przypadkowa kombinacja natury. Albo przebudzenie dawnej spuścizny.

– Rezzjanka – wyszeptała.

– Owszem, Tereso. Właśnie w tej dolinie musisz szukać.

– To się zgadza z wynikami dochodzenia – stwierdził Marini. – Val Resia graniczy z Canal del Ferro. Stamtąd Andrian mógłby dotrzeć do Bovecu.

Parri przytaknął.

– Nie bez trudności, ale to możliwe. Co teraz zrobicie? – zapytał.

Teresa wstała, nadal trzymając w dłoni fotografię.

– Muszę rozważyć kolejny ruch, ale najpilniejszą i najprostszą rzeczą, jaką możemy zrobić, jest tam pojechać.

Parri się uśmiechnął.

– Zamierzasz pokazywać zdjęcie wszystkim wkoło i pytać, czy ktoś rozpoznaje kobietę z portretu?

Teresa wzruszyła ramionami.

– Dlaczego nie? – mruknęła ze wzrokiem nadal utkwionym w *Śpiącej nimfie*. – To twarz, której się nie zapomina, nawet po siedemdziesięciu latach. Andrian nie zapomniał. Mam nadzieję, że ktoś stamtąd też będzie ją pamiętał.

24

Gdy Tikô Wariö go wezwał, stary Emmanuel siedział właśnie na tyłach domu, tego stojącego najbliżej rzeki, na zboczu porośniętym modrzewiami i bukami. Popijał wino z butelki i rzucał kurom garściami ziarno, pod pergolą, którą chłodził wydechany przez dolinę wietrzyk.

Starzec podniósł się i zakołysał na kościstych kolanach. W jednej ręce trzymał do połowy opróżnioną butelkę, drugą wsparł się na kosturze, o którym mówił, że sam go wyrzeźbił, będąc dzieckiem. Kostur przedstawiał węża z otwartą paszczą, wygiętego, jakby próbował umknąć spod sokolego dzioba.

Tikô Wariö patrzył, jak mężczyzna z trudem gramoli się na skraj lasu.

– Gdzie jesteś? – zapytał Emmanuel, którego na moment oślepił niespodziewany cień. – Nie widzę cię.

Cios w pierś, prosto w serce, był krótki. Pchnięcie, które zdawało się raczej wślizgiwać w ciało, niż je uderzać.

Butelka wysunęła się z palców starca i upadła na splątane korzenie.

Wino rozlało się po ziemi niczym krew. Napoiło bór, który wydawał się spragniony. Purpurowe krople kapały, dzwoniąc, po czym natychmiast znikwały, wchłonięte, być może przez piekło pod stopami starca. Tikô Wariö patrzył, jak Emmanuel spogląda ze zdumieniem na własną pierś. Pomiędzy zebrami nadal tkwił sztylet.

Z ust wydobyło mu się ostatnie tchnienie, słabe jak wiejący z południa wiatr.

Emmanuel zamienił się w pustą skorupę, zupełnie jakby wraz z krwią uszło też z niego życie.

Runął na kolana. Podniósł wzrok na postać, która stała przed nim nieruchomo i przypatrywała się jego agonii.

Tikô Wariö spostrzegł, że wzrok mężczyzny już nie jest błędny. Emmanuel wiedział, dlaczego umiera.

Ponieważ wróciła przeszłość. Ponieważ w dolinie czaiła się olbrzymia potęga,
domagając się, by nikt jej nie zdradził.

Umierał, by dochować tajemnicy.

Nie wiem, dlaczego ciągle z uporem postrzegam tę pracę jako swoją, tak jakby mogła nadal stanowić część mojej przeszłości, tak jakby ta Teresa, którą teraz jestem, przypominała choćby z daleka kobietę, którą kiedyś była.

Mimo to otwieram oczy o poranku i jestem policjantką. Każdego dnia, w każdej godzinie. W każdej chwili.

Właśnie to mnie określa, wypełnia znaczeniem każdy zmęczony oddech.

Nie wiem, czy to moje czepianie się czasu, tak jakbym była w stanie go spowolnić, można nazwać „nadzieją”. Wiem tylko, że każde pożegnanie należy przygotować, ja zaś pracuję, aby zostawić wszystko w rękach kogoś, kto będzie się bardziej troszczył.

Z pewnością nauczyłam się, że „przetrwanie” to szlachetne słowo.

Nie ma wyższej godności niż godność tego, kto jest skazany na przetrwanie.

– Nie mieliśmy przypadkiem jechać do doliny? – zapytał Marini.

Teresa kazała mu prowadzić aż do wzgórz za miastem, nie dając żadnych więcej wskazówek z wyjątkiem tych niezbędnych, by skręcić wtedy, kiedy trzeba.

– Pojedziemy – odparła, zamykając dziennik. – Ale najpierw musimy się z kimś zobaczyć.

Kątem oka dostrzegała, że Massimo często się odwraca, by na nią spojrzeć. Odpakowała cukierek i włożyła do ust.

– Skoro chce się pani zabić tym cukrem – zrzędził – przynajmniej od czasu do czasu mogłaby mnie pani poczęstować.

– I tak byś odmówił.

– Wiedziałem, że tak pani odpowie.

– Chcesz jednego?

– Nie.

- To było do przewidzenia...
- Logiczne. Z kim mamy się spotkać?

Teresa zdawała sobie sprawę, że jej inicjatywa wywoła niekończący się sprzeciw, ponieważ Marini był ostrożny, roztropny, lojalny, podejrzliwy. Nawet gorzej: konserwatywny. Czasami zastanawiała się, jakie są jego relacje z matką, sprawiał bowiem wrażenie, jakby rozpaczliwie poszukiwał kogoś, kto by ją przypominał.

- Ze wsparciem – odparła, patrząc w drugą stronę.
- Mamy się spotkać ze wsparciem?
- Tak.
- I spotkamy się z nim na wsi?
- Co masz przeciwko wsi?
- Nawet nie zapytam, czy rozmawiała pani o tym wcześniej z Loną.
- Brawo.

Młody inspektor pokręcił głową, lecz się nie odezwał. Teresa wskazała mu punkt daleko na wzgórzu.

- Co to jest? – zapytał.
- Raczej co to było. Szpital dla umysłowo chorych. Właśnie tam jedziemy.

Marini zredukował bieg i skręcił w pnącą się pod górę, obrośniętą chwastami dróżkę.

- Wydaje mi się, że to odpowiednie miejsce – mruknął.

Warunki atmosferyczne i niedbalstwo ogołociły dawny szpital psychiatryczny i oddały nagi wzgórze. Zamiast drzwi i okien ziały wilgotne dziury, a gdy człowiek zbliżył się do wejścia, mógł objąć wzrokiem cały parter aż ku rozciągającej się z tyłu zieleni.

Wiatr i deszcz przyczyniły się do nowej kolonizacji: naniósł ziemię i pędy tam, gdzie wcześniej była posadzka. Korytarze padły ofiarą inwazji odrośli, które walczyły między sobą o przestrzeń i światło, pionierów, którzy nie lękali się ciemności. Liściaste gałęzie dzikiej róży pięły się po poręczy schodów, wabiąc pszczoły z pobliskiego ła.

Teresa przyłapała się na myśli, że natura w swym niszczycielskim dziele właśnie dokonała cudu: pomimo destrukcyjności parła naprzód z lekkością nasienia,

z delikatną gracją kwiatu. Cierpliwie, za pomocą kilometrów giętkich korzeni miażdżyła ludzkie dzieło, umilając nawet owo wspomnienie piekła.

Marini dołączył do niej i zajrzał za próg. Na odrapanej z tynku ścianie ktoś wykonał napis farbą w sprayu. Nieco niżej kierunek wskazywała strzałka.

– „Zwłoki” – przeczytał głośno. – Czy to jakiś żart?

Teresa omiotła spojrzeniem budynek.

– Obóz treningowy – mruknęła.

– Dla kogo?

Szybkie kroki obwieściły przybycie gospodarza.

– Dla niego – odrzekła komisarz.

Po schodach wielkimi susami zbiegł pies, lecz na widok Mariniego się zatrzymał.

– Cześć, Smoky – przywitała się Battaglia.

– Kim jest Smoky?

Marini wydawał się zakłopotany. Zakłopotanie zaś zawsze sprawiało, że stawał się odrobinę opryskliwy.

– Mam nadzieję, że nowym przyjacielem.

Oboje odwrócili się ku dziewczynie, która wychylała się przez poręcz na pierwszym piętrze.

– Czy to ona jest wsparciem? – zapytał wolno Marini, mierząc wzrokiem niebieskie włosy Blanki, jej kruchą sylwetkę opiętą spłowiałymi džinsami i bezkształtną koszulką. Przede wszystkim zaś jej mroczne oczy.

– Mam imię – powiedziała dziewczyna.

– Blanca Zago. Inspektor Massimo Marini – przedstawiła ich sobie Teresa.

Blanca ruszyła w dół po stopniach. Smoky czym prędzej do niej podszedł, zajął miejsce u jej boku, a ona złapała za szelki.

– Jest taki, jak go opisałaś – oświadczyła dość odważnie Teresie.

Marini spojrział na swoją zwierzniczkę.

– To znaczy? Niby jaki jestem?

– Wsparciem jest on. Smoky – zmieniła temat Teresa.

Marini otaksował psa.

– Mieszaniec?

– Pies poszukiwawczy.

– Od narkotyków?

– Od ludzkich szczątków i śladów biologicznych – wyjaśniła Blanca z niespodziewaną siłą.

– Mało jest psów takich jak on – podkreśliła Teresa.

Marini zbliżył się do zwierzęcia i wyciągnął dłoń. Smoky pokazał mu kły.

– Nie wygląda mi na dobrze ułożonego – zauważył, cofając rękę.

– Och, Marini, naprawdę musisz być taki antypatyczny?

– Ja?

Teresa poklepała go mocno po ramieniu.

– Ambrosini życzył sobie współpracy pomiędzy zespołem, Blancą i Smokym – oznajmiła.

Marini splótł ręce na piersi.

– Szkoda, że potem dostał zawału. Nowy komendant chyba tego nie pochwalił.

– Trzymajmy go z dala od tej sprawy – ucięła Teresa.

– Możemy?

– Już to robimy.

Massimo westchnął.

– Coraz lepiej – skwitował.

Chrzęst opon na resztkach żwiru na dziedzińcu obwieścił przybycie kolejnych oczekiwanych przez Teresę gości. Wkrótce dołączyli do nich zastępca prokuratora Gardini wraz z szefem techników kryminalistycznych.

Marini popatrzył na Battaglię.

– Najwyraźniej pani mówi poważnie – stwierdził.

Po dokonaniu prezentacji Teresa zwróciła się do Blanki.

– To co, zechcesz im pokazać, jacy jesteście dobrzy? – zagadnęła z uśmiechem.

Dziewczyna budziła jej sympatię. Stanowiła interesującą mieszalinę zuchwałości i nieśmiałości.

Blanca kiwnęła głową. Wyjęła coś z kieszeni dzinsów i wręczyła Mariniemu. Massimo chwycił przedmiot i obrócił w palcach, marszcząc brwi.

– Fiolka. Wygląda jak krew. Do kogo należy? – zapytał.

– Do mnie – odparła Blanca.

Spojrzał na nią.

– To oczywiste, że twój pies ją rozpozna, jeśli właśnie z jej pomocą go tresowałaś.

Zadarła podbródek. Wpatrywała się weń wyzywająco.

– To oczywiste, że nic nie rozumiesz – odcięła się. – Pies poszukiwawczy nie szuka określonego typu krwi. Szuka krwi w ogóle. Nie szuka określonych zwłok. Szuka jakichkolwiek zwłok.

Zapadła cisza.

– Blanco, wytłumacz nam, co będziecie robić – poprosił po chwili Gardini.

Dziewczyna skinęła głową, nadal trzymając Smoky'ego przy sobie, tak jakby jego bliskość dodawała jej odwagi, by stawić czoło obcym, którzy zjawili się tu, żeby wystawić ich oboje na próbę.

– Najważniejsze to zanieczyścić strefę poszukiwań po ukryciu śladów. Psy są sprytne. Podążają tropem tego, kto ukrywa zapach, a nie za samym zapachem, dlatego podczas szkolenia dotykamy na chybił trafił całej strefy, chodzimy i przysiadamy na ziemi, wszędzie rozsiewając nasz zapach.

– To jasne – odparł uprzejmie Gardini. – Czy chcesz nam jeszcze coś wytłumaczyć, zanim zaczniemy?

– LZO, lotne związki organiczne, mają tendencję do opadania, dlatego ja i Smoky podczas szkolenia skupialiśmy się głównie na śladach zapachowych obecnych na podłożu, ponieważ moim zdaniem trudno znaleźć krew na suficie, której nie byłoby równocześnie na podłodze. To mało prawdopodobne.

– Potwierdzam – odezwał się szef techników.

– Przeciętny pies poszukiwawczy nie będzie tak samo dokładny we wskazywaniu śladów zapachowych pozostawionych wysoko jak w przypadku zapachu, którego może fizycznie dosięgnąć – wyjaśniła z większą determinacją Blanca. – Smoky będzie sygnalizował w następujący sposób: warując i wpatrując się w miejsce zapachu, o ile będzie się ono znajdowało na ziemi. Siadając

i wpatrując się w miejsce zapachu, jeśli będzie ono zlokalizowane w połowie wysokości. I w końcu, jeśli zapach będzie wysoko, Smoky usiądzie i zaszczeka trzy razy, tak jakby chciał powiedzieć: „Jak inaczej mam ci to zademonstrować?”.

Gardini się roześmiał.

– Całkiem słusznie.

Blanca poszukała dłoni Teresy, która ścisnęła ją za rękę na znak, by zaczynała.

– W kwestii grobów nic się nie zmienia, tyle że zapach nie będzie skupiony w konkretnym punkcie, jak mogłoby to mieć miejsce w wypadku kości czy kropli krwi. Strefa będzie szersza, równa mniej więcej powierzchni zajmowanej przez pogrzebane ciało. Tu sygnały będą inne: w tym wypadku Smoky energicznie merda ogonem, kręci się w kółko, a niekiedy zaczyna kopać.

Marini odchrząknął.

– Nie pytam, skąd wzięliście zwłoki, na których ćwicyliście... – mruknął.

– Blanca i Smoky to nie są dyletanci – wtrąciła Teresa. – Prowadzili już wiele poszukiwań za granicą i uczestniczyli w szkoleniach w Szwecji, Wielkiej Brytanii i Finlandii. Właśnie dlatego staramy się nie wypuścić ich z rąk. Rozumiemy się? – Teresa poklepała go po policzku. – Teraz idź i rozlej parę kropel tam, gdzie chcesz – poleciała, zerkając na trzymaną przez Mariniego fiolkę. – Smoky już się postara, żeby powiedzieć nam gdzie.

– Dlaczego ja?

– Bo zawsze to ty jesteś niewiernym Tomaszem. I nie zapomnij skazić strefy własnym zapachem.

Marini zawahał się, po czym spoglądając jak ktoś, kto ustępuje szaleńcowi – albo z rezygnacją? – zniknął w korytarzach szpitala dla umysłowo chorych, za nim zaś podążyli Gardini i szef techników.

– Nie podobam mu się – rzekła wolno Blanca, głaszcząc Smoky’ego. Wyraźnie zniecka posmutniała.

– Przeciwnie – uspokoiła ją Teresa. – Nie wiem dlaczego, ale ten śliczny, obdarzony talentem i inteligencją chłopak ma niską samoocenę. Postrzega cię jako zagrożenie, bo wyczuwa, jak wiele jesteś warta.

– Naprawdę?

– O, tak. Problemem Mariniego jest Massimo Marini.

Inspektor potrzebował niemal dwudziestu minut, by zdecydować, gdzie rozlać pięć kropel krwi. Pomógł mu szef techników, który miał ze sobą walizeczkę zawierającą kilka „wabików” dla zmylenia psiego węchu.

Teresa i Blanca cierpliwie czekały. Gdy Marini ponownie się pojawił, wyglądał na zadowolonego. Był pewien, że utrudnił psu zadanie.

– Zaczynamy? – zapytał.

Blanca nie kazała sobie dwa razy powtarzać. Przywołała Smoky’ego i kazała mu stanąć przy nodze, następnie wydała komendę: „Szukaj!”.

Rozpoczęli wspólny taniec, który obracał się między trzema cząsteczkami zapachowymi i chemoreceptorami. Symbioza, idealne zgranie. Dziewczyna i pies rozumieli się bez słów, poprzez mowę ciała potrafili odczytać wiadomości, które dla świata zewnętrznego pozostawały tajemnicą. Teresa zwróciła uwagę, że Blanca nie narzuca Smoky’emu swojej woli, jak to robią policyjni opiekunowie. Oboje stanowili jedność. Dogadywali się bez dźwięków. Blanca trzymała smycz Smoky’ego, wiedziała, kiedy go ponaglić, a kiedy dać mu czas potrzebny do szukania. Jej świat był światem mroku. Jakże mglistym. Mimo to sprawiała wrażenie, jakby w nim tańczyła, unosila się ponad ciemnością.

Teresa i pozostali posuwali się za nimi w pewnej odległości, aby nie rozpraszać zwierzęcia ani dziewczyny.

– Wątpię, żeby studiowała w szkole podoficerskiej – szepnął Marini.

Teresa spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie sądziłam, że z ciebie aż taki kretyn – dogryzła mu.

– Tylko dlatego, że mam wątpliwości?

– Dlatego, że walczysz z dwudziestolatką.

– Wcale z nią nie walczę. Przecież jest niewidoma, na litość boską. Czy zdaje sobie pani sprawę, w jakiej ją stawia sytuacji? Jakiej próbie ją pani poddaje?

Teresa popatrzyła mu prosto w oczy, unosząc głowę tak wysoko, że omal nie dotknęła jego brody.

– Nie wyznaczaj jej granic, które dla niej nie istnieją. Nie krzywdź jej w ten sposób. Założę się, że wielu już to zrobiło, a mimo wszystko ona jest tutaj. Udało jej się ich prześcignąć. Jest silniejsza, niż myślisz, a jeżeli nie potrafisz tego zrozumieć, to już twój problem.

Rozłożył ramiona.

– Przykro mi, ale nie mam pani ufności – odparował. – Nigdy nie dadzą rady.

– W takim razie idź z nią, niewierny Tomaszu – powiedziała.

Marini potraktował swoją rolę sceptycznego obserwatora z powagą. Podążał krok w krok za Blancą, do tego stopnia, że dziewczyna w końcu kilkakrotnie na niego wpadła.

Teresa przyglądała się, kręcąc głową. Inspektor był nieugięty w swej determinacji, by udowodnić własną wierność nie wiadomo jakim regułom, gdy tymczasem wszelkie zasady zostały złamane z chwilą, kiedy Teresa zjawiała się u Blanki z Chuderlakiem.

Dziewczyna była cierpliwa, znosiła Mariniego, chociaż na policzkach wykwitły jej rumieńce, które mogły świadczyć o zniecierpliwieniu. Co pewien czas pozwalała sobie odepchnąć go gestem ręki, domagając się przestrzeni – rozejm w tym pedantycznym szturmie, w którym od czasu do czasu dało się dostrzec ciekawość i pragnienie przyjścia jej z pomocą. Drobne gesty, jak choćby dłoń uniesiona odruchowo przez Massima, aby podtrzymać ją w razie potrzeby.

Teresa patrzyła, jak na siebie wpadają, przepaszają, oddalają się, po czym zmniejszają dystans, by ponownie się zderzyć. Był to krok naprzód: taksowali się wzajemnie. Ledwie ociosane kawałki o odmiennym kształcie usiłowały pojąć, w jaki sposób zdołają się dopasować.

Warknąwszy parę razy na Mariniego, Smoky najwyraźniej zapomniał o czyjejkolwiek obecności poza swoją panią. Zmysły zwierzęcia skoncentrowały się na śladzie, który węszył. Wkrótce pies się ożywił.

Jesteśmy w domu. Teresa poczuła skurcz w żołądku wywołany ekscytacją. Gdyby pies chociaż raz się pomylił, zaczęto by wątpić w jej wiarygodność.

Podniecony Smoky zaczął wachać kratę w podłodze, wyciągnął się i czekał, aż dłoń Blanki spocznie na jego grzbiecie.

– Ślad numer jeden – oświadczyła dziewczyna i ledwie wyszeptaną komendą skłoniła psa, by poderwał się z miejsca.

– Poprawnie – potwierdził szef techników.

Podstęp nie zdał się na nic, by zmylić Smoky'ego. Pies odróżnił stożek zapachowy próbki krwi, mimo że była ukryta pod rdzą, która podobnie jak krew, zawierała ferrytynę.

– Idźmy dalej – poleciał Gardini.

Smoky podjął zabawę, merdając ogonem, bacznie jednak śledząc nieliczne wskazówki Blanki. Tym razem zasygnalizował obecność krwi na osmalonej podłodze starej kuchni, pod resztkami ogniska, które prawdopodobnie rozpały jakieś szukające przygód dzieciaki.

Pod popiołem, który wdziera się do psiego nosa, zakłócając węch, pomyślała Teresa.

– Ślad numer dwa.

– Poprawnie!

Numer trzy został ukryty wśród śmieci zamkniętych w szafie, a numer cztery – w korku, który zatykał butelkę grappy i był nadal przesiąknięty wonią alkoholu.

Próba zakończyła się w łazience na drugim piętrze. Smoky usiadł i zaszczekał trzy razy w kierunku zagrzybionego sufitu.

– Ślad numer pięć.

– Poprawnie. Próba zaliczona.

Marini wykonał dobrą robotę, lecz to nie wystarczyło. Dla wszystkich było jasne, że jego zdolności jasnowidza są do niczego.

Nigdy nie dadzą rady, zarzekał się. Na widok miny, jaką miał teraz, Teresa nabrała pewności, że chętnie by się ugryzł w język i cofnął pyszałkowate słowa. Doszła do wniosku, że Ambrosini wcale nie przesadzał. Dziewczyna i jej pies stanowili cenne wsparcie.

Zastanawiała się, czy w nieznanym lesie, wśród milionów rozmaitych sygnałów zapachowych, receptory Smoky'ego będą w stanie wychwycić obecność ciała zakopanego przed siedemdziesięciu laty.

Zastanawiała się, czy będą w stanie wydobyć na światło dzienne kości Śpiącej Nimfy.

Jestem idiotą!

Świadomość ta spadła na Mariniego niczym grom z jasnego nieba. Nastąpiło to w drodze do domu, gdy rozmyślał nad psem zdolnym wytropić śmierć w niedostępnych dla innych kryjówkach, nad niewidomą dziewczyną, która szła z nim noga w nogę niemal w nabożnej ciszy, i nad tajemniczymi rysunkami, które Teresa Battaglia miała dla kierowanego przez siebie zespołu.

Wiadomość od Eleny nadeszła kilka godzin wcześniej, on jednak przeczytał ją dopiero teraz, przystanąwszy na światłach.

Kiedy zapaliło się zielone, ani drgnął.

Zapomniał o wizycie kontrolnej, przy której powinien był jej towarzyszyć.

Zapomniał o własnym dziecku, jeszcze zanim się narodziło.

Sparaliżowała go panika. Otrząsnął się dopiero wtedy, gdy dźwięk klaksonów za jego plecami się nasilił, a jakiś samochód usiłował go wyprzedzić, ryzykując zderzenie z furgonetką nadjeżdżającą z naprzeciwka drugim pasem.

Wrzucił pierwszy bieg i ruszył do domu, czując w ustach kwaśny posmak tchórzostwa.

Jestem idiotą.

Massimowi zaschło w gardle, nagle wzięła go chęć, żeby wrzasnąć. Miał świadomość, że po raz kolejny wszystko zepsuł. Może tym razem na dobre. Wiedział, że za mocno nabroił, by po raz kolejny liczyć na wyrozumiałość Eleny. Zastanawiał się, gdzie się podziała miłość do niej. Szalona, czysta, wyjątkowa miłość. Zupełnie jakby została wchłonięta przez jej brzuch w tej samej chwili, gdy rozgościło się w nim inne życie.

Przez pół godziny jeździł bez celu, zanim skręcił w uliczkę wiodącą pod dom i zaparkował. Kiedy dotarł na miejsce, zerknął w stronę trzeciego piętra: drzwi na taras były otwarte. Elena zdążyła już wrócić.

Przez moment korciło go, by odejść i odsunąć w czasie scysję, mimo to wyjął kluczyk ze stacyjki i ruszył do domu.

Jej zapach był wszędzie. Owionął go, ledwie Massimo przekroczył próg. Chociaż Elena mieszkała tu dopiero od paru dni, każdy przedmiot, każdy zakamarek życia zdawał się przesiąknięty jej wonią. I nie miało to nic wspólnego ze sztucznością ani chemią, nie były to żadne drogie perfumy rozpylone na skórę i ubranie.

To było coś bardziej złożonego: jakaś niewidzialna konstrukcja, zbudowana w krótkim czasie, lecz odporna na próby ignorowania jej, podkreślająca obecność pani domu, który niejako wzięła szturmem.

Była to piramida zapachowa powstała z papieru książek, które Elena przywiozła ze sobą, a które on znajdował w każdym pomieszczeniu; z kwiatów lawendy w woreczkach z organzy, które trzymała między ubraniami. Z jej ulubionego mydła pachnącego morzem. Z aromatu świec, które zapalała wieczorami, jakby każde spotkanie musiało być romantyczne, z miodowego szamponu, który jako jedyny nie niszczył jej włosów, z tortu, który upiekła poprzedniego dnia, a który Massimo lubił najbardziej. W powietrzu unosiła się woń wanilii i cukru pudru.

Zapach Eleny niekiedy dawał poczucie bezpieczeństwa niczym zapach matki, niekiedy rozpałał zmysły, niekiedy napawał radością. To właśnie on przemieniał te ściany w dom.

Zastał ją na tarasie, wyciągniętą na leżaku, z zamkniętymi oczami i szklanką wody z miętą w dłoni. Drugą ręką gładziła się po brzuchu. Była to uporczywa pieszczota, jakby obejmowała jeszcze nienarodzoną istotę, już ją tuliła.

Massimo przystanął w progu, szukając najodpowiedniejszych słów, by przerwać milczenie, lecz nie zakłócić spokoju.

– Nic nie mów – rzekła, nie otwierając oczu. – Nie interesuje mnie to.

Przełknął ślinę.

– Jak się czujesz? – zapytał.

W końcu Elena posłała mu spojrzenie.

Płakała, Massimo nie był wszakże pewien, czy to przez niego. Jej oczy zwilgotniały nie z powodu smutku czy rozpacz, lecz za sprawą absolutnej miłości, która wstrząsnęła nią do głębi i która po raz pierwszy, odkąd ją znał, nie była skierowana do niego.

Łzy Eleny wywołało wzruszenie.

– My czujemy się dobrze – odparła. – A ty?

Massimo usiadł obok niej. Elena postawiła szklanę na stoliku, obok koperty. Na jej widok od razu pomyślał, że to dla niego. Poczul skurcz w żołądku.

– Nie poznaję sam siebie – szepnął, nie patrząc jej w twarz. – To nie jest wymówka. To prawda.

– Wiem.

– Nie lubię sam siebie, Eleno. Nie cierpię gościa, którym się stałem, ale też nie potrafię udawać od rana do wieczora. Ja...

– Nie kończ – przerwała. – Nie mów nic, czego byś później żałował.

Massimo zamilkł. Naprawdę o mało nie przyznał się, że nie chce tego dziecka. Zastanawiał się, co Elena tu jeszcze robi, z nim. Nie umiał jej zrozumieć, własne postępowanie przyprawiało go o mdłości.

Uzmysłowił sobie, że to, co wziął za spolegliwość, w rzeczywistości jest tak silną determinacją, że nie dopuszcza żadnych ustępstw ani nie poddaje się wątpliwościom. Elena chciała go mieć przy sobie i nie obchodziła jej jego słabość: popychała go, by ją przewyciężył, aby zajął miejsce, które przeznaczyła mu u swego boku. Teraz, gdy była w ciąży, z każdego jej spojrzenia wyzierała siła.

– Eleno... – szepnął.

Wstała, postąpiła parę kroków ku wyjściu, po czym zmieniła zdanie. Pochyliła się i wtuliła w jego plecy.

– Nie jesteś taki jak on, Massimo. Nie jesteś taki jak twój ojciec – wyszeptała, przytknąwszy gorący policzek do jego policzka.

Massimo zeszywniał, wstrzymawszy oddech.

– Kto ci powiedział? – zapytał, chociaż już znał odpowiedź: jego matka.

Elena zwolniła uścisk.

– Ta koperta jest dla ciebie, otwórz ją. I to zaraz.

Zostawiła go samego, Massimowi zaś wiatr wydał się nagle mniej ciepły.

Jego serce przypominało byka, który z każdym uderzeniem tłukł o klatkę piersiową, grożąc otwarciem nigdy niezabliźnionych starych ran.

Elena wiedziała. Świadomość ta go ogłuszyła. Zadawał sobie pytanie, co myśli, czy matka powiedziała jej wszystko, nawet to, co najbardziej wstrząsające. Wątpił,

inaczej by jej tu nie było.

Chwycił kopertę i otworzył, pewien, że to koniec, w środku nie znalazł jednak słów pożegnania, których się spodziewał.

Wpatrując się w czarno-białe obrazy, na początku nie był w stanie sformułować spójnej myśli.

Zdjęcia USG drżały mu w dłoniach niczym chorągwie miłosnych wojsk szturmujących mury obojętności, które strzegły jego odwrotu.

Dowódca tych wojsk miał wygląd mierzącej niecały centymetr fasolki.

Jego dziecko.

Sporządziwszy ostatnie notatki dnia, Teresa zamknęła dziennik i pogasiła światła w domu. Z każdym krokiem pomieszczenia jej życia kolejno pogrążały się w mroku.

Mrok spowijał chorobę.

Mrok spowijał Alberta.

Mrok spowijał wszystko, co nie było duszą. A ta nadal płonęła.

W czasie niektórych pełnych rozpaczy nocy Teresa czyhała na ból, pozwalała mu się chwycić w szpony, ponieważ cierpienie nigdy nie zastawało jej samej. W ciemności, w ciszy, w samotności wydawało jej się, że czuje objęcia dziecka, którego nigdy nie miała. Było to doznanie kruche niczym kryształ, tak delikatne, że już sam oddech zdołałby je rozbić.

W czasie niektórych pełnych rozpaczy wieczorów to ona była w kawałkach. Rozpadła się pewnej nocy przed trzydziestu laty, na sali operacyjnej szpitala, który opuściła w pojedynkę. Bycie matką to los, którego nie da się już cofnąć. Kobieta staje się dwojgiem i już nigdy nie jest jednością.

Teresa z trudem pozbierała okruchy. Posklejała je na powrót, złączyła z zapiekłą determinacją skierowaną na przetrwanie, tylko że od tamtej pory miały kolce, które raniły. W takich chwilach czuła, jak ocierają się o pancerz, przy każdym oddechu kalecząc go do krwi.

Dziecko zjawiało się, dopiero gdy ból stawał się nie do zniesienia, tak że była bliska śmierci. Muskało ją w niepojęty sposób, lecz było uchwytne.

Wtedy Teresa płakała bezgłośnie, roniąc łzy nie lęku, ale miłości.

Wyciągnęła się na łóżku. Blizna na brzuchu już nie piekła, jej dziecko było bowiem takie jak ona. Znajdowało się w pokoju, przy pozytywce, której muzyki nigdy nie usłyszało, przy matce, której nigdy nie dane było go utulić. Łączyła ich

nieprzerwana więź, miłość, która przetrwała śmierć. Znalazło się tu, by jej powiedzieć, że jest i zawsze była jego mamą.

Teresa wyciągnęła rękę w gęstym mroku, jakby go dotknęła.

– Wybacz mi – wyszeptała.

Śpiąca nimfa i jeszcze nienarodzona istota goniły się w myślach Massima. Na drugim planie przemykało miasto niczym sztuczne tło w niemym filmie. Dwie jakże różne, a przecież tak do siebie podobne myśli. Obydwie towarzyszyły mu w czasie bezsennych nocy i niespokojnych dni: martwa kobieta i nowe życie, które wkrótce każe mu się zmierzyć z największym lękiem.

Podeszwy butów do biegania uderzały o asfalt w szybkim i regularnym rytmie. Przemierzył już jakieś dziesięć kilometrów, a nie minęła jeszcze siódma rano.

Massimo nie dawał odpocząć ani ciału, ani umysłowi.

Poprzedniej nocy Elena pozwoliła mu spać obok siebie, ale i tak niczego sobie nie wyjaśnili. Nie zdołał sformułować pytania, które dręczyło go od chwili, gdy wspomniała o jego ojcu. Mimo wszystko sprawiała wrażenie spokojnej. Nie odsunęła się, kiedy ją przytulił, i było to więcej, niż Massimo mógł oczekiwać. Poczul, jak Elena osuwa się we śnie, a jej oddech staje się niemal lekki. Wtedy położył dłoń na jej brzuchu.

Później próbował zrozumieć, czego doświadczył, lecz nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nie instynktownej niechęci, której się obawiał, ani też płynącej z trzewi więzi, która przenika ciało. Był to raczej rozejm, zawieszenie broni i baczne wpatrywanie się we wroga. Wroga, który nie okazywał jednak agresji. Wegetował w zakamarkach matczynego łona, szykując się na wywrócenie do góry nogami życia tym, którzy mu je dali. Massimo poczuł się jak głupiec i czym prędzej cofnął dłoń.

Przyspieszył kroku z rozszalałym sercem.

Nie dziecko było wrogiem, lecz coś, co czaiło się być może w naturze Massima, co przenikało do jądra każdej jego komórki: DNA szaleńca.

Ze złością skręcił w bok i maksymalnie zwiększył tempo, aż dobiegł bez tchu do siłowni.

Uczęszczał tam od przeprowadzki, a w ostatnim czasie jeszcze pilniej. Nie był to modny klub fitness, w którym ludzie spotykają się w celach towarzyskich i aby umawiać się na koktajle. Tutaj wszystkim przyświecał jeden cel: ten, kto tu wchodzi, nie powinien się bać, że się nabawi kontuzji.

Massimo podejrzewał, że do natychmiastowego zamknięcia siłowni wystarczyłaby zwykła kontrola bezpieczeństwa, podobał mu się jednak jej autentyczny klimat miejsca, w którym nie urząda się generalnych porządków tylko po to, żeby dostać pozwolenie na działalność. Przede wszystkim jednak ta siłownia była Massimowi potrzebna. Coraz częściej odczuwał potrzebę, by trochę poboksować i zrzucić z ciała negatywny ciężar wściekłości, który mógł go przygnieść.

Siłownię otwierano na długo przedtem, nim zaludniały się ulice, ostatnia też zamykała swe podwoje. Massimo zdawał sobie sprawę, że niekiedy nocą sala na zapleczu rozbrzmiewała podnieconymi głosami i pojawiały się w niej podejrzone osoby: były to walki MMA w klatkach, charakteryzujące się mnóstwem zadawanych ciosów i znikomą liczbą zasad. Nigdy o nic nie pytał, był jednak pewien, że są nielegalne.

Właściciela spotkał na korytarzu wiodącym do sali treningowej. Lucius był niegdyś tancerzem w balecie Teatru i Opery w Tiranie i kochał zapasy równie mocno jak taniec klasyczny. W wieku trzydziestu lat stwierdził, że przemysł łodzią prędzej ocali mu życie niż *rond de jambe en l'air*, dlatego w 1991 roku wraz z dwudziestoma tysiącami innych desperatów przybił do Bari na pokładzie Vlory. Od tej chwili Włochy stały się jego ojczyzną. Powtarzał to za każdym razem, gdy ktokolwiek pytał go o Albanię. Mówiły o tym trój kolorowe sztandary powiewające w całej siłowni. Lucius niechętnie rozmawiał o przeprawie. Niechętnie rozmawiał na jakikolwiek temat. Z tamtych chwil zapamiętał tylko jeden szczegół: pragnienie tak silne, że mogłoby doprowadzić do obłądzenia człowieka zdrowego na umyśle.

Teraz, jak co dzień rano, czyścił szyby.

– Czeka na ciebie – oznajmił po prostu ze zgaszonym cygarem w ustach.

Massimo przystanął.

– Kto?

– Wyzwanie.

– Czeka na mnie wyzwanie?

Lucius nie dodał nic więcej, a Massimo nie zawracał sobie tym głowy. Mężczyzna był znany z enigmatycznych zdań, których nikt nigdy nie potrafił zrozumieć, on zaś nie miał ochoty ich tłumaczyć.

Na sali panował jeszcze mrok, chociaż skrzywienie zamykanej szafki świadczyło o tym, że Massimo nie jest sam. Wyobrażał sobie czekającego właśnie na niego przeciwnika. Rywalizacja między nimi nie była wyłącznie fizyczna, istniała na rozmaitych, często trudnych do określenia poziomach. Christian Neri należał bowiem do karabinierów.

Massimo nigdy nie zgodził się z nim walczyć. Obawiał się, że rozpalające ich współzawodnictwo może odebrać mu samokontrolę i skłonić do wybuchu agresji, z którą nie chciał eksperymentować: był tu po to, by ją wyładować, a nie podsycać.

Zapłonęły światła. Christian siedział na ławce i wiązał adidasy. Miał już swoje lata i nie swojego syna, którego zostawiła mu konkubina, nim wróciła do Rumunii. Służył w jednostce ochrony dziedzictwa kultury.

– Słyszałem, że Gardini przydzielił wam sprawę Andriana – zagadnął karabinier, po czym podniósł się i wszedł na ring. – W koszarach już zaczęliśmy robić zakłady, kiedy rzucicie to wszystko w cholerę.

– Boli was, co? – roześmiał się Massimo. – Biorąc pod uwagę wasze ślimaczenie się przy śledztwach, wcale nie musimy się spieszyć.

Uśmiech zniknął z twarzy Christiana.

– Chodź no tu, pogadamy – skinął zapraszająco.

Massimo odwrócił się do niego plecami.

– Może następnym razem – wymówił się.

– Boisz się, że tatuś na ciebie nakrzyczy?

Zatrzymał się. Przez moment zastanawiał się, co ten facet wie o jego ojcu, skoro chcąc go sprowokować, posłużył się jedynym argumentem zdolnym go podpuścić, lecz prędko odsunął od siebie tę myśl. Przecież Neri nie mógł wiedzieć. Mimo to mleko się rozlało. Napięcie zgromadzone w ostatnim okresie było niczym skumulowany gaz tuż przed wybuchem.

Massimo przysunął się bliżej, cisnął na brzeg ringu torbę i przeskoczył przez liny.

– Bez rękawic, bez ochraniaczy – zapowiedział. – Postaram się nie zrobić ci krzywdy.

Tamten poruszył się tak szybko, że Massimo nie zdążył nawet dostrzec nadlatujących ciosów. Spadły z nieba na jego twarz jak błyskawice: trzy z prawej i jeden silniejszy z lewej. Niemal poczuł, jak miażdżą mu kości, cały klub zaś zawirował. Do nozdrzy napłynął mu zapach gumy.

Marini zachwiał się tak mocno, że musiał się przytrzymać lin.

– Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przyszedł – zawołał szyderczo Christian i dał mu znak, żeby dołączył do niego na środku ringu.

Massimo natarł nań ze spuszczoną głową i chwycił w pasie, podniesienie go okazało się jednak zbyt trudne. Miał wrażenie, że w jego rękach wije się wąż. Karabinier zaparł się o jego tułów, po czym wczepił w jego plecy i ścisnął nogami za szyję. Massimo zdołał się uwolnić i przystąpił do ataku. Sam się przeraził własną siłą, ale nie potrafił się już zatrzymać. Odepchnął Christiana, a potem zupełnie stracił panowanie nad sobą.

Na skraju ringu rozległ się sygnał komórki Mariniego.

– Odbierz, a cię rozwalę – zagroził zasapany Christian, któremu skóra na kości jarzmowej nabiegła krwią, ledwie jednak skończył mówić, wykorzystał chwilę nieuwagi rywala i ponownie się na niego rzucił. Massimo wrzasnął, otrzymawszy szybki kopniak w goleń i dwa w żołądek. Runął na ziemię, uderzając czołem o słupek narożnika.

– Kurwa!

Leżał na ziemi ogłuszony niespodziewanym ciosem. Przewrócił się na plecy i ocenił szkody: podejrzenie pulsowało mu kolano.

– Wstawaj! – ryknął Lucius z krawędzi ringu. – Jazda!

– Dlaczego nie podejdziesz bliżej? – odparował sucho.

Telefon nadal brzęczał. Massimo kątem oka dojrzał na ekranie nazwisko dzwoniącego. Udało mu się chwycić komórkę i odebrać połączenie.

– Mów, szybko! – rozkazał, opuszczając narożnik.

– Ee, cześć – odezwał się De Carli. – Dzwonię nie w porę?

Massimo schylił się, by uniknąć kopniaka. Christian celował mu w twarz.

– Ostatnio zawsze jest nie w porę – stwierdził.

– Auć, biedactwo. Słuchaj, zdaje się, że za moment będzie jeszcze bardziej nie w porę.

Massimo odparował cios, drugi jednak trafił go w bok.

– Cholera! – zaklął.

– No raczej. Battaglia chce cię zobaczyć. Już przyszła.

– Czy ona nigdy nie śpi?

– Z miejsca pytała o ciebie.

– Tylko jej tu brakowało.

Massimo spróbował zrobić przysiad, ale jeden ze stawów mu zeszywniał, a kolano najwyraźniej już zdążyło spuchnąć.

– Zajmie mi to przynajmniej godzinę – oświadczył.

– Żartujesz? Nie masz tyle czasu.

Massimo przytknął dłoń do policzka i zorientował się, że jest czerwona od krwi.

– Powiedziała, co jej się tak pali koło dupy? – zapytał.

Milczenie De Carlego zaniepokoiło go. Po drugiej stronie linii rozległ się jakiś rumor.

– Jak się nie ruszysz, to zaraz tobie się zapali koło dupy – wrzasnęła Battaglia.

Wtem na twarz Massima spadł cios i powalił go na deski.

Lokalny dziennik zajął się sprawą *Śpiącej nimfy* po raz drugi. Tego poranka na pierwszej stronie krzyczał odrażający tytuł obwieszczający nazwisko mordercy: Alessio Andrian.

Wszystko wskazuje na to, że dziennikarz, który podpisał się pod artykułem, jest o wiele lepszy ode mnie, pomyślała Teresa, skoro zdążył już znaleźć winnego, nie pozostawiając ani cienia wątpliwości. Do tekstu dołączono dwie fotografie: obraz Andriana przedstawiający alpejski pejzaż i świeże zdjęcie Gortana przed jego galerią.

Oto głęboka gardziel, która tylko czekała, żeby przemówić.

Teresa przeczytała w pośpiechu tekst, ledwie panując nad złością. Jak zwykle obfitował w okropne szczegóły, lecz brakowało im precyzji i były przesadzone. Tak jakby na płótnie znaleziono materiał biologiczny z całego ciała.

Gortan opowiadał o odkryciu, podkreślając własne zasługi. Dziennikarz przytakiwał, gratulował mu, jednocześnie sugerując bez ogródek, że mordercą nie może być nikt inny jak tylko obłąkany malarz, który odizolował się i pogrążył w milczeniu na ponad pół wieku.

Teresa ze wstrętem cisnęła gazetę na biurko. Irytowało ją agresywne dziennikarstwo bazujące na podglądactwie, zwłaszcza jeśli dotyczyło jej pracy, która polegała na wnikliwych dochodzeniach, nierzadko opartych na mglistych detalach. Na rozumowaniu, z pewnością nie na gadaniu.

– Gdzie, do kurwy nędzy, jest Marini? – zagrzmiała.

De Carli wsadził głowę do jej pokoju.

– Chce pani mówić z Parisim?

– Z Marinim.

– Jeszcze się nie pokazał, pani komisarz. W zamian za to właśnie podjechał samochód komendanta Lony.

– Cholera.

De Carli zerknął na korytarz.

– O, zdaje mi się, że Marini też jest – oznajmił.

– Zdaje ci się?

– Jak na razie widzę kulejącego mężczyznę ze spuchniętą wargą.

Teresa wstała i wyjrzała na zewnątrz.

Rzeczywiście, Marini wyraźnie utykał i miał opuchniętą wargę, lecz nie to było najgorsze w całej scenie.

– Co się stało? – zapytała, wychodząc mu naprzeciw.

Skrzywił się.

– No więc? – nalegała.

– Jak widać, porachunki – odrzekł.

Teresa zmierzyła go wzrokiem. Był potargany, siny i na dodatek spocony. Jego strój zbił ją z tropu, toteż w normalnych okolicznościach pomyślałaby, że to jakiś żart. Szorty były zdecydowanie zbyt obcisłe, a koszulka z membraną miała rozdarcie na wysokości barku.

– Zebrałeś cięgi? – zapytała z niedowierzaniem.

Inspektor uniósł dłoń, co wyraźnie sprawiło mu sporo wysiłku.

– Nie żebym sam tego chciał. To długa historia – westchnął.

Chwyciła go za ramię i wepchnęła do pokoju.

– Niech ci się nie wydaje, że się w ten sposób wymigasz – syknęła. – Twoim zdaniem to odpowiedni ubiór do pracy?

– Zrozumiałem, że to coś pilnego...

– Przyjść punktualnie do roboty? O ile mi wiadomo, tak.

– Przepraszam, że przerywam – wtrącił się od progu De Carli – ale właśnie zbliża się Lona.

– Wejdz – rozkazała Teresa. – I zdejmij marynarkę.

Kiedy Albert Lona wszedł do środka, Teresa stała przy oknie, a Marini siedział przy jej biurku w za ciasnej marynarce.

Albert posłał im uśmiech, który Teresa uznała za niebezpieczny. Z jej doświadczenia wynikało, że ów grymas hieny nie zapowiada nic dobrego.

– Dzień dobry – powitał ich. – Czytaliście już, jak sędzę, wiadomość z pierwszych stron porannych gazet.

– Owszem, czytaliśmy – przytaknęła Teresa.

Nowy komendant postąpił parę kroków, przyjrzał się dokumentom na biurkach, minom ich właścicieli, a nawet piórnikowi. Starannie wybrał długopis i za pomocą końcówki uniósł okładkę jednej z teczek.

– Tylko tego nam brakowało – mruknął pogrążony w lekturze. – Teraz jest pewne, że sędzia Crespi nie umorzy sprawy, dopóki nie przyjdziemy do niego z nazwiskiem sprawcy.

Upuścił kartkę.

– Jeśli ktoś liczy na to, że za parę tygodni nikt nie będzie pamiętał o Alessiu Andrianie ani o jego obrazie – ciągnął – ten cały Gortan już zadba o to, żeby wszystkim przypomnieć. Dzięki odkryciu jego galeria zrobiła sobie niezłą reklamę, nie musiał wydać na nią ani grosza. Pewnie zdążył już wpisać w kalendarzu niejeden event z tym związany.

Teresa nie mogła mu odmówić słuszności. Albert nie należał do wymarzonych zwierzchników, ale dobrze znał mechanizmy swojej pracy.

– Opinia publiczna patrzy nam na ręce – dodał komendant. – Dziennikarze nie spuszczają nas z oka, śledzą każdy nasz ruch. Czekają na pierwsze potknięcie, żeby nas ośmieszyć, ale dajmy im choćby najmniejszy drobiazg, a zaraz będą nam kadzić. – Odwrócił się i zaczął się w nich wpatrywać. – Teraz to ja was pytam: czy dysponujemy takim drobiazgiem?

To Teresę świdrował wzrokiem, ona zaś wiedziała, że pytanie nie jest wolne od pułapek. Nie miała przed sobą zwierzchnika, który po prostu pyta o postępy w śledztwie. Albert Lona przybył tu po to, by się przekonać, jak ją zniszczyć, a wraz z nią cały zespół. Musi mu dać to, czego się domaga, ale zarazem nie dość, by za bardzo się zbliżył.

„Zbliżył” w każdym tego słowa znaczeniu: Teresa nie chciała snuć domysłów, jak by zareagował na widok obcisłych spodenek, jakie Marini miał na sobie pod biurkiem.

– Mam pewien trop – zdecydowała się przyznać. – To jeszcze nic pewnego, ale być może wiem, gdzie szukać.

Oczy Alberta zapłonęły, jakby wywęszył świeże mięso, w które mógłby wbić zęby.

– Ciekawe. Słucham – zachęcił, by mówiła dalej.

– Krew dostarczyła nam o ofercie informacji, która mogłaby się okazać kluczowym czynnikiem i pomóc nam określić, skąd pochodziła – oznajmiła niechętnie Teresa.

Zmarszczył brwi. Sprawiał wrażenie nieufnego.

– Krew może dać takie rezultaty?

– Ta krew tak. Doktor Parri potrzebuje jednak kilku dni na ogłoszenie ostatecznych wyników. Na razie to tylko hipoteza, którą należy potwierdzić.

Zadzwoniła komórka komendanta. Albert odpowiadał monosylabami. Teresa wywnioskowała, że pojawił się kolejny problem. Znajdujący się w pokoju obok De Carli robił dobrą robotę.

Zakończywszy rozmowę, Albert ruszył do drzwi i to wystarczyło, by Teresa odetchnęła.

– Muszę iść – powiedział – ale niedługo wrócę. Przekażcie doktorowi Parriemu, że żądam konkretów, a nie przypuszczeń.

Najwyraźniej dopiero teraz dostrzegł siniak na twarzy Mariniego. Podeszedł nieco bliżej.

– Co się panu stało? – zapytał.

– Wypadek na treningu. Nic takiego.

W milczeniu, które zapadło, Teresa zastanawiała się, czy Albert usłyszał drżenie w głosie inspektora, czy zauważył, że wszyscy wstrzymali oddech, że Massimo instynktownie zerknął pod biurko, spod którego wystawały kolorowe buty do biegania, po czym natychmiast uciekł wzrokiem gdzie indziej.

– Jak już powiedziałem, pani komisarz, pani zespół jest na cenzurowanym. Proszę mi wierzyć, że traktuję to zadanie bardzo poważnie.

Przekazawszy tę ostatnią wiadomość, Albert Lona wreszcie się oddalił.

Tempus valet, volat, velat. Motto ciągle kołacze mi w głowie, zdaje się, że znalazło sobie miejsce pośród wspomnień z tego dziennika. Jeżeli dobrze się zastanowić, istnieje zaskakujący związek ze śledztwem.

Czas jest cenny, ucieka, skrywa.

Czas zawsze coś skrywa. Jakąś tajemnicę, wspomnienie, nigdy niedotrzymaną obietnicę, ból. Rozpościera się nad myślami i uczuciami, spowija je leniwie uroczą mgłą zapomnienia, jednocześnie pożerając tak, że ich właściciel nawet tego nie zauważa.

Czas ukrywa również zbrodnie. Śmierć pogrzebana pod latami, dziesięcioleciami, pod tętniącym życiem wydaje się mniej potworna, nie budzi lęku. Traci barwę, wyzbywa się emocji, aż w końcu odchodzi w zapomnienie, a wraz z nią jej ofiary.

Tempus valet, volat, velat. Łacińska sentencja odcinała się wyraźnie na dzwonnicy stojącej przy wjeździe do Val Resia. Nowoczesny kościół, blok z betonu i stali, wyróżniał się na tle krajobrazu niczym obce ciało. Teresa zastanawiała się, jaka wizja przyświecała temu, kto go projektował. Może wiara w przyszłość, która nie znalazła odzwierciedlenia w rzeczywistości.

Marini prowadził z trudem, powstrzymując grymas bólu przy każdej zmianie biegów. Od czasu do czasu otrząpywał ręką spodnie. Drażniła go zwierzęca sierść, która powbijała się w materiał.

– Ich też trzeba było koniecznie zabrać? – zapytał w pewnej chwili, zerkając w lusterko wsteczne. Siedzący na tylnej kanapie Smoky odpowiedział mu głuchym warknięciem. Wyglądało na to, że jeszcze nie wszystko sobie wyjaśnili.

– Boisz się? – zagadnęła Blanca.

– Nie boję się. Mam z tyłu psa, który dyszy mi w kark.

– Faktycznie, prawdziwe nieszczęście!

– Nie byłoby nieszczęścia, gdyby jego oddech pachniał miętą.

– Skończcie z tym. Jesteśmy zespołem – powiedziała Teresa. – Musimy się poznać.

Była pewna, że wkrótce przypadną sobie do gustu, chociaż Marini nie ułatwiał zadania. Coraz bardziej się wymykał, a myśl o współpracy nawet nie powstała mu w głowie.

Zanim ruszyli do Val Resia, wpadli do domu Massima. Popędził na górę, żeby się przebrać, tych kilka minut wystarczyło jednak, by Teresa dostrzegła na tarasie młodą kobietę. Mocno ją to zaskoczyło: z opowieści, jakimi częstował kolegów, wynikało, że w jego życiu nikogo nie ma. Krótki romans, w który wdał się po przeprowadzce, prędko się zakończył. Ciekawiło ją, kim jest owa tajemnicza kobieta i w jakim stopniu jego niepokój to jej zasługa.

Droga zaczęła się pięć, wijąc się pośród gęstych lasów z jednej strony i wzdłuż strumienia Resia z drugiej. Szmaragdowa woda lśniła w słońcu, stawała się przezroczysta, płynąc pomiędzy jasnymi skałami i kamienistymi plażami, poprzecinana drewnianymi mostami, które łączyły oba brzegi strumienia. Na klifach można było dostrzec kilka dachów chat zatopionych w zieleni. Wszędzie wokół na tle czystego nieba sterczały masywy gór Musi, Kanin i Plauris. Ponad dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza do najwyższego szczytu, z tym że oni mieli się zatrzymać o wiele wcześniej. Osady tkwiły w zawieszeniu pomiędzy lasami modrzewiowymi a ogrodami warzywnymi, nieco ponad zboczami.

Tam z tyłu jest Bovec, pomyślała Teresa ze wzrokiem skierowanym na wschód. Dziesięć, piętnaście kilometrów między lasami, które Alessio Andrian być może przemierzył w stanie głębokiego wstrząsu.

Kto wie, ile zrobił kilometrów. Wędrował przez wiele dni. Kręcąc się w kółko, zagubiony.

Po kilku zakrętach przed ich oczami otworzyła się dolina. Była to głęboka i stroma niecka, z dnem usianym płaskimi morenami porośniętymi lasem. Znajdowało się tam niewiele łąk i żaden płaskowyż godny tego miana. Zamieszkane osady tworzące rozsianą po dolinie gminę Rezji znaczyły dachy i dzwonnice wystające spośród zarośli: pięć miasteczek i sześć wsi, niewiele ponad tysiąc mieszkańców.

Gdy napotkali pierwsze tablice na drodze wskazujące kierunek, do Teresy dotarło, dlaczego Parri rozwiał ich wątpliwości co do tego, czy rezjański jest

dialektem. Nie miał zbyt dużo wspólnego ze słoweńskim. Nie było w nim nic, co by kiedykolwiek widziała.

Ravnca było to Prato di Resia, stolica. San Giorgio stał się *Bilä*. Gniva, *Njiwa*, wraz ze wsią *Hözd*. Oseacco zapisano jako *Osoanë*. Strumyk Resia okraszono nazwą *Tavilika Wöda*.

Marini zwolnił, po czym zatrzymał się na rozwidleniu.

– W którą stronę? – zapytał.

Teresa opuściła szybę i spróbowała przeczytać nazwy miejscowości, nie wiedziała jednak, jak wymówić zagmatwaną sekwencję samogłosek i spółgłosek. Przede wszystkim nie miała pojęcia, dokąd jechać. Nie spotkali jeszcze do tej chwili żywej duszy. Znajdowali się w pobliżu ruchliwej drogi krajowej, która ciągnęła się aż do granicy, mimo to Teresa odnosiła wrażenie, że przekroczyła bramy jakiegoś odległego królestwa.

Zdarzyło jej się to już, ledwie przed kilkoma miesiącami. Przypomniała sobie tamten las, odmienny, lecz równie potężny. Zmieniła się pora roku, nie było zamarzniętych otchłani ani ogromnych połaci śniegu, ale nadal pozostało odczucie, że ktoś ją obserwuje, tak jakby uważnie ją śledził. Przyroda oddychała i poruszała się wokół niej w jakiś tajemniczy i momentami niepokojący sposób.

– Wyłącz silnik – powiedziała.

Marini spełnił polecenie, toteż leśne odgłosy dobiegły ich uszu niczym oddech żywiciela. Wbrew wyobrażeniom Teresy nie było ciszy, lecz rozległa się symfonia harmonijnych głosów, połączonych głęboką symbiozą: nawoływania pośród zieleniejących gałęzi, łoskot wody spadającej ze skał, ciche szemranie, gdy płynęła wolniej w wyższych partiach. Nagłe trzaski w krzakach jeżyn, szelest pełzających stworzeń w poszyciu. Wiatr przypominał dreszcz przenikający przez korony drzew niczym fala, która je przygina i podnosi z powrotem. W tej przestrzeni składającej się z wibracji nawet światło zdawało się odzywać: był to niski dźwięk, który zdawał się pobrzmiwać aż na skórze Teresy, na płatkach kwiatów, na liściach i na korze, uwalniając ich zapach. Podrygiwał na wodzie w świetlnych igraszkach i rozgrzewał połyskujący kamień.

Teresa wiedziała jednak, że las to także tajemnice i objawienia, ciemność i śmierć. Składa się on również z kości tych, którzy się w nim zgubili i już nigdy nie powrócili.

Na chwilę ją to oszołomiło. Miasto oswaja zmysły, przyzwyczajają je do wyblakłej rzeczywistości, gdy tymczasem w tym miejscu każda struktura biologiczna, nawet jeśli wydaje się z pozoru nieruchoma i nieożywiona, jest pełna życia. Przyroda w dolinie była ascetyczna i zarazem wybujała. Nie pozwalała sobie na egzotyczne fanaberie, lecz to, co miała do dyspozycji, było rozbuchane w kształcie i kolorze.

Niechętnie nakazała Mariniemu z powrotem zapalić silnik i jechać do Prato, głównej osady.

Droga pięła się po zboczu góry, wijąc się w ostrych zakrętach. Wkrótce dostrzegli kolejną dzwonnice.

Rošajanskë kumün, głosiła tablica przed wjazdem do osady. Niewiele domów rozrzuconych wzdłuż głównej drogi. Nie były to budowle w tradycyjnym góralskim stylu, lecz zwyczajne współczesne konstrukcje. Trzęsienie ziemi z 1976 roku tutaj również wymazało wszelkie ślady przeszłości. Fasady domów zdobiły murale opowiadające niedawne dzieje tych ludzi: przedstawiały mężczyzn z wąsami i w kapeluszach, w garniturach z ciężkiej tkaniny, w kamizelkach. Skórzane pasy wokół ramion podtrzymywały coś, co wyglądało jak niesiona na plecach komoda. Emigranci, szlifierze i obwoźni rzemieślnicy, którzy zimą wyrabiali sprzęty przy bladym świetle lampy, a po roztopach wyruszali w świat, aby je sprzedać.

Spostrzegłszy gospodę, Teresa dała Mariniemu znak, by zaparkował w pobliżu. Nazwy ulicy nie dało się wymówić: *Ta-w Hradö*.

– Zupełnie jak w raju – stwierdziła Blanca, wysiadając. – Powietrze właśnie tak pachnie. – Smoky dołączył do niej jednym susem.

– Bez wątplenia jesteśmy u progu jakiejś historii – mruknęła Teresa. – Kto wie, dokąd nas zaprowadzi.

– Ja ciągle czuję smród psiego oddechu.

– Marini, ależ ty jesteś upierdliwy.

– To się nazywa szczerść.

Teresa chwyciła Blancę pod ramię.

– Jest zazdrosny – szepnęła.

Przeięli most rozpięty nad błękitną rzeką o kamienistym korycie. Pośród olbrzymich wapiennych głazów skakały i śmiały się dzieci. Teresa wychyliła się przez barierkę. Na widok nieznajomej kobiety rozpierzchnęły się, pozwolewszy, by woda zabrała ich kolorowe łódeczki.

Osteria alla Fortuna był to historyczny lokal – szyld pochodził z 1902 roku. Dębowe drzwi otwały się na pogrążone w półmroku wnętrze, rozgrzane ciało Teresy zaś owiał krzepiący chłód.

– Witajcie.

Ledwie przekroczyli próg, pozdrowiła ich oberżystka. Stała do nich plecami, polerowała energicznie ścierką kieliszki, które ustawiała w rzędzie nad kredensem. Kiedy się odwróciła, dostrzegli jej niekonwencjonalną urodę. Nie sposób było określić wiek kobiety ubranej w ceglastą tunikę sięgającą kostek. Śnieżnobiałe włosy, zebrane wysoko w koński ogon, kontrastowały z gładką twarzą i silnie zarysowanymi, podkreślonymi na czarno łukami brwiowymi. Intensywny błękit tęczęwek współgrał ze szkarłatem warg i lazurytem osadzonym w dużych srebrnych kolczykach wykonanych techniką filigranu. Dłonie pokrywały wydziergane na szydełku mitenki. Kobieta była wysoka. Teresa instynktownie określiła ją jako „majestatyczną”.

Jedyne wypowiedziane przez nią słowo wystarczyło, by ujawnić cechujący jej mowę akcent. Zdawała się cedzić sylaby, po czym zszywała je z powrotem w przyjemnym i regularnym rytmie.

Odwzajemniwszy powitanie, usiedli na stołkach przy barze. Smoky usadowił się pomiędzy nogami Blanki, skupiony i cichy.

Jakiś klient zapłacił rachunek, pożegnał się i wyszedł. Teresie wydało się, że usłyszała imię kobiety: Mat.

– Co podać? – zapytała oberżystka, chowając banknoty do szufladki w kasie.

Zamówili trzy napoje. Minęła już jedenasta i nie było gości, jeśli nie liczyć dwóch staruszków, którzy grali w karty przy stoliku w rogu. Lokal był wyjątkowy. Ściany i sufit obito naturalnym drewnem, jasnym niczym miód. Z belek zwisały długie warkocze czosnku, przypominające girlandy z wiejskiej przeszłości. Na brzuchatym czarnym piecu żeliwnym stał bukiet polnych kwiatów związanych czerwono-niebieską wstążką, taką samą, jaką udekorowano główki zawieszonych na ścianach skrzypiec. Było ich kilkadziesiąt, a niektóre sprawiały wrażenie antyków. Liczbą nie dorównywały wszakże fotografiom umieszczonym w równych rzędach pod instrumentami: portretom mężczyzn i kobiet w każdym możliwym wieku i z różnych pokoleń. Mogła ich być nawet setka.

Teresa poszukała wzrokiem kobiety za kontuarem. Obsłużwszy ich, tamta wróciła do swojej pracy, obracając ścierkę w palcach o paznokciach pomalowanych na błękitny kolor.

– Idąc tutaj, widzieliśmy dzieci bawiące się nad rzeką – powiedziała Teresa. – Wystraszyłam je, więc uciekły i porzuciły zabawki na wodzie. Bardzo mi przykro.

Kobieta się roześmiała.

– Proszę się nie martwić, odnajdą je – odparła, odwracając się. – Trochę niżej rzeka tworzy zakole. Nazywamy je Gardzielą: prąd nanosi tam wszystko, co wyszarpie po drodze. Zabawki pewnie już leżą na brzegach. Co was tu sprowadza? Nie jesteście turystami.

Jej oczy rozpalala ciekawość, której towarzyszyło coś jeszcze, jakiś mniej widoczny element, i właśnie dlatego przykuł uwagę Teresy. Nie była to podejrzliwość ani też rozdrażnienie. Komisarz nie potrafiła go dokładnie określić.

– Interesuje nas historia doliny. Słyszeliśmy o waszym rodowodzie – odrzekła wymijająco.

Kobieta uśmiechała się ostrożnie. Nie była przekonana.

Teresa popatrzyła na zdjęcia. Mat podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

– To nasi nieżyjący muzycy – oznajmiła, odpowiadając na nieme pytanie. – To hołd dla tych, którzy przekazywali dawną muzykę, i wdzięczność dla niematerialnej spuścizny doliny. Pozostawili nam w spadku sztukę gry na *citirze* i *bümkuli*.

– Skrzypce. Tak je nazywacie?

Kobieta oddaliła się i wróciła po chwili, niosąc w ręce jakiś instrument.

– To jest *citira*, zmodyfikowane skrzypce. Natomiast *bümkula* to rodzaj wiolonczeli. To popularne instrumenty reżjańskie. Nie zobaczy ich pani nigdzie indziej na świecie. Trzecim istotnym elementem naszej muzyki jest uderzanie stopą. Słyszała ją pani kiedyś?

Teresa pokręciła głową.

– Niestety nie. Dlaczego mówi pani, że skrzypce są zmodyfikowane?

– Są zbudowane w taki sposób, żeby wydawały dźwięk podobny do cornamusy, dud, na których grywano w dolinie, zanim pojawiły się tu instrumenty strunowe.

– Wygląda na to, że macie tutaj wiele osobliwości.

– Proszę przyjechać na jedno z naszych świąt, a sama się pani przekona. Na karnawał, *Püst*. Nasze tańce są bardzo piękne, stare.

– Jak stare?

Kobieta spojrzała na nią z mieszaniną rozbawienia i dumy. Kto wie, jak wiele razy musiała tłumaczyć to wszystko turystom.

– Tysiącletnie – odrzekła.

– I są, jak by to powiedzieć, nadal oryginalne?

– W niezmienionej postaci.

– Gdzie można się nauczyć grać? Istnieje jakaś szkoła? – zapytał Marini.

– Nie, nie ma żadnej szkoły. Młodzi naśladują starych ze słuchu. Zawsze tak było. Chodźcie.

Mat chwyciła Blancę za rękę, jakby znała ją od zawsze, i ruszyła ku przyległemu pomieszczeniu, w którym mieściła się sala restauracyjna, a w jej wystroju dominował kamień naturalny. Dzwoneczek, który nosiła przywiązany do kostki, dźwięczał przy każdym kroku i co jakiś czas wychylał się zza skraju szaty. Ich oczom ukazał się drewniany manekin w rogu pokoju. Jak domyśliła się Teresa, miał na sobie typowy strój rezjański. On także był nader osobliwy.

– Co to jest? – zapytała.

– To jedna z naszych karnawałowych *lipe bile maškire*. To znaczy „piękne białe maski”.

Stylizowana kobieca postać ubrana była w biały komplet, który tworzyły nałożone na siebie spódnice i koszula z lekkiej gazy. Talię podkreślał szeroki pas w czerwonym kolorze, takim jak opadające wzdłuż falban wstążki. Do stroju przyszyto kilka dzwoneczków. Ciekawostkę stanowiło nakrycie głowy: rodzaj wysokiej papachy ozdobionej kwiatami z barwnego papieru.

– Jest naprawdę piękny – orzekła Teresa.

Najwyraźniej kobieta jej nie słyszała. Wpatrywała się w strój, jakby jej myśli poszybowały gdzieś daleko.

– Kiedy jest *Püst*, nasze białe maski tańczą od zachodu słońca w ostatki aż do świtu w Środę Popielcową – zaczęła z wolna swą opowieść. – To one ułożą stos, na którym spłonie Babaz.

Teresa poczuła, że za jej plecami staje Marini.

– Kim jest Babaz? – zapytała, nie oglądając się.

Kobieta wycelowała palec w sufit, a wtedy Teresa ujrzała słomiano-szmacianą kukłę zawieszoną na belce. Kukła była wielkości mężczyzny, ubrana po męsku w ciemny garnitur, bardzo podobny do odświętnego garnituru, który dziadek Teresy wkładał w niedzielę. Nosiła również kapelusz. Twarz namalowana została na tkaninie. Babaz uśmiechał się, lecz był to nieruchomy i melancholijny uśmiech.

W końcu przecież wie, że go spalą, pomyślała Teresa.

– Jestem strażniczką jego prochów – ciągnęła kobieta. Podeszła do kredensu i musnęła palcami terakotowe wazy. – Babaz symbolizuje stary rok, lodowatą i jałową zimową mroczność. Przeszłość, wraz z jej cierpieniami i grzechami. Zbieram jego prochy, kiedy są jeszcze ciepłe.

– Chyba po raz pierwszy dowiaduję się o tradycji, w której to mężczyzna symbolicznie umiera, spalony, w czasie pogańskiego rytuału – stwierdziła Teresa.

Kobieta odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, odsłaniając białą szyję. Musiała mieć co najmniej pięćdziesiąt lat, chociaż czas najwidoczniej zatrzymał się dla niej o wiele wcześniej: stanowił zaledwie refleks, który przemykał przez jej twarz, pokazując, jaka powinna się stać.

– Hołubimy naszą odmienność – oświadczyła.

Teresa poszukała jej wzroku.

– Wydaje mi się, że tutaj liczy się ona bardziej niż gdzie indziej. Czy się mylę? – zapytała.

Kobieta spoważniała.

– Nie myli się pani. To pewnie dlatego, że czujemy, jak nam się wymyka z rąk. Nowoczesne życie niesie ze sobą powszechne wynaturzenie. A poza tym ktoś chce nam ją odebrać. Chce ją wymazać i zastąpić czymś, co nie jest nasze, nawet z daleka. Nigdy tego nie zrozumieć.

– Co pani ma na myśli?

– Prawo o ochronie mniejszości, które uśmierca naszą kulturę – odparła z westchnieniem kobieta, jakby te słowa sprawiały jej ból. – Wsadzili ją do jednego worka z kulturą słoweńską, tylko że my nie jesteśmy Słoweńcami, nigdy nie byliśmy. Odnoszę wrażenie, że w pewnym momencie historii ktoś pomylił termin „Słowianie” z terminem „Słoweńcy”. Błąd, który drogo nas kosztuje. To prawo połyka nasze najdroższe dziedzictwo.

– Połyka? – powtórzył Marini.

Kobieta wzięła do ręki wazę i zaczęła ją głaskać.

– Nazywa nasz rodowód, używając nieprawidłowego określenia – mruknęła. – To tak, jakby powiedziano panu, że pańska rodzina nigdy nie istniała, że to nie pańscy rodzice ją założyli. To tak, jakby ktoś nagle wymazał przeszłość pańskich przodków, skradł ją i oddał komuś innemu. Powiedzieli nam, że nasza historia nie jest prawdziwa, a nasz język to dialekt. Dialekt, rozumie pan? Gdy tymczasem UNESCO określiło go jako język wymierający. W przeszłości Słowenia chciała przywłaszczyć sobie tę ziemię. Nigdy nie pozwolimy, żeby tak się stało. Jesteśmy Rezjanami, a poza tym jesteśmy Włochami. W tej kolejności. Zasłużyliśmy sobie na włoskie obywatelstwo, braliśmy udział w każdej walce, broniąc granic Włoch.

Kobieta odstawiła ostrożnie naczynie i zamilkła. Jej przyspieszony oddech nie uszedł uwagi Teresy. Kwestia ta miała dla niej ogromne znaczenie i przyprawiała ją o szybsze bicie serca. Battaglia zastanawiała się, jak można być aż tak mocno przywiązanim do własnych korzeni, aż tak bardzo, że boli samo podanie ich w wątpliwość.

– Powiedziała pani, że ktoś popełnił błąd... – podsunęła, aby pociągnąć ją za język.

– Błąd, który ma poważne następstwa. Ktoś chce wrócić pod słoweńską kuratelę. Garstka osób. Udało im się to za pomocą niekonstytucyjnej ustawy, która umożliwiła głosami nielicznych wydanie tysiąca ludzi, naszej doliny, naszej historii na pastwę łajdackiego prawodawstwa. W muzeach wyroby naszych przodków podpisuje się jako słoweńskie, a nie rezjańskie. Nasze tańce, śpiewy, unikatowe w skali świata, nazywane są słoweńskimi. Rozumie pani, co oni nam robią? Unicestwiają nas. Wymazują.

Teresa przytaknęła, chociaż nie miała pewności, czy ktoś, kto nie jest rodowitym Rezjaninem, potrafi naprawdę pojąć, jak ogromnym bólem przesiąknięte są te słowa. Zastanawiała się, jak jej dziadkowie potraktowaliby podobną zniewagę wobec pamięci.

– Proszę mi wybaczyć, ale chyba nie przyjechała tu pani wyłącznie po to, żeby poznać folklor tej doliny, może się mylę? – zapytała ją kobieta.

– Jestem komisarz Battaglia – przedstawiła się Teresa – a to moi współpracownicy.

– Matriona, ale wszyscy mówią na mnie Mat.

Uścisnęły sobie dłonie.

– Czy nie czytała pani ostatnio albo nie słyszała o odnalezieniu słynnego obrazu?
– indagowała Teresa.

Kobieta przytaknęła.

– Portret namalowany krwią – powiedziała.

– Zdaję sobie sprawę, że to, o co proszę, może się pani wydać dziwne, ale nie uczyniłabym tego, gdybym nie była przekonana, że ta osoba istniała naprawdę. – Teresa wyjęła z torebki fotografię *Śpiącej nimfy* i podała ją Mat. – Sądzę, że ta dziewczyna urodziła się i mieszkała tutaj, w dolinie, i zaginęła dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Szukam kogoś, kto zdoła ją sobie przypomnieć. Mam świadomość, że...

– Krisnja – wyszeptała kobieta. Wzięła fotografię w dłonie i wpatrywała się w nią z zagadkową miną.

– *Krisnja?*

– W naszym języku to znaczy „wiśnia”. To imię dziewczyny.

– Wie pani, czyja to twarz? – zdumiała się Teresa, zerkając na Mariniego.

– Wiem, kto to jest, ale nie rozumiem tej daty. Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty? To niemożliwe.

– Dlaczego?

Matriona oddała Teresie zdjęcie.

– Bo o ile mi wiadomo, Krisnja żyje, nigdy nie zaginęła, i ma niewiele ponad dwadzieścia lat.

Gdy Teresa wyłuszczyła powód ich przyjazdu do doliny, wzrok Matriony poszybował ku jednemu ze stolików. Gazeta codzienna leżała tam na widoku. Artykuł na pierwszej stronie opisywał historię *Śpiącej nimfy*. Zmieniła się na twarzy, tak jakby nagle pojęła wagę wypowiedzianych właśnie słów.

– Ufam, że zachowa pani dyskrecję – oznajmiła Teresa. – Na tym etapie śledztwa jest bardzo istotna.

Sędzia Crespi wyraził się jasno: na razie nie należy publicznie rozpowszechniać żadnych zdjęć portretu. Obawiał się ataku mitomanów. W takiej sprawie jak ta napływ fałszywych doniesień mógłby wręcz sparaliżować dochodzenie.

Matriona podała im nazwisko i adres. Od tej chwili w sposób niedostrzegalny dla większości stała się strażniczką. Nie wyjawiała już nic więcej, uspokajając ich, że wkrótce uzyskają odpowiedzi, których szukają. Przynajmniej kilka.

– Zaraz obudzicie zadawnione cierpienia – rzekła. – Róbcie to z szacunkiem.

Uśpiony ból odczuwali Di Lenardowie, rodzina Krisnji.

Mieszkali w żółtym domku otoczonym idealnie przystrzyżonym trawnikiem. Z tyłu rozciągał się las i niesamowity widok na górę Kanin wraz z olbrzymim wapiennym płaskowyżem.

Teresa nie przygotowała sobie żadnej przemowy, nie miała pojęcia, jak się zachować wobec tych ludzi i grzebać w ich przeszłości w poszukiwaniu morderstwa, o którym być może nie wiedzą. Jednocześnie ekscytowała ją perspektywa odnalezienia wreszcie końca nici łączącej malowidło z dniem w odległej przeszłości. Musiała podążać kolejno za wskazówkami, aby natrafić na przeciwległy koniec. Była to nie uprzedzona z delikatnych uczuć, które pokonały bez uszczerbku czas i które pozwolą im odkryć historię skrywającą się za *Śpiącą nimfą*.

– Idę sama – oświadczyła Teresa, wysiadając z samochodu. Oparła się o drzwi, po czym je zamknęła. Marini wpatrywał się w nią naburmuszony, jak nic miał ochotę zaprotestować. – Nie chcę, żeby naszą wizytę uznano za najazd, nie stójcie tu więc i nie gwiazdorzcie. Wzbudzajcie zaufanie.

Prowadzącą do domu dróżkę z obu stron porastał żywopłot z myszopłochu kolczastego.

Nie zdążyła nawet nacisnąć dzwonka, gdy jakiś mężczyzna przywołał ją ze zbocza.

– Już idę! – krzyknął.

Ruszył jej na spotkanie energicznym krokiem. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, Teresa oceniła, że musi mieć koło siedemdziesiątki, może parę lat młodszy. Trudno powiedzieć: jego porwana bruzdami twarz klóciła się z potężną i ciągle jeszcze dorodną sylwetką. Chociaż nie był zbyt wysoki, mężczyzna emanował jakąś spokojną władczością. Miał gęste ciemne włosy, ledwie przyprószone siwizną na skroniach. Podwinięte do łokci rękawy koszuli w kratę odsłaniały nadal silne i opalone przedramiona.

Zbliżył się, spoglądając na nią ciekawie.

– Czym mogę służyć? – odezwał się burkliwym tonem. Mogła to być wszakże szorstka uprzejmość człowieka nienawykłego do przyjmowania gości.

Tym razem komisarz Battaglia postanowiła mówić bez ogródek i nie zataiła, kim jest. Na słowo „policja” mężczyzna niechętnie ucisnął Teresie dłoń. Niemal natychmiast ją puścił.

– Szukam Krisnji Di Lenardo – rzekła Teresa, śledząc jego reakcję.

Mężczyzna spochmurniał.

– To moja cioteczna wnuczka. Mieszka tam – odparł, wskazując dom po drugiej stronie wzgórza – ale teraz jej nie ma. Czy coś się stało?

– Nie, nic się nie stało.

– Policja nie szuka ludzi, jeżeli nic się nie stało.

Teresa się uśmiechnęła.

– Ma pan słuszność, ale to nie dotyczy bezpośrednio pańskiej wnuczki. Mogę pana zapewnić. Prawdę powiedziawszy, sądzę, że pan też mógłby mi pomóc.

– Chętnie, o ile potrafię.

Ku swojemu zdziwieniu Teresa jęła się bacznie wpatrywać w to osobliwe oblicze. Przemknęło jej przez myśl, że dziedziczenie rysów twarzy jest czymś niewymiernym, błyskiem, który zależy od kaprysów natury, a zarazem formułą chemiczną, która rzeźbi w ciele zgodnie z idealnymi wzorami matematycznymi.

Francesco Di Lenardo miał czarne, lekko skośne, małe, za to roziskrzane oczy. Płaski nos opadał mu miękko ku delikatnie wykrojonym ustom. Wysokie kości policzkowe zamykały twarz w doskonały owal o egzotycznym wyglądzie.

Teresa widziała już takie rysy, które przypominały dalekie krainy. Widziała je na schowanym w torbie portrecie, który zdawał się ją głośno przywoływać. Widziała je przed kilkoma laty na wystawie fotograficznej o Hazarach, ludziach mongolskiego pochodzenia o cechach kaukaskich. Teraz jednak znajdowała się w Val Resia, nie na dalekim kaukaskim stepie.

To czysty przypadek, sugestia, rzekła sobie w duchu.

Wyjęła fotografię *Śpiącej nimfy* i wręczyła ją mężczyźnie.

– Szukam tej kobiety – powiedziała po prostu, mając nadzieję, że nie zostanie uznana za wariatkę.

Francesco Di Lenardo przyjrzał się zdjęciu. Teresa odniosła wrażenie, że wstrzymał oddech. Po długiej chwili milczenia mężczyzna przysiadł na schodkach.

– Kto pani kazał tu przyjść? – zapytał. Nie odrywał wzroku od twarzy, jakże przypominającej jego własną.

– Pokazałam zdjęcie w miasteczku, a tam mi powiedzieli, żebym popytała o Krisnę Di Lenardo. Powiedzieli mi, że to dziewczyna, ale kobieta, której szukam, powinna mieć...

– Dziewięćdziesiąt lat – dokończył za nią mężczyzna. Zmierzył ją wzrokiem. – To nie jest moja wnuczka Krisnja. To portret mojej ciotki. Miała na imię Aniza.

– Aniza była siostrą mojego ojca. Zniknęła wieczorem dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku i od tamtego dnia słuch po niej zaginął. Przez całe życie łudziłem się, że uciekła, aby zacząć gdzieś indziej od nowa, a teraz pani tu przychodzi i mówi, że tego samego dnia zmarła.

Francesco Di Lenardo spuścił wzrok na pustą filiżankę, którą nadal obracał w dłoniach. Zaprosił Teresę, by weszła do środka, i poczęstował ją kawą, nie przestał się jej jednak przyglądać z ciekawością, która zakrawała na podejrzliwość.

Teresa rozumiała jego zdenerwowanie. Jej również by się nie podobało, gdyby ktoś obcy zjawił się u niej w domu, aby oznajmić, że w jej rodzinie wydarzyło się coś okropnego, tym bardziej tak dawno, że teraz już nie może nic na to poradzić, co najwyżej dogadać się ze śmiercią i wpuścić ją do swego życia pod postacią żalu i bolesnych wspomnień. Zmienacka ów zadbany i gościnny dom napełnił się smutkiem. Ściany zdawały się zbudowane z książek, tyle ich tam było. Teresa zauważyła eseje z dziedziny filozofii, historii, archeologii i botaniki. Francesco wyznał, że jego żona była nauczycielką. Odkąd wiele lat temu zmarła, szukał jej pośród tych stronic.

– Nie mam w tej chwili dowodów – odparła – ale jeżeli krew na obrazie rzeczywiście należy do Anizy, wtedy owszem, nie żyje. Pobrano próbki tkanki mięśnia sercowego. Ta krew wypłynęła z serca, a tego rodzaju rana...

– Jest śmiertelna.

– Przykro mi.

– Zapewne potrzebujecie próbki mojej krwi do porównania.

Teresa przytaknęła.

– To nie jest obowiązkowe, ale rozwiałoby wszelkie wątpliwości, także dla pańskiej rodziny.

– Oczywiście. Jestem do dyspozycji.

– Dziękuję. Skontaktuję się z panem w celu pobrania próbki.

Zapadła trudna do zapamiętania cisza. Pustkę pozostawioną przez słowa zmaćło tykanie zegara.

Tempus valet, volat, velat, pomyślała ponownie Teresa. Żadne inne motto nie opisałoby tak trafnie tego, co stało się z Anizą. Śmierć skradła jej życie, kiedy dopiero zdążyła rozkwitnąć, odebrała jej wartość przyszłości, którą miała zaplanować, a na koniec ukryła w tajemnych komnatach przeszłości i pogrzebała na kilkadziesiąt mrocznych lat.

– Dlaczego powiedział pan, że łudził się, że uciekła? – zapytała w pewnym momencie. – Co nasunęło panu przypuszczenie, że jest to możliwe?

Francesco wzruszył ramionami, nie podnosząc wzroku. Zapamiętałe wpatrywał się w twarz dziewczyny na zdjęciu obrazu. Co chwilę muskał je palcem.

– Rozpacz – szepnął. – Nic innego.

– Czy żyje ktoś, kto znał ją osobiście? Chciałabym z nim porozmawiać.

Mężczyzna zerknął na nią w osłupieniu.

– Ja – rzekł.

– Pan?

– Miałem osiem lat, kiedy zaginęła. Dobrze ją pamiętam. Mieszkała z nami, w domu mojego dziadka. Jeszcze była niezamężna. Ja byłem jej Franchincecem.

Teresa poczuła zaskoczenie. Szybko dokonała obliczeń.

– Myślałam, że była dużo młodsza – oznajmiła.

Francesco się uśmiechnął. Uśmiechem pełnym goryczy. Widać było, że dla niego wszystko się zmieniło. W umyśle i sercu tego człowieka, który nagle się przygarbił i ucichł, zgęstniały nabrzmiałe od cierpkich uczuć chmury.

– Mam prawie osiemdziesiąt lat – potwierdził. – I dobrą pamięć, którą jak sądzę, zechce pani wykorzystać.

– Wiem, że to nie jest dla pana przyjemne, ale chciałabym, żeby opowiedział mi pan o Anizie. Może wśród pańskich wspomnień jest coś, co pozwoliłoby mi zrozumieć, co jej się przydarzyło.

Francesco wstał, podszedł do okna i utkwiał wzrok w skąpany w promieniach słońca masyw Kanin.

– Od czego zacząć? – zapytał.

– Od łączącej was więzi, o ile czuje się pan na siłach. Minęło siedemdziesiąt lat, a pan cierpi teraz tak, jakby to się stało wczoraj.

– Tak jest. Nadal czuję tu jej obecność. – Uderzył się w pierś. – Byliśmy jak brat i siostra, pomimo różnicy wieku. Albo może nawet kimś więcej. Była mi drugą mamą, tak czuła, jakbym był jej dzieckiem.

– Zadam panu pytanie. Zaczniemy od tego, co mi pan przed chwilą powiedział: czy rzeczywiście nie pamięta pan niczego, co mogłoby doprowadzić do kłótni, do jakiegoś napięcia, co mogłoby ją oddalić od rodziny?

– Nie, nie przypominam sobie niczego takiego, a przecież byłem dostatecznie duży. Ówczesne osiem lat to nie było to samo co dzisiaj. Ja już pracowałem, pomagałem ojcu, który zimą był szlifierzem, i dziadkowi w polu przy pięknej pogodzie. W tamtych czasach już nie byliśmy dziećmi.

– Co porabiała Aniza?

– Ach, pracowała w przędzalni w Ravncy, niedaleko stąd. Przędło się tam len. A poza tym sporo haftowała, robiła na szydełku. Była w tym świetna i sprzedawała mnóstwo swoich prac. Miała niesamowicie zręczne ręce.

– Miała narzeczonego?

– Nie, ale nie brakowało jej adoratorów. Dziadek wielu z nich przepędził już od samego progu. Według niego żaden nie był dla niej dość dobry.

– A co sądziła o tym Aniza? Cierpiała z tego powodu?

– Ależ skąd, ani trochę. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Mój dziadek był uosobieniem dobroci. Aniza nigdy nie dała mu do zrozumienia, że jest zainteresowana którymś z tych młodzieńców. Chowiała się razem ze mną na schodach i oboje się z tego śmialiśmy. – Odwrócił się i ponownie wpatrzył w fotografię. Twarz lśniła mu od z trudem powstrzymanych łez. – Była tak śliczna, że mogłaby mieć, kogo tylko by zechciała, ale ona najwyraźniej czekała na wielką miłość. Jeszcze jej nie widziała, ale jej oczy płonęły jakimś bajecznym blaskiem. Aniza właśnie taka była. Była samym życiem.

– Ktoś mógł być o nią zazdrosny, nie sądzi pan?

– Nie mam pojęcia, ale nigdy nie zauważyłem, żeby się lękała czy złościła. To są wspomnienia z dzieciństwa, wiem, ale nie zatarł ich czas ani tęsknota za nią. Nie twierdzę, że była ideałem. To była zwyczajna dziewczyna, która nie miała jeszcze

dwudziestu lat, szczęśliwa i pogodna. Nie brakowało jej przyjaciół, ale muszę panią uprzedzić, że wszyscy nie żyją.

Francesco ponownie usiadł naprzeciwko Teresy. Wydawał się spokojniejszy. Komisarz otworzyła starą, nigdy niezabliźnioną ranę, na powrót wniosła ból w życie tego mężczyzny. Potrzebował paru minut, żeby wziąć się w garść.

– Wyobrażam sobie, że miasteczko było spokojnym miejscem – zagadnęła Teresa.

– Owszem, jeśli ma pani na myśli to, że nie włóczyli się tu pomyleni zbrojeńcy, jak to często się dzisiaj zdarza. Mimo wszystko sama wojna już zadbała o to, żeby mieszkańcy doliny się nie nudzili.

– Co pan zapamiętał z tamtego czasu?

Francesco splótł dłonie przed obrazkiem. Drżały.

– Głód, Niemców, którzy przyjeżdżali z miasteczek na nizinie na inspekcję, i partyzantów na halach, którzy trzymali ich na muszce. A pośrodku byliśmy my.

Teresa uzmysłowiła sobie, że być może trafiła na powiązanie, którego szukała, na koniec nici, po której starała się dotrzeć do kłębka.

– Proszę mi opowiedzieć o partyzantach – zachęciła, wyjmując z kieszeni notes.
– Z jakiej byli brygady?

Francesco sprawiał wrażenie zakłopotanego. Nie potrafił usiedzieć na miejscu.

– Ach, ci partyzanci – rzekł, jakby coś sznurowało mu usta. – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział w tych stronach zielone chusty z brygady Osoppo, tylko czerwone z brygad Garibaldiego. To byli zwolennicy Tita. Pochodzili z dolin rzeki Natisone. Uczucie, jakie najczęściej towarzyszy wspomnieniu ich bytności tutaj, to niechęć. Reżjanie ledwo ich tolerowali, chociaż nie nazwałbym tego nienawiścią. Już sama wojna była nie do zniesienia. W gruncie rzeczy niemal wszyscy to byli porządni chłopcy, wielu z nich jeszcze dzieciaki. Smarkacze z karabinami, wyobraża pani sobie? Mieszkali w lasach, na halach, a od czasu do czasu schodzili do wiosek po zapasy jedzenia.

– Powiedział pan „niemal”. Czy niektórzy z nich nie byli porządnymi chłopcami?

– Daj durniowi broń do ręki, a dureń będzie się puszył jak paw, mawiał mój dziadek. To nie byli święci, ale też i nie diabły. Tu, w dolinie, nigdy nie narobili kłopotów. Za to teraz się okazuje, że jeden z nich namalował portret Anizy krwią.

Jego dłonie zadrżały jeszcze mocniej. Schował je pod stół.

Teresa nie dawała za wygraną.

– Nie przypomina pan sobie ani jednego negatywnego wydarzenia, które miałyby z nimi związek?

Zapadła osobliwa cisza.

– Panie Di Lenardo?

– Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty. W każdy czwartek rano z głębi doliny przyjeżdżał wozem ciągnionym przez konia pewien Niemiec. Jeździł do piekarni w San Giorgio po chleb. Gnał przez całą drogę, popędzając konia, bez obstawy. Nie potrzebował jej: był nietykalny i o tym wiedział. Gdyby tylko ktoś go ruszył, mieszkańcy doliny drogo by za to zapłacili. Tak to działało z Niemcami.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Z miasteczek położonych na morenach widzieliśmy, jak posuwa się drogą wzdłuż gór i rzeki. Tamtego dnia widzieli go też partyzanci, ale nie uciekli do lasu, nie było takiej potrzeby: wiedzieli, że jak co tydzień Niemiec pojedzie do piekarni i wróci do swojego dowódcy, nie naprzykrzając się nikomu...

– Tyle że tamtego dnia było inaczej – dokończyła odruchowo Teresa.

Francesco nerwowo oblizał wargi, jakby nagle dopadło go pragnienie.

– Owszem, tamtego dnia było inaczej – westchnął.

Oparty o samochód Massimo wpatrywał się w płaszcz zieleni okrywający wzniesienia i dolinę niby żywa tkanina, składająca się z milionów wzajemnych połączeń. Nauczył się go obawiać i traktować z szacunkiem. Ciągle miał w pamięci to, co przeżył ledwie kilka miesięcy wcześniej wraz z Teresą Battaglią i resztą zespołu w niezbyt odległym lesie. Wspomnienie to długo jeszcze będzie dawało o sobie znać niczym niski i wibrujący dźwięk. Głęboki jak otchłanie ludzkiej duszy.

Od czasu do czasu dotykał podbitego oka: łzawiło wrażliwe na porywy chłodnego i wilgotnego wiatru znad wyżłobionego przez rzekę wąwozu. Wiatr przynosił zapach mokrych skał i uczepionych brzegów, ociekających wodą mchów.

Samochód drgnął pod jego plecami. Blanca wysiadła z auta i również oparła się o ciepłą karoserię, rozsiewającą po dolinie chemiczną i trującą woń świata, z którego przybyli.

Kątem oka dostrzegł, że dziewczyna splata ramiona tak samo jak on. Miała nawet tę samą minę: poważną, choć nie do końca przekonującą.

Uśmiechnął się na ten widok.

– Przepraszam – powiedziała niespodziewanie.

Massimo odwrócił się i na nią spojrzał. Dla każdego byłoby jasne, że słowo to mocno nadszarpnęło jej dumę.

– Za co? – zapytał.

Blanca poczerwieniała ze wstydu, co go rozczerwiło.

– Ja... – zaczęła. – Parę razy brzydko się do ciebie odezwałam. To do mnie niepodobne.

Wymierzył jej dobrodusznego kuksańca.

– To ja przepraszam – odparł, nie pozwalając jej się usprawiedliwić. – Zachowałem się jak dupek.

Blanca przygryzła wargi. Jej osobliwe oczy, ślepe wobec świata, za to zdolne go zgłębić tajemniczymi ścieżkami, błądziły po lesie, nie widząc go. Musiało to być dla niej nocne morze, rozmyte i ciemne.

– Czy twoim zdaniem zdołamy ją kiedykolwiek odnaleźć? – zapytała.

Massimo zatopił wzrok w nieskończonej gęstwinie. Był to organizm, który nie zawsze oddawał to, co pożarł.

– To zależy od lasu – mruknął i pomimo łagodnej pogody przeszył go dreszcz.

– Mówisz o nim tak, jakby był czującą istotą.

Nadal wpatrywał się w ogrom cieni i uskoków. Przez chwilę miał wrażenie, że las odwzajemnia jego spojrzenie.

– Wierz mi. Tak jest.

– Na krótko przed przyjazdem do miasteczka niemieckiego żołnierza moja siostra Ewa, babka Krisnji, przywołała mnie z łąki, gdzie pasłem krowy – ciągnął Francesco. Teresa spostrzegła, że twarz pokryła mu warstewka potu, chociaż robił wszystko, by udawać niewzruszonego. Pozwoliła mu mówić. – Ewa była ode mnie tylko o rok starsza i trzymała w rękach karabin. Dał go jej dla żartu jeden z partyzantów, z którym zaprzyjaźniła się kilka dni wcześniej. Była to przyjaźń zakazana. Po wyjęciu naboju uczył ją strzelać.

– Często się to zdarzało? – zapytała Teresa.

– Nie miałem o tym pojęcia. Później się dowiedziałem, że już parę razy się przytrafiło. To był siedemnastoletni chłopak, doskonale pamiętam. Miał rude kręcone włosy i obsypaną piegami twarz. Tamtego dnia zabrał nas na łąkę, z której rozciągał się widok na drogę. Po przeciwnej stronie w zaroślach przyczała się czujka partyzantów. Schowaliśmy się, Ewa, śmiejąc się, wsunęła mi w ręce karabin. Wycelowałem, pociągnąłem za spust, udając, że strzelam, tylko że karabin wystrzelił naprawdę. Pocisk przeszył element końskiej uprzęży. Rozpętało się piekło. Zwierzę się spłoszyło i przeciągnęło żołnierza przez całą dolinę. Po niecałej godzinie w miasteczku zjawili się Niemcy, a między domami i polami świstały serie z automatów i kule. Na szczęście zadowolili się naszym przerażeniem i odjechali, ale sporo ryzykowaliśmy. Nigdy się nie dowiedziałem, czy tamten chłopak zapomniał wyjąć naboje, czy była to dla niego sadystyczna zabawa.

Teresa z trudem przełknęła ślinę.

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się Francesco, widząc jej minę.

Zaprzeczyła, lecz nieco mijala się z prawdą. Francesco Di Lenardo właśnie opisał obraz, który podziwiała w domu Andrianów. Zatem malarz był świadkiem tej sceny, kiedy to jego towarzyszył uczył strzelać Francesca. Znajdował się tam, parę metrów od chłopca, od siostrzeńca kobiety, którą wkrótce miał zabić,

prawdopodobnie ukryty wśród partyzantów, pomiędzy drzewami na przeciwległym wzgórzu. Patrzył na Francesca, obserwował go. Był niewidocznym gościem, który przeniknął do zamkniętego kręgu rodziny Anizy.

– Czy pamięta pan imię partyzanta o rudych włosach? Prawdopodobnie był towarzyszem Andriana – rzekła Teresa.

– Nie.

– A kogoś innego?

– Nie, przykro mi. Nikt z nas się z nimi nie spoufalał, to było niebezpieczne. Poza tym nie używali imion, które dostali na chrzcie, tylko wojennych pseudonimów. Tak czy inaczej, nie przypominam sobie żadnego z nich.

Teresa zadała pytanie, którego oboje spodziewali się od początku ich rozmowy.

– Co się wydarzyło w wieczór, kiedy zaginęła Aniza?

W spojrzeniu Francesca coś się zmieniło. Stało się zamyślane, dalekie: mężczyzna cofnął się do tamtego dnia sprzed siedemdziesięciu lat.

– To, co się wydarzyło, odmieniło moje życie – powiedział. – Był ciepły wieczór, zupełnie jakby lato spieszyło się z nadejściem. Aniza przez cały dzień siedziała w swoim pokoju i haftowała.

– Czy jej zachowanie było niezwykle?

– Nie aż tak bardzo. W ciągu ostatnich tygodni często tak robiła. Mówiła, że musi prędko dokończyć robotę, żeby ją oddać. W tamtym okresie wolałem bawić się na powietrzu z innymi dziećmi i niespecjalnie przejmowałem się Anizą. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– To nie jest żadne przewinienie – zaprotestowała Teresa, ale Francesco jakby jej nie słyszał.

– Na krótko przed kolacją Aniza powiedziała, że idzie do swojej przyjaciółki Kateriny, żeby jej pokazać wyprawkę, jaką szykowała dla jej dzidziusia. Katerina miała urodzić za kilka tygodni, a Aniza była do niej bardzo przywiązana.

– Co Katerina mówiła o tym spotkaniu?

– Nic. Nie widziała się z Anizą. Ta nie dotarła na miejsce, chociaż Katerina mieszkała tylko parę minut drogi stąd. Rozpytywaliśmy w całym miasteczku, ale w pobliżu domu dziewczyny nikt nie widział mojej ciotki. Ktoś się zarzekał, że zauważył, jak schodzi drogą wiodącą do lasu, na wschód, po przeciwnej stronie

miasteczka. Po co miałyby iść do lasu sama o tej porze? Te pytania doprowadzały nas do obłądu przez całe lata.

Teresa starannie dobrała słowa i wypowiedziała je z delikatnością, choć zdawała sobie sprawę, że w uszach tego pogrążonego w smutku mężczyzny i tak zabrzmiały jak wrzask.

– Nie wydaje mi się, żeby Aniza była w lesie sama – wyszeptała. – Myślę, że ktoś czekał na nią wśród drzew.

Francesco zmierzył ją wzrokiem.

– Ktoś, kto ją tam zwabił? – zapytał.

– Nie, nie zwabił. Umówili się. Owszem, Aniza miała się z kimś spotkać tamtego wieczoru, ale nie z Kateriną.

Mężczyzna się nasrożył.

– To znaczy, że Aniza okłamała rodzinę? Mnie?

Teresa uśmiechnęła się, żeby złagodzić prawdę.

– Młodzi tak robią, może kiedyś nawet częściej niż teraz, żeby spotkać się z ukochaną osobą – odparła.

– Moja ciotka była w odpowiednim wieku do zamążpójścia, ale nie miała powodu zatajać przed dziadkiem miłości do jakiegoś chłopca.

– Miała wszelkie powody, jeśli ten chłopiec był partyzantem i ukrywał się w górach.

Francesco zaniemówił.

– Andrian? – wydusił w końcu.

– Tak.

Na twarzy mężczyzny malowały się sprzeczne uczucia: zdumienie, rezygnacja, wzburzenie i wreszcie gniew.

– Kochała go, a on ją zabił – szepnął z szeroko otwartymi oczami, ponownie kładąc dłonie na *Śpiącej nimfie*, jakby chciał kobietę ze zdjęcia zatrzymać we własnym życiu.

– Wszystko jeszcze trzeba wyjaśnić – sprostowała Teresa.

– Dlaczego jej to zrobił?

– Panie Francesco, na razie tylko stawiamy hipotezy. Proszę zachować spokój.

Mężczyzna wpatrywał się w pustkę, jakby w jego głowie nabierały kształtu myśli, na które nigdy dotąd się nie powazył.

– Jak ją zabił? – zapytał.

– Nie da się tego stwierdzić, dopóki nie znajdziemy ciała. Co więcej, obawiam się, że bez ciała i bez przyznania się sprawcy nie można nawet mówić o morderstwie.

Francesco spiorunował ją wzrokiem.

– A niby co by to miało być? – syknął.

– Z punktu widzenia sędziego tragiczny wypadek. Aniza mogła się zranić, choćby wpadając w jakąś szczelinę. Czy nigdy pan o tym nie pomyślał? Andrian był tam, ale nie potrafił jej pomóc. Zwariował z bólu.

Francesco najwyraźniej rozważał nową hipotezę, natychmiast ją jednak odrzucił ze zdecydowaną wzdrganą.

– Jeżeli istniało jakieś miejsce, w którym Aniza czuła się bezpiecznie, były nim właśnie lasy w tej dolinie. Urodziła się tu, znała każdy wąwóz, każdy jar, każdy występ. Nie. To nie dolina zabiła jedną ze swoich córek, pani komisarz.

Teresa także wcale nie była o tym przekonana, lecz czuła się w obowiązku rozpatrzyć każdą teorię.

– W takim razie Andrian mógł przyjść do nas – ciągnął wzburzony Francesco. – Mógł prosić o pomoc, starać się uratować ukochaną! Mógł do nas przyjść i powiedzieć, gdzie ona jest!

Zaniósł się szlochem, lecz był za bardzo zawstydzony, toteż szybko stłumił płacz. Ukrył twarz w dłoniach i westchnął.

– Proszę wybaczyć – rzekł pospiesznie. – To nie w moim stylu, ale przez napięcie...

Teresa położyła mu dłoń na ramieniu. Uścisnęła na moment jego potężne i przepełnione bólem ciało, po czym zwolniła uścisk.

– Nie ma pan za co przepraszać, Francesco. Czuje się pan na siłach rozmawiać dalej?

Mężczyzna przytaknął.

– Powiedział pan, że Aniza wyszła z domu krótko po kolacji. Widział ją pan?

– Tak, bawiłem się na podwórku. Cmoknęła mnie w pośpiechu. Widziałem, jak oddala się drogą. Śpiewała.

– A potem?

– A potem nic. Nie wróciła. Zrobiło się ciemno, dziadek był wściekły, że się spóźnia. Trwała wojna, powroty zbyt późnym wieczorem to nie było nic dobrego. Poszedł jej poszukać u Kateriny. W pojedynkę. Ja czekałem w domu razem z ojcem i matką, którzy żartowali sobie, jak to dziadek da Anizie do wiwatu. Ale kiedy wrócił, był innym człowiekiem. Nigdy nie zapomnę jego spojrzenia. Już wiedział. On już wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

– Co wam powiedział? – zapytała szeptem Teresa.

Francesco trzymał się za głowę, ze wzrokiem utkwionym w Nimfie.

– „Zabrała mi ją ciemność”, wymamrotał. „Zabrała mi ją ciemność”. Nie był nawet w stanie głośno mówić. Do ojca dopiero po chwili dotarło, co się stało, po czym wyszedł i zwołał na drogę wszystkich mieszkańców, pukał do każdych drzwi i pytał, szukał. Wielu udało się do lasu z latarenkami i pochodniami. Pamiętam, że w nocy pozapalano światła, a ciszę przeszył chór głosów, wszystkie zaś wykrzykiwały jedno imię: Aniza. Zwierzęta w obejściach i w oborach były podenerwowane. Nasz niepokój okazał się zaraźliwy również dla nich.

Zamilkł. Westchnął, nim zaczął mówić dalej.

– Tyle zgryzoty i nic, ani tamtej nocy, ani przez następne. Znaleźliśmy jedynie torbę Anizy z przyborami do haftowania. Leżała na skraju lasu.

Teresa poczuła w piersiach coś gęstego, co ścisnęło ją za serce.

– Chciałabym móc ulżyć pańskiemu cierpieniu – zdołała wykrztusić.

– No i muzyka. Ta przekłeta melodia – dodał Francesco, jakby nie był już w stanie otrząsnąć się ze wspomnień.

– Jaka muzyka?

– W ciemnościach rozległy się dźwięki skrzypiec. Płynęły z pobliskiego lasu, z gór naprzeciwko nas. Ktoś grał prawie przez całą noc. Przerywał na moment, potem zaczynał od nowa.

– Kto to był?

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Mieliśmy tu, w dolinie, bardzo dobrego nauczyciela zafascynowanego muzyką klasyczną. Powiedział, że rozpoznaje

z absolutną pewnością melodię. Była to sonata na skrzypce g-moll Tartiniego, lepiej znana pod tytułem *Z diabelskim trylem*. Ten, kto ją grał, robił to znakomicie.

Teresa nie kryła zaskoczenia.

– Nie jestem ekspertką, ale słyszałam, że to jeden z technicznie najtrudniejszych solowych utworów, jakie kiedykolwiek skomponowano na skrzypce, sonata o rzadkiej i ciągle niedoścignionej złożoności – oznajmiła. – Kto w dolinie był w stanie ją zagrać? Przecież takie zdolności nie mogły ujść niczyjej uwagi.

– Nikt. A jeśli pani sądzi, że zagrano ją na jednym z naszych instrumentów, od razu mówię, że nie. To nie był rezjański dźwięk. Jeszcze teraz przeszywają mnie dreszcze. – Zamilkł na moment, jakby niepewny, czy mówić dalej. – Wie pani, co opowiadał na temat tej sonaty sam Tartini?

Teresa pokręciła głową.

– Że zrodziła się ze snu, w którym zawarł pakt z diabłem. Lucyfer zagrał dla niego ten nieprawdopodobny kawałek tak genialnie i wyśmienicie, że musiało to pochodzić wprost z piekła. Tartini próbował przelać ją natychmiast na partyturę, ale zawsze się zarzekał, że nigdy nie udało mu się odwzorować jej świetności. Sonata ujrzała światło dzienne dopiero siedemnaście lat po tamtym przeklętym śnie.

– Bez wątplenia to sugestywny klucz do jej odczytania – uznała Teresa.

– Starzy Rezjanie potraktowali tę anegdotę dosłownie. Powiadali, że Anizę uprowadził diabeł, że to on wyrwał ją z jej życia, zabrał ze sobą w las i w odwieczny mrok, którego nigdy nie rozjaśnia świt. Jego trył rozlegał się przez kilka nocy. Niesiony przez wiatr, z początku bliski, potem odległy. Zdawało się, że drwi sobie z nas, z naszej wiary, z naszych poszukiwań. Szydł z naszej ufności, że odnajdziemy Anizę żywą. Dziadek powiedział, że na koniec diabeł okazał wielkoduszność, bo nie pozwolił nam odnaleźć jej ciała. Zostawił isierkę nadziei, której mogliśmy się ucześcić, o ile rzeczywiście nadal chcieliśmy w to brnąć.

Zamilkł, pod ciężarem wspomnień oczy zasły mu mgłą, a plecy się przygarbiły.

Teresa zadała ostatnie pytanie.

– Spodziewam się, że nie zgłosiliście jej zaginięcia, prawda?

– Niby komu? To była strefa graniczna, wojna osiągnęła swój najtragiczniejszy punkt kulminacyjny. Państwo nie istniało, instytucje musiały się zatroszczyć

o setki tysięcy zabitych. Włochy były pogrążone w chaosie. Zostaliśmy sami. Aniza została sama. Była stracona.

Zamknęła notes.

– Chyba na razie to wystarczy – oznajmiła. – Dziękuję, był pan bardzo pomocny.

Francesco otrząsnął się z zadumy i zrobił coś, czego Teresa się nie spodziewała.

Zapytał o Andriana.

– Czytałem wiadomość w gazecie, ale nie było w niej nic, co mogłoby ją powiązać z Anizą. Czy to prawda, że Andrian nie mówi od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku?

– Tak, to prawda.

– Waszym zdaniem to on ją zabił?

– To możliwe, ale jest jeszcze sporo elementów do rozważenia.

Francesco w krótkim milczeniu zebrał siły, by postawić kolejne pytanie.

– Sądzi pani, że mógłbym się z nim spotkać?

Policja zjawiała się w dolinie, zachowując dyskrecję. Podążała tropem pozostawionym przez serce niemal przed wiekiem i nieświadomie otworzyła furtkę do przeszłości, która nie powinna powrócić. Pomimo upływu czasu krew była jeszcze ciepła, utrzymywało ją bowiem przy życiu wieczne wspomnienie o kimś, kto kochał młodą dziewczynę, do której należała. Ta krew przemówiła. Przywiodła ich aż tutaj prędzej, niż się spodziewali.

Chociaż rudowłosa komisarz o przenikliwym spojrzeniu zachowała wszelkie środki ostrożności, ktoś zauważył nowo przybyłych. Śledził ich. Patrzył, jak krok po kroku, każdym słowem, depczą świętą tajemnicę.

Tikô Wariö niósł na plecach kosz. Kapiąca z jego plecionych ścian ciecz miała konsystencję i barwę miąższu dojrzałych czereśni, wydzielala wszakże metaliczną woń płynącego w żyłach życia, które teraz zastygło w bezruchu, jakby zgęstniało.

Serce za serce. Kara za zdradę.

Policja nie stanowiła jedyne zagrożenia. Doliny strzegły inne istoty, niczym nocne drapieżniki.

Niewielki ciężar zawartości kosza był milczącym i brutalnym ostrzeżeniem, by nie zapomnieć: to, co wydarzyło się przed siedemdziesięciu laty w lesie, tu musi pozostać pogrzebane i nigdy nie ujrzeć światła dziennego.

Musi spoczywać w grobie. Na zawsze w dolinie.

Przesycony wilgocią wiatr dął wściekle. Kłębiasta chmura błyskawicznie zakryła słońce, nad doliną zaś zawisł jej rozczapierzony niczym ośmiornica cień. Poruszał się po klifach i wzdłuż koryta rzeki jak dłoń olbrzyma. Jego palce przebiegały po ziemi, wywołując dreszcze, podkradały skale ciepło i wpychały zwierzęta do nor.

Powietrze było naelektryzowane, nabrzmiące od burzowych obietnic. Na wschodzie, na trójkącie nieba między iglicami Alp, kłębiły się ciężkie od deszczu chmury. Ów ołowianoszary wir przecinały z trzaskiem błyskawice, po każdej z nich zaś rozlegał się grzmot, który brzmiał jak głos gór, przeszywający powietrze i eksplodujący z hukiem krzyk. Przyroda szykowała się właśnie do jednego ze swych najbardziej zdumiewających widowisk.

Teresa przycupnęła pod stuletnią lipą, którą wskazał jej Francesco. Wicher targał gałęziami, przechylając je z furią to na jedną, to na drugą stronę i wprawiając w gniewne drżenie.

Nie zdążyła jeszcze porozmawiać z Marinim ani z Blancą. Będą mieli czas na rozwikłanie tej historii. W tej chwili chciała jedynie czuć.

Miasteczko się zmieniło, ale nie tak znów bardzo, teraz Teresa zdała sobie z tego sprawę. Rozciągał się przed nią fragment pejzażu, który widziała już na obrazie Andriana. Artysta namalował go z miejsca, z którego obserwowała właśnie perspektywę, wyobrażając sobie dwójkę dzieci i rudowłosego partyzanta przyglądających się, jak siedzący na wozie niemiecki żołnierz pnie się po zboczu.

Andrian był tu całe siedemdziesiąt lat przed Teresą. Wpatrywał się w coś, na co teraz patrzyła ona. Wdychał zapachy doliny. Lustrował jej mieszkańców. Zbliżył się do Anizy w tajemnicy przed jej rodziną. Był tak blisko Francesca, że mógł go dotknąć, gdy tymczasem on nawet nie wiedział o istnieniu młodego partyzanta, o popędzie, jaki być może skłonił go do zabicia osoby, której najbardziej pożądał.

Teresa pogładziła korzenie lipy. Sprawiały wrażenie muskularnych ramion zatopionych w ziemi. Wyobraziła sobie, jak Andrian przysiadł tu z karabinem

i przyborami do rysowania, wyjmuje kartkę i zaczyna szkicować.

Teresa zanurzyła dłoń w ziemi. Musiała sobie uzmysłować, musiała spróbować zrozumieć, co działo się w jego umyśle, jak mogły przebiegać tamte dni w odległej przeszłości. Musiała nawiązać z nim kontakt. Poczuć to, co on czuł. Uchwycić jego nadzieje, radości, ból. Jego obsesję.

Nie miała nic poza tym starym szalonym malarzem. Aniza zdążyła się już obrócić w proch, nie była już ciałem.

Teresa przypomniała sobie, w jaki sposób Andrian wpatrywał się w las za oknem swojego pokoju: jakby miał przed oczami coś, co przykuwało jego uwagę tak mocno, że świat wokół zniknął. Zupełnie jakby ktoś odwzajemnił jego spojrzenie.

Andrian nie patrzy na las przed domem, poprawiła się. Dla niego czas się zatrzymał. Spogląda na grób Anizy. Gdzieś tutaj. Pogrzebał ją tam, gdzie tylko on mógł ją zobaczyć. Gdzie należałaby wyłącznie do niego. Nadal ma ją przed oczami.

– Gdzie jesteś? – szepnęła. – Gdzie on cię ukrył?

Spojrzała na dolinę u swoich stóp. Jej majestatyczność, dzikie piękno wierzchołków i jarów zapierały dech. Rzeka wiła się wśród skał, rozdzielając się z łoskotem na strumyki, aby niżej znów się połączyć i popłynąć powoli do Gardzieli, gdzie martwe przedmioty i rzeczy, które nigdy nie oddychały, zostawały wessane, a potem wyrzucone na brzeg. Teresie na usta cisnęło się słowo „ogrom”. Ogrom nie tylko fizyczny, ale też przewyższający materię. Było w tych miejscach coś mistycznego, coś, co miało wiele wspólnego z poczuciem boskości. Dolina tchnęła życiem. Każda łądyga, każdy liść, każdy kamień, każda kropla wody wibrowały czującą energią, która tworzyła rzeczy doskonałe.

Aniza stanowiła część tej całości. Była kwiatem pośród kwiatów.

Gdzie jesteś? pomyślała po raz drugi. Co on ci zrobił?

Przesłaniając słońce chmurę rozwiał dmuchający na wysokości wiatr, uwalniając światło, zupełnie jakby pod wpływem myśli Teresy. Spadły pierwsze krople deszczu, które przemieszały się z promieniami słońca. Na horyzoncie załśniła tęcza, most nad wąwozem, schodzący aż do rzeki.

Oto są, pomyślała Teresa, dwie strony tej historii: mrok i światło, śmierć i miłość.

Jeśli chce dotrzeć na drugi koniec nici i odnaleźć źródło tragedii, musi nieustannie mieć je obie przed oczami.

20 kwietnia 1945 roku

Nad miasteczkiem zapadał zmierzch, kładąc się fioletowym cieniem. Była to pora, kiedy noc delikatnie muska dzień. Światło wspinało się po ścianach domów niczym armia, która cofa się w zwartym szyku. Ku dachom wznosiło się złoto, gdy tymczasem słońce zamieniło się w ogarek świecy, który dogasał ponad postrzępioną linią gór. Barwy świata stawały się bardziej nasycone, jakby powietrze się przeredziło, a kolory omdlewały w tle, gęste i namacalne pozostałości światła. Człowiek odnosił wrażenie, że nimi oddycha, że czuje na plecach ich nieskończenie mały ciężar.

Aniza chłonęła ów mrok z każdym oddechem, schodząc szybkim krokiem drogą wiodącą do kościoła. Czuła, że w ciągu ostatnich tygodni nastąpiła w niej jakaś zmiana. Jasne niebo jej życia spowiła noc. Noc pachnąca polnymi kwiatami i skradzionymi pocałunkami, ciałami splecionymi pośród źdźbeł trawy i obietnic wiecznej miłości. Był to zapach potajemnej namiętności, która nie pozwalała jej jeść ani spać, oblewając policzki szkarłatem, dzięki czemu, jak mawiał, była jeszcze piękniejsza.

Noc zawsze jednak składała się z mroku. Oznaczała wygaśnięcie wszelkiej logiki, całkowite opuszczenie gardy. Przede wszystkim oznaczała zdradę zaufania za każdym razem, gdy musiała okłamywać rodzinę.

Aniza czuła się rozdarta pomiędzy tym, kim była, a tym, kim nakazywała jej się stać ta miłość, tylko że ona już wybrała.

Dom Kateriny znajdował się naprzeciwko kościoła. Jeszcze parę kroków i dotrze na miejsce.

Tymczasem skręciła w lewo i ruszyła ścieżką, która wkrótce miała się zamienić w wąziutką dróżkę. Obejrzała się za siebie. Nikt nie może się dowiedzieć. Nikt nie może zrozumieć.

Dziki narcyzy zdawały się wskazywać drogę wśród spływających kaskadami akacji, śnieżnobiałych jak jej sukienka, i krzewów dzikiej róży. Górskie storczyki tworzyły gniazdo ciemnych kwiatostanów, które wyłaniało się z puszystej niczym wata chmury pośłania dla wróżek.

Okryła głowę szalem i poczuła się jak panna młoda. Las stanowił świątynię, natura była jej Bogiem.

On na nią czekał.

– Aniza. Czyli istniała naprawdę.

Marini wypowiedział te słowa z żalem, wzdychając. Teresa rozumiała stan jego ducha. Czuli niemoc, łagodny, choć dojmujący smutek, który chwycił ich za każdym razem, gdy nie byli już w stanie nic zrobić dla ofiary. Mdłości, złość: już ich zdążyły dopaść.

Przybyli do Anizy z siedemdziesięcioletnim opóźnieniem.

– Jeszcze możemy odkryć, co się z nią stało.

Blanca przemówiła z natarczywością w głosie, która roztkliwiła Teresę. Słyszając zaś owo „my”, mimo wszystko się uśmiechnęła.

– Postaramy się – przyrzekła.

Na twarzy dziewczyny odmalowało się rozczarowanie przemieszane z troską.

– I tyle? – zapytała.

Marini wybuchnął śmiechem.

– A jakże – odparł. – Jeszcze tego nie wiesz, ale dla łaskawej pani „postaramy się” znaczy dokładnie tyle, że każe nam harować od świtu do nocy, dopóki nie poznamy nazwiska sprawcy i niepodważalnego motywu.

– Nazwij mnie jeszcze raz „łaskawą panią”, a wyprowadzę cię stąd na kopach. Jasne?

– Jak słońce, łaskawa pani.

Blanca pokręciła głową. Najwyraźniej zdumiała ją ich umiejętność dokuczania sobie nawzajem.

– I co teraz? Jaka jest procedura? – zapytała.

Teresa wyjęła z torby dziennik. Poszukała czystej strony i spojrzała w kierunku miasteczka.

– Teraz pokopiemy trochę głębiej.

Francesco Di Lenardo zaprosił ich na zebranie stowarzyszenia opieki nad tożsamością rezjańską. Zebranie odbywało się w gospodzie Matriony. W sali panowały ścisk i gorączka. Jak podejrzewała Teresa, w porządku obrad nie przewidziano kwestii języka i kultury Val Resia, lecz morderstwo dziewczyny, która zaginęła przed wielu laty. Aniza była na ustach wszystkich obecnych, w ich pełnych niedowierzania, a w niektórych przypadkach wręcz wytrzeszczonych oczach. W pewnym sensie wróciła do domu.

Po raz kolejny Teresę zaskoczyło wzruszenie, jakie potrafiło wywołać tak odległe w czasie wydarzenie, w tym jednak wypadku, nie licząc bólu Francesca, znalazła dużo bardziej prozaiczne wytłumaczenie: w Val Resia nigdy dotąd nie było żadnych przestępstw. Prawdopodobnie zabójstwo Anizy (należało jeszcze tego dowieść) stanowiło jedyną zbrodnię, która zbrukała czystość tego miejsca: rozbrzmiewało niczym metalowa kulka spadająca ze schodów stopień po stopniu. Piętro po piętrze, dekada po dekadzie, jej łoskot nadal ogłuszał.

Kiedy spostrzegli obcych, wzrok kilkudziesięciu par oczu powędrował ku drzwiom. Zapadła cisza, którą przerywało jedynie ziajanie Smoky'ego. Pies był nerwowy, odkąd przybyli do doliny. Nie mogąc się uspokoić, kręcił się w kółko, przysiadł i ujadł, po czym wstawał i zaczynał od nowa.

– Może jest znudzony – stwierdziła niezbyt przekonana Blanca.

– Od pojawienia się Nimfy wygląda, jakby wszystko leciało na łeb na szyję – skwitował Marini.

Teresa spiorunowała go wzrokiem. Nie znosiła przesądów, a jeszcze bardziej rozsiewających je ludzi. Nigdy nie przyniosły ludzkości nic dobrego.

– Żartowałem – sprostował.

– Ja myślę.

Teresa przyglądała się obecnym, nie zwracając sobie głowy ukrywaniem tego. Szukała w ich twarzach jakiegoś łączącego ich elementu, widocznego śladu wspólnego pochodzenia. Słyszała, że wszyscy mieszkańcy doliny są do siebie trochę podobni.

Może i tak było w niezbyt odległej przeszłości, powiedziała sobie w duchu, ale teraz charakterystyczne cechy fizyczne, o ile w ogóle istniały, się wymieszały, rozmyły.

Francesco wyszedł Teresie i jej zespołowi na spotkanie, przy czym gest ten jakby wywołał lawinę czasu: przerwane rozmowy rozbrzmiały na nowo, zaciekawieni ludzie otoczyli ich kołem.

– Spokój, spokój – uciszył ich Francesco. – Usiądźmy, a każdy będzie miał okazję zapytania, o co tylko chce.

Pytań było mnóstwo, Teresa odpowiedziała zaś cierpliwie na każde z nich. Nie mogła zbyt wiele wyjawić ze względu na dobro śledztwa, lecz chciała w miarę możliwości włączyć ich do działania, chciała zawłaszczyć nastroje tych kobiet i mężczyzn, którzy nie znali Anizy, ale zastanawiali się nad losem, który odciągnął ją od własnej rodziny. Dostrzegała więc, dzięki której czuli się kimś więcej niż tylko zwykłymi sąsiadami.

– Był wśród nas morderca czy sprawcą jest ten cały Andrian? – odezwał się ktoś. Część zebranych popatrzyła po sobie, jakby szukali zaprzeczenia, które dla żadnej z hipotez się nie pojawiło.

– Jeszcze za wcześnie, by wskazać nazwisko sprawcy – oznajmiła Teresa.

Gdy wszystko zostało już wyjaśnione, nastroje stopniowo się uspokoiły, rozmowy zeszły na inne tematy, pogawędkom zaś to tu, to tam zaczął towarzyszyć kieliszek dobrego wina. Nikt nie mówił po włosku. Słysząc było łagodny i tajemniczy szelest spólgłosek, harmonię dźwięków o egzotycznym uroku.

Matriona okazała się gospodynią troszczącą się o swoich gości. Teresa przyglądała się, jak krąży między stolikami, napelniając kieliszki i serwując apetycznie pachnące przekąski. Pomagało jej kilka kobiet. Teresa zwróciła na nie uwagę, ponieważ jako jedyne nie podeszły do niej i nie zadawały pytań. Obserwowały ją z daleka, nie zdradzając emocji.

– Musicie spróbować naszej pasty z głąbików czosnku – powiedział Francesco, podsuwając im tacę z grzankami.

Chleb był jeszcze ciepły, a jaskrawozielony krem wydzielał silny aromat. Wbrew obawom Teresy woń nie szczypała w nozdrza.

– Odwagi, proszę się częstować – nalegał Francesco. – Nigdzie indziej tego nie znajdziecie.

– To nawet czosnek jest tutaj wyjątkowy? – zapytał Marini, zatapiając zęby w grzance.

– Izolacja nie wpłynęła wyłącznie na istoty ludzkie w dolinie. – Francesco wskazał zwisające z sufitu warkocze. – Nasz czosnek nazywa się *strock*, jest czerwony, ma drobne nasiona i jest słodki w smaku. Jak wszystko, co cenne, jest mało wydajny.

Teresa i Blanca również skosztowały grzanek.

– Pyszne.

Niemal niepostrzeżenie przekąska zamieniła się w posiłek. Kiedy Teresa napomknęła, że powinni wracać, pierwsza zaczęła namawiać ich do pozostania Matriona. Przyniosła do stołu talerze parującej zupy.

– Nasza zupa czosnkowa. Musicie jej spróbować – zapowiedziała. – A potem będą *calcüne*. Rano narwałam na farsz babki i lepnicy. Założę się, że nigdy nie jedliście dzikiej marchwi.

– Co do reszty, to też nie – roześmiała się Blanca.

Matriona pogładziła ją po ramieniu.

– W takim razie postanowione – oświadczyła i odwróciła się, by poświęcić uwagę pozostałym biesiadnikom.

– Nie poznałam ich – rzekła Teresa, pokazując na kobiety pomagające Matrimonie.

Francesco podążył za jej spojrzeniem.

– Pracują w gospodarstwie Mat – wyjaśnił. – Uprawiają czosnek i rośliny lecznicze, przede wszystkim śláz. Suszą go i sprzedają jako herbatkę ziołową albo składnik ziół leczniczych. To eksperyment socjalny i gospodarczy, który działa. Wiele młodych kobiet w ten sposób na powrót przywiązało się do ziemi. Część z nich najpierw opuściła dolinę, by potem do niej powrócić. – Machnął ręką w kierunku zawieszonych na główkach skrzypiec wstążek. – Każda kobieta ma własne wstążki, własne kolory. Przyozdabia kosz, do którego zbiera kwiaty i zioła. To forma kultywowania swoich korzeni, a jednocześnie wyrażenia siebie.

– Macie włoskie nazwiska – zastanawiała się głośno Teresa. – Wiele kobiet nosi rezjańskie imiona. Tymczasem mężczyźni nie.

Francesco przytaknął.

– Nasz język zachował się w formie mówionej przez całe wieki. Dopiero teraz staramy się wypracować formę pisaną, być może dlatego, że jesteśmy tak blisko jego utraty. Sądzę, że kiedy dolina otworzyła się na świat, przybieranie włoskich

nazwisk było czymś naturalnym. Nie potrafię określić, kiedy dokładnie to nastąpiło. Wielu uważa mnie za historyczną pamięć tego miejsca, ale chyba nie jestem dość stary, żeby przypomnieć sobie to, co istotne. Dawna wiedza niestety uległa zatarciu. Nie wiemy, skąd pochodzimy. Kobiety, owszem, zawsze przechowywały kawałek naszej historii. Traktują ją jak święty ogień, płomyk, którego należy strzec. Nadal przekazują sobie dawne imiona. To one uczą rezjańskiego młodych. To one każdej wiosny przywracają do życia tę ziemię, uprawiając zioła. Oczywiście nie wszystkie. Niektóre. Jestem jednak pewien, że reszta się do nich przyłączy. Samicom każdego gatunku leży na sercu to, czym samce rzadko zaprzatają sobie głowę.

– To znaczy? – zapytał Marini.

– Przyszłość. Dla nich to wrodzona skłonność, mają ją w genach.

– Tutaj przeszłość zlewa się z przyszłością – zauważyła Teresa.

Francesco pogrążył się w zadumie.

– Dla naszych przodków czas nie płynął linearnie, tak jak dla nas – rzekł. – Był cykliczny, jak pory roku w przyrodzie. Zima stanowiła drzwi, które otwierały się przed wiosną. Śmierć stanowiła przejście do nowego życia. Tak więc w tej dolinie przeszłość stanowi początek i powrót.

– Naprawdę nie zachowało się żadne świadectwo na temat waszego rodowodu? – zapytała Blanca. Sprawiała wrażenie oczarowanej.

– Żadne. Mieszkamy tu od prawie dwóch tysięcy lat, ale wygląda na to, że wszelki ślad po naszym przybyciu zaginął. Wszystko to, co świadczy o naszych korzeniach, jest ulotne, nieuchwytnie: nasz język i pieśni.

– Pieśni?

– Przypuszczam, że nigdy nie słyszeliście o Elli von Schultz-Adaiewsky. Była to rosyjska kompozytorka i muzykolożka, która mieszkała także tutaj, we Włoszech. Prędko poświęciła się badaniom etnomuzykologicznym. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku wydała esej *La Berceuse Populaire*.

– Ludowa kołysanka – przetłumaczyła Teresa.

– Podczas podróży prowadziła też badania nad różnymi kołysankami na kontynencie indoeuropejskim. Według jej teorii ludowe kantyczki służące do usypiania dzieci mają w swoim rytmie właściwości uspokajające i kojące i właśnie to instynktowna mądrość ludowa wykluczyła z kołysanek elementy odwołujące się

do etosu. Oczywiście kwestia jest bardziej techniczna i złożona, niż państwu przedstawiam. Ella wyrażała siebie za pomocą taktów i niepełnych taktów, zwanych przedtaktami, które określała jako „elementy zakłócające i wrogie odpoczynkowi”.

– Proszę mi wybaczyć – przerwał Marini. – Nie widzę związku z waszym pochodzeniem.

– W tym eseju Ella opisuje pewną mingrelską kołysankę. Mingrelowie to lud zamieszkujący górzisty teren nad brzegami Morza Czarnego: Kolchidę, ojczyznę Medei i być może Amazonek. W szczególności Ella odwiedziła wioskę Tsaisci na Kaukazie. Odmalowała jej mieszkańców jako „ciemnych i gorących”. Wysłuchiła ich kołysanki, *paeon epibatus*: melodii towarzyszyło uderzanie stopą.

– Tak jak w waszych pieśniach – mruknęła Teresa, domyśliwszy się, dokąd zmierza Francesco.

Mężczyzna przytaknął. Popatrzył na nią w milczącym uniesieniu.

– W swoim eseju Ella napisała, że słyszała już inną wersję tej kantyczki – dodał.
– Słyszała ją w czasie dwóch pobytów we Włoszech pod koniec dziewiętnastego wieku, w pewnej dolinie, którą nazwała „malowniczą”.

– Val Resia.

– Tak. Na naszej ziemi. Ella wymienia jej nazwę i opisuje jej melodie. Jedyna podchwyciona przez nią różnica polega na tym, że nasza kołysanka jest tetrapodią jambiczną, natomiast ta mingrelska to dipodia trocheiczna. Szczegóły techniczne, które mają znaczenie dla mało kogo. Nam najczęściej kołysanki te wydają się jedynie bardzo podobne, to prawie ta sama melodia.

Pochylił się ku nim, zajrzał każdemu z nich w oczy. Jego wzrok płonął.

– To oznacza, że znaleźliśmy ślad naszych korzeni i że one nie tkwią tutaj, nie za otaczającymi nas granicami, ale o wiele dalej na wschód. Potwierdza to genom. Teraz poświadcza to nauka, która mówi, że nie jesteśmy biednymi wariatami, co aż nazbyt długo zarzucali nam niektórzy.

Upił łyk wina. Nieznacznie drżały mu dłonie.

– Poza tym jest jeszcze jedna różnica – oznajmił, może z lekkim wahaniem.

– Jaka? – zapytała Teresa.

– Nasza kołysanka to zarazem pieśń żałobna – wyszeptał. – Bo dla nas koniec jest tylko kolejnym początkiem. Usypiamy naszych zmarłych, kołysujemy ich

w chwili przeprawy. Śmierć to jedynie przeprawa.

Teresa zadumała się nad jego spostrzeżeniami na temat cyklicznego pojmowania czasu przez przodków. Zapomniana mądrość, która w tej dolinie, przeciwnie, najwyraźniej się odrodziła.

– Jaka jest dokładnie wasza teoria na temat pochodzenia Rezjan? – zapytała.

Francesco odetchnął głęboko.

– Nasza historia zaczęła się prawdopodobnie w okolicach Jeziora Aralskiego. To właśnie w te rejony zawędrowały ludy pasterskie z Mezopotamii. Szukały pastwisk i okazało się, że to dobra ziemia, chociaż opanowana przez ludy stepowe, ciemężycieli stosujących przemoc. Czasy obfitości skończyły się jednak także tam: zabrakło wody i trawy dla zwierząt. Wobec tego ludy pasterskie przeniosły się na północny wschód i zatrzymały na Kaukazie. Tacyt wzmiankuje ich obecność na terenie dzisiejszej Ukrainy i dokładnie ich opisuje: w odróżnieniu od prostych, skąpo odzianych ludzi stepów, którzy mieszkali w szałasach i porozumiewali się z trudem za pomocą gestów i pomruków, nasi przodkowie byli hodowcami i rolnikami i dobrze władali swoim językiem. Tacyt pisze o nich *slaves*, ponieważ mężczyźni na koniach wykorzystywali ich i stosowali wobec nich siłę. Trzymali ich w odosobnieniu, które poskutkowało ewolucją w języku. Przypuszcza się, że około szóstego wieku ponownie uciekli na północny wschód, podążając za wojskiem Hunów. W naszej dolinie pojawiły się cztery plemiona: cztery różne plemiona Prasłowian. Profesor Hamp, wybitny i słynny językoznawca, określił nas jako słowiańską linię niezależną z językoznawczego punktu widzenia.

Francesco zamilkł i wbił wzrok w lniany obrus. Bezustannie wyglądał go palcami. Widać było, że jest zatopiony w myślach, tak jakby obrazy z odległej przeszłości przepływały właśnie po śnieżnobiałym płótnie.

– Ziemia Amazonek – szepnęła zauroczona Blanca. – Ależ emocjonująca historia!

Wszyscy się roześmiali.

– Z całej opowieści to jedyny szczegół, jaki pozostał ci w głowie, na dodatek jedyny, który odnosi się do legendy – zażartował z niej Marini.

– To ty tak twierdzisz.

– Tak twierdzi oficjalna historia.

– Prawdę mówiąc, mamy tu sporo Amazonek – oświadczył Francesco. – Nasze kobiety są silne i niezależne. Bóg raczy wiedzieć, jak bardzo. – Podniósł wzrok: znów zagościł w nim spokój. – Niedługo jedną z nich poznacie i sądzę, że jej widok wami wstrząśnie.

Teresa czekała na tę chwilę z trwogą, teraz zaś, kiedy nadeszła, serce waliło jej mocno. Pora spotkać się z Krisnią, cioteczną wnuczką Anizy.

Pora zobaczyć prawdziwą twarz Śpiącej Nimfy.

Gdy Krisnja nie miała zajęć na uniwersytecie, pracowała jako wolontariuszka w miejscowym muzeum etnograficznym. W obiekcie mieściło się kilka nowoczesnych sal wystawowych, przeznaczonych na stałą ekspozycję dawnego rzemiosła, z którego jeszcze kilkadziesiąt lat temu utrzymywali się mieszkańcy Val Resia: szlifierstwa. W przyległym budynku, starszym i o bardziej wiejskim charakterze, znajdowała się natomiast zrekonstruowana typowa lokalna chata.

Francesco powiedział, że dziewczyna będzie na nich czekała właśnie tam.

– Gotowe? – zapytał Marini z ironiczną miną, którą zapewne chciał zamaskować własne napięcie. Tak często snuli fantazje na temat Śpiącej Nimfy, że prawdopodobnie czekało ich nieuchronne rozczarowanie. Trudno, żeby podobieństwo między obiema kobietami było aż tak zdumiewające, jak słyszeli. Bez wątplenia nie sposób odnaleźć w istocie z krwi i kości uroku tak tajemniczego portretu.

– Gotowe czy nie, idziemy – odparła Teresa.

Słońce zostało wchłonięte przez gigantyczne kłęby ołowianych chmur zawieszonych na wysokości szczytów. Chmury kotłowały się ciężko niczym mroczne wiry. Pogoda znów uległa zmianie, wokół pociemniało, powietrze stało się ostre i żółtawe. Wiatr przyniósł zapach deszczu i pierwsze krople oznaczające gwałtowny przełom. W oddali ciemność między dwoma wierzchołkami przecięły lękliwie błyskawice.

Zostawili Smoky'ego w samochodzie, do połowy opuściwszy szybę. Na piętro prowadziły drewniane schody. Zza uchylonych drzwi dobiegał kobiecy śpiew w języku rezjańskim. Pieśń miała spokojny rytm, typowy dla natury. Teresie przypominał ludowe piosenki z dzieciństwa, kiedy wraz z dziadkami zbierała słomę dla zwierząt na zimę albo rwała dojrzałe i słodkie winogrona z pnączy winorośli, na której pomimo że powietrze było nadal ciepłe, malowały się barwy nadchodzącej jesieni. Ciągle czuła zapach i słodycz owoców na wargach. Melodia

przesycona była tkliwością przemieszaną z melancholią, lecz pobrzmiwała w niej jakaś wzruszająca uroczyście nuta. Zastanawiała się, jaką też historię opowiada.

Delikatnie pchnięte drzwi otworzyły się na oścież, a wtedy Teresa przeniosła się w przeszłość. Pomieszczenie pachniało drewnem wykonanych ręcznie ławek, które zajmowały przestrzeń po bokach, kaliną, której pełne kosze wisiały na ścianach wraz z innymi wyrobami rzemiosła, fotografiami niegdysiejszych twarzy, przypominających rzeźby stworzone przez czas. Z sufitowych belek zwisały bukiety suszonych ziół. Pustą stronę zajmował piec kaflowy. Obok, na kobyłkach, stał kocioł o starodawnym wyglądzie.

Była tam; jej profil zasłaniała burza ciemnych włosów, muskających ramiona falami, które opadały na plecy. Miała na sobie długą czarną spódnicę, której skraj zdobiły haftowane kwiaty, i białą bluzkę, przewiazaną w talii szarfą w chabrowym kolorze. Podwinęła rękawy do łokci, teraz zaś układała korony maleńkich białych kwiatków na sicie. Rumianek rozsiewał w powietrzu charakterystyczną miodową woń jeszcze niemal rok po wysuszeniu.

Krisnja śpiewała swą spokojną pieśń, chociaż na zewnątrz szalała burza. Był to przepelniony magią widok, którego żadne z nich nie ośmieliło się zakłócić. Kantyczka przeciwstawiała się sile łomoczących o szyby żywiołów ze stoicką wyniosłością, jakby była zdolna je uciszyć. Blanca zamknęła dłoń Teresy w krótkim uścisku, jakby chciała zapewnić, że podziela jej emocje.

Głos zamilkł, w powietrzu zaś zawisły nawet ich oddechy.

Krisnja się odwróciła. Teresa poczuła się tak, jakby spoglądała w twarz kogoś, kogo nigdy nie spotkała, a jednocześnie doskonale znała. Ścisnęła mocno rękę Blanki, po czym ją puściła, jakby chciała powiedzieć, że podziela jej wzruszenie. To ona!

Oto stało przed nimi wcielenie Śpiącej Nimfy, charakteryzujące się idealnym owalem twarzy, prostym nosem i lekko skośnymi oczami, zgodnie z wyobrażeniem Teresy – czarnymi. Kaskady włosów sięgały dziewczynie aż do piersi, jakże podobne do tych z portretu, tyle że żywe i lśniące.

Bił od niej jakiś mistycyzm: prawa wszechświata, w konsekwencji których uśpione na pokolenia geny budzą się w nowym życiu, przynosząc światu wspomnienie innego. Krisnja stanowiła portret swojej ciotecznej babki Anizy.

Kiedy się uśmiechnęła, to tak, jakby rozkwitł kwiat.

Krisnja zaparzyła kawę na sposób rezjański, doprowadzając ją do wrzenia w rondelku. Trudno było nie wpatrywać się w nią bez natręctwa, chociaż ona zdawała się nie zwracać na to uwagi.

– Francesco opowiadał mi o portrecie i jego historii – zagadnęła, częstując ich *sopami*, czyli kromkami chleba obtoczonymi w jajku, zapieczonymi i posypanymi cukrem. Marini i Blanca dali się skusić, natomiast Teresa ze względu na cukrzycę odmówiła. Krisnja usiadła wraz z nimi. – Dla niego to był wstrząs. Bardzo kochał Anizę. Już gdy byłam dzieckiem powtarzał, jak bardzo jestem do niej podobna, ale w pewnym momencie przestał. Chyba nie chciał mnie porównywać ze zmarłą. Nadal jednak mówiły to jego oczy za każdym razem, gdy na mnie patrzył.

Zawahała się, po czym zerknęła na Teresę.

– Naprawdę aż tak bardzo ją przypominam? – zapytała.

Teresa położyła na stole zdjęcie portretu.

Dziewczyna zakryła dłonią usta, gest ten zdradzał być może nieświadome pragnienie ukrycia wzruszenia przed obcymi.

– A więc tak wygląda – szepnęła. – Nigdy nie miałam odwagi poprosić Francesca o jej fotografię.

Teresa chętnie złożyłaby jej taką samą obietnicę, jaką składa bliskim ofiar: że znajdzie sprawcę, że sprowadzi do domu Anizę, aby każdy, kto ją kocha, mógł jej zapewnić pochówek, dzięki któremu pamięć o niej by przetrwała. Milczała jednak, albowiem słowa te okazałyby się zupełnie nie na miejscu. Nie była w stanie składać przyrzeczeń.

– Francesco mówi o tobie z wielkim uczuciem – stwierdziła, zmieniając temat.

Krisnja się uśmiechnęła.

– Z uczuciem, które odwzajemniam. Zawsze był mi oddany, może zastępowałam mu córkę, której nigdy nie miał. Moja babka Ewa zbyt szybko owdowiała, ojciec opuścił dolinę, gdy byłam mała, i zostawił moją matkę Hannę. W jakimś sensie Francesco przejął jego rolę, mimo że całe życie spędziłam wśród kobiet.

Teresie przyszło na myśl, że pewnie właśnie z tego powodu mężczyzna nie towarzyszy im w tym spotkaniu: nie chciał, by dziewczynę przytłoczyło

wspomnienie, które dla niego wciąż było żywe, Krisnę zaś mogło uwierać. Rozejrzała się dokoła.

– Zdaje się, że to wy, kobiety, jesteście najbardziej zagorzałymi strażniczkami waszej kultury – zauważyła.

Krisnja sposepniła.

– Nasi ludzie przeżywają teraz trudny i bolesny okres, wewnętrzny podział, jaki w ciągu tylu wieków nigdy się nie zdarzył. – Omiotła wzrokiem otaczające ich przedmioty, opowiadające dzieje doliny tablice. – Tkwią tutaj również z tego powodu. Czuwam nad prawdą. Przywracam ją.

Samochód oddalił się w strugach deszczu. Na tylnej kanapie siedziała skupiona Blanca, tuląc Smoky'ego z zamyśloną miną. Marini prowadził powoli, ze wzrokiem utkwionym w ścianę wody, przez którą przebijało się auto. Na poboczach powstały prawdziwe potoki, które spływały w dół po tłuczniu.

Teresa była wyczerpana, tak jakby znużenie po całym dniu dopadło ją akurat w chwili, gdy podniosła szybę, odgradzając się od doliny. Emocje mają swoje brzemie, była o tym przekonana. Ciężą na sercu i ciele, przygarbiają plecy, nawet jeśli są dobre. Teresa niczym gąbka chłoneła otaczające ją nastroje, światła i cienie, a one wszystkie jej się udzielały. Była tak mocno przesiąknięta mrokiem, choć w dużej części zdołała przemienić go w ogień, w gorącą pasję życia. Ciemność wtargnęła w zakamarki jej duszy, ale ona nauczyła się z nią żyć, nie walczyć z nią, jak by to uczyniła z trucizną. Pozwalała jej opaść swobodnie na dno. Ciemność ciągle tam była, od czasu do czasu Teresa czuła, jak unosi się niczym toksyczne opary.

Gwałtowne bębnienie deszczu o przednią szybę wprawiało ją w stan hipnozy. Oczy same się zamknęły, wbrew jej woli. Rzucone na dno umysłu twarze Matriony, Francesca i Krisnji zmieniały się jak karty na stole do gry. Mnóstwo innych nie zostało jeszcze odsłoniętych. Do niej należało je odkryć i zakończyć partię jako zwycięzcy. Tylko że w jej życiu nie było już miejsca na zwycięstwa.

Budzik w komórce ostrzegł, że do wieczornego zastrzyku insuliny brakuje godziny. Dokonała paru obliczeń: spokojnie zdąży dotrzeć na komendę, naszkicować raport, który nic nie powie, i zamknąć się w bezosobowej toalecie, aby ponownie, po raz kolejny, podziurawić z pozoru tylko niewrażliwą skórę, która

niekiedy zachowywała się tak, jakby nie należała do niej. Zdąży zostać sama, nieco bardziej poobijana, niż gdy się obudziła tego ranka. Nieco bardziej zmęczona.

Myśli niosły ze sobą imiona i słowa zawieszane gdzieś w przestrzeni, której nie potrafiła jeszcze nazwać.

Deszcz. Korzenie. Krisnja. Choroba.

Znów deszcz. Francesco. Wspomnienie. Choroba, która wymazuje wspomnienie.

Przymknęła oczy. Burza się nasiliła. Marini często musiał zwalniać, aby ominąć gałęzie i sterty liści, które blokowały drogę. Wiatr wył wśród drzew i tak mocno szarpał konarami, że aż je łamał. Ulewa uderzała o szyby.

Powieki Teresy ponownie opadły.

– Może lepiej stanąć i poczekać, aż przestanie lać – usłyszała głos Blanki.

– Jeszcze parę zakrętów i dojedziemy do drogi krajowej – uspokoił ją Marini.

Powietrzem wstrząsnął przerażający grzmot, aż zadrżały szkło i metal w samochodzie.

Blanca wrzasnęła.

– Obudziliśmy jakiegoś krewkiego boga.

Teresa uświadomiła sobie, że to ona wypowiedziała te słowa, dopiero wtedy, gdy z jej ust popłynęła ostatnia zgłoska. Jeszcze czuła ją na końcu języka, ponieważ. Wcale tak nie myślała.

Otworzyła oczy. Widziała przed sobą niezmordowany i rozwścieczony wodospad w kolorze ołowiu. Ostrza wody spadającej z impetem na świat. Niekiedy przesywały je porywy wiatru, przybierające postać białawych wirów. Nagle w tym skąpanym w wodzie piekle Teresa dostrzegła jakąś ciemniejszą postać stojącą pośrodku szosy. Wyteżyła wzrok. Pomiędzy jednym obsesyjnym ruchem wycieraczek a drugim cień nabrał kształtu, lecz było już za późno.

– Uważaj! – krzyknęła. Instynktownie złapała za kierownicę i przekręciła ją z całych sił.

Auto gwałtownie zmieniło kierunek, rąbnęło z szarpnięciem w barierę ochronną i ją przebiło. Jazda po stromym zboczu trwała tyle co krzyk, po czym skończyła się na pniu drzewa.

Cisza nie utrzymała się długo. Natychmiast wybuchł zgiewk. Szczekanie Smoky'ego, wzajemne nawoływanie, aby ocenić szkody. Blanca kopiąca w drzwi i usiłująca wydostać się z kokpitu. Ramiona Mariniego chwytające dziewczynę i wywlekające ją na zewnątrz, na trawę.

Teresa wierzgała. Nie czuła bólu, jedynie przytłumiony mętnik, który był dla niej gorszy niż śmierć.

– Pani komisarz! Słyszysz mnie pani?

Potrząsał nią Marini. Nadal siedziała w fotelu pasażera, z zapiętym pasem. Teresa nie odpowiedziała, tylko ścisnęła Massima za ramię.

– Udało ci się go wyminąć? – zapytała.

Spojrzał na nią, nie pojmując.

– Kogo miałem wyminąć?

Teresa popatrzyła w kierunku drogi. Ulewny deszcz sprawiał, że obraz był rozmyty, niemal jak fatamorgana.

– Ktoś tam był, na środku. Nie widziałeś go?

Marini zbladł. Nie zwlekając, wygramolił się z auta i zniknął jej z oczu. Smoky zaprowadził Blancę do Teresy. Dziewczyna miała szeroko otwarte oczy, biała jak płótno twarz pozwalała się domyślać, że jest przerażona. Woda spływała jej po policzkach strumieniami, które przypominały przezroczyste żyły.

– Wszystko w porządku? – zapytała. Wyraźnie była bliska płaczu.

Teresa przytaknęła i skorzystała z jej pomocy, by wysiąść.

Marini znów pojawił się w polu widzenia, sturlał się po zboczach, chcąc szybciej do nich dołączyć. Na czole miał głębokie rozcięcie. Deszcz od razu zmywał krew.

– Nikogo nie znalazłem – oznajmił, posyłając Teresie spojrzenie, którego nie potrafiła odczytać. – Nikogo nie było, pani komisarz.

Łoskot wokół nich niespodziewanie przycichł. Huragan przeistoczył się w rzęsimy deszcz, który bębnił w pogiętą blachę.

Teresa odwróciła wzrok. Utkwiła go w przepaści kilka metrów od nich.

Co ja zrobiłam?

Massimo dotknął czoła i wyrwało mu się przekleństwo. Szwy pod plastrem irytująco ciągnęły.

– Boli cię? – zapytała Blanca.

Pogładził ją delikatnie po ramieniu.

– Nie – odparł kojąco. – A jak ty się czujesz?

Dziewczyna wypuściła powietrze.

– Podminowana.

Jej i Smoky'emu dopisało szczęście, nie mieli nawet zadrapania, mimo to Blanca była niespokojna, ponieważ musiała zostawić psa w poczekalni na oddziale ratunkowym, pod opieką De Carlego. Nie potrafiła usiedzieć na miejscu, swym lękiem zaś zaraziła także Massima. Mężczyzna wielokrotnie próbował ją uspokoić, potem jednak do niego dotarło, że Smoky jest dla niej bliską istotą i że, podobnie jak matka, nie pozbędzie się obaw, dopóki nie znajdzie się obok niego.

Oboje czekali, aż komisarz Battaglia opuści oddział ratunkowy, gdzie opatrywano jej zwichnięty nadgarstek. Massimo zdołał wydusić z pielęgniara, który dopiero co wyszedł przez te drzwi, że kobieta nie ma żadnych złamań.

Tyle że Massimo nie martwił się z powodu jej obrażeń zewnętrznych. Musiał porozmawiać z Teresą, aby ją zapewnić, że nikt się nie przejmuje tym, co się stało. A najmniej on. Mieli szczęście, reszta to tylko przykre wspomnienie, które już stanowi przeszłość. Wkrótce wyblaknie, on zaś nigdy więcej o nim nie napomknie.

Widział, że się gryzie, że jest przerażona. Zawstydzona własnym niewytłumaczalnym postępkim.

Przez moment Massimo naprawdę wierzył, że kogoś potrafił. Wrócił na drogę ze ściśniętym żołądkiem i o mało nie zwymiotował ze strachu, że znajdzie na asfalcie leżące ciało. Nie było nic poza paroma gałęziami i dywanem z liści zerwanych przez wiatr. Nie potrafiłby opisać słowami doznanej ulgi, która prędko

jednak przerodziła się w trwogę: Teresa Battaglia, którą znał, nigdy nie zachowałaby się tak nierozważnie.

– Idź do domu – powiedział do Blanki. – Nie ma potrzeby, żebyśmy czekali oboje.

Pokręciła głową.

– Nie, chcę zobaczyć, że nic jej nie jest.

Pogłaskał ją po głowie, po czym natychmiast cofnął dłoń, zaskoczony tym gestem.

– Jasne, że nic jej nie jest – zapewnił.

– To dlaczego nie wychodzi?

– Bo jest komisarzem policji i uległa wypadkowi – skłamał. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile papierów będzie musiała wypełnić, zajmie jej to całe wieki. Idź, De Carli czeka, żeby odstawić cię do domu.

Spochmurniała jeszcze bardziej.

– Będziesz miał kłopoty przez rozbity samochód?

Gdyby jedyny problem stanowił samochód, Marini by się z tego śmiał.

– Nie będzie kłopotów. Na środku drogi leżał zwalony pień. Skręciłem kierownicą w ostatnim momencie, bo w tym deszczu go nie widziałem.

Milczała przez chwilę, jakby rozważała jego słowa.

– Czy taka jest oficjalna wersja? – zapytała.

Massimo się skrzywił.

– „Oficjalna” źle brzmi – odparł. – Przecież tak było, nie?

Uśmiechnęła się.

– Tak.

– Idź.

– Idę, ale powiedz jej, że wcale się nie przejmuję.

Massimo skinął na pielęgniarza, aby ją odprowadził.

– Ależ oczywiście.

Patrzył, jak wychodzi, powłócząc nogami, jakby przyciągał ją magnes, zmuszający do stawiania oporu, przez co jej kroki stały się ociężałe.

Schował twarz w dłoniach. Bóg jeden wiedział, jak na tę wiadomość zareagowałby Albert Lona. Jeżeli czekał na pretekst do ataku na komisarz, nigdy nie nadarzyłaby się lepsza po temu okazja. On i cały zespół powinni stanąć za Teresą murem.

Aż podskoczył, czując na plecach pieszczotę.

– Hej, to ja.

Elena wpatrywała się trwożliwie w opatrunek na jego czole.

Massimo wstał.

– Cześć, nie musiałaś przyjeżdżać – rzekł pośpiesznie. – Przecież mówiłem, że wezmę taksówkę. Jak się czujesz?

Cofnęła się.

– Mnie o to pytasz? Przecież to ty prawie roztrzaskałeś sobie głowę.

Do Massimo dotarło, jakie musi sprawiać wrażenie: pomięte i powalane krwią ubranie. Plaster przewyższający wielkością ranę.

Spróbował się uśmiechnąć, dotykając czoła.

– Głowa jest na swoim miejscu. Naprawdę nie musiałaś się trudzić z mojego powodu.

Zamiast się odprężyć, Elena zrobiła zaciętą minę.

– Właśnie. Wygląda na to, że dla ciebie nie mogę nic zrobić – odparła.

Podniósł dłoń, by ją pogłaskać, w ostatniej chwili jednak zrezygnował.

– Nie to chciałem powiedzieć.

– A co chciałeś powiedzieć? Martwiłam się i zdaje się, że było to w pełni uzasadnione.

Massimo wiedział, że nie ma na myśli wyłącznie wypadku. Coś w nim pękło na długo przedtem, a ona najwyraźniej wreszcie dostrzegła tę rysę. Spod pęknięcia wyłaniała się dręcząca go tajemnica, która sprawiała, że stał się dla Eleny kimś obcym. Postanowił przyciągnąć ją do siebie.

– Wybacz – wyszeptał z czołem przytkniętym do jej czoła. Czuł, że ma zimną skórę, albo to jego skóra była lodowata.

– Marini?

Obejrzał się. Nadszedł Parri. Elena wyswobodziła się z ramion Massimo, on zaś nie uczynił nic, by ją zatrzymać.

– Doktorze Parri, nie chcą mnie wpuścić – poskarżył się z lękiem, którego nie zdołał ukryć.

Mężczyzna uśmiechnął się zdawkowo. Otaksował krytycznym wzrokiem krwiak na policzku Mariniego.

– Sam się zatroszczę o naszą Battaglię. Koledzy już mnie uspokoili co do jej stanu. Jedź do domu, przyłóż lód i porządnie się wyśpij.

Massimo chciał powiedzieć, że nie to go trapi, że być może to Teresie Battaglii należy dodać otuchy, że być może należy ją zapewnić, że taka sytuacja mogła się przydarzyć każdemu.

– Chciałbym ją zobaczyć – rzekł zamiast tego.

Wzrok Parriego powędrował od niego do Eleny, po czym z powrotem spoczął na jego twarzy. Patolog położył mu dłoń na ramieniu. Mocno zacisnął palce.

– Zawiozę ją do domu i z nią zostanę. Nie martw się. Niczym – obiecał.

Massimo wyczytał w jego oczach o wiele więcej. Parri zrozumiał.

Teresa wycelowała palec wskazujący w bransoletkę. Jednym ruchem sprawiła, że zawirowała wokół zdrowego nadgarstka. Była to rosyjska ruletka: jeżeli palec zatrzyma się na jej imieniu, będzie to ciągnąć, jeżeli na numerze telefonu, pod który należy zadzwonić, zrobi to. Oznajmi swojemu lekarzowi, że nadszedł moment, o którym tak często rozmawiali. Zrezygnuje z pracy.

Numer jeszcze się nie pojawił. Ze statystycznego punktu widzenia był to niemal cud.

Teresa, przycupnięta na brzegu łóżka ze zwisającymi luźno nogami, odnosiła wrażenie, że siedzi na skraju przepaści, nie mając odwagi rzucić się w dół, ani też siły, by się odsunąć.

Przeraziło ją własne zachowanie, to, czego o mało nie zrobiła: o mało nie zabiła dwóch osób.

Żeby ocalić jakiś nieistniejący cień, pomyślała ze zgrozą.

W życiu popełniła tak wiele błędów. Upadała i się podnosiła. Straciła wszystko i zaczęła od nowa. Pożegnała się z mnóstwem ludzi, lecz poznała drugie tyle. Nigdy jednak nikogo nie skrzywdziła.

Jedną osobę tak, tę najważniejszą.

Otarła dłonią łzę, ale ból nadal palił jej twarz.

Ponownie zakręciła bransoletką i ponownie wyszło jej imię.

Zastanawiała się, czy choroba przyspieszyła bieg i czy teraz utracie pamięci zacząną towarzyszyć omamy. To było możliwe. To było prawdopodobne. Prawie na pewno już się stało.

Nieistniejący cień.

To, co zobaczyła, nie było tylko odbiciem ciemności w ulewnym deszczu. Było czymś więcej: czymś, co wyglądało jak żywe.

I wrogie.

Pokręciła głową, jakby chciała strząsnąć z siebie dręczącą ją myśl.

Drzwi się otworzyły. Odetchnęła z ulgą na widok uśmiechniętej twarzy Antonia Parriego.

Przyjaciół przytulił ją bez słowa. Teresa się nie opierała. Potrzebowała tego. Rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by się o nią zatroszczył, kto chwyciłby choć na chwilę wodze jej życia, ona sama bowiem nie potrafiła już nim pokierować.

– Wszystko jest okej – wyszeptał powoli w jej włosy.

Nie była to prawda, ale w tym momencie mogli sobie pozwolić na drobne kłamstwo. Teresa chciała go, jakkolwiek odczuwała także potrzebę, by się wytłumaczyć, by uwolnić się od przygniatającego ją ciężaru. Uniosła twarz i spojrzała staremu przyjacielowi w oczy. Zawsze bił z nich spokój, obietnica wsparcia nawet w najtrudniejszej sytuacji.

– Antonio... – zaczęła.

– Ćśś, już mi wyjaśnili wszystko przez telefon.

– Chcę o tym porozmawiać.

Nie przestawał jej kołysać, tak jakby trzymał w ramionach małą dziewczynkę, ignorując jej słowa.

– Marini już wszystko załatwił i cię wypisano – oznajmił. – Zabieram cię do domu.

Teresa potrząsnęła nim łagodnie.

– Co załatwił? – zapytała.

Antonio popatrzył na nią znad okularów.

– Opisał przebieg wypadku, opowiedział o pniu, który spadł na drogę, i o próbie wyminięcia go.

– Nie było żadnego pnia – mruknęła Teresa.

– Parisi i De Carli odsunęli go, gdy po was przyjechali.

Teresa wpatrywała się weń w milczeniu. Przez chwilę myślała, że naprawdę w to wierzy.

– Przecież wiesz, że to kompletna bzdura.

– Jasne, że tak.

Antonio powiedział to ze spokojem, takim samym, z jakim sprzeciwiłby się wszelkiej próbie Teresy, by się obwiniać. Granitowym, niewzruszonym spokojem.

Chronił ją. Jak Marini, jak De Carli i Parisi.

Odwróciła wzrok.

– Dlaczego? – zapytała tylko.

Zarzucił jej kurtkę na plecy. Pochylił się do ucha.

– Bo przestałem już liczyć, ile razy wyjęłaś mi kieliszek z dłoni, gdy byłem zbyt nawalony, żeby w ogóle sobie przypomnieć, jak się nazywam – wyszeptał.

Teresa mocno ścisnęła jego rękę. Oddałaby wszystko, byleby mu wytłumaczyć powód, dla którego złapała za kierownicę, ryzykując, że pogrzebie ich wszystkich w wąwozie.

Nie mogła tego jednak zrobić. Po raz pierwszy nie mogła mu się zwierzyć.

Albowiem wydawało jej się wtedy, że w strugach deszczu dostrzega ludzką postać tkwiącą nieruchomo na środku drogi. Albowiem postać ta miała zaciśnięte pięści i wyglądała tak, jakby się wygięła, rzucając im wyzwanie, by ją przejechali.

Tego, co wydawało jej się, że widzi, nie powinno się przed nikim ujawniać, chyba że wywaliłaby całą prawdę, także o swojej chorobie, ponieważ stanowiła ona jedyną okoliczność, która mogłaby ją usprawiedliwić.

– Wzięłaś insulinę? – zapytał Antonio, pomagając jej zejść.

– Tak.

– W takim razie chodźmy.

Teresa skinęła głową.

– Chociaż perspektywa zamknięcia się w domu i roztrząsania wszystkiego mnie nie zachwyca – burknęła.

Przyjaciel chwycił ją pod ramię.

– Tylko że ja cię nie zabieram do domu. Jeszcze nie – odrzekł z chytrym uśmiechem.

– Ach tak?

– Mam dla ciebie niespodziankę, a skoro nawet upadek ze skarpy nie rozłożył cię na łopatki, chyba dam ci ją właśnie teraz.

– Czy zawiera mnóstwo cukru i jest do jedzenia?

– Nie, ale założę się, że i tak ci się spodoba. Czeka na ciebie u mnie w laboratorium.

Teresa przystanąła.

– Jakież wieści o *Śpiącej nimfie*?

Antonio Parri jeszcze szerzej rozciągnął usta w uśmiechu. Co oznaczało „tak”.

– Jestem dobry czy nie?

– Najlepszy.

Zdażył już zapaść wieczór, toteż korytarze kostnicy opustoszały i spowił je mrok. Światło paliło się wyłącznie w gabinecie Parriego, znajdującym się za sekretariatem, za pograżonym w ciemnościach laboratorium i za pomieszczeniami pełnymi lodówek. Strażnik podniósł głowę znad gazety i rozpoznawszy ich, skinął im na powitanie, po czym powrócił do lektury. Teresę zżerała ciekawość, lecz nie zadawała pytań. Pozwoliła, by Antonio sam wyjawiał jej odkrytą przez siebie tajemnicę.

Gabinet rozjaśniało niebieskawe światło monitora. Na wygaszaczu ekranu widniała czaszka obracająca się wokół własnej osi. Teresie przyszli na myśl Chuderlak i Blanca. Miała nadzieję, że dziewczyna zbytnio się nie wystraszyła. Może później do niej zadzwoni. Jedynym dźwiękiem w pokoju było buczenie komputera. Stojący za biurkiem ludzki szkielet zapraszał do środka zakrzywionym palcem.

– Co to za jeden? – zapytała Teresa.

– Ostatni prezent od doktorantów.

Antonio usiadł i wklepał hasło, by uzyskać dostęp do plików.

– Prawdę mówiąc, są dwie niespodzianki. Pierwsza to potwierdzenie: pobrane z portretu DNA jest zgodne z DNA Francesca Di Lenardo w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach.

– Krew należy do Anizy. A ta druga?

– Podejź tu – zachęcił. – Jeszcze nie wydrukowałem zdjęć.

– Zdjęć?

– Powiększeń. Patrz.

Teresa zdażyła się już nauczyć rozszyfrowywać hieroglify Antonia, a tym bardziej mapy, na które nanosił swoje teorie, aż sprawiał, że stawały się dowodami. Obrazy stanowiły partie portretu Nimfy podzielone na strefy. Na

każdą strefę naniesiono cyfrową siatkę, tak jak z terenem do przeczesania postąpiliby technicy albo archeolog na wykopalisku.

Teresa skupiła wzrok na kwadrancie w głębi, po lewej stronie. Wskaźniki oprogramowania analizującego wyróżniły i wyizolowały cień, który gdyby patrzeć gołym okiem, wydałby się jedynie niuansiem bardziej nasyconym niż inne. Antonio przewinął obrazy. Kolejny kadr przedstawiał powiększenie strefy, wskazując za pomocą czerwonego kreskowania rozpoznane przez program wzorce.

– Czy to jest to, co myśle? – zapytała.

– Moim zdaniem tak. Zanim ci o tym powiedziałem, czekałem na potwierdzenie jeszcze jednego kolegi. Są to dwa częściowe odciski palców: wskazującego i serdecznego. Algorytm odtworzył proporcje: różnią się długością. Należały do dorosłego mężczyzny.

– Jesteście pewni?

– Tak. U kobiet długość jest taka sama. I od razu odpowiem na następne pytanie: nie należą do Alessia Andriana. Już je porównałem z jego odciskami.

Teresa przypomniała sobie opowieść Francesca na temat dźwięków skrzypiec usłyszanych w lesie w nocy, gdy zaginęła Aniza. Bez dowodów, dysponując jedynie wspomnieniem człowieka będącego wówczas dzieckiem, nie uznała tamtej historii za istotną. Nabrała głęboko powietrza.

– Kiedy Aniza umierała, a Andrian malował jej portret, ktoś był z nimi – szepnęła. – Ktoś, kto dotykał jeszcze ciepłej krwi.

Ponaglające tykanie. I to przekłete wrażenie, jakby coś ścisnęło go w gardle.

Massimo przełknął, starając się tego pozbyć, lecz ucisk się nasilił. Coś drapało go w błonę śluzową jak żyletka, wywołując pieczenie i kaszel.

Nie pojmował, gdzie jest, nie pamiętał. Może to las.

Tykanie przeszło w głuche stukanie, odliczanie wsteczne w rytm uciekającego czasu.

Massimo usiłował się podnieść, ale nie czuł ani rąk, ani nóg. Leżał wyciągnięty gdzieś w tej gęstej czerni. Najwyraźniej jedynie myśli zachowały zdolność poruszania się, były to wszakże ryby połyskujące w nieruchomej sadzawce. Wylaniały się na powierzchnię na krótką chwilę, po czym wskakiwały na powrót do płynnej otchłani, bezładne przebłyski aktywności mózgowej, która wydawała się odległa.

Oddech przyspieszył wraz z tętnem. Massimo czuł jego uderzenia w piersiach. Słyszał szum w uszach, czuł pulsowanie w skroniach. To krew spływała wściekle kaskadą w żyłach. Pędziła wewnątrz bezwładnego ciała z furją wodospadu.

Spróbował otworzyć oczy w ciemności, lecz powieki były niczym żaluzje, które opadają pod naciskiem głębokiego znużenia. Pomimo wysiłku zdołał je tylko nieznacznie uchylić. W tej mglistej czeluści dostrzegł jakiś cień, cień obdarzony kobiecym głosem, który wołał go po imieniu.

Aniza, pomyślał.

Wrażenie, że nie jest już sam, przerodziło się w pewność, gdy czyjaś dłoń musnęła go delikatnie po twarzy.

– Gdzie jesteś? – zapytał ją.

Nie potrafił jej dojrzeć. Mrok otaczał go zwartą masą, powietrze zdawało się betonem, zastygało wewnątrz ciała, zajmując najdrobniejszą lukę. To była silna

trucizna. Massimo wyobraził sobie, jak pęcherzyki płucne ustępują pod jej naporem jeden po drugim i stają się suche niczym gałęzie martwego drzewa.

Śnił, teraz to sobie uświadamiał, ale nie był w stanie się obudzić. Coś przygważdżało go na dnie owego czarnego snu. Coś, czego zapach ulegał zmianie i się nasilał. Była to woń mączki kostnej.

Poczuł, jak oddech mu przyspiesza i przekształca się w zdławiony krzyk. Sen odsłaniał właśnie swą prawdziwą twarz: twarz jego ojca. Massimo mógł ją zobaczyć. Wylaniała się z ciemności niczym trup z wody. Była blada. Pod opuchniętą i przezroczystą skórą nie widać było krwi. Nie było życia.

Krzyk ustał i Massimo jęknął jak wtedy, gdy będąc dzieckiem, patrzył, jak ojciec się zbliża. Teraz był mężczyzną, lecz i tak się trząsał. Czy to możliwe, że wystarczy tak niewiele, by rozbić w pył wszystko, co budował z mozołem przez niemal trzydzieści lat? Że wystarczy spojrzenie tych dwojga oczu, jakże przypominających jego własne? Każdy wysiłek, by wymazać wspomnienia, zdawał się je nieco odsuwać, niczym przerażone wystrzałem ptaki, lecz potem zawsze wracały. Były jak kruki, które żywiły się jego szczęściem, rozrywając je na strzępy swymi ostrymi dziobami.

W koszmarze ojciec urósł, sycąc się wstrętem Massima, albo może jego strachem. Półprzymknięte wargi, spomiędzy których wydobywała się woń kwiatów, przypominały grobowiec z odsłoniętą płytą.

Massimo poczuł, jak gardło mu się zaciska, powietrze się kończy. Dosięgły go olbrzymie dłonie, udało mu się jednak je pochwycić, zanim one pochwyciły jego. Nauczył się bronić. Już to robił. Musi tylko pchać, mocno pchać i go przewrócić...

Ścisnął tak potężnie, aż poczuł, jak palce zanurzają się w ciele tej tajemniczej istoty zrodzonej w jego umyśle.

Cisza zawyła kobiecym głosem.

Massimo otworzył oczy. Obudził się. Ręce, wokół których zaciskał palce, należały do Eleny i były tak drobne, że mogłyby zatonać w jego męskich dłoniach.

Wypuścił je z rosnącą zgrozą.

Miała urywany oddech, tak jak on. Oboje sprawiali wrażenie ocalałych po bitwie. Elena się nie odzywała. W blasku lampy jej źrenice rozszerzało przerażenie. Z włosami w nieładzie i w ześlizgującej się z ramion koszulce wyglądała jak mała

dziewczynka. Patrzyła nań, jakby go nie rozpoznawała. Massimo obawiał się tej chwili, gdy tylko sobie uświadomił, że zakochał się w tej kobiecie.

– Massimo...

– Nie.

Nie przyjął jej wyciągniętej dłoni, odepchnął ją. Widział, że Elena drży: bała się go. W końcu nastąpiło to, czego lękał się najbardziej. Spojrzał na jej nadgarstki. Skóra poczerwieniała w miejscu, w którym ją ścisnął. Poczuł, jak łyzy mieszają się z piekącym w oczy potem.

– Nic się nie stało – powiedziała wśród wydobywających się z jej gardła łkań. Dłonie powędrowały do brzucha, otoczyły go, jakby chciały ochronić.

Elena właśnie skłamała. Stało się o wiele więcej, niż gotów byłby zaakceptować.

Jestem taki jak on. Krew z jego krwi. Potwór.

I właśnie przed tym potworem musi ją obronić.

– Idź sobie – powiedział, czując, że umiera. – Odejdź na zawsze.

43

Podobno był kiedyś kot, który złapał mysz, żeby ją zjeść, ale piszcząca w jego łapach mysz zaczęła błagać:

– Och, kocie, daj mi szansę!

Na to rozbawiony agonią zwierzątko kot odparł:

– Nie zjem cię, milutka myszko, ale tylko i wyłącznie wtedy, kiedy odgadniesz, co zrobię...

Teresa zastanawiała się nad tym paradoksem, po czym zamknęła dziennik, odkładając rozwiązanie zagadki na inny dzień. Było już późno, a wzrok za bardzo jej się zmęczył. Mimo to wątpiła, czy uda jej się zasnąć.

– Mysz schwytna w pułapkę – prychnęła.

W całej swojej karierze, nawet w najtrudniejszych sytuacjach, nigdy nie czuła się przyparta do muru. Zawsze mogła wybierać, nawet jeśli ów wybór często wymagał odwagi.

Tymczasem od kilku dni, odkąd w jej życie wkroczyła *Śpiąca nimfa*, czuła się jak mysz schwytna w pułapkę, i to wcale nie z powodu choroby.

Chociaż dochodzenie dotyczyło gwałtownej, odległej w czasie śmierci, napawało ją lękiem, jakby ktoś śledził każdy jej krok, obserwował każdy ruch, znał ją na wylot i wiedział, jak w razie czego uderzyć, aby zadać głębszą ranę.

W owej alarmującej zmysły historii dało się wyczuć obecność kogoś obcego. Teresa ją dostrzegła. Być może Antonio Parri dojrzał ją w odciskach palców znalezionych na portrecie.

Obecność kogoś, kto najprawdopodobniej już nie żyje, powiedziała sobie w duchu Teresa. *To dlaczego odnoszę wrażenie, że jest tuż za moimi plecami?*

Może właśnie to wrażenie podsyciło jej omamy.

Miejscowe psy ujadły od kilku minut. Zaczęły te z głębi ulicy, którym kolejno odpowiadały te ze wszystkich domów po drodze, aż w końcu psy sąsiadów

obwieściły szczekaniem nieproszonych gości. Ktoś jest przed domem, i to wcale nie kot. Koty nigdy nie pokonują kilkuset metrów w linii prostej, a przede wszystkim nie cierpią jazgotu psów.

Teresa zerknęła na zegarek. Była późna noc. Znów to wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Podeszła bezszelestnie do okna. Odchyliła nieco zasłonę, na tyle, by przysunąć twarz do szyby i przeniknąć wzrokiem ciemność.

Gdy okazało się, że patrzą na nią czyjeś oczy, odskoczyła niemal z krzykiem. Przytknęła dłoń do piersi, jakby chciała podtrzymać serce. Czym prędzej otworzyła okno.

– Oszalałaś? – wyszeptała.

Blanca i Smoky zastygli w bezruchu niczym ogrodowe posągi.

– Wkurzyłaś się? – zapytała dziewczyna.

– O mało nie umarłam. Skąd ten brzydki zwyczaj podglądania ludzi ukradkiem?

Blanca się uśmiechnęła.

– Nie mogę podglądać, przecież jestem ślepa. Podśluchiwałam. Chcieliśmy tylko sprawdzić, jak się czujesz – rzekła. – Z wiadomości, jaką zostawiłaś na sekretarce, nic nie wynikało.

– Dalej, wchodźcie. Przez drzwi.

Blanca cofnęła się o krok.

– Nie, nie jesteś sama, słyszałam czyjś głos. To twój mąż?

Teresa obejrzała się na kanapę, na której Antonio Parri spał z pilotem od telewizora w dłoni. Uparł się, żeby zostać.

Ponownie wbiła wzrok w dziewczynę. Kto wie, jak długo tam czekała.

– To nie jest mój mąż. To przyjaciel, który się o mnie martwi – wyjaśniła.

– Cieszę się, że sobie nie poszedł.

Teresa wychyliła się przez balkon.

– Przepraszam za dzisiaj – powiedziała. – Nie wiem, co mnie napadło. O mały włos bym was zabiła.

Twarz Blanki pociemniała, jakby nawet jej emocje pobrudziło coś lepkiego.

– Ciągłe powtarzasz „wy”. Mówisz „bym was zabiła”, ale przecież ty też byłaś w środku. Ty też ryzykowałeś – zwróciła jej uwagę. – Zupełnie jakbyś w ogóle nie przejmowała się własną osobą.

Teresa się zamyśliła.

– To głupie, prawda? – zapytała.

Blanca pokręciła głową.

– To takie bardzo mamine – odparła łagodnie.

Umilkły, lecz ich milczenie nie było krępujące. Napawało spokojem w nareszcie rozgwieżdżoną noc.

– *Ażdotpr... ja... nieee...wie.*

De Carli zmarszczył czoło.

– To nie Marini – powiedział, gdy wiadomość nagrana na poczcie głosowej Teresy wybrzmiała do końca.

– Mówię ci, że to on. To jego numer – burknęła. – Ale co on, do diabła, wyrabia?

– *Ażdotpr* – powtórzył De Carli.

– Wielkie dzięki.

Tego ranka Teresę obudziła ta obłąkańcza wiadomość, a chwilę potem z centrali nadszedł wstrząsający komunikat o nagłym zdarzeniu. Nie był to dobry początek dnia, który zapowiadał się na skomplikowany i męczący.

– Spróbuj oddzwonić – poleciła De Carlemu. – Mamy mało czasu.

Przełączyła na głośnomówiący.

Do pokoju wszedł Parisi.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił, znieruchomiał jednak, słysząc bezładny potok słów. – Czy słusznie się domyślam? – zapytał osłupiały.

– A kogo masz na myśli? – odparowała Teresa.

– Pewnego pijanego inspektora.

Teresa rąbnęła pięścią w stół.

– Wiedziała! – Podniosła się i chwyciła torbę. – Idziemy po tego pomyleńca.

W progu zderzyła się z Albertem Loną. Aż podskoczyła na jego widok. On najwyraźniej zorientował się, jaki wywołał wstrząs: zadawnione cierpienie, przemieszane z niekontrolowanym odruchem, by odsunąć go od siebie jak najdalej. Albert zdawał się wyczuwać wszelkie wahania nastrojów i wykorzystywać je do własnych celów.

Złapał ją za ramiona.

– Pani komisarz, wygląda na to, że nie potrafi pani nawet ustać na nogach – zauważył. Na chwilę wzmocnił uścisk, po czym rozluźnił dłonie i ją puścił.

Wszyscy wstrzymali oddech. Teresa czuła obecność swoich chłopaków za plecami. Wyczuwała emanującą z nich milczącą złość.

– Jesteśmy gotowi – oznajmiła, z rozmysłem nie dając się sprowokować. – Zespół właśnie wychodzi, panie komendancie.

Wpatrywał się w jej twarz, w zadrapania, jakie wypadek pozostawił na policzku, cień w miejscu, w którym głowa Teresy uderzyła o blachę samochodu.

– Słyszałem, co się wczoraj stało. Udział policyjnego zespołu w podobnym incydencie jest niestosowny. – Rozejrzał się po pokoju. – Gdzie inspektor Marini? – zapytał.

– Wyszedł przed nami – skłamała Teresa.

Albert się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że jest w stanie wykonywać swoją pracę – oświadczył zagadkowo. Po czym pochylił się ku niej. – A ty jeszcze potrafisz sobie poradzić? Nie odnoszę takiego wrażenia – wyszeptał jej do ucha.

Teresa odsunęła się, udając spokój, którego wcale nie czuła.

– Jesteśmy skutecznym zespołem – rozległ się z tyłu głos Parisiego.

– A Teresa Battaglia to najlepsza komisarz pod słońcem – dodał De Carli.

Lona zmierzył ich wzrokiem. Trwało to okamgnienie, Teresa była jednak pewna, że już wydał wyrok: ci dwaj muszą się mieć mocno na baczności, ponieważ od tej pory znaleźli się na celowniku nowego komendanta.

– Życzę sobie tego ze względu na was – odrzekł uprzejmie Lona – bo o ile mi wiadomo, sprawa *Śpiącej nimfy* właśnie się skomplikowała.

Oddalił się z miną, która dla każdego, kto umiał odczytywać sygnały, oznaczała zapowiedź kłopotów. Teresa odwróciła się do podwładnych.

– Nie prowokujcie go – upomniała. – On tylko na to czeka.

Ich oczy dały jej do zrozumienia, że wszelkie protesty będą daremne. Zawsze to podejrzewała, ale teraz zyskała pewność: Parisi i De Carli znali jej przeszłość.

Klucz tkwił w zamku u drzwi wejściowych, od zewnętrznej strony. Skrzydło było ledwie uchylone. Marini musiał się znajdować w środku.

- Wchodzę sama – oświadczyła Teresa. – Zaczekajcie w samochodzie.
- Niech pani pstryknie parę fotek – poprosił De Carli.
- Spadaj!

Mieszkanie było takie, jak sobie wyobrażała: męskie w kolorach i braku jakichkolwiek zbędnych sprzętów. Panował w nim porządek odzwierciedlający właściciela – zapewne był to sposób na ukrycie wielu rzeczy o sobie, trzymanie życia za uzdę, aby nadać mu pożądany kształt.

- Marini! – zawołała. – Jest tu ktoś?

Poruszanie się wśród jego przedmiotów, oglądanie tego jakże wyszukanego w stylu, a jednocześnie tak bardzo spartańskiego gniazdka należącego do kogoś wiernego nie wiadomo jakim odgórnym nakazom, niczym żołnierz, wprowadziło ją w zakłopotanie. Lustrowała właśnie nieproszona jego ukryty świat, chociaż instynkt podpowiadał jej, że to tylko fasada.

Teresa odnalazła w tym domu coś, czego się nie spodziewała, lecz co doskonale znała: samotność. Dostrzegała jej obecność w szczegółach, które komuś innemu nic by nie mówiły, a jeszcze bardziej w detalach, których brakowało: w tych pomieszczeniach nie było wspomnień. Nie natknęła się na ani jedno. Marini wymazał samego siebie, jakby istniał wyłącznie teraz. Po tamtej kobiecie, którą poprzedniego dnia widziała na tarasie, nie zachował się nawet ślad. Kimkolwiek była, zniknęła, nie pozostawiając nic po sobie.

- Marini! – zawołała po raz drugi.

Weszła do sypialni. Słońce wdzierało się do pokoju przez opuszczone żaluzje, rzucając plamy światła. Na komodzie Teresa zauważyła stos książek. Zdołała odczytać parę tytułów. Były to lektury, które mu „gorąco” poleciła: podręczniki do psychologii kryminalnej i medycyny sądowej. Naprawdę nie oczekiwała, że będzie je studiował.

Nagle jej uwagę przykuł delikatny ruch w pogrążonym w półmroku kącie. Marini siedział na podłodze oparty bezwładnie o ścianę. Podeszła bliżej i przycupnęła obok niego. Wydzielał ostrą woń alkoholu.

- Kurna olek, ileś ty wypił?

Gdy uniosła mu głowę, poczuła, że coś w niej umarło. Massimo płakał.

- Co się z tobą stało? – wyszeptala.

Kiedy otworzył oczy, z rzęs ześliznęła się łza i spłynęła na brodę.

– Jestem skończony – powiedział.

Teresa spróbowała go podnieść, lecz jego bierne ciało było zbyt ciężkie.

– Jak Lona się o tym dowie, na pewno będziesz skończony – wybuchnęła, chociaż miała świadomość, że gniew tylko maskuje niepokój. – Wyobraź sobie, komendant jest przekonany, że usilnie pracujesz nad rozwiązaniem sprawy. Gdyby cię tylko zobaczył...

Marini odepchnął drżące dłonie, które na próżno starały się poderwać go do góry, lecz ich nie puścił. Ścisnął je w swoich.

– Wściekł się na panią? – zapytał. Wbrew oczekiwaniom Teresy nie bełkotał. W jego głosie dało się po prostu słyszeć dobrze jej znane znużenie. Pobrzmiwała w nim nuta, jaką pozostawiała po sobie rozpacz.

– Nie, jeszcze nie – mruknęła, próbując się uśmiechnąć.

Mocniej ścisnął jej dłonie, po czym wypuścił.

– Tak mi przykro – powiedział.

Teresa usiłowała zajrzeć w te jego błyszczące, zagubione źrenice. Dostrzegła strach i po raz kolejny zadała sobie pytanie, co też mogło powalić na ziemię tego tak bystrego i zdeterminowanego faceta.

– Marini, co się z tobą dzieje? – rzekła cicho, jakby się bała przerwać tę jakże słabą więź.

Schował głowę w dłonie. Na parkiet spadła łza.

– Pogubiłem się.

– Powiedz, co się stało, a może uda mi się cię z tego wyciągnąć.

Kiedy Marini na nią spojrział, nie dostrzegła w jego oczach nadziei.

– Jesteś chory albo ktoś, na kim ci zależy, jest? – naciskała, zderzając się z jego milczeniem.

Rozległ się krótki śmiech, który przypominał raczej powstrzymany szloch.

– Wszyscy mają się dobrze, pani komisarz.

Teresie nie przychodziło do głowy nic innego. Widywała u Massima niepokój, niekiedy smutek, nigdy jednak nie był aż tak zdruzgotany. Ujęła go pod brodę.

– Co się wydarzyło, jak wróciłeś po pracy do domu? – zapytała, nie zwlekając. Starał się patrzeć w bok, ale Teresa nie pozwoliła mu na tę ucieczkę. – Co się

wydarzyło, jak wróciłeś do domu? – powtórzyła z większym naciskiem, teraz już pewna, że źródło problemu należy szukać właśnie tam.

Teresa zaczynała wątpić, że cokolwiek z niego wyciągnie, lecz on wreszcie przemówił.

– Widziałem się z Eleną – mruknął. – Kochaliśmy się.

Teresa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie spodziewała się zwierzeń na temat miłosnych zawodów ani tego, że on w ogóle sobie pozwoli na takie wyznania. Znała go już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie doprowadziłby się do takiego stanu ani nie zaniedbałby pracy, gdyby sprawa nie była poważna.

– Cóż, to chyba żaden dramat – skwitowała. – A może się mylę?

– Odszedłem, kiedy spała, i całymi tygodniami nie odbierałem od niej telefonów. Teresę zatkało.

– To ci nie przynosi chluby – zauważyła.

– Elena jest w ciąży.

Powiedział to jednym tchem, jakby wyjawiał najbardziej bolesny grzech albo najbardziej zaślepiającą miłość. Tak jakby wreszcie zdołał pozbyć się upiora.

Uporządkowanie tych słów w głowie zajęło Teresie parę chwil. Kłóciły się z obrazem zniszczenia, jaki miała przed oczami.

Marini patrzył niewidzącym wzrokiem, wsparłszy łokcie na kolanach, w rozpiętej koszuli. Materiał miał plamy w wielu miejscach.

– Nic pani nie mówi? – zagadnął.

Teresa westchnęła i usiadła obok niego.

– To okropne pytanie, ale... – zaczęła.

– Dziecko jest moje.

Ona także zapatrzyła się w pustkę. Nietrudno było się domyślić: on nie chciał tego dziecka.

– Elena sama do mnie przysłała – ciągnął. – A ja po raz kolejny ją odepchnąłem. Powiedziała, że zostanie w hotelu jeszcze przez kilka dni, a potem...

Teresa nie potrafiła się powstrzymać.

– Co się z tobą stało? – wybuchnęła. – Skoro pragnąłeś romansu...

– To nie jest romans. Nigdy nie był.

Jego zapalczywość pozwalała przypuszczać, że związek ten wykraczał poza parę wypowiedzianych słów.

– Mogę zapytać, ile ona dla ciebie znaczy? – odezwała się z większym spokojem. Miała nadzieję, że słuchając własnego głosu, Marini zdoła uporządkować myśli, ale również zapanuje nad targającymi nim wyniszczającymi emocjami.

Wykonał nieokreślony gest, jakby zamierzał powiedzieć: jak mam wytłumaczyć coś, czego sam nie potrafię nazwać?

– Mamy czas – skłamała, przybierając wygodniejszą pozycję. Od siedzenia na twardej podłodze nieustannie kłuło ją w obolałych plecach. – Nigdzie się nie wybieram.

Zapadła cisza, która zdawała się trwać całą wieczność.

– Zwróć uwagę, że na serio nigdzie się nie wybieram.

Marini westchnął.

– Ona była tą pierwszą – ledwie wyszeptał. – I jedyną.

Teresa nie miała pewności, czy dobrze zrozumiała.

– Mówiąc „jedyna”, masz na myśli...

– Tylko ją.

– W każdym tego słowa znaczeniu?

– W każdym. Teraz może się pani śmiać do woli.

Teresa zastanawiała się nad jego wyznaniem, ale nie wydało jej się zabawne.

– To bardzo romantyczne – orzekła.

Wsparł brodę na kolanach.

– I dziwne. Wiem, że pani tak uważa.

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy w odniesieniu do takiego faceta jak ty. Przyznaję. A przepraszam, co z tymi wszystkimi dziewczętami, z którymi się prowadziłeś przez ostatnie miesiące?

Skrzywił się.

– Nie było ich znów tak dużo. Spotykaliśmy się, i tyle.

Tym razem Teresa szczerze się roześmiała.

– Ciekawe, co sobie o tobie myślały – powiedziała.

– Mogę sobie wyobrazić.

Teresa trąciła go łokciem.

– W takim razie dlaczego? – zapytała. – Skoro to ją wybrałeś, skąd ten cały dramat?

Marini spojrział na nią w sposób, którego miała nigdy nie zapomnieć: był bezbronny, przerażony. Był w rozpacz.

– Bo ja nie mogę – odparł, znów patrząc niewidzącym wzrokiem.

Ponownie nastąpiło milczenie. Teresa nie potrafiła pojąć, co napawa go aż takim lękiem. Nie wyjawiał jej wszystkiego i z pewnością nie zamierzał tego robić tutaj w tej chwili. Była w stanie wyczuć jego cierpienie. Zupełnie jakby otaczał go chłód. Żołądkiem szarpały mdłości, a dłonie nie umiały zaznać spokoju.

– Niech mi pani powie, co robić – rozległ się jego głos.

Teresa wzniosła oczy do ukrytego za sufitem nieba. Zdołała je jednak dostrzec.

– Nie mogę ci pomóc – oświadczyła – ponieważ chcesz usłyszeć, że skoro nie czujesz się na siłach, dobrze robisz, rezygnując z nich, tymczasem ja bym natychmiast wzięła to dziecko.

Zdawała sobie sprawę z oczu wpatrujących się w jej profil z większym napięciem, z własnego głosu, który stał się bardziej ochryply, niżby chciała, z murów obronnych, które właśnie runęły.

Powiedz mi. Pospiesz się i nie namyślaj się zbyt długo.

– W dawnym życiu, które wydaje się należeć do innej kobiety, byłam mężatką – przemówiła. – Miałam trzydzieści lat i już byłam policjantką. W pracy dawałam sobie radę, czego nie mogę powiedzieć o życiu osobistym. On mnie bił. Regularnie. Nie przestał nawet wtedy, kiedy zaszłam w ciążę. Teraz wiem, że kobieta maltretowana w ciąży przez partnera ma dwa razy większe szanse na to, by zginąć z rąk tego właśnie mężczyzny. W tamtych czasach byłam jednak ledwie własnym cieniem. Zbyt późno zdobyłam się na to, żeby odejść: znalazł mnie i pobił po raz ostatni. Straciłam dziecko, a także możliwość zostania matką. Na zawsze.

Dobrnęła do końca bez tchu i z sercem łomoczącym jak szalone. Za dużo lęku, za dużo wstydu.

Wydało jej się, że czuje na twarzy pieszczotę. Może był to Marini, a może ciągle jeszcze zbyt żywe wspomnienie.

– Pani komisarz...

Teresa podniosła dłoń, zakazując mu mówić dalej.

– Nie ma dnia, żebym nie myślała o miłości zdradzonej właśnie przeze mnie, chociaż powinnam była ją chronić bardziej niż ktokolwiek inny. Nie ma dnia, żebym nie myślała o tym maleństwie, którego nie było mi dane przytulić – powiedziała. – Oddałabym wszystko, wszystko, byleby mieć je przy sobie.

Zacisnęła dłoń na brzuchu, jakby wczepiała się w bliznę dzielącą go na pół, rozgraniczającą jej życie.

– Nie masz pojęcia, z czego rezygnujesz, a do największej rozpaczyny doprowadza mnie to, że mogłabym tu siedzieć całymi godzinami, całymi dniami i cię przekonywać, a ty i tak byś nie zrozumiał. Nigdy nie rozumiemy, dopóki tego nie utracimy.

Otarła łzy. Cisza była tak gęsta, że Teresa słyszała, jak Marini przełyka ślinę.

– Twoja Elena sobie poradzi – wyszeptała. – Urodzi wasze dziecko i zazna szczęścia w najczystszej postaci, bez względu na ciebie, bez względu na okoliczności. Za to ty... Ty utoniesz w żalu. Podstawowa komórka społeczna, punkt wyjścia, który dał początek pierwszej ludzkiej wspólnoty i wszystkiemu, czym jesteśmy, to diada matka–dziecko. Nie diada mężczyzna–kobieta. Stoisz przed cudem, w którym jest ci dane uczestniczyć. Pamiętaj o tym, inspektorze, na drugi raz, kiedy przyjdzie ci do głowy zrezygnować.

Podniosła się, poprawiła spodnie. Zmusiła się, by odzyskać panowanie. Podała Mariniemu dłoń i pomogła wstać.

– Teraz doprowadź się do porządku, bo w dolinie Śpiącej Nimfy doszło do zabójstwa.

Patrzyła, jak wzburzenie i zmieszanie w jego oczach znikają pod wpływem wiadomości. Odczekała chwilę, nim zadała cios.

– Znalezione serce. Jeszcze nie wiemy, do kogo należało.

Co może skłonić człowieka do odrzucenia jeszcze nienarodzonego dziecka?

Co może skłonić człowieka do wyrwania serca drugiemu człowiekowi?

I do pobicia kobiety do nieprzytomności, do pomalowania ścian małżeństwa jej własną krwią?

Co może skłonić tę kobietę do pozostania?

Tak naprawdę nigdy nie znamy samych siebie ani ludzi obok nas. Możemy się określać na rozmaite sposoby, w gruncie rzeczy jednak dopiero wybory, jakich dokonujemy na rozstaju, pokazują, kim jesteśmy. Albo jaką skrywamy tajemnicę.

Tajemnica Mariniego musi tkwić głęboko i bardzo boleć. Podobnie jak tajemnica pogrzebana w przeszłości doliny.

Tempus valet, volat, velat.

Znów znajdowali się w dolinie. Dla Teresy było to jak wejście do labiryntu cieni, które musiała rozświetlić. Tego poranka ciemność nie stanowiła wyłącznie metafory. W Rezji wstał ponury dzień, tak jakby noc znalazła sposób na zrodzenie potomstwa i spłodziła niedoskonałą kopię samej siebie: siną, opuchniętą, zaropiałą. Chmury przypominały fioletowawe łona, które zdawały się oddychać nad ich głowami: pęczniały i chudły, po czym tryskały tak gęstą ulewą, że ginęły w niej zarysy górskich szczytów. Z głębin boru unosił się niepokojący odór, smród zgnilizny, którą przyspieszała wszechobecna wilgoć.

Gdyby Teresa wierzyła w czary, w czarną magię, odczytałaby to jako złą wróżbę. Przeczuwała, że ostatnia zbrodnia nie była odosobnionym przypadkiem i że należy ją powiązać z odnalezieniem *Śpiącej nimfy* i przyjazdem policji do doliny. Podpowiadały jej to doświadczenie i statystyka, ale przede wszystkim ostrzegała ją podświadomość. Kazała jej się domyślać obecności zła. Nie jakiegoś

nieokreślonego zła, lecz jego zorganizowanej, brutalnej i wrogiej postaci. Teraz, gdy śmierć przestała być już tylko dawną sprawą, groźba była blisko.

Miejsce znaleziska leżało na początku drogi wiodącej do zabudowań. Strefa już została odgradzona. Policja zablokowała wjazd, funkcjonariusze przepuszczali uprawnione osoby, odmawiając wstępu wszystkim pozostałym. Ciekawscy wzięli się wszakże na sposób, by podejść bliżej: stanowili barwne i nieruchome plamy na skraju lasu. Spomiędzy drzew obserwowali w nabożnym skupieniu pierwsze czynności policji.

Parri, który zdążył już się pojawić, przystąpił do oględzin. Kilku techników przeczesywało przyległy teren w poszukiwaniu śladów, przedmiotów osobistych lub innych pozostałości. Błyski fleszy zlewały się niekiedy z błyskawicami, którymi niebo ciskało w bór.

– Zaraz rozpęta się tu piekło – stwierdził patolog, pilnując, by każdy możliwy ślad zidentyfikowano, opisano i sfotografowano, zanim deszcz na zawsze je zmyje.

Teresa i Marini podeszli bliżej, zatrzymali się jednak przed taśmą policyjną. Spostrzegłszy ich, Parri skinął, by do niego dołączyli. Włożyli kombinezony i kalosze, po czym podążyli ścieżką wyznaczoną i już zbadaną przez techników.

Patolog powitał ich smutnym uśmiechem.

– Wygląda na to, że sprawa się komplikuje – oświadczył.

Włosy Parriego były mokre od niewidzialnych kropelek wody, które unosiły się nad lasem. W dłoniach trzymał sztywną podkładkę z kartką, na której notował swoje spostrzeżenia. Powierzchnia papieru pofałdowała się pod wpływem przenikającej jego włókna wilgoci. Niektóre słowa zamieniły się w plamy tuszu.

– Wszystko w porządku? – zapytał Teresę.

Przytaknęła, wdzięczna za troskę. Nie była pewna, czy może powiedzieć to samo o Marinim, lecz chłopak zachował zimną krew: nikt nigdy by się nie domyślił, jakie targają nim emocje. Miała wątpliwości, czy go ze sobą wziąć, ale w końcu doszła do wniosku, że jedynym sposobem na wyrwanie go z destrukcyjnych myśli, którymi się zadręczał, jest wrzucenie do mętnej i wzburzonej wody, aby obudzić w nim instynkt przetrwania.

Parri odsunął się i zaprosił gestem, aby podziwiali widowisko.

To prawdziwe przedstawienie, przemknęło Teresie przez głowę. W dodatku komisarz była przekonana, że zainscenizowano je specjalnie dla nich.

Serce, wydarte nieznanemu jeszcze ofierze, przybito do tablicy wskazującej granicę terytorium gminy. Symbolika była potężna, podobnie jak przesłanie, które niósł ze sobą bezwładny teraz mięsień.

Serce za serce, przeszło jej przez myśl.

Serce Anizy niemal sto lat temu. To bezimienne teraz, kiedy los dziewczyny ujrział światło dzienne.

Włączyła nagrywanie w komórce.

– Ludzkie? – Poszukała potwierdzenia u Parriego.

– Tak. Wydobyto je z klatki piersiowej za pomocą narzędzia z podwójnym ostrzem. Cięcia są precyzyjne, dokładne.

– Ani śladu wahania – mruknęła Teresa.

Marini przysunął twarz do lekko niebieskawego narządu.

– Kiedy? – zapytał.

– Sądząc po zabarwieniu, powiedziałbym, że od trzydziestu sześciu do dwudziestu czterech godzin, ale bardzo trudno o dokładność: za dużo wilgoci. – Parri włożył rękawiczki i rozszerzył już otwarte nacięcie. – Ciemniejsze zabarwienie rozchodzi się wzdłuż powierzchniowej sieci żył, następnie przesuwa się do środka. Można dostrzec, że tkanka położona głębiej jest nadal ciemnoczerwona. Przy umiarkowanych temperaturach normalny proces zaczyna się mniej więcej w ciągu doby.

– Przypuszczam, że za wcześnie pytać o więcej – zauważyła Teresa.

– Mogę ci powiedzieć, że mamy do czynienia z sercem w złym stanie. Zastawki są zniszczone. Ofiara musiała cierpieć na niedomykalność zastawki mitralnej. To nie jest młody narząd. Jest powiększony, a wielkość nie wynika z rozdęcia gazami.

Teresa zbliżyła do ust mikrofon.

– Upewnić się, czy od paru dni jakiś mieszkaniec doliny nie daje znaku życia. Przypuszczalnie w podeszłym wieku – powiedziała.

Wzrok miała ciągle utkwiony w czarnym sercu. Chwilami wydawało jej się, że ono bije, lecz była to tylko jej wyobraźnia, próba nawiązania emocjonalnej więzi z tym, co pozostało z ofiary.

– Aby się przekonać, czy usunięto je po śmierci, czy przeciwnie, jego usunięcie było przyczyną zgonu, muszę je zabrać do laboratorium i wykonać dokładniejsze badanie – oznajmił Parri. – Na wysokości prawego przedsionka jest jednak dość głęboka rana cięta. Jeszcze nie potrafię określić, czy nastąpiło to *post mortem* czy nie.

Teresa dostrzegła pojawienie się ciemnego sedana. Wkrótce wysiedli z niego Albert Lona wraz z zastępcą prokuratora Gardinim. Spojrzenie komendanta natychmiast wyłuskało ją spośród mundurowych, techników i ludzi z miejscowej policji, którzy pilnowali dostępu do miejsca zdarzenia. Wyglądało na to, że przybył tu dla niej, i może tak rzeczywiście było.

Popatrzyła z powrotem na Parriego.

– Nie znalazłem muchówek. Ani jaj, ani larw żadnego gatunku – oświadczył. Ściągnął rękawiczki i wrzucił je do worka na odpady medyczne. – Ktoś się o nie zatroszczył, zanim je tu przybił. Ochronił przed owadami żerującymi na zwłokach. Przyjaciel ułatwił nam zadanie: nie będziemy musieli spędzać najbliższych godzin na łapaniu much szczypcami i łopatkami.

Teresa i Marini popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Była w tym jakaś metodyczność, dbałość o szczegóły, która zakrawała na nerwicę.

– Uprzedzono nas, że na razie nie zdjęto odcisków palców ani nie znaleziono śladów biologicznych – powiedziała Teresa.

Parri skinął potakująco głową.

– Spodziewałem się tego. Wszystko do siebie pasuje.

– Nie będziemy ci przeszkadzać. Pojadę z tobą do laboratorium, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Oddalili się o kilka metrów. Ledwie Teresa przeszła pod taśmą policyjną, odetchnęła. Widziała, jak Gardini rozmawia z szefem techników, tymczasem Albert rozplynął się w powietrzu. Natychmiast dołączył do nich zastępca prokuratora.

– Jak pierwsze wrażenia? – zapytał.

– To ostrzeżenie – odparła Teresa zdecydowanie, szukając w torbie dziennika. – To jest wiadomość dla nas. Żeby nie przekraczać pewnych granic.

– Jeżeli tak jest – odezwał się Marini – morderca naraził się na duże ryzyko.

Teresa pogrążyła się w zadumie.

– Strach skłania do zuchwalstwa, niekiedy wręcz do lekkomyślności – stwierdziła. – Zbliżyliśmy się do czegoś, co powinno pozostać zagrzebane w tej dolinie. I co nadal jest pod ziemią, ale powoli wypływa na światło dzienne.

– Tak czy inaczej, najwyraźniej dobrze się kamufluje – skwitował Gardini.

– Jeżeli o to chodzi, jest inteligentny i przebiegły. Wykonał czystą robotę.

– Jak dużej siły potrzeba, żeby wydrzeć serce z piersi? – mruknął Marini.

Nie krzepa mordercy zrobiła wrażenie na Teresie. Zresztą wcale nie wymagało to tak wielkiej tężyzny.

– Mierzysz jego siłę fizyczną. Ja z kolei myślę o sile umysłu – rzekła. – Jak dużej siły potrzeba, żeby wydrzeć z piersi bijące serce?

Gardini spojrział na nią ze zdumieniem.

– Czy cokolwiek wskazuje na to, że tak właśnie było?

Teresa nie odpowiedziała. Lekkim skinieniem głowy dała do zrozumienia, że jeszcze za wcześnie, by to stwierdzić, ona jednak uważa, że ofiara odegrała w całej tej historii istotną rolę. Nie została wybrana przypadkowo. Ze względu na potężną i archaiczną symbolikę aktu zastraszenia. Ze względu na poniesione ryzyko. Ze względu na siłę dostarczonego im przesłania. Nie przedstawiała żywić przekonania, że śmierć tej osoby była równie okrutna jak adresowane do nich ostrzeżenie.

Jeden z techników przywołał Gardiniego, toteż zastępca prokuratora się oddalił.

Marini popatrzył na serce, wiszące u wejścia do osady niczym sztandar śmierci. Wtem przerażająca błyskawica zaalał krajobraz upiornym blaskiem.

– Być może postać, którą widziała pani wczoraj na środku drogi, to nie był tylko cień – rzekł wolno.

Może. Teresie przeszło to przez myśl.

Poryw wiatru przyniósł znajomy zapach, od którego ścisnęło ją w żołądku.

Odwróciwszy się, ujrzała obserwującego ją Alberta, którego nie oddzielała od niej nawet odległość wyciągniętego ramienia. Zwalczyła odruch, by się cofnąć, przede wszystkim jednak zastanawiała się, jak wiele usłyszał z tego, co powiedział Marini. Sądząc po jego nieprzeniknionej minie, nic.

– Dzień dobry państwu – powitał ich Lona.

– Dzień dobry, panie komendancie – odparł Marini.

Teresa była przekonana, że odezwał się pierwszy, aby wybawić ją z kłopotu. Ograniczyła się do skinienia głową.

Albert potrafił wyglądać szykownie nawet w tak niezręcznych okolicznościach: w deszczu, mimo krwi skapującej na ziemię tuż obok jego drogich butów, otoczony błotem. Nie zabrał parasola, pod którym mógłby się schować, pozwalał, by włosy przemokły mu od kropel wody, które zamieniały się w strumienie i znikwały pod kołnierzykiem koszuli. Tak ogromna niefrasobliwość zdradzała zwierzęcą stronę jego natury. Albert Lona był bestią, wytworną i olśniewająco dziką, ale jednak bestią. Teresa zastanawiała się, czy jest singlem, tak jak pamiętała, czy też w domu czeka na niego kobieta, aby zatroszczyć się o jego przemoczone ubranie: to jedyna rola, jaką ten człowiek byłby w stanie jej przydzielić.

– Proszę zdać mi raport – rzekł zdawkowym tonem, który miał złagodzić obcesowość rozkazu.

Teresa przekazała mu skąpe informacje, jakie otrzymała od Parriego, mając się wszakże na baczności, by nie wyjawiać własnych przemyśleń.

Lona zmarszczył brwi, zapatrzony w dal.

– To za mało – odparował, tak jakby pozostawione przez mordercę ślady zależały od ich przypuszczalnych chęci.

– Może analizy chemiczne dostarczą nam więcej szczegółów – powiedziała, słowa te nie zabrzmiały jednak pokrzepiająco nawet w jej uszach.

Albert pokręcił głową.

– To za mało – powtórzył twardo, tym razem spoglądając jej w oczy. – Domagam się więcej odpowiedzi. To przypomina sprawę Imseta, nie uważa pani?

Teresa nie zareagowała. Imię egipskiego boga umarłych nie wywołało w jej umyśle żadnych skojarzeń.

– Przecież to pani się nią zajmowała, pani komisarz. Z powodzeniem, wbrew wszelkim oczekiwaniom – drażył Albert, poirytowany jej przedłużającym się milczeniem.

Teresa obracała to imię niczym smak, którego chciałaby spróbować i go sobie przypomnieć. Czowała na sobie wzrok obu mężczyzn. Spojrzenie Alberta było badawcze, pełne nieokreślonej niechęci. W oczach Mariniego czaiła się ciekawość, może odrobina konsternacji. Pierwszy przywodził na myśl gorzkawo-kwaśną

mieszankę. Drugi kojarzył się z zielonym i cierpkim smakiem, jeszcze zbyt młodym dla podniebienia.

Teresa nie pamiętała. Nie potrafiła przywołać z pamięci tej sprawy, tego imienia. Nie mignęła jej nawet twarz, nie pojawił się choćby urywek rozmowy. Zupełnie jakby nigdy nad tym nie pracowała. Utraciła ledwie fragment życia. Mocno ścisnęła dziennik w kieszeni.

– Każda sprawa jest inna – rzuciła na chybił trafił, zdjęta lękiem, z sercem w gardle.

– Bzdury! – zagrzemiał Lona. – Wyraźnie nie chciałem sugerować, że może istnieć jakikolwiek związek. Ale sposób działania...

Teresa zanurzała się powoli w mętnej jeziorze paniki. Trujące wody wątplenia wdarły się jej do ust, odcinając dopływ powietrza.

– Przypominam sobie tę sprawę – wtrącił Marini. – Przeglądałem akta zaraz po przyjęciu do zespołu. Morderca pobierał narządy wewnętrzne ofiar, po jednym z każdego ciała. Było ich w sumie cztery, wszystkie znalezione w kanopach liczących cztery tysiące lat. W tym wypadku chodziło o trofea. Zgadza się, pani komisarz?

Teresa przytaknęła, zachęcona jego spojrzeniem.

– Tylko że teraz to nie jest trofeum – zdołała wykrztusić. – To nie jest totem, którym morderca bawi się w duchu, aby celebrować szaleństwo wszechwładzy. Podzielił się nim z nami, a zatem odarł z wszelkiej fantazji. *Ono jest przeznaczone dla nas.*

Lona zdawał się rozważać jej słowa, ale nie dodał nic więcej. Być może Marini kiedyś słono zapłacił za podważenie koncepcji komendanta, nie była to jednak pora na roztrząsanie tej kwestii.

Albert zmienił temat.

– Zaraz przyjadą ludzie z psami poszukiwawczymi – oświadczył. – Musimy znaleźć to ciało. Prasa nie ma takiej cierpliwości jak zastępca prokuratora.

Teresa i Marini wymienili spojrzenia. Obojgu przemknęła ta sama myśl, tym razem jednak to Teresa zabrała głos.

– Proponuję skorzystanie ze wsparcia, które komendant Ambrosini rozpatrywał przed chorobą. Dziewczyna nie należy do policji, ale jej umiejętności...

– Które z moich słów nie są dla pani jasne?

Teresa nie dokończyła zdania. To na nic. Albert oddalił się, zostawiwszy ją drżącą z wściekłości, zdjętą strachem – który nie pozwalał na inną reakcję niż dygot – że właśnie znika wraz ze swym umysłem. Czym była, jeśli nie tym, co pomyślała, uczyniła, pokochała w ciągu ostatnich czterdziestu lat? Prowadzonymi przez siebie sprawami, rozpaczliwymi śledztwami, decydującymi przeczuciami, współczuciem dla ofiar, które spotkała. Czasami wręcz ocaliła.

– Przykro mi – usłyszała głos Mariniego.

– Dziękuję – odrzekła cicho.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To kawał kutasa.

Niepokój Teresy płynął bulgoczącymi strumieniami wraz z wodą, która sączyła się ze skał ogradzających z jednej strony drogę. Deszcz przybrał na sile, mimo to gapie nie ruszyli się z miejsca. Otrząsnęła się, podniosła dłoń i przywołała De Carlego.

– Przepędź ich stąd – poleciła. – Każ im wrócić do domów.

Policjant się zawahał.

– Pani komisarz, oni się modlą.

Teresa zorientowała się, że osłonięte kapturami i parasolami głowy są pochylone. Nagle, jakby obudzony jej zaciekawieniem, rozległ się chór kobiecych głosów. Litania miała moc uciszania wszelkich ludzkich dźwięków.

Tłum się rozstał, po czym oczom wszystkich ukazała się kobieta w długiej szacie, z mokrymi od deszczu śnieżnobiałymi włosami. Śpiewała pieśń tak starą jak dzieje jej ludu. Dumna i wyniosła Matriona zdawała się spoglądać w oczy Teresy.

Teresa nigdy nie słyszała czegoś podobnego. Były to dźwięki przodków, pochodzące ze świata, który zniknął, a przecież nadal żył, towarzyszyły im zaś uderzenia drewna rozbrzmiewające echem z głębi lasu.

Przypomniały jej się słowa Francesca.

Kołysanka dla umarłych, pomyślała.

Massimo połknął tabletkę przeciwbólową. Pierwsza w ogóle nie podziałała na łupanie w głowie, które męczyło go od wielu godzin. Druga sprawiła, że ból stał się zaledwie znośny. Liczył na to, że trzecia uśmierzy go w wystarczającym stopniu, by mógł mieć otwarte oczy i jasny umysł.

Upił łyk wody z butelki i po raz kolejny tego dnia przysięgł sobie, że już nigdy nie weźmie do ust ani kropli alkoholu.

Obecność w kostnicy, poza salą sekcyjną, wcale nie pomagała zapanować nad mdłościami.

Sprawdził komórkę. Elena nie dzwoniła. Przysławszy mu SMS-em adres hotelu, w którym miała się zatrzymać na kilka dni, więcej go nie szukała.

Wybór należy do mnie, pomyślał z przekąsem Massimo. Tylko czy to rzeczywiście był wybór? Nie wierzył w to. Ktoś zdecydował za niego dawno temu.

– Marini, żyjesz? – zawołała z sali sekcyjnej Battaglia.

Massimo pokręcił głową. Przez chwilę, rankiem w swoim domu, o mało nie opowiedział jej wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach. Teraz jednak komisarz znów była taka jak zawsze: obcesowa i szorstka.

Wszedł do środka z nadzieją, że jego żołądek wytrzyma jeszcze przynajmniej przez parę godzin.

To tylko serce, powiedział sobie w duchu, wpatrując się w ciemną grudkę wielkości pięści na stalowym stole. Gdyby zamiast niej leżało tu ciało, smród skaziłby powietrze, zmuszając Massima do ucieczki z podkulonym ogonem.

Parri zdążył już przystąpić do sekcji i wkrótce potwierdził to, co wcześniej powiedziano na miejscu znaleziska: narząd należał do starszej osoby i był w złym stanie nie tylko ze względu na wiek ofiary, ale również z powodu uszkodzenia zastawek serca, wywołanego niewydolnością.

– Koledzy przepatrują dolinę – oświadczyła komisarz. – Wkrótce się dowiemy, kogo brakuje.

– Pobieram próbki do badań genetycznych i toksykologicznych – oznajmił Parri, przygotowując szkiełka mikroskopowe – ale zdążyłem już zrobić test na glikoforynę: wynik jest dodatni.

Battaglia zacisnęła szczęki.

– Jeżeli narządy reagują na glikoforynę – wyjaśniła komisarz na użytek Massima – to znaczy, że w momencie usunięcia były żywe...

– Chwileczkę – przerwał jej Parri. – Coś blokuje zastawkę mitralną.

Poszukał na tacy z narzędziami pęsety o drobnych końcówkach i zapalił latarkę czołową.

Po chwili pęseta wyłoniła się z jamy, ściskając jakiś ciemny przedmiot.

Battaglia podeszła bliżej i poprawiła na nosie okulary do czytania.

– Gałązka – stwierdził Massimo. – Pewnie przywiał ją wiatr w czasie burzy.

Parri zmierzył go wzrokiem.

– Siedziała głęboko – sprostował. – Wiatr nie ma palców.

– Ktoś zadbał o to serce. Sam to powiedziałaś, Antonio – przypomniała komisarz. – Tak bardzo, że trzymał je z dala od owadów i larw. Doglądał go dla nas: nigdy nie pokazałby nam brudnego serca.

Poprosiła Parriego, by podał jej pęsetę. Kilkakrotnie obróciła gałązkę, przysunęła do nosa.

– To tymianek – zauważyła zaskoczona. – Kółko splecione z gałązki tymianku.

– Dziwne – przytaknął Parri. Oboje z komisarz patrzyli na siebie tak, jakby komunikowali się za pośrednictwem telepatii. Zrozumieli się w lot.

– Co to oznacza? – zapytał Massimo.

Battaglia w skupieniu skubała wargę.

– Tymianek to roślina lecznicza stosowana od starożytności – rzekła – ale jest także rośliną o właściwościach magicznych. Tak uważali starożytni. Wykorzystywano go przy całopaleniu ze względu na intensywny aromat. Moja babka mawiała, że gdy się przechodzi o zmierzchu przez pole tymianku, można zobaczyć duchy zmarłych.

– Czyli mamy do czynienia z obrzędem – mruknął Massimo.

– *Thymus, thymi, thymo, thymum...* Jak to się odmienia? – zapytała.

Rozłożył ręce.

– Nie wiem.

– To łacina.

– Domyśliłem się.

Battaglia zapisała coś szybko w notesie, po czym gwałtownie podniosła głowę, jakby wynurzyła się spod wody, a następnie ponownie wsadziła nos w kartki.

– *Thumos, thumon*. Greka – ciągnęła.

– Nie byłem zbyt dobry w tłumaczeniach – przyznał Massimo.

– Ja też nie – dodał Parri.

Battaglia jeszcze raz powąchała roślinkę. Przewróciła gałązki w palcach.

– Wspólnym rdzeniem tych określeń jest interesujący element lingwistyczny, płodny jak rzadko który – wyjaśniła.

Massimo poczuł, że jego żołądek jest gotów się zbuntować.

– Naprawdę musi go pani przystawiać do nosa? Przecież znajdował się wewnątrz serca – przypomniał.

– Po grecku *Thuos* znaczy poświęcenie, ofiarę. *Thumiào*: spalić, złożyć w ofierze. I wreszcie *Thumòs*: gniew, ale także stan emocjonalny duszy, głęboki związek z ciałem, krwią i oddechem – tłumaczyła dalej. Wyglądała, jakby poczuła ulgę, że tak dobrze pamięta. Spojrzała na nich obu z chytrym uśmiechem. – To elementy tej śmierci. Sam morderca nam o tym mówi: dokonałem poświęcenia w imię wyższego dobra i zrobiłem to z wściekłością.

Raptownie zamknęła dziennik.

– Czuje złość i strach, ponieważ jesteśmy bliscy dotknięcia czegoś, co dla niego jest święte.

Francesco Di Lenardo dostrzegł ich z daleka. Jedną ręką osłonił oczy przed promieniami zachodzącego słońca, drugą oparł na biodrze. Zbiegł po stromym zboczu z niebywałą zwinnością jak na mężczyznę w jego wieku. W kilku susach znalazł się na ścieżce wiodącej w las, po jednej stronie mając górę, po drugiej urwisko nad rzeką, szerokie ledwie na tyle, by zmieścić się na nim samochód. Stanął przed Teresą i Marinim bez śladu zadyszki.

– Przejdźmy się razem – zaproponował, gdy Teresa wyjaśniła, że przybyli tu dla niego. Muszą mocniej zagłębić się w przeszłość, jeśli chcą ujrzeć twarz tego, kto zabił w teraźniejszości. Znowu potrzebują jego wspomnień.

Spacerowali w milczeniu, w towarzystwie wydłużających się coraz bardziej cieni. Dzień umierał, skrząc się złotym blaskiem. Po niebie tańczyły chmury ptaków, wykonujących nagłe zwroty ze zgodnością, która nieodmiennie wprawiała Teresę w osłupienie. Synchronizowały swój lot, jakby stanowiły jedność.

Francesco przystanął, by się im przyjrzeć, w miejscu, gdzie linia drzew zanikała, po czym pojawiała się znowu jakieś dziesięć metrów dalej.

– Dawna zaporę ogniowa – powiedział, nie dodając nic więcej.

Teresa spotkała już istoty takie jak on, samotne niczym górujący nad polaną, parę zakrętów niżej, stary modrzew. Wiedziała, że potrzeba mu czasu, lecz nie tego ludzkiego. Czasu odmierzanego przez naturę, jak choćby lot ptasiego klucza, powolna wędrówka ślimaka u ich stóp, stukanie dzięcioła w korę brzozy za ich plecami.

Ponaglanie Francesca, pospieszanie go sprawiłoby tylko, że zamknąłby się w sobie.

Spomiędzy drzew wyłonił się jakiś chłopak z plecakiem na ramionach i turbanem z koszulki na głowie. Zgrzał się i chociaż dopiero była wiosna, miał opaloną twarz.

Francesco pomachał mu na powitanie.

– To Sandro, narzeczony Krisnji – przedstawił młodzieńca, zamykając go w uścisku, gdy się zrównali. Tamten na moment spuścił wzrok.

– No tak, chodzimy ze sobą – roześmiał się, najwyraźniej zakłopotany.

Teresa przypomniała sobie, że widziała go na zebraniu stowarzyszenia.

– Sandro nie pochodzi z doliny, ale jest tak, jakby się tutaj urodził – rzekł Francesco. – Uczy się na technika leśnika.

Młodzieniec podniósł dłoń, jakby chciał się zasłonić.

– Na razie spędzam tu wolny czas, szacując drzewostan olch – oświadczył.

Wszyscy się roześmiali. Pożegnawszy się, chłopak ruszył dalej w kierunku doliny. Francesco nie spuszczał z niego wzroku, dopóki Sandro nie zniknął za zakrętem.

– Wielu stąd wyjechało – mruknął – za to paru przybyło. Potrzebujemy takich młodych jak on. Dla doliny i dla lasu. Pewnego dnia Sandro zaopiekuje się tymi borami. Uczy się, jak ważne jest, by nie zalesiać ponownie polan, by pozostawić to tu, to tam kilka martwych drzew na ucztę dla leśnych czyścicieli. Rozumie konieczność, by nie ścinać drzew, które służą zwierzętom jako miejsce spotkań stanowiących preludium do kopulacji. Uczy się chronić bioróżnorodność.

Kolory zmieniły odcienie na ciemnozielone. Teresa wpatrywała się w poszycie lasu. Był to zatopiony świat. Rozrzedzone światło zdawało się mieć stałą konsystencję. Podzieliła się swoim spostrzeżeniem.

– To się nazywa „zielona luka” – wyjaśnił Francesco. – Pas promieniowania, który potrafi przeniknąć przez korony drzew i dosięgnąć ziemi. Stanowi zaledwie trzy procent widma i jest nieprzydatne dla fotosyntezy. Oto dlaczego w najgęstszych borach poszycie jest kwaśną pustynią.

– Dobrze pan zna ten świat – zauważyła Teresa.

– To mój świat. Zresztą drzewa wcale się tak znów od nas nie różnią. Są do nas podobne bardziej, niż bylibyśmy skłonni przypuszczać. Tworzą niemal całość form życia na tej planecie: to oznacza, że stanowią prawie doskonały plan genetyczny podboju i przetrwania.

– Jeśli ująć to w ten sposób, brzmi groźnie – skwitował Marini.

– Bo tak jest. Ale to także fascynujące. Rośliny widzą światło poprzez fotoreceptory rozsiane na ich powierzchni: to setki maleńkich oczu, które obserwują świat na swój sposób. Odróżniają dzień od nocy, budzą się i śpią, czują zbliżanie się kolejnej pory roku po wydłużaniu się lub skracaniu godzin światła. Odpoczywają jak wszystkie żywe stworzenia: gdy jest ciemno, drzewa pochylają się nawet o dziesięć centymetrów. Są wyposażone w dotyk i węch: wyczuwają rośliny żywicielskie, a po zapachu potrafią wywnioskować, czy są w dobrym zdrowiu. Za pośrednictwem korzeni przekazują substancje odżywcze słabszym sąsiadom, a zaatakowane przez pasożyty produkują substancje toksyczne, od których liście nabierają wstrętnego smaku. Współzawodniczą i walczą. Posiadają pamięć i zmysł równowagi, dzięki któremu rosną prosto nawet na pochyłych terenach. I porozumiewają się między sobą w sposób, który potrafimy pojąć jedynie częściowo.

Przykucnął, dotknął ziemi.

– A to jest tylko ich „górna” postać. Korzenie tworzą nieograniczoną sieć nerwową. Codziennie podejmują złożone decyzje.

– Rzeczywiście, co do zmysłów, niczego im nie brakuje – powiedział Marini.

– Uważa się, że rośliny są głuche. Musi upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim nauka temu zaprzeczy. Czy wiecie, że nawet Darwin przeprowadził w tej dziedzinie eksperyment? Poniewczasie uznał go za „szalony”. Darwin był zapalonym muzykiem. Postanowił zagrać na fagocie dla mimozy wstydlivej i poczekać na reakcję. Oczywiście żadna reakcja nie nastąpiła. – Francesco popatrzył na las z poważną miną. – Może są głuche, bo po prostu nie potrzebują słuchu.

Nabrał garść ziemi.

– Tak niewiele wiemy o tej zielonej istocie, która dla nas oddycha – rzekł. – Dla nas – powtórzył. – W tej garstce gleby żyje miliard mikrobów, powiązanych ze sobą tak złożonymi wzajemnymi zależnościami, że człowiekowi nie udało się jeszcze odtworzyć ich w laboratorium. Oto dlaczego umierają, jeśli odizoluje się je od ich środowiska.

Teresa się nie wtrącała. Wychwyciła w uwagach Francesca pewien szczegół, który podsycił jej instynkt.

Mężczyzna wstał i otrzepał spodnie z ziemi.

– Jesteście tu więc, ponieważ waszym zdaniem historia serca znalezionego u wejścia do miasteczka wiąże się z zaginięciem Anizy? – zapytał na koniec.

Teresa mogła się oprzeć wyłącznie na własnym przekonaniu, zrodzonym zarówno z intuicji, jak i z doświadczenia. To, co dostrzegały jej oczy, stanowiło luźne połączenie detali, często niewidocznych dla większości, wydarzeń odległych w czasie i przestrzeni, a mimo to splecionych ze sobą. Widziała utkaną wokół siebie sieć zła, żywą i zmienną tkanę, przez którą przebiegają impulsy łączące pozornie najbardziej odległe punkty. Tkanka ta poruszała się ponad światem i poza ich zmysłami.

– Jestem skłonna tak sądzić, owszem – odparła.

Francesco wpatrzył się w horyzont. Niebo właśnie zasnuwały chmury. W oddali rozległ się ryk jelenia.

– Starzy powiadali, że to duch dnia wzywa noc – mruknął. – Ciemność naprawdę spowiła ziemię, na razie jednak po nocy nie nastąpi żaden świt, jedynie zwątpienie i rozpacz.

Teresa podeszła do niego.

– Ktoś w dolinie czuje się zagrożony – rzekła.

– Dlaczego patrzy pani na mnie w ten sposób?

– Zna się pan na botanice, może nawet rozumie pan najbardziej niewytłumaczalne przesłania natury – odezwała się z łagodnym naciskiem.

– Co to znaczy?

– Niech pan mi to powie: na przykład *thymus*.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie wiem, do czego pani zmierza. Z pani zachowania wynika, że powinienem coś wiedzieć, ale jeśli pani sądzi, że mogę mieć coś wspólnego z zaginięciem Anizy, myli się pani. Chyba że według pani ośmioletnie dziecko jest w stanie zabić.

Teresa nie odpowiedziała. Wyczuwała milczącą złość mężczyzny, który czuł się osaczony, i zakłopotanie stojącego obok Mariniego, który pozornie nieruchomy, wewnątrz coraz mocniej dygotał.

– Uważam, że ciągle przechowuje pan rzeczy osobiste Anizy – oświadczyła.

Wyraz twarzy Francesca mówił sam za siebie.

– Chciałabym je zobaczyć. Proszę.

Drewniane schodki skrzypiały pod stopami Massima. Battaglia i Di Lenardo podążali przodem na ostatnie piętro domu. Mansarda stanowiła pomieszczenie o spadzistym dachu. Całą wysokość jednej strony zajmował świetlik, który zapewniał niesamowity widok na łańcuch górski Musi. Sosnowe deski napełniały pokój wonią lasu, przywodząc na myśl powolne czynności podyktowane porami roku, świat, który Massimo ledwie znał, a który budził w nim mgliste skojarzenia, jakby zapraszał do szukania w pamięci.

Wbrew jego wyobrażeniom poddasze nie było zakurzoną ani zaniedbaną graciarnią. Tworzyło ukryte serce domu: piec majolikowy czekał, by je ogrzać najbliższej zimy, a aksamitny fotel stał skierowany ku roztaczającej się za oknem panoramie. Ułożone w stos książki sięgały podłokietnika. Na siedzisku spoczywał jakiś wolumin. Massimo musnął go palcami. Był to zbiór dawnych baśni z lasem jako bohaterem. Jako zakładka służyła zasuszona szarotka alpejska: spomiędzy kartek wystawały srebrzyste puchate płatki. Marini był pewien, że to Francesco ją zerwał w młodości, w jakiejś zawieszony w próżni rozpadlinie, gdzie lubiło rosnać białe niczym mleko kwiecie.

Słyszał, że nazywano ją „skalnym kwiatem”.

Spojrzał na mężczyznę. Jego profil nie zdradzał emocji, cała jednak mowa ciała świadczyła o zranionej dumie. Francesco czuł, że wystawiono go na próbę, która stanowiła dlań obelgę.

– Wszystkie jej rzeczy są w środku – oznajmił, wskazując bogato rzeźbiony kufer pod ścianą. Na drewnie, wygładzonym i obrobionym ręką wybornego rzemieślnika, widniały wyrzeźbione motywy kwiatowe, pomalowane na niebieski kolor o lekko fioletowawym odcieniu, który pomimo upływu czasu zachował połysk. Goryczki.

Francesco przykląkł na jedno kolano i pogładził kufer.

– To była jej skrzynia posagowa – przypomniał. – Każda panna taką miała. Chowała w niej wyprawę ślubną. Zabierały ją ze sobą, opuszczając dom ojca w dniu ślubu. Uważano, że to niezbędne do założenia nowej rodziny. Córki dziedziczyły je po matkach, które z kolei otrzymały je od swoich matek. Wędrowały w dziejach za pośrednictwem kobiecych rąk. Ta skrzynia ma ponad trzysta lat.

Przekręcił klucz w zamku i zastygł, jakby składał pokłon wspomnieniom.

– Proszę mi wybaczyć – wyszeptał. – Nieczęsto ją otwieram i niechętnie to robię.

– Absolutnie proszę się nie spieszyć – rzekła Battaglia. Znow zaczęła traktować go łagodnie, tak jakby ów jakże szczery ból emanujący z tego człowieka wymagał troski również od tych, którzy ledwie go znali.

Taka właśnie była. Potrafiła zdobyć się na brutalność tylko po to, by się przekonać, do czego umiałby się posunąć jej rozmówca w ataku wściekłości. Testowała, sondowała, wbijając ostre szpile, wiedziała bowiem lepiej niż ktokolwiek znany Massimowi, że człowiek udaje każdego dnia życia: broniąc się, z lenistwa, z przyzwyczajenia, bo tak wypada, w odwecie. Po to, by przeżyć.

Gdy Francesco podniósł wieko, Massimo zauważył wyciętą datę: 1706. Przedmiot ten strzegł dla pokoleń kobiet – jakże różniących się między sobą, a przecież związanych tą samą nicią – marzenia o miłości, siły wymaganej, by stać się bramą do nowego życia.

Marini na chwilę zamknął oczy. Chętnie oddaliłby się z tego miejsca, które zaczęły wypełniać gorzkie dla niego treści, zarazem jednak czuł się tak, jakby ktoś prowadził go za rękę w podróż, która po raz pierwszy pozwalała mu myśleć, że nie wszystko stracone. To Aniza wzięła go ze sobą, jej twarz zaś chwilami myliła mu się z twarzą Eleny.

Kiedy otworzył oczy, Francesco ścisnął w dłoniach białą suknię, podobną do tej, którą widzieli w gospodzie Matriony. Przyszyte w pasie dzwoneczki delikatnie zadźwięczały.

– Nasz typowy strój – powiedział. – Nie mieliśmy z żoną dzieci. Chciałbym, żeby pewnego dnia otrzymała go Krisnja, na swój ślub. – Uśmiechnął się. – Ale zdaje się, że dzisiejsi młodzi mają inny gust. Słusznie.

Starannie złożył suknię i umieścił na podłodze. Drżącą ręką wziął jakąś fotografię. Czym prędzej im ją podał, jakby nie chciał jej oglądać.

– Na tym zdjęciu Aniza ma ją na sobie. To było chyba na święcie wiosny, na krótko przed jej zaginięciem. Właśnie miała zatańczyć *Kōlu*, „taniec w kręgu”.

Teresa Battaglia chwyciła fotografię i długo się w nią wpatrywała.

– A tutaj są jej hafty – rzekł Francesco, otwierając koszyk do szycia. – Część z nich dopiero co skończyła, inne pozostaną nieskończone na zawsze.

Komisarz wręczyła zdjęcie Massimowi i zajrzała do wiklinowego koszyka. On także się przysunął i poczuł, jak ściska mu się serce.

Aniza zachowała małe buciki dla noworodka. Miały barwę zielonych łąk na wiosnę, płatków nagietka i bławatka.

Musiał się oddalić. Słowa, jakie wymieniali ze sobą Francesco i Teresa, stały się niezrozumiałym szumem.

Mocno ścisnął w dłoniach fotografię, zanim zdobył się na odwagę, by na nią spojrzeć.

Aniza spoglądała na niego z czarno-białego portretu. Niewinna niczym panna młoda, pośród wysokich traw łąki. Słońce opromieniało falbany spódnicy, przenikając przez tkaninę. Dziewczyna wplotła we włosy kwiaty. Kilka kosmyków, rozwianych przez bryzę, która zastygła w wiecznej fali, okalało jej twarz. Na wargach wykwitł ledwie dostrzegalny uśmiech. Delikatnie uniosła dłoń, jakby chciała dotknąć policzka, może po to, by schwytać pukiel włosów i założyć go za ucho.

Wstrząsnęła nim wszakże, jakby dostał cios prosto w pierś, pozycja drugiej dłoni Anizy: spoczywała na brzuchu, zamykając go niczym kielich.

Massimo widział już ów obronny, czysto instynktowny gest. Uczyniła go Elena poprzedniego wieczoru.

Jego wzrok powędrował ku niemowlęcej wyprawce w koszyku. Oddech się zatrzymał. Ona nie była przeznaczona dla przyjaciółki.

Zamierzał się przespacerować, wziąć na bok komisarz, spojrzeć w jej zdumione oczy i przysunąć twarz do jej ucha, ale jakby ktoś inny zrobił to zamiast niego.

– Była w ciąży – szepnął.

20 kwietnia 1945 roku

Aniza przemierzała las krokiem panny młodej; porośnięta trawą ścieżka była nawą wiodącą do ołtarza, pnie stuletnich dębów – kolumnami. Miasteczko zamieniło się po prostu w dzwonnice wystającą za jej plecami sponad najwyższych wierzchołków jodeł. Ponad jej zakrytą głową gałęzie orzechów, akacji i dębów bezszypułkowych spletały się niczym poskręcane i potężne architrawy. Ciemnozielone listowie, tworzące tunel, stanowiło przejście ku nowemu życiu.

Dziewczyna odwróciła się, by popatrzeć w przeszłość. Przyglądała się, jak linia słońca wznosi się prędko nad różą wiatrów na iglicy kościoła. Gdy pochłonął ją cień, postawiła na trawie koszyk z przyborami do haftowania i zagłębiła się dalej w bór.

Od miasteczka poniósł się kobiecy śpiew, który towarzyszył jej krokom. Wzbił się ku niebu niczym słup dymu. Wijąc się jak wąż, niósł się po dolinie. Mocny głos opowiadał w języku jej przodków o tym, jak rodzina spędza wieczory. Było to pożegnanie z dniem, powitanie nadciągającej nocy modlitwą, która nie niosła ze sobą upiorów wyłaniających się z górskiej mgły wraz z zapadnięciem zmroku, a tylko dobre sny i rosę, aby ugasić pragnienie pól.

Po drugiej stronie mostu nad rzeką na wołanie odpowiedziała inna kobieta, po czym obydwie głosy pognały niesione wiatrem, który zerwał się o zmierzchu znad koryta strumienia. Z daleka dołączyły do nich kolejne. Należały do matek z doliny, tych, które spłodziły więcej córek. Rodzicielki kobiet, które same stały się matkami.

Aniza szeptem zaintonowała litanię, jej dłoń zaś pobiegła gładzić płaski jeszcze brzuch. Wkrótce napęcznieje od spoczywającego w nim życia, które ukształtuje go niczym mały świat pośrodku jej wszechświata. Do śpiewu dołączyła pierwotna

melodia lasu: brzmiała jak dźwięk fletu, gdy wiatr wślizgiwał się pomiędzy suche, wydrążone konary powalonych drzew.

Aniza spojrzała w niebo. Wśród koron dostrzegła świetlistą Wenus. Z gałęzi poderwała się do lotu srebrzysta płomykówka, mocno bijąc skrzydłami. Był to duch nocy, wzywany rykiem jelenia, który górował nad zboczami gór Musi.

Aniza podziękowała Matce za dobrą wróżbę. Zerwała bladuróżowe zawilce, które znaczyły drogę, i związała wstążką w ślubny bukiet.

Śpiew umilkł. Teraz drzwi do domów były pozamykane, zwierzęta spały w oborach. W lampach migotały płomienie, a najmłodszych ułożono do snu w kołyskach.

Czekała z bijącym pospiesznie sercem.

On właśnie nadchodził.

Teresa opuściła dom Francesca wstrząśnięta, jakby wynurzyła się z tafli mętnej wody. Dostrzegła w niej błysk przerwane go życia i okazało się to bolesne, teraz jednak musiała się zmierzyć z kolejną tragedią. Jeżeli Mariniego nie myliły przecucia, w przeszłości była jeszcze jedna ofiara: nienarodzone dziecko.

Inspektor wydawał się wyczerpany. Udręka napięła mu rysy twarzy i rozpałała wzrok.

– Ona była w ciąży – powtarzał bezustannie. Albo to tylko szumiał zrywający się wiatr. – A ktoś ją zabił.

Teresa miała by ochotę odrzucić jego słowa, lecz coś ją powstrzymywało. Czyjaś bezcielesna dłoń ścisła ją za gardło. Znow podświadomość. Zakazywała jej odwracać wzrok, zaprzeczać prawdzie, o której już wiedziała, i zmuszała, by przebyła tę drogę do samego końca.

Daleko na wzgórzu dostrzegli znajomą postać. Patrzyli, jak Krisnja znika wśród drzew.

– Chcę z nią pomówić – zdecydowała Teresa.

Zeszli w dół z boczka. Dziewczyna odwróciła się, słysząc wołanie Mariniego, rozpoznawszy zaś ich, uśmiechnęła się, na widok ich min natychmiast wszakże spochmurniała. Jej wzrok poszybował ku domowi wujecznego dziadka.

– Czy coś się stało? – zapytała zalękniona.

– Nic nowego – uspokoiła ją Teresa – ale dopóki nie odkryjemy, co się dzieje w dolinie, niebezpiecznie zapuszczać się w las w pojedynkę, szczególnie gdy się ściemnia.

Krisnja obejrzała się na bór. Za bukowym laskiem, za mostem i niżej, przy pierwszym zakręcie, znaleziono serce. Nie wiedzieli jeszcze, do kogo należało, choć Teresa była pewna, że wkrótce dostaną nazwisko i rysopis osoby do szukania. Wieść rozniosła się od domu do domu lotem błyskawicy. Wszyscy zaoferowali

pomoc. Nikt nie siedział z założonymi rękami. Otwierały się bramy gospodarstw, przepatrywano stodoły i szopy na narzędzia. Policja ciągle przeczesywała miejsce znaleziska i otaczający je obszar.

Krisnja przycisnęła dłonie do piersi.

– Tutaj nie przywykliśmy czuć się zagrożeni – rzekła, przenosząc na nich wzrok.

Teresa wyczuła jej przerażenie. Ich raj został zbrukany przez gwałtowną śmierć. Ziemia nasiąkła krwią. Już nigdy nie będzie taka jak dawniej.

– Byliśmy u twojego wujecznego dziadka – oznajmiła, chcąc odciągnąć jej myśli od śmierci. – Widzieliśmy rzeczy Anizy.

Popatrzyła na nich tymi wyjątkowymi oczami, które pochodziły z przeszłości, od Anizy, z tysiącletniego dziedzictwa. Bez wątpienia była córką swojego rodu.

– Nigdy ich nikomu nie pokazywał – odparła. – To go rani.

Teresa szukała najbardziej odpowiednich słów.

– Łączyła ich bardzo silna więź – rzekła. – Rzadko widuje się tak wielkie cierpienie, niezmiennie od pierwszego dnia.

Krisnja omiotła spojrzeniem góry; wiatr uniósł jej włosy, odsłaniając dumny profil.

– On też ma swoje troski – mruknęła. – To były przekłete dni. Nikt tutaj nie potrafi się uwolnić od przeszłości.

– Zaginięcie Anizy było tragedią, która zburzyła spokój doliny – zauważyła Teresa.

Światło w czarnych oczach Krisnji zadrżało. Na moment zgasło.

– To nie było jedyne tragiczne wydarzenie – oznajmiła. – Francesco wam nie powiedział?

Francesco skłamał. Wojna nie wycofała się chyłkiem z doliny. Wyżłobiła w rezjańskiej ziemi bruzdę śmierci i zniszczenia. Jej mieszkańcy zaś żywili się owocami tej ziemi, na zawsze ochrzczeni przelaną niewinną krwią. Krisnja opowiedziała im o pewnym dramatycznym wydarzeniu, które na zawsze sprofanowało świętość tego miejsca; o rozstrzelaniu, którym najeźdźcy posłużyli się jak ostrzeżeniem dla mieszkańców Rezji. O zemście.

Teresa zastanawiała się, dlaczego Francesco na pytanie o inne krwawe incydenty związane z obecnością partyzantów milczał.

Zadowolili się naszym przerażeniem i odjechali, odparł wówczas, po czym wspomniął o represjach nazistów z powodu strzału z partyzanckiego karabinu. Teresa zanotowała to w swoim dzienniku. Nie była to pospieszna wzmianka, lecz dokładne zdanie, tak jakby przeczuwała, że niedługo słowa te, niczym ręka, wskażą jej kierunek, w którym powinna podążać.

Może niczego by tam nie znalazła, ale wiedziała z doświadczenia, że ludzie kłamią co do pozornie nieistotnych szczegółów z dwóch powodów: patologicznej skłonności albo po to, by nie zdradzać tajemnic.

Postanowiła, że nie od razu zapuka do drzwi Francesca, by zażądać wyjaśnień. Chciała udać się do niego, mając w garści coś więcej. Może wolała, by poczuł się pewnie, i pragnęła się przekonać, jaki będzie jego następny krok. A może były to tylko sztuczki osoby przywykłej wątpić w naturę ludzką.

Do działania skłaniało ją jednak coś innego, zanim zapadnie noc i uśmierzy znużenie po całym dniu.

– Dasz radę? – zapytała Mariniego.

Stojący u jej boku inspektor przytaknął.

Zadzwonili do drzwi Raffaella Andriana.

– Skrzypce? – zapytał chwilę potem młodzieniec, usłyszawszy, z czym przyszła Teresa. – Nigdy nie słyszałem, żeby stryj miał jakieś skrzypce, a tym bardziej żeby na nich grał.

Teresa zachowała dla siebie wiadomość o osobliwych odciskach znalezionych na obrazie.

– Nie nasuwa się panu nic, co mogłoby go powiązać z tym instrumentem? – zapytała. – Choćby jakieś mgliste zainteresowanie, przyjaźń...

Chłopak się zastanowił.

– Mogę powiedzieć wyłącznie tyle, że Andrianowie od kilkudziesięciu lat handlują drewnem rezonansowym. Zapewne tu, we Włoszech, zostaliśmy już tylko my. Nic mi nie wiadomo o innych czynnych hurtownikach.

– Może pan się wyrażać jaśniej? – poprosił Marini.

– To drewno pozyskiwane ze świerka pospolitego. Dość rzadkie. Mamy to szczęście, że tu, w pobliżu, na granicy austriacko-słoweńskiej, rośnie tysiącletni las. To jedyny materiał, z którego da się wykonać instrument strunowy dobrej jakości. Drzewo musi mieć prawie dwieście lat i przez cały ten czas musi rosnać powoli, regularnie. Wyobrażacie sobie, co znaczy taka niewzruszoność w tak zmiennym ekosystemie jak puszcza? To mały wielki cud.

– Wyobrażam sobie, że takiego właśnie rodzaju drewna wymaga jakość dźwięku – odparła Teresa.

Raffaello Andrian się z nią zgodził.

– Przy cierpliwym sezonowaniu żywica takiego drewna wzdłuż ścian naczyń limfatycznych, w najprawdziwszych pischcałkach organowych natury, przekształca się w kryształki. Takie drewno brzmi, śpiewa dla nas.

Teresa słuchała go oczarowana, chociaż wątpiła, żeby opowieść dostarczyła im jakiegoś tropu. Musi szukać gdzie indziej.

– Jak się czuje pański stryjeczny dziadek? – zapytała skruszona, że nie uczyniła tego wcześniej.

Chłopak sposepniał.

– Przywołałście wspomnienia, które być może nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego – odrzekł. Spojrzał na zamknięte drzwi w końcu korytarza. – Nigdy go takiego nie widziałem.

– Cierpi?

– Nie, pani komisarz. To nie jest cierpienie. To...

– Potężna nienawiść – dokończyła.

– Owszem, potężna nienawiść.

Teresa wyjęła z torebki przedmiot, który Francesco po usilnych naleganiach pozwolił im zabrać ze swych wspomnień. Zgoda nie była dla niego łatwa, podobnie jak dla Teresy prośba, by na to przystał. Wiedziała, jak ogromny nosi w sobie ból. Od trzydziestu lat żył z nim każdego dnia i każdej nocy.

W gruncie rzeczy ten przedmiot należy do Alessia, pomyślała. W równym stopniu stanowi własność jego, co Anizy.

Pokazała go Raffaellowi, który patrzył, nie pojmując. Gdy Teresa wytłumaczyła mu, co ich zdaniem wydarzyło się w przeszłości, wówczas wszystko stało się jasne, a jego oczy zwilgotniały. Odszedł na bok i zerknął w stronę pokoju Alessia. Było to przyzwolenie, zachęta, by po siedemdziesięciu latach bólu i samotności zrobić, co trzeba.

Teresa ruszyła korytarzem. Każdy krok stanowił słowo, które powtarzała sobie w duchu, aby przekonać się, czy akurat ono jest najbardziej miłosierne. Może nie ma właściwych słów i którekolwiek by wybrała, i tak popełniłaby błąd.

Minęła obraz, na którym dwójka dzieci stała obok partyzanta. Karabin strzelający do niczego nieświadomego wroga. Uzmysłowanie sobie, że odnalazło się ślad tego wydarzenia w przeszłości, było czymś niesłychanym. Budziło niepokój. Francesca i Alessia przez wszystkie te lata zawsze łączyło wspólne wspomnienie.

Wpatrywała się w obraz przez chwilę, po czym ruszyła dalej. Raczej musnęła dłonią drzwi, niż cicho zapukała, i je pchnęła.

Odniosła wrażenie, że starzec nadal siedzi tak, jak go zostawiła. Nie zmienił pozycji, wzrok miał wciąż utkwiony w ciemnym już o tej porze lesie. Pokój rozjaśniało nagle światło lampy. Alessio był ubrany w inną piżamę i miał starannie przykryte kolana. Ktoś narwał dla niego kwiatów, włożył do wazonu i postawił na komodzie. Pachniały skąpanymi w słońcu polami, miodem, życiem, które na zewnątrz posuwało się naprzód. Rozświeślały mrok, Teresa była jednak pewna, że mężczyzna nawet tego nie zauważył.

Uklęła przed fotelem na kółkach. Obserwowała profil Alessia, te spoglądające tak niehumanie oczy, które być może teraz potrafiła zrozumieć.

Nie wiedziała jeszcze, czy ma przed sobą mordercę, czy tylko chory umysł albo człowieka, który postanowił przywdziać żałobę na każdy dzień, jaki dane mu będzie jeszcze przeżyć. Absolutną, pozbawioną litości dla siebie żałobę.

Przyjrzała się dłoniom mężczyzny. Dłoniom, które być może wcale nie zabiły, lecz które z całą pewnością namalowały krwią portret Anizy. Dotknęły jej serca, ale w jaki sposób? Gwałtownie i z impetem czy też w ostatniej pieśczości? Dłoniom, które, zdaje się, nigdy nie grały na skrzypcach, choć należały do artysty.

Teresa zawiesiła na nich przedmiot, który trzymała w ręku, i pojęła, że nie istnieją odpowiednie słowa.

Malusieńkie bučki w kolorze pierwiosnka nareszcie znalazły swoje miejsce pomiędzy palcami Alessia. Zupełnie jakby od zawsze było to ich przeznaczeniem. Stanowiły wspomnienie o dziecku, które wtula się w dłonie ojca.

Teresa usłyszała za plecami szloch Raffaella. Wyobrażała sobie jego wzruszenie, a także rozrzewnienie Mariniego, ponieważ on również z trudem panował nad sobą, z trudem oddychał.

Alessio bowiem płakał, zastygł w bezruchu jak istota, którą zdecydował się stać. Nie spuścił wzroku na swoje kolana, nie zmienił ani na jotę wyrazu twarzy. Tylko po policzkach płynęły mu łzy, jakby to jego dusza lkała.

Obrączka na palcu serdecznym połyskiwała od kapiących na nią kropeł. Musnąwszy ciepłą dłoń, Teresa dostrzegła w wygrawerowanych w metalu obu literach A to, czym naprawdę były: nie inicjały Alessia Andriana, lecz dwójki młodych zakochanych. Alessia i Anizy.

To była obrączka ślubna.

20 kwietnia 1945 roku

Kobięcy śpiew zgasł w dolinie wraz z dniem, coś jednak po nim w borze pozostało: jakieś niskie drgania, jakby w gardle boga dźwięczał wiatr. Jego echo rozbrzmiewało w wąwozach i niosło się w porykiwaniu, odbijając się od grzebieni górskich ponad rzeką. Zwierzęta odpowiadały „matkom z doliny”, przyznając się do łączącej je z nimi atawistycznej więzi, która jednoczy wszelkie formy życia.

Po czym w leśnej pokrywie znów zapadła cisza, różniła się wszakże od jakiegokolwiek ciszy, której doświadczył bór: była absolutna. Stanowiła bezruch, który towarzyszy zagrożeniu.

Czyjaś obecność pogwałciła niewidzialne granice legowisk i obszarów strzeżonych przez zwierzynę wokół zagród, w których odpoczywało stado. Te kroki budziły powszechną trwogę.

Zagrożenie dostrzeżone przez zwierzęta nie warknęło. Nie zawyło. Nie wyszczerzyło po nocy kłów ani pazurów gotowych rozszarpać mięso ofiar.

Objawiło się ludzkim zapachem i melodią, która stanowiła udrękę i ekstazę. Muzyka poszybowała ku wysokościami, zdolna, jak się zdawało, osiągnąć kamienistych szczytów, chociaż zrodziła się w piekle.

Męskie dłonie przyciskały struny skrzypiec, prowadząc smyczek w bolesnym zapamiętaniu. Zupełnie jak opętane. „Diabelska melodia” wyłoniła się wraz z księżycem z zarysu gór, nikczemna i romantyczna, wyniosła i gwałtowna. Legenda mówi, że gdy ktoś ośmielał się ją zagrać, działy się dziwne rzeczy: tajemnicze zdarzenia, najczęściej mało istotne, lecz innym razem krwawe.

Skrzypek wyobraził sobie pudło rezonansowe instrumentu jako szeroko otwarte drzwi do piekieł, a dźwięki jako krzyk Lucyfera do świata. Ów wrzask pochodził także od niego.

Grał dla niej, chociaż nawet go nie widziała.

Grał dla niej, dla tej, która wśród drzew oczekiwała na miłość.

Grał dla niej, tylko dla niej. Błedej Wenus, płonącej gwiazdy. Pani jego rozdartego serca, które nie potrafiło zaznać spokoju.

To śledztwo jest podróżą w głąb mnie samej. Widzę to, kim byłam i kim już nigdy nie będę. To, kim się stałam i kim się stanę. Jest codziennym zmaganiem się z bólem, który mnie zniszczył, a potem zahartował, i ze strachem przed zbyt bliską przyszłością.

Nie potrafię sobie tego śledztwa odpuścić. Jest moje w każdym tego słowa znaczeniu, wraz z całym bagażem wspomnień i udręk. Jest czymś, co muszę zrobić, zanim nadejdzie moja zima. Już zawczasu czuję jesień: podobnie jak przyroda, ja też muszę się całkowicie wycofać.

Gdybym wierzyła w karmę, w przeznaczenie i w czary, powiedziałabym, że to śledztwo na mnie czekało.

Aniza, Śpiąca Nimfa, i Alessio czekali właśnie na mnie.

O szybę okienną zadzwoniły drobne kamyczki. Teresa nie podniosła się z kanapy.

– Drzwi są otwarte! – zawołała.

Najpierw wkroczył, merdając radośnie ogonem, Smoky. Podszedł się przywitać i wsparł łapy na jej kolanach. Wkrótce po nim zjawiła się Blanca. Pomagała sobie laską dla niewidomych. Teresa ujrzała ją w rękach dziewczyny po raz pierwszy.

– Kiedy jest ciemno, powinnaś zamykać na klucz – poradziła Blanca. Jej palce prześliznęły się po drzwiach i po omacku odnalazły to, czego szukały: klucz obrócił się w zamku.

– Kto miałby być aż tak głupi, żeby chcieć okraść dom policjantki? – odparła Teresa, odkładając książkę, którą właśnie czytała. Zdjęła okulary do lektury. – Wytłumacz mi, dlaczego nigdy nie pukasz.

Blanca wymacała kanapę i usiadła.

– Może nigdy nie czuję, że ktoś na mnie czeka.

– Ja na ciebie czekałam.

– Mam wrażenie, że w ten sposób mniej przeszkadzam.

Było to dość bezpośrednio wyznaczenie, z czego dziewczyna nawet nie zdawała sobie sprawy. Wchodziła od tyłu w życie innych ludzi, ponieważ prawdopodobnie nigdy jej nie nauczono, że ona też może wejść głównymi drzwiami.

Były w niej jakaś naiwność i dzikość, które onieśmiały Teresę.

– No to jak niby brzmi ta nieprzyzwoita propozycja? – zapytała Blanca.

Teresa rozsiadła się wygodniej na kanapie, położyła ramię na oparciu, podwinęła nogę.

– Polowanie na ciało – rzekła. – W lesie. Niedawno ktoś został zabity. Będziecie mieć do czynienia z policyjną ekipą poszukiwawczą.

– Ach.

– W sumie wcale nie są tacy dobrzy.

Blanca poderwała się z miejsca. Po czym ponownie opadła na kanapę.

– No weź! Przecież są świetni – wybuchnęła.

To była prawda, Teresa wiedziała jednak, że dla Blanki i Smoky'ego, a także dla ich przyjaciół, którzy zajmowali się z pasją *human remains detection*, nadarzała się wyjątkowa okazja, by świat o nich usłyszał. No i mogliby w ten sposób pokonać opór komendanta.

– Smoky nie jest psem zwłokowym, już ci to mówiłam – zaprotestowała dziewczyna. – Jeżeli trzeba poszukać krwi albo jakiejś części ciała, okej. Ale całe nieopgrzebane zwłoki to zupełnie inna sprawa. Zapachy się wtedy różnią.

– Ale powiedziałaś, że Smoky zna zapach kadaweryny – zaoponowała Teresa.

– Tak, ale to nie jest jego specjalność. A jeśli mu się nie uda?

– Nie sądzę, żeby znowu aż tak mu się to nie spodobało. A tobie?

Blanca spuściła głowę.

– Mnie chyba odrobinę. Czy to coś złego?

– Nie, nic złego, i jestem pewna, że to nie jest dla was zbyt ryzykowne.

W przeciwnym razie nigdy by się do Blanki nie zwróciła z taką prośbą.

Dziewczyna najwyraźniej rozważała jej słowa.

– Gdybym popełniła błąd, tobie też by się oberwało, zgadza się?

– To nie problem, wierz mi.

– Ale...

– Ty i Smoky jesteście mi potrzebni. Chcę stałej współpracy, a żeby do niej doszło, muszę sprawić, żeby również inni w was uwierzyli. Nie chcę już prosić o pomoc ekip z zewnątrz. Chcę stworzyć nasz zespół. Przykro mi, że żądam od ciebie czegoś, na co nie masz odwagi się zdobyć, ale nie zrobiłabym tego, gdybym przypuszczała, że nie dasz sobie rady.

Nie dodała, że taki skok na głęboką wodę byłby dla niej dobrodziejstwem. Blance brakowało wiary w siebie, przedtem wszakże musiał w nią uwierzyć ktoś inny. Potrzebowała kredytu zaufania, Teresa zaś była gotowa jej go udzielić.

– Czas – mruknęła Blanca. – Będzie inny, skoro chcesz skorzystać z naszych usług.

– Czas nie stanowi problemu – zapewniła Teresa. To ona odegra rolę tarczy między Blancą i Albertem. Przyjmie na siebie każdy brudny cios zadany przez komendanta.

– Psa poszukiwawczego od zwłokowego odróżnia technika poszukiwań – wyjaśniła dziewczyna. – Jeżeli chcesz znaleźć zwłoki w dużym lesie, potrzebny ci pies poszukiwawczy działający na powierzchni, pies, który pokonuje całe kilometry i sygnalizuje osobę: martwego człowieka. Natomiast przy poszukiwaniu i precyzyjnej lokalizacji specyficznych pozostałości ludzkich masz do czynienia z psem, który systematycznie albo po zachęcie przeczesuje każdy centymetr terenu i znajduje od mikroskopijnej kropelki krwi po większe fragmenty.

– Większe, takie jak Chuderlak?

Blanca przytaknęła.

– Tak, na przykład Chuderlak, a nawet całe zagrzebane zwłoki. Pies od poszukiwania i lokalizacji pozostałości ludzkich potrzebuje mnóstwo czasu, zanim zyskamy pewność, że obszar jest dokładnie sprawdzony, za to nic mu nie umknie.

– Dostaniecie czas – obiecała. – A więc to znaczy „tak”?

Blanca pogłaskała Smoky’ego.

– Kiedy wraz z członkami ekipy zaczęliśmy ćwiczyć z łożyskiem, spróbowaliśmy schować cały słoik. Biorąc pod uwagę smród, jaki wydzielał, mógł to być odpowiednik zwłok. Psy, węsząc, natychmiast skierowały się do źródła zapachu. Myślę, że to samo może się wydarzyć ze zwłokami w fazie rozkładu. – Zadarła podbródek. – To oznacza „tak”.

Teresa się uśmiechnęła.

– Cieszę się. Dziękuję. – Wyciągnęła rękę, by wziąć ze stolika kawowego jakąś teczkę. – Z tym że nie powiedziałam ci wszystkiego. Tak naprawdę ciało, którego macie szukać, nie jest w całości, nawet nie mam pojęcia, czy zostało poćwiartowane, zakopane czy porzucone na powietrzu. Na pewno brakuje mu jednej części.

Otworzyła akta i odczytała ich treść.

– Serce – szepnęła Blanca, gdy Teresa skończyła.

– Owszem, odjęto mu serce.

Teresa wręczyła jej przygotowaną przez Parriego próbkę.

– Nie wiedziałam, czy to się wam może przydać, więc...

Blanca chwyciła ją w dłoń i obróciła w palcach. Od razu domyśliła się, co zawiera.

– Nigdy nie miałam w rękach fragmentu serca – westchnęła. – Na ogół Smoky nie potrzebuje próbki zapachu do nawęszania. Ma w pamięci wszystkie zapachy martwego ciała: jak ci mówiłam, łożysko zawiera osiemdziesiąt procent z nich. Krew we wszystkich stadiach „dojrzewania”, od świeżości po ponad rok. Świeże i stare kości. Kadaweryna.

– Jeżeli się nie przyda...

Dziewczyna czym prędzej przytknęła próbkę do piersi.

– Och, nie! Zatrzymam ją. Chcę spróbować – dodała pospiesznie. – Kiedy?

– Jak najwcześniej. Bądźcie w pogotowiu.

Teresa milczała przez chwilę, po czym kazała jej przyrzec.

– Znajdź je – wyszeptała. – Zanim zrobią to inni.

Oczy Blanki rozbłysły.

– Znajdziemy.

– Nie będziesz sama, podejmując to wyzwanie.

– Ty też nie.

Upłynęła kolejna noc i właśnie wstał dzień. Teresa czuła się jak zdjęta z krzyża: odrętwiała, rozdrażniona z powodu zmęczenia i z metalicznym posmakiem w ustach, który z wiekiem się nasilał. Minione wydarzenia wytopiły ją niczym metal, tylko że wcale nie przypominała lśniącej figurki.

Siedzący obok Marini też nie był radosny jak szczygiełek. Przypominał raczej ciemną planetę na kursie kolizyjnym z samą sobą. Niemożliwe? Stanowił dowód, że jednak tak.

Teresa prawie liczyła na to, że ignorując wszelkie zasady i obowiązki, zadzwoni i powie, że tego dnia ma coś pilniejszego do zrobienia. We śnie powiedział, że jedzie odebrać dziecko. Tymczasem tkwił tutaj, zdeterminowany, by zadać sobie ból.

Dopiero co otrzymali oficjalne potwierdzenie z centrali, chociaż i tak już to wiedzieli: na miejscu odkrycia serca nie pobrano odcisków palców ani śladów DNA innych niż te należące do ofiary.

Teresa spodziewała się tego. Miejsce zbrodni zostało wysprzątane. Zabójstwa i okaleczenia zwłok dokonano gdzie indziej.

– Czysta robota, pomijając lekkomyślność i szaleństwo czynu – skwitował Marini.

– Już wiemy, że zrobił to ze strachu – odparła. – Zastanówmy się dlaczego.

– Już to powiedzieliśmy: żeby strzec tajemnicy.

– Nie byle jakiej tajemnicy. Świętej tajemnicy. Tylko z czego może wynikać takie oddanie? Tak głęboko zakorzenione, by nie zważać na żadne społeczne konwenanse i zabić dla jej ochrony?

Marini nie od razu odpowiedział.

– Miłość? – podsunął wreszcie.

Teresa niezupełnie się z nim zgodziła. Przyszło jej na myśl coś innego, bardziej mroczne uczucie, pod pewnymi względami nieświadome i bezgraniczne. Przekraczając próg położonego na najdalszym krańcu Val Resia domu, zachowała wszakże tę hipotezę dla siebie.

Kilka godzin wcześniej wraz z potwierdzeniem braku śladów pojawiła się również tożsamość prawdopodobnej ofiary: Emmanuel Turan. Od dwóch dni nikt go nie widział, a nieuczestniczenie w życiu miasteczka było dla osiemdziesięciolatka czymś niezwykłym. Jeden z krewnych telefonicznie powiadomił komendę, że w domu nie ma po nim śladu. Emmanuel zostawił otwarte drzwi do kurnika, toteż w nocy zakradł się tam lis i poczynił spustoszenie. Zdaniem krewniaka mężczyzna nigdy nie dopuściłby się podobnego zaniedbania: zanim zapadł zmrok, musiało mu się stać coś złego.

Zarówno obejście, jak i dom były skromne. Świadczyło to o być może zamierzonej, być może doznanej izolacji. O splątanym, chaotycznym umyśle, jak bałagan, który stwarzał wokół siebie. Dziecinnym umyśle, niezdolnym o siebie zadbać.

Zawsze gdy Teresa zmuszona była przeszukać dom ofiary lub osoby zaginionej, towarzyszyło jej uczucie smutku.

Kiedy ludzie odchodzą, zostaje po nich coś, co unosi się wśród ścian, utrzymuje się na stole, przy którym nigdy więcej nie będą jedli, na łóżku, na którym nie spoczną już ich zmęczone ciała, na przedmiotach codziennego użytku, w ubraniach wiszących w szafach.

Terese zawsze przebiegał dreszcz, gdy uzmysławiała sobie moment, w którym zaginiona osoba przestała oddychać: to było tak, jakby powracała do swojego domu pod postacią owej unoszącej się woni, przesyconej tęsknotą za tym, czego nie mogła już dotknąć. Nigdy się nie pomyliła.

Było tak również w przypadku Emmanuela Turana – od razu pojęła, że jego już nie ma.

– Jeśli to on jest ofiarą, przetrząśnięcie domu zajmie tygodnie – rozbrzmiał głos Mariniego. – Nigdy nie widziałem takiego bałaganu.

– Owszem, to on jest ofiarą – mruknęła Teresa, krążąc wśród jego rzeczy. Chciała oddychać tym bólem. Było to konieczne. – I to nie jest bałagan. To się nazywa syllogomania. To zaburzenie, które doprowadza do niekontrolowanego

gromadzenia przedmiotów. Może mu towarzyszyć zespół Diogenesa: brak dbałości o własne życie i osobę na różnych poziomach. Ty też tak skończysz, jak będziesz się odwracał plecami do swojego dziecka i kobiety, którą kochasz.

– Pani komisarz...

Teresa przykucnęła. W kącie kuchni, pod poplamionymi gazetami sprzed lat, znajdował się przewód elektryczny, który wydawał niepokojące dźwięki.

– Odłącz prąd – poleciła. – Tylko pożaru nam brakuje.

Kabel prowadził do sąsiedniego pokoju. Marini ostrożnie otworzył przymknięte drzwi, w środku nie czekała nań żadna żywa istota, tylko celebrowanie wyniszczającej samotności, ołtarz wzniesiony dla absolutnie niespełnionego życia.

Przy gołej ścianie stał szkielet jodły udekorowanej migoczącymi lampkami. Na podłodze też nie było ani śladu igieł. Czerwona kokarda na czubku poczerniała od dymu, jaki przez wiele zim wydzielał piecyk.

– Musi tu stać od lat – stwierdził Marini.

Teresa ledwie go słuchała. Utkwiła wzrok w rodzinnych portretach zamkniętych w ramkach, które starannie wyeksponowano na kredensie, jedynym meblu wolnym od rupieci.

Na widok uśmiechniętych twarzy maluchów i dorosłych poczuła chłód i przerażenie.

Na widok nieustannie innych twarzy. Sztucznych uśmiechów, równie fałszywych jak reklamowane przez ich właścicieli towary. Były to wycinki z gazet, stare reklamy.

Rodzina, której Emmanuel nigdy przy sobie nie miał.

W końcu ktoś z zespołu wyłączył prąd. Groteskowe widowisko ustało wraz z migotaniem lampek. Teresa miała wrażenie, jakby najintymniejsze cierpienie starca spowił całun. Jej pozostał lęk, który dopadał ją za każdym razem, gdy wydawało jej się, że nie zdążyła na czas, by przerwać destrukcyjne działanie zła.

Zjawił się zasapany Parisi.

– Znaleźliśmy ślady krwi – oznajmił. – Tam, gdzie zaczyna się las.

Krwi, która upstrzyła ziemię pośród odłamków szkła i łupin żołędzi, pośród pachnących sosną szyszek i odcisków lekkich łapek.

Myśli Teresy poszybowały ku innemu borowi, niedaleko stąd, ku innej rozlanej krwi, ku pościgowi wśród wąwozów i strumieni sprzed kilku miesięcy. Teraz nie było pogrążonych w ciszy połaci lodu pod stopami ani szczypiącego zimna na skórze, lecz i tym razem śmierć pokazała swą najokrutniejszą twarz.

– Musiał to zrobić tutaj – ocenił Marini. – Morderca zadał Emmanuelowi cios i wyciął mu serce.

Błoto zamazało ślady, ale niecałą krew. Została czarna plama.

Teresa utkwiała wzrok w gęstwinie drzew w głębi lasu.

– Ciało nie może być daleko. Musiał je ukryć gdzieś w pobliżu.

– Krewni powiedzieli, że Turan był drobnej budowy, miał wzrost dziesięciolatka i wyniszczyły go wiek i nadużywanie alkoholu. Niewiele ważył – skwitował Marini.

Teresa się skrzywiła.

– Mimo wszystko to ciężar bezwładnego ciała. Trudno określić. Wezwijcie techników – zwróciła się do Parisiego i De Carlego. – Trzeba będzie też zawiadomić komendanta i uprzedzić zastępcę prokuratora Gardiniego.

Nie potrafiła oderwać oczu od tej czarnej plamy. Wydawało jej się, że czuje jej zapach.

– Być może ten, kto dzisiaj zabił, chce ukryć tożsamość człowieka, który przebywał wraz z Alessiem Andrianem tej nocy, kiedy zginęła Aniza – rzekła. – Człowieka, który zostawił swój odcisk na *Śpiącej nimfie* i o którym nadal nie wiadomo, jak się nazywa.

Marini podszedł bliżej. On także wpatrywał się w przesiąkniętą krwią ziemię.

– W takim razie wystarczy go odnaleźć, prawda?

Teresa skinęła potakująco głową.

– Zdaje się, że wiem gdzie, ale przedtem musisz mi kogoś namierzyć.

Był to prowincjonalny bar, jakich wiele, położony na wiejskiej równinie. Teresa rozejrzała się dokoła: kilka domów i mnóstwo pól, na ulicach żywego ducha.

– Twój informator jest godny zaufania? – zapytała Mariniego.

– No raczej – odparł Marini. – Chyba że zamierza pani podważyć wiarygodność Guglielma Moriego.

– A niby kto to?

– Dziadek Parisiego.

Zmierzyła go wzrokiem.

– I to ma być twoje źródło? Krewny kolegi?

– Parisi mówi, że on wie wszystko o drugiej wojnie światowej i o jej następstwach też. Wóz albo przewóz.

– Zgoda.

– Jest pewien, że znajdzie pani w środku człowieka, którego szuka. To miejsce spotkań, siedziba stowarzyszenia.

Teresa westchnęła. Nie zapytała o rodzaj stowarzyszenia – mogła się tego domyślić. Jeżeli w budynku naprawdę przebywa opisany przez Mariniego człowiek, nie będzie to łatwa rozmowa.

Wnętrze okazało się takie, jak się spodziewała. Stare obtłuczone kafelki, zabytkowe meble, a wzdłuż ściany przed nimi kontuar, który liczył przynajmniej pół wieku. Na suficie zakurzone jarzeniówki. W telewizji trwała właśnie transmisja turnieju bilardowego. Głos został przyciszony.

Wszystkie stoliki zajmowali starsi mężczyźni grający w karty: w briscolę albo tresette. Gdy Teresa i Marini weszli, gwar przycichł, kiedy zaś zapytali gospodarza o człowieka wskazanego przez Moriego – ustał zupełnie.

– Jesteście z prasy? – zagadnął mężczyzna.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, Teresa wywnioskowała, że zainteresowanie mediów, jakie wzbudziło odkrycie *Śpiącej nimfy*, dotarło aż tutaj, choć z odmiennego powodu niż ten, który przywiódł ją w to miejsce. Ludzie chcieli poznać przeszłość Alessia Andriana. Wyobrażali go sobie jako wygłodniałą bestię przyczajoną w górach.

– Nie jesteśmy z prasy – odparła.

– To czego chcecie?

Słowa te padły z głębi sali, z ostatniego stolika, tego pod telewizorem. Na twarzach zajmujących go mężczyzn malowała się nieufność granicząca z wrogością. Szczególnie na jednej z nich.

Do Teresy dotarło, że trafiła na świadka, którego szukała. Zbliżyła się do starca, który odezwał się zadziwiająco czystym głosem. Jego władczy tonu nie złagodziła ani odrobinę miejscowa śpiewna wymowa.

Mariano Claut, pseudonim bitewny Merlin. Pod dziewięćdziesiątkę, krępa budowa ciała. Według informacji, jakie Mariniemu udało się zebrać, jedyny żyjący weteran z partyzanckiej brygady Andriana. Oczywiście z wyjątkiem samego Andriana, ale dla wszystkich on był już prawie martwy.

Podeszła do mężczyzny.

– Panie Claut, możemy porozmawiać? – zapytała.

Rzucił karty na stół.

– Zdaje się, że konstytucja gwarantuje wolność słowa – odparował.

To nie był taki zły początek. Teresa spodziewała się silniejszego oporu, wiedziała jednak, że ludzie tacy jak on mają jeszcze sporo do powiedzenia, do wyjaśnienia. Co wcale nie oznaczało, że im się to podoba.

Współgracze opuścili stolik, jakby na nieme zaproszenie.

– Kim wobec tego jesteście? – sondował Claut.

– Komisarz policji Teresa Battaglia i inspektor Massimo Marini – odrzekła.

– Coś takiego! – skwitował z anielskim spokojem. – Jeżeli przysłuchacie mi zwracać dupę, tam są drzwi.

Teresa usiadła.

– Wulgaryzmy nie robią na mnie wrażenia – zapewniła. – Potrafię rzucać mięsem lepiej od pana.

– Mogę zaświadczyć – potwierdził Marini, zajmując jedno z krzesel.

Claut wydawał się zbity z tropu. Komuś, kto nie znał jego historii, mógł skojarzyć się z psem, który skoro szczeka, to nie gryzie. Tymczasem te ręce zabiły. Nie raz.

– Sprowadza nas tu sprawa *Śpiącej nimfy* – oznajmiła Teresa bez ogródek. – Jestem pewna, że pan o niej słyszał.

Claut przewrócił oczami.

– Czy o niej słyszałem? – wybuchnął. – Aż do porzygania. Dziennikarze nie dają mi spokoju. Chcą ze mnie wyciągnąć coś o Andrianie, ale ja milczę jak grób.

– Obawiam się, że ja też nie dam panu spokoju.

Mężczyzna mocno postukał palcem w blat.

– Ruch oporu zaczął się tutaj – powiedział. – Na tej ziemi. A pani się wydaje, że zdoła coś ze mnie wydobyć? Zabijałem nazistów, mając tyle lat co pani, kiedy czesała swoje lalki, pani komisarz.

Teresa pochyliła się ku niemu.

– Nigdy nie czesałam lalek – wyznała. – I zapewniam pana, że przyjechałam tu po to, żeby rozprawić się ze złem, a nie znów wpuścić je do pańskiego życia.

Stary partyzant zmierzył ją wzrokiem. Najwyraźniej węszył kłamstwo, szukał go w powietrzu wokół niej, lecz nie znalazł.

– Nigdy nie zdradzę nazwisk towarzyszy, którzy pozostali w ukryciu. Nie będę o nich mówił – rzekł. – Parę z tych nazwisk wyciekło, jak nazwisko waszego malarza. Kiedy wojna się skończyła i rozpoczął się proces, przysiągłem, że zabiorę tajemnicę do grobu, niewiele mi zresztą brakuje. Nasz proces, chociaż chwyciliśmy za broń nie po to, żeby zdobywać, nie po to, żeby podbijać, ale po to, żeby ten koszmar szybciej dobiegł końca.

Teresa potrafiła sobie wyobrazić, co kazało mu unikać jakiegokolwiek konfrontacji: od siedemdziesięciu lat zawsze znalazł się ktoś, kto podawał w wątpliwość poświęcenie jego i jego towarzyszy i porównywał ich do tych, którzy stali po przeciwnej stronie.

– Czego pan się jeszcze boi? – zapytał Marini.

– Ja niczego się nie boję! Swoje życie już przeżyłem. Ale świat, który zostawiam, mi się nie podoba. To wy musicie być ostrożni, bo ja widzę, że faszyzm się

odradza, to się dzieje na naszych oczach. Panowaliśmy nad nim przez pięćdziesiąt lat, potem ktoś uznał, że przestał być groźny, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, przecież wszyscy już poumierali. – Zaśmiał się gorzko. – A ja mówię, że jest ich więcej niż przedtem.

– Nie przyszliśmy tu, żeby osądzać – zapewniła Teresa.

Mariano przeszył ją dzikim wzrokiem.

– Ach tak? – odparował. – Ale u słoweńskiego księdza toście byli, wiem o tym. W naszym środowisku plotki szybko się roznoszą. Pewnie wam naopowiadano, jacy to partyzanci byli źli.

– Teraz jestem tu po to, żeby usłyszeć pańską prawdę.

– Prawdę – powtórzył, niemal wypluwając to słowo. – Ja opowiem, jakie były fakty: kto stanął po stronie ruchu oporu, musiał rzucić wszystko i wyruszyć w góry, a tam głodować, znosić mróz i skwar. Natomiast kto stanął po stronie faszyzmu, dostawał mundur, miał zapewniony wikt i dobrze mu się żyło. Kto pani zdaniem walczył z miłości do ojczyzny? My nie mieliśmy ani grosza, nic. Nasze kieszenie były puste, podobnie jak brzuchy, ale bieda gwarantowała nam wolność, ponieważ wszystko, co robiliśmy, było dla dobra nas i innych. Faszyści mówili o sobie „synowie ojczyzny”: górnolotne określenie mięsa armatniego, które się wysyła na front. My mówiliśmy o sobie „buntownicy” – zachichotał. – Byliśmy dziećmi, które wołałyby po tysiącokroć wrócić do domu, tam, gdzie bezpiecznie. Nie byliśmy diabłami.

– Od czterdziestu lat podążam śladami krwi, jakie pozostawia za sobą gwałtowna śmierć – oświadczyła Teresa. – Nigdy nie spotkałam na swojej drodze diabłów, tylko ludzi. To wojna stanowi piekło.

Popatrzył na nią z nowym błyskiem w oczach.

– Dlaczego nie chcę mówić? – odezwał się. – Bo mam dość tego, że ciągle traktuje się mnie jak mordercę. Straciłem w tej wojnie towarzysza, którego powiesili, gdy miał dwadzieścia lat. Widziałem, jak miejscowi szpicle oddali faszystom innego, trawionego gorączką. Tamci pobili go i przywiązali za szyję do kraty. Obcięli mu jądra i wsadzili do ust. A potem podpalili. Widziałem, jak jedna dziewczynka świętuje koniec wojny, wdrapując się na drzewo koło domu, bo wreszcie może się swobodnie bawić. Wycofujący się naziści przyjechali i zaczęli kosić seriami z karabinów maszynowych. Zdążyła wpaść w ramiona mamy:

zmarła na miejscu, tuląc się do niej. Proszę mi powiedzieć, pani komisarz, skoro jest pani taką znawczynią ludzkiego umysłu, co może zmienić człowieka w tak brutalnego zabójcę – wyszeptał.

Teresa ważyła słowa, mając świadomość, że stąpa po polu minowym.

– Od pierwszej wojny światowej psychiatrów ciekawi zachowanie ludzi w czasie konfliktu. Według statystyk tylko trzech żołnierzy na dziesięciu to dobrzy zabójcy. Ci najlepsi mają zawsze te same cechy: są psychopatyczni, niezdyscyplinowani, agresywni i słabo się realizują w osobistych i społecznych aspektach życia. W wywiadach przyznawali, że rozkosz zabijania przypomina orgazm. Fazy psychologiczne, przez jakie przechodzili, nie różniły się od faz seryjnego zabójcy, z odczłowieczeniem ofiary włącznie. Technicznie określa się ich jako „ukrytych” seryjnych zabójców, a jest ich więcej, niż mogłoby nam się wydawać. Bezkarne polują i mordują, ponieważ zabijanie na wojnie to zachowanie społecznie akceptowane.

Mariano obdarzył ją innym, pełnym bólu spojrzeniem.

– My też zabijaliśmy, owszem – mruknął – ale nie torturowaliśmy, my patrzyliśmy faszystom w oczy. Na tym polega różnica.

Teresie przemknęło przez myśl, że zawsze istnieją co najmniej dwie prawdy: kata i ofiary. Natomiast ten mężczyzna i jego towarzysze byli zarówno katami, jak ofiarami. Słyszała ludzki ból kryjący się w słowach ojca Jakoba i czuła go także teraz, w słowach starego partyzanta, któremu momentami głos łamał się ze wzruszenia. Każdy opowiadał własną prawdę, która podobnie jak wszystkie doświadczenia nie była absolutna.

Wbrew jego pragnieniom historia nie udzieliła mu całkowitego rozgrzeszenia, Teresa zaś nie przyszła tu ani po to, by tego dokonać, ani by go skazać. Była przekonana, że pewnego dnia historia przemówi we własnym imieniu. Natura, również ta ludzka, nastawiona jest na poszukiwanie równowagi. Ktoś mawiał, że „dobro zawsze zwycięża zło”. Teresa woląa myśleć, że życie zawsze znajdzie sposób, by pozbyć się swych najbardziej krwawych i niebezpiecznych dzieci, i że zwykle czyni to w bezlitosny sposób.

Życie nie może się bowiem rozwijać na kwaśnej glebie przemocy, strachu i poniżenia.

Teresa pomyślała ze wzruszeniem o nieuprawianym polu w pobliżu. Ktoś, kto nie znał jego historii, z trudem rozpoznałby w nim dawny obóz koncentracyjny. A przecież wbito tam w ziemię tablice pamiątkowe stanowiące wiekopomną przestrożę. Nie było tam nic oprócz trawy: tuż po wojnie miejscowa ludność rozebrała murowaną konstrukcję i wykorzystwała odzyskany w ten sposób materiał do budowy przedszkola. Z piekła wyłonił się kwiat. To była właśnie lekcja historii. Potrzeba na to czasu, lecz natura zawsze znajdzie lekarstwo na wynaturzenia ludzkiej duszy. Zawsze grzebie je pod nowym życiem.

Na wojnie tracą wszyscy, powiedziała sobie. Występek często przeplata się niewinnością. Ten, kto przybywa później, tak jak ona, winien jest jedynie niemy szacunek komuś, kto doświadczył wojny na własnej skórze.

Teresa położyła na stole zdjęcie *Śpiącej nimfy*.

– Jestem tu ze względu na nią – rzekła – żeby ustalić, jak umarła.

Mariano wpatrywał się w rysunek.

– A więc to jest portret, który Andrian zrobił w górach.

– Dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Stary partyzant pogrążył się we wspomnieniach.

– Mnie nie było. Nie było mnie tam. W ostatnich dniach wojny znajdowałem się bardziej na zachód.

Teresa nie dawała za wygraną.

– Ale znał pan ten oddział partyzantów. To byli pańscy towarzysze. Tamtej nocy ktoś grał na skrzypcach w lesie, w którym zaginęła dziewczyna. Mieszkańcy doliny mówią, że to nie był nikt z nich.

Mariano nie odpowiedział, ani na chwilę nie oderwał wzroku od Nimfy.

– I co z tego?

– Proszę mi powiedzieć, kto grał. Który z pańskich towarzyszy grał na skrzypcach?

– Na co to wam? Przecież już skazaliście Andriana. Czerwony partyzant: kto jak nie on najlepiej wcieliłby się w rolę sprawcy? Zastąpienie jego nazwiska innym i tak nie zrobiłoby ludziom różnicy.

Teresa pokręciła głową.

– Zrobi różnicę jego rodzinie. Skoro to jest prawda, której pan tak pragnie, nadeszła pora ją wyjawic – odparła.

Mariano wyciągnął dłoń i musnął palcem rysunek. Wyglądało to jak pieszczota. Po czym przesunął go w kierunku Teresy.

– Nazwiska towarzyszy zabiorę ze sobą do grobu – powtórzył.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że prawdopodobnie rozmawiamy o kimś, kto już nie żyje?

– Ta dziewczyna też już nie żyje, a przecież nadal szukacie.

Teresa wstała, bardziej gwałtownie, niżby chciała, kiedy jednak odezwała się, w jej głosie brzmiał spokój.

– To kwestia sprawiedliwości – oznajmiła – a ja liczyłam, że ją tutaj znajdę.

Była już przy drzwiach, gdy Mariano znów przemówił.

– Nie zdradzę pani nazwiska, ale mogę powiedzieć, jak ja bym go szukał.

Teresa odwróciła się i spojrzała na niego.

– Oboje jesteśmy łowcami – mruknął stary partyzant, w którego oczach malowało się coś w rodzaju szacunku. – Pokażę pani, gdzie patrzeć.

Poszyciem wstrząsnęła jakaś osobliwa forma życia, która trzymała na dystans duże ssaki, małe zaś zmuszała do schronienia się w wykopanych pod powierzchnią norach.

Przybyli z daleka ludzie szukali śladów, których nie potrafili dostrzec. To nie było ich środowisko. Oczy nie wyćwiczyły się w „widzeniu”. Uszy były głuche na dźwięki zdeptanej przez stopy ziemi: nie rozpoznawały donośnej pustki starej mogiły, wyraźnego echa gleby, gdy grunt przekopano i ułożono z powrotem. Szukały świeżego grobu, który nawet gdyby go znalazły, doprowadziłby je wyłącznie do tego, co pozostało z nędznych szczątków.

Natomiast Tikô Wariö umiał patrzeć. Natura uczy odczytywać własną mowę, żeby ją jednak rozumieć, należy żyć wewnątrz niej.

Owo wtargnięcie budziło lęk, jednocześnie będąc upragnione. Było konieczne. Być może okaże się wyzwoleniem.

„Okrutny strażnik” chwilowo ograniczał się do obserwowania. Cień, który podążał śladem starej rudowłosej łowczyni i jej ogara o niepokojącym spojrzeniu.

To oni stanowili prawdziwe zagrożenie. Kobieta potrafiła zaprowadzić tam, gdzie inni by się pogubili. Ona także miała dar: widziała rzeczy, których innym nie dane było zobaczyć. Widziała mrok za światłem każdej ludzkiej duszy.

I nigdy nie ustawała. Nigdy nie ustawała w poszukiwaniach.

– Diabeł zdaje się wskazywać drogę.

Marini silił się na żartobliwy ton, w ostatnich zgłoskach pobrzmiwało jednak coś innego: być może przeświadczenie, że trafił w sam środek historii, którą steruje ręka jakiejś wyższej, złej istoty.

Myśl ta zrodziła się w głowie Teresy pomimo jej ateistycznych przekonań, kiedy przed Konserwatorium Muzycznym w Trieście odkryła imię, jakie nadano budowli: Giuseppe Tartiniego, ojca sonaty *Z diabelskim trylem*.

Instytut, jedno z trzynastu historycznych konserwatoriów we Włoszech, miał swą siedzibę w pałacu Rittmeyera, wspaniałym i chłodnym przykładzie architektury Triestu, tego maleńkiego, mieniącego się Wiednia nad morzem. Zachodzące słońce otulało go różowym ciepłem, płomiennymi refleksami, tańczącymi na szybach szerokich okien, które dla mew w locie były niczym okruchy nieba. Habsburska bryła stapała się z romańskimi błyskami kapiteli i kariatyd.

Przekraczając próg, Teresa po raz kolejny doznała wrażenia, że porusza się wśród słów już napisanej historii, która akurat teraz miała swoje dramatyczne zakończenie. Ostatnie światło dnia wkradało się prostopadle, przez co biały marmur schodów wiodących na kilka niższych pięter, krużganków i podtrzymywanych różowymi kolumnami balustrad lśnił.

Przez chwilę nie była w stanie ruszyć dalej. Zanurzone w kieszeniach dłonie nie potrafiły zaznać spokoju. Dziwne, z jakim trudem jej umysł zbierał fragmenty niedawnego życia, jednocześnie mając świeżo w pamięci odległe wydarzenia. Może takie było jej przeznaczenie: co rusz chronić się w przeszłości, wracać do dzieciństwa, aż wreszcie zniknąć.

– W tym pałacu rozegrał się krwawy spektakl – opowiadała Mariniemu głosem znizowanym do szeptu. – W czasie ostatniej wojny mieścił się tu Deutsches Soldatenheim, Niemiecki Dom Żołnierza, pełniący funkcję stołówki. Kiedy go

wysadzono, zginęło pięciu żołnierzy. Dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku Niemcy dokonali potwornych represji.

– Wzdłuż schodów powieszono pięćdziesięciu jeńców z więzienia Coroneo – ciągnął zamiast niej męski głos. Obejrżeli się. Mężczyzna był młody i wytworny. Włosy sięgające do ramion, brak akcentu. – Kiedy poręcze już nie wystarczyły – mówił dalej – wieszano ich w oknach, na korytarzach, a na koniec w szafach. Pozwolili im tak dyndać przez pięć niekończących się dni, a pilnowała ich Guardia Civica. Była to przestroga dla miasta, aby nigdy więcej nie ośmieliło się podnosić głowy.

Teresa wyciągnęła dłoń.

– Komisarz Battaglia – przedstawiła się.

Mężczyzna obdarzył ją uśmiechem.

– Luka Mendler, dyrektor. Witam państwa.

Marini zdążył go już telefonicznie uprzedzić o wizycie, celowo jednak nie wyjawiał, co ich tu sprowadza. Teresa nie chciała podawać do publicznej wiadomości kolejnych szczegółów sprawy, lecz nadeszła pora, by zdradzić tajemnicę.

Mendler wysłuchał jej opowieści w skupieniu.

– Przyjechaliście tu zatem w poszukiwaniu skrzypka, który nocą grał w lesie, gdy umierała tamta dziewczyna – podsumował.

– Nie pierwszego lepszego skrzypka – sprostowała Teresa. – Wyjątkowo utalentowanego muzyka o takich zdolnościach, że był w stanie zagrać sonatę Tartiniego w sposób genialny. Powiedziano nam, że właśnie tutaj możemy trafić na jego ślad.

Przez cały czas Mendler zachowywał wprost królewski spokój. Teresa spotkała już w swoim życiu muzyków na wysokim poziomie, ale tego rodzaju ponadczasową elegancję widywała jedynie u pasjonatów muzyki klasycznej, którzy postawą przypominali baletmistrzów, umysłem zaś wyznawców religii. Fascynujące.

– Podejrzewam, że konserwatorium kształci wielu artystów zdolnych wykonać ten utwór – rzekł Marini.

Mendler się zawahał.

– Tak i nie, panie inspektorze. To zależy, co pan rozumie przez słowo „wykonać”. Sonata na skrzypce g-moll Tartiniego to utwór pełen pułapek. Dla kogoś, kto się nie zna na muzyce, są one starannie ukryte. Pozornie wydaje się wręcz „przyjazna”, ale zapewniam pana, że technicznie to jedna z najbardziej wymagających kompozycji, jakie kiedykolwiek stworzono. Podobno Tartini celowo obmyślił ją jako zasadzkę dla innych muzyków. Był to sposób na powiedzenie im: nigdy nie dorośnięcie mi nawet do pięt. Sonata *Z diabelskim trylem* jest jak zło, panie inspektorze: dobrze skrywa swoją prawdziwą naturę.

– Proszę mi wybaczyć to stwierdzenie, ale ten, kto słuchał tamtej gry na skrzypcach w lesie, był człowiekiem z branży – zauważyła Teresa. – Nauczycielem muzyki, który uzyskał dyplom w konserwatorium w Wenecji. Ocenił to wykonanie jako doskonałe i był pod ogromnym wrażeniem.

Mendler wysoko uniósł brew.

– W takim razie chciałbym tam być.

– Nie wierzy pan, że to możliwe?

– Ja bym raczej użył określenia „nieprawdopodobne”. Wieść o tego rodzaju talencie powinna do nas dotrzeć, tymczasem nic nam o tym nie wiadomo.

Teresie również przeszło to przez myśl.

– Według mnie można to wyjaśnić tym – powiedziała – że unicestwiła go wojna. Wtedy ludzi zaprzętało co innego: jak przetrwać.

– To możliwe – zgodził się z nią dyrektor. – Mimo wszystko jestem zdania, że powinien zostawić po sobie jakiś ślad. Pisemny ślad.

Teresa spojrzała na niego zaciekawiona. Jej nadzieja wywołała uśmiech na twarzy Mendlera.

– Ten pałac jest siedzibą konserwatorium od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, ale w bibliotece zachowało się historyczne archiwum, przeniesione tu z wcześniejszych siedzib. Z pewnością znajdą państwo to, czego szukają. Oczywiście, o ile ten cały drogi Lucyferowi skrzypek istniał naprawdę.

Gdy podwoje biblioteki imienia Leviego otworzyły się przed Teresą, jej zapał osłabł. Nie przepych tej placówki ani objętość zbiorów z dziedziny muzykologii i starych znalezisk, które Mendler opisywał na każdym kroku, ją uderzyły.

Historyczne archiwum nie miało granic.

– Jeszcze nie ukończono inwentaryzacji – wyjaśnił dyrektor.

Dokumentalne zasoby konserwatorium nie zostały zdygitalizowane. Co oznaczało tylko jedno: musi zadzwonić do Alberta i zebrać o posiłki, które zajmą się poszukiwaniami. Nigdy im ich nie przydzielili.

Teresa przystanęła. Gdy Marini odwrócił się i poszukał jej wzrokiem, pojęła, że podziela jej obawy.

Słońce zanurzyło się w Adriatyku, salę zaś spowił chłodny mrok.

Chwilowo tutaj nastąpił kres polowania.

20 kwietnia 1945 roku

Leśna muzyka zmieniła brzmienie. Dźwięk skrzypiec poszybował wśród buków i jodeł, wzdłuż pasma gór, aż dotarł do niej.

Anizę przeszył dreszcz, nie pod wpływem wieczornego chłodu, lecz z powodu wrażenia, że ktoś ją obserwuje.

On jej się nigdy nie podobał. Zawsze kiedy na nią patrzył, czuła się nieswojo, tak jakby była jego własnością, tak jakby Alessio nie był panem jej serca.

Melodia zdawała się niesiona przez ludzkie nogi, przemieszczała się ze wschodu na zachód niczym wiatr, chwilami niemal zupełnie cichła, po czym powracała z jeszcze większym impetem.

Krążąc po lesie, który zdążyła już dobrze poznać, Aniza wyobrażała sobie, jak skrzypek gra na swoim instrumencie. Wyobrażała sobie, jak o niej myśli. Pożądał jej w blasku zaczarowanego księżyca; świadomość ta napawała ją odrazą.

Jej dłoń powędrowała do brzucha, zamykając go w uścisku. Usta otuliły dzieciątko łagodnym szeptem, tymczasem wzrok przepatrywał linię drzew w oczekiwaniu na nadejście Alessia. Jej wygłodniałe serce jeszcze nigdy nie biło tak mocno w nadziei, że go zobaczy.

Muzyka umilkła. Cisza, jaka zapadła, była czymś niezwykłym. Jakby las wstrzymał oddech.

Kilka gałęzi się poruszyło, lecz nie za sprawą wiatru.

Aniza nie spodziewała się ujrzeć tej twarzy, wylaniającej się z zarośli. Odwróciła wzrok, przejęta, że Alessio może się wkrótce pojawić i zdradzić ich tajemnicę, lecz ciągle jeszcze nie dał znaku życia. Uśmiechnęła się więc i wyciągnęła rękę.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytała w języku przodków.

Uścisk był tak mocny, że aż zaparło jej dech. Tak silny, że aż poczuła ból.

Na ten dzień Teresa Battaglia była zmuszona złożyć broń. Nie spodobało jej się to. Nigdy nie ulegała przeciwnościom losu z własnej woli.

Massimo spostrzegł, jak ze złości zaciska usta, prostuje plecy w ostatnim odruchu buntu przeciwko oschłemu tonowi, z jakim Albert Lona odrzucił jej prośbę. Rozmowa telefoniczna trwała wyjątkowo krótko. Massimo był pewien, że komendant nawet nie pozwolił komisarz wytłumaczyć. Nie interesowały go fakty ani kierunek, w jakim zmierzało śledztwo. Najwyraźniej pragnął jej klęski. Po raz kolejny inspektor zadał sobie pytanie, jaka tragedia łączy tych dwoje, i po raz kolejny nie znalazł na nie odpowiedzi. Mimo to w jego głowie zrodziła się pewna hipoteza. Wspinając się po wiodących do mieszkania schodach, zdecydowanie ją odrzucił.

Massimowi nie było łatwo wrócić do domu, tak jakby nic się nie wydarzyło – tak jakby serce, leżące w chłodni kostnicy, nie czekało na powrót do ciała, z którego je wyjęto. Tak jakby bohaterowie czarnej bajki, którą przeszłość zaczęła snuć, nigdy nie istnieli, a przecież byli prawdziwi.

Odkąd Elena pojawiła się ponownie w jego życiu – i ponownie z niego zniknęła – powrót do pustego mieszkania zawsze był trudny. Zmęczenie nigdy nie wystarczyło, by złagodzić smutek.

Parter spowijała ciemność. Nakazał sobie w myślach, żeby nazajutrz, w świetle dnia, wymienić żarówkę, ledwie jednak ubrał to postanowienie w słowa, co innego zaprzątnęło jego uwagę, gdy pod podeszwami butów zachrząściło potłuczone szkło.

Przemknęło mu przez głowę, że ktoś roztrzaskał plafonierę, i nagle cienie stały się wrogie dla jego zmysłów.

Nie byłoby problemu, gdyby nie był jedynym najemcą piętra.

Nie byłoby problemu, gdyby ktoś dzień wcześniej nie powiesił ludzkiego serca przy wjeździe do miasteczka, gdzie prowadził śledztwo.

Cofnął się aż do schodów, muskanych przytłumionym światłem z niższego piętra. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i włączył latarkę. Pohamował pokusę wyciągnięcia z kabury pistoletu i skierował strumień światła na stożek ciemności.

Na galerii było pusto, mimo to serce Massima przyspieszyło.

Ciemna powierzchnia drzwi do jego mieszkania lśniła, jakby była płynna, i zdawała się przeciekać na boki.

Podszedł ostrożnie, szkło znów zachrzęściło mu pod stopami.

– Kurwa.

Na ziemię spływała wąskimi strumyczkami ciemnoczerwona substancja. Była pozbawiona zapachu albo może to Massimo miał uszkodzony węch. Posadzkę aż do windy pobrudziło kilka częściowych śladów.

Odruchowo wyszukał w spisie telefon Eleny. Musiał dwukrotnie próbować, zanim palce zdołały wybrać numer.

– Jak się czujesz? – zapytał rozgorączkowany, gdy tylko odebrała.

Po drugiej stronie dało się słyszeć lekkie wahanie.

– A twoim zdaniem jak mogę się czuć?

Massimo zadygotał.

– Chcę zapytać, czy nie wydarzyło się nic dziwnego, bo ja wiem, co mogło cię wystraszyć – wyjaśnił bez ogródek. – Czy ktoś ci się nie naprzykrzał?

Milczenie.

– Nikt mi się nie naprzykrzał – odparła w końcu lakonicznie Elena. – A w razie gdyby cię to obchodziło, twoje dziecko ma się dobrze.

Rozłączyła się, nie dodawszy nic więcej, Massimo jednak i tak trzymał aparat przy uchu przez kilka chwil, po czym zaklął.

Wszystko, co ostatnio robił, było nie tak. Z trudem dobierał słowa. Niektórych aż nie potrafił wypowiedzieć.

Oczywiście, że obchodziło go dziecko. Myślał o nim przy każdym oddechu.

Oczywiście, że je kochał. Właśnie dlatego nie mógł go przy sobie zatrzymać.

Po raz kolejny przeszył go dreszcz, wrażenie, że niebezpieczeństwo jest blisko.

Glukometr wyświetlił odpowiedź; niczym nowoczesna sybilla odczytywał prognozy krwi. Cieniusieńka igła pena wtłoczyła lek pod skórę.

Teresa wpatrywała się nieruchomo we własne biodra, stanowiące pole bitwy od ponad dziesięciu lat. Tysiące niewidocznych otworów zamieniły skórę w pancerz.

Rany pozostawiają pęknięcia, lecz tuż po zrośnięciu brzegi stają się bardziej zwarte, bardziej odporne. Biologia zdrowienia nieodmiennie przechodzi przez fazę zapalenia i przebudowy. Z czasem ciało Teresy zmieniło się wraz z nią: bardziej nabite i ciężkie, szersze, przy każdym kroku układało się jak kotwica na dnie. Mogło się wydawać niezgrabne, tymczasem miało najbardziej dopasowany kształt. Obrazowało jej sposób trzymania się życia, świadczyło o przetrwaniu.

Nie dotyczyło to jednak wszystkich ran. Tkanka serca – jej serca – ciągle była postrzępiona. Komórki duszy nie wytworzyły połączeń włókien nad przepaścią.

Czuła się inna, ale nie wyleczona. Następowwała wszakże pewna zmiana. Przez wylom wpadało świeże powietrze, ona zaś miała wrażenie, że mimo wszystko się odradza.

Zmiana ta nosiła imię, które rzadko wypowiadała: wołała mówić o nim Marini, tak jak nauczycielka zwraca się do ucznia.

Podzielenie się z nim własną przeszłością nie było łatwą decyzją, chociaż częściowo przyniosło wyzwolenie: to tak, jakby spoglądała na samą siebie, wzbudzając w sobie współczucie. Być może przebaczenie nigdy nie nastąpi, za to wina wydawała się łatwiejsza do zniesienia.

Odkąd pojawił się Marini, Teresa odkryła, że oddycha z nadzieją. Nie było to idiotyczne złudzenie, że wyzdrowieje, tylko jakieś pierwotne napięcie wywołane przez naturę, która dba o przetrwanie nie tyle jednego, ile wielu gatunków. Tak właśnie się z nią działo: nareszcie czuła, że zespół jest w komplecie i że gdy ona odejdzie, on zdoła dokonać wielkich rzeczy. Marini i Blanca stanowili ostatnie cenne tryby tej wyjątkowej maszyny.

Dziadek nauczył ją, że drzewo, które wie, że zbliża się jego kres, ostatniego lata w życiu rodzi więcej owoców, w finalnym wysiłku przedłużenia gatunku; ona też była gotowa dać z siebie wszystko dla swoich chłopaków, zanim zniknie, każdy fragment wiedzy, zgromadzonej z mozołem i pasją w ciągu długiej kariery.

Teresa przystąpiła do wieczornego samotnego rytuału: wybrała muzykę, przyćmiła światła. Gdy wróciła przed godziną, dom wyglądał tak, jakby nie należał do niej; dopadło ją niewytłumaczalne zagubienie, jakby stałe współrzędne jej życia nagle uległy zmianie i zaburzyły równowagę. To jednak minęło, ona zaś przywitała z wdzięcznością powrót do normalności.

Nalała sobie kieliszek wina. Miało rubinowy kolor i zapach morwy, Teresie nie udało się jednak dotąd trafić na takie, którego aromat zdołałby dorównać aromатовi wina wytwarzanego przez dziadka w piwnicy jego gospodarstwa. A może to tylko słodycz wspomnień sprawiała, że wydawało się jej niedoścignione.

Zakręciła kieliszkiem, wdychając bukiet. Sączyła trunek wsparta o kuchenny blat, zastanawiając się, co ugotować.

Każdy przyrząd na blacie czy w szafkach opatrzony został etykietką, na której widniała jego nazwa. Podobnie jak każdy składnik. Na lodówce wisiała kartka z listą czynności, które należy wykonać przed pójściem spać. Na czele spisu figurowało sprawdzenie, czy wyłączyła gaz.

Była to mapa dla umysłu Teresy: wędrówka z przewodnikiem, która miała jej pomóc się nie zgubić albo zgubić się możliwie najpóźniej.

– Nie pozostaje mi nic innego, jak wytrzymać – mruknęła, chociaż tego wieczoru nie było w niej ani śladu użalania się nad sobą. Samą siebie odstawiała na bocznicę, gdy martwy człowiek czekał na sprawiedliwość, teraz zaś miała dwójkę, o którą musiała się zatroszczyć. Poszukiwania jak na razie nie przyniosły rezultatu, a oczekiwanie było irytujące.

Jej wzrok spoczął na poplamionym stole. Biały lakier lśnił, nie żłobiło go ani jedno zadrapanie. Teresa tak rzadko siadywała przy nim do posiłku, że już nawet nie pamiętała, kiedy zrobiła to po raz ostatni. Zwykle decydowała się na stolik kawowy w salonie, przed kanapą. Właśnie dlatego z miejsca dostrzegła osobliwy szczegół.

Czarny szorstki włos.

Wyciągnięty na całą długość dokładnie na środku gładkiej powierzchni. Skręcał się nieznacznie, nerwowo i nieregularnie.

Długi na mniej więcej trzydzieści centymetrów, emanował jakąś wrogością, ponieważ nie powinno go tu być: nie należał do pani domu, Teresy nie odwiedził też żaden gość, któremu można by go przypisać – chyba że o tym zapomniała – przede wszystkim jednak najwyraźniej ktoś umieścił go tu celowo.

Teresa go nie dotknęła.

Ponownie doznała tego samego wrażenia, które towarzyszyło jej po przekroczeniu progu domu: wokół unosiło się jakieś inne powietrze, inaczej pachniało. To nie była wyłącznie woń jej przedmiotów, otaczających ją roślin, papieru zawartego w książkach, spowijających ją tkanin. Utrzymywał się tu dziwny, niemal ziemisty odór. Podświadomie go wyczuła. Dezorientacja, jaka ją ogarnęła, wynikała z przeświadczenia, że rzeczy nie są takie, jak je zostawiła.

Kiedy Teresy nie było, ktoś wtargnął na jej terytorium. Być może wcale nie jest sama.

Pomyślała z niepokojem o służbowym pistolecie. Zamknęła go na klucz w szufladzie biurka czy znajduje się w kaburze na wieszaku, dostępny dla każdego?

Nie pamiętała.

Odstawiła kieliszek. Stukot szkła o blat był jedynym dźwiękiem w całym domu. Uzmysłowiła to sobie dopiero w tej chwili: muzyka ucichła.

Udała się do salonu; jej ruchy stały się sztywne z powodu strachu. Mogłaby sądzić, że przyczyną tak ostrej paranoi jest jej choroba, tyle że aparatura stereo była włączona – CD ustawiono na pauzę, a czerwona lampka ledowa migotała, co w oczach Teresy oznaczało sygnalizację zagrożenia.

Jej nadzieja, że to alzheimer objawia się w bardziej agresywny sposób i że to ona sama jest tym intruzem, który zostawia ślady wszędzie tam, gdzie czuje się najbezpieczniej, nigdy nie była tak silna jak w tej chwili.

Kabura wisząca obok drzwi była pusta.

Teresa przeszła wzrokiem mrok w sąsiednim pokoju – w swoim gabinecie. Tam stało biurko, na nim torba z komórką, i być może leżał pistolet.

Musi tam być, powiedziała sobie w duchu, ale tak trudno jest zapamiętać automatyczne czynności, które powtarzała codziennie od dziesiątków lat. Czy na

pewno przed godziną włożyła go bezpiecznie do szuflady? A może to było dzień wcześniej albo dwa?

Przebiegła w myślach listę działań potrzebnych do uruchomienia włącznika światła. Wystarczyło wyciągnąć rękę nieco ponad czarny próg, w prawo, a bez trudu wyczuje go pod palcami, lecz równocześnie w ciągu tych paru sekund opuści gardę i ktoś mógłby ją chwycić i zawlec w mrok. Albo zaskoczyć od tyłu. I skrzywdzić.

Wyciągnęła rękę, gest jednak zawisł w powietrzu niedokończony.

Odwróciła się.

Teraz miała pewność, że nie jest sama. Wyczuła go, nie w ciemnościach pokoju, ale w jakimś kącie domu.

– Nie boję się! – wrzasnęła, po czym ktoś jej odpowiedział.

Był to ledwie szelest, za to rozbrzmiał wyraźnie w absolutnej ciszy, tak jak cień odcina się na skąpanej w słońcu ścianie.

– Pokaż no się – rzuciła mu wyzwanie Teresa. Powoli zamknęła za sobą drzwi do gabinetu, przekręciła klucz i schowała go do kieszeni.

Z przedpokoju znów dobiegła odpowiedź intruza: głucho, stłumione plaśnięcie, niczym cios zadany miękką materią.

Nie pokazywał się, ale też nie uciekał. Trwał przy niej. Chciał tej styczności, zjawiał się tu właśnie po to.

Teresa odważyła się zrobić kilka kroków i wreszcie go zobaczyła. Była to jedynie ciemniejsza barwa na podłodze, brak światła na parkiecie. Wyobraziła go sobie w łazience dla gości, znieruchomiałego, porażonego blaskiem ulicznych latarni wpadającym przez okno. Była to masa, która pochłaniała promienie światła. Nie do rozszyfrowania.

Nie boję się, powtórzyła Teresa, tym razem wszakże sama do siebie.

– Pokaż się – zachęciła.

Chciała się upewnić, czy nie pomyliła się w swoich przecuciach, toteż pozwoliła mu uczynić następny krok. Coś jej mówiło, że nie zamierza jej wyrządzić krzywdy, inaczej już by to zrobił.

Cień się poruszył i w tym samym momencie rozległ się natarczywy dźwięk dzwonka. Teresa aż podskoczyła, podobnie jak intruz. Uciekając, postrzącał

rozmaite przedmioty, które pospadały na podłogę.

Teresa weszła do pustego pokoju i zastała szeroko otwarte okno. Gdy przez nie wyjrzała, spostrzegła pędzącego ku niej Mariniego.

– Widziałem go! – wrzasnął. – Nic pani nie jest? – Po czym zniknął na tyłach domu.

Teresa przeklinała własne ciało, które uniemożliwiało jej przeskoczenie przez parapet i bycie w pełni tym, kim najbardziej pragnęła być: policjantką.

Runęła do drzwi wejściowych. Wypadła do ogrodu i pognąła w stronę porośniętego bluszczem murowanego parkanu. Prowadził na ulicę. Wokół panował bezruch, tylko na końcu drogi ujadał pies. Ani śladu intruza czy Mariniego. Ogarnął ją niepokój o młodego inspektora, deptającego po piętach prawdopodobnemu mordercy. W pojedynkę.

Przecież nie wiesz, czy to rzeczywiście morderca.

Sama siebie okłamywała. Wiedziała, że to on. Czowała to.

Wtem ktoś zeskoczył z murku i o mało na nią nie wpadł. Teresa zdusiła krzyk. To był Marini.

– Zgubiłem go – powiedział, poprawiając marynarkę, wokół niego zaś ciągle jeszcze sywał się deszcz liści. Dyszał i miał wściekłą minę. – Ledwie zdążyłem przeskoczyć przez płot, kiedy z piskiem opon odjechał jakiś samochód. Nie widziałem go, zniknął za zakrętem.

Teresa wpatrywała się przez chwilę w ciemność. Ta nocna wizyta musi coś oznaczać, chociaż nadal pozostawało to dla niej tajemnicą. Otrząsnęła się.

– Dlaczego przyszedłeś? – zapytała.

– Mnie też ktoś złożył wizytę.

– Jeżeli to był morderca – odparła Teresa – ocenił własne ego i nas. Chodź, muszę ci coś pokazać.

Marini podążył za nią do domu, a kiedy wskazała mu leżący na stole włos, zmarszczył brwi.

– To inscenizacja, jestem pewna – oznajmiła, zanim zdążył zaprotestować. – Zmienił dekoracje, żeby zostawić wiadomość, której jeszcze nie odczytałam. Wiem, że moja hipoteza może się wydawać śmiała, i nie mam w ręku żadnych dowodów, ale zapewniam cię, że ten włos nie pojawił się tu przez przypadek.

Zmierzył ją od stóp do głów.

– Nie musi mnie pani przekonywać – rzekł. – Ja to wiem. Dzwonię na komendę.

Teresa kiwnęła głową. Musiała zanotować każdy szczegół. W śledztwie nastąpił przełom: morderca chciał się z nimi porozumieć, co oznaczało, że ma do opowiedzenia jakąś historię, która prawdopodobnie odcisnęła na nim piętno.

Gwałtowny zwrot, jaki się właśnie dokonał, nabrał jasności kilka minut później: po dzienniku Teresy nie było nawet śladu. W torebce znalazła ostatnią zapisaną przez siebie kartkę, zwyczajną notatkę, w której próbowała naszkicować profil zabójcy.

Najwyraźniej zostawiono ją tu po to, żeby z niej zakpić: nic a nic nie pojmujesz, mówiła, a przecież to takie proste.

Teresa ścisnęła ją w dłoni. Dotarło do niej, co znaczyło stłumione plaśnięcie, które usłyszała – zatraskujący się dziennik.

– Zabrał mój dziennik – oświadczyła.

Marini przerwał w pół zdania i zasłonił ręką mikrofon telefonu.

– Co pani powiedziała?

– Zabrał mój dziennik.

Twarz inspektora stężała. Po kilku słowach przerwał połączenie.

– Odnajdziemy go, może pani być spokojna.

Komisarz w to nie wątpiła, chociaż zastanawiała się, czy wtedy nie będzie już za późno. Za późno na ocalenie jej wspomnień i tajemnicy tego, co się z nią działo. Teraz miała jeszcze jeden powód, by ruszyć w pościg za mordercą, on jednak dysponował potężną bronią, by psychologicznie Teresę od siebie uzależnić. Ten, kto zabrał dziennik, nie zrobił tego przypadkowo. Wiedział, że jest dla niej istotny. To znaczyło tylko jedno: gdy ona czuła się bezpieczna, ktoś ją obserwował.

Marini wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Centrala przyśle ekipę do pobrania śladów – oznajmił – ale w tym czasie my nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Musimy wrócić do konserwatorium i szukać, a do tego potrzebne nam posiłki. Parisi i De Carli zaraz tu będą.

Teresa zmarszczyła brwi. Obaj detektywi dopiero co skończyli zmianę, podobnie jak ona i Marini. Inspektor domyślił się jej obiekcji.

– Proszę nie próbować odsyłać ich do domu, bo nie posłuchają. I nie, nie interweniowałem u komendanta. – Uśmiechnął się uspokajająco. – Przyjadą dla pani. Ja jestem tu dla pani.

Noc kończyła się jasnym świtem. Mleczne marmury „nadmorskiego Wiednia” połyskiwały niczym macica perłowa pod mieniącym się niebem. Para pierwszych mew przelatywała z piskiem tuż nad nieruchomą powierzchnią wody. Na horyzoncie, na tle rozmytych tankowców na pełnym morzu, przypominających miraż w kobaltowym bezkresie, kołysał się żaglowiec.

W bibliotece konserwatorium już paliło się światło, w dziale archiwum historycznego panował zaś ożywiony ruch. Szelest przewracanych kartek był jak rytmiczny oddech, który unosił się znad starych tomów. Zapach papieru, szlachetnego drewna, pokrywającego ściany jedwabiu mieszał się z bardziej prozaicznym aromatem kawy, nalewanej z automatów w korytarzach.

Luka Mendler zwołał swych najbardziej gorliwych studentów na zupełnie wyjątkowe polowanie na skarby: kto spośród dawnych uczniów posiadał płomienny talent Giuseppe Tartiniego? Które spośród setek nazwisk należało do tego jedyne, który potrafił zagrać z niezrównanym mistrzostwem sonatę *Z diabelskim trylem*?

Odpowiedź kryła się wśród tysięcy stronic.

Marini, De Carli i Parisi pochyłali się nad segregatorami niczym studenci. Teresa zerkała na nich co jakiś czas, czując, że ma wobec nich dług. Wiedziała, że przyjechali tu dla niej, a nie dlatego, że tak kazał im Marini: czytała to w ich oczach, wnioskowała z wywołanej złością twardości rysów. Chronili ją.

Niedawno z centrali nadeszło potwierdzenie, którego się obawiała – w jej domu nie znaleziono żadnych śladów. Intruz zachował ostrożność. Nawet podczas ucieczki ani razu nie postawił stopy poza kostką brukową. Nie natknęli się na żaden częściowy odcisk.

Nie licząc włosa. Parri właśnie go badał, na wyniki trzeba będzie jednak poczekać, Teresa zaś zdawała sobie sprawę, że nie ma zbyt wiele czasu.

Wymazał drzwi mieszkania Mariniego krwistoczerwoną farbą, pomyślała.

Ten niepasujący do reszty szczegół zbijął ją z tropu.

Nie wrywasz serca z ciała człowieka, a potem nie używasz farby, żeby nastraszyć kogoś, kto depta ci po piętach.

Wyglądało to na czyny popełnione przez odmienne osobowości: pierwszą gwałtowną i drugą udającą okrutną. Tylko jakie jest prawdopodobieństwo, że tych wydarzeń wizyty obcego w jej domu nic nie łączy?

– Chyba go znalazłam! – krzyknął z zapalem czyjś głos, niosąc się po całej sali.

Dziewczyna wymachiwała ręką w kierunku Mendlera. Teresa podeszła do dyrektora i wspólnie przeczytali wskazany przez nią tekst.

Na stronie widniała data: 29 lipca 1943 roku, i wzmianka o pewnym wydarzeniu. O koncercie dla władz faszystowskich. W ten sposób burmistrz uczcił urodziny duce, który kończył sześćdziesiąt lat. Jeden ze studentów konserwatorium wykonał solo sonatę na skrzypce g-moll Tartiniego.

Odczytując nazwisko, Teresa poczuła przebiegający jej po karku dreszcz: Carlo Alberto Morandini, rocznik 1928. W chwili zaginięcia Anizy miał siedemnaście lat.

Później ktoś przekreślił jego nazwisko, dokonując *damnatio memoriae*, choć nie do końca je wymazał. Dopisek na marginesie stanowił wyjaśnienie powodu „potępienia pamięci”: otóż we wrześniu 1943 roku Carlo Alberto Morandini przyłączył się do partyzantów.

Carlo Alberto Morandini, pseudonim wojenny Cham. Cham jak syn, którego Noe przeklął wraz z potomstwem. Mężczyzna nie żył od piętnastu lat.

Teresa wzięła go pod uwagę, lecz teraz musiała przyznać, że czuje się jak po sygnale oznaczającym przedwczesny koniec wyścigu. Mogła liczyć wyłącznie na wspomnienia kogoś, kto znał Morandiniego lepiej niż inni.

Skulona kobieta w sfilcowanym golfie natychmiast jednak rozwiąła jej nadzieje.

– Nie znałam tego człowieka – mruknęła z roztargnieniem, zwijając i rozwijając rękaw. – To był nieznajomy, który odwiedzał nasz dom i tylko czasem raczył na mnie spojrzeć. A to nie zdarzało się często.

Teresie zrobiło się jej żal.

– Mimo wszystko był pani ojcem – zauważyła.

Maddalena przeszła ją wzrokiem. Był to drobny odruch złości, nie na Teresę, tylko na nieobecnego rodziciela. Głód jego miłości nadal stanowił ciężkie do dźwigania brzemie.

– Lepiej umiałabym opisać jego plecy niż twarz. Ledwie pamiętam jego głos – ciągnęła. – Nawet na łożu śmierci nie dbał o to, żeby mieć mnie przy sobie. Był przy nim mój syn, jego wnuk, chyba jedyna osoba, na której mu zależało. – Zapaliła papierosa. Jej dłonie drżały. – Zabierał mi go na całe dni.

– Dokąd?

– Jego obsesją były góry, pielęgnował tę pasję aż do końca. Często wyruszali razem na wycieczki.

– Chciałabym porozmawiać z pani synem.

Kobieta wybuchnęła gorzkim śmiechem.

– Ja też bym chciała. Od dwóch lat nie daje znaku życia. Ostatnim razem, kiedy dzwoniłam, nagrany przez operatora komunikat obwieścił, że numer już jest nieaktywny. Mój syn zapomniał mnie o tym powiadomić.

– Przykro mi.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Alessandro mnie nie nienawidzi. Między nami nie ma problemów. Po prostu jest... taki jak jego dziadek. Inni to tylko tło w jego życiu. Chwilowe tło.

Teresa spojrzała na Mariniego. Inspektor miał ściągnięte rysy, jego myśli zaś nietrudno było odgadnąć: zastanawiał się, czy jego nieobecność też zniszczy dziecko, od którego tak rozpaczliwie starał się uciec.

– Czy ojciec kiedykolwiek mówił o wojnie z matką albo z panią? – zapytała kobietę.

Maddalena zgasiła niedopałek w popielniczce i zapaliła kolejnego papierosa.

– Tylko po to, żeby nam dowieść, jak mało jesteśmy warte. Nie jesteśmy w stanie zrozumieć, powtarzał. Nie wywalczyłyśmy sobie wolności tak jak on.

– Co się stało z jego skrzypcami?

– Nie mam pojęcia. Nie było ich wśród jego rzeczy.

Teresa zapytała, czy kobieta mogłaby jej pokazać zdjęcie ojca. Maddalena podniosła głowę i wydmuchnęła dym, co zapewne chętnie uczyniłaby z żalem, który nadal ją dręczył.

– Wyrzuciłam z tego domu wszelkie pamiątki po nim – odparła. – Przez wiele lat leżały zamknięte w kartonie na strychu, razem z moim rozgoryczeniem, dopóki nie znalazłam w sobie siły, żeby się ich pozbyć. Jedyłą fotografię, jakiej nie zniszczyłam, znajdziecie na cmentarzu.

Teresa udała się na cmentarz. Ujrzała grób zaatakowany przez chwasty. Ujrzała smętny, pozbawiony kwiatów wazon, z którego wydobywał się stęchły odór, symbol pustego naczynia, w które zamienił własną córkę. Naczynia, którego nigdy nie wypełniała miłość.

I wreszcie ujrzała Chama.

Znała go.

Mężczyzna, którego szukała Teresa, znajdował się w drewnitni i z młodzieńczą energią układał polana. Francesco się nie obejrzał, jakimś jednak sposobem rozpoznał, kto stoi za jego plecami.

– W lesie jest pełno waszych – powiedział, ocierając chustką pot z karku. – Szukają od świtu do nocy, ale jeszcze nie znaleźli Emmanuela.

Teresa przyglądała się jego dłoniom, które dźwigały kłoc drewna bez widocznego wysiłku i przerzucały je na stos. Z tonu jego głosu nie zdołała wywnioskować, czy obecność policji w dolinie go drażni. Nie wydawał się zaskoczony chwilowym impasem, w którym znalazło się śledztwo. Oznaczał on po prostu, że las, wraz ze swymi rozpadlinami, błotnistymi płaskowzgórzami i stertami kamieni, które mogą się zniecka zapaść i zrzucić człowieka sto metrów w dół, robi, co do niego należy: strzeże tego, co się w nim kryje. Była to pułapka, która zapewniała przetrwanie jego mieszkańcom.

– Okłamał mnie pan – stwierdziła Teresa, przysiadając na ławce wyżłobionej w świerkowym kłocu.

Francesco wreszcie się odwrócił, z jedną dłonią wspartą na biodrze, w drugiej ściskając chustkę. Powiódł wzrokiem od Teresy do Mariniego, ani na chwilę nie spuszczał oczu. On także usiadł na pniu, wyciągnąwszy z niego siekierę.

– To niegrzecznie przychodzić do czyjegoś domu i nazywać gospodarza kłamcą – odparował bez urazy.

– Ja nie składam kurtuazyjnych wizyt w czasie pracy – odrzekła Teresa równie spokojnym tonem – a poza tym tylko stwierdzam fakt. Mylę się?

Francesco nie odpowiedział.

Teresa pokazała mu wydruk komputerowy zdjęcia: przedstawiało mężczyznę w średnim wieku, z jeszcze gęstymi i kręconymi włosami, jak w młodości. Był to portret Chama, sfotografowany na jego grobie.

– Nie bardzo się zmienił, prawda? – stwierdziła.

Twarz Francesca stężała. Był wstrząśnięty, jakby ujrzał przed sobą nieboszczyka gotowego zawlec go do piekła.

– Nazywał się Carlo Alberto Morandini – ciągnęła Teresa. – Prawdopodobnie nie może pan tego wiedzieć, za to na pewno pan wie, że był partyzantem, a przez ostatnie dni wojny stacjonował w tych górach. To on dał panu karabin, a pan wystrzelił i trafił w wóz, na którym jechał Niemiec.

Francesco nie sięgnął po podsunętą mu przez Teresę kartkę.

– Jak pani do tego doszła? – zapytał z westchnieniem.

– Rozpoznałam go. Alessio Andrian namalował to na obrazie. Odtworzył całą scenę. Obserwował was. To Cham dał panu karabin, prawda?

Francesco skinął głową, z łokciami wspartymi na kolanach i dłońmi dotykającymi warg. Teresa i Marini wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Dlaczego pan skłamał na temat niemieckich ataków? Po co było zatajać rozstrzelanie Rezjanina? – zdziwiła się.

Francesco schylił głowę.

– Ze wstydu. Głębokiego wstydu – wyznał – którego nie sposób się pozbyć nawet po siedemdziesięciu latach. Egzekucja była odwetem za to, że strzeliłem do Niemca, tylko że nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Ani ja, ani moja siostra Ewa nikomu nie opowiedzieliśmy o tym, co się naprawdę wydarzyło. Niewinny chłopak zginął zaś, nie pojmując dlaczego. Zabito go na naszych oczach, a my nie pisnęliśmy ani słowa.

– Zawarliście pakt – podsunęła Teresa.

Francesco zapatrzył się w dal, być może w przeszłość.

– Tak – szepnął. – Przeklęty pakt.

Marzec 1945 roku

Przyjazd Niemców został zapowiedziany przez ryk silników pchających ciężarówki pod górę, po ostrych zakrętach. Spaliny unosiły się od wąwozu aż do pierwszego miasteczka, zwiastując przełom mający na zawsze odmienić ów mały świat, który aż do tej pory wymykał się wojnie.

Francesco dostrzegł ich na ostatnim łuku, chociaż nie pojmował jeszcze, po co przyjechali. Różnili się od tamtego żołnierza, który co czwartek pojawiał się na wozie w drodze po świeży chleb. Byli wściekli.

Siostra Ewa chwyciła go za ramię i popchnęła w kierunku domu. Nie zdążyli schować się za drzwiami. Ciężarówki okrążyły gospodarstwo. Żołnierze kolejno opuścili okryte plandekami pojazdy, czujni niczym wygłodniałe wilki, kolor ich mundurów był zaś tak samo szary jak wilcza sierść. Grozili im bronią, patrzyli na nich nie jak na istoty ludzkie.

Francescowi przemknęło przez myśl, że wojna jest naprawdę dziwna. Wystarczy niewidzialna linia, nakreślona na ziemi nie wiadomo przez kogo, by narzucić nienawiść albo braterstwo. Sam fakt, że człowiek urodził się po tej albo po tamtej stronie, czyni z niego przyjaciela lub wroga.

Dotarło do niego, że żołnierze są tu z powodu wystrzału z karabinu, który wtedy trzymał w rękach. Teraz na niego nakrzyczą, a ojciec wpadnie w złość.

Zerknął na Ewę i poczuł, że dygocze, lecz siostra mocniej ścisnęła jego dłoń i położyła mu palec na ustach.

Franchincec, przysięgałeś, mówiła. Przyrzekli sobie, że będą milczeć. Tajemnicę tego, co się wydarzyło, zabiorą ze sobą do grobu.

Żołnierze wpadali do domów, wywlekali na zewnątrz zdyszanych mężczyzn, kobiety, dzieci i starców. Mierzyli im w pierś.

Ich dowódca – w oczach Francesca olśniewający w tym swoim mundurze, który zdawał się uszyty z ciemności i dumy – wyszczeniwał rozkazy w twarz burmistrza Gilberta Turana. Gilbert znał trochę ten ostry i kanciasty język, odpowiedział więc mieszaniną strachu, obcych słów i włoskich zaklęć.

Nikt nie ukrywa broni, zapewnił. Nikt nie strzelał do żadnego z Niemców.

Francesco spuścił wzrok. Po policzkach popłynęły mu pierwsze gorące łzy. Wpatrywał się w swoje palce, splecione z palcami Ewy, symbol paktu, którego nie wolno było zerwać, nawet teraz.

Obce wilki otoczyły owce i wybrały jedną z nich na ofiarę. Gwén skończył zaledwie piętnaście lat, za parę dni miał zabrać na halę nieliczne krowy, które jeszcze zostały w miasteczku. Miał wrócić dopiero pod koniec lata. W życiu nie wziął do ręki karabinu.

Francesco podniósł głowę i dostrzegł w tłumie Anizę. Spoglądała w las pełna rozpaczliwego wyczekiwania, tak jakby w każdej chwili ktoś mógł nadejść i ich ocalić.

Dzieci z doliny nie znały wojny, aż do teraz.

Francesco uświadomił sobie, że wojna ma konkretny zapach – zapach krwi, metalu broni, ciosów, które zadają rany. Osobliwy zapach najeźdźców, skórzanych butów, które maszerując, deptają kwiaty.

Miała dźwięk serii z karabinu maszynowego, słów wyszczeniwanych w nieznanym języku, pustych łusek spadających z brzękiem na kamienie. Histerycznego płaczu matki, cichego szlochu ojca. Ciało osuwającego się na ziemię wśród zmiażdżonych koron krokusów. Ostatnich drgawek chłopca w ramionach kobiety, której brak tchu, by krzyczeć. Nawet odgłosu łzy spadającej na ziemię z poplamionego na czerwono policzka Gwéna: Francesco wyraźnie ją słyszał, a może był to tylko odgłos oderwanej od jego duszy niewinności, która popłynęła na ziemię, by wymieszać się z krwią.

Od strony lasu rozległy się pierwsze wystrzały, które przeraziły wilki. Partyzanci zeszli pomiędzy drzew, plując pociskami. Wśród domów rozpętało się piekło.

Francesco poczuł, jak ktoś podnosi go wśród wrzasków. To Aniza wzięła go na rękę, gdy tymczasem Ewa czepiała się jej spódnicy. Był z nią jakiś mężczyzna, którego Francesco nigdy wcześniej nie widział ani nigdy więcej już nie zobaczył. Miał na szyi czerwoną chustkę i powalane na kolorowo palce zaciśnięte wokół

karabinu. Oślaniał ich i popychał jak najdalej, w spokojne miejsce. Nie przestał strzelać ani na chwilę, dopóki nie byli bezpieczni.

We młynie, kiedy Aniza przez szparę w belkach obserwowała miasteczko, w którym znów zapanowała cisza, Francesco spoglądał przez łązy na Ewę, czując na języku słony smak smarków. Widział, jak zaciska usta i dyskretnie chowa pod spódnicą skradziony Niemcowi skarb.

Teraz jednak skarb ten wydawał mu się zbrukany. Nosił ślady krwi i ludzkiego życia.

Massimo wsłuchiwał się w słowa Francesca z sercem w gardle. Czuł pulsującą gulę, która utkwiała w miejscu i przebijała ciało.

Francesco wyglądał tak, jakby bolesna przeszłość przewijała mu się przed oczami.

– Teraz wydaje mi się, że sobie przypominam – wyszeptał. – Tamtego dnia jakiś partyzant pomógł nam się wydostać z krzyżowego ognia. Przyszedł prosto do Anizy, do nas. Andrian. To musiał być on.

Schował twarz w dłoniach.

– Nigdy sobie nie wybaczę, że milczałem. Wspomnienie Gwéna będzie mnie prześladowało przez całe życie – rzekł ze złością. Po czym spojrzął na swoje ręce. – Ciągle czuję jego krew, ale przysięgam, że ten karabin nie powinien być nabity. To była jedynie zabawa, trzymałem Niemca na muszce tylko dla żartu. Oboje z Ewą spędzaliśmy mnóstwo czasu na łąkach poza miasteczkiem i już wcześniej spotkaliśmy tego partyzanta. Kilka razy, kiedy po wypiciu grappy miał dobry humor, pozwolił nam się pobawić swoim karabinem, ale zawsze wyjmował naboje. Nie był lekkomyślny.

– Z wyjątkiem tamtego dnia – skwitowała Battaglia.

Francesco popatrzył kolejno na każde z nich.

– Nigdy nie udało mi się sobie przypomnieć, czy widziałem, jak to robi, czy nie – oznajmił. – Tamtego dnia karabin wystrzelił i drasnął Niemca. Zakatrupili Gwéna z powodu skaleczenia, z powodu wybryku.

Massimo dostrzegł przytłaczające poczucie winy, z którym zmagał się ten człowiek. Odnosił silne wrażenie, że w tej historii kryje się coś jeszcze, schowane tak głęboko, że jest zaledwie ciemnym zarysem, którego nie potrafi dojrzeć.

– Ten partyzant kazał się nazywać Chamem – powiedziała Battaglia. – Wiedział pan o tym?

– Nie. Nie byliśmy blisko. Nie łączyła nas przyjaźń. Dla niego byliśmy... dywersantami.

– Wiedział pan, że znakomicie grał na skrzypcach i wystąpił z sonatą *Z diabelskim trylem* przed burmistrzem Triestu?

Ośłupiały wzrok Francesca mówił sam za siebie.

– W takim razie to on był w lesie tamtej nocy – mruknął.

– Przeanalizujemy jego związek z zaginięciem Anizy – zaproponowała komisarz. – Że był w zaroślach, to pewne: obóz partyzantów znajdował się niedaleko. Że tamtej nocy to właśnie on grał, wydaje mi się bardziej niż prawdopodobne. Czy zabił Anizę i ukrył jej ciało, to należy jeszcze wyjaśnić. Przypuszczalny motyw? Żądza, popęd seksualny. Może na nią napadł, ona stawiała opór, a wtedy chłopak stracił panowanie nad sobą.

Francesco zamknął oczy.

– Jeśli to on skrzywdził Anizę, to znaczy, że swoim milczeniem zabiłem dwa razy.

Spoczywające na kolanach dłonie drżały, Massimo zaś czuł, jak to drżenie przenika mu do brzucha, zarażając go bólem.

On wiedział bowiem, jak czuje się Francesco. Wiedział to.

Poszukał wzrokiem ratunku gdzie indziej, zapominając o komisarz i starcu, który błędził w przeszłości. Musiał zatracić się w zapachach lasu, łudząc się, że nic więcej się nie liczy, że człowiek wraz ze swymi bólczkami to jedynie maleńki i nic nieznaczący szkic na tym żywym obrazie wielkim niczym świat. Musi zmienić kąt widzenia, bo inaczej zwariuje. Czuł, że dotarł do punktu, z którego nie ma odwrotu: z Eleną, ze swoim życiem. Nadeszła chwila, w której człowiek uświadamia sobie, że nic już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Bez względu na to, co zrobi, nigdy nie zdoła załatać dziury. To, co uczynił Massimo, było jak śmierć: nieodwracalne.

Oto dlaczego odsuwał od siebie Elenę. Trzymał ją z dala od swoich groźnych rąk. Tymczasem teraz istniał łańcuch, który ich łączył, a który składał się z jego własnego DNA. Dziecko uwięziło ich swoją pępowiną. Na tę myśl Massima ogarnął rozpaczliwy lęk, im bardziej zaś ów lęk narastał i nabierał kształtu, tym bardziej on czuł się niegodziwcem.

Na moment zamknął oczy. Wypuścił z siebie zatruwający go niepokój. Cofnął się o krok, potem o jeszcze jeden. I kolejny. Aż cofanie przeistoczyło się w ucieczkę.

Teresa oniemiała. Gdy się odwróciła, Mariniego już nie było. Widziała, jak ogląda się za nią po raz ostatni, po czym wsiada do samochodu, zapala silnik i czmycha, jakby od ucieczki zależało jego przeżycie.

Wpatrywała się weń nadal, nawet wtedy, gdy był daleko i znikał za zakrętem. Utkwiła wzrok w jego wyrytej w pamięci twarzy. Wiedziała już, że nie ma czasu do stracenia. Musi się dowiedzieć, co go gnębi, spróbować go ocalić, nieważne w jaki sposób. Odpowiedź nie znajdowała się w aktach, które poprzedziły jego pojawienie się w zespole. Przynajmniej nie do końca. Informacje w nich zawarte nie zaskoczyły jej, spodziewała się wzorowego życiorysu, wysokich ocen i nienagannego zachowania: był to lśniący puchar urodzonego zwycięzcy. Sukces Massima Mariniego stanowił rezultat rozpaczliwie upragnionego osobistego odkupienia. Akt wybawienia, z pewnością, tyle że jeszcze niedokonany.

Iskra ta zgasła jednak kilka linijek później. Teresa nie była przygotowana na ciąg dalszy: suchy, pełen prawniczych terminów opis tragicznego wydarzenia, które prawdopodobnie zaważyło na każdej najdrobniejszej chwili życia Mariniego.

Chociaż odniosła wrażenie, że czegoś tu brakuje. Było coś niedopowiedzianego: udręka, nie tylko ból. Poczucie winy.

Poszukała w spisie numerów i burcząc pod nosem, wybrała jeden z nich. Nie miała w zwyczaju domagać się przysług, dobijać do czyichś drzwi i mówić: „Przychodzę po spłatę długu”.

Lecz dla Massima to zrobiła.

– Prosisz o wiele – powiedział głos po drugiej stronie, gdy wyluszczyła swoje żądanie.

– Nie da się zrobić? – zapytała Teresa, mając na myśli zupełnie co innego.

W telefonie rozległo się westchnienie.

– Nie da się i nie powinienem. Ale zrobię to.

Zakończywszy rozmowę, z trudem ruszyła w stronę miasteczka, gdzie ekipy policyjne nadal przeczesywały las w poszukiwaniu pozbawionych serca zwłok, których nie potrafiły odnaleźć. Powędrowała myślami ku Blance, ku Smoky'emu i zdecydowała, że pora, aby i oni weszli do gry.

Musiała zadzwonić na komendę i wyjaśnić osłupiałemu De Carlemu, że ktoś powinien po nią natychmiast przyjechać, bo Marini postanowił zwiać. Wiedziała, była pewna, że detektyw nie powtórzy tego nikomu z wyjątkiem Parisiego. Stanowili krąg: krąg zaufania, honoru, wartości, które da się wytłumaczyć wyłącznie pojęciem „przynależności”. Byli zupełnie jak starożytni wojownicy, pomyślała z uśmiechem. I to właśnie ona musi poprowadzić tych młodych, silnych i krewkich wojowników. Chwilami udręczonych, jak Marini. Właśnie ona, chociaż nie potrafi zrobić paru szybkich kroków bez zadyszki.

Najostrzejszą bronią, jaką dysponowała, był jej umysł, nie ciało, nie tężyzna fizyczna, ale teraz, kiedy rozpoczęło się spadanie w przepaść, Teresa czuła się bardziej nie na miejscu niż kiedykolwiek przedtem. Czuła się uzurpatorką, kłamczuchą. Oto do czego może człowieka przywieść nieszczęśliwa miłość, także miłość do własnej pracy.

Sprawdziła godzinę na komórce, podczas gdy wokół niej trwało polowanie: mężczyźni wymieniający rozkazy, które brzmiały łagodniej z powodu zmęczenia, krótkofalówki wypluwające z trzaskiem urywane słowa, podekscytowane psy, które przejmowały pałeczkę od swych wyczerpanych opiekunów, mapy rozłożone na maskach samochodów. Pogoda po raz kolejny uległa zmianie, przesiąknięty wilgocią wiatr unosił rogi map. Jedna z nich wymknęła się z przytrzymujących ją rąk i poszybowała w powietrze, po czym opadła na ziemię, u stóp Teresy. Komisarz podniosła ją i spojrzała na linie, które ktoś nakreślił czerwonym markerem.

Oddawszy ją właścicielowi, patrzyła, jak wraca do pozostałych, krocząc w butach ubłoconych aż do kolan.

Rozgrywały się przed nią sceny, które już widywała, już przeżywała. Przez całe życie.

– Teresa.

Zamknęła oczy. Wystarczyło jej imię wypowiedziane przez ten głos, by nagle poczuła chłód: to było jak przyniesiona wiatrem burza.

– Dzień dobry, komendancie – przywitała się.

Lona szczerze otulił się swoją drogą kurtką, szyję miał owiazaną lnianym szalikiem, tego samego koloru co jego oczy: jeziora w deszczowy dzień.

Widok Alberta tutaj wcale jej nie zaskoczył. Uwielbiał napawać się władzą nad innymi, jaką dawało mu stanowisko, napięciem, jakie wywoływała jego obecność. I złościło go, kiedy ktoś wyraźnie nie pozwalał się wyprowadzić z równowagi, jak Teresa.

– Nie robią żadnych postępów – stwierdził, spoglądając za jej plecami.

Teresa podążyła za jego wzrokiem.

– Te lasy to rozległy teren – zauważyła. – Jeden las się kończy i zaraz zaczyna się następny. Ciało może być wszędzie.

– Posłuchaj sama siebie. Właśnie mi powiedziałaś, że go nie znajdują.

– Znajdą. Później.

– Mówisz tak, jakby to nie było twoje zmartwienie. To jest twoje zmartwienie, zapewniam cię.

Teresa nie sprzeciwiła się jego zimnej wściekłości; to by było jak upieranie się, że żmija nie kąsa albo boa nie dusi. Taką miał naturę.

– Mogę zaproponować rozwiązanie – rzekła tylko. – Mam kogoś, kto jest w stanie posunąć poszukiwania do przodu.

– Czyli?

– Osoba z zewnątrz.

– Znów to samo? Już dałem ci odpowiedź. Nie.

– Współpraca...

Twarz Alberta błyskawicznie znalazła się przed jej twarzą.

– Nie. Żadnych cywili. Żadnej współpracy. To moi ludzie odnajdą te przekłete zwłoki i rozwiążą sprawę.

Teresa nigdy nie wątpiła, jak zostanie potraktowana jej propozycja, mimo wszystko chciała spróbować. Miała nadzieję, że się myli.

Albert przedkładał własny autorytet nad wszystko inne: ofiary, rodziny, które błagały o odpowiedź, nawet mordercę, który czekał na ich kolejny ruch. *On też powinien być cierpliwy*, pomyślała z przekąsem Teresa. Prawdopodobnie zastanawia się, po co, u diabła, kręcą się w kółko po tym lesie.

Dobry jest. Zna swój teren i starannie ukrył to, co nie ma zostać odnalezione. Jeszcze nie.

Westchnęła i wtedy wydarzyło się coś, co nigdy by nie powstało w jej głowie. Dłoń Alberta dotknęła jej twarzy w serdecznej pieśczoce.

– Jak wiele jeszcze musisz utracić, aby zrozumieć, że sama nie dasz rady? – odezwał się, ona zaś wcale nie potrzebowała się zastanawiać nad prawdziwym sensem tych słów, by pojąć, że ma na myśli coś zupełnie innego niż sprawę *Śpiącej nimfy*.

Teresa spojrzała na siebie z boku i po raz pierwszy za jej plecami nie było pustki.

Miała swoich chłopców, którym powinna wskazać drogę, a jednego z nich nawet uleczyć.

Miała Blancę i jej psa o niezrównanym węchu.

Miała swoje ofiary, które w ciągu czterdziestu lat pracy pokochała jak matka. Tak potężna miłość musi wydać owoce, nawet ze strony kogoś, komu się to nie udało. Czowała, jak noc ją otula. Czowała ich opiekę.

Miała rodziny ofiar, które z czasem stały się też trochę jej własną rodziną.

Przyjaciół takich jak Parri i Ambrosini.

Przede wszystkim jednak miała siebie.

Chwyciła Alberta za nadgarstek. Mocno ścisnęła i odsunęła jego rękę.

– Nie jestem sama – powiedziała.

Mężczyzna zmienił wyraz oczu, tak jak wąż zmienia skórę. Zrzucił tę fałszywą, odsłaniając błyszczącą pokrywę z łusek.

– Wobec tego odizoluję cię – przysięgł, jakby przyrzekał jej miłość.

Jego wyjątkowa umiejętność zbijania z tropu mimo woli wywołała uśmiech na twarzy Teresy.

– Zrób to – odparła – a i tak nie będę twoja.

Wpatrywał się w nią w milczeniu przez parę chwil, po czym obrócił się na pięcie i się oddalił.

Dopiero wtedy Teresa zorientowała się, że De Carli zdążył już się pojawić i czeka na nią przy samochodzie.

Podeszła do niego, mając pewność, że widział aż za dużo. Detektyw czym prędzej otworzył przed nią drzwi.

– Pani komisarz, nie będę zadawał pytań, ale...

– Świetnie, nie zadawaj – przerwała, rzucając torbę na siedzenie.

– Rany boskie, ale naprawdę...?

– Cicho bądź.

– Nikomu nie powiem – obiecał, okrążając auto. Szybko wsiadł i uruchomił silnik.

– Tak będzie lepiej – zastrzegła Teresa, wkładając okulary, aby dokładnie obejrzeć paczkę, którą wręczył jej De Carli. Na wierzchu widniało jej nazwisko.

– Przyniosła ją na komendę córka Morandiniego – wyjaśnił.

Teresa rozdarła papier. Wewnątrz znajdowały się zdjęcia górskich krajobrazów, niektóre bardzo piękne. Dołączono do nich napisany odręcznie liścik.

To fotografie mojego ojca, jedyne przedmioty osobiste, które zapomniałam zniszczyć.

Pani wizyta otworzyła na nowo głębokie rany. Proszę nigdy więcej mnie nie szukać.

Teresa wyjęła chustkę i przejrzała po kolei fotografie, pilnując się, by nie dotykać ich bardziej, niż to konieczne. Wśród ujęć panoramicznych natychmiast rozpoznała Val Resia i jej miasteczka.

Cham nigdy naprawdę nie oddalił się od tych miejsc. Zastanawiała się, co stanowiło dlań tak wielką obsesję.

Chwyciła telefon i zadzwoniła do centrali. Kazała się połączyć z Parisim.

– Potrzebuję pilnej ekspertyzy fotografii pozostawionych przez córkę Morandiniego. Od razu uprzedź techników, że im je wiozę – poleciła. – Niech poszukają odcisków palców do porównania z tymi anonimowymi znalezionymi na obrazie. I zadzwoń do zastępcy prokuratora: potrzebujemy zgody sędziego na przeszukanie domu Carla Alberta Morandiniego.

Rozłączyła się z sercem w gardle. Jej dłoń powędrowała odruchowo do torby, zanim mózg zdążył przypomnieć sobie, że nie natrafi w niej na to, czego szuka.

Jej dziennik znajdował się w rękach tego, kto zabił. Była pewna. Teresa czuła, jakby ktoś kartkował ją strona po stronie. Morderca w niej czytał. Poznawał ją. Zanurzał się w jej piekle.

Na koniec, wiedziała o tym, właśnie tam się spotkają.

Wiatr pozabawiał przedwcześnie liści wiekową topolę. Robił miejsce dla młodych i oczyszczał drzewo z nagromadzonego balastu. Przeczesał jego czupryną niczym grzebień, uwalniając ją.

Kilka porywów musnęło łąkę, potrząsając wonnymi koronami kwiatów. Żdźbła trawy i łodygi uginały się potulnie pod świeżym podmuchem, dostosowując się czym prędzej w zgodnym tańcu przywodzącym na myśl chmury wirujących jerzyków, przybyłych z południa świata. Niebo przeglądało się w ziemi. Wiatr wprawiał w drżenie kartki dziennika. Zupełnie jakby był w stanie unieść ból, który barwił je smutkiem i lękiem.

Tikô Wariö odbywał właśnie podróż przez cierpienie, które Teresa Battaglia uwięziła w słowach, w piśmie tak wartkim jak jej umysł. Rudowłosa policjantka nie była tak twarda, jak się wydawało, ani tak niezłomna, jak chciała po sobie pokazać.

Hołubiła wewnątrz skomplikowany emocjonalny wszechświat. Bardziej niż na sobie samej zależało jej na kimś innym: na młodym mężczyźnie, który zawsze stał u jej boku, tak jakby musiała go pilnować, martwiąc się instynktem samozniszczenia, który groził, że go unicestwi.

Nie była niezłomna, za to silna. Była inteligentna. Potrafiła posłać intuicję w miejsca, w które rozum nie dał rady dotrzeć. Na tym świecie widziała tam, gdzie inni dostrzegali wyłącznie ciemność.

Teresa Battaglia była znakomitą łowczynią, tylko że teraz stała po przeciwnej stronie. Teraz jej serce zostało obnażone. Było bezbronne.

Massimo uświadomił sobie, że nie wie, dokąd jechać. Ruszył pod wpływem niepowstrzymanego impulsu, by oddalić się od Francesca i emanującego zeń poczucia winy, od Battaglii i jej wiecznie utkwionego w nim badawczego spojrzenia, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Nie pojmował, dlaczego komisarz ciągle chce uparcie zgłębić jego tajemnicę. Miała ją przed oczami, czarno na białym, zapisaną w jego aktach, które musiała przecież dostać do ręki, musiała przeczytać. Massimo od pierwszego dnia spodziewał się tej konfrontacji, choć Battaglia nigdy o tym nie wspomniała.

Jednakże grobowiec, w którym pogrzebano jego przeszłość, teraz został otwarty, przykrywająca go płyta – zniszczona. Widniało na niej imię, którego Massimo przez całą wieczność nie pozwalał sobie wymawiać.

Przez jego życie przetoczyły się trzy wydarzenia, które wywróciły je do góry nogami. Elena i dziecko, ale nie tylko. Wyglądało na to, że *Śpiąca nimfa* też czyha na niego z nienarodzonym dzieckiem, tak jak Battaglia.

I jeszcze ta córka Carla Alberta Morandiniego – wstrząsnęła nim rozpacz z powodu ojca, który nigdy jej nie kochał. To było jak spoglądanie we własną przyszłość i ujrzanie się w roli kata.

I na koniec Francesco, który zadreczęwał się, ponieważ stał się narzędziem nieumyślnej śmierci.

Massimo poczuł napływające mdłości, toteż musiał zjechać na bok. Puścił sprzęgło i silnik z szarpnięciem zgasł, tymczasem inne samochody wyprzedzały go, trąbiąc.

Położył głowę na wczepionych w kierownicę dłoniach. Skórę miał zimną, mokłą z przerażenia.

Zerknął na komórkę porzuconą na fotelu pasażera. Na ekranie wyświetlały się powiadomienia. Kto wie, ile wiadomości, ile nieodebranych połączeń. Już wiedział

od kogo, nie mógł jednak pozwolić, by wejrzała w niego jeszcze głębiej i zobaczyła, jaki jest naprawdę. Postrzegał Teresę Battaglię jako linę, którą los rzucił mu pośrodku niczego. Uchwycił się jej sercem, lecz nie mógł teraz pociągnąć za sobą również jej.

Złapał za telefon. Wybrał numer jedynej osoby, która znała jego sekret. Nigdy nie było mu łatwo słyszeć jej głos, oddalił się od korzeni, gdyż czuł potrzebę odseparowania się od przeszłości, a ona w tej przeszłości mocno tkwiła. Zastanawiał się, co czuje na jego widok, wspominając dzień, w którym Massimo przestał być dzieckiem i przeistoczył się w kogoś innego.

Gdy się odezwała, nie od razu rozpoznał jej głos. Zdawał się bardziej odległy niż zwykle, bardziej przygaszony.

– Mamo – powiedział tylko.

Zapadło niepewne milczenie.

– Stało się coś? – zapytała strwożona. Wystarczyły dwie stłumione sylaby, by wpadła w panikę.

Massimo mógłby użyć tysiąca słów, żeby wytłumaczyć, ale nie było potrzeby. Ona wiedziała.

– Zostanę ojcem i nic nie mogę na to poradzić – wyszeptał do słuchawki.

Wśród syku linii telefonicznej przebiegł szloch, niczym samotne uderzenie serca w płaskim elektrokardiogramie. Jego matka wybuchnęła płaczem, lecz nie były to łzy radości. Doskonale zdawała sobie sprawę, jaki demon dręczy jego syna. Patrzyła mu kiedyś prosto w twarz.

– Boję się – szepnął Massimo w ten daleki kobiecy szloch. – Boję się.

Powtarzając w duchu te dwa słowa, poczuł, jak wściekłość wzbiera w nim niczym niespodziewany atak głodu. Potrzebował jej, by stłamsić ból.

Wreszcie wiedział, dokąd jechać.

Teresa wiedziała, że śni. Ostatnio często zdarzało jej się pogrążyć we śnie i równocześnie chwytać się jawy. W pewnym sensie była rozbitkiem, który pozostaje na powierzchni wody.

Racjonalne myśli pluskały się na granicy umysłu wraz z tymi nielogicznymi i dziwacznymi. W stylu, że co do rozbitków na Titanicu, wszyscy wiedzą, że na dryfujących po oceanie drzwiach było też miejsce dla Jacka. Tyłek Rose nie był aż tak wielki, by zająć całą przestrzeń. Nawet jej, Teresy, tyłek nie byłby taki duży.

Obraz dwójki zmarzniętych dzieciaków drgał tak długo, aż w scenie ukazały się dwie nowe twarze: jej i Mariniego. Ona na zaimprovizowanej tratwie, on zgrabiący w wodzie, z kryształkiem lodu zwisającym z nosa.

Ja też mógłbym się uratować, powtarzał z trudem, szcękając rytmicznie zębami. Gdyby tylko nie zjadła pani wszystkich cukierków.

Widziała, jak jej dłoń się podnosi i wpycha mu głowę pod wodę. Żegnaj, Jack, żegnaj, Marini, i odpieprz się.

Teresa nagle się wybudziła. Była przekonana, że krzyczała, przyciskając wargi do sztucznej skóry kanapy, czując w ustach jej gorzki smak. Znajdowała się w sali zebrania na komendzie. Ktoś okrył ją kocem. Odsunęła go i usiadła.

Zegar wskazywał, że spała parę godzin.

Drzwi otworzyły się cicho, po czym w szparę wetknął głowę Parisi.

– Nie śpię – oznajmiła.

Wszedł do środka i na stoliku przed nią położył teczkę.

– Zostawili te dokumenty dla pani. Co do informacji, o które pani pytała, potrzebuję jeszcze trochę czasu. Kawy?

– Nie, dziękuję. Dowiedzieliście się, gdzie się podział Marini?

– Nie, pani komisarz, za to przyszły wyniki badań częściowych odcisków butów pobranych z podestu u pani w domu: męskie obuwie sportowe, rozmiar

czterdzieści trzy. Wkrótce poznamy też markę.

Teresa pokiwała głową, rozprostowując plecy.

– Wypaliście się z De Carlim? – zapytała.

Detektyw się uśmiechnął.

– Na raty, tak jak pani. Aha, komendanta nie ma aż do jutra.

– Wspaniała wiadomość.

– Nie będzie nam siedział na karku przynajmniej przez parę godzin, pani komisarz.

– Kurna olek, Parisi, wreszcie zaczynasz ze mną rozmawiać.

– Czuję przyływ dumy.

– Faktycznie, jestem wzruszona. – Teresa włożyła okulary. – A teraz znikaj.

Zostawszy sama, wzięła do ręki teczkę. Do zalakowanej koperty dołączono zapisaną na komputerze kartkę.

Wiem, że zrobisz z tego dobry użytek. Teraz jesteśmy kwita.

Wiadomość była anonimowa, gdyby jednak szukała podpisu, należałby do Strażnika. Tak nazywano szefa archiwum nieletnich, jedyne go funkcjonariusza uprawnionego do wglądu w bazę danych, w której przechowywano pliki na temat „szczególnych” zabójstw, określanych z jakimś chorobliwym upodobaniem jako „Zło w powijakach”. Sprawy traktowane z absolutną rezerwą, do tego stopnia, że nie widniały tam pełne nazwiska. Przestrzegano szczególnych, szybszych procedur i nie zostawiano śladów. W niektórych przypadkach sprawy te wręcz utajniono, ponieważ nikt nie powinien się dowiedzieć. Należało prędko zapomnieć.

Teresa złamała pieczęć i otworzyła akta: zatartą i już niedostępną część czynów popełnionych przez chłopca, który nazywał się Massimo Marini.

Były to słowa, których nigdy nie chciałyby przeczytać, i zdjęcia, których oglądanie sprawiało ból.

Musiała przerwać, odetchnąć głęboko, zdobyć się na odwagę.

Gdy sądziła, że wreszcie dotarła do słowa „koniec”, przewróciła kartkę i wtedy padł najbardziej ogłuszający cios.

Jęła czytać wolniej, ponieważ mózg odmawiał przyjęcia faktów do wiadomości. Mogła sobie wyobrazić wszystko, tylko nie to.

Teraz rozumiała. Teraz przyjęła na siebie ból tego dzieciaka.

Studiowała raporty i zapisy zeznań, zbadala wydruki fotografii, porównała je z orzeczeniami lekarskimi. Wszystko do siebie pasowało, Teresa jednak się nie poddała, zaczęła od początku, raz, drugi, kolejny. Wiedziała, że szuka jakiegoś błędu, z którym mogłaby pójść do tego dzieciaka i powiedzieć: „Teraz już jesteś wolny”.

Ale nie mogę go znaleźć. Nie mogę go znaleźć.

W końcu ręce jej opadły. Nie zdołała pomóc Marinemu. Miała do zaofiarowania wyłącznie słowa pociechy, które i tak nie zrobiłyby mu żadnej różnicy. Choćby były nie wiadomo jak szczerze, przekonujące i ciepłe, nigdy nie dotarłyby do jego nieświadomości i nie usunęły zgnilizny, która nawarstwiła się przez kilkadziesiąt lat udreki.

Jakiś robak zaczął jej drążyć mózg.

Może to nie prawdy powinna poszukać. Zerknęła na komórkę, wzięła ją do ręki.

Jeżeli wykonam ten telefon, nigdy już nie będzie odwrotu.

Parri odebrał po drugim sygnale.

– Potrzebuję twojej pomocy, ale nie mogę ci nic wyjaśnić – oświadczyła.

Śmiech przyjaciela zalał ją falą ulgi.

– Powiedz tylko, czego ci potrzeba.

Wkrótce Parisi wrócił z informacją, na którą czekała. Teresa zamknęła teczkę i czym prędzej zasłoniła mu oczy rękami, choć nie miała pewności, czy okazała się wystarczająco szybka. Detektyw powstrzymał się od komentarzy. Czas żartów się skończył. Wręczył jej w milczeniu notatkę: nazwisko jakiejś kobiety i adres hotelu.

– Znaleźliśmy też Mariniego, pani komisarz.

Trening mieszanych sztuk walki stanowił jeden z licznych sposobów wymyślonych przez Massima, aby powstrzymać skutki przeklętej skazy, czegoś w rodzaju wrodzonej skłonności do przemocy, odziedziczonej po ojcu. Plamy na duszy, która nigdy nie pozwoliłaby mu założyć rodziny, zatrzymać przy sobie ukochanej osoby.

Zamknięty w klatce, otoczony kołem przez wrzeszczących i rozwścieczonych mężczyzn, którzy zagrzewali jego i jego przeciwnika do zadawania mocniejszych ciosów, do wyrządzenia krzywdy, czuł się wyzwolony. Czuł swobodę bycia takim, jak chciała natura. I walił, walił każdą cząsteczką siebie.

W jego rękach ciało Christiana Neriego zamieniło się w kupę ścięgien, twardych kości i napiętych mięśni. Nie pozwalało się pokonać, lecz każdym ciosem odpłacało za doznaną przemoc.

Rywalizacja, która nieodmiennie rozpalala ich na ringu, nareszcie trafiła na odpowiednie pole bitwy, ale w tej chwili Massimo wcale nie miał przed oczami młodego karabiniera. On nigdy nie był adresatem jego gniewu. Marini starał się powalić swojego ojca, a może tylko samego siebie.

W jego umyśle przewijały się kolejno obrazy: Eleny, jeszcze nienarodzonego dziecka, jego w przyszłości – samego, matki, która nigdy mu nie wybaczyła, i odbierały mu rozum.

Na jedną jedyną sekundę jego wzrok spoczął na dopingującym tłumie, jakby ostrzegło go czyjeś ciche, lecz donośne wołanie. Gdy wypatrzył wśród publiczności kipiące złością oczy Teresy Battaglii, zablokował się.

Odczuwał coś, czego nie potrafił zdefiniować. Wstyd, to było pierwsze słowo, jakie zatańczyło mu przed oczami, niczym pięść gotowa rozkwasić mu twarz. Drugim była ulga. Teresa przyszła, żeby go ocalić – nieskładna myśl, której mimo wszystko uczepił się całym sobą.

Na jego twarz spadł cios i tym razem okazał się prawdziwy. Rozstrzygnął o nokaucie.

Massimo runął głową na matę, pod powiekami wybuchły mu fajerwerki, w uszach zaś rozległ się świst, który na moment odciął go od świata. Jego mózg rąbnął o sklepienie czaszki.

Ktoś odliczał sekundy. Po ciszy rozbrzmiały oklaski dla zwycięzcy. Dla Massima był zimny dotyk gumowej maty pod policzkiem i pot, od którego szczypały rany.

Lucius tkwił obok niego, przykładając mu ręcznik do twarzy, mówiąc coś szybko w ojczystym języku. Najwyraźniej nie były to słodkie słówka zwycięskiego tancerza. Zapach maści przeciwkrwotocznej poprzedził dłonie, które pomacały mu twarz, jakby szukały złamanej kości, którą trzeba poskładać do kupy. Massimo wyczuł na wargach smak krwi: oznaczał wyzwolenie. Oznaczał pokój. Udało mu się ukarać samego siebie.

Do podtrzymywania mu głowy dołączyły inne dłonie; tym razem był to łagodny dotyk, kłócący się z głosem, który nim wstrząsnął.

– Co ty, kurwa, zamierzałeś zrobić?

To ona, Battaglia, weszła na ring, być może po to, żeby mu pomóc, albo po to, żeby rozwalić mu łeb, który ostatnio chyba przestał funkcjonować.

Ton jej głosu był inny niż zwykle – stanowił mieszaninę furii i przepelnionego miłością lęku. Nici emocji były tak naprężone, że nie dało się dojrzeć, ani gdzie się zaczynają, ani gdzie kończą. Stanowiły całość.

To był głos matki drżącej o syna.

– Mogłabym kazać zamknąć tę budę.

Marini otworzył jedno oko, drugie zasłaniał suchy łód. Położyli go na ławce w szatni.

– Pani komisarz, proszę... – powiedział ochryłym głosem.

Siedząca obok Teresa, która trzymała mu nogę w górze, gotowała się z wściekłości.

– Jesteś idiotą – orzekła. – Mówiłam ci to już?

– Trzy razy, pani komisarz.

Odepchnęła go i poderwała się z miejsca. Chętnie rozszarpałaby go na kawałki.

– Auć!

– Zdajesz sobie sprawę, że wszystko rujnujesz?! – wrzasnęła. – Właśnie przekreślasz własną przyszłość.

Marini spuścił wzrok, po czym ponownie na nią spojrział. Próbował się uśmiechnąć, po raz kolejny się schować.

– Mówi pani jak moja matka – oznajmił, siłąc się na żartobliwy ton.

Teresa w to wątpiła. Jego matki tu nie ma, ponieważ jego matka stanowi część problemu. Dotarło do niej, że ona też nie może się już dłużej chować.

– Znam twoją tajemnicę – oświadczyła. To był tylko szept, który można by wziąć za westchnienie.

Fałszywy uśmiech zastygł mu na twarzy niczym zimna, sztywna maska.

– Nie ma żadnej tajemnicy – odparł sucho. – Wszystko zawsze było wyraźnie napisane w moich aktach.

– Po części – sprostowała.

Marini powoli usiadł. Łód spadł na podłogę. Jego dłonie wczepiły się w ławkę. Piers unosiła się i opadała, Teresa zaś wyobrażała sobie, jak jego śmiertelnie

zranione, lecz nadal bijące serce tłucze się o żebra aż do bólu. Uczyniłaby wszystko, by mu ulżyć, przedtem jednak musiała rozedrzeć mu serce, aby wydobyć potwora, który się nim karmił. Marini musiał spojrzeć bestii w oczy. Musiał się przekonać, że wystarczy jedno dmuchnięcie, by przepędzić dręczącą go zjawę. Wystarczy dać sobie samemu rozgrzeszenie.

Wzruszył ramionami.

– Mężczyzna, który bije żonę i dziecko, od dawna już nie jest sensacją, pani komisarz – powiedział. – Nie był ani pierwszy, ani ostatni. Przecież zna pani statystyki lepiej ode mnie, prawda?

Teresa zaryzykowała krok w jego stronę.

– Nie ty go zabiłeś – oznajmiła.

Zachwiał się, skulił, jakby otrzymał kolejny cios.

– Plecie pani bzdury.

Teresa uczyniła następny krok w kierunku chłopca, którym kiedyś był.

– Nie ty go zabiłeś – powtórzyła głośniej.

Marini pokręcił głową.

– Dosyć – rzekł.

Teresa nie dawała za wygraną.

– Dosyć! – ryknął wówczas, unosząc dłoń, jakby chciał powstrzymać komisarz, błagać, by nie burzyła chwiejnej równowagi, którą starał się odzyskać z takim trudem.

– Byłeś tylko dzieckiem, Massimo. To nie twoja wina.

Zadygotał przeszyty potężnym dreszczem. Zaraz coś w nim miało pęknąć.

– Popchnąłem go – syknął. – To byłem ja.

– Nie. To był on. Byłeś tylko dziesięciolatkiem przeciwko czterdziestoletniemu mężczyźnie. On był tak pijany, że nie mógł się utrzymać na nogach.

– Powiedziałem: dosyć!

Teresa wyjęła z torebki kilka kartek: fotokopii starych raportów z sekcji zwłok.

– Twój ojciec miał złamanie, którego nabawił się jeszcze przed śmiercią – zaatakowała, pokazując mu notatki przy zdjęciu tylnej części czaszki. W punkcie tuż nad linią karku dał się zauważyć rodzaj częściowo zwapnionej rysy. – Uraz po takim upadku nikogo by nie zabił, ale czaszka twojego ojca była krucha jak

gliniana skorupa. Tamto poprzednie złamanie okazało się dla niego fatalne i byłoby fatalne nawet wtedy, gdyby ktoś go tylko lekko klepnął.

Podniósł na nią oczy. Można w nich było wyczytać rozpaczliwą potrzebę uwierzenia jej, przeszłość jednak ciągle stawiała opór.

– Skąd pani wytrzasnęła te dokumenty?

Teresa zignorowała pytanie.

– Powinni byli to jasno powiedzieć tobie i twojej matce – rzekła – ale najwidoczniej nie uznali tego za istotne. Tak czy inaczej, nie ponosisz winy.

Kilkakrotnie otworzył usta, zanim zdołał wydobyć głos.

– To nie było istotne? – wymamrotał.

– Mówimy o niekompetencji, dyletanctwie, tumiwizmie osoby, która powinna była przeprowadzić porządne śledztwo, dotyczące czegokolwiek, ale nie morderstwa. – Uklękła obok niego. – Tak jest – wyszeptała. – Nie zabiłeś go. – Otworzyła ramiona. – Massimo, nie jesteś mordercą. Ty się tylko broniłeś. To była tragedia. Powinni byli to napisać czarno na białym, ale to jasne jak słońce, a teraz dysponujesz środkami, żeby to zrozumieć.

– Niech pani stąd idzie!

Teresa powróciła myślami do zdjęć w jego aktach, do tych dziecięcych chudych, pokrytych sińcami pleców. Do matki, która nie potrafiła ochronić swego dziecka, podobnie jak ona sama. Powróciła myślami do przytyków, jakimi częstowała Mariniego przez ostatnie miesiące, aby się dowiedzieć, co kazało mu się zaszyć w prowincjonalnej dziurze. Do doskonałej samokontroli, jakiej dawał dowód, kiedy pracowali wspólnie nad sprawą przemocy wobec nieletnich.

Podsunęła mu pod nos wydruk i zmusiła, by spojrział.

– Przestań być zaszczytnym dzieciakiem, bądź policjantem i powiedz mi, co widzisz!

Przebiegł wzrokiem po tej grze światła i cienia z rozpaczą na twarzy, która pod koniec zaczęła się wypogadzać, aż wreszcie skrzywiła się w oczyszczającym szlochu.

Teresa upuściła raporty z zamkniętej sprawy, niemające nic wspólnego z ojcem chłopca, który przed nią siedział, a wraz z nimi spadł także okruszek jej nieskazitelnej uczciwości.

Spokojnie, skoro to pomoże ocalić Massima. Rozmyślnie postanowiła nie zapisywać tego wspomnienia w swoim nowym dzienniku. Odkryła, że choroba może jej zapewnić wolność, na którą obowiązkowość nigdy by nie przystała: wolność sfalszowania dowodu i życia spokojnie dalej. Wkrótce o tym zapomni, tak jakby to się nigdy nie wydarzyło. Przytuliła mocno Mariniego. Trzymała go z całej siły, chociaż się wyrywał i ją odpychał, jednocześnie szukając jej wzrokiem i kładąc głowę na jej ramieniu. Walka przerodziła się w desperacki uścisk. Teresa przyjęła na siebie jego ból, wchłonęła go tak, jak postąpiłaby z trucizną. Rozcieńczony i już nie zabójczy, miał krążyć w jej krwi, dopóki serce nie przestanie bić.

Trwali tak długo w milczeniu, blisko siebie, Marini z głową wspartą na ramieniu Teresy.

Gdyby ktoś, kto znał oboje, ich teraz zobaczył, uznałby to co najmniej za dziwne.

Czekała cierpliwie, aż młody inspektor będzie gotów mówić, tak jakby nie był zabójcą na wolności, zdolnym ponownie zadać cios, choćby w tej chwili. Teresa musiała najpierw wziąć go pod swoje skrzydła.

– Przez całe życie wierzyłem, że coś z niego we mnie siedzi. Coś chorego – odezwał się.

Teresa wyobraziła sobie, jak musi być postrzegana z zewnątrz. Jakże jest mała, a przecież teraz to ona stanowi oparcie dla tego chłopaka. Gdyby tylko cofnęła się o krok, gdyby spojrzała gdzie indziej, a nie w jego serce, upadłby.

– I nadal w to wierzysz – odparła.

– Gen zła. Czytałem o tym w paru artykułach na temat psychiatrii.

– Ach, fascynująca teoria, ale wszystko trzeba dopiero udowodnić. O tym pewnie też czytałeś.

– Nie wierzy pani w to?

– Sądzę, że zrzucanie winy za zło na jakiś czynnik, nad którym nie możemy zapanować, jest zawsze pokrzepiające, a jak mamy do czynienia ze skazą genetyczną, to jeszcze lepiej. Tylko że to ciebie nie dotyczy, Marini.

– Znowu zwracamy się do siebie po nazwisku?

– Źródłem okrutnych zbrodni mogą być głębokie psychozy, to prawda, ale mówienie o prawdziwym genie zła wydaje mi się czystą fantazją. Doświadczenie

ma decydujący wpływ, otoczenie ma decydujący wpływ, podobnie jak dziesiątki innych zmiennych. Doskonale o tym wiesz.

– Może po prostu czułem się skażony tym złem.

Teresa powstrzymała się od pieszczotliwego gestu.

– Jesteś. Każdy, kto doświadczył przemocy na własnej skórze, jest skażony.

– Pani też.

– Ja też. Ale my jesteśmy silniejsi. Odznaczasz się wyjątkowym hartem ducha.

Marini podniósł głowę, by na nią popatrzeć.

– To chyba pierwsza miła rzecz, jaką od pani usłyszałem.

– Naprawdę? Zaraz temu zaradzę: w walce wręcz jesteś naprawdę żaloszny. Bardzo cię zmasakrował?

Roześmiał się, chwytając się za żebra.

– No ale ja też nieźle mu dołożyłem.

– Chyba żartujesz! Tamten gość mógłby teraz pobiec w maratonie.

Ucichli.

– Gdyby było coś z tobą nie tak, Marini – oznajmiła – gdyby nasuwało się choćby najmniejsze podejrzenie, nie byłoby cię tutaj. Nigdy nie pozwoliliby ci zostać policjantem.

– Matka nigdy mi nie wybaczyła – wyznał. – Mimo wszystko nadal go kochała. Od tamtego dnia ani razu nie spojrziała mi w oczy.

Teresa ujęła go pod brodę, szukając jego wzroku.

– Mylisz się. Nie patrzy ci w oczy, ponieważ jej poczucie winy jest zbyt silne. Strach przed reakcją uczynił z niej współwinną, musiałeś więc obronić się sam. – Objęła go mocniej, gdy spróbował zaprzeczyć. – Nie patrzy ci w oczy, bo się wstydzi.

Twarz mu się rozpogodziła pod wpływem nadziei.

– Czy kiedykolwiek gadałam głupoty? – zapytała.

– Nigdy.

– W takim razie wygląda na to, że możesz mi zaufać.

Przyspieszone mruganie powiek świadczyło o tym, że Massimo pozbywa się wątpliwości.

– Nie powinienem pani tego mówić, ale moim zdaniem to niesprawiedliwe, że życie nie dało pani dziecka – rzekł w końcu.

– Przecież mam dziecko – westchnęła Teresa. – Nigdy się nie narodziło, ale je mam. A poza tym mam was, mój zespół, który daje mi popalić. Częściej robię za mamuszkę niż za komisarz.

Wstała i machając w kierunku pryszniców, powiedziała:

– Teraz idź się wykapać. Mamy sprawę do rozwiązania. Jeżeli czujesz się na siłach, mógłbyś jak zwykle wtrącić swoje niepotrzebne trzy grosze.

Marini parsknął śmiechem.

– Czuję się na siłach, pani komisarz.

Zareagowała suchym skinieniem głowy.

– Parisi odwiezie cię do domu. Zrób mi tę przyjemność i jutro rano bądź punktualny.

– Jutro? Dlaczego jutro?

Teresa odwróciła się z ręką na kłamce.

– Teraz masz coś ważniejszego do roboty. Ją też musisz uwolnić.

Widziała, jak przetyka ślinę.

– Jak? – zapytał.

– Powiedz, że jej wybaczasz. Twoja matka tylko na to czeka, żeby rozpocząć nowe życie. Doskonale o tym wiem.

On także się podniósł.

– Muszę o to zapytać, pani komisarz. Czy Albert Lona jest pani byłym mężem?

Teresę zaskoczyło to pytanie, przede wszystkim zaś odwaga Mariniego. W innych okolicznościach, w mniej odpowiedniej chwili starłaby go na proch.

– Nie, to nie on jest moim byłym mężem.

Zawahał się. Miał na końcu języka jeszcze jedno pytanie. Korciło ją, by wybić mu to z głowy jakąś miażdżącą uwagą, ale wspólne przeżycia nie pozwoliły jej tego zrobić. Może już nigdy jej na to nie pozwolą.

– Albert Lona był moim kolegą. Jednakowy wiek, różne charaktery i wyznawane wartości – odrzekła. – Zorientował się, co się ze mną dzieje, zauważył siniaki pod makijażem, strach w moich oczach, a nawet ciężę. zaproponował mi coś, co

według niego miało być wyjściem z sytuacji. Nie zgodziłam się i jeszcze tej samej nocy straciłam dziecko, ponieważ nie byłam w stanie go ochronić.

W ciszy, jaka zapadła, Teresa niemal słyszała niezgodne bicie ich serc.

– Lona zaproponował, że go aresztuje? – zapytał jednym tchem Marini.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Nie. Powiedział, że mnie kocha.

Zabicie dla Tikô Wariö było czymś łatwym. Strach prędko pokierował ostrze w zwiędłą pierś Emmanuela. Wbiło się w ciało przy śpiewie drozda, przy odgłosie skrobania wiewiórki poszukującej żołądźmi wśród listowia. Starzec runął jak puste i od dawna martwe drzewo, z westchnieniem, które można by wziąć za delikatny świst wiatru w lękowatych krzakach czarnej jagody.

Wyrwanie mu serca było więc naturalnym aktem oznaczającym pożarcie, aby samemu nie zostać pożartym. Aktem bestialskim i niewinnym.

Zabicie było czymś łatwym, lecz pociągnęło za sobą następstwa, których w ferworze nie wziął pod uwagę.

To, co zostało wykonane w celu ochrony, poskutkowało złamaniem tajemnicy.

Być może jednak ręka działała wyłącznie pod wpływem potrzeby uwolnienia się, która to potrzeba nieświadomie wprawiła w ruch przerażający, choć już konieczny mechanizm.

Korzenie zagłębiły się tak mocno, że aż sprawiały ból. Stały się mięsożerne i karmiły się życiem. Istniały więzy, które były wszystkim i prowadziły ku śmierci. Istniały więzy, które żywiły, jednocześnie unicestwiając.

Poplamione krwią ostrze lśniło w blasku latarki. Ziemia została odgarnięta, w pograżonym w ciszy lesie wyłoniła się z ciemności dłoń szkieletu. Nóż spoczął między zniszczonymi paliczkami, które były kiedyś palcami.

Zło przekazywane jest dalej. Winą była miłość. Miłość zabiła.

Reszta to tylko oddanie i poświęcenie.

Być może zło nie przechodzi z ojca na syna jak klątwa rzucona przez rozgniewanego i mściwego boga. Massimo po raz pierwszy pozwolił sobie łudzić się, że tak jest. Chwytał się słów Teresy Battaglii, aby na dobre wydostać się z więzienia strachu. Ona poprowadziła go, wytyczając ścieżkę za pośrednictwem własnego bólu: pokazała mu przeszłość, którą nadal hołubiła w sercu. Ze względu na to, jaka była, na odgrywaną przez nią rolę, musiało to być dla niej trudne. Zawsze pozostanie jej za to wdzięczny.

Massimo dołączył do komisarza i przybył pod adres, który przysłała mu SMS-em, zanim jednak o brzasku przekroczył próg mieszkania, poszedł za jej radą.

Gdy matka odebrała telefon, nawet nie dał jej czasu na powitanie.

– Wiem, jak bolesne jest to, co zaraz powiem – zaczął. Wyobraził ją sobie siedzącą w foteliku przed konsolą, z telefonem w dłoniach, na których nie nosiła obrączki ani pierścionków. Pewnie drżały.

– Kiedy to się stało... kiedy on umarł – ciągnął – myślałem, że cię ocaliłem, mammo. Wreszcie byliśmy wolni. Nie rozumiałem twojego milczenia, nie rozumiałem, dlaczego już nie patrzysz mi w oczy. Czułem się jak potwór.

Głos załamał mu się przy ostatnim słowie, a po drugiej stronie rozległ się stłumiony szloch.

– A czy teraz już rozumiesz, dlaczego tak się zachowywałam?

– Tak, chyba tak.

– Powiedz mi to, Massimo. Proszę cię.

– Wybaczam ci, mammo.

Dzielący ich mur zaczął się rozpuszczać we łzach jego matki. Nie będzie łatwo odzyskać lata wzajemnego braku zrozumienia i samotności. Coś, co się rozpadło, być może nigdy już nie będzie takie jak dawniej, ale mimo wszystko może uda się

jeszcze poskładać. Powierzchnia ich uczuć pozostanie szorstka, pozaczy spojrzenia i słowa niczym blizna, lecz w jakiś sposób złączy ich na nowo.

– Nie byłam w stanie cię ochronić – powiedziała, uspokoiwszy się – ale ty jesteś inny: niż ja, niż on, niż uczuciowa pustynia, na której wyrosłeś. Będziesz silnym i czułym ojcem. To twoja szansa na bycie szczęśliwym.

Massimo nie przyznał się, że zapłacił już aż nazbyt wysoką cenę za swoje odrodzenie: dzień wcześniej Elena odeszła.

Przez całą noc koczował pod hotelem, siedząc na chodniku i wpatrując się w czarne niebo pośród ulicznych latarni. Powstrzymał odruch, by pójść na dworzec kolejowy, tak jakby istniała jeszcze możliwość, że ona ciągle na niego czeka, niczym postać z bajki o szczęśliwym zakończeniu.

Elena nie odbierała jego telefonów, role się odwróciły. Massimo nie wskoczył do samochodu i nie spędził wielu godzin za kierownicą, by ją odnaleźć, tylko dlatego, że na wolności czaił się morderca, tylko dlatego, że ktoś wymazał drzwi jego domu krwistoczerwoną farbą w akcie zastraszenia, który należało dopiero wyjaśnić. Nie zrobił tego tylko dlatego, że Elena nie byłaby przy nim bezpieczna, chociaż z innych powodów, niż sobie dotąd wyobrażał.

Nie mógł jej tu przywieźć ani nawet opuścić komisarz Battaglii. Czasami słuszny postępek wymaga chłodu, uwolnienia się od wszelkich uniesień i zachowania powściągliwości. Minionej nocy jednak Massimowi po raz pierwszy udało się zgasić światło. Potwory zniknęły.

Pożegnał się z matką, obiecując, że niedługo się zobaczą, z twarzą rozgrzaną promieniami słońca, po czym wszedł na górę, do mieszkania, w którym czekała Battaglia. Otworzyła mu Blanca.

– Cześć – przywitał ją szczerze radosnym tonem.

– Cześć – odrzekła.

Massimo przyglądał się urzeczonemu, jak zatapia źrenice w jego oczach, podążając za głosem. Wystarczyło jej jedno słowo, by narysować mapę twarzy rozmówcy i odnaleźć jego wzrok. Prawdopodobnie nie robiła tego dla siebie, lecz po to, by stojąca przed nią osoba nie czuła się skrępowana.

Poprosiła, by usiadł. Mieszkanie było urządzone po spartańsku, skromne, Massima zaś aż ścisnęło w żołądku, gdy sobie przypomniał, jaki był w stosunku do

tej dziewczyny opryskliwy. Powinien był potraktować tę młodą wojowniczkę z należąną uwagą i szacunkiem.

Smoky wpatrywał się weń z kanapy ze zgnębioną miną, obejmując łeb łapami. Nigdy nie widział go tak zasępionego.

– Co mu jest? – zapytał.

– Ma karę. Strasznie narozrabiał.

Massimo pociągnął nosem. Wokół unosił się zapach rosółu.

– Przyniosłem śniadanie – oznajmił, wkładając jej w dłonie papierową torbę pełną gorących bułeczek maślanych. – Ale wy już gotujecie obiad.

Blanca drgnęła, gdy z kuchni dobiegło kaszlnięcie.

Torba spadła na ziemię i oboje schylili się, by ją podnieść.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Massimo.

Blanca oblała się rumieńcem i wyglądała na zakłopotaną.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Z kuchni wyłoniła się Battaglia.

– Wszystko w porządku, owszem – ucięła pospiesznie. – Dlaczego nie usiądziesz w salonie?

Massimo zerknął w stronę kanapy. Stanowiła jedyne miejsce do siedzenia i była zajęta przez psa, który nigdy nie okazał mu sympatii. Z powrotem skierował wzrok na komisarz.

– Wolę kuchnię.

– W kuchni nie można.

Słyszając odgłos rozbijającego się przedmiotu, doszedł do wniosku, że w domu znajduje się ktoś jeszcze. Teresa i Blanca ulotniły się z lękiem, który zdumiał Massima. Pewnie ktoś z rodziny dziewczyny, pomyślał, ale w takim razie co tu robi komisarz?

Zostawszy sam, łypnął na Smoky'ego. Z tymi smutnymi oczami i zwieszonymi uszami wzbudzał niemal litość.

Zbliżył się, by go pogłaskać, i ledwie zdążył cofnąć dłoń, gdy tuż obok błyskawicznie kłapnęły zęby.

– Wiedziałem! – wybuchnął. – Jest w tobie coś niepokojącego, wiesz?

Zwierzak znów zastygł w bezruchu z nieszczęśliwą miną.

Stojący na piecu rondel zamruczał wściekle, metalowa pokrywka zadźwięczała parę razy niczym oszalałe cymbały, tymczasem wydostająca się spod niej woda z sykiem ugasiła płomień.

Massimo położył torbę na stole i czym prędzej zakręcił gaz. Płyta kuchenki zalana była lepkiem rosołem o intensywnej woni.

– Żegnaj, obiedzie – mruknął, podnosząc pokrywkę przez szmatę.

Z gardła wyrwał mu się wrzask, którego nie zdołał powstrzymać. Massimo wycofał się w podskokach, przewracając krzesła i wymijając Smoky'ego, który właśnie nadbiegł i się rozszczękał.

– Cholera jasna!

Pies chybił, usiłując złapać go za łydkę, za to rzucił się z furią na nogawkę spodni i pociągnął tak mocno, że aż rozdarł materiał. Było to najmniejsze zmartwienie Massima, ponieważ z rondla, zanurzona do połowy w rosole, czaszka gapiała się na niego niemal ze zdziwieniem.

Poczuł narastającą złość.

Ona. Ona wiedziała.

– Pani komisarz! – krzyknął, nadal walcząc ze Smokym.

Battaglia zjawiała się ze spokojem, odsunęła psa i przykryła rondel.

– Zawsze musisz wetknąć nos tam, gdzie nie trzeba, co, Marini? – fuknęła.

Massimo nie posiadał się ze zdumienia. Teraz to jego wina? Podniósł się, nawet nie zwracając uwagi na dziury w spodniach, i wycelował palec w kuchenkę.

– Tam w środku jest ludzka czaszka – wycodził.

Jego zdenerwowanie najwyraźniej nie zrobiło wrażenia na komisarz.

– Wiem, Marini.

– I wydaje się to pani normalne? – wykrztusił łamiącym się głosem.

– Muszę ją wysterylizować – wyjaśniła Blanca. Wynurzyła się bezszelestnie i wyglądała na skonsternowaną. – Smoky ją ukradł, bawił się nią. Gdyby przeszła jego zapachem, nigdy nie można by jej użyć do tresury. – Wykręcała sobie palce, speszona. – Wstyd, co?

Massimo aż zaniemówił. Popatrzył na Battaglię, wznosząc ręce.

– Nie chcę nic wiedzieć – oświadczył, wycofując się. – Obie jesteście stuknięte i świetnie się rozumiecie.

Obrócił się na pięcie, ale nie zrobił nawet kroku. Przed nim stała Elena. Wyglądała tak, jakby właśnie się obudziła, była jeszcze w piżamie i miała włosy w nieładzie.

– Co ty tu robisz? – zapytał, wyrwawszy się z chwilowego odrętwienia. Serce waliło mu jak szalone. Na widok jej uniesionych brwi Massimo uświadomił sobie, że to najbardziej niestosowne pytanie.

– Teresa martwiła się o mnie – odparowała oschle. – A Blanca była tak miła, że zaprosiła mnie do siebie. Szukała współlokatorki, a ja nie mogłam zostać dłużej w hotelu.

Z trudem przełknął ślinę. Zachował się jak idiota.

– Jak się czujecie? – zapytał łagodnie.

Pogładziła się po brzuchu.

– Dobrze, ale męczą mnie mdłości.

Ja myślę, powiedział sobie w duchu. Na piecu w rondlu gotuje się czaszka.

– Przy tym swędzie to normalne – skwitował.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Jakim swędzie?

Massimo przypomniał sobie o torbie, z którą tu przyszedł. Wziął ją do ręki i wręczył Elenie.

– Przyniosłem śniadanie – rzekł z całą miłością, jaką do niej czuł.

Do nich.

Kobieta nie uśmiechnęła się jednak, chociaż na to liczył. Podniosła dłoń do ust, zbladła i zgięła się w pół.

Przemknęło mu przez myśl, że w oczekiwaniu na dziecko jest jakaś magia. Tak potężny urok, że zapach gotującej się czaszki wydaje się normalny, a woń cukru i wanilii aż odrzuca.

Elena właśnie zwymiotowała mu na buty.

Teresa zagłębiała się w historię Alessia i Anizy. Wróciwszy do domu malarza, po raz kolejny wpatrywała się w obraz, na którym Francesco jako mały chłopiec zabija własną niewinność, trzymając w rączkach karabin i mając w oczach strach przed zbyt wielkim gestem, który wpoi mu później znaczenie słów „wyrzut sumienia” i „poczucie winy”.

Ponownie podziwiała sztukę, z jakim Alessio Andrian uchwycił łańcuch emocji na twarzach postaci, podobieństwo Francesca i jego siostry, która w przeciwieństwie do brata miała oczy jasne niczym lód na dalekiej ziemi, dynamizm i potężną energię bijącą z ich ciał. Malowidło było tak bardzo plastyczne i realistyczne, że patrzący odnosił wrażenie, jakby chwycił postaci w dłonie. Mieszanka wosków i farb zawierała w sobie wszakże element, który wrył się w podświadomość Teresy i nie dawał jej spokoju. Nie umiała go jeszcze nazwać.

– Nie zdążyłem pani podziękować. Zawsze będę miał u pani dług wdzięczności.

Odwróciła się do Mariniego. Wreszcie po twarzy chłopaka przestały przemykać cienie przeszłości. Plaster na czole, rozcięta warga i lekki siniak na policzku stanowiły ostatnie ślady po wygranej bitwie.

– Elena ci wybaczyła? – zapytała.

– Nie.

Teresa zdjęła okulary i przetarła je rękawem.

– Wobec tego wstrzymaj się z podziękowaniami, bo może cię za chwilę kimś zastąpić.

Uśmiechnął się.

– Zasłużyłem sobie na to, pani komisarz.

– Też tak sędzę.

Z przedpokoju zawołał ich Raffaello Andrian. Jego stryjeczny dziadek był gotów przyjąć gości.

Alessio Andrian leżał na łóżku, ale nie spał. Poduszki za plecami zapewniały mu podparcie, aby nie tracił z oczu lasu, który zdawał się go fascynować.

Teraz Teresa spoglądała na Alessia przez pryzmat przeszłości: wyobrażała go sobie jako chłopca, młodego mężczyznę usiłującego przeżyć wojnę, której podobnie jak jego towarzysze, ani nie chciał, ani nie pojmował.

W oczach Anizy był romantycznym bohaterem. Bronił jej przed najeźdźcami, narażając życie. Wyobrażała sobie ich potajemne spotkania, skradzione nocą pocałunki, których jedynym świadkiem był bór.

Śpiąca nimfa nie była dziełem namalowanym przez pomyleńca, lecz portretem utraconej na zawsze miłości, aktem desperacji mającym na celu zatrzymanie ukochanej przy sobie.

Wzięła od Mariniego zdjęcia, które nie zostały jeszcze umieszczone w aktach sprawy.

Godzinę wcześniej nadeszło potwierdzenie, że odciski znalezione na *Śpiącej nimfie* należą do Carla Alberta Morandiniego. Porównanie z odciskami palców pobranymi z fotografii, które przechowywała córka, nie budziło wątpliwości. Kiedy Andrian malował obraz, towarzyszył mu partyzant skrzypek. Może dotknął jego ramienia, próbując odwieść go od popełnienia szaleństwa, a może chciał przywłaszczyć sobie również to wspomnienie po niej. Chciał skraść Anizę temu, kto ją kochał w każdym tego słowa znaczeniu.

Położyła zdjęcia na łóżku, przy dłoniach Alessia. Przedstawiwały ledwie siedemnastoletniego Chama, tuż przed tym, nim opuścił konserwatorium, aby wyruszyć w las i przyłączyć się do partyzantów.

Usiadła obok mężczyzny.

– Wiemy, że w wieczór śmierci Anizy Cham był z wami – powiedziała. – To jego widzisz, kiedy patrzysz w las, prawda?

Po raz pierwszy, odkąd go znała, Andrian oderwał wzrok od ściany drzew i spojrzał w tamtą twarz z przeszłości.

Z trudem przesunął rękę na fotografii, w jego geście zaś zawarty był cały ciężar lat spędzonych w bezruchu. W końcu zacisnął palce, zgniatając odbitki.

Czym prędzej zbliżył się do nich Raffaello.

– Stryju, nie – poprosił, Teresa jednak dała mu znak, by zostawił go w spokoju.

Przystawiła twarz do twarzy Andriana.

– Czy to Cham ją zabił? Jak? – zapytała.

Andrian z powrotem zamienił się w kamienną rzeźbę. Teresa spróbowała nawiązać z nim kontakt ponownie, jeszcze kilka razy, lecz mężczyzna ukrył się w swoim świecie wspomnień i milczenia i zamknął do niego drzwi.

Wstała z westchnieniem i podążyła ku wyjściu, gdy wtem ze stolika nocnego spadła ramka ze zdjęciem. Teresa zawróciła i ją podniosła, a kiedy znów była przy drzwiach, fotografia spadła po raz kolejny.

Teresa zerknęła na Mariniego i uświadomiła sobie, że pomyślał o tym samym: to Andrian zrzucił ramkę na ziemię niewidocznym drgnieniem ramion.

Na zdjęciu widniał jego stryjeczny wnuk Raffaello.

Gdy Parisi otworzył drzwi i Blanca wraz ze Smokym wysiedli z auta, skupili na sobie wszystkie spojrzenia. Przybyli na miejsce zbrodni, gdzie Emmanuel Turan został zabity, ponieważ zamierzali dokonać zuchwałego wyczynu: próby odnalezienia ciała ofiary i udowodnienia wszem wobec, że ten wyliniały pies i opiekująca się nim dziewczyna są tak znakomici, jak krążą słuchy. Teresa usiłowała umniejszyć wyprzedzającą ich sławę, musiała jednak udzielić jakichś informacji. Policyjna ekipa poszukiwawcza przywitała dziewczynę z irytującym protekcjonalizmem. Byli przekonani, że już wygrali absurdalne współzawodnictwo, jakie w ich mniemaniu stanowił pomysł Teresy.

– Przekopaliśmy pół lasu centymetr po centymetrze. Skoro jeszcze nie znaleźliśmy ciała, to znaczy, że go tu nie ma – zakomunikował jej niedawno dowódca ekipy poszukiwawczej.

Teresa była przeciwnego zdania, ale nie odpowiedziała, równałoby się to bowiem obwinieniu o porażkę jego i kierowanego przezeń zespołu. Chciała, by przemówiły fakty.

Gdy Blanca dotknęła ziemi laską dla niewidomych, rozbawione szmery ucichły. Dziewczyna postąpiła parę kroków w milczeniu krzyczącym „Jesteś kaleką!” i „To nie miejsce dla takich jak ty!”. Stukot laski przemawiał wszakże w jej imieniu: szybki i zdecydowany. W pewnym sensie definitywny.

Teresa patrzyła na jej ruchy z dumą, której wcale nie starała się ukryć.

– Zjedzą ją żywcem – oznajmił Marini. Był zmartwiony.

– Wątpię, żeby im na to pozwoliła – odparła – ale, tak czy inaczej, my tu jesteśmy.

Dowódca ekipy poszukiwawczej podszedł do nich z wściekłą miną.

– Czy to żart? – warknął.

– Nie mam poczucia humoru, wszyscy o tym wiedzą – odcięła się Teresa, nawet na niego nie patrząc.

– Przecież ta dziewczyna jest niewidoma!

– Za to mój pies ma sokoli wzrok – odparowała stojąca za jego plecami Blanca.

Teresa nie mogła powstrzymać uśmiechu. Kto wie, ile wysiłku kosztowała ją ta kąśliwa riposta.

Mężczyzna odwrócił się zakłopotany. Na widok jej drobnej i pokojowo nastawionej postaci wyzbył się całej agresji.

– Panienko, nie chcę być niegrzeczny, ale...

– To proszę nie być.

Popatrzył na Teresę. Z rezygnacją, która mogła oznaczać wszystko – zarówno wymuszone w ostatniej chwili przyzwolenie, jak i odcięcie się od tego szaleństwa – wycofał się w szeregi swoich ludzi.

Należące do ekipy poszukiwawczej owczarki niemieckie zaczęły przejawiać oznaki zniecierpliwienia, które przekształciły się w gniewne ujadanie, kiedy Smoky ze spokojem oddał mocz tuż pod ich nosami. On także jasno postawił sprawę.

Teresa wzięła Blancę i Mariniego na bok.

– Jak się czujesz? – zapytała dziewczynę.

– Gotowa.

Ścisnęła ją łagodnie za ramię.

– Nie spieszcie się – przykazała. – I nie przejmujcie się nami.

Dziewczyna skinęła głową.

– Nie mamy pojęcia, co morderca zrobił z ciałem – ciągnęła Teresa – ale jestem prawie pewna, że ono jest gdzieś tutaj. Przenoszenie go w inne miejsce miałyby się z celem: byłoby zbyt ryzykowne i wymagałoby zbyt dużo energii.

Blanca podniosła głowę, jakby szukała wiatru. Zdawała się namierzać w powietrzu ślady zapachowe, które miałyby doprowadzić Smoky'ego do ukrytego grobu. Leśny poblask, owa szczególna gra światła i cienia, którą Francesco określił jako „zieloną lukę”, odbijał się w jej ciemnych oczach, rozświetlając je.

– Te lasy są pełne dzików. Jeżeli zwłoki nie zostaną natychmiast uprzątnięte albo zakopane, raczej nie zachowają się w całości – stwierdziła dziewczyna.

– Gdzie chcesz rozpocząć? – zapytał Marini.

Zastanowiła się, po czym rozpięła bluzę i zdjęła kaptur. Wzmógł się wiatr, który rozwiewał jej włosy wokół twarzy, niebieskie fale pachnące kwiatami.

– Od brzegów rzeki albo od miejsca, gdzie jest woda – odrzekła stanowczo – ponieważ zwierzęta przenoszą i spożywają jedzenie tam, gdzie mogą także ugasić pragnienie. Czy ktoś ma mapę? Czy zechciałby sprawdzić?

Mężczyźni wokół niej zaczęli się uwijać niczym usłużni rycerze, co wywołało uśmiech na twarzy Teresy.

– Musimy podzielić teren na strefy o wymiarach mniej więcej dziesięć na dziesięć metrów – mówiła dalej Blanca. – Będziemy pilnować, żeby psy obwąchały każdą dziurę, każdy załom. Groby wyróżniają się na tle otaczającej je roślinności inną powierzchnią gleby. Jest ciemniejsza, bardziej miękka, wzruszona, z powycinanymi albo powyrywanymi roślinami. Nawet jeżeli ten kawałek ziemi zdążył ponownie zarosnąć, choćby tylko trawą, będzie ona bujniejsza niż ta obok.

Zakreślili na mapie interesujący ich obszar: jakiś kilometr kwadratowy od punktu, w którym zabito Emmanuela Turana, aż do koryta rzeki. Mieli zacząć od tego miejsca.

– Ile czasu nam zostało do przyjazdu Lony? – zapytał cicho Marini.

– W każdym razie za mało – odrzekła Teresa. – Przygotujmy się na najgorsze.

– Nie czuć już wiatru – oznajmiła Blanca. Kazała sobie podać plecak, z którego wyjęła jakąś buteleczkę. Marini pochylił się do ucha Teresy.

– Talk? – szepnął.

– Ćśśś, pozwólmy jej działać.

Dziewczyna umieściła na dłoni odrobinę wonnego proszku i rozsypała palcami. Był tak nieuchwytny, że ukazał obecność najlżejszego drgnienia powietrza.

– Z której strony wieje? – zapytała.

– Z północnego wschodu – odrzekł Marini.

Skinęła głową i ukucnęła obok Smoky'ego. Teresa nie usłyszała jej słów; pomyślała, że musiał to być jedynie szept. Zachęta, ufność, jedność, symbioza to niektóre z określeń, jakie zrodziły się w umyśle komisarz. Uświadomiła sobie, że dla dziewczyny ten pies jest kimś więcej niż tylko towarzyszem, dzięki któremu

trudy codzienności stają się znośniejsze: to żywe przedłużenie jej własnej istoty, dodatkowy zmysł, którym odbiera świat. Z całą pewnością bijąca część jej serca.

– Rozpoczęcie poszukiwań pod wiatr jest dla psów pomocne – wyjaśniła Blanca, podnosząc się. – Podążają za stożkiem zapachowym aż do źródła. Jeżeli będziemy mieli szczęście, cząsteczki zapachowe dotrą nawet z daleka.

Złożyła ruchomą laskę i schowała w tylnej kieszeni džinsów. Teresa usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest spacerować po ciemku po nierównym leśnym terenie, czuć nieustanny lęk przed postawieniem stopy nie tam, gdzie trzeba, być stale wytrąconą z równowagi, nie wiedzieć, co masz przed sobą: pustkę czy przeszkodę, która może cię zranić. Blance nic nie groziło, Smoky i pozostali policjanci zawsze będą przy niej, ale może właśnie to stanowi największą trudność – zaufać innej istocie tak bardzo, żeby oddać się w jej ręce.

Teresa miała własną teorię na temat rezygnacji z laski przy poszukiwaniach: Blanca chce zanurzyć zmysły w rojący się świat wokół, zejść tak głęboko, że aż poczuje go jak ktoś, kto w nim tonie. Podczas długich wieczornych rozmów dziewczyna podała jej bijący po oczach przykład.

– Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się szukać czegoś po omacku, bo nie mogłaś patrzeć? – zapytała pewnego razu. – Kluczy, chusteczki w torebce. Wiesz, że tam są, ale mogą upłynąć całe godziny, a ty ich i tak nie znajdziesz. W tej ciasnej przestrzeni przechodzą ci przez palce dziesiątki przedmiotów, które z trudem udaje ci się rozpoznać.

Teresa przytaknęła. Często jej się to zdarzało przy pośpiechu.

– A potem wystarczy krótki rzut oka i po paru sekundach znajdujesz to, czego szukasz. Zmysły zarejestrowały współrzędne i na nowo sporządziły mapę. Wiesz dlaczego? – zapytała. – Bo wydaje ci się, że znasz to, co cię otacza, chociaż w rzeczywistości dysponujesz wyłącznie obrazem, w dodatku niezbyt dokładnym. Wiesz mało albo nic na temat kształtu, proporcji, ciężaru, struktury powierzchni. Uświadamiasz to sobie, kiedy obraz się zaciemnia i tracisz wzrok. Musiałam się nauczyć widzieć dotykiem, słuchem i węchem. Prawdopodobnie to, co postrzegam zmysłami, dla wielu pozostaje niedostępne.

Dla Teresy to było niczym objawienie.

Patrzyła, jak Blanca szuka szelek Smoky'ego, po czym równym krokiem odchodzą w las, posuwając się idealnie wzdłuż granic nakreślonej na mapie siatki.

Pomiędzy drzewami umieszczono dla dziewczyny sznurki, aby jej zmysły mogły się uchwycić również czegoś materialnego. Linka dzieliła obszar do przeczesania na sektory, ale śmierć nie podążała za wskazówkami, toteż cała nadzieja w tym, że psy wyczują ją, gdziekolwiek jest, nawet jeśli powiew wiatru przyniesie jej zapach tylko na kilka chwil.

– To morze kolczastych krzewów i jam, gęstych lasów i osuwisk – mruknął po pewnym czasie Marini. – Będą się musieli okazać lepsi od wszystkich, żeby go znaleźć.

– Są lepsi – odparła Teresa.

– Może wcale nie tu powinniśmy szukać.

– A ja nie mam wątpliwości. Ofiara była w podeszłym wieku i drobna, miała wymizerowane ciało, ale przecież była dorosła. Zabójca nie mógł jej ciągnąć kilometrami i nawet sobie nie wyobrażam, żeby wyniósł ją z lasu, bo niby dlaczego? Tutaj dysponował idealną kryjówką.

– Co do tego nie ma wątpliwości, dowodem na to jest brak rezultatów w poszukiwaniach. Może potrzeba tylko czasu.

– To jedyne, czego nie mamy.

Teresa odwróciła się, by popatrzeć na drogę. Obawiała się przyjazdu Alberta i tego, że pokrzyżuje im plany.

Marini jakby czytał jej w myślach.

– A więc Lona jest taki dlatego, że go pani odrzuciła.

– Jest taki dlatego, że taki ma charakter. Zapłaciłam bardzo wysoką cenę za swoją wolność. On zaproponował mi drogę na skróty, która doprowadziłaby mnie dokładnie do tego, od czego chciałam uciec: to był kolejny mężczyzna owładnięty żądzą posiadania. Nadal nim jest. Stosuje przemoc psychiczną, równie odrażającą jak ta fizyczna.

Zamknęła oczy. Przez chwilę las wirował wokół niej z oszalamiającą szybkością. Może za sprawą ciężaru wspomnień, może za sprawą choroby. Uniosła powieki, lecz zawroty nie ustały. Musiała ucześcić się gęstych gałęzi. Marini czym prędzej ją podtrzymał.

– Co się dzieje?

– Kręci mi się w głowie.

Pomógł jej usiąść i ukląkł obok niej.

– To może być spadek ciśnienia – stwierdził, chwytając ją za nadgarstek.

– Nic mi nie jest.

– Ma pani przyspieszone tętno.

Teresa cofnęła rękę.

– Kurna olek, nic mi nie jest.

– Wzięła pani insulinę?

Teresa nie odpowiedziała.

– Pani komisarz?

Nie pamiętam. Nie mam bladego pojęcia.

Czuła się coraz gorzej do tego stopnia, że trzęsły jej się ręce.

Złapała komórkę. Na ekranie wyświetlały się rozmaite automatyczne przypomnienia, które Teresa zignorowała. Nie usłyszała dzwonka, toteż pora zastrzyku dawno minęła.

– Cholera – zakłęta, walcząc z mdłościami, które wywołał pusty żołądek. Poszukała na dnie torby pena do insuliny, modląc się w duchu, aby ta szybko zadziałała.

– Pomogę pani. – Marini sam znalazł wstrzykiwacz, lecz Teresa wyjęła mu go z rąk.

– Dam sobie radę – rzekła. W tej samej chwili pen wysunął jej się z palców. Nie zdołała zapanować nad drżeniem dłoni.

– Pani komisarz, niech pani wreszcie będzie cicho!

Teresa umilkła. Chętnie by coś odpysknęła, gdyby tylko język nie zaczął jej się plątać, jakby tańczył cza-czę na podniebieniu. Miała silną hipoglikemię.

– Jazda, proszę mi powiedzieć, co mam robić.

Ton głosu Mariniego był stanowczy, ale spokojny. Teresa napawała się tym spokojem, był taki kojący. Pogodziła się z rzeczywistością: potrzebowała pomocy. Potrzebowała jego pomocy.

Udzieliła mu wskazówek z odwróconą twarzą, ze wzrokiem utkwionym w kwiaty na poboczu drogi, w przysiadającym na nich motyłu, w pięknych, choć wymuszonych myślach. Niedaleko stąd znajdowało się wzgórze, na którym

Andrian namalował obraz przedstawiający małego Francesca. Mogła dojrzeć jego wierzchołek: czubek lipy kołysał się na łagodnym wietrze.

– Nikt na panią nie patrzy – usłyszała głos Mariniego.

Tak jakby właśnie to stanowiło problem.

– Zdaje się, że ty masz oczy – odparła sucho.

Marini roześmiał się cicho, zadzierając jej sweter, podczas gdy ona odsunęła pasek spodni.

– Założę się, że chętnie by mi je pani wydłubała – powiedział. – Pani też dowiedziała się o mnie pewnych rzeczy, które wolałbym przemilczeć. *Do ut des*. Moim zdaniem to sprawiedliwa wymiana.

– Niby co? Oglądanie mojego tyłka?

– Pani komisarz, gdyby pani pośladki były tutaj, miałyby pani poważne kłopoty.

Ona także się uśmiechnęła. Może był to tylko mimowolny odruch, instynktowny sprzeciw wobec świadomości, że on wpatruje się w jej obnażoną i starą skórę, w wałeczki tłuszczu na brzuchu, które temu silnemu i wysportowanemu chłopakowi muszą się wydawać jeszcze bardziej obrzydliwe niż są w rzeczywistości. Teresa nigdy nie czuła się aż tak naga, bezbronna i upadła.

Zastrzyk podziałał, Marini zaś z powrotem zasłonił ciało Teresy.

– Istnieją wynalazki elektroniczne, które mogłyby ułatwić życie – oznajmił.

Teresa była tego świadoma, ostatnimi czasy jednak zabieganie o to, by nie utracić własnych wspomnień, tak ją pochłonęło, że cukrzyca, mikropompy insulinowe i wszystko, z czym się wiązały, spadły na koniec listy istotnych spraw do załatwienia.

– Dzięki – wysapała. Była wściekła na siebie.

– Nie ma za co. Odwieźć panią do domu?

Teresa ostrożnie wstała.

– Ani myślę wracać.

– Dokąd zamierza pani pójść?

– Tam, gdzie moje miejsce, które nie jest na tyłach.

Dołączył do nich Parisi.

– Pani komisarz, dzwonił Francesco Di Lenardo i pytał o panią. Koniecznie chce z panią mówić.

Teresa zerknęła na Massima i ponownie na Parisiego.

– Wyjaśnił, w czym rzecz?

– Nie, ale wyglądało, że to coś pilnego. Był poruszony. Powiedział tylko, że nie może dłużej czekać.

Na twarzy Mariniego odmalowała się czujność.

– Krisnja mówiła, że Francesca coś dręczy – rzekł. – A gdyby to były „tajemnice”?

Dom Andrianów graniczył z porastającym równiną lasem. Las ten nie miał w sobie majestatyczności rosnących bardziej na północ borów, gdzie region ciągnął się poza wododział alpejski i geograficznie oddzielał się od Włoch, łącząc się ze zlewiskiem Morza Czarnego. Jakże bliska i jakże daleka ziemia. Pod każdym względem.

Lasy na równinie były łagodne i miały niewiele z dzikości. Przypominały raczej aksamitne futro domowego kota niż włochatą i tłustą sierść dzikiego rysia: pozornie podobne, lecz bardzo różne.

Były wszakże wystarczająco gęste, by zdołał się w nich skryć cień obserwujący właśnie starego malarza. Od długiego czasu Tikô Wariö cierpliwie wpatrywał się w maskę sędziwości i rozgoryczenia, jaką stanowiła twarz Andriana. Posiwiwały malarz był niczym stary jeleni dźwigający ciężar korony z rogów, władca świata, który zginął dawno temu. Bez wahania jednak ugodziłby nią rywala w pierś, gdyby tylko mógł. W jego czarnych oczach, nawet z daleka, dało się wyczytać deklarację wojny, która trwała dla niego od dziesiątków lat.

Tikô Wariö wyłonił się z zarośli i podążył ku niemu. Z każdym krokiem widział, jak oblicze starca niepostrzeżenie się zmienia, niczym wiosenne niebo nad nimi: tak humorzaste, tak gwałtowne w swoich reakcjach.

Żywy grobowiec, w jaki Andrian zamienił własne ciało, przykotwiczał go do świata. „Okrutny strażnik” zastanawiał się, czy bezruch wyostrza postrzeganie rzeczywistości i zagrożenia. Sądził, że tak.

Podszedł do okna ze wzrokiem utkwionym w oczach Andriana. Ujrzał, jak oczy starca rozszerzają się w wychudzonej twarzy, bladej niczym marmur na płycie nagrobnej.

Ten nowy dziennik mi nie pasuje. To tak, jakby zastąpić osobę, której już nie ma: jak to zrobić? Człowiek ciągle jej szuka. Traci dla niej głowę. Życie pozbawione zostaje nagle wszelkiego sensu. Paradoksalnie to właśnie jej brak sprawia, że zawsze jest obecna i namacalna. Właśnie pustka określa znaczenie tej utraconej osoby, to, że na opłakiwanie jej już nie starcza nam łez. To jak deszcz, ale w przeciwną stronę, ku niebu.

Zastanawiam się, co czuje morderca, czytając na swój temat między wierszami. Czy rozpoznaje tam swój psychotyczny umysł i sam w sobie wzbudza litość.

Może pewnego dnia zrozumie go, patrząc mu w oczy.

Francesco spoglądał na nich z rezygnacją. Wpuścił ich bez słowa. Zgarbiony wyglądał na swoje lata.

Ciężar winy, pomyślała Teresa. Bezwzględnie stawiała mu czoło, zdecydowana, że nie odejdzie, dopóki nie uzyska tego, po co przyszła: prawdy.

– Pora pozbyć się brzemienia – rzekła.

Przytaknął.

– Właśnie po to was wezwałem. Jestem gotowy.

– Pakt, jaki zawarliście, będąc dziećmi, skrywał pewną tajemnicę, zgadza się? Tajemnicę, która wiązała was aż po grób.

Francesco westchnął. Długa pokuta.

– Tamtego przekłętego dnia – rozpoczął swą opowieść – po tym, jak trafiliśmy w Niemca, podeszliśmy do niego, żeby sprawdzić, czy nie żyje. Tylko ja i Ewa, drżąc i trzymając się za ręce. Tymczasem partyzant ukrył się między drzewami i powiedział, żebyśmy tego nie robili, bo może być ich więcej. Już wiedział, jak straszna bywa zemsta niemieckiego dowódcy.

Przerwał, Teresa nie mogła jednak pozwolić, by nadal się chował.

– Co takiego zobaczyliście? – zapytała odruchowo.

– Krew, ale nie aż tyle, ile się spodziewałem. Pamiętam, jak przemknęło mi przez myśl, że jest jej za mało jak na nieboszczyka. Później dotarło do mnie, że miałem rację: żołnierz tylko zemdłał. Paskudne uderzenie w głowę przy upadku i zadrapanie na ramieniu od pocisku, który trafił go rykoszetem. Wrócił, aby wziąć odwet wraz ze swoimi kompanami, ale nie tylko tego szukał.

– Co pan przez to rozumie? – zapytała ostrożnie Teresa.

Francesco wytrzymał jej spojrzenie, choć było jasne, że sporo go to kosztuje.

– Okradliśmy go – wyznał łamiącym się głosem. – Okradliśmy człowieka, sądząc, że jest martwy.

Teresie zrobiło się go żal. Jakże się dręczył z powodu dziecinnego wybryku.

– Byliście dziećmi – powiedziała. – Nie mogliście zdawać sobie sprawy, czym są wojna i śmierć.

Wzruszył ramionami, oczy mu błyszczały.

– Może tak, a może po prostu byliśmy źli, kto to teraz może stwierdzić?

– Czy Niemiec odebrał swoją własność? – zapytał Marini.

– Nie, nie zdążył. Nadejście partyzantów, strzały... Zmył się razem ze swoimi towarzyszami i już nigdy więcej nie pojawili się w dolinie. Wojna zbliżała się ku końcowi, teraz wszyscy już o tym wiedzieli. Niemcy zwinęli obóz po kilku dniach. Niemniej nawet on nie mógł wyjawić naszej tajemnicy, ponieważ okradliśmy złodzieja.

Teresa pochyliła się ku niemu i zachęciła skinieniem, by mówił dalej.

– Znaleźliśmy przy nim ikonę, owiniętą w szmatę i przypiętą na piersi paskiem – ciągnął Francesco. – Był to wizerunek Matki Boskiej, kto wie, z którego kościoła ten Niemiec go ukradł. To była taka piękna i rozświetlona Madonna. Pamiętam jej zachwycające rysy, srebro i złoto, które połyskiwały w słońcu jak gwiazdy, kiedyśmy trzymali ją w rękach. Mój Boże, jakie te składające jej hold anioły miały rozpostarte skrzydła! Tutaj, w dolinie, nigdy nie było niczego podobnego. Nigdy nie widzieliśmy nic równie pięknego. Byliśmy całkowicie oczarowani.

– Co się stało potem?

– Ewa chwyciła ikonę i uciekła. Ja i Emmanuel pobiegliśmy za nią.

Teresa napotkała zdumione spojrzenie Mariniego.

– Emmanuel Turan? On był z wami? – zapytała.

Francesco pokiwał głową.

– Emmanuel ciągle za nami łąził. Czasem braliśmy go ze sobą, czasem przepędzaliśmy. Zawsze był jakiś dziwny, inny, a dzieci potrafią być okrutne.

– Wróciliście do Chama?

– Nie, nie! Zignorowaliśmy jego wołanie i schowaliśmy się w lesie. Widział nas, wiedział, co zrobiliśmy, i domagał się ikony. Nękał nas przez wiele dni. Skradał się za nami. Widzieliśmy, jak obserwuje nas zza drzew. Baliśmy się, zastraszył nas. Nocami rzucał kamieniami w okno naszej sypialni. Mimo to Ewa nie chciała mu jej oddać. *Jak można oddać Najświętszą Panią w jego brudne łapska?* powtarzała. Nie, nie można było. Wspólnie postanowiliśmy zrobić jedyną możliwą rzecz.

– To znaczy? – ponaglił Marini.

Francesco podniósł na niego wzrok.

– Wrzuciliśmy ikonę do rzeki, na jego oczach. Patrzyliśmy, jak wskakuje do wody, żeby ją wyciągnąć, ale fale zdążyły ją porwać. Zostawiliśmy go tam zrozpaczonego i samotnego, zanurzonego w lodowatej wodzie. Od tamtej pory nigdy już go nie widziałem.

Carlo Alberto Morandini nie pokazał się więcej dzieciom, co nie oznacza, że się oddalił, pomyślała Teresa. Wrócił, nadal krążył wokół nich i wokół doliny, niczym planeta wokół Słońca, więzień własnej siły. Zapewne ikona stanowiła obsesję, od której nigdy się nie uwolnił. Teresa zapytała Francesca, co się z nią stało.

– Utonęła na zawsze – odparł. – Teraz, ozdobiona kamieniami szlachetnymi i intarsjowana srebrem, jest częścią doliny.

Zupełnie jak Aniza, przemknęło przez głowę Teresie.

Marini odszedł na bok, by odebrać telefon, po chwili zaś skinął na nią.

– Mamy problem – oświadczył ze śmiertelną powagą.

Pod Teresą ugięły się nogi.

– Blanca? – zapytała.

– Tak. Jest przekonana, że natrafiła na szczątki... Nie są ludzkie, pani komisarz.

– Bądź pozdrowiona, Wielka Dziewico, chlubna Bramo Niebios. Dzień chyli się ku końcowi, a noc prawie nadeszła. Niezadługo zajdzie słońce i rozbłyszną gwiazdy. To święty obrzęd wieczoru, aby dopełnić dzień światła.

Mrok rozjaśniły nikłe płomyki.

– Zapalką wzniecę ogień na ołtarzu wzniesionym dla ciebie, Chwalebna. Płoną jasne łzy nocnego kadzidła, aby moja dusza mogła się otworzyć na twą tajemnicę.

Żywica zaczęła wydzielać szare smużki wonnego dymu.

Ikona lśniła w blasku świętego ognia. Srebro i złoto połyskiwały niczym okruchy spadłych z nieba gwiazd. Twarz Madonny ledwie było widać zza przesłaniającego ją czarnego woalu. Jej oblicze zdawało się podążać za wzrokiem obserwatora. Jej piękno stanowiło kwintesencję wszechświata.

– Noszę w sobie Tikô Wariö. Strzegę. I noszę w sobie Tikô Bronô. Chronię cię. Oddaję ci w hołdzie słowa zapisane w magicznej piramidzie Unisa, słowa dawnych wielkich mistyków, słodkie pieśni Pindara i Apulejusza.

Pozdrowiły ją złączone dłonie i spuszczone głowa.

– Nazywam cię twymi wielkimi imionami, Matko. Rodzicielko Początku. Królowo duchów. Litościwa władczyni opustoszałych cisz Piekieł. Ta, która nocą otwiera bramy podziemnego świata. Wielka czarodziejko, która leczysz. *Regina Coeli*.

Kolana się ugięły, czoło dotknęło ziemi.

– Wysławiają cię Niebiosa i czci Piekło. Posłuszne są ci gwiazdy, pory roku i żywioły. Ty, która wprawiasz w ruch planety i rozświecisz mrok. Łaskawa. Pierwsza tajemna. *Hent. Heket*.

Wargi ucałowały kurz.

– Ja, wierny wyznawca, kłaniam się tobie, *Mater Dei*.

Teresa przepchnęła się przez tłum gapiów. Wieść o tym, że policja wreszcie natrafiła na coś w lesie, już się rozniosła. To coś nie było wszakże tym, co pragnęła znaleźć.

Przeszła pod taśmą, która broniła wstępu niepożądanym osobom, i zagłębiła się w las. Przy każdym kroku czuła pod łokciem troskliwą dłoń Mariniego. Ugryzła się w język i pozwoliła, by ją podtrzymywał, ponieważ w ogóle nie brała pod uwagę, że mogłaby się przewrócić na oczach tych zaprawionych w bojach mężczyzn gotowych ją wyśmiać. Nie w tych okolicznościach, gdy jej autorytet powinien być silniejszy niż kiedykolwiek i bronić tych, którzy jej ufają.

– Kurwa – zaklął Marini.

Rzadko słyszała, żeby rzucał mięsem. Tym razem miał słuszny powód, co uzmysłowiła sobie, podnosząc wzrok: Blanca tkwiła właśnie pośrodku jednego z kwadratów, na jakie podzielono obszar do przeczesania. Przed nią stali dowódca ekipy poszukiwawczej i zootechnik. Pomiędzy nimi Parisi i De Carli, studząc wojownicze nastroje gotowe zaraz wybuchnąć. Prawdę mówiąc, już wybuchły. Ton głosu się podnosił. Blanca miała poczerwieniałą i ściągniętą twarz. Była bliska płaczu ze złości.

Jednak to widok znajdującego się kilka kroków dalej mężczyzny skłonił Mariniego do przekleństwa i zmroził Teresę. Albert Lona, jakby przywołany myślami, spojrzał na nią wściekle, ale jednocześnie z satysfakcją, delektował się bowiem na zapas chwilą, kiedy każe jej zapłacić za pomysł, który podważył jego autorytet.

Teresa przygotowała się do starcia, naostrzyła w myślach broń, prosząc jakieś bóstwa tam, w górze, żeby choroba nie dała o sobie znać akurat teraz. Już widziała się w duchu, jak duka coś niezrozumiale z ogłupiałą miną i pustym wzrokiem. Nie, nie w tej chwili.

– Nie wtrącaj się – nakazała Mariniemu. – Pod żadnym pozorem.

Teresa chciała pierwsza stawić czoło Albertowi. Pospiesznie minęła Blancę, obdarzając ją w przelocie pieszczotą, którą dziewczyna z pewnością zrozumie.

Lecz komendant natychmiast ją powstrzymał.

– Proszę nic nie mówić – ostrzegł spokojnym tonem, którego używał, kiedy chciał kogoś zniszczyć.

Na Teresę ze wszystkich stron spadła lawina narzekań, aż w pewnym momencie musiała wrzasnąć, żeby przywrócić porządek.

– Pokażcie mi go – poleciła sucho.

Otwarta mogiła znajdowała się tuż obok. Naturalnie wyglądające wgłębienie, w którym zdołałoby się zmieścić skulone ludzkie ciało, lecz z którego wystawały długie i rozgałęzione rogi.

– Sądząc po porożu i zużyciu uzębienia, stary przedstawiciel rodziny jeleniowatych – wyjaśnił zootechnik. – Brak ubytków w szkliwie, a zębina jest gładka. Według mnie zwierzę zdechło z przyczyn naturalnych.

Szkielet połyskiwał między glebą a liśćmi.

– Ziemia wokół jest poruszona – zauważyła Teresa.

– Nie, została naniesiona do dołu przez ostatnie deszcze.

Teresa popatrzyła na Blancę. Dziewczyna zadrżała, słysząc ów wyrok, ona zaś nie mogła dla niej nic zrobić. Blanca trzymała Smoky'ego za szelki. Podekscytowany pies bezustannie kręcił się wokół własnej osi, sygnalizując zwłoki, których nie było.

Dowódca ekipy poszukiwawczej okazał się na tyle wrażliwy, by odciągnąć Teresę na bok.

– Psy są tak szkolone, żeby ignorowały szkielety zwierząt. Powinny być tak szkolone – sprostował. – Na tym psie nie można polegać.

– Nie!

Odwrócili się na dźwięk protestu Blanki.

– Przykro mi, panienko. To fałszywy sygnał – potwierdził mężczyzna.

Blanca wyciągnęła przed siebie ręce jakby w usilnym błaganiu, na które Teresa odpowiedziała natychmiast, chwytając je w swoje dłonie.

– Tam pod spodem jest zakopane ciało – upierała się dziewczyna. – Smoky się nie myli. Ja mu wierzę.

Teresa usiłowała ją uspokoić, jednocześnie zastanawiając się gorączkowo, jakie będzie następne posunięcie Alberta, który obserwował ją w bezruchu. Ciekawiło ją, czy sama też okaże się skłonna do niezachwianej wiary, tak jak Blanca.

Zerknęła na dół, na długie rogi, nadgryzione zębem czasu i uszkodzone przez warunki atmosferyczne. Sprawiały wrażenie rogów jakiegoś upadłego i zapomnianego przez wszystkich bożka. Po czym ponownie spojrzała na niespokojnie poszczekującego psa.

Czy on czuje ludzką śmierć? Odór tak odpychający, że nie sposób go zignorować?

Zbliżył się do nich Albert.

– Odsunąć psa i dziewczynę – rozkazał.

Teresa stanęła między mężczyznami a Blancą. U jej boku Marini.

– Porozmawiajmy najpierw – zaproponowała.

Albert zmierzył ją wzrokiem, jakby popełniła bluźnierstwo.

– Proszę wypełniać rozkazy, pani komisarz, i się oddalić. Pani udział w tym śledztwie nie jest już pewny.

Teresa zaklęła, i to głośno.

– Jeśli się mylę, natychmiast odejdę – odparowała, rzucając komendantowi wyzwanie. – Ale żeby się upewnić, musimy wydobyć szkielet i kopać dalej.

Patrząc, jak rozważa jej propozycję – głowa Teresy w zamian za metr sześcienny ziemi do usunięcia – wiedziała, że nie oprze się pokusie upokorzenia jej publicznie.

I rzeczywiście, Albert skinął na pozostałych, by wrócili do kopania.

Marini chwycił łopatę i przyłączył się do reszty.

Teresa stanęła obok Blanki, pozwalając jej odczuć swoją obecność, a zarazem nie pokazując przed Albertem, jaka łączy je zażyłość.

– Jest tam – usłyszała jej szept.

Smoky przestał się wiercić; jego zadanie dobiegło końca.

Słońce skryło się za ołowianymi chmurami. Wraz z nadejściem mroku nad śmiercią rozpostarła się zasłona. Gdy uderzenia łopat zniecka ustały, Teresa pojęła, że z ziemi wyłoniło się coś innego.

– Pani komisarz! – zawołał Marini.

Teresa przysunęła się czym prędzej. W wilgotnej i czarnej dziurze, w gąszczu korzeni spoczywało wątłe ciało starca.

Emmanuela Turana.

Teresa przykucnęła nad krawędzią grobu.

Pomimo że zwłoki ułożono w pozycji embrionalnej, z ramionami skrzyżowanymi jakby w obronnym geście, dostrzegła rozciętą klatkę piersiową. W miejscu serca widniał blady i zwiędły kwiat: dziki zawilec.

– Świeże ludzkie szczątki zakopane pod starym zwierzęcym szkieletem – mruknęła Teresa. Doniosłość odkrycia rzucała światło na umysł mordercy, którego ściagała.

– Niemal udana próba zmylenia pościgu przez zabójcę – stwierdził, nie dowierzając, Marini.

W całej swojej karierze Teresa nigdy nie była zmuszona zareagować na podobne posunięcie.

– Wykorzystał naturalne zagłębienie terenu i przykrył zwłoki – rzekła, wskazując wąwóz.

– Dobrze zna okolicę.

Ledwie zdążyła dojrzeć, jak Albert wypowiada bezgłośnie groźbę wyrównania rachunków, i już go nie było.

Wstała i poklepała dowódcę ekipy poszukiwawczej po ramieniu. Mężczyzna stracił całą pewność siebie.

– Dziewczyna jest niewidoma – oznajmiła, cytując jego pierwszy komentarz na temat Blanki – ale najwyraźniej widzi lepiej niż wy wszyscy razem wzięci.

Podeszła do Blanki i wzięła ją za rękę.

– Zamknęłaś im wszystkim usta – skwitowała. – Nawet mnie nigdy się to nie udało.

Dziewczyna uśmiechnęła się, nareszcie odprężona.

– Mężczyznom zawsze trudniej jest uwierzyć – odparła.

Ileż w tym było prawdy.

Teresa sięgnęła wzrokiem poza linię lasu, gdzie zbiegowisko ciekawskich się powiększyło. Nie potrafiła rozróżnić twarzy, żywiła jednak przekonanie, że wiele z nich należy do osób, które zna, i że jest wśród nich twarz mordercy, była tego

pewna. Albowiem on zawsze im towarzyszył, niekiedy nawet wyprzedzał ich o krok.

Obserwuje nas. Nigdy nie przestał. Nawet teraz jego oczy skupione są na nas.

Smoky poruszył się pod ich nogami. Blanca się zasępiła.

– Co się dzieje? – zapytała Teresa.

– Chce, żeby go spuścić ze smyczy. Węszy kolejny trop.

Marini torował drogę, dbając o to, żeby gałęzie i korzenie nie zraniły Blanki ani nie naraziły jej na upadek. Teresa podążała kilka kroków za nimi, razem z technikami kryminalistyki. Dziewczyna pozwalała psu, by bez pośpiechu nakreślił mapę zapachową otaczającego go nieznanego świata, by węszył, kiedy przystawał, a wszyscy wstrzymywali oddech, dopóki nie ruszał dalej, jeszcze bardziej zdecydowanie.

Blanca powiedziała jej wcześniej: *Ja czytam w nim, a on czyta we mnie*. Dziewczyna robiła to dłońmi, Smoky oczami, Teresa była jednak pewna, że najistotniejsza rozmowa toczy się w ich sercach.

W oddali, na ubitym szlaku, ciągnęła się milcząca procesja zaciętych twarzy: ludzi z miejscowej policji, członków ekipy poszukiwawczej i obrony cywilnej. Nikt już nie miał odwagi kwestionować decyzji Teresy, ale przede wszystkim nikt już nie wątpił w ścieżkę wytyczoną przez dziewczynę i psa.

Nie wiedzieli, co zastaną na końcu tej niewidzialnej ścieżki, lecz podążali za zapachem ludzkiej krwi. Za każdym razem, gdy Smoky odnajdywał ślad krwi, kładł się na ziemi i wydawał krótki skowyt.

Było w tym zwierzęcym śpiewie coś niepokojącego, nuty jego muzyki zostały bowiem napisane ręką mordercy – niczym w jakiejś czarnej, tragicznej baśni rozsiały po lesie maleńkie krople krwi. Aby ich poprowadzić, rozrzucił to, czym było życie Emmanuela.

Po naleganiach Teresy i po licznych wahaniach technicy zgodzili się podzielić przedwcześnie pierwszymi wrażeniami na temat wykonywanych przez siebie badań.

– Ślady krwi są typowe dla ociekania pod wpływem działania siły ciężkości – wyjaśnił niechętnie technik.

Kształt przemawia. Wskazuje źródło, dynamikę, siłę. Zamiar.

Nie były to bryzgi, które ochlapały na chybił trafił okoliczną roślinność, ale symetryczne krople, które spadły pionowo na środek ścieżki.

Teresa nie miała wątpliwości: to było zamierzone. Morderca aż do tej pory okazał się zbyt metodyczny, zbyt inteligentny i zorganizowany, by popełnić tak ordynarny błąd. Gdy tylko pies dawał znak i się podnosił, mężczyźni w białych kombinezonach pochylali się nad fragmentami lasu, aby wyizolować i skatalogować to, co miało się zamienić w dowody w śledztwie. Na razie odnaleziono pięć kropel krwi.

– Co pani o tym sądzi? – zapytał w pewnym momencie Marini, zrównawszy się z nią.

Teresa nie odezwała się od razu. Szukała najbardziej odpowiednich słów potrafiących oddać myśl, która instynktownie ją dopadła, zarazem jednak umożliwiającą zachowanie logiki. Nie znalazła. Podświadomość zbyt silnie dawała o sobie znać i chciała dojść do głosu.

Spojrzała w górę, na rozłożyste gałęzie. Wsłuchiwała się w dalekie pohukiwanie puszczyka, które przyniósł wiatr. Psi skowyt przypominał wołanie. Myśli Teresy powędrowały ku czarnemu sercu przybitemu u wejścia do dawnego i tajemniczego świata i ku kropłom krwi, które ktoś upuścił na ziemię.

Pięć maleńkich kamyczków, które nasz Tomcio Paluch zostawił na drodze.

– Na swój sposób opowiada nam własną bajkę – mruknęła.

– Zazwyczaj bajki mają szczęśliwe zakończenie – zauważył Marini.

– Właśnie po to tu jesteśmy, żeby je zapewnić. Tylko że, jak w każdej szanującej się baśni, najpierw ktoś musiał umrzeć, a ktoś inny niesłychanie cierpieć.

– Ślad zapachowy urywa się tutaj – oznajmiła Blanca, przerywając ich dywagacje. Uklękła obok Smoky'ego i zaczęła go głaskać. – Już nic nie czuje.

– Zdaje się, że ciąg dalszy opowieści... – rzekł Marini, lecz nie dokończył zdania. Zmienił się na twarzy. Wskazał konkretne miejsce wśród zarośli, w którym rysował się jakiś wyraźny i koślawy cień.

– Tam coś jest – powiedział stanowczo.

Teresa podążyła za jego wzrokiem.

– Zdaje się, że ciąg dalszy opowieści – dodał pod nosem – rozgrywa się w chacie na skraju lasu.

Rudera była starą, popadłą w ruinę od kilkudziesięciu lat zagrodą, którą las wydarł i przygniótł pnączami bluszczu i kapryfolium. Nieliczne trzymające pion kamienie oddzielały trzy oryginalne pomieszczenia na parterze. Z tym, co pozostało z pierwszego piętra, łączyła go galeria z poczerniałego i przegniłego drewna. Dach w połowie się zawalił, a z dziur, w których kiedyś znajdowały się okna, sterczały połamane belki.

Drzwi wejściowe nadal stały. Na nadprożu czyjaś ręka umieściła wykonany kredą napis C†M†B, zatarty przez czas i niepogodę.

– Co to znaczy? – zapytał Marini.

Nic, czego należałoby się obawiać, Teresa doskonale to wiedziała. Nauczyła ją tego przeszłość własnej rodziny. Musnęła rękawiczką poszarzałe drewno.

– *Christus mansionem benedicat* – odparła. – Chrześcijański zwyczaj, który w rzeczywistości ma pogańskie źródło. Potężny talizman przeciw tajemnym siłom. Głowa rodziny zapisywała ten skrót w wieczór Trzech Króli na drzwiach domu i obory, aby chronić mieszkańców i zwierzęta. W pomieszczeniach palono kadzidło.

Opuściła rękę. Wspomnienia te zdawały się być częścią życia kogoś innego.

– Wejdę pierwszy – rzucił Marini.

Szarpnęła go za marynarkę i sama przekroczyła próg.

Nie było już nic, co można by określić jako ludzkie. Tylko ludzkie. Każdy ślad się rozmywał. Ze ścian została jedynie skała. Wykuta, owszem, lecz gotowa się rozkruszyć i zamienić w pył. To, co kiedyś było paleniskiem, wokół którego wieczorami zbierała się rodzina, przerodziło się w zasypaną gruzem płaszczyznę. Teresa uznała ją za smutną i wspaniałą. Życie przetrwało, dokonywało podboju pod inną postacią. Cichszą, bardziej skrytą, lecz nadal potężną.

Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Głos zamarł jej w gardle, jakby pod wpływem niespodziewanego i bezlitosnego mrozu, na widok pewnego szczegółu, który przed sobą ujrzała.

W wykutej wśród kamieni wnęce ktoś powiesił kartkę. Mały kwadrat papieru, który Teresa rozpoznała, tak jak rozpoznałaby część siebie.

Na kartce widniało jej pismo. Była to strona z dziennika.

Poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach, i nie była w stanie zrobić nawet kroku. Świstek papieru, strzeżone przezeń myśli stanowiły dowód.

Jeżeli go tu zostawię, wszyscy się dowiedzą, co jest na nim napisane. Mogłoby to nie być nic istotnego, jak choćby stwierdzenie o mojej chorobie.

Jeżeli go zabiorę i zatrzymam przy sobie, będę bezpieczna, ale na zawsze utracę czystość jako człowiek i jako policjantka.

– Proszę to wziąć, prędko – ponaglił Marini, oglądając się za siebie. – Proszę to wziąć i schować.

Teresa zastygła w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w jasnym kwadracie odcinającym się na tle kamienia.

Nie mogła go zabrać. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Marini zrobił to, na co nie potrafiła się zdobyć. Błyskawicznie oderwał kartkę, zanim ktokolwiek się spostrzegł, i wsunął do kieszeni, nawet na nią nie patrząc.

Dopiero wtedy Teresa się otrząsnęła i chwyciła go za ramię.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – zapytała.

Położył dłoń na jej dłoni i delikatnie ją odsunął.

– Znajdę sposób, żeby ją zbadać, nie wyjawiając pani tożsamości – zapewnił. – Nawet ja nie poznam treści tych zapisków.

Rozpoznał je. Teresa przełknęła dumę.

– Dlaczego to robisz? – zdołała jedynie wykrztusić.

Marini wzruszył ramionami, jakby to była drobnostka.

Teresa się zachwiała. Czuła się krucha i bezbronna. Musiała odejść, przepychać się ze spuszczoną głową między mężczyznami.

Wobec ciemności, która zapowiadała zbliżającą się burzę, wobec złowroziej i nieprzeniknionej natury uczucie to przerodziło się we wściekłą furję.

– Nikomu nie dam się zastraszyć! – wrzasnęła w stronę lasu.

Ten, kto ukradł jej papierową pamięć, był gdzieś tam i słuchał.

Massimo dzwonił do Eleny wielokrotnie, ona jednak nie odebrała ani razu. W końcu zrezygnował i napisał jej wiadomość:

Chciałbym być z Wami.

Chociaż minęła więcej niż godzina, odkąd Elena przeczytała wiadomość, nie odpowiedziała.

Wyznanie to nic go nie kosztowało i nie było to żadne chytre posunięcie. To była prawda. Tymczasem Massimo znajdował się właśnie w jakiejś ruderze w środku lasu, zmęczony i brudny, czekając, aż technicy zbadają teren. Komisarz rozmawiała przez telefon z centralą, lecz z obojętnego tonu wywnioskował, że nie ma nic nowego.

Kiedy komórka w jego dłoni zawibrowała, a na ekranie wyświetliło się imię Eleny, odruchowo oparł się o resztki ściany i dopiero potem przeczytał wiadomość.

Mów.

Czym prędzej wklepał odpowiedź:

Chciałem wiedzieć, czy wszystko u Was dobrze.

Powiedz mi, co myślisz, Massimo. Dość uników.

Tęsknię za Tobą.

Nie odpowiedziała, napisał więc na nowo:

Musimy porozmawiać.

Nie. Powiedz mi, co myślisz!

Odetchnął głęboko.

Musiałem sam sobie wybaczyć. Zrobiłem to. Teraz nie chcę Was stracić.

Na jej odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

Pomóż Teresie. Czekamy na Ciebie.

Massimo poczuł, jak na wargach wykwita mu uśmiech. Wyjął z kieszeni kartkę z dziennika, wsunął ją do wydobytej z walizeczki techników torebki, zamknął i napisał na skraju swoje nazwisko. Przywołał De Carlego i mu ją wręczył.

– Musi jak najszybciej trafić do laboratorium – przykazał. – Już uprzedziłem Collego. Oddaj mu to do rąk własnych. Niech nie zadaje pytań i się pospieszy.

De Carli obracał ją w dłoniach.

– Zdaje się, że nie ma co dociekać, o co chodzi – stwierdził.

Massimo schował długopis i poszukał wzrokiem komisarz Battaglii.

– Mogę ci powiedzieć jedynie tyle, że to, co właśnie robisz, jest nielegalne, amoralne i mogłoby cię kosztować stanowisko, ale cel jest szlachetny. Życzysz sobie wiedzieć więcej? – odparował.

De Carli nawet nie mrugnął.

– Powiedziałbym, że to wystarczy aż nadto. Idę.

Teraz, gdy kartka z dziennika była bezpieczna, a Massimo się upewnił, że w pobliżu nie ma rozsianych kolejnych, pozwolił technikom wykonywać swoją robotę i się oddalił. Przysiadł na wytartym schodku przed rudera. Szturchnął Battaglię łokciem. Nie miał pojęcia, czym jest dla niej ten notes, lecz na widok jej zgnębienia poczuł złość i odruch – którego rzadko doświadczał w życiu – by ją chronić.

– Wszystko jest pod kontrolą – oznajmił.

Skinęła głową, lecz nadal milczała.

– Martwi mnie to, pani komisarz. Powinna pani odpowiedzieć, że nigdy nie mam niczego pod kontrolą.

Spostrzegł, jak powstrzymuje uśmiech, po czym natychmiast odzyskuje powagę.

– Sądziłam, że jesteś pod tym względem maniakiem, ale się myliłam – odrzekła z rękami w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w dal. – Właśnie dopuściłeś się czegoś szalonego i zuchwałego, co może zniszczyć twoją karierę.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że im większe robię kretyństwa, tym bardziej mnie pani ceni?

– Ponieważ to kretyństwa robione z sercem.

Massimo poczęstował ją cukierkiem. Komisarz wzięła karmelek, wpatrując się w inspektora zdumiona, gdy tymczasem on ściągał papierek ze swojego cukierka.

– Pieprzyć kontrolę – powiedział.

– Pieprzyć kontrolę.

Delektowali się w milczeniu osobliwą zapowiedzią nowego początku.

– I co teraz? – zapytał Massimo.

Battaglia pograżyła się w zadumie.

– Jesteśmy blisko, czuję to – mruknęła – ale nie dość, żeby spojrzeć mordercy w twarz. Ciągłe umyka mi zamiar, motywacja, która napędza go do działania.

– Pani zdaniem nie mamy do czynienia z prostym motywem.

Battaglia potrząsnęła gwałtownie burzą włosów w kolorze magmy.

– To wcale nie jest proste, Marini. Wyczuwam drżącą głęboko i nawarstwiającą się niepewność, ukrytą tak jak zakopane w tych lasach kości. Podpowiada mi to potężna symbolika, którą się posłużył.

– Serce. Nigdy nie przydarzyło mi się nic podobnego.

– Co ci przyszło na myśl, kiedy je zobaczyłeś? Jazda, odpowiedz bez zastanowienia.

– Rytuał.

Pokiwała głową.

– Najczęściej człowiek zabija przez urazę, zazdrość albo pieniądze, ale nie wycina nikomu serca z tych powodów, nawet razem wziętych.

– A jeżeli mamy do czynienia z więcej niż jednym sprawcą? – zapytał Massimo.

– Masz na myśli sektę?

– Tak.

Najwyraźniej rozważała ten pomysł.

– W latach dziewięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych działała sekta, która dokonywała obrzędów ofiarnych. Adepti zjadali serca ofiar. Namierzono ich. Okazali się zwyczajnymi ludźmi wolnymi od podejrzeń i szanowanymi w społeczeństwie. Niektórzy zapłacili za popełnione zbrodnie, wielu innych nigdy nie zidentyfikowano. Sekta się rozwiązała i słuch po niej zaginął, ale jest niemal pewne, że nadal istnieje w podziemiu. – Wstała i otrzepała spodnie. – Ale nie wydaje mi się, żeby to był ten przypadek, inspektorze. Nasz morderca nie bawi się w tajemnice: on chce się z nami porozumieć.

Massimo także się podniósł.

– Żeby rzucić nam wyzwanie i podnieść własną samoocenę? Czy z potrzeby odpokutowania za winę? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem, ale to pierwsze mnie nie przekonuje. On ma o wiele więcej do powiedzenia niż „Patrz, jaki jestem dobry”. Pomijając możliwy profil zabójcy, czym dysponujemy, inspektorze? Czego się dowiedzieliśmy?

– Mamy zaginioną siedemdziesiąt lat temu dziewczynę, którą zakochany w niej chłopak sportretował, zanurzając palce w jej własnym sercu, a potem zwariował. Mamy skradzioną przez nazistów ikonę, wrzuconą do rzeki i nigdy nieodnalezioną.

– Mów dalej.

– Mamy partyzanta skrzypka z obsesją na punkcie doliny, który przypuszczalnie był obecny przy zabójstwie Anizy. On i Andrian się znali. Być może nadal odwiedzał te okolice, żeby odnaleźć ikonę.

W miarę jak słowa wypływały z jego ust, czuł, że wszystko staje się bardziej jasne. Powiązania okazały się oczywiste. To było jak połączenie świecących kropek na ciemnym niebie.

Dała mu znak, by nie przestawał.

– Mamy pakt między trójką dzieciaków winnych postrzelenia niemieckiego żołnierza, co wywołało potworne represje. Żołnierza, który przywłaszczył sobie ikonę – zakończył. – Tylko jedno z tych dzieci jeszcze żyje: Francesco. Emmanuel Turan został zamordowany dwa dni temu, a jego serce przybito u bram miasteczka.

Battaglia nagle przestała żuć cukierek. Coś przemknęło jej przez głowę.

– Jak zginęła Ewa, siostra Francesca? – zapytała.

Massimo poczuł, jak jego serce przyspiesza: oto pojawił się nowy punkt zaczepienia.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał Massimo, wpatrując się w tablicę nagrobną.

Teresa była o tym przekonana. Przeczytała akt zgonu Ewy Di Lenardo sprzed pięciu lat. Śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Teraz jednak chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło, zanim kobieta wydała ostatnie tchnienie. Sędzia Crespi zgadzał się z Teresą, toteż dał jej zielone światło, jeszcze zanim złożyła formalne podanie.

Z trojga dzieci, które zawarły pakt, tylko jedno nadal żyje, powtórzyła w duchu.

Emmanuel Turan został zamordowany, jego serce zawisło u bram miasteczka akurat wtedy, gdy zaczęliśmy się zbliżać do wyjaśnienia tajemnicy, która łączyła go z pozostałą dwójką.

– Nie możemy już polegać na słowach – odparła, kiedy podnoszono kamień nagrobny. Grobowiec rodziny Di Lenardów znajdował się poza obrębem cmentarza komunalnego, na wzgórzu, które górowało nad nekropolią. Nie stanowił wyjątku: niedostępne zbocze skrywało też inne mauzolea, należące do najstarszych rodów w dolinie. Były to okrągłe i proste nisze pobielone wapnem i częściowo zakopane w ziemi. Wyłaniały się z łąki, zwrócone na wschód, niczym mogiły z innej epoki.

Wokół grobu Di Lenardów wśród jaskrawozielonej trawy rosły liliwoniebieskie kwiaty, które tworzyły wieniec z połyskujących płatków okalających łożę śmierci.

Teresa zerwała jeden z nich. Nie wydzielał zapachu.

– Zwykle kwitną między majem a lipcem, ale wygląda na to, że to początek lata, a nie wiosny – odezwał się czyjś głos za jej plecami. Była to Krisnja.

Teresa posłała jej uśmiech z wewnętrznym poczuciem winy, jak za każdym razem, gdy trzeba było kogoś zmusić do uczestniczenia w tak niehumanicznym obrzędzie jak wydobycie na światło dzienne szczątków kogoś, kogo się kochało.

– Przykro mi – powiedziała tylko, albowiem na widok twarzy Krisnji znów odjęło jej mowę.

Dziewczyna jakby nie wyczuła jej żalu. Ona także schyliła się, by zerwać kwiat. Obróciła jego koronę w palcach.

– To kwiaty owadożerne, tłustosze. Czy kiedykolwiek przyszłoby pani do głowy, że rosną również w tych okolicach? – zapytała cicho, w jej głosie zaś pobrzmiwała nuta smutku. – Zdobywają potrzebne im substancje odżywcze, pożerając żywe organizmy. – Utkwiła wzrok w jej źrenicach. Miała zaczerwienione oczy. – Właśnie tak postępują mordercy, których ścigacie, prawda? Żywią się cudzym życiem.

Teresa poczuła, że coś ścisła ją za gardło. Stojący obok niej Marini także jakby zamarł.

– Owszem, ktoś tak robi – przyznała. – Potrzebuje tego, tak jak my potrzebujemy oddechu.

Krisnja zapatrzyła się w dal, gdzie wiatr napierał z impetem na szczyty, przeganiając lekkie jak piórko chmury. Błyskawica spowiła bielą nagą skałę, nadając jej upiorny wygląd.

– Zatem pani uważa, że ktoś skrzywdził najpierw Anizę, a potem moją babkę Ewę...

– Chwilowo nie mam dowodów, żeby to potwierdzić.

– Ale jesteśmy tutaj dlatego, że pani ich szuka.

– Tak.

Oczy dziewczyny zamigotały, odbijając błyski na niebie.

– Wygląda na to, że ktoś chce wymazać cały mój ród – odezwała się. – Czy na mnie też przyjdzie kolej?

Gdy Teresa zerknęła ponad jej ramieniem, dostrzegła obserwującego ich Francesca. Nie potrafiła określić jego stanu ducha. Zamienił z nią ledwie parę słów, w dodatku z przymusem. Coś między nimi pękło. Może zabrakło zaufania albo opadła maska, pod którą mężczyzna niemal przez całe życie skrywał ból.

Płyta nagrobna wysliznęła się z rąk grabarzy i roztrzaskała z ogłuszającym łoskotem. Z niszy wydobyto trumnę, którą wcześniej ktoś otworzył.

Teresa i Marini wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym Massimo zbliżył się do Krisnji.

Teresa natomiast postąpiła kilka kroków w stronę czarnej dziury otwartej do przeszłości. Popatrzyła na fotografię: Ewa miała magnetyczne, jasne niczym lód oczy. Różniła się od brata i od wnuczki.

Komisarz spojrzała w dół, na trumnę. Instynkt zdążył ją już ostrzec, co tam znajdzie, przesywając jej ciało dreszczem.

Trumna była pusta.

– Powtarzam pani, co jest napisane na akcie zgonu: śmierć nastąpiła w wyniku wyniszczającej choroby. Kiedy Ewa do mnie przysła, było już za późno. To się rozlało wszędzie. Ta kobieta była własnym cieniem.

Lekarz bez oporu otworzył przed Teresą drzwi do swojego gabinetu. To on podpisał akt zgonu Ewy Di Lenardo.

– Jej męka zaczęła się dwa lata wcześniej – ciągnął – wraz z operacją wszczepienia endoprotezy kolana. Coś się nie udało, a kolejne zabiegi tylko pogorszyły stan pacjentki. Od tamtej pory Ewa cierpiała na rozdzierające bóle. Nie trwało to jednak długo. Trzy miesiące później zdiagnozowano u niej raka trzustki w zaawansowanym stadium. Zasugerowałem jej terapię bólu, wspomniałem o głębokiej sedacji. Nie chciała o tym słyszeć. Żyła dalej, tak jakby nic się nie stało, i udało jej się to o wiele dłużej, niżbym się kiedykolwiek spodziewał: prawie przez dziesięć miesięcy. Ja dałbym jej co najwyżej dwa. Ewa zmarła we własnym łóżku, w swoim domu. Nie chciałyby inaczej.

Nad doliną zapadł już zmierzch, gabinet zaś rozświetlała jarzeniówka, w blasku której słowa brzmiały jeszcze ostrzej.

– Powiedział pan, że stała się własnym cieniem. Czy naprawdę może pan mieć całkowitą pewność, że ciało, które pan zbadał, należało do Ewy? – zapytała Teresa.

Zawahał się, chociaż może to tylko osobliwość tego pytania odebrała mu na moment głos.

– Pani komisarz, bez cienia wątpliwości potwierdzam, że zwłoki, których oględzin dokonałem, należały do Ewy Di Lenardo.

Teresa podziękowała, mimo to wyszła w noc z wyraźnym przeświadczeniem, że umyka jej jakiś szczegół. Spojrzała w niebo, które nareszcie się wypogodziło i na którym połyskiwała kula księżycy w pełni.

– Nie jest pani usatysfakcjonowana – zauważył Marini.

Teresa wykrzywiła usta.

– *Śpiąca nimfa* otworzyła drzwi do o wiele bardziej złożonej historii, niżbym kiedykolwiek przypuszczała – prychnęła.

– Przynajmniej komendant nie będzie mógł pani zarzucić, że po raz kolejny go pani prześcignęła. Dzięki otwarciu grobowca odkryliśmy, że ciało zostało wykradzione. Szkoda, że ten postępek nie ma sensu.

– Musi mieć jakiś sens, chociaż na razie nie potrafimy go dostrzec. – Teresa zerknęła na zegarek. – Pewnie gapie już poszli spać. Jesteś gotów na brudną robotę?

– Jaką znów brudną robotę?

– Nie lubię grobów, pani komisarz. Zwłaszcza po nocy.

– Nikt żywy ich nie lubi, Marini.

– A nie mogła pani tego zlecić technikom?

– Jutro rano. Teraz chcę zobaczyć na własne oczy. Podnieś latarkę.

Błękitne światło zalało twarz Ewy Di Lenardo na czarno-białej fotografii.

– Tego zdjęcia też nie lubię – fuknął Marini. – Wygląda tak, jakby na nas patrzyła. Nasza wizyta wcale nie przypadła jej do gustu.

– Masz na myśli ducha? Nie sądziłam, że z ciebie aż taki cykor.

– Jestem ostrożny. Czego dokładnie szukamy?

– Śladów.

– Włamania?

– Owszem. I czegoś jeszcze.

Marini zaświecił jej latarką w twarz.

– Przypuszcza pani, że ktoś wykopał zwłoki i je zabrał? – zapytał nieco zbyt wysokim tonem.

Teresa odepchnęła jego dłoń szturchańcem.

– Cóż, inspektorze, albo tak dokładnie było, albo Ewa wyszła stąd na własnych nogach. Która hipoteza jest według ciebie bardziej prawdopodobna?

– Chyba że to nigdy nie był jej grób.

– Chyba że.

– Gdy wyeliminujesz niemożliwe, to, co zostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdziwe.

Teresa wyjęła mu z ręki latarkę.

– Brawo, mój ty Sherlocku Holmesie. Założę się, że to kwestia z filmu ^[2].

– Dlaczego przy pani zawsze czuję się jak na egzaminie?

– Bo to jest egzamin, to oczywiste. Podaj mi skrobak. Chcę zedrzyć tę warstwę pleśni.

Teresa zdrapała ostrożnie ciemną patynę pokrywającą wejście do grobowca. Z zadowoleniem skierowała snop światła na powierzchnię marmuru i przejechała po niej palcami.

– Takie właśnie rysy zostawiłby metalowy pręt, którym posłużono by się jako dźwignią, żeby podnieść płytę – oznajmiła.

Marini także przysunął się bliżej, by popatrzeć.

– Czyli grób nie został splądrowany niedawno – zauważył. – Nie po naszym przyjeździe do doliny, tylko dużo wcześniej.

– Sądząc po ilości mchu i pleśni, co najmniej rok temu – zgodziła się z nim Teresa.

Oświetliła kwaterę. W betonowym wnętrzu dostrzegła wyschnięte na wiór wiązanki kwiatów, złożone wraz z trumną. W środku panował zabójczy odór. Uwagę Teresy przykuło jednak coś innego. Wyciągnęła rękę, próbując się wychylić, ale okazała się zbyt tęga, żeby się wcisnąć.

– Włóż do środka – poleciała Mariniemu. – Na dnie coś leży i chcę się temu przyjrzeć z bliska.

– Nigdzie nie włożę.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Ale czego ty się boisz?

– Nie boję się, lecz do środka nie wejdem.

– Kurna olek, Marini! Nie ma tam żadnego umrzyka, a jedyni żywi to my. Co jest z tobą nie tak?

Zdawał się przetrawiać jej słowa, jakby szukał właściwej odpowiedzi albo zdobywał się na odwagę. Na koniec czym prędzej zdjął marynarkę.

– Jest pani świadoma, że to niehigieniczne, prawda? – burknął, ześlizgując się do grobowca.

Wręczyła mu latarkę.

– Przecież masz rękawiczki – pocieszyła go. – Tam, na dnie.

– Zrozumiałem.

– Widzisz to?

– Co dokładnie? Tu są tylko zeschnięte kwiaty i nic więcej.

– Szczur.

– Kurwa!

– Uspokój się. Żartowałam.

– Źle z panią... Może właśnie to pani widziała.

Wychynął na zewnątrz i otworzył dłoń.

– To wygląda jak stare gniazdo – stwierdził.

Trzymał na dłoni kłębek gałązek, do których poprzyczepiały się włosy i pióra. Splot nie sprawiał jednak wrażenia przypadkowego.

Teresa wzięła go do ręki i powąchała. Chociaż leżał tam od co najmniej pięciu lat, nadal wyczuwało się delikatną woń tymianku.

– Jak pani myśli, co to jest? – zapytał Marini. Dotarło do niego, że znalezisko jest cenniejsze, niż na to wygląda.

Teresa nie owijała w bawełnę.

– Pieczęć przeciwko złym duchom – odparła.

– Czary?

Teresie nasunęło się skojarzenie z naturalną kolebką strzegącą czystości dawnych pokoleń, z bardzo starą kulturą, aż do tej pory nietkniętą. Z izolacją, z pamięcią źródłową.

Rozmyślała nad pierwotną władzą, niemal taką jak dawanie życia.

– Nie, to nie są czary – odrzekła. Rozejrzała się dokoła. Przodkowie tych ludzi wpatrywali się w nich dumnym wzrokiem. – Musimy otworzyć kolejny grób.

Hanna. Imię, które ciążyło teraz Teresie, lekkie niczym płatek kwiatu, a przecież nie sposób je zignorować.

Hanna, córka Ewy, matka Krisnji. Także potomkini Śpiącej Nimfy. Zmarła, Teresa już to wiedziała, równie tragicznie jak jej przodkini.

Komisarz kazała ekshumować jej ciało, które spoczywało teraz na wózku w kostnicy. Parri transportował je właśnie do pomieszczenia, w którym czekała wraz z Marinim. Patolog dopiero co dokonał wstępnych oględzin zwłok. Podsunął je bliżej.

Hanna zupełnie nie przypominała istoty ludzkiej. Wyglądała jak kokon, który mógłby spocząć w jej ramionach, lecz z którego nigdy nie wyklułyby się motyl. Pożar, w którym zginęła przed trzynastu laty, strawił ją wraz ze stodołą, gdzie znajdowała się tamtej nocy.

Gdy Parri odsunął okrywające ją prześcieradło, Teresa nie poczuła wstrętu, lecz pragnienie, by móc owinąć ją z powrotem i obronić przed pełnymi zgrozy spojrzeniami tych, którzy nigdy nie zdołaliby dostrzec w niej człowieka, a widzieli tylko potworność.

– Szczątki zachowały się w wyjątkowo dobrym stanie – objaśniał właśnie patolog. – Pobrałem już przepisowe próbki.

W przezroczystym plastikowym pojemniku obok wózka Parri umieścił złożony całun, w którym pochowana była kobieta. Kiedy otwarto grobowiec, na widok całunu Teresie wydało się przez moment, że znalazła się w innym miejscu i w innym czasie.

Na cienkiej bawełnianej gazie ktoś namalował czerwoną ochrą kobiecą twarz, tak jakby chciał przywrócić pani tego grobu jej wygląd. Oczy, nos, usta, linię włosów: podstawowe kontury, dzięki którym ze splotu tkaniny wyłonił się zamysł ponadczasowej kobiecości.

Czerwona ochra. Pigment pochodzący od naturalnego tlenku żelaza. Po raz kolejny, jak przy Nimfie.

Sprawiało to wrażenie cyklicznie powracających elementów tej historii.

Parri zauważył jej spojrzenie.

– W skład żałobnej wyprawy wchodziły także kolorowe kwiaty – powiedział, wskazując kopertę ze zniszczoną zawartością. – Były ułożone wokół twarzy, ale w wyniku procesów rozkładu ciała uległy zniszczeniu do tego stopnia, że nie da się ich rozpoznać.

Pobrudził się również całun. Na kilku plamach linie przedstawiające usta zjechały w dół, odmawiając kobiecie prawa nawet do tego ostatniego uśmiechu.

Hanna zginęła w pożarze szalejącym w stodole przy domu, który dzieliła z matką i córką. Ośmioletnia wówczas dziewczynka spała w domu wraz z babcią. Mąż Hanny odszedł, gdy Krisnja była jeszcze w łonie matki. Najwyraźniej mężczyźni w tej rodzinie nie istnieli albo zostali odsunięci na dalszy plan, jak Francesco.

– Przyczyny śmierci dam radę ustalić dopiero po otrzymaniu wyników analiz – oznajmił Parri – ale oficjalnie mogę wam już powiedzieć, że znalazłem wewnątrz ciała włókna zwęglonego drewna.

Teresa nie była pewna, czy poprawnie odczytała sens jego słów.

– Wewnątrz? – powtórzyła.

Patolog skinął potakująco głową.

– W żebra wbił się kołek, zanim ogień wszystko strawił. Drewno nie spłonęło zupełnie: pod mikroskopem nadal widać fragmenty zwęglonej drzazgi – wyjaśnił, wskazując wycinek czegoś, co musiało być kiedyś klatką piersiową.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś ją zabił?

– Skłaniam się ku teorii, że kiedy dosięgły jej płomienie, już była martwa. Mimo wszystko tak, właśnie to mówię: moim zdaniem ktoś ją zabił, o ile nie postanowimy uznać, że przypadkiem upadła na ostro zakończony kołek.

– Mamy więc mordercę, który najwyraźniej podróżuje w czasie w niezmiennym krwawym uniesieniu – doszedł do wniosku Marini.

– Nie zgadzam się co do słowa „uniesienie” – mruknęła Teresa.

– Ta sama osoba nie mogła zabijać w ciągu siedemdziesięciu lat – wtrącił Parri.

Teresie przemknęły przez myśl słowa Francesca.

– Chyba że kilkuletnie dziecko jest zdolne zabić – rzekła, unikając wzroku Mariniego. – Jest zdolne?

Wszyscy wiedzieli, że odpowiedź brzmi „tak”.

Od samego początku tej historii na cienie doliny nakładał się cień Francesca Di Lenarda. Był obecny, gdy Aniza przemierzała po raz ostatni ścieżki miasteczka, był obecny, gdy znaleziono ciało Emmanuela. Był obecny teraz, gdy grób jego siostry Ewy okazał się alarmująco pusty. Był obecny w lęku ciotecznej wnuczki Krisnji i w obrazach Andriana.

Teresa wezwała go na komendę. Chciała odizolować go od jego otoczenia, aby stawić mu czoło, odizolować od tego, co znał – gór, lasów, doliny – aby pozbawić go punktów odniesienia, które zapewniały mu siłę i kazały mu się chować za niewypowiedzianymi prawdami.

Wyznanie, na jakie się wcześniej zdobył, niekoniecznie dowodziło niewinności. Teresa wiedziała to z doświadczenia. Miała do czynienia z wieloma zabójcami, którzy współpracowali ze śledczymi, dopóki ich nie przyłapano.

Francesco zdążył ją już okłamać, to się nie mogło więcej powtórzyć.

Nie miała dowodów przeciwko niemu, jego imię zbyt często jednak wzbijało się niczym kurz i zasypywało jej oczy za każdym razem, gdy drążyła głębiej.

– Informacje, na które pani czekała, pani komisarz.

– Dziękuję.

Teresa wzięła od Parisiego raport; wyjęty z drukarki papier był jeszcze ciepły. Przeczytała oficjalne sprawozdanie, które udało jej się wyszarpać od techników. DNA pobrane z włosa, który znaleziono w jej domu, było niemal całkowicie zgodne z DNA Francesca. Procenty nie pozostawiały miejsca na wątpliwości: włos należał do krewnego w linii prostej. Do siostry.

Ewa.

Ten, kto włamał się do domu Teresy i ukradł dziennik, wiedział, gdzie są ukryte szczątki kobiety.

Chyba że Ewa żyje.

Odsunęła od siebie ostatnią myśl, tak bardzo sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem, który usiłowała zachować, chociaż okoliczności bezustannie próbowały go jej odebrać.

Skinęła na Mariniego i wywołała go z pokoju.

– Zaczynamy – powiedziała.

Wspólnie wkroczyli do pomieszczenia, gdzie Francesco czekał już przeszło pół godziny, ponieważ nikt nie raczył mu udzielić żadnych wyjaśnień. Teresa miała nadzieję, że będzie zniecierpliwiony i gotów do walki. Chciała doprowadzić go do utraty panowania nad sobą i przekonać się, jak daleko potrafi się posunąć, kiedy poczuje się zagrożony.

Tymczasem człowiek, którego przed sobą ujrzała, na jej widok nie zdradzał żadnych emocji. Sprawiał wrażenie zdeterminowanego, by odeprzeć wszelkie próby ataku. Pozostało zatem zgłębić jego intencje: ukryć zbrodnię czy bronić własnego spokoju?

Teresa usiadła naprzeciwko niego.

– Już mnie pan okłamał – zaczęła, nie bawiąc się w słowne gierki. – Gdyby to się miało powtórzyć, będę zmuszona wyciągnąć konsekwencje.

– Jak nauczycielka wobec krnąbrnego uczniaka? – podsunął z nutą prowokacji.

– Nie. Jak funkcjonariusz publiczny wobec opornego świadka.

Zesztywniał na moment.

– Kiedy mnie pani skazała? – zapytał.

– Występuje pan w każdym kadrze tej historii – odparła Teresa, ignorując pytanie.

– Uważa pani, że jestem sprawcą?

Określenie „podejrzany” zachowała dla siebie.

Nie ma motywu, przypomniała sobie w duchu. A przynajmniej ona nie umiała go znaleźć.

– Jaki był pański stosunek do pana siostry Ewy? – odezwała się.

– Kochałem ją, to chyba naturalne.

– Czy wiadomo panu o pewnych praktykach, wierzeniach, które najwyraźniej nadal kultuwuje się w dolinie?

– Proszę?

Teresa wzięła do ręki kopertę zawierającą trzeci dowód znaleziony w grobowcu Hanny: krążek tymianku skojarzył jej się teraz z uroborosem, prastarym archetypem cykliczności czasu.

– Wieczny powrót – mruknęła, podsuwając mu krążek tymianku pod nos i wreszcie pozwalając sobie na wypowiedzenie słów, które kłębiły jej się w głowie. – Szamanizm. Kobięcy szamanizm.

Francesco milczał. Wyglądał, jakby nie mógł oderwać oczu od zawartości koperty.

– Wie pan, co to jest? – zapytała Teresa.

– Nie.

– Ale pan przypuszcza.

Nie było odpowiedzi.

– To bardzo stary symbol, który przewędrował nietknięty przez rozmaite epoki i kultury – ciągnęła Teresa. – Krąg bez początku i końca, wąż albo smok, który pożera własny ogon. Przedstawia pierwotną dwupłciowość, nieśmiertelność.

W końcu skierował ku niej wzrok.

– Czy jest w tym coś złego?

– Nie, gdyby nie fakt, że znaleźliśmy to w grobowcu kobiety, która poniosła śmierć od kołka wbitego w serce, a następnie została spalona, i w grobowcu kolejnej kobiety, której ciało ktoś wykradł.

Teresa nie zamierzała mu o tym powiedzieć właśnie w ten sposób, lecz teraz pragnęła zmusić Francesca do jakiejś reakcji.

– Czy Hanna została zamordowana? – zapytał ze stoickim spokojem.

– Tak.

– A wy ściągnęliście mnie tu dlatego, że waszym zdaniem jestem mordercą.

– Ściągnęliśmy tu pana po to, żeby pan nam opowiedział, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy córka pańskiej siostry spłonęła w stodole, kilka metrów od swojego domu.

Francesco nawet nie mrugnął.

– Nie mogę wam powiedzieć, co się wydarzyło, ponieważ spałem. Banalne, prawda? Również potworne: kiedy Hanna umierała, ja śniłem.

Zdaniem Teresy było to makabryczne. Pewność siebie tego człowieka wstrząsnęła nią i jednocześnie napawała niepokojem, tylko że w ludzkim umyśle rzadko coś jest tak proste, jak się wydaje, a Francesco też zaliczył drobną wpadkę. Niezbyt wprawnemu oku umknęłoby, że mowa ciała neguje jego słowa: nieznaczne ruchy głowy, niekontrolowane przeczenia wysyłane nieświadomie na powierzchnię. Jakaś jego część, ta irracjonalna, nie zgadzała się z tym, co twierdził. Niewprawne ucho nie zwróciłoby uwagi na to, że chwilami ton jego głosu staje się wyższy, tak jakby mężczyzna przestał nad nim panować, jakby zamiast odpowiadać, zadawał pytanie: czy dobrze mówię?

Może wiedział więcej, niż gotów był przyznać, a może tylko bronił się przed wyrzutami sumienia, że nie było go tam, gdzie powinien być.

Teresa zdawała sobie sprawę, że gdy się zagłębia do ludzkiego wnętrza, trzeba dokładnie patrzeć pod nogi.

Zło zwodzi, powiedziała sobie. Ale już przestało ją zaskakiwać. Nie potrafi tworzyć kolejnych zawilości wyobraźni. I to była dobra wiadomość.

Pochyliła się ku mężczyźnie.

– Być może tamtej nocy pan spał – rzekła. – Może nie ma pan nic wspólnego ze śmiercią Hanny. Może. Teraz jednak, i to jest pewne, ma pan okazję, by pomóc mi wyjaśnić, co się stało.

On także pochylił się ku niej i przemówił tym samym tonem.

– Wpuściłem was do swojego domu. Opowiedziałem wam o moich bliskich i otworzyłem drzwi do najboleśniejszych wspomnień, aby pomóc znaleźć odpowiedzi na wasze pytania, a teraz wy traktujecie mnie tak, jakbym był winny. Chcecie prawdy? Zapytajcie o nią tego, kto tam był tamtej nocy. Długo krążyły plotki o Matrionie. Kiedy Hanna zginęła, była razem z nią. Wiedziała pani o tym? Byłem przekonany, że to mówiłem.

Terese zamurowało.

Mówił mi o tym? Udaje? Zapomniałam? Może zapisałam to w dzienniku, a może to nigdy się nie wydarzyło.

Francesco przeszywał ją wzrokiem, jakby chciał zajrzeć w jej duszę.

– Widzę pani zakłopotanie, pani komisarz – oznajmił, jakby wiedział o chorobie dręczącej jej umysł.

Teresa zastanawiała się, czy to on ma jej dziennik albo czy choroba zaczyna dawać o sobie znać nawet wtedy, gdy ona jest przeświadczona, że potrafi nad nią zapanować. Może paranoja każe jej podejrzewać wszystkich. Albo może to Francesco jest świetnym aktorem.

Podszedł do niej Marini i pokazał wiadomość, którą dopiero co otrzymał na komórkę: potwierdzenie, że na znalezionej w ruderze kartce dziennika nie było żadnych odcisków palców poza tymi należącymi do Teresy.

Zerknęła na Francesca, ale miał nieodgadniony wyraz twarzy.

Poczuła, jak lęk miażdży ją, niemal łamiąc kości.

Zupełnie jakbyśmy ścigali zjawę, pomyślała, lecz bezradność natychmiast przerodziła się w determinację. Teraz już wie, gdzie szukać. Ma w garści Matrionę i zjawę, zjawy zaś na ogół nigdy nie opuszczają miejsc, w których zmarły.

Krisnja ciasno otuliła się swetrem i przyspieszyła kroku, podążając w stronę lasu. Przez kuchenne okno dostrzegła kota, który wałęsał się po ścieżce i zniknął między drzewami. Nie było bezpiecznie: od kilku dni na łąkę wokół domu zapuszczał się lis.

Świtowi towarzyszył deszcz kropel ześlizgujących się na las, rozbłysk różów i fioletów, które otulały dolinę niczym zimny pył, aż do samych szczytów. Bór tworzył bezbarwną otchłań. Mgła wstawiała znad poszycia w żwawych serpentynach, które owijały się wokół nóg dziewczyny, po czym ponownie rozwijały. Znad spokojnych potoków, złobiących bezgłośnie dywan z igieł i próchnicy, unosiła się para. Krisnji ta zdławiona cisza wydała się czymś niezwykłym. Bór, który spał nawet o brzasku, miał w sobie coś sztucznego.

Odniosła wrażenie, że niedaleko, za krzakiem, mignął jej ogon.

– Orfeusz! – zawołała, biegnąc za kotem, jej głos zaś poniósł się echem we mgle.

Tuż nad dróżką przeleciała para wron, na których widok wyrwał jej się okrzyk strachu.

Nad borem znów zapadła cisza, chociaż co rusz zakłócał ją oddech zdyszanej Krisnji. Wewnętrzny lęk to odchodził, to powracał, w głowie kłębiły się niespokojne myśli.

Poczuła, że ktoś ją obserwuje. Początkowe wrażenie nieokreślonego skrępowania przybrało kształty czyjejś ukrytej obecności.

Po raz pierwszy miejsce, gdzie przyszła na świat, napawało ją trwogą. Mgła nabrała mrocznych odcieni, które zaczęły wirować i przeradzać się w znane postacie. We mgle kotłowały się posępne twarze Ewy, jej matki Hanny i Anizy.

Krisnja zasłoniła ręką oczy. Gdy je otworzyła, twarze zniknęły.

Zerknęła w stronę, z której nadeszła, lecz ścieżka zdawała się rozmywać w ścianie dymu. Gdzieś niedaleko coś jednak było. Coś, co się przemieszczało, nie,

nie przemieszczało. Tego, co to coś robiło, sposobu, w jaki to robiło, nie dało się określić w ludzkich słowach. Krisnja słyszała chrupot kości łamiących się przy każdym ruchu tego czegoś, co się ku niej zbliżało. Słyszała bulgotanie jego płynów, trzask ścięgien. Czuła zapach.

Z gardła wyrwało jej się rzeźenie, którego nigdy nie zdoła zapomnieć. Zerwała się do ucieczki, nie bacząc na to, jaki obrała kierunek. Zanurzyła się w nocny i złowrogi świat, z którego trzewi wydobył się zwierzęcy skowyt.

Krisnja utknęła w więzieniu kolczastych krzewów, które poszarpały jej ubranie i swymi drobniuteńkimi szponami rozorały skórę na twarzy i ramionach. Popędziła, gnana rozpaczliwą siłą, by wydostać się z matni, z bielą mgły wymieszała się zaś czerwien krwi. Przy każdym ruchu cierniowa pętla zaciskała się jeszcze mocniej. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że to wstrętne coś wepchnęło ją dokładnie tam, gdzie chciało: w pułapkę.

Do jej oddechu dołączył czyjś inny oddech. Jej przerażonemu szlochowi zawtórował gardłowy śmiech.

Krisnja była niczym motyl, który utknął w pajęczej sieci – potrafiła poruszać jedynie oczami. Gdy zdobyła się na odwagę, by podnieść wzrok, aż zaniemówiła.

Oto ujrzała przed sobą Warwara, strażnika, o którym opowiadała jej kiedyś babka Ewa.

Miał dwa imiona, a także dwoistą naturę.

Tikô Wariö: ten, który strzeże.

Tikô Bronô: ten, który chroni.

Legendarny „okrutny strażnik” miał skrzycone rogi i przekrwione oczy. I twarz kobiety.

W stodole, w której zginęła Hanna, czas się zatrzymał. Zniszczenie zastygło w czarnym węglu, w strawionych belkach, w podłodze, spod której wystawały fundamenty.

Nikt nie zadał sobie trudu, by odbudować stodołę, albo nie chciał tego uczynić. Znajdowała się na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na miasteczko. Teresa zastanawiała się, czy stanowi pomnik dla uczczenia czegoś, co jej umykało.

Nie zdążyła jeszcze porozmawiać z Krisnją na temat nocy, kiedy zmarła jej matka. Wpadła po nią do domu, lecz jej nie zastała.

Jedyny szczegół, jakim podzielił się z nią Francesco, dotyczył tego, że tamtej nocy dziewczynka zobaczyła płomienie. Babka przybiegła, trzymając ją w ramionach, by ugasić ogień, ale nic nie mogła zrobić. Jej krzyki zwabiły całe miasteczko.

Stodoła znajdowała się obok domu, w którym Krisnja mieszkała w tamtym okresie wraz z matką i babką. Tego, który zamieszkiwała teraz sama, a w który Teresa wpatrywała się właśnie, stojąc na łące. Pomiedzy obydwoma budowlami rósł potężny dąb. Na jednej z gałęzi wisiała opuszczona sznurkowa huśtawka z drewnianym siodełkiem. Kołysała się na wietrze, jakby jakaś niewidzialna istota bujała nią leniwie, jednocześnie obserwując pospieszną krzątanicę w stodole.

Teresa chciała porozmawiać nie tylko z Krisnją. Wysłała Parisiego i De Carlego, by pilnowali mieszkania Matriony, z tyłu gospody. Wkrótce złoży jej wizytę, zanim jednak stanie z nią twarzą w twarz, musi poszukać śladów morderstwa, jakie tu popełniono.

Śmierć zawsze pozostawia na tym świecie jakiś znak, pomyślała. Porusza się na ludzkich nogach, dotyka rzeczywistości opuszkami palców, które pozostawiają odciski, rozprzestrzenia się za pomocą ciepłej śliny. Niczym duch zatruwa miejsce, które opuszcza, nigdy tak do końca go nie porzucając. Poszukiwania w stodole zaczęły się przed godziną i wkrótce, była tego pewna, warstwa patyny

pokrywającej drogę, po której przeszła, zostanie zerwana. Wiedziała, czego powinna szukać, toteż udzieliła precyzyjnych wskazówek.

– O czym pani myśli? – zapytał Marini.

Teresa przygryzła zausznik okularów.

– O ogniu – odparła. – Niszczycielskim, hipnotycznym i wściekłym. Świętym.

– Pani zdaniem pożar nie wybuchł przypadkiem.

– Nie, i powiem ci więcej: nie miał na celu zatarcia śladów morderstwa. A przynajmniej nie tylko.

– A jakie jest jego szczególne znaczenie?

– Istnieje więcej niż jedno. Wiele osób się nad tym nie zastanawia, ale zabijanie ogniem to najbardziej niszczycielska i gwałtowna fantazja, jaka może się zrodzić w umyśle mordercy. Płomienie trawią ludzkie ciało i zamieniają je w popiół. Nie ma nic, dosłownie nic, co zdołałoby unicestwić jeszcze bardziej. U cierpiących na chorobę dwubiegunową nie bez powodu piromanię uznaje się za wykrywacz bardzo głębokich zaburzeń.

Przywołał ich technik pracujący po przeciwnej stronie budynku. Kiedy Teresa podeszła bliżej, popatrzył na nią, jakby była jasnowidzem.

– Miała pani rację – przyznał z niedowierzaniem. – Jest dokładnie tak, jak pani powiedziała.

Odsunął się i pokazał im fragment podłogi, z którego usunięto gruz. Miejsca, gdzie zebrała się skorupa, opatrzone tabliczkami do oznaczania dowodów.

Teresa przykucnęła, Marini poszedł w jej ślady.

Wysunęła dłoń w rękawiczce. Technik zdążył częściowo zdrapać pokrywający skorupę czarny osad i odsłonić czerwone wnętrze.

– Wosk – mruknął ze zdumieniem Marini.

Czerwone płonące świece, ułożone w półokrąg, stwierdziła w duchu Teresa.

Właśnie tych znaków szukała. Po trzynastu latach nadal tu były.

Pozostałości po rytualnym stosie.

– W mieszkaniu coś się dzieje, pani komisarz. Przyszło mnóstwo kobiet z miasteczka. Zaczęły się gromadzić o świcie.

De Carli zdał Teresie sprawozdanie z tajemniczej procesji, której celem był dom Matriony.

Kobiety z gospodarstwa przyłączyły się do niej w milczącym korowodzie, jedna za drugą, energicznym krokiem. Na czele pochodu kroczył jedyny mężczyzna, młodzieniec, którego Teresa nigdy wcześniej nie widziała, niczym nerwowy i czujny strażnik. Na widok Teresy i Mariniego zniknął wewnątrz mieszkania. Po chwili wyłoniła się z niego Matriona.

Kobieta ruszyła im żwawo na spotkanie, z zaciętą miną.

– To nie jest odpowiednia pora – oświadczyła.

– Co robiłyście w stodole? – rzuciła bez ceregieli Teresa. – Co tam robiłyście, pani i Hanna, zanim wybuchł pożar?

Matriona zareagowała grymasem bólu na cios, tak jakby rzeczywiście go jej zadano, jakby doznała nie tylko emocjonalnego wstrząsu.

– Potrzebowałam aż trzynastu lat, by przekonać ludzi z miasteczka, żeby nie plotkowali na mój temat, pani komisarz – odparła – i tyle samo, żeby zdobyć zaufanie Krisnji, która tamtej nocy patrzyła na śmierć matki. Nie zamierzam przeżywać tej męki po raz kolejny.

– Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło – powtórzyła twardo Teresa.

Na twarzy Matriony odmalował się smutny uśmiech, oczy jednak spoglądały niewzruszone.

– Zaraz pani pokażę. – Zdjęła mitenki i cisnęła je na ziemię. Rozwinęła pokrywające dłonie bandaż.

Skóra na grzbietach dłoni sprawiała wrażenie stopionej i stwardniałej. Odwróciła je wnętrzem do góry. Z otwartych ran wyzierało żywe mięso.

– Choćbym bez przerwy smarowała je maścią, i tak nigdy się nie zagoją. Kiedy już pojawia się iskierka nadziei, otwierają się na nowo. Od tamtej nocy ból stał się dla mnie częścią życia.

Matriona pozbierała mitenki i nałożyła je z powrotem, nie spuszczać wzroku z Teresy.

– Dotarłam za późno, żeby ocalić Hannę, i nie mam nic więcej do powiedzenia poza tym, że wszystko już zajęło się ogniem. Jak widzicie, mimo to próbowałam się przedrzeć, ale wkrótce musiałam zdecydować, czy żyć, czy umrzeć razem z nią. Kiedy do stodoły przybiegła Ewa z płaczącą Krisnią na rękach, nie dało się już nic zrobić. Nic!

– Czy Hanna na panią czekała? – zapytała Teresa.

– Nie, ale wiedziałam, że ją tam zastanę.

– Dlaczego?

Matriona nie odpowiedziała, Teresa postanowiła więc ją wyręczyć.

– Śledztwo ujawniło wśród szczątków stodoły obecność śladów częściowo spalonego czerwonego wosku. Ezoteryczny krąg? Podejrzewam, że obydwie zatraciłyście się w zabawie, która zaszła za daleko, i że coś się nie udało. W zabawie, która ma konkretną nazwę: szamanizm.

– To nie jest zabawa, pani komisarz.

– Brzmi niemal jak groźba. Czy powinnam się bać?

– Nie, jeżeli przybywa pani w pokoju.

– Nie nastąpi pokój, dopóki zmarli nie uzyskają sprawiedliwości. Hanna została zamordowana, ale pani pewnie o tym wie.

Matriona zacisnęła szczęki, determinacja w jej oczach ustąpiła zaś miejsca podejrzliwości.

– I sądzi pani, że to ja?

– Była tam pani.

– Byłam tam, bo w ciągu ostatnich miesięcy Hanna dziwnie się zachowywała, wydawała się coraz bardziej daleka i cierpiąca. Chciałam być przy niej. Chciałam być tam dla niej. Zjawiłam się zbyt późno, w każdym tego słowa znaczeniu, i nie zdołałam jej uratować. Będę się o to obwiniać do końca życia. Skoro ktoś ją zamordował, teraz rozumiem, co ją gnębiło: strach.

Teresa wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Proszę nie opuszczać miasteczka. Prawdopodobnie w najbliższych godzinach będziemy musieli przesłuchać panią ponownie – oświadczyła.

– Wygląda na to, że teraz to pani grozi mnie.

– Nic podobnego. Wyjaśnienie tej historii raz na zawsze leży także w pani interesie. Mylę się?

– Muszę porozmawiać z Krisnją – oznajmiła kobieta, odsuwając się od niej o krok. – Duchy nie mogą znowu nas rozdzielić.

Odzyskawszy te kilka centymetrów terenu, Teresa zdobyła kolejne, aby rzucić wyraźne wyzwanie.

– Proszę się nie zbliżać do dziewczyny – poleciła ze spokojem. – W tych okolicznościach powinna pani posłuchać mojej rady.

– To Francesco wam powiedział, prawda? Po raz kolejny rzucił na mnie podejrzenie. – Matriona dygotała ze złości. – Zawsze był zazdrosny o rodzinę kobiet, która otaczała Ewę, a z której on był wykluczony.

Wtem w domu rozległ się kobiecy wrzask, pełen trwogi i zarazem gniewu. Był niczym sygnał, który uwolnił psalmodyczny śpiew kobiet i uderzenia bębnow, towarzyszące mu w narastającym, obsesyjnym rytmie.

– Co wy tam wyprawiacie? – zapytał zaalarmowany Marini.

Matriona powiodła po nich wzrokiem. Znow była spokojna i wyniosła.

– Jeżeli chcecie się dowiedzieć, będziecie musieli mieć nakaz – odparła. Obróciła się na pięcie i odeszła. Teresa usłyszała wyraźnie, jak klucz dwukrotnie obraca się w zamku.

Krzyk rozbrzmiał ponownie, tym razem stłumiony, choć nadal doskonale słyszalny.

Marini sięgnął pod marynarkę po kaburę, Teresa powstrzymała go jednak.

Coś w tym krzyku kazało jej milczeć.

– Pani komisarz?

Uspokoila go gestem ręki.

– Kobiety takie jak ona mają stare imię – mruknęła, sama zaskoczona własnymi wspomnieniami. – Doula. Troszczą się o życie, ale także o śmierć. Od

zamierzchłych czasów to one przyjmowały na wsi porody i przerywały ciążę. Posłuchaj: nie ma bardziej mistycznego doświadczenia.

W tym domu, w tej chwili, w utworzonym z kobiecych ramion i z niedającej się nazwać energii kręgu bez początku i końca właśnie rodziło się dziecko.

– Naprawdę potrzebujemy tego nakazu.

Prowadząc samochód w kierunku miasta, Massimo uznał za konieczne przerwać ciszę. W ciągu ostatnich godzin Battaglia rzadko się odzywała. Najwyraźniej spotkanie z Matrioną, odgłosy dawnego obrzędu, którym się przysłuchiwali, przeniosły ją do innej rzeczywistości. Nawet Blance nie udało się przykuć jej uwagi. Pojechali po nią i Smoky'ego do strefy poszukiwań, która zdążyła się powiększyć niczym plama oleju na powierzchni wody: celem było znalezienie kolejnego ciała zakopanego w lesie, zwłok Ewy, nie mieli jednak żadnego punktu zaczepienia, od którego mogliby zacząć. Blanca i Smoky cierpliwie przystąpili do szukania, które miało być długie i skomplikowane.

– Pani komisarz? – ponownie przerwał milczenie Massimo.

– Mmm.

– Nie ma pani nic do powiedzenia?

– Daj jej spokój – ofuknęła go Blanca, skulona wraz z psem na tylnym siedzeniu.

– Nie mamy czasu na spokój! – mruknął z westchnieniem.

Komisarz Battaglia wreszcie przestała się wpatrywać w krajobraz.

– Żeby liczyć na zdobycie nakazu, musimy dostarczyć sędziemu Crespiemu coś więcej niż tylko przeczucie – odparła, przeciągając słowa. – Nie można wchodzić ludziom do domów, opierając się wyłącznie na podejrzeniu, że coś ukrywają.

– Ale ta kobieta naprawdę coś ukrywa.

– A kto tego nie robi?

– Zmieniła pani zdanie na jej temat?

– Nie, ale było już śledztwo w sprawie śmierci Hanny i pożaru, a Matriona nie figurowała nawet na liście podejrzanych. Crespi nie weźmie na siebie odpowiedzialności za ponowne otwarcie sprawy i podważenie osądu swoich

kolegów, nie mając uzasadnionego powodu, co w tłumaczeniu oznacza „poważne, jednoznaczne i zbieżne poszlaki”.

– Jakim cudem nie dotarło do nich, że ją zamordowano? – zapytała Blanca.

– Bo nie zarządzono sekcji zwłok. Poszlaki były jasne: pożar wywołały świece, które rodzina paliła w stodole. Nie było prądu. Zabrakło przesłanek, by podejrzewać morderstwo – odrzekła komisarz.

– Ale teraz je mamy – stwierdził Massimo. – Sędzia Crespi będzie musiał wziąć je pod uwagę.

Dotarli pod dom Blanki.

– Wejdziecie? – zaproponowała.

– Ja tak – odparła Battaglia. – A ty? – zwróciła się do Mariniego.

Massimo spojrzał w oświetlone okno.

– Ja... może – odpowiedział uczepony kierownicy.

– Odwagi, przecież cię nie zje.

– Jesteś pewna?

Elena nie wyglądała, jakby chciała go pożreć. Gdy otworzyła drzwi, wydało mu się, że jego widok sprawił jej ulgę, tak jakby nie do końca uwierzyła w słowa, które jej napisał.

Nie mogę żądać, żeby mi zaufała, powiedział sobie w duchu Massimo. Zawiodłem jej zaufanie.

Battaglia i Blanca natychmiast znalazły pretekst, by zostawić ich samych, chociaż najgorszy z możliwych, tak oczywisty, że aż wprawił ich w zakłopotanie.

Massimo był wyjątkowo poruszony, co rzadko mu się zdarzało. Czuł się tak, jakby zaczynał wszystko od nowa. Jakby to była pierwsza randka, pierwszy pocałunek. Rozdarty między rajem a odrzuceniem.

– Cześć – odezwał się, wymyślając sobie od idiotów.

– Cześć.

Była taka śliczna w legginsach i prostej opiętej na brzuchu koszulce.

– Już rośnie – stwierdził rozanielony.

Podążyła za jego wzrokiem i czym prędzej zasłoniła się rękami.

– Jestem napęczniała. Zdaje się, że jedzenie to jedyne lekarstwo na mdłości. To męka...

– Przykro mi. Wcale nie chciałem powiedzieć, że utylaś.

– A utylaś?

– A jeżeli nawet? Tak też wyglądasz zjawiskowo.

Elena posłała mu szybkie spojrzenie.

– Tak to znaczy jak?

– Bardziej okrągło.

Milczenie, jakie potem nastąpiło, wywołało mrowienie na jego karku, swędzenie, któremu nie ośmielił się zaradzić. Elena wpatrywała się w niego, jakby miała zamiar rzucić mu się do gardła.

– Eleno?

– Nie myślałam, że z ciebie taki dupek.

Massimo chwycił jej dłoń, zanim zdążyła się oddalić.

– Byłem idiotą, ale teraz koniec z tym. Chcę was w swoim życiu – oświadczył błyskawicznie.

– Za to ja wcale już nie jestem pewna, że chcę ciebie.

– Pozwól mi przez resztę życia nakłaniać cię do zmiany zdania.

– Jak?

– Jestem pewien, że czołganie się jest w pakiecie.

– Błagier.

Massimo opadł na kolana i objął dłońmi jej biodra.

Elena oblała się rumieńcem.

– Twoja szefowa może cię zobaczyć – upomniała go.

– Wyobraź sobie, że już patrzy.

– Massimo...

Położył głowę na jej brzuchu. Wziął ją za rękę i pogładził opuszką jej palec serdeczny.

Zamknął powieki, a wtedy przemknęło mu przed oczami całe życie. To, co dobre, to, co złe. Miłość i nienawiść. Śmierć i odrodzenie. Po raz pierwszy postrzegał je jako niezbędną część tego, kim jest.

Aż wreszcie poczuł tę pierwotną i mistyczną więź z istotą, która rosła w jej wnętrzu. Było to potężne wezwanie, by ją chronić.

Elena miała się wkrótce stać bramą, przez którą mały człowiek przyjdzie na świat. Szykowała swoje ciało na brutalne i fenomenalne doświadczenie, którego Massimo, będąc mężczyzną, nie mógł postrzegać inaczej niż nadludzkie.

Powrócił myślami do doliny, w której kobiecości strzeżono i przekazywano ją wraz z dawną mądrością. Kobieta zdołała obronić samą siebie i drzemiącą w niej boginię. Boska kobiecość zachowała się w każdej z nich, podobnie jak w Anizie i wizerunku Śpiącej Nimfy. Nawet w ikonie przedstawiającej Najświętszą Panienkę, która dostała się w ręce dzieci z doliny. Kto wie, jak promieniejąca wydała im się twarz Królowej Niebios, skoro na co dzień stykały się z ową tajemną mocą.

Massimo otworzył oczy. Zamknął dłoń Eleny w swojej i ugryzł się w język, powstrzymując się od wypowiedzenia na głos swojej propozycji. Wstał.

– Gdybym mógł, zabrałbym was ze sobą – zapewnił, składając na jej wargach pocałunek – ale tam nie jest bezpiecznie.

Odsunął się od niej z ociąganiem.

– Dokąd idziesz? – zapytała Elena, zaskoczona jego nagłą wolą.

Obdarzył ją uśmiechem.

– Szukać początku historii, żeby móc napisać jej koniec.

– Nie mogę uwierzyć, że się nie oświadczyłeś!

Massimo pokręcił głową.

– Wiedziałem, że pani podsłuchuje – odparł.

– Jak mogło ci wpaść do głowy, żeby uklęknąć, ale nic nie powiedzieć? To jakies jaja.

– Chcę, żeby to była dla niej idealna chwila.

Battaglia zmeła w ustach przekleństwo.

– Idealne chwile nie istnieją, są tylko te niezapomniane. A ta mogła właśnie taka być.

– I byłaby, gdybyśmy byli sami, a nie z panią szpiegującą pod drzwiami.

– Dziękuj Bogu, że cię nie wykopała. Ja bym tak zrobiła. I w dodatku wyszedłeś, wygłaszając mądrość w stylu inspektora Derricka. Kurna olek, przecież właśnie myślałeś o śledztwie, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Myślałem o nas, o naszym dziecku. I o ciągle przebywającym na wolności mordercy, który zjawił się pod samymi drzwiami mojego domu. Jeżeli pani pozwoli, potraktuję to jak żdziebko pilny problem do rozwiązania, zanim wprowadzę Elenę do swojego życia. Jesteśmy na miejscu.

Battaglia ponownie zaklęła.

– Czy to żart? – zapytała na widok kwatery korpusu karabinierów.

– Bardzo bym chciał, żeby tak było. Wyobraża pani sobie minę Lony, gdyby zobaczył, że prosimy o pomoc wroga?

– Cholera. Właśnie to teraz robimy?

– Nie. Wykorzystujemy ich.

– Tak brzmi lepiej.

W progu przywitał ich Christian Neri, który natychmiast podszedł do Battaglii.

– To zaszczyt panią poznać, pani komisarz – powiedział, ściskając jej dłoń. – Jestem porucznik Neri.

Zmierzyła go z zaciekawieniem od stóp do głów.

– Chyba już pana gdzieś widziałam – zauważyła. – Pólnagiego, na środku ringu.

Christian się uśmiechnął.

– Cóż, tak. Mam nadzieję, że minione wydarzenia nie świadczą na moją niekorzyść – odrzekł.

– Nie, panie poruczniku. Doceniam sprzeciw wobec reguł do pewnego stopnia.

– Ach tak? – wtrącił Massimo. – Nie wydaje mi się.

– Tędy proszę. – Neri wskazał im drogę. – Witam w imieniu jednostki ochrony dziedzictwa kultury. Nasza główna działalność polega na odzyskiwaniu skradzionych dzieł sztuki, ale nie tylko.

Massimo przyglądał się, jak podążają korytarzem, gawędząc jak starzy przyjaciele.

– Nie było bardziej pompatycznej nazwy? – zapytał kwaśno, ale żadne z nich się tym nie przejęło.

Christian pozwolił im się rozgościć w swoim gabinecie.

– Będę szczery: sprawę *Śpiącej nimfy* powinno się powierzyć nam – oznajmił – chociaż rozumiem wybór zastępcy prokuratora Gardiniego. Pani stanowi gwarancję sukcesu, pani komisarz.

Battaglia odpowiedziała na jego uśmiech.

– Mam szczęście dowodzić wspaniałym zespołem – odparła.

– A teraz my mamy szczęście współpracować z panią.

Massimo nie zdzierzył tej wymiany uprzejmości.

– Współpraca to nie jest właściwe słowo – przerwał. – Jak wspominałem przez telefon, tej rozmowy nigdy nie było.

Christian ledwie raczył na niego spojrzeć.

– Jest tak, jak ci powiedziałem. Z radością pomogę pani komisarz.

– Chłopcy, pochlebia mi cały ten testosteron, jakim się przede mną chwalicie, ale ja mam sześćdziesiąt lat i to nie robi już na mnie specjalnego wrażenia. Tak więc... pochowajcie te wasze pawie ogony i przejdźmy do rzeczy. Będę wam wdzięczna – rozdzieliła ich.

Christian nie zdołał powstrzymać wybuchu śmiechu.

– Widzę, że pogłoski o pani bezpośredniości są prawdziwe, pani komisarz.

– Nawet nie wiesz jak – uciał Massimo.

– Oświećcie mnie – przystąpiła do działania Battaglia. – Dlaczego tu jesteśmy?

– Ze względu na bazę danych na temat nielegalnie zabranych dóbr kultury – odparł Christian. – Jedyną w swoim rodzaju i dostępną dla całej policji na świecie. Jesteśmy z niej więcej niż dumni. Liczy ponad sześć milionów zarejestrowanych dzieł sztuki, z których każde posiada coś w rodzaju paszportu, zwanego *Object-ID*.

– Wprowadziłem porucznika Neriego w sprawę skradzionej przez nazistów, a potem zaginionej ikony – wyjaśnił Massimo.

Neri prędko wstukiwiał coś na klawiaturze.

– Niestety nie powiedział mi nic nowego. W czasie drugiej wojny światowej najeźdźcy skradli miliony dzieł sztuki, lecz odnaleziono tylko część z nich. Inicjatorem akcji ograbiania okupowanych krajów z dziedzictwa artystycznego był Hermann Göring, prawa ręka Hitlera. Jako przykład może tu posłużyć niemal całe dziedzictwo polskie, zagrabione w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym

roku. Rok później to także Göring przeznaczył do swojej prywatnej kolekcji jedną trzecią dzieł zrabowanych z Luwru.

– To niesamowicie dużo – przyznała Battaglia.

– Robi wrażenie, owszem. Ale wydaje mi się, że w tym morzu obrazów i rzeźb rozpoznałem waszą ikonę.

Christian zamilkł na chwilę, jakby chciał dać im czas na uzmysłowienie sobie wagi jego słów.

– W lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Niemcy wtargnęli do sanktuarium Matki Bożej w Castelmonte, parę kilometrów od waszej doliny, i skradli nastawę ołtarzową. Składała się z małego tryptyku w kształcie księgi, z serigrafią wykonaną złotem, srebrem i kamieniami szlachetnymi. Wiek nastawy szacuje się na czas poprzedzający późnoromański okres bizantyjski. To dzieło paleochrześcijańskie o niemożliwej do ustalenia wartości. Istnieje wzmianka na jego temat w rejestrach zarekwizowanych w dowództwie nazistów stacjonujących u wejścia do Val Resia. Nastawa została rozebrana, a część główna i oba skrzydła namierzone oddzielnie. Zgodnie z rejestrem ikona powinna trafić do pociągu do Wiednia, ale nigdy tam nie dotarła.

– Ukradł ją żołnierz, przy którym ją znaleziono – powiedziała Teresa.

Christian pokiwał głową.

– Nierzadko w ostatnich dniach już i tak przegranej wojny niemieccy żołnierze rabowali, na oczach swoich dowódców, dzieła sztuki, które dało się łatwo przewieźć. To znacznie utrudnia ich odzyskiwanie.

Massimo i Battaglia spojrzeli po sobie. Kolejny fragment układanki trafił na swoje miejsce.

– Dziękujemy panu – rzekła komisarz, wstając. – Nie zapomnimy o pańskiej uprzejmości.

Christian Neri popatrzył na nich ze zdumieniem.

– Nie chcecie jej zobaczyć?

Odwrócił monitor w ich stronę, obraz na ekranie odebrał im mowę.

Widniała na nim Matka Boska budząca co najmniej niepokój.

– To *Virgen Nigra*: czarnoskóra Madonna.

Anastasiu Constantin obejrzał z ogromnym zaciekawieniem przedstawiający ikonę wydruk, który Teresa otrzymała od Christiana Neriego. To właśnie porucznik dał im namiary na eksperta, który często współpracował z jednostką przy ocenie autentyczności odnalezionych dzieł sztuki.

Przekroczywszy próg antykwariatu, lawirując pośród barokowych aniołów wyrzeźbionych w hebanie i kandelabrow z litego srebra, Teresa musiała mocno spuścić wzrok, by napotkać spojrzenie właściciela. Constantin cierpiał na karłowatość.

– Czarne Madonny występują w wielu kulturach na całym świecie – ciągnął antykwariusz, wygładzając kaszmirowy fular, który okalał mu szyję niczym kryza – ale tylko nieliczne strzegą, by tak rzec, pewnej tajemnicy.

W palcach, z których każdy zdobił złoty pierścień z oczkiem, trzymał fotografię ikony. Zdjęcie było czarno-białe, ale w celu wprowadzenia dzieła do bazy danych *Object-ID* pokolorowano je według wskazówek naocznych świadków i tych zawartych w rejestrach, w których notowano koleje jego losu.

– Jakiej tajemnicy? – zapytała Teresa.

Constantin nie odpowiedział. Wspiął się po dwóch stopniach i rozsiadł w fotelu. Umieścił fotografię na biurku i skierował snop światła na twarz Madonny. Przesłaniał ją czarny woal, wystarczająco przezroczysty, by dostrzec egzotyczne rysy, kasztanowe oczy, które zdawały się bezustannie wpatrzony w oglądającego, bez względu na jego położenie. Szyja i dłonie zdradzały wszakże ciemną karnację skóry, podobnie jak postać Dzieciątka Jezus, które karmiła Matka Boska.

– Tak naprawdę rzadko która *Virgen Nigra* jest autentyczną Czarną Madonną – wyjaśnił. – Swoje zabarwienie zawdzięczają dymowi ze świec wotywnych, który przez wieki pokrył osadem płótna i deski, aż w końcu stopił się z materia. Niekiedy na szczególnie cenne malowidła nakładano farbę, aby je ukryć. Innym znów razem

ciemna skóra to wyraz hołdu dla pochodzenia Matki Boskiej. Ikona, którą właśnie oglądamy na zdjęciu, nie ma nic wspólnego z żadnym z tych przypadków.

– Wcześniej wspomniał pan o tajemnicy. Czy chodzi panu o to?

– Dokładnie tak. Proszę zauważyć, że w bardzo niewielu przypadkach, które można by policzyć na palcach jednej ręki, ciemna skóra Madonny wskazuje jej prawdziwe pochodzenie. Proszę spojrzeć na ikonę: właśnie macie przed sobą bluźnierstwo w czystej postaci. Przyjrzyjcie się palcom: unoszą się, wskazując liczbę trzy, symbol Trójcy Świętej. Ta Madonna mówi nam: „Należę do Trójcy Świętej. Nie mężczyzna, tylko kobieta”. Jej szata jest czerwona jak szata Chrystusa; to nie jest symbol krwi przelanej na krzyżu, ale krwi, jaką każda kobieta oddaje co miesiąc ziemi za pośrednictwem własnego ciała. Jej płaszcz jest niebieski jak niebo, z którego zeszła. To ujęcie typowe dla Chrystusa Pantokratora z epoki bizantyjskiej.

Teresa zaczęła się domyślać zawoalowanego przekazu ukrytego w malowidle.

– Nie wydaje wam się, że ta idealnie okrągła aureola przypomina dysk słoneczny? Czyż anioły o sokolich skrzydłach nie należą przypadkiem do najdziwniejszych, jakie kiedykolwiek widzieliście? A co można powiedzieć o karmionym piersią Dzieciątku Jezus? Moim zdaniem ma fizjonomię dziewczynki.

Zerknął na nich z zadowoleniem.

– Pojmujecie? Ta ikona mówi nam, że bóstwo jest kobietą.

– Bogini, która rodzi boginie – mruknęła Teresa.

– Nie jakakolwiek bogini. Izyda, Wielka Matka. Bogini płodności, macierzyństwa i Pani Nocy. Ta, którą nazywano imieniem Heket, Wielka Pani Magii. Jej zwierzęcym symbolem był sokół. Kult Izydy jest zagadkowy, głęboko związany z wiedzą ezoteryczną. Oto przyczyna ciemnej skóry. To nie jest Maryja, tylko Izyda. Proszę spojrzeć: to młoda dziewczyna, która ma najpotężniejszą władzę na świecie.

– Pogański kult ukryty za pozorami chrześcijaństwa – stwierdziła Teresa. – W świątyni wierni przez wieki kłaniali się przed Izydą, przekonani, że modlą się do Maryi Dziewicy.

– Skąd czarny woal na twarzy? Czy to znak żałoby? – zapytał Marini.

– Och, nie, wyjaśnia nam to Plutarch. W swoim dziele *O Izydzie i Ozyrysie* wielki biograf i filozof zamieścił wzmiankę na temat inskrypcji widzianej w Memfis, w świątyni poświęconej bogini. U stóp pewnego posągu napisano: *Ego sum omne quod fuit, quod est, quod futurum est. Velum meum nemo mortalium relevavit*. Co znaczy: „Ja jestem wszystkim, co istniało, istnieje i co ma istnieć, a mojej szaty żaden śmiertelnik nigdy nie odsłonił”. Niektórzy tłumaczą *velum* jako peplum i łączą to wyrażenie z dziewictwem bogini. W rzeczywistości „unieść szatę Izydy” oznacza „uzyskać dostęp do wiedzy”.

Teresa przyjrzała się fotografii ikony, symbolice barw.

Czerwień: cykl życia.

Biel: pierwsze światło życia.

Błękit: styczność z boskością.

Czerń: śmierć i odnowienie. Kult przodków.

A na koniec zieleń tła: wiedza na temat roślin.

Były to barwy kobiet szamanek.

Ktoś chce wymazać cały mój ród, powiedziała kiedyś Krisnja.

Teresa nie potrafiła przestać myśleć o zdaniu wyszeptanym przez dziewczynę nad grobem jej babki Ewy. Teraz, gdy poznała ukryte znaczenie ikony, słowa te przybrały jeszcze bardziej niepokojącą postać. Była pewna, że po dolinie krąży jakaś tajemna moc, strzeżona niczym sekret, który ma w sobie coś ze świętości. Dla świętości można umrzeć. I można zabić.

– Nadal tu jest – powiedziała cicho, wpatrzona w las, gdzie Blanca, Smoky i członkowie ekipy poszukiwawczej przeczesywali bez wytchnienia teren nad rzeką w poszukiwaniu szczątków Ewy. Wkrótce mieli zacząć się przemieszczać wewnątrz łądu.

– Co ma pani na myśli? – zapytał Marini.

– Wizerunek Izydy. Ikona nigdy nie zaginęła.

– Uważa pani, że Francesco po raz kolejny skłamał?

Teresa pokręciła głową.

– Nie, mówił prawdę. Ufa własnej pamięci. Sądzę, że ktoś ją odzyskał i teraz nadal czci tu, w dolinie.

– Cham?

– Może. Tylko że on nie żyje.

– W tej historii brakuje jednak zbyt wielu ciał. Czy jego grobowiec też będziemy musieli otworzyć?

Teresa nie odpowiedziała. Była to ewentualność, którą na razie miała nadzieję odsunąć na bok.

– Po co zabijać? – ciągnął Marini. – Kult Izydy to kredo pokoju i braterstwa.

– Chrześcijaństwo też.

– Nadal nie widzę związku z zabójstwem Emmanuela Turana.

– Sam Emmanuel stanowi związek. Pomiedzy wcześniejszą śmiercią, Anizy, a dniem dzisiejszym. To z pewnością świadek. Świadek tajemnicy.

Nagle zawibrowała komórka Mariniego.

– To De Carli – oznajmił. Słuchał przez chwilę, po czym twarz mu stężała. Rozłączył się.

– Francesco złożył zawiadomienie o zaginięciu Krisnji.

Podobnie jak jej cioteczna babka Aniza, dziewczyna weszła do lasu i nie wróciła.

Tym razem jednak to my będziemy jej szukać. Znajdziemy ją.

Teresa przyrzekła to samej sobie. Wezwała do strefy, w której widziano Krisnję po raz ostatni, wszystkich mężczyzn zaangażowanych w poszukiwania.

– Zobaczyłem ją przez okno mojego pokoju – powtarzał wzburzony Francesco. – Słońce nawet jeszcze nie weszło. Krisnja podążyła ścieżką, miała na sobie tylko sweter narzucony na piżamę. I sportowe buty. Zniknęła wśród drzew.

– Nie wołał jej pan? – zapytał Marini.

– Nie, wiedziałem, że czasami krąży po okolicy i szuka kota. On nieustannie znika, a ona się martwi. Nie spuszcza z niego oka, ponieważ lisy zapędzają się aż pod domostwa. Skoro była tak ubrana, przyjąłem za pewnik, że wyszła tylko na parę minut.

– Ale?

– Ale pół godziny później ruszyłem za nią. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, a na włączonej kuchence stała spalona maszynka do kawy. Coś jej się stało.

Panika mężczyzny sprawiała wrażenie autentycznej.

Właśnie zjawił się Parisi, prowadząc Blancę, przed nimi zaś truchtał Smoky, merdając ogonem. Dziewczyna wyciągnęła dłoń.

– Teresa! – zawołała.

– Tutaj jestem. – Battaglia podeszła bliżej i chwyciła ją za rękę. Przyciągnęła ją do siebie, tak by inni nie mogli usłyszeć jej słów. – Krisnja zaginęła – mruknęła. – Musicie mi pomóc ją odnaleźć.

Blanca przysunęła twarz do jej twarzy.

– Wiesz, że my podążamy za krwią – wyszeptwała. Zabrzmiało to jak pytanie, czy Teresa uważa, że Krisnja już jest martwa.

Było to możliwe. Komisarz wykrztusiła z trudem:

– Pomóżcie mi znaleźć cokolwiek, co należy do niej.

Blanca skinęła głową i przywołała Smoky'ego.

– Zaprowadźcie mnie tam, gdzie Krisnja ostatnio przebywała – poleciła.

Marini położył sobie jej dłoń na ramieniu. Wspólnie zeszli po zboczu na ścieżkę. Gdy zagłębili się w las, towarzyszył im Francesco.

– Przybiegłem aż tutaj, gdzie widziałem, jak znika – wyjaśnił zdyszany – i gnałem dalej jakieś sto metrów. – Zatrzymał się. – Potem do mnie dotarło... Dotarło do mnie, że jej nie odnajdę. Zawróciłem i was wezwałem. – Spojrzał na Teresę. Wiedziała, że po niesnaskach między nimi zaufanie jej sporo go kosztuje. – Dla mnie to jak przeżyć po raz drugi tamtą noc, ostatnią noc Anizy – szepnął.

Teresie zrobiło się żal tego mężczyzny, któremu dzień z odległej przeszłości tak głęboko zapadł w pamięć.

– Dalej pójde sama – oznajmiła Blanca, zdejmując dłoń z ramienia Mariniego.

– Bądź ostrożna.

Inspektor nadal pilnie śledził ją wzrokiem, bacząc na każdy jej krok.

Smoky natychmiast ruszył w kierunku przeciwnym niż ten wskazany w pierwszej chwili przez Francesca.

– Nie mogła się udać w tę stronę – zaprotestował starzec. – O tej porze i w tych warunkach Krisnja nigdy by się nie wypuściła w te rejony w pojedynkę.

– Może goniła kota, sam pan tak powiedział – zauważyła Teresa, unikając wzmianki o tym, że pies wyczuł właśnie zapach ludzkiej krwi.

Stanowczo pokręcił głową.

– Ten zwierzak ma silniejszy instynkt samozachowawczy niż ja. Nigdy nie zapuściłby się tak głęboko w las. Tu są dziki, lisy. Widywałem sowy o półtorametrowej rozpiętości skrzydeł. Dałyby radę go porwać bez większego trudu.

– Poszła tędy – upierała się Blanca, łagodnie, choć zdecydowanie.

– Idziemy za wami – zachęciła ją Teresa.

Wyglądało na to, że Krisnja prędko zboczyła ze ścieżki i powędrowała w zarośla. Smoky przystanął na skraju porośniętego urwiska, zdradzając oznaki nerwowości.

Blanca próbowała go uspokoić, on jednak wyswobodził się z delikatnego uścisku dziewczyny i pomknął w las.

Blanca sprawiała wrażenie skonsternowanej i chyba także załęcznionej.

– Nigdy jeszcze się tak nie zachował. Pierwszy raz się ode mnie oddalił – rzekła.

Usłyszeli, jak ujada nieco poniżej.

Teresa przywołała Parisiego.

– Zostań tutaj z nią – zarządziła, wskazując Blancę.

Schodzenie okazało się trudne. Teresa kilkakrotnie się potknęła i o mało nie upadła, ale za nic w świecie nie potrafiłaby tkwić bez ruchu, podczas gdy Marini posuwał się przodem. Inspektor wcale jej nie ponaglał, czekał na nią i podtrzymywał na najbardziej niedostępnych odcinkach.

Teresa czuła, że Krisnja jest gdzieś tam, w dole, przede wszystkim jednak czuła, że w całej tej historii wkrótce nastąpi zwrot, który na zawsze zmieni bieg wypadków.

Skowyt dał się słyszeć coraz bliżej. Teresa chwyciła wyciągniętą dłoń Mariniego i pokonała głaz uczepony urwiska.

Smoky znajdował się kilka kroków dalej. Kręcił się niespokojnie, wpatrzony w jakiś punkt wśród drzew.

Widok, jaki roztaczał się przed ich oczami, sprawił, że krew zastygła im w żyłach.

W gęstwinie kolczastych krzewów Krisnja jakby unosiła się nad ziemią, z ramionami rozpostartymi niczym Chrystus na krzyżu, oszpecona i w podartym ubraniu. Nieruchoma, wydawało się, że nie oddycha. Krew tak obficie zalała jej twarz, że trudno ją było rozpoznać.

Marini zaklął, zdjął marynarkę i owinał nią sobie rękę. Usiłował się przedrzeć przez gąszcz cierni, lecz grube i mocne gałęzie utworzyły nieprzebytą barierę, która odpierała każdy jego atak.

Musiał się poddać.

– Idę po pomoc. Potrzebne nam sekatory.

Teresa zbliżyła się do tej naturalnej pułapki. Na kolczastej płataninie widniały ślady krwi. Pędy oplatały ciało dziewczyny i wiły się nad jej głową. Nie mogła tam

spaść, urwisko znajdowało się bowiem z drugiej strony polany, a wokół rosły jedynie ponaddwudziestometrowe drzewa.

Krisnja sama wkroczyła do tego piekła.

Teresa zastanawiała się, co mogło ją aż tak przerazić, że walczyła z ostrymi cierniami w nadziei, że zdoła uciec.

Maska krwi przed jej oczyma drgnęła i nagle powieki otwały się szeroko.

Krisnja wpatrywała się w nią rozszerzonymi źrenicami, jakby słyszała jej myśli.

– Diabeł... – wyszeptała.

Zupełnie jakby nadal go widziała, z jej gardła wydobył się pochodzący z samych trzewi krzyk, który rozbrzmiał w ciele Teresy.

Leśne cienie nabrały życia. Wydzielały zapach. Wydawały dźwięki. Odzywały się niskim, warczącym głosem.

Gdy Marini wrócił, ujrzał Teresę zastygłą w bezruchu, struchlałą, ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie w lesie, gdzie najwyraźniej zaszyła się czarna postać. Ciągle tam była, obserwując ją.

Na widok jej miny komisarz czym prędzej rzucił się sprawdzić, czy ktoś tam jest. Kiedy się odwrócił, Teresa pojęła, że w wąwozie nic nie ma, co najwyżej wytwór jej wyobraźni.

Omamy podsycane sugestią, powiedziała sobie zdumiona, że w tej krytycznej sytuacji choroba niemal przynosi ukojenie. O innej możliwości bała się bowiem nawet pomyśleć.

– Teraz może mi pani powiedzieć. Co pani zobaczyła w lesie?

Marini ledwie wyszeptał to pytanie na korytarzu SOR-u, kilka kroków od sali, w której leżała Krisnja.

Teresa podniosła na niego wzrok. Wpatrywał się w nią zbyt uważnie.

– Była pani przerażona, pani komisarz. Proszę mi powiedzieć, co pani zobaczyła.

Teresa naprawdę była przerażona. Wydawało jej się, że patrzy w oczy piekła, tymczasem widziała samą siebie: samą siebie dotkniętą chorobą. Lekarz potwierdził to przez telefon przed niespełną półgodziną.

– Omamy wzrokowe i słuchowe stanowią część przebiegu choroby – powiedział.

– Są to majaki fałszujące rzeczywistość. Może się zdarzyć, że pewnego dnia doznasz szoku, przeglądając się w lustrze, ponieważ się nie rozpoznasz albo nie dotrzesz do siebie, że się postarzałeś. Możesz patrzeć na odbicie zasłony i sądzić, że patrzysz na jakiegoś człowieka.

– Na ducha? – zapytała wtedy.

– Owszem, również ducha. Omamom często towarzyszą zaburzenia paranoidalne: lęki, fobie, mania prześladowcza.

– Co mogę na to poradzić?

– Zwykle pomaga rozmowa. Zawsze doradzam rodzinie chorego, aby pomogła mu rozsądnie myśleć, samemu dojść do wniosku, że to tylko błędna interpretacja rzeczywistości. Dbłość o zachowanie sprawności umysłu ma fundamentalne znaczenie.

Kolejne pytanie kazało Teresie schować dumę do kieszeni.

– A jeśli nie mogę o tym z nikim porozmawiać?

– W takim razie musisz próbować za wszelką cenę polegać na własnej zdolności rozumowania. Stań się jeszcze bardziej metodyczna, posługuj się logiką.

Nieustannie wątp i każde zdarzenie roztrząsaj, dzieląc włos na czworo. Musisz sama się ratować.

Żadna nowość. Przywykłam do tego, pomyślała wtedy.

– Zobaczyłam cień – wyznała Mariniemu. – Nic więcej. Czy się przestraszyłam? Oczywiście. Każdy, gdyby znalazł się tam w dole w pojedynkę, by się przestraszył.

Antonio Parri dołączył do nich szybkim krokiem. Zjawił się w szpitalu, jak tylko otrzymał od Teresy wiadomość, i natychmiast zasięgnął języka w sprawie stanu zdrowia Krisnji. Dziewczyna była w szoku, ale przytomna. Battaglii jeszcze nie udało się z nią porozmawiać.

– Dzięki Bogu, oczy są całe – oznajmił patolog.

– A twarz? – zapytała Teresa.

– Zdeformowana. Zostanie jej kilka blizn.

Komisarz musiała na chwilę odwrócić wzrok.

– W krwi dziewczyny znaleziono duże dawki skopolaminy i atropiny – ciągnął Parri. – To alkaloidy halucynogenne.

– Jakie jest ich źródło? – chciała wiedzieć Teresa.

– Naturalne. Pozyskano je z nasion i liści popularnej rośliny trującej o nazwie *Datura stramonium*. Potocznie określa się ją jako diabelskie albo czarcie ziele.

Teresa i Marini spojrzeli po sobie.

– To roślina psychotropowa, podobnie jak opium, mandragora i grzybień. Dawniej używano jej ze względu na właściwości lecznicze do zwalczania astmy oskrzelowej. Zbyt duża dawka może jednak doprowadzić do paraliżu mięśni oddechowych i potwornej śmierci przez powolne uduszenie.

– Ktoś podał dziewczynie narkotyk. Stąd jej omamy – stwierdziła Teresa.

– Ciągłe powtarza, że ktoś chciał wymazać jej twarz – rzekł Parri. – Mówiąc to, ma na myśli jakąś złą postać. Naprawdę jest przekonana, że spotkała diabła. Lekarze chcą, żeby przespała się kilka godzin. Powiedziałem, że się zgodzisz.

Teresa przytaknęła, bardziej wstrząśnięta, niż chciałaby przyznać.

To były tylko omamy, powtarzała usilnie. Jej i moje. Nikogo tam nie było.

– Dawka, przy której uaktywniają się alkaloidy, jest bardzo zbliżona do tej toksycznej – wyjaśnił patolog. – Ten, kto chciał ją odurzyć, znał się na swojej robocie.

– Albo zamierzał ją zabić – mruknęła Teresa.

Przyszła jej na myśl kobieca wiedza, sztuka wykorzystywania ziół do ratowania życia. Albo odbierania go.

Są dwie wioski: Prawda i Kłamstwo. Ten, kto w nich mieszka ze względu na swą naturę, nie może przeciwstawić się Regule: bezwarunkowej szczerości albo absolutnego łgarstwa. Wędrowiec szuka Prawdy. Po drodze na rozstaju spotyka człowieka. Wie, że przybywa on z jednego z tych miejsc.

Jakie pytanie powinien zadać nieznanemu, by ten nie wywiódł go w pole?

Wreszcie nadeszły nakazy rewizji. Teresa nigdy nie lubiła wkraczać do czyjegoś domu i szperać w jego życiu, nakazywać innym, by otwierali jego szuflady i drzwi do prywatności, która potem już nigdy nie będzie taka sama. Węszono zło, wyciągano je siłą z kryjówki, w której znalazło schronienie. Był to jednak również akt nacechowany chirurgiczną i inwazyjną agresją.

Czasami popełniano błąd. Rozchyłało się czyjeś życie niczym nóż wnikający pomiędzy połówki ostrygi i rozcinający płynnym ruchem mięsień tylko po to, by się przekonać, że w środku nie ma żadnej czarnej perły.

W tej chwili Teresie, przecinającej ostatnie nici, które mogłyby ją łączyć z Franceskiem, wydawało się, że właśnie trzyma w dłoni takie ostrze.

Odkąd zjawili się w jego domu z nakazem sędziego, mężczyzna nie odezwał się nawet słowem. Odsunął się na bok, pozwalając okupować im swoją przestrzeń. Siedział skulony, zgarbiony przy kuchennym stole, jakby nie chciał zawadzać nawet w najmniejszym stopniu. Jego oczy wszakże płonęły wściekłością. Był wściekły na nią, Teresa dobrze o tym wiedziała. Prawdopodobnie Francesco nigdy jej nie wybaczy, że przybyła do doliny jako przyjaciółka, po czym okazała się zagrożeniem dla równowagi tego miejsca.

Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w oczy. Mężczyzna ani na moment nie spuścił wzroku.

– Powinienem być teraz w szpitalu – rzekł – przy Krisnji.

– Nie zajmie nam to dużo czasu – zapewniła. – Chciałam panu tylko powiedzieć, że gdybym mogła, wolałabym tego uniknąć. Krisnja została otruta. Musimy wyjaśnić kiedy i jak.

– W takim razie szukajcie u niej w domu.

– Robimy to.

– Tu niczego nie znajdziecie.

Bardzo bym chciała, chętnie odparłaby Teresa, ciągle bowiem pragnęła, by ten człowiek był tak nieskazitelnie czysty, jak pozwalało sądzić jego życie. By jego nieutulony żal nie okazał się udawany.

Pomimo odpychającego usposobienia – bo przecież takie miał.

Pomimo zatajonych prawd – bo przecież coś ukrywał.

W gruncie rzeczy wcale tak bardzo się nie różnili.

Odpowiedź na ciągle nierozwiązaną zagadkę zmaterializowała się wraz z drżeniem warg.

Jakie pytanie powinien zadać nieznanemu, by ten nie wywiódł go w pole?

Gdzie leży twoja wioska? powinien zapytać wędrowiec.

Jeśli nieznajomy przybywa z Prawdy, wtedy odpowiedź będzie prawdziwa.

Jeśli ta wioska to Kłamstwo, i tak wskaże Prawdę.

Teresie przemknęło przez myśl, że niekiedy, aby dotrzeć do prawdy, trzeba po prostu zwęszyć kłamstwo i pójść za nim. Zastanawiała się, czy tak właśnie jest z Franceskiem. Wtem Marini poprosił ją na stronę.

– Ludzie przed domem Matriony są gotowi, ale jeszcze nie udało nam się jej odnaleźć. Nie sposób jej namierzyć od wielu godzin, lecz odezwał się jej adwokat. On też jej szuka – oznajmił. – Czy zamierza pani działać mimo wszystko?

Teresa nie miała wątpliwości.

– Wpisz do protokołu, że to sprawa niecierpiąca zwłoki i że Matriona jest nieosiągalna. Szukamy substancji halucynogennej, naturalnej albo i nie, według mnie to narkotyk. Wtargnięcie jest konieczne. Zawiadom zastępcę prokuratora. I powiedz adwokatowi, że ma pół godziny, jeśli chce być obecny. Wkraczamy.

Po blisko czterdziestu latach przeprowadzania rewizji Teresa dzieliła miejsca, w których przypuszczalnie dokonano zbrodni, na dwa rodzaje. Jedne opowiadają

swoje historie o wiele lepiej niż słowa i zostały zbudowane z cegieł, które połączono z przerwanyim życiem zaprawą składającą się ze stanów ducha i nadziei.

Drugie wiecznie spędzały jej sen z powiek, jakby były obdarzone świadomością i zmysłami, za pomocą których wystawiały ją na próbę.

Dom Matriony zaliczał się właśnie do tej kategorii. Każdy przedmiot zdawał się należeć do przeszłości, tak jakby jego właścicielka zdobyła tę rzecz w trakcie egzystencji, która trwała całe wieki. Malowana ceramika, miedziane misy i kociołki z brązu. Niewiele mebli, a wszystkie masywne, intarsjowane. Znad koszyków i bawełnianych woreczków unosiła się woń uprawianych przez nią i zrywanych ziół.

Wszystko to sprawia nieszkodliwe wrażenie, przeleciało Teresie przez głowę, a jednak...

A jednak nic nie przeraża bardziej niż normalność, którą zakłóca jakiś niepasujący do niej szczegół.

Dziecięcy śmiech, chociaż dziecka nie ma.

Szczekanie psa, który od dawna nie żyje.

Szelest pościeli, chociaż obok ciebie w łóżku nikt nie leży.

W tym domu bieg normalności przerwał niski dźwięk, który wspinał się po Teresie. Domostwo sprawiało wrażenie żywego i niezadowolonego z najścia.

Zachowaj trzeźwość umysłu.

Tymczasem jakaś nieznana siła nakłaniała ją, by wyzbyła się wszelkiej racjonalnej ostrożności i zanurzyła głębiej. Gdy słuchała jej podszeptów, wrogość gasła niczym znużony wiatr.

Podzęgała podświadomość Teresy, by nią sterowała.

Battaglia odłączyła się od zespołu. Szukała w tych izbach ciszy i samotności. Odgłosy zlały się w jedno, obrazy metodycznego działania się zamazały.

Na tyłach domu było przypominające dawną zielarnię pomieszczenie pełne majolikowych naczyń, które zawierały suszone zioła i proszki. Może przynajmniej w jednym z nich znajdowały się nasiona *Datura stramonium*, mimo to Teresa nie przystanąła przy nich. Szukała czegoś innego. Szukała czegoś, o czym już w głębi duszy wiedziała, że istnieje.

Podszeptnęła jej to stara pieśń zaintonowana przez Matryonę, gdy przybite u wejścia do miasteczka serce jeszcze krwawiło na jej oczach. Wtedy uznała, że to jakiś obrzęd, a kobieta jest kapłanką.

Podpowiedziały jej to przechowywane w gospodzie urny napelnione prochami Babaza: pozostałości po stosach, w których egzorcyzmowano przeszłość i palono męski fetysz.

Powtarzał jej to nieustannie stary Emmanuel, zjawa w jej myślach, z czeluścią w piersiach i spojrzeniem kogoś, kto poznał tajemnicę.

Za blatem roboczym, na którym nadal spoczywały łodygi nieznanych roślin i moździerz, przyzywały ją jakieś drzwi. Teresa pchnęła je.

Mroczna izba była przesiąknięta nieokreślonymi zapachami. Serce waliło komisarz jak tamte bębny, które słyszała, gdy rodziło się dziecko.

Za jej plecami zapalił się snop błękitnawego światła. Bezszelestnie dołączył do niej Marini.

– Zamknij drzwi. Niech na razie nikt inny tu nie wchodzi – nakazała.

Nie było włącznika światła. W pokrytej warstwą chropowatego tynku i pomalowanej na ciemny kolor ścianie wydrążono wnęki. Stały w nich czary wypełnione woskiem.

Jakby już znała to miejsce, Teresa potarła zapalną i pozapalała wszystkie knoty po kolei. Izbę zalał drżący blask, niczym różowy świt.

Ściany i sufit pomalowano czerwoną ochrą. Nie było okien, tylko otwory wentylacyjne po jednej stronie pokoju. Teresa widywała już takie w starych, wykutych w skale domach i wczesnochrześcijańskich kościołach.

– Klaustrofobicznie – skwitował Marini.

Brzuch. Taki właśnie obraz uderzył Teresę. Kobięcy brzuch. Czerwony, ciemny i ciepły.

Zatrzymała wzrok na milczących teraz bębnach, które spoczywały na przykrytej matami podłodze. Podeszła do jednego z nich, aby mu się przyjrzeć.

– Odgłos bębnów i psalmiczne pieśni – mruknęła, ubierając w słowa myśl, która świeciła jej w głowie. – W starożytności używano ich do wywoływania transu w czasie uroczystości.

– Sugestywne.

– Nauka dowiodła, jak bardzo są pomocne w osiągnięciu szczególnego stanu umysłu, odpowiadającego falom theta, które występują w pierwszych stadiach fazy snu REM. Aktywność elektryczna tkanki nerwowej mózgu „dostraja się”, a stan świadomości schodzi w głąb. Potwierdzono, że starożytne kapłanki Dendery uderzały w bęben podczas bólów porodowych.

– Właściwie w jakim celu?

– Żeby spotkać duchy. Fale theta wprowadzają w stan typu hipnotycznego. W najprawdziwszą ekstazę.

– Chyba pani w to nie wierzy?

– Nawet chrześcijaństwo obawiało się skutków jego działania, dlatego go zakazało.

Marini obrócił się wokół własnej osi.

– Co to, u diabła, jest za pokój? – zapytał.

Teresa nie miała wątpliwości.

– Najświętsze miejsce, zanim największe religie monoteistyczne oddały władzę mężczyźnie, tłamsząc kobiecą boskość – szepnęła, wstając. – To *mammisi*. Dawna porodówka.

– Czy toczy pani wojnę między płciami z tego właśnie powodu?

– Głuptas. Jak zostaniesz ojcem dziewczynki, wtedy zrozumiesz.

– Co zrozumieć?

– Konieczność bycia jej strażnikiem.

Pokazała mu kilka rysunków na ścianie. Były to stylizowane ludzkie postacie o pełnych pośladkach i nabrzmiąłych piersiach. Każda z nich wzdłuż kręgosłupa aż do głowy miała namalowane białe kropki.

– Matriona poważnie traktuje rolę szamanki – stwierdził Marini. – Wyglądają jak dawne rysunki naskalne.

Teresa włożyła okulary i przyświeciła latarką.

– Te rysunki mówią – warknęła.

– Wiem, że mnie pani zaskoczy. No dalej: co takiego mówią?

– Widzisz te białe kropki? Można je znaleźć w bardzo wielu ujęciach prehistorycznych, w rozmaitych kulturach, także odległych w czasie i przestrzeni. Przedstawiają fosfeny.

– Co to takiego?

– To.

Teresa przycisnęła mu kciukiem oko.

– Zwariowała pani?

– Widziałeś białe błyski?

– Tak.

– To są właśnie te twoje fosfeny: zjawiska entoptyczne, które składają się na postrzeganie iskier albo punktów świetlnych przy braku światła.

Rozmasował sobie powiekę.

– Nie jarzę.

– Wywołują je ucisk na gałkę oczną, hiperwentylacja, stres fizyczny albo głęboka medytacja. Bądź zażycie enteogenów. Nadążasz?

– To znaczy, że Matriona i kobiety z jej kręgu praktykują szamańskie obrzędy, w których przewiduje się zastosowanie roślin halucynogennych?

– Bystrzak z ciebie.

– Przed chwilą pani powiedziała, że to sala porodowa.

– Co jest bardziej szamańskiego niż kobieta, która wydaje na świat dziecko? Zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią bardziej niż ktokolwiek inny. Poprzez najbrutalniejszy akt natury staje się bramą, przez którą dusza przechodzi z nieznanego świata do naszego. Kładzie na szali własne ciało i własne przetrwanie w służbie gatunku.

Teresa dostrzegła, jak tego młodego mężczyznę, który już wkrótce miał zostać ojcem, przeszywa dreszcz. Była pewna, że jego myśli poszybowały ku partnerce i życiu, które dawała za własnym pośrednictwem.

Komisarz zajęła się pozostałymi przedmiotami. Na matach i drewnianych konsolach było ich mnóstwo. Część wisiała na ścianach. Przyjrzała się terakotowej figurce: młoda kobieta jedną ręką przędła, w drugiej zaś dzierżyła tarczę wojownika.

– Przędzie życie i go broni – rzekła stropiona. – To symbol akuszerki, równie stary jak ludzka cywilizacja. Często bywała zielarką albo nastawiaczką kości.

Marini właśnie rozglądał się po pozostałej części pokoju.

– To nie są przedmioty, które można znaleźć w powszechnej sprzedaży – zauważył.

Teresa ponownie wyczuła energię, która wstrząsnęła nią po przybyciu do domu, i znów podświadomość chciała odpowiedzieć w jej imieniu.

– To nie są zwyczajne przedmioty – oznajmiła. Musiała się nad tym porządnie zastanowić. Odnosiła wrażenie, jakby powietrze miało ręce, jakby było przesiąknięte zapachem świata, który uważała za wymarły, a tymczasem tutaj przetrwał.

Wbrew jej przypuszczeniom namalowane na terakotowych naczyniach wiry, spirale i meandry to nie były zwykłe abstrakcyjne ozdoby, lecz symbole świętej wody, tak intymnie związane z kobiecym łonem i zrodzonym przez nie życiem. W bezkształtnych statuetkach dostrzegła to, czym naprawdę były: piękności o rozłożystych biodrach, żeńskie bóstwa, ledwie wykute w kamieniu albo po prostu nadgryzione zębem czasu. Naliczyła ich kilkadziesiąt, może i ze sto.

Stara Europa.

Nie zorientowała się, że wypowiedziała te słowa, dopóki Marini nie zapytał, co ma na myśli.

– Stara Europa to pojęcie używane w najnowszej archeologii dla określenia społeczeństwa, które jak się przypuszcza, zamieszkiwało tereny bałkańskie, nad brzegami Dunaju, i Anatolię, aż do wybrzeży Morza Kaspijskiego. Społeczeństwa matriarchalnego, w którym kobieta stanowiła ośrodek życia duchowego, społecznego, politycznego i artystycznego wspólnoty, w którym nie istniały fortyfikacje ani broń, w którym przetrwały po dziś dzień niemal nietknięte tysiące figurek z epoki neolitu przedstawiających Wielką Matkę.

– Figurek takich jak te kopie?

Teresa nie sądziła, by to były kopie.

Niemal z czułą troskliwością wyjęła mu z ręki wyglądającą na zniszczoną długą laskę o zaokrąglonych końcach. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

– Trzynaćcie karbów – powiedziała, przesuwając palcem po nacięciach na powierzchni. – Trzynaćcie, tyle, ile płodna kobieta ma cykli życia.

– Co to znaczy?

– Że w przeciwieństwie do tego, czego uczono przez długi czas, u prymitywnych plemion laska władzy nie należała do mężczyzny łowcy, tylko do akuszerki –

wyjaśniła, odkładając ręcznie wykonany przedmiot z powrotem do szkatuły. – I że wbrew powszechnemu przekonaniu to nawet wcale nie była laska władzy. Oto masz przed oczami kalendarz księżycowy, inspektorze, żeby móc zaplanować porody i wyznaczać okresy obrzędowe.

Wyraz twarzy Mariniego stopniowo uległ zmianie.

– Pani zdaniem te okazy rękodzieła są autentyczne? – zapytał zdumiony.

Teresa omiotła izbę spojrzeniem. W niszach płonął ogień, światło drgało na twarzach żeńskich bóstw, na wystających brzuchach i spiralach.

– Nie czujesz? – odezwała się. – Zapachu wieków. Tysiącleci. Tu jest obecny motyw, który doprowadził do śmierci Emmanuela: tak potężne i wszechogarniające poczucie przynależności, że może kazać zabić tylko po to, by to wszystko ochronić.

Zamilkli oboje, przytłoczeni.

– Wobec tego znaleźliśmy mordercę – powiedział Marini. – Pozostaje jedynie dociec, co łączy Matryonę ze śmiercią Śpiącej Nimfy. Założę się, że w pokoju obok już znaleźli bieluń dziedzierzawę.

– Znalezienie nasion określonej rośliny i udowodnienie, że to bracia tej, którą w taki czy inny sposób podano Krisnji, to dwie zupełnie różne rzeczy – odparła w zadumie Teresa.

Rozległ się sygnał zwiastujący nadejście SMS-a na jej komórkę. Była to wiadomość z komendy przedstawiająca rezultaty zleconego przez nią przeszukania domu Carla Alberta Morandiniego, partyzanta skrzypka.

Przeczytawszy ją, poczuła potrzebę, by na chwilę zamknąć oczy.

– Wszystko w porządku, pani komisarz?

Wcale nie było w porządku.

– Sprawy przybrały właśnie inny obrót, inspektorze – oświadczyła. – Diametralnie inny obrót.

Niektóre istnienia rodzą się już skażone. Złożone w nich zostaje nasienie, które będzie zdobywało przestrzeń, wykradając ją duszy. Zrodzi sny, które należą do innych, i lęki, które należą do innych.

To zakorzenie jest powolne i niepowstrzymane jak choroba degeneracyjna, spokojna dewastacja.

Niektóre istnienia nie są istnieniami: to tylko spaczony i mętny obraz innych istnień.

Alessandro kochał góry do tego stopnia, że postanowił spędzić w nich życie, badać je, przygotować się do zawodu, który pozwoliłby mu się o nie zatroszczyć: zawodu technika leśnika.

Alessandro kochał góry albo może i nie. Prawdopodobnie nawet on tego nie wiedział.

Tamtego dnia, gdy Francesco napomknął coś o tajemniczych wzajemnych powiązaniach w lesie, a Teresa spotkała chłopaka na górskiej ścieżce, ku swemu zdumieniu zaczęła się zastanawiać, jak krzepiący jest obraz tego pokojowo nastawionego i nieśmiałego młodzieńca, który trudził się na nasłonecznionych zboczach tylko po to, by zmierzyć obwód setek drzew. Wydało jej się to niemal bajką, bajką o niewinnej pasji.

Nie zdawała sobie sprawy, że stoi przed nią wnuk Carla Alberta Morandiniego. Nie zdawała sobie sprawy, że narzeczony Krisnji jest w prostej linii potomkiem Chama, partyzanta skrzypka, który w jakiś sposób, co należało dopiero zgłębić, był świadkiem albo sprawcą śmierci ciotecznej babki dziewczyny.

Alessandro zerwał kontakty z matką i oddał się ciałem i duszą misji dziadka, czymkolwiek miała ona być.

– Zawsze tutaj był – powiedział z niedowierzaniem Marini, wpatrując się w stojący u wejścia do doliny dom, który młodzieniec odziedziczył po śmierci

dziadka.

– Nie mógł stąd odejść – odparła Teresa. – Poczucie obowiązku i lojalność nigdy by mu na to nie pozwoliły.

– Nigdy nie zdołam tego pojąć.

– Bo nigdy nie zostałeś tak uwarunkowany. Umysł dziecka jest w rękach dorosłego jak glina. Dorosły może zaś go ukształtować na obraz i podobieństwo swoje albo na swoje potrzeby. Cham formował go dzień po dniu, wyrywając spod wpływu matki, którą jak sądzę, uważał za przeszkodę, niemal zagrożenie. Nieważne, czy Alessandro był inteligentnym i dobrze ułożonym chłopcem: klatkę, w jakiej zamknął go dziadek, niełatwo będzie zniszczyć. Myślę jednak, że jego psychikę da się przeprogramować.

– Żyje kłamstwami.

– Opowiada je przede wszystkim samemu sobie. Żyje życiem dziadka.

Marini odwrócił się, by spojrzeć na Teresę.

– Prędzej czy później ta empatia odbije się pani czkawką – ostrzegł z troską.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Już mi się odbija.

Był to typowy góralski dom, zdradzający pewne oznaki zaniedbania, podobnie jak otaczająca go polana. Okiennice domagały się farby, w rynnach było zaś pełno zeschniętych liści, które wpadły tam w czasie zimy. Samosiejki opanowały to, co zostało z klombów, a co teraz stanowiło jedynie bezładne szeregi kamieni wystających spod krzaków.

Nie kocha tego miejsca, ale robi wszystko, żeby się zmusić. Codzienna przemoc.

Weszli po schodach prowadzących na patio.

– Nie ma go w domu – uprzedził Parisi – ale na tyłach stoi samochód.

Teresa wyobrażała sobie, jak Alessandro podąża leśną ścieżką. Być może szuka odrobiny spokoju.

– Zaczekamy – powiedziała. – Tymczasem możecie zacząć przeczesywać teren.

– Tam jest para butów – oznajmił Marini.

Podeszli do drewnutni, Massimo włożył rękawiczki i podniósł buty. Odwrócił podeszwy, żeby Teresa mogła im się przyjrzeć.

– Rozmiar czterdzieści trzy, podobnie jak odciski znalezione u pani w domu.

Przytaknęła w milczeniu. Jeżeli to Alessandro usiłował ją zastraszyć, Teresa określiłaby to jako rozpaczliwą, irracjonalną i niezdarną próbę obrony samego siebie i pamięci o dziadku.

A co z psychozą? Gdzie jest psychoza, która każe wyciąć człowiekowi serce?

Nie umiała dostrzec jej w owym życiu, które emanowało samotnością i niepewnością. Wyobrażała sobie zabójcę jako kogoś, kogo cechuje wyjątkowa samokontrola.

W nakreślonym przez nią profilu farba i ludzka krew nie pasowały do siebie: to tak, jakby porównać szczeniacki wybryk z chirurgicznym sadyzmem Kuby Rozpruwacza.

Jeszcze nie zdążyła się tym podzielić z zespołem, ale według niej drzwi do mieszkania Mariniego nie wymazała ta sama osoba, która włamała się do jej domu i ukradła dziennik. Kto inny zabił Emmanuela Turana. Najwyraźniej morderca ukrywał się w cudzym cieniu. Chyba że popełniła błąd, nie doceniając dzieła zniszczenia i odbudowy dokonanego na umyśle Alessandra.

– Trzeba będzie skonfiskować garderobę i obuwie, a następnie porównać modele podszew z zebranymi odciskami – oznajmiła. – Jeżeli dopisze nam szczęście, znajdziemy też ślady farby.

A jeżeli myślę się co do niego, znajdziemy również mój dziennik.

Zostawiła ich przy pracy, a sama ruszyła w stronę domu. Wszystko wokół wyglądało tak, jakby wiosna zatrzymała się kilka kroków dalej. Nadal dało się dostrzec pozostałości po zimie w ciemnych barwach i w zbutwiałych resztkach starej, jeszcze niestrawionej roślinności. Położenie domu na otwierającej się na północ polanie, tuż przed skalną ścianą, sprawiało, że słońce rzadko tam zaglądało.

Skorzystawszy z tego, że okiennice były otwarte, Teresa przytknęła dłonie do czoła i zerknęła do środka. To, co zobaczyła, potwierdziło jej podejrzenia.

Ściany w salonie oklejone były tapetami w kolorze mchu i upstrzone trofeami myśliwskimi. Na tle tej monotonii fotografie widoków doliny przeplatały się zbliżeniami Krisnji. Żadne ze zdjęć nie było pozowane: sprawiały wrażenie uchwyconych w biegu.

Zawsze był obok niej, pomyślała Teresa. Nie Alessandro, tylko jego dziadek Cham.

W szklanej witrynce obok pocerniałego kominka, niczym relikwia w ostensorium, pyszniły się skrzypce wraz ze smyczkiem. Teresa wiedziała, że Cham właśnie na nich zagrał *Z diabelskim trylem*, kiedy Aniza umierała w ramionach Alessia.

Czując, jak spowija ją bolesny smutek, aż się cofnęła.

Jak wiele własnej obsesji dziadek przekazał wnukowi? Zastanawiała się, czy Alessandro też zabrał się do szukania zaginionej ikony i jak daleko byłby gotów się posunąć, byleby ją zdobyć.

Może już ją odnalazł i teraz jej strzeże.

Teresa podeszła skulona do lasu. Poruszający się wśród drzew cień zauważyła dopiero wtedy, gdy usłyszała trzask złamanej gałązki i podniosła wzrok.

W tym samym momencie dojrzał ją Alessandro. Chłopak nie wahał się ani chwili i pognął w zarośla.

Teresa popędziła za nim co tchu. Była to instynktowna reakcja, podyktowana dążeniem, by dotrzeć do prawdy przed innymi, popatrzeć mu w twarz i przekonać się, czy rzeczywiście ma oczy mordercy.

– Stać! – krzyknęła, odsuwając ze złością bijące ją po głowie liście. Zmęczenie, wściekłość, pot, zadyszka. Nienawidziła balastu, w jaki przeistoczyło się jej ciało. Przeszkody jak tyle innych, fizycznych i umysłowych, które należało pokonać.

Pościg z każdym krokiem tracił tempo i stawał się bardziej ociężały, aż w końcu Teresa była zmuszona oprzeć się bez tchu o drzewo, słysząc w uszach pulsowanie krwi i własne sapanie.

Uświadomiła sobie, że jest sama. W sytuacji potencjalnego zagrożenia oddaliła się, nie uprzedziwszy kolegów, a tym samym łamiąc żelazną zasadę, którą sama narzuciła zespołowi.

Wiedziała, dlaczego to zrobiła: z powodu przekłętego instynktu opiekuńczego w stosunku do tego młodzika.

Ogarnęło ją znane już uczucie, że traci grunt pod nogami. Zaczęła ją otaczać pustka.

Muszę wracać. Tam, gdzie jest bezpiecznie.

Odwróciła się i znalazła twarzą w twarz z chłopakiem, który uciekał do lasu. Mimo że panował chłód, był blady i spocony.

Podszedł do niej tak blisko, że dotknął jej piersią.

– Nie jestem mordercą – wysyczał. Był tak wzburzony, że aż połykał słowa.

– Dlaczego miałbyś być mordercą? – zapytała po chwili wahania.

Młodzieniec pokręcił głową i spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

– Ścigacie mnie za przewinienie, którego nie popełniłem! – wrzasnął z twarzą tuż przy jej twarzy, tak blisko, że Teresa niemal poczuła twardość jego szczęk. Widziała, jak się zaciskają i otwierają niczym metalowy potrząsk.

Chłopak podniósł drżące dłonie na wysokość jej szyi.

– Dziadek szukał tej przeklętej Matki Boskiej całe życie, ale to nie on zabił Anizę – wyrzucił z siebie na granicy histerycznego płaczu. – Zadręczał mnie poszukiwaniami tej ikony, ale go zawiodłem.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Ikona? – wymamrotała. Nie miała pojęcia, o czym ani o kim on bredzi.

Młodzieniec mocniej zacisnął dłonie.

– Nie jesteśmy mordercami. Żaden z nas. To nie on ją zabił – powtórzył.

– Zabił?

Spróbowała odsunąć jego ręce, lecz był zbyt silny.

– Kiedy zjawiał się mój dziadek, dziewczyna już była umierająca, a ten malarz oszalał. Malował jej portret krwią... Dziadek mówił, że usiłował mu go odebrać i go przepędzić, ale nie dał rady. Andrian zachowywał się jak opętany.

– Kto? Kto wyrządził krzywdę tej dziewczynie? – zdołała wykrztusić.

Opowieść stała się gorączkowa, wśród łkań i wściekłych przekleństw.

– Zaczekaj! – rzekła błagalnie, gdy wreszcie udało się jej go odepchnąć.

Poszukała w kieszeni długopisu, uzmysłowiła sobie jednak, że nie ma przy sobie nawet świstka papieru. W ferworze pościgu upuściła torbę.

– Wiem, że wyda ci się to szaleństwem – ostrzegła, zawijając rękawy do łokci – ale czy mógłbyś mi napisać na przedramieniu to, co przed chwilą powiedziałaś?

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Zwariowała pani? Musi pani powiedzieć tamtym, że to nie ja!

Teresa miała ochotę wrzeszczeć. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, jak bardzo ziemia usunęła jej się spod nóg. Jednego była pewna: musi zostawić ślady po tym,

co właśnie przeżywała w owym momencie ciemności. Ślady, po których sama mogłaby pójść.

– Jestem Teresa Battaglia. Jestem Teresa Battaglia – rzekła, ale tylko dlatego, że tak było napisane na bransoletce, którą nosiła na nadgarstku.

– Pani komisarz!

Oboje odwrócili się w stronę nadchodzącego mężczyzny. Chłopak spróbował czmychnąć, ale po paru metrach ziemia stała się śliska, toteż ucieczka zamieniła się w zjazd w przepaść. Patrzyła, jak turla się coraz prędzej wśród spadających kamieni, z rękami wygiętymi w nienaturalny sposób, w rozkroku, z jedną nogą dotykającą głowy. Był niczym kukła na łasce lawiny. Na koniec runął połamany u stóp klifu.

Teresa o mało nie zemdląła. Osunęła się na ziemię, nadal ściskając w palcach długopis. Wiedziała, że zostało jej niewiele czasu, zanim wspomnienia się ulotnią. Nazwiska już zdążyły wyparować. Przetrwała historia.

Zapisała ją w pośpiechu na skórze.

Helikopter pogotowia ratunkowego wzbił się z rykiem wirnika i silników.

Teresa śledziła go wzrokiem oszołomiona tak bardzo, jak mogłaby się poczuć jedynie po zmartwychwstaniu, gdyby otworzyła własny grób, waląc weń od wewnątrz głową.

– Pani zdaniem mówił prawdę? – zapytał Marini.

Nie miała pojęcia. Zdołała tylko powiedzieć, że ostatnie słowa chłopak wykrzyczał w całkowitej i bolesnej obronie swojej i dziadka, nadal jednak z trudem porządkowała wyrazy i nazywała rzeczy po imieniu. Nie potrafiła nawet przypomnieć sobie samego Massima.

Nie bacząc na to, że inspektor może ją uznać za maniaczkę, zmusiła go, by kilka razy wymienił najistotniejsze kwestie śledztwa, by bez końca powtarzał nazwiska i odgrywane role.

To, co on uważał za zwykłą powtórkę, dla niej stanowiło życiową lekcję.

– Czy można zaufać człowiekowi, który przywykł kłamać każdego dnia w życiu?
– zapytała w pewnej chwili. Nie miała na myśli wyłącznie Alessandra, ale również samą siebie.

Spojrzał na nią z palącą łagodnością w oczach i dopiero wtedy zatliło się w niej niewyraźne wspomnienie tego, co było jego tajemnicą. Tajemnicą, którą odkryła.

– Może nie – odparł Marini – ale czasem warto spróbować. Warto zrozumieć cudzy ból.

Czasem warto zaufać.

Teresa podwinęła rękaw kurtki i wyciągnęła rękę.

– Nie pytaj dlaczego ani jak – mruknęła. – A przede wszystkim nie oburzaj się.

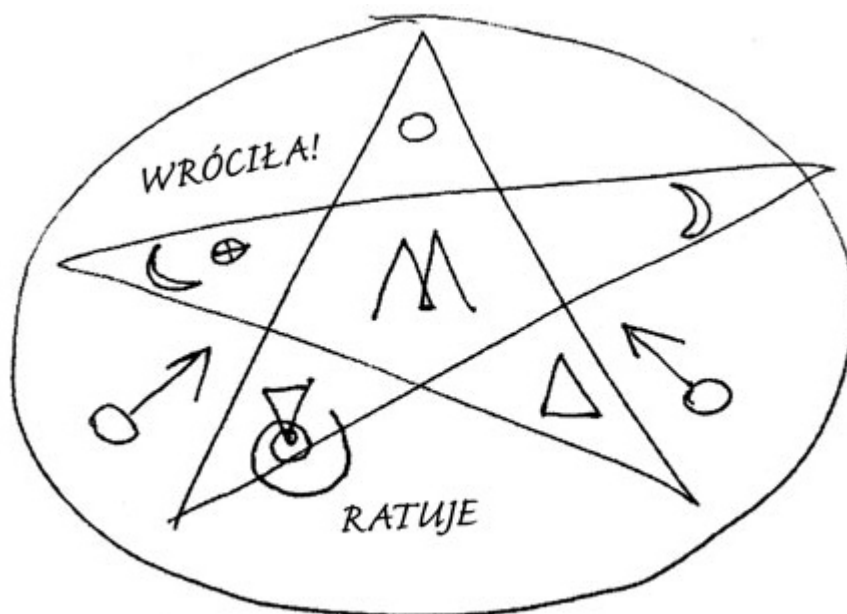
Zastępca prokuratora zjawił się w dolinie i wydał oświadczenie dla prasy, chociaż pytania nie ucichły nawet po wyłączeniu mikrofonów. Aż do tej chwili śledczy i mieszkańcy zbudowali ścisły mur przeciwko najazdowi dziennikarzy, nie dało się już jednak zachować najwyższej ostrożności. Teresa zachęciła Gardiniego do wydania oświadczenia, zdecydowała wręcz o jego tonie i treści. Tymi słowami zastępca prokuratora zwracał się nie do mediów, lecz do zabójcy.

– O nic nie zapytam – odezwał się Marini, nadal zaciskając dłoń na ramieniu komisarz – ale musi mi pani zdradzić, co pani bierze, bo ta mikstura chyba daje niezłego kopa. A tak poważnie: będzie pani musiała jak najszybciej zrobić badania.

Teresa miała ochotę się uśmiechnąć, ale pozwoliła mu wierzyć, że być może zamroczenie, które ją dopadło, wywołał podany jej przez kogoś narkotyk. Oszałamiająca substancja, która co jakiś czas zamieniała ją w nieznaną, miała kliniczną nazwę i przewidywalny przebieg, ale komisarz zgadzała się z Marinim: ktoś powinien ten środek zdelegalizować i znaleźć sposób, by usunąć go z jej mózgu.

Na ramieniu, które wyciągała na oczach zdezorientowanego inspektora, tajemnicze symbole tańczyły w pierwotnym kręgu.

Tak czy inaczej, Teresa była nimi zafascynowana – jej mózg znalazł sposób, by przetłumaczyć na jeszcze enigmatyczny język to, co w tamtej chwili musiało mu się wydać niezrozumiałe. Wykorzystała klucze złożone w podświadomości pod warstwami przeżytych doświadczeń i tego, czego się ostatnio nauczyła. Nieliczne towarzyszące im słowa niczego nie wyjawiały.



Marini pstryknął kilka zdjęć.

– To dość niepokojąca wiadomość – skwitował.

– Mhm.

– Przydałoby się wiedzieć, o czym rozmawiała pani z Alessandrem...

Nie pamiętam tego, Marini, a skoro do tej pory jeszcze to do ciebie nie dotarło, jest z tobą gorzej niż ze mną.

– O jego związku z zabójstwem Emmanuela. – *Tak przypuszczam.* – I o związku jego dziadka ze zniknięciem Anizy. – *Prawdopodobnie.*

Przetarł ręką oczy.

– Pentakl to symbol ezoteryczny.

– Zgadza się.

– Czy to ma coś wspólnego z diabłem?

– Nie. Tylko gdyby był odwrócony, a ten nie jest. Po raz kolejny mówi nam o dawnej władzy. Kobiecej.

Teresa musnęła dłonią figurę.

– Pentagram wpisany w okrąg składa się z konkretnych znaczeń – rzekła – które w tym wypadku zostały częściowo zmodyfikowane. To obraz żeńskiej trójcy, związanej z fazami Księżyca. Księżyc przybywający: Dziewica. Księżyc w pełni: Nimfa. Księżyc ubywający: Sędziwa Kobieta.

- Nimfa – mruknął Marini. – A te dwa trójkąty?
- To symbole alchemiczne: wierzchołek zwrócony ku górze oznacza ogień. Ku dołowi wodę.
- Jest wir połączony z wodą. Widziałem go już w *mammisi* Matriony.
- Na świętych dzbanach i kielichach. Napisałam „ratuje”. Woda, która ratuje przed czym?
- Mamy ogień: Hanna zginęła w pożarze. Może woda przedstawia ratunek dla kogoś innego.
- Może. Obydwa jednakowe i lustrzane symbole to te astronomiczne związane z Marsem – ciągnęła Teresa. – Przedstawiają pierwiastek męski. Tarcza i strzała od boga ognia i wojny. Stanowią jedną z modyfikacji, o których ci mówiłam. Zwykle na ich miejscu znajdują się dwa węże naprzeciwko siebie: mężczyzna i kobieta.
- Tymczasem mamy dwóch mężczyzn – zastanawiał się Marini.
- Popatrz na strzałki.
- Są skierowane ku górze.
- Są skierowane ku księżycowi w pełni – poprawiła go. – Ku Nimfie.
- Marini podniósł na Teresę wzrok.
- Zrozumiałeś, kto występuje w tej historii? – zapytała.
- Trzy kobiety. Krisnja, Aniza i Ewa. Albo Hanna, Aniza i Ewa.
- To Hanna. Symbol ognia pod przybywającym księżycem przywodzi mi na myśl właśnie ją: zginęła w pożarze. Wiemy tylko tyle, że Sędziwa Kobieta powróciła. Ewa.
- Wróciła dokąd? Po co?
- Nie mam pojęcia.
- Biorąc pod uwagę, że nie znaleźliśmy jej ciała, hipoteza na temat powrotu jest dość alarmująca. Co oznacza krzyż w okręgu obok ubywającego księżyca?
- To jedyny symbol, którego nie rozpoznaję, ale na pewno wiąże się z Ewą.
- Musi go pani znać, sama go pani narysowała.
- Teresa pokręciła głową. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek go widziała.
- Pośrodku jest M. Matriona? – zapytał Marini.
- Możliwe.

– Ta wiadomość mówi wiele i zarazem nic.

Teresa wpatrywała się w rysunek w milczeniu.

– Dlaczego nie napisałam po prostu tego, co do mnie mówił? – zastanawiała się bezradnie.

Wiedziałaś, że nie ma na to czasu. Masz przed oczami skomplikowaną historię. Przeczytaj ją.

– Matriona nie była obecna podczas wszystkich wydarzeń – rzekła, unosząc ramię, by lepiej przyjrzeć się liniom i krzywiznom.

– Ale mogłaby być zabójcą, którego dzisiaj szukamy – zaproponował Marini. – Skądinąd symbol spirali się z nią łączy.

– Owszem, mogłaby.

Teresa przebiegła palcem przez opowieść, którą nakreśliła na własnej skórze.

– Na początku była kobieta, pierwszy wierzchołek pentaklu: Aniza. Następnie zjawily się kolejne dwie, jej potomkinie: Ewa i Hanna. Faza Księżyca przy ich wierzchołkach pokazuje nam wiek i pozycję każdej z nich. W pewnym momencie Ewa wróciła. Nie wiemy dokąd, jak ani dlaczego, ale w tym wypadku element wody odgrywa bardzo istotną rolę. Ratunek przychodzi z wiru. Natomiast los Hanny jest pokazany w wierzchołku pod półksiężycem: to ogień, który wszystko trawi. O Nimfę rywalizują dwaj mężczyźni: nie stoją naprzeciw siebie, lecz są zwróceniu ku niej. Jeden z nich przybywa za późno: to Cham, który zostawia odcisk na portrecie namalowanym krwią przez Alessia.

– Nie stoją naprzeciw siebie – powtórzył Marini.

– Nie wierzę, że to Cham zabił Anizę. Pojawił się, kiedy było już po wszystkim.

– Wobec tego kto?

Teresa spojrzała na niego, lecz nie odpowiedziała. Zagadka jeszcze nie miała rozwiązania.

W tej samej chwili, jakby w kontrze, parę kroków od nich, na zjeździe z drogi krajowej, jakaś reporterka oświadczyła, że policja natrafiła na nowe dowody i że rozwiązanie sprawy *Śpiącej nimfy* jest już blisko.

To Teresa uparła się, by wiadomość dotarła do opinii publicznej.

– Może to był przypadek – podsunął Marini.

Teresa obawiała się tego, ale jednocześnie wiedziała, że nadeszła pora, by zdobyć się na odwagę.

– Zabójca zaatakował, ponieważ czuje się zagrożony – odparła. – Musimy go nastraszyć.

– Mógłby spróbować zabić znowu.

– Tym razem będziemy gotowi.

Rozmowę przerwał im Parisi.

– Pani komisarz, otrzymaliśmy sygnał. Po obejrzeniu reportażu na komendę zadzwoniła jakaś kobieta. Twierdzi, że jej syn opowiada, że natknął się w lesie na dłoń kościotrupa. Parę dni temu rodzina wybrała się na wycieczkę do doliny i dzieciak się zgubił.

– Są jeszcze jakieś szczegóły?

– Na razie nie, ale matka mówi, że wierzy chłopcu, który od tamtego dnia ma nocne koszmary. Coś się z nim stało.

Teresa omiotła wzrokiem tłum.

– Przyprawdźcie ich, niech pokażą dokładne miejsce – poleciła. – Gdzie jest Blanca?

Dostrzegła ją wśród operatorów telewizyjnych, dziennikarzy i policjantów kręcących się przed domem Alessandra Morandiego. Siedziała na uboczu, z rękami w kieszeniach bluzy, wraz ze Smokym, który położył jej pysk na kolanach.

Teresa spojrzała w niebo, przeklinając upływ czasu. Właśnie się ściemniało, a ona zamierzała zażądać od niej kolejnego poświęcenia.

Ruszyła w jej stronę i zawołała ją po imieniu. Blanca zwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegł głos Teresy, i się uśmiechnęła. Miała podbródek umazany ziemią i zadrapanie na policzku.

Teresa pogładziła ją po twarzy.

– Parisi! Nie potraficie nawet zadbać o to, żeby była bezpieczna? – burknęła.

– To moja wina – rzekła dziewczyna. – Czasami za bardzo się spieszę. Chciałam skończyć przed wieczorem.

Teresa westchnęła.

– Muszę cię prosić... – zaczęła.

– Wiem – przerwała jej Blanca. – Słyszałam. Będę gotowa, kiedy chłopiec też będzie gotów.

– Właśnie się zmierzcha – zauważył Marini.

Blanca wstała.

– Dla mnie zawsze jest zmierzch – uspokoiła go. – Nie robi mi różnicy.

Teresa chwyciła ją za rękę.

– Jesteśmy blisko prawdy – powiedziała – dlatego nie mogę czekać.

– Pani komisarz...

Ton głosu Mariniego napełnił ją obawą, toteż instynktownie odwróciła się w stronę, w którą patrzył Massimo. Puściła dłoń Blanki, nogi same niosły ją coraz szybciej, aż podbiegła do kobiety, która zbliżała się właśnie wsparta na ramieniu Francesca.

Krisnja wpatrywała się w nią zza bandaży. Miała lśniące i pełne przerażenia oczy.

Teresa zdjęła kurtkę i zasłoniła jej głowę. Marini zrobił to samo i przyłożył marynarkę do twarzy dziewczyny, akurat zanim wokół nich zaczęły błyskać flesze.

Komisarz poszukała wzrokiem Parisiego i De Carlego, po czym dała im gestem znak, by pozbyli się dziennikarzy, podczas gdy oni zabrali ze sobą Blancę i podążyli ku drodze.

– Co pan, u diabła, zamierzał zrobić? – napadła na Francesca.

– Sama go o to poprosiłam – pospieszyła z wyjaśnieniem Krisnja łamiącym się głosem. – Chciałam już wrócić do domu. Wypisałam się na własne żądanie.

– Usłyszeliśmy w radio wiadomość o wypadku Sandra – powiedział mężczyzna.
– Nie mogliśmy nie przyjechać.

Teresa nie wyjawiała im, że Alessandro Morandini nie tylko miał wypadek. Usiłował uciekać przed funkcjonariuszem policji, otwarcie przyznał, że ma coś wspólnego z krwawą historią, jaką opowiadała *Śpiąca nimfa*. W okrutny, a chwilami wręcz chorobliwy sposób okłamywał dziewczynę, która teraz przed nią stała, zalewając się łzami.

Teresa odciągnęła Krisnję na bok, z dala od wuja. Dziewczyna popatrzyła przez ramię.

– Gdzie jest Alessandro? – zapytała. – Chcę iść do niego.

Teresa ją powstrzymała.

– Dopiero co przewieziono go do szpitala. Tam, gdzie i ty powinnaś być.

Krisnja zdecydowanie pokręciła głową.

– Czuję się dobrze – powiedziała błagalnie. – To tylko zadrapania.

Zadrapania, które o mały włos nie pozostawiłyby trwałych śladów na jej twarzy. Teresa ugryzła się w język, potem doszła jednak do wniosku, że musi zadać pytanie, które nie daje jej spokoju.

– Czy Alessandro wspominał ci kiedykolwiek o pewnej starej ikonie?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Nie. Wspominał mi o niej Francesco.

Teresa i Marini spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Co ci mówił?

– Byłam wtedy dzieckiem. Opowiadał mi o jakimś skarbie ukrytym w dolinie, ikonie ze złota i drogich kamieni, której nigdy nikomu nie udało się odnaleźć, nawet jemu. Strzegły jej sowy i lisy, i duch starego jelenia. To była bajka.

– Moim zdaniem to nie była bajka i Alessandro też jej szukał.

Wyraz oczu Krisnji się zmienił: pojęła.

– Chyba nie sądzicie, że to on może być mordercą?

Teresa nie odpowiedziała. Pomimo wszelkich wątpliwości odpowiedź mogła być twierdząca zarówno co do Alessandra, jak i co do Francesca. Albo ciągle nieosiągalnej Matriony. Zapytała, czy wie, gdzie można ją znaleźć.

– Ona nie uciekła – odparła Krisnja z powagą, domyślając się, co podejrzewa Teresa. – Nigdy by tego nie zrobiła, nigdy. Całe dni spędza w lasach albo na płaskowyżach i zbiera zioła. Pewnie wyszła o świcie. Wróci przed zmrokiem.

– Zioła, jak na przykład *Datura stramonium*? – zapytała Teresa, czując przy tym żal. Któregoś dnia ktoś otworzyłby Krisnji oczy na otaczający ją ściśle krąg kłamstw.

Dziewczyna nic nie odrzekła.

– Byłaś świadoma obrzędów, jakie odprawiała Matriona? – indagowała dalej.

Krisnja spojrzała na nią zdziwiona.

– To akuszerka – oznajmiła. – Przyjęła porody wielu dzieci w dolinie. Wszyscy to wiedzą.

Teresa milczała.

– Każę cię odwieźć do domu – oświadczyła, oddając ją teraz z powrotem w ręce Francesca. Mężczyzna sprawiał wrażenie szczerze do niej przywiązanego. Spoglądał na dziewczynę z troską, którą Teresa widywała jedynie u ojców. Tylko że ojcowie także mogą uosabiać zło. – Zostań z nią – przykazała Mariniemu – i nie pozwól jej się z nikim spotykać.

– Dokąd pani idzie?

– Do domu Emmanuela, jedyne ogniwa łączącego teraźniejszość z przeszłością. Ten człowiek został stracony, ponieważ zdradził. Musieliśmy coś przeoczyć.

Dom starego Emmanuela Turana był taki, jak zapamiętała go Teresa: pobrzmiwało w nim echo tęsknoty za drugim człowiekiem, schowanej pod stosami przedmiotów, grobowców, w których pogrzebano szczęście.

Prąd nadal był odcięty i prawdopodobnie pozostanie tak na zawsze. Snopy błękitnawego światła latarek przypominały zjawy na resztkach padliny. Dom zmarł wraz ze swym właścicielem.

Teresa zastanawiała się, czy starzec kiedykolwiek sobie uświadomił, jak bolesna była jego egzystencja, czy kiedykolwiek pragnął czegoś więcej. Prawdopodobnie nie, ponieważ nigdy nie poznał innego życia niż to. Gdy jednak jej wzrok spoczął na wycinkach z gazet wciśniętych w ramki, zawstydziło ją własne zapominalstwo: przecież ta nieszczęśliwa istota zdawała sobie sprawę, jak wygląda miłość, pragnęła jej w zaciszu swojego domu.

Teresa przystąpiła do dalszych oględzin. Uzmysłowała sobie, że stała się bardziej metodyczna, bardziej czujna. Strach przed utratą wspomnień kazał jej obserwować świat z większą uwagą.

Zupełnie jakby przestrzeń zajmowaną przez wędną pamięć przejmowała wszystkowiedząca i zarazem tajemnicza inteligencja: Teresa czuła. Pamiętało jej serce, nie umysł. Gdy coś wydawało się inne niż to, z czym się już kiedyś zetknęła, ogarniało ją poczucie konsternacji. Były to nakreślone na mapie podświadomości drogowskazy, które rzucały się w oczy i wywoływały wzburzenie.

W tym domu też tak się stało. Aby wejść do środka, zerwała pieczęcie, wewnątrz powinno zatem być dokładnie takie samo, jak je zostawiła, a jednak się różniło. A może to wina ciemności?

– Zdjęcia – rzekła do De Carlego. Policjant podał jej tablet z fotografiami wykonanymi podczas ostatniego przeszukania. Teresa oglądała je uważnie, przechadzając się pośród odpadków życia.

Obserwowała i porównywała, lecz nie znalazła niczego, co usprawiedliwiłoby jej niepokój.

Usiadła na taborecie, jedynym kawałku wolnej powierzchni, położyła sobie na kolanach latarkę i z rezygnacją zapisała ostatnie kroki w notesie, który nie potrafił zastąpić skradzionego dziennika. Czyniła to ze znużeniem i znudzeniem, często zaczynając zdanie, ale go nie kończąc.

– W ten sposób robisz krzywdę tylko sobie – wymamrotała, wkładając okulary.

Długopis upadł jej na podłogę i poturlał się aż do dywanu.

Teresa odnalazła go, przyświecając sobie latarką, i wpatrzyła się weń.

– De Carli! – zawołała, wcale nie sięgając po długopis. – Podłoga jest pochyła.

Policjant obejrzał wysłużone deszczułki.

– To stary góralski dom, pani komisarz – oznajmił. – Konstrukcja jest drewniana i w paru miejscach się ugina. Pod spodem znajduje się piwnica. Już ją przeczesaliśmy.

– Dywan. Ktoś go przesunął.

Detektyw stanął za nią, aby zerknąć na fotografię, którą akurat analizowała.

– Nie wydaje mi się.

– A właśnie że tak. – Teresa się podniosła. – Niedużo, ale został przesunięty.

Podeszła bliżej, powstrzymało ją wszakże skrzypienie podłogi.

– Podnieśmy go.

Każde chwyciło za róg i zwinęli go na bok.

– Jasna cholera! – wybuchnął De Carli.

Ktoś poprzestawiał klepki i byle jak je nadpiłował. Widać było szkielet z desek pod spodem, a dalej ciemność.

Pułapka. Jeszcze parę kroków i Teresa mogłaby się zranić o ostre krawędzie drewna albo wpaść w dziurę.

– Więcej światła.

Latarki rozświetliły małe królestwo chaosu, zbudowane przez dziesięciolecia choroby umysłowej.

– Musimy zejść na dół – oświadczyła komisarz.

– Można się tam dostać z zewnątrz.

Teresa wstała i poczuła zawrót głowy.

Potrzebujesz jedynie snu, uspokoiła samą siebie, lecz w progu znieruchomiała. Wydawało jej się, że wyszła, a przecież miała wejść. Znalazła się tutaj, aby przeszukać dom. Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

– Pani komisarz, dokąd pani idzie?

– Czy mamy zdjęcia z oględzin? – zapytała.

Odniosła wrażenie, że De Carli odpowiedział z trudem.

– Pani je ma...

Teresa kilkakrotnie przycisnęła włącznik.

– Nie ma prądu – burknęła, mimo to przekroczyła próg i zaczęła się pewnie poruszać po domu.

– Pani komisarz, ostrożnie!

Doznanie nagłej pustki pod stopami przyprawiło ją o dreszcz w brzuchu, owym drugim mózgu, wyposażonym w rozgałęziony układ nerwowy. Dobiegło aż do swego wyżej położonego brata, przyczaiło się, po czym eksplodowało w jego gadziej części. Wewnątrz niej ciągnął się łańcuch bodźców i reakcji. Jednakże wyłącznie w umyśle, albowiem ciało pozostało bezwładne, a Teresa podniosła ręce, by się czegoś chwycić, dopiero gdy zdążyła już wylądować piętro niżej i zatonać w stosie szmat i pudeł.

– Pani komisarz, wszystko w porządku?

Wyłoniła się zdezorientowana. Zupełnie jakby poruszała się w świecie o podwojonej grawitacji. Gdy zadarła głowę, oślepił ją błysk latarki.

– Wszystko w porządku – odparła.

– Już idę.

– Dobrze, ale idź naokoło – westchnęła, wymacawszy swoją latarkę. Wycelowała snop światła w ścianę przed sobą.

Ktoś przyczepił do niej kartkę. Mając wrażenie *déjà vu*, Teresa przyjrzała się widniejącym na niej słowom. Już je kiedyś widziała, już je kiedyś słyszała. To były jej słowa.

W stosunku do niego rozwija się we mnie szósty zmysł, jak u matki w stosunku do syna. Matki, która czuje potrzebę, by go chronić, ale która chce także sprawić, by jak najprędzej dorósł, zanim będzie musiała go opuścić.

Nie podoba mi się myślenie o Marinim w taki sposób, to czyni mnie bezbronną, wystawia moje serce na ciosy. To niezdrowo przywiązywać się do kogoś akurat teraz, kiedy muszę się szykować do pożegnania. A poza tym... Zastanawiam się, co bym zrobiła, gdybym w jakichś okropnych okolicznościach musiała wybierać, czy ratować jego, czy niewinnego człowieka. Przez to uczucie staję się łatwym celem, to podkopuje moją uczciwość.

Kartka wyrwana z dziennika stanowiła stronę skażonej prywatności, zatrutej przez oczy o złych zamiarach, splamionej obcym pismem, które pozostawiło wiadomość:

Kogo wybierzesz?

Niemal idealne kółko otaczało nazwisko Mariniego. Teresa zdjęła go z pierwszej linii śledztwa, aby był bezpieczny. Wkrótce miał zostać ojcem, a ona nie chciała, by znajdował się zbyt blisko zabójcy. Tymczasem decyzja ta odizolowała go od zespołu.

Teresie zrobiło się słabo. Skończyła w pułapce, chociaż sama zamierzała zastawić sidła, tyle że zasadzka mordercy nie ograniczała się do zapadni w podłodze.

O mało nie odebrałam mu tego, co dla niego najdroższe, dlatego teraz chce to odebrać mnie.

Wyobraziła sobie ze zgrozą zdolny przewidywać jej kroki umysł, który aż do tej pory zachowywał się jak duch, nie pozostawiając za sobą śladów, lecz znienacka zmienił *modus operandi*, własnoręcznie pisząc wiadomość. To oznaczało tylko jedno: nie boi się jej, bo nie ma nic do stracenia.

Marini jest w niebezpieczeństwie.

Kawa była wrząca i zbyt słodka, lecz Massimo nawet tego nie zauważył i dokończył ją w dwóch szybkich łykach, ze wzrokiem utkwionym ponad odbicie własnej twarzy w okiennej szybie. Zapowiadała się długa noc.

Dom Krisnji miał okna zwrócone na las, który teraz zamienił się w czarną sylwetę, uginającą się pod naporem wiatru. Znad zarysu łańcucha górskich szczytów wypełził właśnie księżyc i oświetlił polanę. Niedaleko, z mroku nocy, niczym szkielet mamuta wyłoniły się zwęglone szczątki stodoły. Nieco dalej lśniły delikatne światła domu wuja dziewczyny.

Massimo wyteńczył wzrok. Obok huśtawki kołyszącej się w połowie drogi między obydwoma domostwami widniała jakaś postać. Znajdowała się w sporej odległości, ale i tak ją rozpoznał: to był Francesco. Mężczyzna stał w ciemnościach bez ruchu i zdawał się weń wpatrywać.

Marini zerknął spod oka na Krisnję: nie dostrzegła jego wzburzenia, kreśliła palcem po stole tajemnicze rysunki, najwyraźniej czymś pochłonięta.

Ponownie zapatrzył się w polanę: była pusta. Usiłował namierzyć wśród poruszających się na wietrze cieni Francesca, lecz mężczyzna jakby rozplynał się w mroku.

Albo po prostu podszedł bliżej.

– Lepiej te okiennice też zamknąć – oznajmił, ryglując drzwi. Te były już ostatnie w całym domu, których nie zdążył jeszcze zablokować.

Krisnja nie odpowiedziała, cisza zaś wzbudziła jego niepokój. Dziewczyna wyglądała tak, jakby czekała na coś nieuchronnego, położywszy czerwone od blizn i środka dezynfekującego dłonie na stole i przybrawszy cierpiętniczą pozę. Z twarzą pooraną bólem nie przypominała już Śpiącej Nimfy. Kiedy zdejmowała przed lustrem opatrunki, Massimo miał ochotę ją powstrzymać, ale dosłownie skamieniał. Nie z powodu tego, co ukazało się pod plastrami, tylko na widok tej zranionej istoty, która przywiodła mu na myśl zaszczute zwierzę. Krisnja zajrzała

do lustra z tym samym wyrazem osłupienia, błagania, niewinnej nadziei, z jakim zaglądała w oczy prześladowcy.

– Nie chciałem cię wystraszyć – rzekł. – Nic się nie stanie.

Dziewczyna zamknęła na chwilę oczy, po czym odparła:

– A jednak tu jesteś. Żeby mnie przed kimś obronić.

Massimo spróbował się uśmiechnąć, dumając nad tym, że musi sprawiać na niej wrażenie głupca i kłamcy.

– Gdyby chciał cię zabić, zrobiłby to w lesie, kiedy byłaś łatwym celem – zapewnił.

– W takim razie czego chce? Co nim kieruje?

Inspektor rozłożył ręce.

– Z początku strach. Instynkt obrony własnego życia przed wstrząsem, który mógłby zachwiać jego psychiką. Niezdrowe przywiązanie do czegoś, co jego zdaniem mu skradziono. Starał się to chronić.

– Za wszelką cenę?

– Za wszelką cenę, nawet ludzkiego życia.

Krisnja spuściła wzrok. W świetle lampy jej długie rzęsy rzucały cienie na policzki.

– Mówisz jak ta twoja komisarz – stwierdziła. – Jak ktoś, komu jest przykro.

Massimo nie był pewien, czy słowo „przykro” pasowało do stanu, w jakim się właśnie znajdował, nie był nawet pewien, czy to coś bliskiego współczuciu. Może było to raczej identyfikowanie się: odczuwał potrzebę, by zrozumieć zabójcę, ponieważ on też nim był. Nadal był zabójcą.

Nigdy nie przestajesz nim być. To jak chrzest.

– Przynajmniej się pokazał – powiedziała dziewczyna, przykuwając jego uwagę.

Massimo odstawił opróżnioną filiżankę na stół. Widział, że pomimo twardego tonu Krisnji drżą dłonie.

– Moim zdaniem nie da się w ten sposób kalkulować, kiedy człowieka zaślepią furia, która sprawia, że zanurza dłoń w cudzym ciele – odparował.

Krisnja posłała mu gwałtowne spojrzenie, jakby odpowiadała na czyjeś potężne wezwanie.

– Czasami się zastanawiam, czy można poczuć, jak bije serce, poczuć jego ostatnie drgnienie poprzez dotykające je ostrze – rzekła. – Może tak było z Anizą i z Emmanuelem.

Nagle odwróciła się w stronę korytarza.

– Słyszałeś? – zapytała.

– Co?

– Znowu! To on!

Krisnja poderwała się, przewracając krzesło.

– Uspokój się. – Massimo podszedł do niej. – Nic nie słyszałem.

Położyła palec na wargach. Miała rozszerzone źrenice.

– Ktoś tu jest – wyszeptała głosem całkowicie zmienionym przez panikę.

Massimo również to usłyszał: jakieś głucho skrobanie.

Jak drapiący powierzchnię paznokiec.

Dał jej znak, żeby się nie ruszała.

Nasłuchiwał hałasu, który teraz brzmiał jak kulejące kroki. Dobiegał z sypialni w głębi korytarza. Pokój należał kiedyś do Ewy, Massimo już jednak do niego zaglądał, przeszukał go tak jak wszystkie pozostałe: on i Krisnja byli sami.

Zbliżył się do zamkniętych drzwi i przyłożył do nich ucho.

Na dźwięk niespodziewanego pukania w futrynę niemal aż wrzasnął.

Naprawdę tam ktoś był i coś mamrotał. Niezrozumiałe słowa, które zdawały się wydobywać z dziurki od klucza. Przez drzwi rozległ się szmer, jakby ktoś po drugiej stronie pogładził je w powolnej pieśczoście.

Massimo wyjął pistolet z kabury i go odbezpieczył. Oddech stał się ciężki, krew pulsowała w skroniach. Przed oczami mignęły mu wszystkie notatki na temat teorii taktycznego wejścia, pola strzału i wzajemnego osłaniania, którego nie miał. Pomyślał o Krisnji, potencjalnej ofierze krzyżowego ognia, do którego nie chciał dopuścić, a który być może wkrótce okaże się nieunikniony.

Musi wezwać posiłki, lecz czyjś znajomy głos, którego nie spodziewał się usłyszeć nigdy więcej, kazał mu porzucić wszelkie zamiary.

Światło jakby zadrżało, gdy Massimo gwałtownie otworzył drzwi.

Sypialnia była urządzona po spartańsku i wyposażona w kilka starych mebli: łóżko, szafkę i komodę. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma, a przecież

Massimo kogoś usłyszał.

Okrążyły go jakieś cienie, po czym urosły i połączyły się w kształt męskiej sylwetki. W ułożonej z dymu twarzy zarysowały się usta, które otworzyły się niczym otchłań, by ponownie wypowiedzieć jego imię.

Przybywał z piekieł, teraz Massimo już to wiedział, a on właśnie przekroczył ich próg.

Wtem usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych, dobiegał jakby z innego wymiaru, lecz nie miał już siły ani ochoty krzyknąć do Krisnji, by nie otwierała bez względu na to, kto za nimi stoi, albowiem postać przed nim przestała być ludzka: miała długie rogi i przyzywała go głosem ojca.

Zapaliły się reflektory. Blanca usłyszała pstryknięcie włączników i poczuła na twarzy niespodziewane ciepło. Czerń w jej oczach ustąpiła miejsca szarości. Nic poza tym.

Od skraju lasu, spomiędzy policyjnych aut, dobiegł płacz dziecka, jakby obudzonego przez sztuczne satelity, księżycy tworzące studnię światła w ciemności, którą ona i Smoky powinni przeszukać.

Strefa została wyznaczona na podstawie trzech punktów: tego, w którym dziecko widziano po raz ostatni, zanim się zgubiło, tego, w którym je znaleziono, i tego, w którym rodzina urządziła sobie biwak. Następnie zakreślono okrąg z wpisanym wewnątrz trójkątem: obszar do przeczesania. Minęło wiele dni i deszcze mogły od nowa zalać to, co się wyłoniło, lecz teren był ograniczony. Jeżeli znajdowały się na nim ludzkie szczątki, Smoky je odnajdzie.

– Jest przerażony – stwierdził Parisi, mając na myśli małego świadka. – Nie chce nawet podejść do drzew.

– Chciałabym z nim pomówić – oznajmiła Blanca. – Sama. Proszę.

Ruszyła za odgłosem płaczu. Ciepłe i miękkie ciało Smoky'ego dotykało jej nogi przy każdym kroku, laska zaś stukała w rytm uderzeń serca, niczym jej żywe przedłużenie. Gdy dotarła do źródła owego lękliwego zawodzenia, wymacała jakąś podporę, na której mogłaby usiąść obok dziecka.

– Powiedzieli, że to ty znalazłeś szkielet – rzekła, słysząc jednocześnie, że Parisi odwraca uwagę rodziców. – Ale miałeś szczęście!

Chłopczyk pociągnął nosem.

– Nie boisz się szkieletów? – zapytał.

– Nie. Przecież nie żyją. I są zabawne.

– Naprawdę?

Nie sprawiał wrażenia przekonanego, wywnioskowała to z tonu jego głosu.

– Mieszkam z jednym z nich. Ma na imię Chuderlak.

Usłyszała jego śmiech, pełen zdziwienia i zarazem trwogi.

– A po co ci w domu szkielet? – zdumiał się.

– Tak naprawdę to tylko czaszka. Pomaga mi znaleźć inne szkielety.

Usłyszała, jak osłupiały wciąga powietrze.

– I mówi? – dopytywał.

– Jasne, że tak, po mojemu. Trzeba być bardzo uważnym, żeby ją usłyszeć.

Blanca pochyliła się ku chłopcu.

– One chcą tylko, żeby je odnaleźć – wyznała. – Czasami się gubią i nie potrafią już wrócić do domu. Czasami ktoś wyrządza im krzywdę i je chowa, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

– Są smutne?

– Tak, bardzo.

– W takim razie może ta ręka chciała mnie tylko zawołać.

– Jestem tego pewna. Cieszyła się, że do niej podszedłeś.

– Napędziła mi stracha.

Blanca poczuła gorącą łzę, która wylądowała z płaszczyzną na jej dłoni.

– To normalne. Na początku ja też się bałam – uspokoiła go.

– A co się stało potem?

Blanca nigdy nikomu nie opowiadała, dlaczego w pewnym momencie życia poczuła przymus, żeby „szukać”. Szukać ciała. Lecz temu zalanemu łzami chłopcu, jemu mogła się zwierzyć.

– Czy ktoś nas podsłuchuje? – zapytała.

– Nie. Właśnie rozmawiają.

– Szukam jednego ciała, na którym bardzo mi zależy – wyszeptała mu więc na ucho. – Ono gdzieś na mnie czeka.

– Kochasz je?

– Zawsze będę je kochać.

– A kto to jest?

– Moja mama.

– Nie możesz się bać własnej mamy – uznał chłopczyk po chwili milczenia. Jego głos rozkwitł na nowo, nie pozostał w nim już prawie żaden ślad po strachu.

– Nie, nie mogę. Innych też nie. Co mogliby mi zrobić tacy wysuszeni i obdarci?

Chłopczyk znów parsknął śmiechem, a wtedy Blanca nabrała przekonania, że nie będzie już płakał z powodu przeżytego w lesie doświadczenia. On także wyszeptał jej coś do ucha.

– Jesteś pewien? – zapytała zdumiona.

– Tak.

– Gotowa? – odezwał się łagodnie Parisi, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Teraz, gdy w powietrzu przestał wibrować dziecięcy lęk, była gotowa.

– Naciągnęliśmy liny, a ja będę cały czas przy tobie – objaśnił. – Jeśli będę cię spowalniać, powiedz.

Blanca wstała, poszukała szelek Smoky'ego. Podekscytowany pies chłostał jej nogi ogonem. Nie mógł się doczekać początku zabawy.

– Miałabym tylko jedną prośbę – mruknęła niepewna, czy może ją wyrazić.

– Co tylko chcesz.

– Chciałabym zabrać chłopca ze sobą.

Wbrew ludzkim wyobrażeniom świat Blanki nie był jedynie ciemną, najeżoną przeszkodami bańką. Rzeczywistość przemawiała do niej w języku pełnym konkretów, stworzonym z kształtów i proporcji, gęstości i próżni, odległości i splotów. Jej ciepły albo chłodny oddech pisał listy na skórze dziewczyny, złożone z dreszczy lub kropel potu. Równowaga polegała na nieustannym tańcu po niespodziewanych spadach i pochyłościach. Dla innych ulica mogła iść prosto albo skręcać. Dla niej miała tysiąc różnych postaci: mogła ukośnie opadać, wic się, mogła być wyboista, jeśli kroki Blanki za bardzo zbliżyły się do jezdni, mogła być miękka i niemal lepka, jeśli niedawno położono asfalt albo słońce bezlitośnie grzało. Stopy rozpoznawały odmienną konsystencję farby do malowania pasów, umysł zaś grał te wszystkie nuty niczym klawisze fortepianu. Zresztą biel i czerń stanowiły jedyne kolory, jakie potrafiła sobie przypomnieć. Jej węch umiał odróżnić ulicę w centrum od tej na przedmieściu, podobnie jak piec opalany drewnem od elektrycznego: była to kwestia składników, zagęstników i temperatury.

Las stanowił o wiele bardziej złożoną rzeczywistość, jako że żył i pulsował.

– Tutaj zobaczyłem siostrę – opowiadał jej właśnie Luca.

Blanca wyciągnęła dłoń i zebrała w jej wnętrzu łaskoczącą jedwabistość lancetowatych liści.

– Nie pamiętam, z której strony przyszedłem – powiedział chłopczyk. – Puściłem się biegiem.

Zadarła głowę, aby przyjąć na policzki świeższy powiew, tak jakby dął z dołu do góry, przynosząc wilgoć. Poczula, że ziemia pod jej stopami niemal niedostrzegalnie się obniża.

– Tu musi być jakaś niecka, zagłębienie – stwierdziła.

Mapka, do której zaglądał Parisi, zaszeleściła w jego palcach. Zanotował na niej cechy charakterystyczne terenu.

– Owszem – przytaknął. – Zaczyna się jakieś dziesięć kroków przed nami.

– Mówiłeś, że się przewróciłeś – zagadnęła Lucę Blanca. – Może to się stało właśnie tam, w dole.

– To mniej więcej w połowie drogi od punktu, w którym zaginął – ocenił Parisi.

Dziewczyna skinęła głową.

– Zbliżamy się do grobu. – Poznała to po energii, jaką tryskał Smoky.

Chłopczyk przywarł do jej boku.

– Jest ciemno – wymamrotał. – Nie idź tam.

Pogłaskała go po buzi i wyswobodziła się z jego objęć.

– Ja żyję w ciemnościach – odparła.

– Stój. Dokąd idziesz? – powstrzymał ją Parisi. – Ja zejść pierwszy.

– Musimy pozwolić działać Smoky'emu.

– Najpierw ja zejść.

Parisi wezwał dwóch kolegów i powierzył im chłopca pod opiekę.

– Zaczekaj tu na nas – przykazał. W jego władczy tonie brzmiał uśmiech.

Blanca z trudem zapanowała nad Smokym. Wyczuwała wibrujące w nim ekscytację i niepokój. Wyobrażała sobie, jak w naturze zanurzonego w nocnym lesie psa odzywają się prymitywne instynkty. Nadal drzemiący w nim wilk miał ochotę pobiec. Tak jakby obudziło go jakieś potężne zakłęcie.

Kroki Parisiego oddaliły się. Do uszu Blanki dotarło, że detektyw schodzi do wąwozu.

Wiatr zerwał się po raz kolejny i przyniósł nowy zapach. Blanca odetchnęła głęboko. Przypominał jej coś, co już przeżyła.

Żelazo. Rdza. W lesie.

Ujądanie Smoky'ego potwierdziło, że to nic dobrego.

Żelazo. Rdza. W lesie.

Przed rokiem wezwała ich pewna rodzina rozpaczająca za mężczyzną, który rozplątał się w górach wiele miesięcy wcześniej. Chcieli przynajmniej móc zapłakać nad jego grobem.

Blanca spełniła ich prośbę. Odnalazła ciało albo to, co z niego zostało: ciągle jeszcze tkwił uwięziony w potrzasku, który sam zastawił. Był kłusownikiem.

Żelazo. Rdza. Śmierć.

– Stój! – krzyknęła do Parisiego, lecz noga jej się powinęła i nagle góra stała się dołem, a potem znów górą, ona zaś przekoziółkowała w zawrotnym tempie, podrzucając ziemię, gałęzie i kamienie. Zahamowała na skraju zbocza, przysypana ziemią, przy akompaniamencie ujadania przerażonego Smoky'ego.

Parisi natychmiast znalazł się przy niej i uwolnił jej nogi spod kamieni.

– Nic ci nie jest? – zapytał. Jego głos już nie brzmiał ani stanowczo, ani pewnie, ani przyjacielsko. Słysząc w nim było grozę.

– Potrzaski – ledwie zdołała wykrztusić Blanca, jeszcze nie zdążywszy dojść do siebie.

– Tam nie ma potrzasków – zapewnił, kiedy jednak cisnął w dal kamieniem, rozległ się metaliczny szczęk zamykającej się automatycznie pułapki.

– Kurwa!

– Kłusownik – rzekła Blanca, obmacując sobie nogi. Nie doskwierał jej ból, przeszywały ją tylko ciarki. – Nie wierzę, żeby zastawił wyłącznie jeden potrzask.

Kiedy się dźwignęła, poczuła dłoń Parisiego ściskającą ją za łokieć.

– Ja też w to nie wierzę, ale to nie był kłusownik. Ktoś chce, żeby nikt się tamtędy nie przedostał. Jesteśmy blisko.

Smoky zaskowyczał w tak osobliwy sposób, że aż przeszedł ją dreszcz.

– Nie rozumiem, co mu jest – oznajmiła przeprasząco. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał, ani w czasie tresury, ani tym bardziej w czasie poszukiwań. Pies poszukał pyskiem jej ręki i podrzucił ją kilka razy.

– A ja wiem – odparł Parisi. – Nie ruszaj się. Między twoimi nogami jest czaszka, która na mnie patrzy.

Otoczenie domu Krisnji nie zdradzało żadnych niepokojących oznak. Był pogodny wczesny wieczór i cykały świerszcze. Samochód, którym Marini dotarł aż tutaj, stał zaparkowany na drodze, krzepiący widok.

Jednakże pozamykane okiennice sprawiały, że domostwo spowijał mrok, otaczał krąg wrogiej samotności. Było zamknięte na świat niczym forteca.

Teresa instynktownie zadała sobie pytanie, czy to początek oblężenia, czy też wieszcząca śmierć cisza, jaka po nim następuje. Ogarnął ją lęk.

Kazała zaparkować policyjne pojazdy w oddali. Podobnie jak inni, zbliżyła się do domu na piechotę, a teraz wpatrywała się weń z przeciwległego skraju drogi.

Musisz tylko wejść. Nie ma innego sposobu, żeby się przekonać, co cię czeka za progiem.

Tymczasem nadal tkwiła w miejscu i po raz kolejny spróbowała się dodzwonić na komórkę Mariniego. Kilka chwil ciszy, po czym usłyszała nie tylko sygnał w swoim telefonie, lecz także dzwonek w przestrzeni oddzielającej ją od domu.

Massimo był w środku i nie mógł odebrać.

– Komendant i Gardini tu jadą – zaraportował De Carli.

Dla Teresy nie była to pocieszająca wiadomość. Nie zdołają zrobić nic więcej niż ona.

Mogę jedynie podjąć właściwą decyzję.

– Wchodzę – usłyszała własny głos.

– Pani komisarz, powiedzieli, żeby czekać.

Powiedzieli, żeby czekać, powtórzyła w duchu rozdrażniona. Niemożliwe.

Wtem aż się poderwali, słysząc warkot silnika. Właśnie nadjechał jeep obrony cywilnej. Wypadł z niego Parisi i pomógł wysiąść Blance. Podeszli do nich.

– Znaleźliśmy szczątki Ewy – oświadczyli niemal jednym głosem.

Teresa nie spodziewała się sukcesu w tak krótkim czasie.

– Jesteście pewni, że to ona?

– Potwierdza to proteza lewego kolana – odrzekł Parisi. – Natrafiliśmy na coś jeszcze.

Wręczył jej powalany ziemią srebrny łańcuszek z kilkoma pociętymi ogniwami. Przyczepiony był do niego co najmniej osobliwy wisiołek: łuska naboju długości około pięciu centymetrów. Stał nosiła jeszcze ślady ciemnozielonej farby. Denko było płaskie i widniały na nim współrzędne świadczące o pochodzeniu. B na dole wskazywało fabrykę w Bolonii. Potem następował numer: rok produkcji 1942.

– Mannlicher Carcano sześć i pół – oznajmił Parisi.

Był to standardowy nabój w wyposażeniu włoskiej armii w czasie obydwu wojen światowych i aż do końca lat sześćdziesiątych, dla Teresy znaczył jednak o wiele więcej. Stanowił wskazówkę sporo mówiącą na temat umysłu, który zachował go aż do śmierci, a nawet dłużej.

– Ewa nadal miała go na szyi – powiedziała Blanca.

Wisiołek służył jako amulet, totem, który kobieta zawsze nosiła blisko serca. Teresa wyobraziła sobie, jak karabin w rękach Francesca wypluwa pocisk, który ugodził w wóz niemieckiego żołnierza, i ujrzała, jak Ewa podnosi nabój i strzeże go niczym relikwii. Ów strzał odmienił bowiem jej życie, sprawił, że na jej drodze stanęła *Virgen Nigra*. Komisarz wreszcie pojęła, jaki szczegół na obrazie Andriana przedstawiającym dwójkę dzieci podświadomie nią wstrząsnął. Było to spojrzenie dziewczynki: wbrew jej przekonaniu nie przerażone, tylko pełne ekscytacji. Złe spojrzenie. Spojrzenie złej dziewczynki – małej wiedźmy, która wkrótce miała się nauczyć bronić własnych przekonań.

Teresa zrozumiała znaczenie symbolu na własnym ramieniu narysowanego obok symbolu Ewy. Krzyż wpisany w okrąg – cecha, jaką NATO oznaczało łuski naboju używanych przez wojska państw członkowskich. Na tym, który trzymała w dłoni, jej nie było, jako że w tamtych czasach sojusz jeszcze się nie narodził, ale Teresa zamierzała wysłać samej sobie precyzyjną wiadomość: tamtego dnia metaforycznie strzelała Ewa, a nie Francesco. Było to jedyne wytłumaczenie dla tego nakreślonego na skórze znaku: Ewa musiała wiedzieć, że karabin jest załadowany, lecz nie pisnęła bratu ani słowa.

Cham, którego prawdopodobnie, jak Francesca, też zżerały wyrzuty sumienia, opowiedział o całym zajściu swemu wnukowi Alessandrowi.

W końcu Teresie udało się sobie przypomnieć opowieść młodzieńca.

Tamtego dnia przed siedemdziesięciu laty Ewa delectowała się poczuciem wszechmocy, która pozwala odebrać życie innej istocie ludzkiej. Tym samym uczuciem napawała się w noc zniknięcia Anizy.

20 kwietnia 1945 roku

Skrzypce umilkły, choć przytłaczająca zasłona, jaką rzuciły na bór, wcale nie zniknęła, gdy przebrzmiały ostatnie nuty.

Aniza nie spodziewała się ujrzeć tej twarzy, wyłaniającej się z zarośli. Odwróciła wzrok, przejęta, że Alessio może się wkrótce pojawić i zdradzić ich tajemnicę, lecz ciągle jeszcze nie dał znaku życia. Uśmiechnęła się więc i wyciągnęła rękę.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytała w języku przodków.

Uścisk był tak mocny, że aż zaparło jej dech. Tak silny, że aż zabołało.

Ewa rzuciła się na nią nie ze znajomym dziecięcym impetem, lecz tak, jakby chciała ją zaatakować. Coś w Anizie krzyknęło i kazało ją odepchnąć.

– Nie powinnaś chodzić wieczorem po lesie – upomniała ją.

Dziewczynka zrobiła pewną siebie, wyzywającą minę.

– Ty też nie! – odcięła się. Na widok zdumienia na jej twarzy wybuchnęła śmiechem.

– Po co tu przyszłaś? – zapytała Aniza.

Ewa obróciła się na pięcie, trzymając w palcach brzegi zadartej spódniczki.

– Mam spotkanie, tak jak ty – odparła.

Aniza chwyciła ją za ramię i przerwała taniec.

– Co ty wygadujesz? Z kim masz się spotkać o tej porze?

Po lesie znów poniósł się dźwięk skrzypiec, tym razem bliższy. Gdy do Anizy dotarło, krew ścięła jej się w żyłach. Mocniej zacisnęła palce.

– Oszalałaś! – wysyczała, lecz dziewczynka wyswobodziła się i podrapała ją po twarzy.

– Wiem, że ty też widzisz się po kryjomu z partyzantem! – rzuciła oskarżycielsko. – Zaraz wszystko powiem dziadkowi!

– Cicho bądź!

Aniza usiłowała ją utemperować, ale Ewa ze śmiechem wymknęła się jej z rąk. Schowała się za pniem drzewa i przejechała palcami o brudnych paznokciach po wielkim kolcu ułamanej gałęzi.

Aniza przysunęła się bliżej, wyciągnęła do niej dłoń. Dziewczynka wzięła ją za rękę i zaczęła wykonywać taneczne ruchy, ciotka zaś poszła w jej ślady.

– Wiem, że chcesz zostać jego przyjaciółką, Ewo, ale ten chłopak już zdążył sprowadzić na dolinę nieszczęście – rzekła łagodnie. – To z jego winy Francesco pozostanie na zawsze przeklęty za to, że spowodował śmierć niewinnego człowieka. Słyszałam waszą rozmowę, słyszałam rozpacz twojego brata. Nigdy sobie nie wybaczy, że strzelił. Znam wasz sekret.

Ewa przystanęła. Ciągłe się uśmiechała, lecz jej wzrok pozostał zimny.

Aniza pojęła zbyt późno.

– To twoja sprawka – szepnęła wzburzona. – Powiedz, że to nie była twoja wina!

Dziewczynka pchnęła ją z całej siły, aż tamta runęła do tyłu.

Aniza nie poczuła bólu, tyle że nie mogła się podnieść. Zupełnie jakby ktoś poprzecinał niewidzialne sznurki wprawiające jej ciało w ruch. Wisiała przywarta do pnia, a z piersi sterczała jej ogromna zadra.

Podniosła wzrok na dziewczynkę, poruszyła bezgłośnie wargami.

Gdyby mogła, powiedziałyby, że płąsy okazały się tańcem śmierci, którego celem było doprowadzenie do jej upadku dokładnie w tym miejscu.

Jej duszę, która szykowała się właśnie do podróży w nieznany świat, ogarnęły chłód, cisza i drżenie.

Aniza poczuła, że po policzku spływa jej łza.

Spostrzegła Alessia. Nie usłyszała jego krzyku.

Spostrzegła, jak za jego plecami nadchodzi chłopak ze skrzypcami, z lasu zaś wyłania się mały Emmanuel.

Spostrzegła uśmiech Ewy.

Tylko że jej samej już prawie nie było.

– Zostaniecie tutaj – rozkazała Teresa i ruszyła naprzód, nie bacząc na protesty. Parisi i De Carli próbowali ją powstrzymać, ale respekt, jaki budziła, kazał im się odsunąć. Jedynie Blanca odważyła się zagrozić jej drogę wraz z podskakującym Smokym, któremu udzieliło się podniecenie jego pani.

Teresa ujęła jej twarz w dłonie.

– Zaraz wrócę – przyrzekła.

– Nieprawda, nie możesz tego wiedzieć!

Oparła czoło o jej czoło.

– Muszę iść i go odzyskać – powiedziała.

– Nie czujesz zapachu? – chlipnęła Blanca.

Żadne z nich nie zwróciło na niego uwagi. Musieli podejść blisko wejścia, by go poczuć.

Woni benzyny nie sposób pomylić z czymkolwiek innym. Wydobywała się zza drzwi niczym oddech gotów siać zniszczenie.

– Wezwijcie straż pożarną – poleciała Teresa zmienionym głosem – i niech nie przyjeżdżają na sygnale.

– Pani komisarz, to zajmie sporo czasu.

Słowa De Carlego wyraziły obawy ich wszystkich. Teresa wiedziała o tym, była to pierwsza rzecz, jaka przemknęła jej przez myśl: nie mają czasu, właśnie dlatego trzeba ich stąd usunąć.

– Miejskowa szkoła i urząd gminy muszą mieć w wyposażeniu gaśnice – podpowiedział Parisi. – Placówki handlowe też.

– Idźcie po nie, ruszcie się! – ponagliła, powierzając im opierającą się Blancę.

Stanąła przed domem.

Na progu, porzucony na ziemi niczym zapomniany w pośpiechu przedmiot albo coś, co nigdy nie nabrało prawdziwego znaczenia, a zatem jest zbędne, ponieważ się koszyk ze wstążkami Matryony, w którym znajdowały się zerwane niedawno zioła o nadal jędrnych łodygach i płatkach. Pomiędzy zdrewniałe łodygi wplecionych było kilka kwiatów. Znała je: to były tłustosze.

Te kwiaty pożerają inne istoty, pomyślała i uznała, że to adekwatny obraz, by opisać kobietę, która przelała niewinną krew w dolinie.

Teresa dygotała tak mocno, że aż szczękały jej zęby.

Obejrzała się za siebie. Samochód z Parisim, De Carlim i Blancą w środku właśnie oddalał się w pośpiechu i wkrótce znikł jej z oczu, nie podniosło to jej jednak na duchu, natychmiast bowiem, dla równowagi, pojawiły się inne pojazdy z migającymi kogutami. Widziała to już tysiąc razy. Z nieoznakowanego auta, które nadjechało pierwsze, wysiadł Albert Lona i ruszył ku niej energicznym krokiem.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął.

Teresa wyszła mu na spotkanie z uniesionymi rękami, jakby chciała go powstrzymać, a może zamierzała poprosić go w ten sposób, by pozwolił jej działać, by nie marnował więcej cennych chwil. By ona, jeśli tak będzie trzeba, mogła poświęcić życie, żeby zrobić jedyną rzecz, której w tym momencie pragnęła.

– Muszę wejść do tego domu – odparła.

– Niech nikt nawet nie waży się drgnąć. Rozkazy są jasne!

– Marini jest w środku.

Wzrok Alberta stał się zimny jak stal.

– Marini jest w środku, bo ty go tam wysłałaś. Nie zamierzam narażać życia moich ludzi.

– Uważam, że sprawca śmierci Emmanuela Turana znajduje się w tym domu, i chyba wiem też, czego chce. Mogę dotrzeć do jego umysłu i wyprowadzić na zewnątrz wszystkich całych i zdrowych.

Albert zaklął.

– Czy ty słyszysz samą siebie? Nie potrafisz nawet nazwać go zabójcą. Jesteś śmieszna. Odkąd tu przybyłem, nie wykonujesz moich rozkazów, tylko że to już koniec twojej niesubordynacji.

Teresa nabrała głęboko powietrza. Teraz wszystko stało się dla niej jasne.

– Masz rację, to już koniec – powiedziała, zdejmując kaburę. Oddała mu służbową broń. – Już nie jestem pod twoimi rozkazami.

Zmienił się na twarzy. Złość, wzburzenie, niecierpliwość, nienawiść zelzały, ściągając jego rysy. Albert przeobraził się na powrót w lodowato zimną i nieprzeniknioną istotę, którą Teresa zwykła oglądać.

– Teraz jesteś sama – oświadczył po chwili milczenia. Chwycił kaburę i wrócił do swoich ludzi, ani razu nie oglądając się za siebie.

Z domu wydobył się niehumaniczny, rozdzierający krzyk. To był Marini.

– Wchodzę tylko ja! – wrzasnęła Teresa, sama nie wiedząc, czy to ostrzeżenie dla Alberta i policjantów przyglądających się całej scenie, czy wiadomość dla morderczynie, która czekała za progiem.

Nieco wcześniej zastanawiała się gorączkowo, jaką obrać taktykę, by wtargnąć do domu. Policzyła, ilu ludzi ma do dyspozycji, usiłowała wyobrazić sobie rozkład pomieszczeń. Zgodnie z podręcznikiem potrzebowała co najmniej czterech funkcjonariuszy, aby zabezpieczyć każdą izbę, i trzech, aby unieruchomić wszystkich podejrzanych. Obliczenia te zdały się na nic.

Ruszyła, czując na plecach świdrujący wzrok Alberta. Jego oczy przeszywały ją niczym ostre igły podczas obrzędu wudu, domagając się jej unicestwienia.

Wspięła się po stopniach i powoli pchnęła drzwi. Na podłodze przed ich skrzydłem stała świeca.

Teresa weszła do środka z najwyższą ostrożnością i ją zdmuchnęła, po czym cisnęła daleko, na ławkę. Wewnątrz unosił się jeszcze intensywniejszy zapach spalenizny. Toksyczne opary drapały ją w gardło, zmuszając do kaszlu.

Dom spowijał półmrok, ledwie rozświetlony drżącym, czerwonym blaskiem dobiegającym z jednego z pomieszczeń. Teresa podążyła ku niemu jak w transie.

Myśl, że dokona tutaj żywota, wcale nie napawała jej lękiem. Nie napawała jej też lękiem myśl o bólu. Natomiast spustoszenia dokonywała w niej obawa, że może utracić jego.

Posuwała się powoli, ważąc każdy krok, chociaż miałyby ochotę biec. Zdawała sobie sprawę, że znalazła się w pułapce.

Przemierzyła przedpokój i salon, czując na sobie spojrzenia osób na fotografiach stojących na półkach niczym żołnierze w szeregu. Przedstawiały

zawsze te same trzy kobiety: Ewę, Hannę i Krisnję. Ewa i Hanna zmieniały się na poszczególnych ujęciach, jedna się starzała, druga więdła. Dziewczynka rosła. Nie było ani jednego zdjęcia po pożarze. W tej opowieści życie zatrzymało się przed trzynastoma laty.

Uwagę Teresy przykuła jedna szczególna fotografia. Wyglądała jak wszystkie pozostałe, a równocześnie przerażająco inaczej. Widać było na niej Ewę stojącą z dumną i poważną miną. Znajdująca się przed nią Krisnja patrzyła w obiektyw, ściskając w dłoniach lalkę. Hanna stała na uboczu. Tylko ona nie zerkała przed siebie. Wpatrywała się w Ewę podkrążonymi oczami, zagryzając usta, prawdopodobnie ze zmartwienia.

Ze strachu, poprawiła się Teresa. *Nie o siebie. O kogo?*

Dotarła do oświetlonego pokoju, oczy piekły ją od oparów i wywołanego zdenerwowaniem potu.

Widok, który się przed nią roztaczał, spowodował ściskanie w żołądku.

Marini leżał na podłodze związany jak zwierzę przeznaczone na rzeź. Miotał się struchlały i przyzywał ojca. Rzucił się beładnie, trupio blady, zlany potem, z rozszerzonymi źrenicami. Był odurzony narkotykami, lecz ją rozpoznał.

– Niech pani go stąd zabierze! Niech pani go stąd zabierze! – błagał ze wzrokiem wbitym w kąt pokoju, w którym nikogo nie było. W tej samej chwili Krisnja, wyciągnięta na podłodze kilka metrów od niego, z zakrwawioną skronią, właśnie odzyskiwała przytomność. Miała ręce skrępowane za plecami.

– Nie ruszajcie się! – ostrzegła Teresa.

Otaczały ich dziesiątki świec. Zajmowały całe pomieszczenie. Ich płomienie wydzielaly ciepło, lzy wosku zaczęły zaś wolno skapywać na polaną benzyną podłogę. W odległości paru kroków Teresa ujrzała swój dziennik. Odruch, by go chwycić, o mało fatalnie się dla niej nie skończył. W porę się powstrzymała, zanim zdążyła uronić jedną rozżarzoną kroplę.

Pochyliwszy się, wyciągnęła ku Massimowi i Krisnji ramiona ponad kręgiem płomieni, po czym znów je opuściła.

Dopadła ją przygnębiająca myśl. Nigdy jej się to nie uda. Nie zdąży. Nie zdąży ocalić obojga.

Muszę.

Przystąpiła do gaszenia każdego knota palcami, niektóre z nich jednak rozpały się na nowo, inne znów przypiekały skórę. Wosk stawał się przezroczysty i parzył.

– Pani komisarz, niech pani stąd idzie – powiedział w przebłysku świadomości Marini. – Nie da pani rady ugasić wszystkich.

Teresa zastygła. Klęcząc, z opuszkami palców przypalonymi aż do żywego mięsa, z wyschniętym gardłem, z płonącymi oczami.

Nie po to tu jestem, rzekła sobie w duchu, tylko po to, żeby dokonać wyboru. Zadano jej pytanie: *Kogo ocalisz?*

Jej uwagę przykuł głuchy dźwięk z drugiego pokoju.

Matriona.

– To już koniec – zdołała wyszeptać Krisnja, opierając czoło na kolanach.

Wiem, co muszę zrobić. Wiem.

Teresa nieustannie to sobie powtarzała, lecz nadal tkwiła bez ruchu.

Wiem.

Nie pamiętała. Weszła tutaj, mając w głowie dokładny plan. Ale imiona tych, których widziała przed sobą, wyparowały w ciepłe płomieni.

Ostatnimi czasy Teresa często rozmyślała o śmierci. Nigdy by jednak nie przypuszczała, że jej własna śmierć będzie wyglądać właśnie tak. Co za ironia losu, że nie potrafi sobie przypomnieć czegoś, co prawdopodobnie mogłoby ją uratować.

Pożar, który zaraz wybuchnie, ofiary czekające na ratunek i ona, zastygła niczym posąg. Zginie jak jakaś niemota, z założonymi rękami i opuszczoną tarczą, chociaż żyła jak wojowniczką. Zginie, czując się jak idiotka.

Wojowniczką... Policjantką, być może. Sześćdziesięcioletnia chora kobieta, która zgrywa bohaterkę, a nawet nie potrafi poprawnie nazywać rzeczy.

Umysł odmówił posłuszeństwa akurat teraz, gdy jest najbardziej potrzebny. Zamęt, jaki miała w głowie, nadawał całej sytuacji paradoksalny wymiar, kiedy te pełne przerażenia oczy wpatrywały się w nią błagalnie, podczas gdy ona nie była w stanie absolutnie nic zrobić.

Mogłaby spróbować zgadnąć. Zdaje się, że ostatnio, aby przeżyć, była zdolna wyłącznie do tego.

Odgadywać, jaki obrać kierunek, gdzie spojrzeć, jakie słowa wypowiedzieć i czyjego cienia się obawiać.

Nawet jej własne imię i imię zabójcy. Który znajdował się przed nią albo może w sąsiednim pomieszczeniu.

Która z ofiar była niewinna, a która miała tyle krwiożerczej siły, żeby wyrwać jeszcze bijące serce z piersi mężczyzny?

Kogo mam ocalić?

No i był jeszcze on, wpatrzony w nią jak syn, którego nigdy nie miała. Wydawało jej się, że pamięta wyłącznie jego, choć to imię na razie tylko muskało jej wargi niczym szept, ale z tym mężczyzną łączyła ją jakaś głęboko zakorzeniona siła. Teresa czuła ją w trzewiach, była niczym ogień trawiący bliznę, czerwona piana wrząca w żyłach.

Ściany domu zaczęły trzeszczeć, tak jak dręczące ją od wielu dni głosy, które z szeptów przerodziły się w krzyki: jej najgorsze lęki.

Imię zabójcy. Imię zabójcy...

Wtrącona w otchłań piekła, w obliczu śmierci Teresa myślała wyłącznie o zagadce, którą usłyszała nie wiadomo od kogo i nie wiadomo gdzie.

Wrzasnął. Jego nieludzki krzyk wyrwał Teresę z odrętwienia, które ją przygwoździło. Po czym nagle zamilkł.

– Znaleźliśmy je – usłyszała jego szept, tak jakby zniecka chciał podtrzymać między nimi kontakt słowny. Miał rozszerzone źrenice. – Znaleźliśmy Zło. Jest tutaj. Czekają na nas.

Nizał słowa niczym paciorki diabelskiego różańca. Podniósł palec wskazujący pomiędzy krępującymi go sznurami i wycelował go w pozbawiony światła kąt, gdzie mrok był jak membrana, rozszerzająca się i kurcząca w rytm ich strachu.

– Znaleźliśmy je. Ono nie ma ludzkiej natury.

Krzyknął po raz drugi, a w Teresie, w środku, jakby rozbiły się lustra. Lustra, które wprowadziły zamęt zniekształconymi odbiciami.

Przypomniała sobie jego imię. Przypomniała sobie siłę miłości. Po raz kolejny jednak los z niej zakpił.

Nadszedł bowiem moment, by się przekonać, jak daleko jest gotowa się posunąć, żeby ocalić niewinną ofiarę.

Nadszedł moment, by się przekonać, czy żeby ją uwolnić, jest gotowa zabić Massima Mariniego, mężczyznę wpatzonego w nią jak syn, którego nigdy nie miała, mężczyznę drżącego teraz tak, jakby tam, w ciemnościach, tańczył diabeł.

Zdrowy rozsądek i logika nakazywały ocalić tego, kto ma największe szanse na przeżycie, a to nie był Marini.

Zrozpaczona Teresa przewróciła oczami. Nie wiedziała, czy wystarczy jej sił. Matka Boska na dostrzeżonym przez nią obrazie miała identyczny wyraz twarzy jak ona. Teresę uderzył jeden szczegół: wzór wyhaftowany na piersiach Madonny. Maryjny monogram. *Mater*. Widziała go już kiedyś na sobie. Uniosła rękaw, a symbol ten pokazał się pośrodku pentaklu. Nie było to M od Matriony, jak wcześniej sądziła, ale od Matki Królowej Niebios.

Mater Dei. Wielka Matka. Izyda.

Ikona tkwiła w samym środku historii i wywarła wpływ na życie wszystkich trzech kobiet.

Wreszcie pojęła, co aż tak bardzo nią wstrząsnęło w fotografii, która przedstawiała je razem.

Odpowiedź kryła się w postaci dziewczynki. Pomiędzy ciemnymi włosami, niemal niewidoczna, czyjaś dłoń chwyciła delikatną szyję Krisnji. Należała do Ewy, zapomniany szczegół, który przykuł uwagę Teresy: tą wielką niezgrabną dłonią trzymała wnuczkę na smyczy, odsuwając ją od matki. Nie obejmowała jej, by ją chronić, nie splotła palców z jej palcami, by wskazać jej drogę. Trzymała ją za szyję. Kontrolowała. Krisnja zaś w ten sam sposób ścisnęła lalkę.

Miłość i nienawiść. Oddanie i niewola.

Teresa pamiętała niewyraźnie słowa wypowiedane w czasie tamtych gorączkowych dni. Były to obrazy, które powracały teraz wraz ze strzępami rozmów. Matriona, przyznająca się do obaw o swą przyjaciółkę Hannę, która stawała się coraz bardziej daleka i zalękniona. Francesco, przejęty jakże symbiotyczną więzią między kobietami z jego rodziny, relacją, która go wykluczała z codzienności dziewczynki.

Teresa prędko przebiegła wzrokiem po pozostawionych na pentaklu znakach, cedząc słowa. Zapisała je po lewej stronie, tej „zdominowanej” przez księżyc ubywający, czyli przez Ewę.

Ewa. Wróciła. Trójkąt wody. Wir.

– Ratuje – mruknęła.

Jęki Mariniego ucichły. Krisnja podniosła głowę.

Ewa. Woda. Wir.

– Ewa zawróciła – rzekła Teresa, nabrawszy pewności. Podobizna Izydy nie uległa zniszczeniu. Tamta dziewczynka nigdy nie miała zamiaru jej porzucić. Uratowała ją przed wodą: tryskający z wierzchołka trójkąta wir nie przedstawiał świętych przedmiotów znalezionych w domu akuszerki, lecz Gardziel, zakole rzeki, do którego trafiał każdy utopiony przedmiot. Ewa musiała o tym wiedzieć, właśnie dlatego zainscenizowała zniszczenie *Virgen Nigra*.

Już zdążyła ulec jej czarowi. Nie znając jeszcze jej źródła, nie znając imienia. Rozpoznała ją, instynktownie dostrzegając, czym jest naprawdę. Już zdążyła się jej oddać.

Jej potomkinie również zostaną zmuszone do oddania się jej. Pod groźbą kary śmierci.

Ewa była gotowa zabić, aby strzec swej świętej tajemnicy. Już to zrobiła, Alessio Andrian usiłował zaś o tym opowiedzieć w jedyny możliwy sposób, jaki mu jeszcze pozostał: upuszczając fotografię Raffaella podczas ostatniego spotkania z Teresą. Chciał zwrócić jej uwagę na boczną linię pokrewieństwa. Wiedział, że to Ewa zabiła Anizę.

Teresa musiała przerwać łańcuch śmierci, jaki do doliny przyniosła *Virgen Nigra*. Powtórzyła w myślach zagadkę, która nieustannie kołatała jej w głowie.

Był kiedyś kot, który złapał mysz, żeby ją zjeść, ale piszcząca w jego łapach mysz zaczęła błagać:

– Och, kocie, daj mi szansę!

Na to rozbawiony agonią zwierzątko kot odparł:

– Nie zjem cię, milutka myszko, ale tylko i wyłącznie wtedy, kiedy odgadniesz, co zrobię...

– A myszka odrzekła: „Zjesz mnie” – powiedziała. Oto jedyna możliwa odpowiedź: paradoks, z którego nie ma wyjścia.

Ten, kto przywiódł ją aż tutaj, nie uczynił tego, by pozwolić jej uniknąć pożaru ani wszystkich ocalić.

Uczynił to, by zmusić ją do stawienia czoła samej sobie, wartościom, którym zawsze pozostawała wierna.

Nigdy by nie dopuścił, żeby wywinęła się z tej próby. Co oznaczało, że ręka, która już zabiła, w każdej chwili jest gotowa siać ogień i śmierć.

Jedynie ta ręka mogła zdecydować, czy ich oszczędzić.

Jeśli Teresa chce, żeby wszyscy wyszli stąd żywi, nie pozostaje jej nic innego, jak zostawić wybór zabójcy.

Pomimo choroby, zmęczenia, popełnionych błędów musi zaufać własnym umiejętnościom czytania w ludzkim umyśle i znaleźć sposób, by dotrzeć do krzyku swojej rozdartej duszy.

Dlatego też wyciągnęła ramiona nad świecami, aż dotknęła Krisnji. Palce musnęły krew, którą pomazana była wolna od ran skroń.

Poczuła, jak ciało dziewczyny sztywnieje pod jej dotykiem. Kolana Teresy posuwały się naprzód centymetr po centymetrze, kradnąc je świecom.

– Najwyższy czas wybaczyć samej sobie – wyszeptała. – Nie mogłaś nic zrobić dla matki.

Ewa zawłaszczyła życie swojej córki Hanny, która dorastała w strachu, i stłamsiła też życie Krisnji, miotającej się między miłością a poczuciem winy, aż w końcu dziewczyna stała się zdolna zabić każdego, kto mógłby zdradzić tajemnicę *Virgen*. Świętą tajemnicę, zrośniętą z nią tak głęboko, że przybrała postać obsesji.

Kult z prawdziwego zdarzenia, obwarowany psychologicznym murem tak wysokim jak więzienie.

Rozpaczliwy śpiew dziewczyny stanowił jednak także prośbę o pomoc. Kapłanka i zdrajczynie wiary, wiecznie rozdarta między ochroną tajemnicy a jej zniszczeniem, wreszcie chciała wydostać się na wolność.

Błagała o to przelaną krwią, zainscenizowanymi płomieniami i poświęceniem.

Kogo ocalisz?

Krisnja odczuwała witalną potrzebę, żeby odpowiadając na to pytanie, ktoś wymówił jej imię.

Palce Teresy powędrowały po rękach dziewczyny aż do jej ramion.

– Nie mogłaś nic dla niej zrobić – powtórzyła, choć nie miała pewności, że usidlony umysł Krisnji rzeczywiście jest w stanie to zrozumieć. Była istotą, która przez cały czas wiodła tajemny żywot. Widziała śmierć matki,

najprawdopodobniej zamordowanej przez babkę, ponieważ sprzeciwiała się kultowi albo była zbyt blisko dziewczynki, którą Ewa chciała wyłącznie dla siebie, żeby wychować ją na idealną adeptkę, bo Hannie nie udało się nią zostać. – Ocalę ciebie, Krisnjo – mruknęła Teresa. – Ale pozwól mi ocalić również ich.

Puściła ją wolno. Tamta podniosła głowę. Po sieci ran spływały łzy. Dłonie wyswobodziły się z udawanych pęt, które ledwie ją krępowały.

Krisnja odetchnęła z ulgą, z otwartymi ramionami, z zamkniętymi ustami, pochylając głowę jakby w ostatnim akcie poddania.

Trwało to tylko chwilę. Kropla wosku dotknęła podłogi i buchnęły płomienie. Teresa zdążyła jedynie mocno ją odepchnąć i rzucić się na Mariniego.

Ogień lizał jej buty i pochłaniał tlen, gorąco stało się nie do zniesienia i parzyło skórę. Płomienie wspinały się po przedmiotach, tworząc wokół nich linię.

– Uciekaj! – wrzasnęła do Krisnji, lecz dziewczyna ani drgnęła.

Teresa miała wrażenie, że słyszy jej głos:

– Wybaczcie mi.

Coś huknęło gwałtownie, niedaleko, po czym do pokoju wpadł prąd powietrza. Płomienie strzelały wściekle, pożerając kolejną porcję tlenu. Urosły w siłę i pochłonęły także kawałek pokoju. Szyba w oknie pękła.

– Do ściany! – krzyknęła Teresa. – Musimy utrzymać się na nogach.

Napierała na Mariniego, by przekazać mu własną równowagę. Nad podłogą gromadził się gęsty, trujący dym. Wdychanie go równałoby się skoczeniu w objęcia śmierci.

Jaka to w tej chwili różnica? Zawsze to lepsze niż spłonąć.

Teresa zamknęła powieki, poparzone z powodu gorąca i ostrego dymu. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy ktoś potężnie ją ścisnął. Mężczyźni, którzy wtargnęli do pomieszczenia, poruszali się szybko, używając gaśnic, by wyznaczyć ścieżki ratunku. Wśród obcych ludzi rozpoznała swój zespół.

– W drugiej izbie jest kobieta! – ostrzegła, oddając Mariniego w ręce ratowników.

Na widok trawionego przez płomienie dziennika Teresa spróbowała skoczyć i go chwycić, lecz Albert złapał ją w ramiona.

– Chodź stąd! – wrzasnął.

Spojrząwszy po raz ostatni na płonący zeszyt, dała za wygraną. Pozwoliła się wywlec na zewnątrz, podczas gdy Parisi wybiegł, niosąc na rękach Matrionę, mieszkańcy doliny zaś w miarę możliwości pomagali zdusić płomień na tyle, by oni wszyscy zdołali się wydostać.

Skończyło się, byli uratowani.

Natomiast jej papierowa pamięć zamieniła się w popiół.

Pożar strawił dom, z którego pozostały czarne zwęglone szczątki upstrzone tu i tam ogniem. Ku nocnemu niebu wznosiły się kłęby dymu, a deszcz ciągle płonącego popiołu mieszał się z płatkami kwiatów porwanymi przez wiatr kwitnącym drzewom.

Teresa siedziała z tyłu karetki, przy otwartych drzwiach. Ratownicy medyczni zajmowali się właśnie paroma przypadkami lekkiego zatrucia dymem wśród mieszkańców, którzy przybiegli gasić pożar, toteż opieka nad Marinim spadła na nią. Młody inspektor zdążył się już otrząsnąć spod wpływu środków halucynogennych podanych mu przez Krisnję, nadal jednak od czasu do czasu przypominały mu o sobie, niczym zakłócające sen koszmary: leżąc na noszach, wyglądał, jakby spał, po czym znieńacka siadał, majaczył coś i krzyczał. Wówczas Teresa musiała go uspokajać i skłaniać, by wyciągnął się z powrotem, upewniwszy się, że wenflon nadal jest na swoim miejscu, stopniowo oczyszczając mu krew.

– Jeszcze tylko minuta i jedziemy – oznajmił ratownik. – Wszystko w porządku?

Przytaknęła, chociaż nie do końca była o tym przekonana. Zostawszy ponownie sama, podniosła wzrok na rozgwieżdżone niebo, mając płuca pełne zapachu spalenizny, który mógł się okazać równie urzekający i zbawienny, co przeklęty.

Nie mogła przestać myśleć o Krisnji, już zabranej przez jej kolegów, o zniewolonej dziewczynce, jaką była, o matce, której wydarł ją ktoś, kto ją wychował i całkowicie zawładnął jej umysłem. Ewa, jej babka i prześladowczyni, najwyraźniej przekleła własne potomstwo, po czym powracała pod postacią demona w omamach szamańskich podróży, które wnuczka zapewniała sobie, zażywając bieluń. Powracała, ponieważ stanowiła źródło jej krzywdy, kochana i zarazem znienawidzona.

Krisnja tylko próbowała się bronić, ratować, na zawsze jednak miała zapłacić cenę w postaci okupu, jaki Ewa zażądała za jej głowę.

Marini raptownie usiadł i wyciągnął przed siebie rękę, jakby coś pokazywał. Mamrotał niezrozumiałe słowa.

Teresa po raz kolejny popchnęła go na nosze.

Jej myśli poszybowały ku Anizie, ku Śpiącej Nimfie, która przywiodła ją aż tutaj. Kto wie, czy teraz znalazła wreszcie spokój. Battaglia miała taką nadzieję. Być może czuła to: nie było już w niej smutku, jedynie wewnętrzna harmonia. Liczyła na to, że podobnie może być z Alessiem Andrianem.

Marini się wybudził.

– Czy to już rano? – zapytał i zerknął zdezorientowany na wbitą w ramię igłę.

Teresa spojrzała na nastroszony czub na jego głowie. Wyglądał jak grzebień oskubanego koguta.

– Dzień dobry, przystojniaczku – przywitała go, powstrzymując śmiech. Był rozczochrany, brudny i usmolony. Gdyby ten picuś-glancuś zobaczył się w lustrze, wpadłby w panikę.

Massimo przewrócił się na bok.

– Chce mi się wymiotować.

Teresa odsunęła się nieco ku wyjściu i ciasniej otuliła kurtką. Teraz pragnęła jedynie wrócić do domu i wyłączyć myślenie przynajmniej aż do świtu.

Usłyszała, że Marini coś bełkocze. Spostrzegła, że ściska w dłoniach pomietą kartkę. Odniosła wrażenie, że już ją gdzieś widziała. Zanurzyła ręce w kieszeniach i uzmysłowiła sobie, że kartka z dziennika, znaleziona w domu Emmanuela, zniknęła.

– Oddaj mi ją! – rozkazała.

– Wstyd, wstyd, pani komisarz. To chyba powinno trafić do dowodów, a może się mylę? – droczył się z nią. Jak na odurzonego narkotykami miał znakomicie trzeźwy umysł.

– Nie twój zasrany interes, Marini.

– A właśnie że tak. Tu jest mowa o mnie. – Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami. – Syn?

– Bywają też upierdliwi synowie – burknęła, lecz nie zdołała wydrzeć mu zdobyczy.

Massimo złożył kartkę i podał Teresie, chociaż wycelował w jej dłoń dopiero za którymś razem. Wyglądał raczej tak, jakby był potężnie zawiany niż zatruty.

– Proszę mi wybaczyć. Nie mogłem się oprzeć – wyznał z westchnieniem. Jego głos był łagodny, podobnie jak spojrzenie. – Nikomu nie powiem.

Wreszcie wyrwała mu kartkę z ręki.

– À propos dzieci... – rzekł Marini, usiłując się podnieść. – Muszę odzyskać własne dziecko, o ile jego matka już nie postanowiła mnie skreślić.

– Dobrze by zrobiła.

– Wiem.

Teresa zmierzyła go wzrokiem.

– Jesteś pewien?

– Jak nigdy w życiu.

– Marini, jesteś narąbany.

Massimo dźwignął się, wyciągnął z żyły igłę, pochlipując, i po kilku próbach udało mu się wstać.

– Dokąd ty się wybierasz? – zapytała Teresa. – Nie potrafisz się nawet utrzymać na nogach.

Marini zdołał zejść z noszy i zrobił parę kroków, recytując słowa dziennika. Teresa zdjęła osmolony but i wycelowawszy dokładnie, cisnęła nim w mężczyznę. Massimo runął na twarz i już nie ruszył się z ziemi. Jeden z ratowników zauważył, co się dzieje, podniósł go z pomocą kolegi. Tym razem przypięli go do noszy pasami, chociaż spał jak aniołek, z otwartymi ustami.

Teresa przyglądała się strażakom i policjantom, którzy uwijali się, gasząc resztki ognia. Jej wspomnienia uległy zniszczeniu, na zawsze utracone. Bolało, owszem, ale przynajmniej tej nocy śmierć trzymała się z daleka.

Podszedł do niej jakiś mężczyzna. Wydawało jej się, że nigdy wcześniej go nie widziała, lecz przestała już ufać samej sobie.

– Pani komisarz – odezwał się. Nie było to pytanie.

– Czy ja pana znam? – zapytała Teresa, zbyt wyczerpana, by zawracać sobie głowę ukrywaniem ewentualnego zaćmienia umysłu.

Mężczyzna uśmiechnął się serdecznie.

– Nie, nie znamy się.

Nie mówił z miejscowym akcentem. Battaglia uświadomiła sobie dopiero teraz, że jego ubranie śmierdzi dymem, a policzek ma brudny od sadzy. Odruchowo spojrzała na spopielone szczątki domu, a potem znów na niego.

Mężczyzna wydobył spod kurtki jakiś poczerniały przedmiot.

– Chciałem pani podziękować – oświadczył, wręczając go jej. Teresa spostrzegła w jego dłoniach swój dziennik. Był w żalonym stanie, miał zwęgloną okładkę, za to stronicy w środku pozostały niemal nietknięte.

– Jak pan to zrobił? – zapytała, kartkując go. Mężczyzna nie odpowiedział, ona zaś poczuła narastający niepokój. – Za co podziękować? – zdziwiła się.

– Pomogła mi pani odnaleźć skarb, chociaż sądziłem, że bezpowrotnie go utraciłem.

Teresa zauważyła ciasno otulone marynarką zawiniątko i złoty błysk w świetle ostatnich dogorywających płomieni.

Virgen Nigra. Zawsze była ukryta w domu Ewy i Krisnji.

– Kim pan jest? – zapytała.

Uśmiech mężczyzny zgasł.

– Przyjacielem, który ostrzega: proszę zachować ostrożność, dużą ostrożność. Matka kości jest daleko, ale nie aż tak bardzo, a teraz, skoro wie, że *Virgen* przetrwała, nie zazna pani spokoju.

Teresa już miała zareagować, ale mężczyzna odwrócił się i błyskawicznie zniknął wśród pojazdów ratowniczych. Ona próbowała się podnieść, lecz usiadła z powrotem, oddychając płytko z sercem bijącym jak oszalałe.

Po chwili podeszli do niej De Carli i Parisi, niosąc but. Blanca padła jej w ramiona.

De Carli sfilmował Mariniego, który chrapał przez sen, Teresa jednak nie czuła się na siłach, by go skarcić. W tej chwili wszyscy potrzebowali odrobiny luzu.

– Na kogo pani patrzy, pani komisarz? – zagadnął Parisi, podążając za jej wzrokiem w ciemności.

– Na nieznanomego – odparła w zadumie.

– Jakiego nieznanomego?

Teresa włożyła but, wyciągnęła dłonie do Parisiego i wstała.

– Na mężczyznę, który odnalazł coś, czego od dawna szukał – szepnęła, ciągle wpatrzona w mrok.

Tylko że to inna historia, a ona nie była już komisarzem.

– Lona kazał mi to pani oddać – rzekł De Carli. – Musiało spaść.

Była to kabura wraz z jej pistoletem.

Teresa spoglądała na nią, lecz ani drgnęła. Wzięcie jej oznaczało o wiele więcej niż powrót do pracy. Zwiastowało rozpoczęcie ukrywania się na nowo.

– Na razie ty ją przechowaj – mruknęła.

Poszukała wśród ratowników Alberta. On także przystanął na moment, by na nią zerknąć, po czym wsiadł do samochodu.

Był zmęczony albo może właśnie tak wygląda ktoś, kto dopiero co wywinął się śmierci. Rzucił się w ogień, przyrzekłszy jej przedtem zemstę i samotność.

Rzucił się w ogień dla niej.

Teresa wypowiedziała bezgłośnie „dziękuję” i wydało jej się, że Lona skinął głową, po czym zniknął za przyciemnianymi szybami.

– Wszystko w porządku, pani komisarz?

Głos Parisiego dobiegał z daleka. Teresa przytaknęła rozkojarzona, jej myśli bowiem już pomknęły inną ścieżką.

Pomimo zmęczenia, śmierci, której dopiero co zajrzała w twarz, pomimo lęku, że nie zdoła dokończyć wyzwania, które ledwie przyjęła, poszukała w kieszeni długopisu i otworzyła dziennik. Napisała kilka słów i ponownie zapatrzyła się w noc.

Matka kości. Bądź ostrożna.

Epilog

Dolina przybrała różową barwę. Niebo i ziemia, spowite miedzianą mgłą, która zdawała się spływać z góry i jednocześnie podnosić znad otchłani, stały się jednością. Kontury zacierały się w przezroczystym pyle, mieszając się niczym gęste farby, zdolne rozświetlić opalizującymi refleksami maleńkie cząsteczki wody zawieszane w powietrzu. W przestrzeni ziemskich chmur rzeka wyglądała jak ciało smukłego srebrnego smoka, który wylaniał się, wijąc, z krasowych jaskiń aż na płaskie dno doliny.

Teresa wspięła się powoli na wzgórze, gdzie czekali na nią mężczyźni. Marini, Francesco, Raffaello Andrian i jego stryjeczny dziadek Alessio wpatrywali się bez słów w krajobraz. Burzliwe spotkanie starego malarza z siostrzeńcem Śpiącej Nimfy odbyło się w milczeniu, bez potrzeby wyjaśnień. Tylko splecione dłonie i jedna łza na policzku Francesca.

Andrian wydobrzył po zawale, lecz nigdy nie przemówił. Nigdy by tego nie uczynił. Teresa podejrzewała, że tamtego dnia tajemniczym gościem, którego Raffaello zobaczył, jak pospiesznie wymyka się z pokoju jego stryjecznego dziadka, była Krisnja. Zastanawiała się, co Alessio poczuł na jej widok. Może przez chwilę naprawdę myślał, że to Aniza albo jej zjawa. Mięsień sercowy nie wytrzymał, za to hart ducha sprawił, że mężczyzna dał radę wywinąć się śmierci po raz drugi.

Jej zdaniem wiedział, gdzie znajduje się Śpiąca Nimfa, miała też pewność, że nigdy tego nie wyjawি. Skrywał ukochaną w bezpiecznym miejscu, we własnym sercu i w ziemi, która dała jej życie.

Teresa wróciła do doliny ze spokojem w duszy. Zastała wokół Francesca wdzięczne i ściśle grono; on również pragnął jej podziękować, Teresa jednak się wymówiła.

- Musiałam być twarda – rzekła jakby na swoje usprawiedliwienie.
- A ja byłem uparty – odparł, szukając jej dłoni.

Spotkanie z Matrioną i jej wyjątkowymi kobietami stanowiło dla Teresy najdziwniejszy moment. Rzadko zdarzało jej się nie być pewną, jak się zachować.

Szamanka wyszła jej naprzeciw z uśmiechem i przytuliwszy ją, rozwiała wszelkie wątpliwości. Gest ten oznaczał o wiele więcej niż pojednanie: był to węzeł, który połączył dwie skrajności, spotkanie sióstr będących zarazem matkami i córkami. Kobieta wsunęła Teresie do ręki woreczek.

– Nasiona czarnuszki siewnej, dwa gramy dziennie. Obniżają poziom glukozy na czczo i oporność na insulinę. – Po czym pochyliła się i wyszeptała: – A na ten drugi kłopot kurkuma, liście miłorzębu i wroniec.

Widząc osłupiałą minę Teresy, zareagowała chytrym uśmiechem.

– Lepsze krążenie dobrze wpływa na umysł – wyjaśniła półgłosem. – Proszę zapytać lekarza, jeżeli mi pani nie ufa. Powie pani, że te zioła pomogą.

Teresa nie chciała pytać, jak Matriona na to wpadła. Odpowiedź sprawiłaby ją w zakłopotanie, była tego pewna. Dostrzegła w tych oczach coś, co wykraczało poza racjonalność, co pochodziło z daleka. Jakąś dawną mądrość, wywodzącą się z ciała i duszy, by dotrzeć do umysłu.

Dołączyła do mężczyzn na wzgórzu. Andrian siedział przykuty do wózka i był bardziej osłabiony niż kiedykolwiek, chociaż w jego oczach lśniła łagodność, teraz był bowiem bliżej ukochanej kobiety. Wpatrywał się w jakiś punkt doliny w lesie u ich stóp, z mocą, która wstrząsnęła Teresą: to tam musiała być Aniza, strzeżona przez góry i otoczona kwiatami. Spoczywała pod łańcuchem górskim Musi, który kreślił portret śpiącej kobiety z twarzą zwróconą ku niebu. Mieszkańcy doliny zwali ją Śpiącą Królewną.

Patrzyła, jak ściska na kolanach buciki, wyhaftowane przez Anizę dla ich nienarodzonego dziecka, po czym przesuwa je palcem w stronę Mariniego, który stał obok. Inspektor otrząsnął się z zadumy i przez chwilę jakby nie pojmował. Gdy zerknął na Teresę, szukając rady, na jego twarzy malowało się wzruszenie.

Komisarz zdecydowanie skinęła głową. To jest słuszne. Życie toczy się dalej. To jest nadzieja.

Ledwie Marini chwycił w dłonie podarunek, las przeszło drganie, potężna fala ciepłego wiatru niosącego woń kwiatów i młodych pędów.

Teresa zamknęła oczy i pozwoliła mu się unieść, silne wzruszenie rozpałało jej duszę.

Nie była wierząca, życie odebrało jej wiarę, ale przysięgłaby, że właśnie tutaj w tym momencie poczuła czyjąś obecność.

Kobiety, która nigdy nie opuściła doliny ani umiłowanego mężczyzny.

Teraz Aniza była kwiatem pośród kwiatów, ziemią w ziemi. Nadal żyła w innych istotach, stanowiąc głębokie wzajemne połączenie życia, lecz coś w niej, coś nieuchwytnego i potężnego, było tu, razem z jej Alessiem.

Siedem miesięcy później

Wyobrażając sobie swoje dziecko, Massimo zawsze myślał o chłopcu. O jakiejś części samego siebie, która powieliła się na jego obraz i podobieństwo.

Nie był gotów na tę kruchą i żywiołową boginię, którą trzymał w ramionach. Usidliła go, gdy tylko przysła na świat. Zawierała w sobie doskonałość praw rządzących wszechświatem, tak silną, że potrafiła całkowicie ujarzmić jego wolę.

Aniza będzie jego Północą i Południem, Wschodem i Zachodem jego życia, dopóki oddech ogrzewa jego ojcowskie wargi.

Otulił dziewczynkę kocykiem, ciągle spragniony, by nosić ją blisko własnego serca.

Podał córkę stojącej przed nim kobiecie, ona zaś wzięła ją w ramiona z instynktowną miłością, która zawsze będzie go zadziwiać. Było to uczucie, które nie potrzebuje pamięci ani doświadczenia.

Po wielu miesiącach spędzonych u jej boku teraz wreszcie był przekonany, że ją zna, kiedy jednak kobieta podniosła głowę, wyraz jej twarzy mimo wszystko zdołał go zaskoczyć.

Nie przypominał sobie, kto wypowiedział zdanie, które ostatnimi czasy nie opuszczało go ani na chwilę: *Za każdym razem, gdy bezbronne życie znajduje ukojenie w czułych ramionach, mamy do czynienia z matką.*

Teraz miał przed sobą dowód.

Wbrew przeszłości. Pomimo wieku. Niezależnie od życia, które wybrała, i od tego, którego nie wybrała, Teresa Battaglia była – i zawsze będzie – Matką.

*Albowiem jestem pierwsza i ostatnia,
Jestem wielbiona i pogardzana,
Jestem nierządnicą i świętą,*

*Jestem żoną i dziewicą,
Jestem matką i córką,
Jestem członkami mojej matki, jestem bezpłodna, choć mam wielu synów,
Jestem niewiastą zamężną i panną,
Jestem tą, która rodzi, i tą, która nigdy nie rodziła,
Jestem tą, która koi bóle porodowe,
Jestem oblubienicą i oblubieńcem, a mój mąż nakarmił moją płodność,
Jestem matką mojego ojca,
Jestem siostrą mojego męża, a on jest synem, którego odepchnęłam.
Baczcie na mnie,
Albowiem jestem zniesławiona i jestem tą, która uświęca.*

*Hymn do Izydy
Grzmot: Umysł doskonały, Kodeksy z Nag Hammadi,
VI.2, Egipt, III w. n.e.*

Nota od autorki

Śpiąca nimfa, wraz z jej przeplatającymi się dziejami i historią w tle, towarzyszyła mi od lat, odkąd natrafiłam przypadkiem na artykuł na temat Val Resia. Nie wiedziałam, skąd wywodzą się jej mieszkańcy, chociaż dolina leży niedaleko miejsca, w którym mieszkam. Słyszałam, że mówi się tam w jakimś dialekcie przypominającym rosyjski i że wszyscy Rezjanie są do siebie trochę podobni. W kwestii pierwszego punktu mylnie sądziłam, że kozacka inwazja w czasie drugiej wojny światowej pozostawiła własne dziedzictwo kulturowe. Co do powtarzalności rysów twarzy myślę, że jeśli rzeczywiście występuje i wynika z izolacji, która tak mocno ukształtowała tych ludzi, ich kulturę i krajobraz, to teraz owa odziedziczona spuścizna rozmyła się w nowym wkładzie genetycznym, który przyszedł wraz z otwarciem się na świat. Natomiast nie dotyczy to zapisanych w ich DNA korzeni, które opowiadają o podróży przez wieki, z odległych miejsc i ku nim.

Udało mi się opowiedzieć historię narodu rezjańskiego – a przynajmniej jej część – dzięki Gilbertowi Barbarinie, kopalni wiedzy historycznej o Val Resia, który gościł mnie w swym domu z ogromną uprzejmością i serdecznością, będąc mi pełnym pasji przewodnikiem i dzieląc się ze mną swoimi wspomnieniami z dzieciństwa. Jedno z tych wspomnień „podkradłam” i stało się malowidłem w powieści: jako dziecko Gilberto był świadkiem, jak karabin jednego z partyzantów wystrzelił i trafił w uprzęż konia, który właśnie wiozł niemieckiego żołnierza do piekarni w San Giorgio. Na szczęście okupant nie zastosował krwawych represji; skończyło się na ostrzelaniu domów paroma seriami z karabinów maszynowych i na strachu.

Moim zamiarem nie było zagłębianie się w wydarzenia historyczne i polityczne, które dzielą Rezjan w sprawie ich pochodzenia. Wysłuchałam głosu, stanowiącego głos wielu, i uznałam, że jest przekonujący jak mało który. Rezjanom pragnę tylko powiedzieć, że powinni bardzo cenić swoją tożsamość – bez względu na to, co

przez nią rozumieją – dziedzictwo kulturowe i naturalne, którego strzegą, jest bowiem niezwykle i wszyscy je podziwiamy. Lecz oni już o tym wiedzą.

Zapełniałam autentyczne miejsca zmyślonymi zdarzeniami, autentyczne jest jednak także co innego: na kartach *Śpiącej nimfy* oprócz pochodzenia Rezjan zawartych jest wiele prawd.

Jakich?

Mamy we Friuli Czarną Madonnę. Przechowywana jest w sanktuarium Matki Bożej w Castelmonte. Oczywiście bardzo się różni od *Virgen Nigra* opisanej w powieści i o ile wiem, nie skrywa żadnej tajemnicy. Chyba że jeszcze nikt jej nie wyjawiał...

Blanca i Smoky to rzeczywiste postaci i zwań się Cristina i Ice. Jestem im ogromnie wdzięczna za pokazanie mi fascynującego świata *human remains detection*. Wszystko, co umieściłam na ten temat w *Śpiącej nimfie*, jest zgodne z prawdą (do tego stopnia, że z początku Cristina trochę się martwiła, że zdradzę sekrety instruktorów albo tajemnice instytucjonalne), w wyjaśnieniach zaś starałam się użyć dokładnych określeń stosowanych przez moje źródło. Ewentualne odchylenia wynikają jedynie z wymagań narracji albo mojej niewiedzy. Pisząc, że wszystko jest prawdą, rozumiem to dosłownie: nawet Chuderlak i jego doświadczenie z garnkiem (naczynie do gotowania na parę zamówione specjalnie w punkcie Coop).

Przy nakreśleniu zawodowej sylwetki Christiana Neriego wiele zawdzięczam Cristianowi Copettiemu, przyjacielowi z korpusu karabinierów ochrony dziedzictwa kultury w Udine. To właśnie on po raz pierwszy wspomniął z dumą o dostępnej dla policji na całym świecie bazie danych bezprawnie zagrabionych dóbr kultury, zawierającej „paszporty” milionów dzieł sztuki.

Kiedy przystępuję do opisanie historii, która leży mi na sercu, zdarza mi się napotykać porządnych ludzi, którzy wzbogacają ją i uświetniają dzięki jakże chętnie opowiadanym własnym przeżyciom. Tak też stało się z Gilbertem, Cristiną i Cristianem.

Istnieją jednak również osoby, które przyczyniają się do powstania powieści nieświadomie, co nie znaczy, że ich wkład jest mniej istotny. Otóż *Śpiąca nimfa* sporo zawdzięcza takim autorom, jak: Daniele Zovi (oświeciła mnie jego książka *Alberi sapienti antiche foreste* na temat mądrości roślin), Marija Gimbutas (*Le dee*

viventi i wiele innych; jej teorie dotyczące Starej Europy i Wielkiej Matki stanowią główną inspirację tej powieści), Morena Luciani (*Donne sciamane*), Leda Bearné (*Le vergini arcaiche*), Massimo Recalcati (to z jego ust wyszła zachwycająca myśl Massima Mariniego: *Za każdym razem, gdy bezbronne życie znajduje ukojenie w czułych ramionach, mamy do czynienia z matką*)... i Plutarch: niezwykły filozof, pisarz, kapłan i biograf, który dzięki swym świadectwom sprawia nieustannie, że nasza świadomość – i moja wyobraźnia – przemierza tysiąclecia poprzez tak żywe opisy, że rozpalają umysł świetlistymi obrazami.

Tak też w swym traktacie *O Izydzie i Ozyrysie* opisuje mit narodzin bogini: *Gdy Rea potajemnie, jak mówią, złączyła się z Kronosem, widzący to Helios złorzeczył jej, że nie urodzi w żadnym miesiącu ani roku. Hermes, pragnąc bogini, złączył się z nią, a potem, grając w kości z Księżycem, wygrał siedemdziesiątą część każdego księżycowego cyklu. Z tych wygranych części utworzył pięć dni, które dodał do trzystu sześćdziesięciu dni roku.*

W owych dniach światła zwyciężonych przez miłość narodził się Ozyrys i narodziła się Izyda: (...) *Ozyrys i Izyda, rodzeństwo kochające się już przed narodzinami, złączyli się miłosnym uściskiem w ciemnościach łona*^[3].

Podziękowania

Nigdy nie przestanę powtarzać, że spisywanie historii jest czymś intymnym i samotnym, za to wydanie jej wymaga pracy i starań, a nierzadko również cierpliwości wielu osób. Wszystkim im należy się moja głęboka wdzięczność: dziękuję, że pokochaliście *Śpiącą nimfę*. A są to:

Stefano i Cristina Mauri, o wiele więcej niż tylko wydawcy, zawsze obecni całym sercem.

Giuseppe Strazzeri, stanowczy i sympatyczny przewodnik, zawsze gotów dodać mi otuchy w najtrudniejszych chwilach wywołanych zmęczeniem.

Fabrizio Cocco, któremu dziękuję za przyjaźń i nadzwyczajny profesjonalizm, za to, że tak usilnie pragnął, by Teresa Battaglia dotarła do czytelników, i że zawsze wierzył w nią – i we mnie. Przede wszystkim dziękuję za – cytuję – „zwykłą oszczędność ekspresji”, za sprawą której potrafi mnie zachęcić, gdy najbardziej tego potrzebuję.

Viviana Vuscovich, która umożliwiła Teresie podróże wzdłuż i wszerz świata. Dziękuję za serdeczność i wrażliwość oraz za zaraźliwy entuzjizm. Prawdziwa przyjaciółka.

Elena Pavanetto, której dziękuję za wsparcie i cudowne słowa na temat *Kwiatów nad piekłem* i *Śpiącej nimfy*.

Raffaella Roncato, Tommaso Gobbi i Diana Volonté: wyborne biuro prasowe, któremu udało się sprawić, że pokonałam ograniczenia, jak się później okazało, tkwiące wyłącznie w mojej głowie.

Antonio Moro: dziękuję za staranną opiekę nad moimi opowieściami.

Genialna Graziella Cerutti, Giuseppe Somenzi i wszyscy agenci z Pro Libro, którzy od razu uwierzyli w *Kwiaty nad piekłem*, teraz zaś wykrzesali tyleż samo entuzjizmu – i uczucia – dla *Śpiącej nimfy*.

Dziękuję wszystkim wydawcom włoskim i zagranicznym, którzy przyjęli moje słowa i sny, i tłumaczom, którzy użyczyli mi swego głosu.

Dziękuję z całego serca Gilbertowi Barbarinie: długo czekaliśmy, ale „nasza” Nimfa nareszcie ujrzała światło dzienne!

Cristinie i Ice’owi za uprzejmość, gotowość, sympatię, a teraz także za wzruszenie przed ukazaniem się powieści. Mam nadzieję, że zdołałam chociaż częściowo pokazać łączącą ich wyjątkową więź.

Dziękuję Cristianowi Copettiemu za dorzucenie istotnej cegiełki do opowieści i Tizianowi Quaglii za cenną pomoc przy terminach w języku rezzańskim.

Michele Scoppetie, który zawsze był na miejscu i zawsze gotów rozwiązać wszelkie wątpliwości, i wszystkim przyjaciołom, którzy nie ustają we wspieraniu mnie.

Składam pełne miłości podziękowanie mojej rodzinie za wsparcie emocjonalne, a także, bardzo często, logistyczne!

Dziękuję Jasmine i Paolowi za miłość i cierpliwość, za towarzyszenie mi w tej szalonej przygodzie.

Na koniec serdecznie dziękuję księgarzom i czytelnikom, którzy to wszystko umożliwili.

Przypisy

- [1] Plutarch, *O Izydzie i Ozyrysie*, przeł. Anna Pawlaczyk
- [2] *Znak czterech*, film z 1987 roku, przeł. Magdalena Balcerek.
- [3] Plutarch, *O Izydzie i Ozyrysie*, przeł. Anna Pawlaczyk.

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Koniec

Początek

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37

Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61

Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81
Rozdział 82
Rozdział 83
Rozdział 84
Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Rozdział 97

Rozdział 98

Rozdział 99

Rozdział 100

Rozdział 101

Rozdział 102

Epilog

Siedem miesięcy później

Nota od autorki

Podziękowania

Przypisy